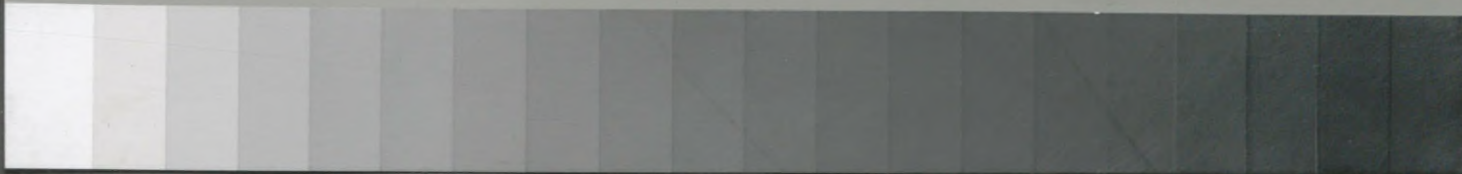


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Z księgozbioru  
WELIKSA-CZERSKIEGO

# JULIANA KLACZKI ZAPOMNIANE PISMA POLSKIE

(1850—1866)

ZEBRAŁ I OBJAŚNIŁ

FERDYNAND HOESICK



KRAKÓW  
G. OEBETHNER I SPÓŁKA  
1912



Colour Chart #13



Z kolekcji  
WELIKSA CZERNIEGO

Li.....

JULIANA KLACZKI  
ZAPOMNIANE PISMA POLSKIE

(1850—1866)

ZEBRAŁ I OBJAŚNIŁ

FERDYNAND HOESICK



KRAKÓW  
G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
1912

# Szanuj książkę, Czytelniku!

NA ULICY: Owiń książkę w papier, chroniąc okładkę przed deszczem i potem rąk!

Nie gub po drodze lub w kolei!

W DOMU: Kładź na czystym miejscu!

Nie dawaj dzieciom do rąk!

Nie pożyczaj drugim! (dobry zwyczaj!)

CZYTAJĄC, używaj zakładki, nie zaginaj rogów!

Palców nie śliń przy przewracaniu kartek!  
(bakcyle!)

Nie pisz po książce i nie podkreślaj!

Nie rób uwag (zwykle niedorzecznych!)

Nie rób plam z atramentu lub tłuszczu!

Nie wydzieraj kartek!

Nie przeginaj w grzblecie!

PAMIĘTAJ ZAWSZE, że to własność cudza!

że książki i oprawa obecnie są bardzo drogie!  
niepotrzebnie nie przetrzymuj, by inni chętni także z niej korzystać mogli!

że przed wyjazdem należy książki zwrócić właścicielowi!

że w razie zniszczenia lub zguby stanowczo odkupić należy, a kwestja, czy ją jeszcze wogóle dostanie?

Z księgozbioru  
FELIKSA CZERSKIEGO  
L. ....

JULIANA KLACZKI

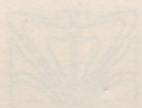
ZAPOMNIANE PISMA POLSKIE

(1850—1866)

WYDAŁ I ODRUKOWAŁ

FERDYNAND HOFFMANN  
JULIANA KLACZKI

ZAPOMNIANE PISMA POLSKIE



KRAKÓW  
W. GEBETHNER I SPÓŁKA

1912

Z księgozbioru  
FELIKSA CZERSKIEGO

L. ....

JULIANA KLACZKI  
ZAPOMNIANE PISMA POLSKIE

(1850—1866)

ZEBRAŁ I OBJAŚNIŁ

FERDYNAND HOESICK



KRAKÓW  
G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1912

884-4



KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓLKI.

JULIANA KLACZKI  
ZAPOMNIANE PISMA POLSKIE

JULIANA KLACZKI  
ZAPOMNIANE PISMA POLSKIE

## OD WYDAWCY.

W krótkiej przedmowie, którą poprzedził swój mistrzowski przekład *Wieczorów florenckich*, nazywa Tarnowski ich autora »najświetniejszym dziś z polskich pisarzy«, przyczem podnosi jego »głębokość nauki, przenikliwość myśli, wykwinność krytycznego i artystycznego zmysłu, a wreszcie układu doskonałą proporcję i stylu niezrównaną świetność«. Jakkolwiek superlatywy te odnoszą się w tym wypadku jedynie do wytwornych *Cause-ries florentines*, to jednak z małemi zastrzeżeniami da się powiedzieć to samo i o innych pracach Klaczki, a szczególnie o jego pismach polskich, które, obok wszystkich zalet, cechujących jego rzeczy francuskie, jeszcze je przewyższają polotem i błyskotliwością języka, jakim z pewnością »odkąd w Polsce pisać zaczęto«, nie pisał nikt przedtem ani potem.

A jednak niema może drugiego pisarza polskiego, który by był tak mało znany w kraju, jak Klaczko właśnie. Z bardzo nielicznymi wyjątkami kilku literatów ze starszej generacyi, jak Koźmian, Tarnowski, Krzemiński, Chmielowski, oraz niektórych uczniów Tarnowskiego, w których tenże umiał wpoić kult dla Klaczki, szeroki ogół, nie wyłączając sfer literackich, zwłaszcza warszawskich, jeszcze do niedawna cenił Klaczkę jedynie jako »genialnego współpracownika *Revue des deux mondes*« (jak go raz nazywał w przedmowie *Powieści bez tytułu* Kraszewski). Że tenże pisywał po polsku, o tem nie wiedziało nawet wielu profesorów historyi literatury. To też prawdziwą rewelacją było dla niektórych z pomiędzy nich, gdy w r. 1902 wyszedł tom pism pol-

skich Juliana Klaczki, rewelacją tak dalece, że nawet najlepsi znawcy i przyjaciele autora *Katechizmu nierycerskiego* spotkali się w tomie tym z artykułami i broszurami, o których istnieniu nie wiedzieli zgoła... Podobną niespodzianką był dla nich tom *Szkiców i rozpraw literackich* Klaczki, drukowanych w paryskiej *Revue contemporaine* i w *Revue de Paris*, a wydanych w r. 1904 w polskim tłumaczeniu... Niespodzianką również było odkrycie całego szeregu *Listów włoskich* Klaczki, pisanych w r. 1861 do warszawskiej *Gazety polskiej*, a przedrukowanych przed paru laty w krakowskim *Przeglądzie polskim*.

Już się mogło zdawać niektórym, że po tych odkryciach (których liczbę powiększyły jeszcze francuskie artykuły o Aleksandrze Wielkopolskim i Adamie Czartoryskim) w końcu wyczerpał się zasób nieznanych, czyli całkiem zapomnianych pism Klaczki, zwłaszcza jego pism polskich, gdy przed kilku laty, przy wertowaniu starych roczników *Czasu*, prosty przypadek znów naprowadził mię na trop nowych pism autora *Juliusza II*. Oto w jednej z paryskich korespondencji w *Czasie* z r. 1852. znalazła się wiadomość, że Klaczko był stałym korespondentem poznańskiego *Gońca polskiego*. Jedyna trudność polegała na znalezieniu roczników tego czasopisma, co, jak się okazało, było trudnością nielada... Ale po długich poszukiwaniach w końcu znalazły się aż dwa egzemplarze: jeden, z brakującymi kilkunastu numerami z r. 1850, w bibliotece Muzeum narodowego w Rappersvillu, drugi, kompletny, w Bibliotece polskiej w Paryżu. Kompletny egzemplarz *Gońca polskiego* posiada również biblioteka poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Gdy już pisma niniejsze Klaczki były oddane do druku, a przedmowa do nich napisaną, wyszły wydane z autografów przez prof. J. Kallenbacha: *Listy Zygmunta Krasińskiego do Augusta Cieszkowskiego*, w których, w t. I., na str. 101, znalazłem następujący przypisek, dotyczący poznańskiej *Gazety polskiej* i *Gońca polskiego*: »Czasopisma te są bardzo dziś rzadkie w komplecie, a ważne, gdyż odzwierciedlają życie polityczne i umysłowe Polski i Emigracyi naszej paryskiej. *Mnóstwo tam artykułów anonimowych J. Klaczki, dotąd nie przedrukowanych*«. Przy

Wydawany przez Rosego i Bentkowskiego *Goniec polski* wychodził w Poznaniu od lipca 1850 do końca 1851 roku. Był to dziennik polityczny, liberalny, doskonale redagowany, zasilany przez najcelniejsze pióra. Między innymi nadsyłał doń z Paryża feljetony i poezye tak dziś modne w pewnych kołach Cypryan Norwid. W liczbie korespondentów paryskich, których *Goniec* miał kilku, był i 24-letni wówczas Klaczko. Obok *Czasu* krakowskiego cieszył się wtedy *Goniec* najpoważniejszą opinią. Dość powiedzieć, że były to jedyne dwa pisma codzienne polskie, które prenumerował Zygmunt Krasiński. Swoją drogą były to »dwa na słońcach swych przeciwnych bogi«. *Czas* bowiem, jako organ konserwatywny, arystokratyczny i klerykałny, był antypodą postępowego, demokratycznego i liberalnego, choć we wszystkich tych kierunkach umiarkowanego *Gońca*. Głoszona przez *Czas* zasada »władzy« namiętnie była w *Gońcu* zwalczana.

Nic dziwnego tedy, że nadsyłane *Gońcowi* korespondencye paryskie Klaczki, informujące wyłącznie o życiu emigracyjnem polskiem, nacechowane są duchem demokratycznym i liberalnym, że w nich *Czas* i »konserwatyści krakowscy« są traktowani co najmniej z przekąsem, o ile nie ze świętem oburzeniem. Nie był to jeszcze Klaczko z okresu *Wiadomości polskich...* Jako korespondent *Gońca*, był on, nie popadając w żadną krańcowość, przede wszystkim żarliwym patriotą, o dość jaskrawem zabarwieniu. Zygmunt Krasiński uważał, że Klaczko stał się takim w Paryżu dopiero. »Klaczko, czytamy w jednym z listów poety do Stanisława Koźmiana, skoro wpadł do Paryża, zaczyna czerwienieć. Już chciał udział brać w redakcyi *Trybuny*«. Zdaje się jednak, że właśnie było przeciwnie. Co pewna, że w swych niemieckich artykułach w *Deutsche Zeitung* Klaczko był czerwieńszym,

---

sposobności muszę nadmienić, że wśród korespondencyi paryskich w *Gazecie polskiej* (wychodzącej przed *Gońcem polskim*), nie znalazłem takich, których autorstwo dałoby się przypisać Klaczce. Roczniki *Gazety polskiej* posiada Biblioteka polska w Paryżu, Muzeum Czartoryskich w Krakowie, oraz Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

niż w swych artykułach do *Gońca*. Tak n. p. gdy w Heidelbergu był pełen bezkrytycznego uwielbienia dla Mierosławskiego, w Paryżu już go zaczyna sądzić krytycznie, a pod koniec nawet ma słowa sarkazmu na jego temat. Że wyrażał gotowość pisywania do postępowej *Trybuny ludów* pod redakcją Adama Mickiewicza, tego mu za przykładem Krasińskiego nie można po czytywać za zbrodnię, bo gdzie królował wzniosły duch wieszczą *Dziadów*, tam młody publicysta mógł współpracować z czystym sumieniem... Co pewna, że demokratyczno-liberalne korespondencje Klaczki do *Gońca* mogły i musiały Krasińskiego razić pod wieloma względami. Dość powiedzieć, że Klaczko w tych latach, pomimo całego szacunku, jaki miał dla sędziwego księcia Adama Czartoryskiego, wolałby na jego miejscu, jako prezesa Towarzystwa historyczno-literackiego, widzieć Lelewela, a gdy chodziło o politykę Hotelu Lambert, zwłaszcza o jego politykę wschodnią, to zapatrywał się na nią krytycznie, z zastrzeżeniami. Co gorsza, to że na Montalemberta nie liczył jak na Zawiszę, a demokratów z Towarzystwa demokratycznego, łącznie z wydawanym przez nich *Demokratą polskim*, traktował całkiem na seryo... Swoją drogą, gdy w nich wietrzył tendencje socjalistyczne lub komunistyczne, bez ceremonii zdobywał się na słowa ostrego potępienia. Cóż dopiero, gdy w kosmopolitycznym zapędzie zbyt lekliwie zaznaczali swe aspiracje narodowe polskie! Wtedy nie miał dla nich litości...

Inaczej się rzecz miała z literackim *credo* Klaczki: to pod każdym względem mogło zyskać tylko aprobatę ze strony Krasińskiego. Choć w swych korespondencyach zajmował się niemal wyłącznie sprawami politycznymi, to jednak, jako urodzony literat i artysta z duszą poety, Klaczko wciąż potraçał o poezję, o literaturę, o sztuki piękne. Fanatyczny wielbiciel żyjących wtedy jeszcze i czynnych Mickiewicza i Krasińskiego, pełen najwyższego uznania dla twórczości Zaleskiego i Goszczyńskiego, o ile bardzo wysoko cenił Lenartowicza, o tyle pokpiwał sobie z pism Norwida, choć miał podziw dla jego inteligencji i kultury. Z obcych poetów, których cytuje raz po raz, najbardziej ubóstwia

Homera i Dantego, Szekspira i Goethego. Schiller i Byron już w nim nie budzą takiego entuzjazmu. W ogóle w rzeczach literatury i historii, starożytnych zwłaszcza, jest nadzwyczaj biegły. Znać, że w Królewcu nie tracił czasu, a w Heidelbergu nie zaniedbywał się również.

Dzisiaj, po upływie lat sześćdziesięciu, te jego *Listy z Paryża* mają już tylko wartość dokumentów historycznych, bo jako przyczynki do dziejów emigracji na paryskim bruku, jako osobny fragment z porozbiorowych szamotań się Polski, posiadają swoje niezaprzeczone znaczenie. Naturalnie, że nikt im nie odmówi także i wartości literackiej. Nie należy zapominać, że choć to są artykuły o charakterze dziennikarskim raczej, a nawet sprawozdawczym, niż publicystycznym, to jednak są to korespondencje kreślone piórem najświetniejszego publicysty polskiego, publicysty-poety. To też nie brak ustępów w tych listach, pod którymi podpisałby się sam nawet Heine. Najprzedniejszy dowcip, najefektowniejsza gra słów, najwyszukańsze metafory, w inwektywie namiętność, sarkazm, ironia i bezwzględność (nierazko posunięte aż do okrucieństwa, lecz zawsze w granicach dobrego smaku), a wszystko to w szacie pięknej polszczyzny, miejscami pełnej poetycznego polotu i prawdziwie wschodniej obrazowości, choć nie wolnej od afektacji, od szumnej patryotycznej frazeologii pod znakiem *popularitatis*: oto zewnętrzne cechy tych bądź co bądź niepospolitych *Listów z Paryża*. To, o czym traktują, już należy do historii, czyli do rzeczy przebrzmiałych, zwietrzałych, ponad którymi życie przeszło do porządku; sposób jednak, w jaki Klaczko pisze o tych sprawach emigracyjnych, wtedy aktualnych i stojących na wysokości kwestyi palących, nigdy się nie przestarzeje, bo nie starzeją się rzeczy pisane z wyjątkowym talentem.

Ale cokolwiek da się powiedzieć na pochwałę tych *Listów z Paryża*, zawsze jedno pozostanie faktem nieodwołalnym, że były to korespondencje *dziennikarskie*, pisane z dnia na dzień, bez specjalnej troski o piękność formy, o architektonikę całości, o kompozycję artystyczną, o ową »układu doskonałą propor-

## VIII

cyę«, o której mówi Tarnowski. Inaczej rzecz się miała z artykułami *literackimi*, które Klaczko nadsyłał redakcyi *Gońca*, a które, choć drukowane bezimiennie, były owocem wielkiej staranności i dbałości o zewnętrzną szatę stylową, o jej możliwą doskonałość i świetność (nie bez pogoni za retorycznymi efektami). O ile korespondencye niewątpliwie były pisane odrazu do druku, bez żadnych brulionów i przepisywania na czysto, które często równa się nowej redakcyi, a zawsze jest z korzyścią dla stylu; o tyle trzy artykuły Klaczki, drukowane w szeregu feljetonów *Gońca*, noszą wyraźne ślady skupienia się i pracy: czytając je, widzi się, że autor wyteęzał się przy ich pisaniu, że każde zdanie szlifował i cyzelował, że ani jednego wyrazu nie użył bez namysłu, że wogóle w tych artykułach dał *maximum* tego, do czego był zdolny na razie, że doskonale świadom wszystkich tajemnic literackiego kunsztu, *lepiej* już tych rzeczy napisać *wtedy* nie mógł.

Odnosi się to szczególnie do artykułu o *Wieszczach i wieszczbach*, który, jako świetność stylu, jako blask języka, jako doskonałość kompozycyi, bez żadnych zastrzeżeń może być nazwany arcydziełem, jedną z najwspanialej napisanych rzeczy Klaczki. Nie ze wszystkimi jego poglądami godzić się dziś można, ale co trzeba podziwiać, to dojrzałość sądu o Mickiewiczu i Krasieńskim (których znał osobiście), których ogrom i piękność, choć im przypatrywał się z tak bliska, a nie, jak my, z odpowiedniego oddalenia, odrazu umiał ocenić według właściwej miary, według miary Fidyasza!... Co jednak jest najbardziej charakterystycznym, to, że Klaczko w tych czasach, pisząc dzieło o »nowszej poezyi polskiej« (do którego to dzieła artykuł o *Wieszczach i wieszczbach* był rodzajem uwertury) nie znał jeszcze należyte, a w każdym razie nie doceniał najbardziej nowoczesnego z trójcy naszych poetów romantycznych, Słowackiego. Dość powiedzieć, że Słowacki ani razu nie jest wspomniany w pomienionym artykule, choć w nim wymienieni są omal że nie wszyscy wybitniejsi poeci polscy od Kochanowskiego do Lenartowicza. Że Klaczce do jego konstrukcyi myślowej, do jego syntezy »now-

szej poezji polskiej« (czem niezaprzeczenie jest wspomniany artykuł), Słowacki wcale nie był potrzebnym i niezbędnym, i to wtedy, gdy mu do niej organicznie byli potrzebni Zaleski i Lenartowicz, to bądź co bądź szczególne i dziwne. Dziwne tembardziej, że Klaczko wówczas, jako demokratą i republikanin, tem większy mógłby mieć pociąg do Słowackiego, jako »republikanina z ducha« i demokraty z przekonań. On tymczasem, w roku 1850, w rok po śmierci Słowackiego, podrwiwał sobie w jednym ze swych artykułów z »ducha wiecznego rewolucjonisty«, co dowodzi, że na twórcę *Beniowskiego*, którego znał głównie ze słyszenia, zapatrywał się przez zakopcony pryzmat koteryjności emigracyjnej, przez pomniejszające okulary Zaleskich i Januszkiewiczów... Biedny Słowacki! Jak był pominięty w prelekcjach Mickiewicza, tak prawdopodobnie byłby zlekceważony i w zarysie »nowszej poezji polskiej« Klaczki, w obrazie tej poezji, na której *najnowsze* dzieje i rozwój wywarł wpływ tak przemożny!

Kto wie jednak, czy to pominięcie Słowackiego w tych czterech feljetonach w *Gońcu*, tak rzucające się w oczy, nie wyszło ostatecznie na korzyść autorowi *Anhellego*. Nie jest wykluczonem, że Klaczce zwrócono na to uwagę, bo przecież nie brakło ludzi na emigracyi, co umieli ocenić twórcę *Beniowskiego*. Pozwala się tego domyślać fakt, że w niespełna rok po wydrukowaniu feljetonów o *Wieszczach i wieszczbach*, w korespondencji Klaczki do *Gońca*, datowanej 11 września 1851 r., nazwisko Słowackiego znajduje się wymienione po raz pierwszy, i to aż dwa razy, a za każdym razem z uznaniem i wyróżnieniem. Widocznie, iż w okresie czasu między listopadem 1850, a wrześniem 1851 r. Klaczko dokładniej zapoznał się z dziełami Juliusza, a ta lektura wypadła na korzyść poety... Ztąd pewno i w pracy Klaczki o »nowszej poezji polskiej«, jeszcze nie oddanej do druku, okazała się potrzeba zmian i uzupełnień... Co nie ulega wątpliwości, że Klaczko dopiero w kilka lat później, w r. 1858, dokładnie przestudował dzieła Słowackiego, a gdy się w nie wczytał bez poprzedniego uprzedzenia, odrazu pasował ich twórcę

na »największego artystę« z pomiędzy naszych trzech wielkich poetów <sup>1)</sup>...

Ale tymczasem, gdy ogłaszał w *Gońcu* sylwetkę Staszycy i recenzję o *Kontuszowych pogadankach* Gaszyńskiego, był przejęty Dantem z jednej strony, a Mickiewiczem z drugiej. Co myślał o Dantem, temu dał wyraz w zakrojonem na większe rozmiary, niestety niedokończonem studyum o Alighierim, drukowanem w *Bibliotece Warszawskiej*; a jak wysokiego był mniemanie o Mickiewiczzu, tego wymowny dowód złożył w swej świetnej paraleli o *Lenorze i Ucieczce*. Obie te rozprawy zostały przedrukowane w tomie niniejszym. Studyum o twórcy *Boskiej Komedyi*, ogłoszone bezimiennie, jeszcze do niedawna, bo do chwili wyjścia książki Tarnowskiego, nie było znanem, jako młodzieńcza praca Klaczk. Studyum o *Lenorze i Ucieczce*, wydrukowane w *Pokłosiu*, nigdy jeszcze nie było przedrukowane *in extenso*.

Podobnie ma się rzecz i z broszurą *O szkole narodowej polskiej*, z której obszerniejsze wyjątki zamieściłem w zebranych przezemnie *Pismach polskich* Klaczk. Ale tam musiałem się liczyć z warunkami warszawskiej cenzury, co właśnie uniemożliwiało przytoczenie najświetniejszych i najgorętszych ustępów. A zresztą broszura ta, dziś wielka rzadkość bibliograficzna, prawdziwy *biały kruk*, ze wszech miar zasługuje na to, by ją przedrukowano w całości. Albowiem jeden to z najświetniejszych pamfletów Klaczk, niewiele ustępujący krytyce *Krewnych* lub porachunkowi z *Odstępcami*.

Artykuł o *Rękopisach po Adamie Mickiewiczzu* również został przedrukowany *in extenso*.

Na ostatniem miejscu pomieszczone trzy artykuły polityczne z *Dziennika poznańskiego* należą już do drugiego okresu działalności publicystycznej Klaczk, do epoki, która w stosunku do *Listów z Paryża* z r. 1851 równa się przeciwnemu biegowi... *Obiit Gustavus, natus est Conradus!*... Dawny namiętny

<sup>1)</sup> Ob. list A. E. Koźmiana, z d. 2 listopada 1858.

przeciwnik Ludwika Bonapartego teraz przeobraził się w gorącego wielbiciela Napoleona III. Dawny republikanin przedzierzgnął się w monarchistę, a dawny postępowiec z roku 1851 teraz w r. 1866 jest zdecydowanym konserwatystą. Stąd jaskrawa metamorfoza w sądach i poglądach na sprawy polityki europejskiej, a zwłaszcza na *gesta Dei per Francos...* Co pewna, że gdy *Listy z Paryża* muszą być traktowane jako pisma młodociane, w których najwierniej odbiła się idealistyczna *Sturm- und Drangperiode* Klaczki, to artykuły z *Dziennika poznańskiego* wyszły już z pod pióra człowieka skryształizowanego zupełnie, dojrzałego, życiowo i politycznie wyrobionego długoletnim doświadczeniem. Ale rzecz dziwna! Gdy młodziutki 24-letni Klaczko, tak radykalny i bezwzględny w wypowiedaniu swych opinii, mimo to w swych korespondencyach do *Gońca* nie myli się prawie nigdy, owszem, zawsze trafia w samo sedno rzeczy i kwestyi, Klaczko 40-letni, choć już ma za sobą współpracownictwo w *Wiadomościach polskich*, choć już jest autorem *Etudes de diplomatie*, w tych trzech artykułach do *Dziennika poznańskiego* popełnia trzy fatalne omyłki, wypowiada trzy mylne przepowiednie, którym rzeczywistość zaprzeczyła zaraz nazajutrz. Krótko mówiąc, są to trzy najniefortunniesze wystąpienia publicystyczne Klaczki. Ale *errare humanum est*; więc nie można dworować sobie z pisarza-statysty, że mu się parę razy nie udało postawić trafnej politycznej diagnozy, że się pomylił. Okazuje się, że nawet tak wytrawny znawca spraw dyplomatycznych, jak Klaczko, który tyle razy biegle odczytywał tajemnicze znaki w księdze przyszłości, niezawsze był nieomylnym. W każdym razie i wtedy nawet, gdy się nie okazał jasnowidzącym prorokiem, jeszcze te swoje nieziszczone proactwa potrafił przyoblec w formę artykułów, tak świetnych pod względem literackiej faktury, że jeszcze i dziś po 46 latach mogą być stawiane wszystkim dziennikarzom i publicystom dzisiejszego pokolenia, jako wzór sztuki pisarskiej.

Takim wzorem, co prawda, jest wszystko niemal, co kiedykolwiek wyszło z pod pióra Klaczki, a więc także i cała garść zapomnianych pism, składających się na tom niniejszy. A ponie-

waż żyjemy w czasach, gdzie właśnie za wzór bywają stawiani pisarze i poeci, uprawiający istną anarchię formy, dla których nie istnieją prawa stylu i kompozycyjni, a często nawet i składni, przeto nie od rzeczy może będzie przedruk utworów pisarza takiego i tej miary, jak Klaczko, którego prace odznaczają się nie tylko »głębokością nauki, przenikliwością myśli, wykwi-ntnością krytycznego i artystycznego zmysłu«, ale i »układu doskonałą proporcją i stylu świetnością«, a wszystko to na podłożu wielkiej zachodnio-europejskiej kultury literackiej.

*Ferdynand Hoesick.*

Kraków, 10 maja 1912.

I.

# LISTY Z PARYŻA

(1850—1851)

The first part of the book is devoted to a general survey of the history of the Slavonic languages, and to a description of the Slavonic languages as they are found in the present day. The second part is devoted to a detailed description of the Slavonic languages, and to a comparison of the Slavonic languages with the other languages of the Slavonic family. The third part is devoted to a description of the Slavonic languages as they are found in the present day, and to a comparison of the Slavonic languages with the other languages of the Slavonic family.

THE SLAVONIC LANGUAGES

# LISTY Z PARYŽA

(1850—1851)

W korespondencji z Paryża, datowej 17 kwietnia, a wydrukowanej w krakowskim *Czasie*, w numerze z d. 22 kwietnia 1852 roku, znajduje się następująca wiadomość: »Pan Klaczko, oskarżony, jakoby był korespondentem *Gońca*, odebrał rozkaz opuszczenia Francji w 24 godzin. Na wstawienie się kilku osób, prefekt policyi dał mu zwłokę 5 dni«.

W kwietniu r. 1852 Klaczko nie był już korespondentem rzeczownego pisma, albowiem wydawany w Poznaniu przez Rozego i Bentkowskiego *Goniec polski* w grudniu r. 1851 przestał już być wychodzić; pierwszy zaś jego numer ukazał się w dniu 3 lipca 1850 roku.

Przełglądając dwa rzadkie dziś bardzo roczniki tej gazety i zawarte w nich korespondencje z Paryża, skoro się wie, że między ich autorami był i Klaczko, bardzo prędko rozpoznaje się te, które wyszły z pod jego pióra. Są to korespondencje podpisane greckiem  $\kappa$ , który to kryptonim łatwo pozwala się domyślać, iż pod nim kryje się pierwsza litera nazwiska Klaczki. A zresztą i bez tego kryptonimu nietrudno dałoby się odgadnąć autorstwo tych listów po ich stylu, bo styl Klaczki jest tego rodzaju, że odrazu bije w oczy swym blaskiem i błyskotliwością.

Styl ten sprawia, że nawet i niektóre listy paryskie, wydrukowane w *Gońcu* bez żadnego podpisu, łatwo dają się oznaczyć, jako niewątpliwie napisane przez Klaczkę.

Takim listem jest n. p. następujący, który też w zupełności usprawiedliwia rozkaz rządu Ludwika Napoleona, ażeby autor podobnych korespondencji w ciągu 24 godzin opuścił granice Francji. List ten, wydrukowany obok innych paryskich w *Gońcu polskim* z d. 16 grudnia 1851 r. brzmi, jak następuje:

Z listu, który odbieramy z Paryża, pod datą 10. grudnia, podajemy następujący wyjątek:

Tutaj cicho, jak w grobie. Jesteśmy w zupełnej nieświadomości

mości tego, co się dzieje. O protestacyi Barrota i t. d. dowiedziałem się dopiero dziś z *Gońca!* Bo dzienników, prócz rządowych, niema; zagraniczne pisma, *Indépendance Belge* i t. d. zakazane; listy przychodzą rozpieczętowane z poczty. Za najmniejsze słówko, za jakąbądź nowinę, aresztują i zabijają. Przedwczoraj na polu marsowem rozstrzelano 130 osób; to jest rzeczą pewną. Zdaje się także, że aresztowanych generałów wyszła do Nouka-Hivy; to pewna, że ksiądz, co chciał widzieć generała Bedeau i prosił o pozwolenie, otrzymał odpowiedź, że nim przybędzie do Ham, więźniowie już będą na morzu. Giełda idzie w górę. Montaniardzi ocalili honor, bo się bili, jak lwy; ale robotnicy, ośłupieni, rozbrojeni, odurzeni przywróceniem wyborów powszechnych, zadowolnieni aresztowaniem Changarniera, Thiersa i t. d. wreszcie pomni strasznych dni czerwcowych z r. 1848, bić się nie chcieli. Legitymiści tylko pieniądze przelewali, ale krwi swojej szczydzili. Wojsko było okrutne; przyzwyczajone do walki z Arabami i Kabyłami, traktuje ono w ten sam sposób i Francuzów. Zresztą w pierwszych dniach wojsko wcale nie wiedziało, o co chodzi. Myślało, że się bije przeciwko socyalistom, i nie wiedziało o aresztowaniu afrykańskich generałów. Polacy się, dzięki Bogu, nie skompromitowali; ale hr. Poniński z Podola zabity został, jak wielu innych niewinnych, przez rozpasane żołdactwo. Żona jego w okropnym stanie! Pi-szę ci bez ładu, jak bez ładu są me myśli. Montalambert się oświadczył za prezydentem, tudzież Veuillot, redaktor *Univers'a*. Wszyscy, co otaczają krzywoprzysięgcę, są ludzie bez czci i wiary, jak Veron, Casaignac, St. Arnaud, Morny (brat Bonapartego z nieprawego łoża). Jest to jednym słowem sprzysiężenie Katyliny; jest to rzeź galicyjska, oparcie się na ślepej masie, brutalnej sile i zwyciężkiej chuci, przeciwko wszystkiemu, co ma inteligencyę w kraju! A nasi panowie się cieszą!!

Szlachta nasza, bawiąca tutaj, jest w upojeniu: nie boi się już czerwonych. *On a fini avec la canaille*, powiedział wczoraj jeden z polskich panów.

Wszystko, co się tu dzieje, jest oparte na wielkim fałszu.

Na liście doradców czytamy codziennie w *Monitorze* nazwiska osób, jak L. Faucher, Mortemar, etc., którzy notorycznie wszelkiego współdziałania odmówili. Ministerstwa dotąd niema, chociaż *Monitor* już 3 razy ogłosił jego listę; nawet i Fould nie przyjął jeszcze teki. Wszystkie wiadomości rządowe o okrucieństwach republikanów na prowincyi są wierutnym kłamstwem. Ale to pewna, że prowincye spokojnie się zachowują. Tylko w Basses-Alpes się biją; legitymiści tam się połączyli z republikanami; na czele Trouvé-Chavel, dawny minister Cavaignaka. W Calais aresztowano Louis Blanca, w Arras Bastida i t. d., Thiers dał słowo, że wyjedzie do Włoch, i podobno już Francję opuścił. Montaniardów jest jeszcze w Paryżu do 70. Policya ciągle się za nimi ugania. Hieronim Bonaparte, dawny król westfalski, podobno napisał list do prezydenta z upomnieniami i zalecając zwołanie izby ustawodawczej. L. Faucher protestował energicznie, tudzież Molé. Najwyższy trybunał ogłosił uzurpatora *hors la loi*. »Mais il est dedans l'armée«, odpowiedział na to Persigny. Wojsko wotuje hurmem; przeciwnych oficerów aresztują i rozstrzelają; cała jednak inżynierya t. j. intelligencya wotuje przeciwko niemu. Chłopstwo i kobiety za nim prawie bez wyjątku. Ma on za sobą dwie najbrutalniejsze siły społeczeństwa: wojsko i głosowanie powszechne. Emil de Girardin wyjeżdża podobno do Ameryki. Członkowie najwyższego trybunału aresztowani.

Jaka opinia? Niema żadnej, bo jest strach. Oburzenie większe w wyższym mieszczaństwie, niż w ludzie; a niższe mieszczaństwo, oddźwierni, handlarze i t. d. za nim. Oficerowie sztabu powiedzieli twemu znajomemu \*\*\*: *L' épaulette est un lourd fardeau par le temps qui court*. Dodali także, że wojsko nie za uzurpatorem, ale tylko przeciwko anarchii. Czy się wojsko zachwieje? Nie wierzę. Dowodzący generałowie Carrelet, Canrobert, Guillaibert, Mazulard i t. d. uradzili w razie gwałtownej śmierci uzurpatora (bo ciągle gadają o tem, że będą do niego strzelać) ogłosić regencyę hrabiego Paryża: istny pretoryanizm.

Wszyscy oburzeni; nie podlega jednak wątpliwości, że się

orleaniści i legitymiści z nim pogodzą. Zmiana głosowania imiennego na tajemne nastąpiła z pewnością na przedstawienie Montalamberta i kilku innych legitymistów i orleanistów, tajemnie bowiem mogą nań wszyscy głosować. Strach przed czerwonymi paraliżuje wszelką opozycję. Republikanie stracili głowę i przyznają, że *koniec Francyi*; sam to słyszałem od ludzi najzacniejszych.

Czy się Napoleon utrzyma? Nie wątpię o tem. Bo ma za sobą wojsko, chłopstwo, apatją ogólną, centralizację, a przede wszystkim niemoralność i tchórzostwo największej części narodu.

Tej absolutnej pewności, że to pisał Klaczko, pewności, jaką się ma przy czytaniu powyższego listu, nie ma się przy czytaniu innych niepodpisanych korespondencji z Paryża, nadsyłanych *Gońcowi polskiemu* po zamachu stanu z d. 2 grudnia, w czasie stanu oblężenia, rozciągniętego nad stolicą Francyi, a w przeddzień głosowania powszechnego, które ośmioma blisko milionami głosów miało d. 21 grudnia udzielić przysłannemu Napoleonowi III. prezydenturę na lat dziesięć. Z drugiej strony jednak nie ulega wątpliwości, iż między ówczesnymi korespondencjami paryskimi w *Gońcu*, obok takich, które robią wrażenie pisanych na miejscu na podstawie dzienników, nie brak i takich, których autorstwo chciałoby się przypisać Klaczce.

Co jednak żadną miarą nie może być zakwestyonowanem, to, że wszystkie korespondencje z Paryża w *Gońcu polskim*, oznaczone grecką literą  $\alpha$ , są pióra Klaczki.

Oto rzeczzone korespondencje w porządku chronologicznym:

1.

$\alpha$ . Paryż, 28 sierpnia. Stan naszego tułactwa jest bardzo smutny. Zasiłki, które dotąd przychodziły z kraju, teraz coraz się stają rzadszemi, bądź z przyczyny majątkowego wycieńczenia obywateli, bądź też, że pożar krakowski zwrócił w stronę chrobaką ostatki naszych dobrych chęci i ofiar. Komitet młodej emigracyi widział się zmuszonym zawiesić menażę, a ktokolwiek zna położenie tułaczy tutejszych, ten zrozumie całą ważność tego fa-

talnego, acz niestety koniecznego kroku. Komisarz policyi, który przed niedawnym czasem zwiedził był menaż nasz, tak był rozczulony widokiem nędzy nie do opisanego, a zarazem szlachetnej rezygnacji i współubiegania się w cierpieniu nieszczęśliwej polskiej młodzieży, że się w głos rozplakał i na miejscu zrobił przedstawienie do władzy o konieczność ulżenia tylu nieszczęść. Wielkie sobie stąd roszczono nadzieje, a księżna Giedroyc, która w pamięci dawnych swoich związków z cesarzową Józefiną, ma pewne uwzględnienie w Elysée i zawsze go z uczuciem prawdziwej Polki używa na dobro licznych naszych biednych, starała się i ze swej strony wpłynąć na obudzenie pewnej litości w sercach władzców... Ale wkrótce przekonała się, że wszelkie takie kroki tylko są w stanie rząd obecny jeszcze więcej przeciwko nam rozjątrzyć. Wszelkie przedstawienia o nędzy emigrantów służą ministrom tylko za powód wypędzenia ich z Francji. Nie chcąc na siebie brać odpowiedzialności podobnych i zwykłych skutków, księżna Giedroyc wołała z nami w milczeniu znieść nasze męki, i tak zagasł nam i ostatni promyk nadziei.

Grobowym tym dźwiękiem naszej niedoli we Francji wtórują ponure i jeśli można smutniejsze jeszcze echa z różnych stron świata, gdzie ostatnie wypadki nieszczęśliwych naszych ziomków zagnały. W Anglii i Grecji szczególnie nędza tułaczey braci przechodzi wszelkie domysły. Większa część Polaków w Atenach pracuje przy drogach żwirowych i ma tylko tyle, ile potrzeba na życie, któreby wprost śmiercią z głodu nie było. Mieszkania nie mają. W nocy śpią w stodołach, chlewach, lub też i pod gołym niebem, i każdy drży na myśl nadchodzącej pory zimowej i dżdżystej, w której i gołe niebo już schronienia nie da!...

W Turcyi położenie wychodźców naszych zdaje się być trochę lepsze, chociaż i stamtąd dochodzą nas żale. Kto może wymyka się i wraca do Francji lub Anglii; w tych dniach przybyło tu ich kilku, między nimi i porucznik ułanów Bombaj z legionu jenerała Wysockiego.

Pod względem moralnym stan emigracyi podobnie zasmu-

cający przedstawia widok. Nie ma żadnego ogniska, wszystkie siły i chęci rozstrzelone. Hotel Lambert rzadko kiedy daje znak życia i działania swoje, jak się zdaje, ogranicza na wspieraniu wedle sił i zasobów licznych potrzebujących. Towarzystwo demokratyczne nominalnie zaledwie istnieje. Członkowie centralizacji bawią w Londynie, gdzie weszli w ścisłe stosunki z Ledru-Rollinem, Mazzinim i resztą redaktorów pisma *Le Proscrit*. Z ich poręki wyszła też w Paryżu nowa broszura p. t.: »Co przed nami?« Zawiera ona następujące artykuły: Przedburze; Odezwa komitetu centralnego demokracji europejskiej (z *Proscrit*); O socjalizmie; Socjalność (pięknym stylem napisany, jeśli się nie mylę pióra Podoleckiego); O przyczynach upadku rewolucji wiedeńskiej, przez b. członka sejmu wiedeńskiego, posła galicyjskiego; nakoniec Rzeczy krajowe.

Łatwo zrozumieć, że w obecnym stanie cierpienia i zwątpienia, mistyczne dążności i kierunki więcej muszą nabierać siły i zwolenników, niż w spokojnych czasach politycznego organizowania, albo nawet rewolucyjnych czynnego bezpośredniego ruchu. Niezadziwia więc obecne wzmaganie się stronnictwa Towiańskiego, które teraz najwięcej jeszcze okazuje czynności i ruchu. Przystąpienie niedawne do tego koła jednego z księży polskich z zakonu Zmartwychwstańców wiele tej sekcji dodało życia i wynagrodziło po części stratę, którą z usunięciem się Mickiewicza poniosła. Książ ten, który tak w powstaniu 1831, jak i w wyprawie Zaliwskiego, dał niezaprzeczone dowody gorącego patriotyzmu, był może najbardziej lubianym z całego zakonu Zmartwychwstańców, szczególnie przez młodzież tutejszą. Kilku też z niej przykładem swoim pociągnął, i wspólnie z Goszczyńskim stanowi główną podporę towiańszczyzny w Paryżu. Przeciwko niemu szczególnie wymierzone jest najnowsze pismo ks. Semeńki, na które zaczepiony odpowiedział w liście obszernym, nie drukowanym, ale w licznych przepisach obiegującym.

Najbardziej jeszcze pociesza widok wzrastającego tu pokolenia polskiego, które w szkołach polskich i francuskich gotuje się do życia czynnego, obywatelskiego, i da Bóg z pożytkiem

dla kraju. Roczne egzamina szkoły polskiej w Batignolles odbyły się z zadowoleniem skromnych naszych życzeń, a na konkursie powszechnym wszystkich gimnazyów francuskich w Collège de France mieliśmy pociechę w jednym z rzadkich ukoronowanych przywitań rodaka, syna Józefa Ordęgi, który otrzymał nagrodę z historii. Trzeci to syn pana Ordęgi, co tak publiczne i świętne odniósł zwycięstwo i którego nazwisko jaśniało we wszystkich dziennikach i w *Monitorze*. Serdecznie winszowaliśmy rozczulonemu ojcu, który mimo wszelkich kłęsk krajowych i domowych, tak niezmordowanie pracuje nad dobrem wychowaniem tych przyszłych obywateli biednej naszej Polski! *Suum cuique!*

O zatrudnieniach literackich i artystycznych naszych rodaków słów kilka jeszcze. Mickiewicz, który w odosobnieniu od dawnych swych współwierców w zaciszy pracuje, ma teraz wydać 2-gą część *Tadeusza* i 1-szą część *Dziadów*, którą już przed 1830 r. w Szwajcaryi był napisał. Goszczyński podobno drukuje nowe poezye w Poznaniu. Lelewel wydał drugą część swego ogromnego atlasu; żali się mocno, że mu z kraju nic nie przysyłają z nowo wychodzących polskich dzieł, a jednak świętym to jest obowiązkiem tym groszem wdowim wspierać człowieka, który innego nie przyjmuje, a ten dany z takim procentem znowu narodowi zwraca. Ks. Jełowicki wydrukował swoje kazanie z powodu pożaru krakowskiego. Wyjdzie też niebawem nowe, z oryginału pomnożone znacznie i poprawione wydanie *Poselstwa z ziemi ucisku* i *Rozprawy o narodowości polskiej* naszego nieśmiertelnego Brodzińskiego. Piękną do tego wydania przedmowę napisał Bohdan Zaleski. Mały ten pomnik na ziemi obcej wystawiony wielkiemu patryocie, oby zachęcił obywateli w kraju do wystawienia większego i godniejszego, do wydania wszystkich dzieł Brodzińskiego, których tak wiele jeszcze w rękopismach, a z drukowanych, nie wyjmując wileńskiego wydania, czyli właśnie mając to wydanie na oku, tyle zeszepeconych i sfałszowanych.

Oleszczyński pracuje ciągle nad rysunkami do Wilczyńskiego dzieła o Wilnie. Tysiewicz bawi teraz u was i cieszymy się z jego sukcesu, o którym nam doniósł *Goniec*. P. Seweryn

Mielżyński z Miłostawia w przejeździe swoim przez Paryż wyszukał i wykupił wielki obraz historyczny: *Sobieski pod Chocimem*, pędzla utalentowanego i zbyt wczesnie zmarłego rodaka naszego Molinari. Zobaczycie i osądzicie go wkrótce (!) w księstwie. My tutaj dziękujemy panu Mielżyńskiemu za jego szlachetne starania o zachowanie narodowi narodowego dzieła <sup>1)</sup>.

2.

z. Paryż 5 września. Zobojętnienie dla sprawy Polskiej i dla imienia polskiego jest tu tak powszechnem, że nawet ludzie i pisma, którzy bądź z zasady szlachetnej, bądź z potrzeby polemiki mniej szlachetnej, wspominają o ludach uciemżonych, o narodowościach pogwałconych, wołają przytoczyć Węgry, Włochy, ba i Niemce, niż Polskę; Polska teraz wyszła z mody; bo we Francyi, i w Paryżu szczególnie, nawet i nieszczęście, nawet i męczeństwo narodu podlega warunkom owej mody, która jest tem teraz, czem było fatum u Greków... Nieoznaczone, nieujęte, rządziło ono jednak i bogami.

Jeden tylko pisarz stanowi w tem powszechnem dla nas zobojętnieniu wyjątek, a tym pisarzem jest Michelet. Wielkopole nie może sobie przypomną ów serdeczny, ognisty, całym zapaleciem szlachetnej i wielkiej duszy tchnący list, który znakomity ten historyk zaraz w pierwszych rewolucyjnych dniach 1848 r. był napisał do komitetu narodowego w Poznaniu i w którym wypowiedział swoje credo, iż duszą całego nowego ruchu powinna być Polska, że jej zmartwychwstanie powinno być gwiazdą przedsterną wszystkich wolnych narodów i wszystkich mężów stanu tego nazwiska godnych. Temu przekonaniu pozostał wiernym Michelet; ani fatalny bieg wypadków, ani nieszczęścia i błędy nasze, ani zapomnienie wreszcie, któremuśmy ulegli, nie zdołały wyziębic w nim owej polskiej wiary. W prelekcjach swoich, czy w dziełach, wszędzie i zawsze głosi on tę prawdę żywotną. Jeśli

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 55, z d. 3 sierpnia, 1850 r.

jako Francuz, gorąco swój kraj kochający, naród swój nazywa pierwszym z bohaterów, nigdy nie omieszka dodać, że nasz jest pierwszym z męczenników, i że na wielkiej lutni przyszłości tylko z dźwiękiem polskim połączony dźwięk francuski będzie w stanie wydać harmonijny akord postępu i prawa. Prawdziwie rozczulającym jest to widok, z jaką wytrwałością szlachetnego serca przy każdej następczącej się sposobności, jak Cato swe *delenda*, on swoje powtarza: *restituenda!*

Uwagi te nasuwa mi przeczytanie 5-go tomu *Historji rewolucji francuskiej* Micheleta, który w tych dniach opuścił prasę. W tomie tym, jak i w poprzednich, znajdujemy kilka związłych, ale gorących i szlachetnych słów o Polsce. Michelet nie zna dokładnie historii polskiej, nawet do tego żadnej nie ma pretensyi, ale tym zmysłem poetycznym i konstrukcyjnym, który cechuje wszystkie jego historyczne prace, i tem szlachetnem uczuciem, którem przepelniony jest dla świętej naszej sprawy, wypełnia on, że tak powiem, nieświadomość faktów. Pierwszy on pojął rewolucję francuską w zespoleniu z rozbiorem Polski. Podczas gdy Thiers, Mignet i t. p. ani domyślili się tajemniczego związku tych dwóch wielkich wypadków, a Lamartine w wzmiance o Polsce znalazł tylko sposobność dogodzenia bezrozumnej ku nam niechęci, Michelet wciąż zwraca uwagę na solidarność tych dwóch wielkich rewolucji, na moralną zawistość Francji i Polski, a w koalicji, występującej przeciwko rzeczypospolitej francuskiej, widzi zawsze i daje widzieć drugą, przeciwko rzeczypospolitej polskiej. W kreśleniu i rozbiorze ostatnich czasów naszego samoistnego bytu zazbyt się zwykle zaskorupiamy, za mało wyglądamy poza obręb nieszczęśliwej Polski, zbyt lekko-myślnie poświęcamy tło ogółu owego wieku, na któremby się jednak wypadki nasze w całej pełni odrysowały. Jakież np. ścisły zachodzi związek między naszym sejmem czteroletnim a politycznem dążeniem ówczesnej Francji, między naszą wojną kościuszkowską, a pierwszą wojną młodej rzptej przeciwko koalicji! To usiłowanie nasze podniesienia miast, podźwignienia mieszczan, to wpisanie się Zamoyskiego, Ignacego Potockiego, Czar-

toryskiego i t. d. do księgi mieszczan warszawskich nie odpowiada współczesnym usiłowaniom we Francji podniesienia *tiers-état* do politycznej potęgi, nie poprzedza w czynie o lat tyle sławną broszurę Sieyesa? To powołanie całego narodu do obrony kraju, to porzucenie monarchicznej rutyny wojskowej i zaufanie w masach, które u nas wywołały zwycięstwa pod Raclawicami, Krakowem, Wilnem i Warszawą, nie cechują także bitew pod Valmy i Jemappes? Ileżby wreszcie dobrych przykładów dało nam szczególnie teraz takie porównawcze skreślenie wojny barskiej i kościuszkowskiej! Nie byłoby zbyt cennym zaiste pokazać tym Polakom, którzy z urojonego strachu przed socjalizmem i komunizmem lecą na oślep w objęcia porządku austriackiego i moskiewskiego, ludzi, jak Potockiego Ignacego, Czartoryskiego Adama i t. p., których jakobinizm i terroryzm bynajmniej nie zniechęcił dla narodowego powstania. Nie byłoby zbyt cennym tym naszym obywatelom, którzy w rzezi galicyjskiej widzą usprawiedliwienie bezczynności patriotycznej, i wzywają w pomoc urlopników austriackich, tych Puławskich, Krasińskich, Paców i t. d., którzy mając Humań przed oczami i tuż pod nosem Gontych i Żeleźniaków, nie odstępili jednak świętej chorągwi Baru!

Pozwolę sobie zwrócić uwagę na zarzut, który nam Michelet robi w jednym z przypisków 5-go tomu swojej *Rewolucyi*. »Nie mogę pojąć, powiada on, dlaczego Polacy zaniedbali ogłosić i rozpowszechnić tytuł dzieł, któreby Europa pożerała, dzieł, jak pamiętniki Niemcewicza, tłumaczenie pamiętników szewca Kilińskiego i t. p.« Zarzut ten słuszny i dalej sięgający, jak go Michelet zamyślał. Bo nie mówiąc już o Europie, wieleż rozpowszechnienia doznały te dzieła u nas samych? Wieluż takich, co czytali pamiętniki Niemcewicza? Nieoszacowane pisemko Kilińskiego znalazło aby dobrego wydawcę? Ileż to świetnych czynów i dramatów z naszego porzobiorowego życia w zupełnym już zapomnieniu! Pomyślał że kto u nas o opisanium uniwersytetu wileńskiego przed rokiem 1830, o skreśleniu szlachetnego działania i męczeństwa Jana Kółakowskiego i t. d. Mamyż biografię Staszica? Czy każde z wielkich naszych zagastych imion

nie jest dla nas ciągłym żyjącym zarzutem! Przed 1846 r. Wielkopolska jeszcze czasami starała się wywiązać z tego świętego długu i wydawała pamiątniki o konfederacji barskiej, pamiątniki Karpińskiego, pisma Kołłątaja... Teraz nawet i tych znaków pamięci i szacunku dla drogiej i wielkiej przeszłości nie daje!

Drugi znak przychyłności i pamięci o nas dał nam w tym tygodniu szanowny tutejszy arcybiskup. Pasterz ten szlachetny, który już znanym listem o Wenecyi dał dowody chrześcijańskiego współczucia dla nieszczęśliwych narodów, nakazał we wszystkich tutejszych kościołach składki na Kraków od 1-go września. Wobec zupełnej obojętności, z jaką wszystkie tutejsze stronnictwa przyjęły straszną wieść pożaru stolicy naszej, głos arcybiskupa znajdzie wdzięczne echo w sercach polskich, choćby dla Francyi miał tylko zostać głosem wołającego na puszczy.

W przeszłą niedzielę ks. Terlecki poświęcił kaplicę grecko-słowiańską, którą za staraniem ks. Lacordaira i profesora Ozanama (p. Montalambert do tego dzieła nie należał, może przez wzgląd na swego współczłonka w bractwie porządku, cesarza Mikołaja) w dosyć krótkim czasie był w stanie wystawić. Po między ilustracyami <sup>1)</sup>, które obchodowi obecnymi były, widziano i Mickiewicza. Pan J. B. Ostrowski natomiast ostrzy swój miecz pamfletowy przeciwko grecko-słowiańskiej kaplicy. Pana Ostrowskiego nikt Donkiszotem z tego powodu nazwać nie może, bo przynajmniej nie przeciwko wiatrakom wystąpić zamyśla.

Jeśli wierzyć można pogłosce, p. Montalambert zamyśla utworzyć z kilku deputowanymi pewną radę przyboczną, któraby ministrowi spraw wewnętrznych dostarczała rad i uwag względem rozdawnictwa funduszów dla emigracyi przeznaczonych. W jakim celu i z jakim skutkiem, przyszłość niebawem okaże.

Ustanie dziennika *Crédit* (redakcyi Armanda Marrasta) po ciągnęto za sobą nieogłoszenie dwóch ciekawych pamiątników, które właśnie w jego feletonie miały się drukować: pamiątniki

---

1) Znakomitościami.

pani George Sand o swoim życiu, i jenerała Mierosławskiego o rewolucyi berlińskiej, poznańskiej, sycylijskiej i badeńskiej.

Polacy, którzy brali udział w powstaniu węgierskiem, nie bardzo tu zadowoleni z wysłanych niedawno pamiętników jenerała Klapki. Zarzucają mu szczególnie, że przypisuje sobie zwycięstwo pod Tarczalem, któremu nawet nie był obecnym.

Przykład, który dał Tysiewicz ilustracyami *Wallenroda* i *Grażyny*, zdaje się pociągnąć za sobą kilka innych przedsięwzięć tego rodzaju. Rodak nasz i współtułacz, artysta Lewicki, wydaje tutaj ilustracje do Paska <sup>1)</sup>.

3.

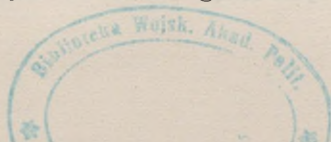
z. Paryż, 15 września. List obecny zamierzałem zacząć od sprostowania uwag szanownego mego współzawodnika, korespondenta *K.* o szkole przygotowawczej polskiej, pod dozorem ks. Adama Czartoryskiego zostającej. Spostrzegam się jednak teraz, że to już p. J. P. z większą znajomością rzeczy i obszerniej, niż bym to ja mógł, uczynił. Pozostaje mi więc tylko uchylić od siebie publicznie odpowiedzialność za korespondencyę p. *K.*, który bynajmniej nie jest, jak to szanowna redakcja zaświadczy, tą samą osobą, co uniżony »x« <sup>2)</sup>.

Oprócz chybionego pocisku na szkołę, o której mowa, parować jeszcze muszę inny atak szanownego mego współzawodnika, który przeciw całej emigracyi wymierzył. Na czyniony jej zarzut próżniactwa i braku wytrwałości, w całości zgodzić się także nie mogę. Wprawdzie trudno i próżnoby było przed sobą i innymi, iż wielu z braci tułaczey nie pojmuje ciężkich, ale i świętych obowiązków pracy, kształcenia się i myślenia o sobie, które na nas opatrność Boża i stanowisko nasze wkładają; ale

<sup>1)</sup> *Goniec polski* Nr. 60, z d. 11 września 1850 r., str. 238—239.

<sup>2)</sup> Dwa te różne znaki do dwóch całkiem różnych korespondentów się ściągały. (*Przyp. Red.*).

zarzut ten na cały, lub prawie cały ogół rozciągnąć, byłoby krzyżącą niesprawiedliwością. Ten, co się chce rozpatrzyć i istotę rzeczy gruntownie zbadać, przyzna łatwo, że stosunkowo wychodzący polscy sumiennie swe obowiązki pojmują i wypełniają od innych, a gdy jeszcze policzy nędzę materyalną, która nieraz najszlachetniejsze zniwecza zamiary, i liczne przeszkody, nam wszystkim wspólną umową rządu i wyższych warstw tutejszych wszędzie stawiane, może się jeszcze zadziwi nad odwagą i wytrwałością naszą. Pracujących i szczerze pracę miłujących daleko większa liczba w istocie, niżby się zdawało, patrząc tylko przez zmniejszające szkło szanownego korespondenta K.; dość tylko rzucić okiem na comiesięczne sprawozdania komitetu naszej emigracji. Wielu mógłbym wyliczyć, którzy bądź w fabrykach sukna, gobelinów i wyrobów z perłowej macicy, bądź w puszkarni i introligatorstwie (sam p. Stęligowski w swoim tutejszym warsztacie zatrudnia kilku rodaków), w Paryżu, w Beauvais, w Aix, w Marsylii, w Metz i t. p. gorzko na chleb gorzki pracują. Niemniej wielu z naszych wychodźców napotykaemy w zawodzie nauk i sztuk pięknych. W szkole centralnej n. p. w 1-ym kursie Polacy są stosunkowo w większości (3-ech Francuzów, 3-ch Włochów, 2-ch Serbów, a 5-ciu Polaków) i należą do najcelniejszych uczniów tego tak sławnego zakładu; Jan Gajewski w tegorocznych egzaminach świetnie się odznaczył. W fakultecie medycznym w Marsylii liczymy 3-ch rodaków; tutaj dwóch się ich sposobi do doktoratu, między nimi Jarociński, który przed dwoma laty chlubnie odniósł rany w bitwie pod Książem i może jeszcze kiedyś tą samą ręką będzie leczył Prusaków, co mu ją z tem uczuciem sprawiedliwości, którego tylko u Niemców szukać, tak okrutnie pokaleczyli. Grzechem by było przy tej sposobności zapomnieć rodaka naszego, p. Hirszfelda, profesora przy tutejszym fakultecie medycznym, który z prawdziwą szlachetnością ułatwia spółtułaczom, poświęcającym się zawodowi lekarskiemu, wedle sił i zasobów swoich, trudne ich przedsięwzięcie. W szkole agronomicznej w Grignon, z której już wielu rodaków wyszło zdatnych i znalazło godziwe zatrudnienie, teraz



uczęszcza czterech, z których jeden, Kwieciński, zdaje w tym miesiącu egzamin dojrzałości. W szkole sztuk pięknych nakoniec kilku wychodźców naszych chlubnie się odznacza na konkursach, pomiędzy nimi i znany w Księstwie ze swego lekkiego ryłka Leon Kapliński.

Z nadeszłych tu z różnych stron wiadomości o położeniu wychodźstwa głównejsze zamieszczam. W Anglii stan nędzy i biedy jeszcze się nie zmienił. Czterdziestu za staraniem zbyt może skwapliwem towarzystwa literackiego wyjechało do Ameryki; pozostało jeszcze około 150. Kilku też z naszych rodaków znalazło przytułek w Sardynii, a na czele tej włoskiej emigracji są: generał Antonini i pułkownik Kamiński. W Rzymie natomiast artyści polscy wystawieni są na liczne nieprzyjemności i prześladowania. Dwóch rodaków siedzi w więzieniu inkwizycji z powodu przeszłej rewolucyi; jednym z tych uwięzionych jest młody Rymarkiewicz z legionu toskańskiego. W Szwajcaryi tolerancya dla nas coraz staje się wątpliwszą. P. Czapek w Genewie zajął się zbieraniem składek na Kraków z niewielkim jednak skutkiem. Dziekoński w Bernie pióro zamienił na rylec i pędzel i kończy zdjęty z natury widok grobu Kościuszki w Soloturnie. W Grecyi ambasada moskiewska wszelkich dokłada intryg, aby wychodźców zmusić do podania się o amnestyę. Polak jakiś, jeśli nim jest, tę opinię propaguje... Doniosłem już, że większa część naszych pracuje tam przy kolejach żwirowych. Otóż pułkownik od inżynierii, figura moskiewska czystej wody, doglądający tych robot, nie opuszcza sposobności dawania uczuć biednym robotnikom twardego ich losu, a twardszego jeszcze swego serca. Powążył się nawet jednego uderzyć szpicrutą w twarz, a na zbiorowe przedstawienie Polaków rząd grecki nie tylko żadnej nie dał satysfakcyi, ale i ten nawet im odebrał sposób utrzymania. Ratuja się jak mogą. Jedni przyjęli służby po domach, drudzy zarabiają na życie malowaniem pokojów; inny znalazł zatrudnienie na wsi u jakiejś hrabiny włoskiej, Polakom przychyłnej. Wielu, szczególnie na wyspie Syru, umarło bądź z nędzy, bądź z febry; między tymi Świętosławski. Kto może, wykrada się do

Turcyi, tylko, że ambasada moskiewska pilnie przestrzega, aby żaden z Polaków w Grecyi nie otrzymał paszportu.

Jakoż w Turcyi stosunkowo najlepiej się jeszcze wiedzie naszym wychodźcom. Kilku z nich wstąpiło do wojska. Jenerał Bem fantastycznym swym duchem, który na fantastycznym wschodzie szerzej jeszcze skrzydła roztoczyć może, spodziewa się na rok przyszły naczelnego dowództwa i wojny z Moskwą. W tym celu na stare swe lata zaczął się uczyć tureckiego języka. Borzęcki, który dość skrzętnym włada pędzlem, odmalował portret wielkiego Wezyra. Wezyr uprzejmie dar przyjął i okazał na Turku w tej mierze pewien wolteryanizm, bo wiadomo, że koran zabrania wiernym wszelkich obrazów i portretów. Na nieszczęście uznał Borzęcki za stosowne na tę religijną koncesyę ze strony wezyra większą jeszcze ze swojej strony odpowiedzieć, i nie przyjął wprawdzie ofiarowanych sobie 3000 piastrow, ale za to przyjął religię muzułmańską; zdał egzamin z matematyki i został kapitanem artyleryi. Urząd też porucznika artyleryi otrzymał wychodziec Mucha; ale w nim przynajmniej nie potrzebujemy żałować religijnego odszczepieństwa, bo on z rodu jest muzułmaninem i należy do tych nierzadkich na Litwie szczególnie muzułmańsko-polskich rodzin, które tam »tatarskimi« nazywają. Tu we Francyi mamy także młodego emigranta z 48 roku, tatarskiego Polaka, pana Buczackiego. Czołhański, który w latach poprzednich we Wrocławiu i Belgii wyuczył się ślusarstwa, pracuje teraz w fabryce sułtańskiej rządowej pod Konstantynopolem i dobrze na tem wychodzi. Trzech innych założyło rodzaj warsztatu introligatorsko-galanteryjnego: co tydzień, w dzień święta, kiedy w Carogrodzie rodzaj jarmarku się odbywa, etalują swoje ładne wyroby i sprzedają je sułtankom i różom seraju. Może kto z nich przytem czyta *Pamiętniki Janczara Polaka...* <sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski* Nr. 69, z dnia 21 września 1850 r., str. 264 do 265.

4.

z. Paryż, 26 września. Doniosłem już dawniej, że szanowny tutejszy arcybiskup nakazał po kościołach składki na Kraków, które kilka tygodni trwać miały. Trwały niestety tylko dzień jeden i przyniosły wszystkiego sto franków. Związły to fakt, ale wielomówny! Przyczyny nagłej przerwy, jakiej dobroczynne to przedsięwzięcie doznało, trudno dociec. Jeśli wolno pogłóskom wierzyć, niechęć przeorów kościelnych i duchowieństwa wogóle zniewoliła arcybiskupa do zawieszenia składek i odłożenia ich *ad calendas graecas*, oj, prawdziwie *graecas*, bo, że to nie rzymsko-katolickie było postępowanie, każdy z Polaków boleśnie uczuje. Najwięcej jeszcze ze składek wpłynęło w kościele św. Genowefy. Uważano tam, że bogate panie, te właśnie, które dla świątyni pańskiej osobną mają toaletę i wdzięcznie przed ołtarzem, jak przed zwierciadłem klękają, że te, mówię, ładnych woreczków na alabastrowych zawieszonych paluszkach, odsznurować nie raczyły; biedne tylko chłopki i inowierki dobywały mosiężnego, grubego susa z głębokiej kieszeni i rzuciły go w skarbonę, zapytawszy się wprzód prawie stereotypowo: »où est Cracovie?« i stereotypową otrzymawszy odpowiedź: »en Pologne!« Teniers by może w tej scenie był wziął nowy szczegół do swego obrazu *Wyjścia z kościoła*, a Massilon byłby wdzięczny w tem znalazł tekst do kazania o groszu wdowim; ale gdy w czasach tych zimnych niema ani Teniersów ani Massilonów, niechaj skromnemu korespondentowi wolno będzie wielki ten rys skromną i suchą prozą opowiedzieć, a upoetyzowanie jego przekazać sercu naszych Polek.

Mimo tego smutnego końca zapowiedzianego dzieła muszę jednak wspomnieć o liście jawnym, który się jego tyczy i właśnie w dzień jego rozpoczęcia wyszedł. Bolesne czytanie jego robi wrażenie, teraz właśnie, gdy już wiemy, jak miernym uwięziony został skutkiem, bolesne, jak czytanie przepisów zdrowia dla chorego, który już umarł. Ale ulotne owe pismo, jako rzadki

w tych czasach objaw na tułactwie, zasługuje na wzmiankę, a wiele prawd w niem wyrzeczonych na sumienne zgłębienie. Jest to list w francuskim języku przez bezimiennego pisany i wystosowany do przewielebnych kardynałów, arcybiskupów i biskupów Francyi. Zaczyna on od wystawienia znaczenia Krakowa i powiada o nim, że jest »świętą stolicą Polski i wyobraża jej przeszłość, jej męczeństwo, jej walki dla obrony Europy, jej wiary i nadziei«. »Francya, powiada dalej, zbiera corocznie znaczne sumy dla szerzenia wiary w zamorskich krajach. Mogę tylko podziwiać myśl, która natchnęła to pobożne przedsięwzięcie. Ale jako? Kochacie dalekich, a nie macie miłości dla bliskich i bliższych! nie macie modłów, ni jałmużny, ni poświęcenia dla tej Polski, dla tego żołnierza ludzkości i chrześcijaństwa, który w roku 1240 i 1683 ocalił Europę od najazdu mahometańskiego i mongolskiego? Ta Polska prześladowana lub haniebnie opuszczona od Chrześcian, skąpiłaż kiedy złotem swoim i krwią swoją? Chcecie pozyskać Chrystusowi ludy pogańskie, a oddaliście zniszczeniu Chrześcian, których ziemia, jak się szczytnie wyraził jeden z papieżów, w każdej stopie przesiąkła krwią męczeńską, dla obrony Chrześcijaństwa przelaną! Gdyż wy to wiecie i cały świat to wie: na zachodzie były wojny dynastyczne, handlowe, zaborcze, wojny bez moralnego celu i bez boskiej pobudki, jedna tylko Polska jedne tylko znała wojny odporne dla zabezpieczenia drugich!« »Przed kilkoma laty zbierano ogromne sumy dla odbudowania Hamburga, stolicy kupieckiej i protestanckiej. Bóg, zezwoliwszy na pożar Krakowa, zdaje się pytać, czy w chrześcijańskiej Europie znajdzie się litość i jałmużna dla stolicy bohaterkiej i katolickiej? Modłąc się i poświęcając się dla świętej męczennicy, Chrześcianie znajdują środek, cudownie im przez Opatrzność wskazany, dla zaspokojenia sumienia, zniepewnionego i zbrudzonego zabójstwem chrześcijańskiego ludu. Jeśli polityka ludzka opuszcza naród polski, niech jej sumienie chrześcijańskie nie naśladuje. Bądźcie litościwymi w sprawie waszego własnego zbawienia! Możecie i powinniście nimi być. Stróżcie kościoła, odbudujcie kościoły spalone!«

Na ten list Polaka, z dnia 1. września datowany, duchowieństwo tutejsze *brevi manu* odpowiedziało!... Sumienie chrześcijańskie poszło w ślady ludzkiej, czyli raczej nieludzkiej polityki...

Pan J. B. Ostrowski wystąpił wreszcie ze swoją krytyką grecko-słowiańskiej kaplicy i usiłowań ks. Terleckiego. Kwestya ta dosyć ma wagi, by o niej choć tylko pobieżnie wspomnieć, i więcej jej jeszcze przez to nabiera, że dwa artykuły pana J. B. O. znalazły umieszczenie w dzienniku *La Voix de la Vérité*, który pod bezpośrednim tutejszego arcybiskupa zostaje wpływem i jest niejako przeciwpismem *Univers'a*. I ta polemika, jak wszystkie inne pana J. B. O., razi osobistościami i przywiązywaniem wielkiego znaczenia do drobnych rzeczy. Pan J. B. O. jeszcze nie strawił święconych pana Branickiego i w obecnych artykułach mu się ciągle odbijają. W niewinnem *Christos woskres*, którem pan Branicki przywitał w ów dzień kilku gości, rozżarzona jak zwykle w niestrawności imaginacya polemisty upatruje związek i sprzysiężenie z Moskwą na zagładzenie Polski. *Quel bruit pour une omelette*, albo raczej *pour un jambon!* Dowodzi nawet J. B. O., zastrzegłszy sobie wprzód, że żadnej osobistej nie robi alluzji, iż można być zarazem komunistą i Moskalem; naturalnie, że tu nic osobistego, i dosyć trafnie przytem przytacza słowa Sperrańskiego, naczelnika wydziału prawodawczego w Petersburgu, że w Rosyi własność jest tylko tolerowaną; na nas zaś miota pan J. B. O. apostrofą do Mickiewicza, o którym już dawno przepowiedział, że tak skończy, i waryuje przytem sławne słowa Chateaubrianda z 1839 roku: *Inutile Cassandre*. Ale oczyściwszy polemikę z tych niepotrzebnych osobistości, pozostają zawsze pewne zarzuty, jeśli nie prawdziwe, bo o tem wyrokować nie śmiem, to przynajmniej znaczące i wymagające odpowiedzi. Wszystkie te zarzuty można zamknąć w sławnym wierszu: że kto chce iskry z czarta kuźni, by przepalić czarta moc, ten świat wypycha w gorszą noc. Ks. Terlecki, podług jego przeciwnika, idzie nierozważnie drogą słowiańsko-moskiewską, szuka zbawienia we Wschodzie, jak gdyby Zachód, jak gdyby religia i cywilizacya łaćwińska i misya Francyi i Polski nie były w stanie prze-

zwyciężyć Moskwy. Ks. Terlecki, zwątpiwszy o sile Zachodu, zwątpił i o Polsce, a szukając broni w Słowiańszczyźnie, kuje ją tylko przeciwko własnemu narodowi. Słowiańszczyzna to ogień, na który Moskwa dmucha, i który się tylko powiększy, gdy i ze strony polskiej nasi dmuchać będą. Ks. Terlecki nie szanuje doświadczeń historii polskiej, gdy w niej upatruje prześladowania religijne i uciemnienie innowierców, jakich nigdy nie było, i w charakterze Słowianina zawiera charakter Polaka. Nie rozumiem tylko, jak pan J. B. O. mógł mięsząc przytoczenia z kazań i pism ks. Terleckiego z przytoczeniami z dziennika *La Pologne*. Cóżby powiedział polemizant, gdyby ks. Terlecki przytoczył i zrobił go odpowiedzialnym za następujący peryod z *Przeglądu* kwietniowego, w którym czytamy: »Niech się Rosya nawraca, niech podda się Kościołowi, Europę i świat już wtenczas nieprzepartą siłą zdobędzie; jako katolik powiem, Amen!« Cóż, gdyby ks. Terlecki chciał z tych słów ten sam wniosek wyciągać, jakie przeciwnik jego w słowach *La Pologne* znajduje, cóż gdyby się zapytał: Jakto, więc gdy Rosya się nawróci, my Polacy żadnych byśmy już nie mieli roszczeń i praw? Jakto, gdy się Rosya podda Kościołowi, nie będziemyż się jeszcze: »a Polska?« pytali, nim jako katolicy powiemy »Amen?!« Jestem przekonany, że ks. Terlecki tą bronią walczyć nie będzie i w odpowiedzi swej bez ciągnięcia, jasno swe stanowiska określi i zasady sformułuje.

W tych czasach upływa termin internowania naszych wojskowych w Turcyi. Wyglądamy tu z niecierpliwością końca. List generała Wysockiego z Kutai, do jednego ze swych przyjaciół w ostatnich czasach pisany, naucza nas tylko, że Polacy w Turcyi w tej samej pozostają niepewności, co i my. Nie tracimy jednak nadziei, że wkrótce ujrzym i uściśniam nowe pokolenie naszych wojowników. Tymczasem przybywa tu wielu obywateli z kraju, by tu przepędzić zimę. Z Królestwa polskiego łatwiej się nawet teraz wymknąć, niż dawniej. Powiadają nasi, że ich rozmyślnie puszczono, by im zbrzydzić rzeczpospolitą i demokrację. Są nawet i tacy z przybyszów, którzy przepędzili pewien czas w Wiesbaden i przepełnieni są wodą i legitymizmem. Polak

zapalający się dla sprawy Henryka V! Zaiste, trzeba to widzieć, aby temu uwierzyć; ja to widziałem.

P. Branicki przeznaczył na biedne nasze tułactwo w Londynie dwa tysiące funtów szterlingów: *Christos woskres*<sup>1)</sup>.

5.

z. Paryż, 19 października. »Polska nie jest kwestyą bieżącą i nie na porządku dziennym«, powiedział niedawno w towarzystwie pewnym p. Armand Bertin, ów Nestor, przynajmniej co do starości jeśli nie co do mądrości, tutejszego dziennikarstwa. Jest to w treści i myśli odpowiedź tych ludzi, którzy jeszcze przez pewien wstyd nie chcą wprost oświadczyć się ze swoim prawdziwym zdaniem. W gruncie słowo to p. Bertin, nie wiele się różni od zwięzłego wyznania *Univers'a*, że wszelkie dążności narodowe są zbrodniczymi, i że jedyne tylko świata zbawienie w związku ścisłym z Austryą. *Univers* ma tu przede wszystkim Włochy na celu. Pan Bertin co do Włoch nie może wprawdzie wznieść się do tej heroicznej abnegacji *Univers'a*; on by wolał tam jednak widzieć rząd konstytucyjny margrabiego d' Azeglio, niż Ferdynandowe biczowanie kobiet z Bożej łaski. Co do Polski zaś, to pan Bertin wolnym jest od tych »kramarskich słabostek«. Bo cóż to znaczy, proszę, to słowo, że Polska nie jest kwestyą bieżącą? Jakto, czy sprawiedliwość, ludzkość, prawo boskie narodowości, męczeństwo bez granic, nie jest kwestyą bieżącą? Czyż, mówiąc z Szekspirem, tysiączne nasze krwawiące się rany nie są tysiącnymi ustami wołającymi o pomoc, stawiającymi kwestyę tak bieżącą i świeżą, jak bieżąca w nich krew świeża? I ci ludzie, którzy nam dziennego światła rozbioru i dyskusyi odmawiają, dziwią się potem, gdy nas w nocnych cieniach spisków i powstań spotykają! I ci ludzie, którzy Polskę

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 77, z d. 1 października, 1850 r., str. 297.

z dziennego porządku wykluczają, dziwią się potem, gdy ją w każdym dziennym znajdują *nieporządku!*

Mimo tego wypowiedzenia pana Bertin, przyznać trzeba, że właśnie w ostatnich czasach Polska stała się znowu tematem dziennikarstwa paryskiego. Z obowiązku korespondenta muszę zwrócić uwagę na ten symptom mały, nieznaczący na pozór, ale dowodzący w każdym razie, że wzmianka o sprawie naszej nie jest już tak zakazaną i prawdziwy wstyd przynoszącą, jak to jeszcze przed niezbyt dawnym bywało czasem. Może też, że w powszechnej monomanii, która teraz opanowała Francję w szukaniu sławnej solucyi, zdrowy, acz niejasny jeszcze instynkt naprowadza mimowoli ludzi myślących na jedyną, prawdziwą solucyę rewolucyjnego stanu Europy, na kwestyę polską... Nie chciałbym się jednak łudzić tą myślą i zaprzestaję na teraz na skonstatowaniu tego faktu, że tu i owdzie w dziennikach paryskich teraz poza różnymi kształtami wypływa kwestya polska, bądź w lekkiej wzmiance, bądź w dosyć bezstronnie prowadzonej dyskusyi, bądź wreszcie w feletonie i artystycznych artykułach. Sam nawet dziennik pana Bertin, ogłaszając niedawno swój program polityki niemieckiej, wspomniał o rzezi galicyjskiej, o zbrodniach Metternicha i o karze Bożej spadłej na Niemce, za zbrodnię podziału Polski. Od tak poważnego, przemądrego i tak mało ruchliwego dziennika, jakim są *Debaty*, wielkie to musiało być wysilenie wypowiedzieć te w gruncie nic nie znaczące słowa; dzięki mu więc niech będą nie w miarę znaczenia i doniosłości tych słów, ale w miarę heroizmu, którego ich wypowiedzenie wymagało! Śmieiej i szczerzej dotknął naszej sprawy przed kilkoma dniami dziennik *Le Siècle*, organ Lamoriciera i Cavaignaca. Rozbierając obszernie stan obecny Niemiec i odwieczne, przedpotopowe pytanie ich jednoty, przychodzi do tego rezultatu, że Francya tak ze stanowiska moralności, jak swego dobrze zrozumianego interesu póty na jedność Niemiec zezwolić nie może, póki Niemce nie zrzekną się zaboru polskiego i w przywróceniu państwa polskiego nie dadzą rękojmi tak moralności swoich dążeń, jak bezpieczeństwa dla Francyi ze strony wszechgermańskich

zachętek. Polska — powiada dalej ów dziennik — jest nieodzownym, pierwszym i jedynym warunkiem jedności niemieckiej, a z Polską i Węgry i Słowiańszczyzna, i wszystko to, co w etycznym zorganizowaniu nowego świata ma swe uprawnienie i uświęcenie. I te słowa wprawdzie nie są jeszcze *verba magistri*, w któreby wprost wierzyć wypadało, ale w każdym razie dowodzą one rozsądniejszego i sprawiedliwszego zapatrywania się na sprawy polityczne, i niechaj to nam będzie dobrą wróżbą! Nawet i *Presse'a* Girardin'a, która, jak wiadomo, najzaciętszą i najdawniejszą była nieprzyjaciółką naszej sprawy, zamieszcza teraz jakieś tragiczne feletony z nad Dniepru, w których mowa o cierpieniach i męczeństwach Polski, o Sybirze, o kopalniach, i o łaskach cara!

Ale najczęstszym tematem dziennikarstwa są właśnie spodziewane dla nas łaski cara. Jak zwykle, mowa tu o rekonstrukcji Polski pod rządami jakiegoś carewicza lub Leuchtenberga. Stare to są rzeczy i prawie wstyd już o tej przedpokojowej polityce wspomnieć. Jeśli jednak o niej wspomina, to tylko dla źródła, z którego pochodzi. Najskwapliwszym w ciągłym powtarzaniu i waryowaniu tej pogłoski jest *Bulletin de Paris*, nietajny organ elizejskiego pałacu. Cóż jest powodem, że właśnie ten dziennik, pierwszy tę nieświeżą zaiste wiadomość odświeżył i na przemian jako rzecz bardzo pewną, albo jako słabe, echowe *on dit* podaje? Cóż jest powodem, że właśnie elizejskie dzienniki, *Constitutionnel*, *Patrie*, *Pays*, tę wiadomość powtarzają i skrzętnie rozszerzają? Osoba, mająca pewne stosunki i wpływy, takie mi dała tego fenomenu objaśnienie. Na kongresie mającym się otworzyć w Warszawie, między carem i różnymi monarchami, i monarchiczny, czyli raczej imperatorski aspirant, p. Bonaparte<sup>1)</sup>, chciałby mieć swego zastępcę i to w osobie najzaufanego swego przyjaciela, który wszystkie tajniki jego próżnego posiada serca, jednym słowem w osobie pana Fialin de Persigny. Berlin, do którego się znowu udał ów elizejski Merkury w szlifach, ma

---

<sup>1)</sup> Ludwik Napoleon, przyszły cesarz Napoleon III.

tylko być stacją dla niego na drodze do Warszawy. Ale żeby nie zbyt mocno zrazić opinii tutejszej tem wysłaniem swego syamskiego brata do cara północy, i dla przygotowania umysłów w tym celu, wymyślił prezydent odświeżyć i propagować pogłoskę o carskich zamiarach względem Polski, i tym sposobem misji pana Persigny nadać charakter nawet i popularny. Jakkolwiek całą tę argumentację z bardzo pewnego czerpam źródła, nie śmiem jednak jej nazwać prawdziwą, właśnie może dlatego, że tak prawdopodobna, i kończę ten ustęp nie kategorycznym *dixi*, ale tylko skromnem *relata refero*.

Wobec tego pocieszającego przechylenia się opinii ku nam, tem boleśniej dotykają każdego prawego i o honor narodowy dbającego wychodźca wypadki zaszłe niedawno w gronie nowej tutejszej emigracji. Milczałem o nich, bo łudziłem się nadzieją, że ludzie niepomni na naszą spokojność, na nasz honor i na nasze nieszczęścia, przynajmniej względ pewien dla kraju będą mieli i obrady i niegodziwości kilku złych i zaślepionych utają przed oczyma dalekich. Stało się inaczej, a niedokładna znajomość stosunków spowodowała *Gońca* do uderzenia w prawo i w lewo i do rozstrzygnięcia sprawy rozplątaniem żyjącego dziecka, jak i umarłego. Ale sąd Salomona nie zawsze się daje zastosować i niezawsze to się nazwie sprawiedliwością, gdy jedną jak drugą stronę zarówno się potępia. Komitet nowej emigracji nie zasłużył w niczem na ostre słowa *Gońca*, należy mu się przeciwnie wdzięczność za obstawanie przy prawie i słuszności wobec podnieconych przez kilku intrygantów i *amnestyonowanych* (to przedewszystkiem niechaj szanowna redakcja *Gońca* na uwadze mieć raczy!) najbrudniejszych namiętności, za zniesienie z pokorą więcej niż ludzką, wszystkich obelg i napadów, jakich się tylko tacy dopuścić mogli, którzy przed Mikołajem paść na ziemię umieli i z amnestyą w kieszeni, między bracią tułaczą przebywać mają czoło. Życzenie *Gońca*, aby ofiary krajowe składane bywały na ręce bezstronnych i znanych, osób dawno już jest urzeczywistnionem. Wszystkie prawie fundusze dla nowej emigracji przechodzą przez ręce generała Gawrońskiego, doktora

Gałęzowskiego i doktora Hłuśniewicza. Bezstronności i zacności tych godnych obywateli nikt, spodziewam się, nie będzie śmiał zaprzeczyć, ani też temu, że oni tylko w Komitecie właśnie swe zaufanie pokładają. Śmiem się nawet do nich w tej mierze wprost odezwać, a szanowna redakcja niechaj raczy wybaczyć zbytniej może cierpkości moich słów; odwołuję się do zdania *L'Hopital'a*, że nie można być dosyć cierpkim, gdy chodzi o prawdę.

Oby tylko te smutne zajścia nie stały się przyczyną zubożenia w kraju dla nędzy i niedoli wychodźstwa, która przechodzi wszelkie granice pojęcia! Samobójstwa i obłąkania coraz się stają u nas częstszymi. Jeden z nowych wychodźców rzucił się z nędzy i rozpaczony w Tamizę; inny, Jan Wojniewicz, odebrał sobie życie; profesor matematyki w Nancy, Morawski, człowiek godny i zasłużony, jest teraz w domu obłąkanych. Rosya wszędzie intryguje, by nędzą i cierpieniami przymusić nas do podania się o amnestye. Tak się dzieje w Malcie, tak też szczególnie w Grecyi. Grecya jest teraz prawdziwem piekłem naszej emigracji. Jak piekło była ona nasamprzód wysłana do dobremi intencjami. Podczas wojny węgierskiej, statki rządowe greckie przyjmowały ochoczo Polaków, co myśleli brać udział w wojnie. Dawano im wolny przejazd, pieniądze na drogę i najłaskawsze zaręczenia. Teraz zaś takie jest prześladowanie, takie wyrafinowanie w okrucieństwach, że mimowoli przychodzi myśl, czy przeszloroczne postępowanie rządu greckiego nie było szatańskim wyrachowaniem dla pociągnięcia Polaków w matnię moskiewską. Moskwa w Atenach jest samowładną i rządzi życiem i honorem wychodźców. Wszystkie zabiegi ku temu są skierowane, by ich zmusić do proszenia amnestyi. Królowa grecka, rządząca teraz w Atenach, jest nieodrodną córą tego szczepu, który już nas Katarzyną i Maryą Teresą obdarzył. Wspomniałem już o pułkowniku greckim, co tak podle dał się użyć za narzędzie zemsty moskiewskiej. Dobrze, żeby Polacy spamiętali jego nazwisko: Scheteki; nazwisko wpół węgierskie, może też i węgierskiego renegata!

Amnestya lub Ameryka: te są teraz alternatywy naszej nę-

dzy. O pierwszej zbyt wiele słów tracić nie potrzebuję: kto w tym kroku nie widzi szańbienia honoru polskiego, wyparcia się tradycji świętej, dwudziestu laty tułactwa i męczeństwa drogo okupionej, kto tu nie woła: *potius mori quam foedari*, ten dowodów i dowodzeń żadnych nie przyjmie, bo ten ani cienia cieniów nie ma w sobie sumienia polskiego. I tu niechaj mi wolno będzie wspomnieć o jednej rzeczy, której wyjaśnienie dla wszystkich będzie nader pożądanem. Jest tu wieść w emigracji, że ks. Czartoryski wyrobił u ministra Barocha dla każdego wyjeżdżającego za amnestyą sukurs ze 100 fr., i że nadto ze swojej strony dokłada książkę 50 fr. Nie wierzę temu, wierzyć temu nie mogę, ale wobec tak ogólnie rozpowszechnionego mniemania trudno byłoby je zamilczeć, i zdaje mi się, że ze strony Hotelu Lambert z radością się uchwycą nadarzonej tu przezemnie sposobności, by pogłoskę tę tem, czem jest niezawodnie, potwarzą, publicznie nazwać.

Drugą mniej straszną ostatecznością jest Ameryka. Wielu się już tam udało; między nimi i ks. Korycki, który tak chlubnie się w kampanii 1831 r., jako kapelan i żołnierz odznaczył, i F. Wrotnowski, znany autor pamiętników o powstaniu. Tam też i tow. literackie londyńskie skwapliwie wyprawia oddających się w jego opiekę Polaków. Gdyby tylko była pewność, że raz na miejscu wywiezieni znajdą zatrudnienie i przytułek! Nie uważanoby nawet już na ukrytą w tych wyprawieniach myśl pozbycia się rewolucjonistów. Ale nieszczęściem w Ameryce jak i wszędzie indziej trzeba fachu lub kapitału, by przyjść do jakiegoś zarobku; bez nich tam jeszcze gorzej, niż w Europie.

Uwięzionego dotychczas w Rzymie z powodu rewolucyjnej tamecznej Czerwińskiego wypuszczono i wydano z państwa kościelnego, po upływie przeznaczonej kary więziennej. Natomiast nic jeszcze nie wiemy o ostatecznym losie drugiego więźnia, Rymarkiewicza. Spodziewać się należy, że bawiący teraz w Rzymie księża Zmartwychwstańcy za nim się wstawić zechcą.

Zapowiedziane pismo *Wychodziec* dotąd znaku życia nie dało i tylko sobie tego winszować możemy: bo by z tej góry

coś gorszego od śmiesznej myszy wylęgnąć się mogło. Natomiast mówią tu o przygotowaniach do pisma, mającego wychodzić w Brukselli.

W końcu muszę obstawać przy prawdziwości podanej przezemnie wieści o 2000 funtach szterlingach pana Branickiego. Pieniądze oddane były na ręce pana Zamoyskiego. Dlaczego więc szanowny korespondent z Londynu o tym darze nie zasłyszał, nie mniej w to wchodzić. Niechaj się o to rozprawi z p. Branickim, lub towarzystwem literackiem londyńskim <sup>1)</sup>.

6.

z. Paryż, 5 listopada. Wbrew wszelkim oczekiwaniom *Wychodziec* pokazał światu swoje miedziane czoło. *Goniec* już swoje zdanie o nim wypowiedział, a jabym już nie rozruszył tych śmieci, gdyby nie wątpliwy domysł *Gońca*, że brudne to pismo może jest organem jakiegoś choć małego odłamu wychodźstwa. Nie, tak nisko jeszcześmy nie upadli! P. Milewski sam oświadcza, że artykuły niepodpisane są pióra redaktora; a ponieważ oprócz wierszyków, żaden artykuł nie nosi podpisu, więc dowód materyalny, że wszystko spada tylko na głowę doktora i chirurga z własnej łaski. Mogę zaręczyć, że *Wychodziec* wszędzie równe obudził oburzenie; mogę zaręczyć, że każdy tułacz podziela żal i gniew szanownej redakcyi; mogę zaręczyć, że oprócz dwóch tylko nieszczęśliwych («poveretto» nazywa chłop włoski rozbójnika), nikt, nikt zgoła tego pamfletu nie propagował.

Mieliśmy w tych czasach drugi smutny objaw drukarski na tułactwie. Pan hrabia Wacław Jabłonowski napisał do *Gazette de France* list, w którym zaręcza, że uczucie narodowości wygasło już w sercu Polaków, że oni jedyne tylko mają roz-

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 98, z d. 25 października 1850 r., str. 380 do 381.

czenie używać pod rządami słowiańsko-rosyjskimi praw poddanych słowiańskich, i że gdyby c u d e m wojska najezdnicze nagle opuściły naszą ziemię, toby żywił prawdziwie szlachecki i narodowy padł niezwłocznie ofiarą demagogii chłopskiej, niemieckiej i żydowskiej. Te słowa świętokradzkie, te piekielne bluźnierstwa pisał w tych dniach we francuskim języku do francuskiego dziennika człowiek, który się jeszcze »dobrym patriotą« na końcu mieni, człowiek, który shańbił piękne historyczne imię, które nosi i z którego jeszcze odpowie kiedyś przed Bogiem i narodem, człowiek... Powiem, co to za człowiek, aby czasem Sancho Pancy nie brano za Judasza. Pan hrabia Wacław Jabłonowski był dawniej redaktorem *Trzeciego Maja*; zbankrutowawszy na tem przedsięwzięciu, ale nie na wierze monarchicznej, uciał czerwoną wstęgę z chorągwi naszej i z białym szmatem przeszedł do obozu francuskich legitymistów. Zasila teraz swymi artykułami dzienniki *minorum gentium* tej fakcyi, jak n. p. *Corsaire, Mode, Henri IV* i t. p.; wydaje raz po raz broszurki tchnące mikołajowym i henrykowym duchem i choruje na wynalazki. Przed pewnym czasem dedykował Mikołajowi projekt urządzenia armii na łyżwach, a Henrykowi plan urządzenia balonów z działami i wojskiem, by tym sposobem z góry napadać na demagogię i na głowę pobić czerwonych. Jeśli ten polski hrabia za błogim powrotem Henryka V. nie dostanie nominacyi na Markiza, to już chyba sprawiedliwości, jak mówi Jean Paul, nie u ludzi, ale u pokrzyw szukać.

Ks. Terlecki odpisał w dzienniku *la Voix de la Verité* na zarzuty p. J. B. Ostrowskiego. Nie widzę jednak potrzeby streszczania tu tych debatów, gdyż ks. Terlecki, jak to sam oświadcza, tylko ze stanowiska religijnego obronę swoją prowadzi. Kwestyę polityczno-narodową przepuszcza milczeniem, tę właśnie, na której wyświeceniu nam najbardziej by zależało. Bo co do stanowiska religijnego, ks. Terlecki właściwie wszelką dyskusyę już tem oświadczeniem zamyka, że wszystko, co dotychczas działał, stało się z pozwoleniem i upoważnieniem najwyższej władzy duchownej, ojca świętego, i że przed ten trybunał oddaje i nadal

niezmiennie oddawać będzie wszystkie swoje sprawy. Wolno panu J. B. O. teraz być bardziej papieskim od papieża, my na tem poprzestać nie możemy. Ale natomiast byśmy bardzo życzyli sobie, aby ks. Terlecki zechciał i drugą stronę swojej sprawy wziąć pod rozwagę i ją nam lepiej objaśnić. Bo tu, w rzeczach politycznych i narodowych niema nieomyślnej najwyższej instancyi, i sumienia polskie mogą jeszcze być zakłócone póty, póki jasno i bez ogródki się wszystkiego nie wypowie.

Muszę sprostować dawniejsze moje doniesienie o wyjeździe p. Wrotnowskiego do Ameryki. Nie autor pamiętników to był, ale jego imiennik, inżynier. P. Felix Wrotnowski przebywa ciągle w Londynie i w tych dniach ukończył swój pyszny atlas Polski wespół z panem Dufour. Praca ta przynosi prawdziwy honor tułactwu. P. Wrotnowski skorzystał ze wszystkich możliwych zasobów, by dzieło swe prawdziwie godnem tego imienia Polski zrobić, które nosi na tytule. Prace kwatermistrzostwa naszego i rosyjskiego jenerała Chrzanowskiego, badania hydrograficzne i geologiczne rodaka naszego, Ignacego Domejki (który teraz jest konsulem w Sant Jago w Chili, a którego naukowe zasługi niedawno uczczone zostały przez znakomitego uczonego, p. Michel Chevalier, w dziele o monecie), kosztowne zbiory p. Cichowskiego, wszystko znalazło korzystne uwzględnienie w dziele p. Wrotnowskiego: *Atlas de l'ancienne Pologne*. Atlas ten w wielkim formacie, na pysznym papierze i z prawdziwie artystycznym i naukowem opracowaniem wykończeniem, zawiera dwanaście kart *double in folio*: kartę hydrograficzną, geologiczną, fizyczną, etnograficzną, religijną. Karty historyczne z wieku X., Bolesławowego, Piastowego, Jagiellońskiego, Zygmuntowego, Stanisławowego, z czasów rozbioru, rekonstytucyi i obecnego stanu. Życzyłoby należało, aby rodacy w kraju starali się nabyciem tego dzieła upiększyć swoje patryotyczne inwentarze i wywdzięczyć się zasłużonemu autorowi za jego mozolną i chwalebłą pracę.

Niechaj mi wolno będzie list obecny zakończyć dopełnieniem wiadomości z ruchu naukowego i literackiego na tułactwie. Rodak nasz, p. Pełowski, były uczeń agronomicznej szkoły w Gri-

gnon, przebył zaszczytnie konkurs w tym tygodniu i został mianowany profesorem w tym samym naukowym zakładzie, w którym dawniej był uczniem. Mickiewicz, o którym teraz ciągle głoszą, że ma wystąpić z nowemi dziełami, drukuje podobno dramat francuski na dochód Krakowa; tak mi to przynajmniej zaręczył bliiski znajomy naszego wieszca. Pan Konstanty Gaszyński, który teraz bawi w Paryżu, drukuje *Kontuszowe pogadanki*. Lewicki zabiera się do drugiego zeszytu ilustracyi Paska. Tysiewicz wrócił ze swojej wycieczki do kraju. Może i Norwid da się namówić do publikowania cudownych swych ilustracyi do *Irydiona* i *Nieboskiej Komedyi*; mógłby się on niezawodnie stać Flaxmanem naszego Dantego.

Obchodziliśmy tu mszę żałobną za duszę ś. p. Chopina. Odkryto także teraz na Père Lechaise jego pomnik: Melodya płacząca, dłuto znakomitego Clesingera. Wystawienie jego pomnika kosztowało 15.000 fr., na które się złożyli współzawodnicy wielkiego naszego artysty <sup>1)</sup>).

## 7.

z. Paryż, 8 listopada. P. Alexis de Saint Priest jest dyplomatą historycznym i historykiem dyplomatycznym. Napisał on już dzieje upadku zakonu jezuickiego, i teraz »naturalnym« biegiem swych studyów nad dyplomacyą XVIII wieku, natrafił na epokę rozbioru Polski i tę opisał. Już tu na samym wstępie byłoby coś bardzo ważnego do nadmienienia. Dyplomatyczną historję dyplomatycznego, w ostatnich przynajmniej czasach, zakonu OO. Jezuitów pisać niezawodnie można; ale możnaż i rozbiór Polski dyplomatycznie t. j. li tylko ze stanowiska depesz, relacyi, jawnej i tajnej korespondencyi gabinetów i intrygantów napisać? Mnie się zdaje, że nie; mnie się zdaje, że to wszystko podrzędnem tylko źródłem będzie dla prawdziwego historyka, a głó-

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski* Nr. 111 z 10 listopada 1850, str. 433.

wniejszym będą: literatura narodu, tradycja ludowa, duch czasu, wychowanie moralne i polityczne obywatelstwa... słowem to wszystko, co właśnie by i najdelikatniejszym nerwom i najbystrzejszym oczom dyplomatów nazawsze ukrytem zostaje. Tłumaczą się jaśniej. Można by było historię rewolucji francuskiej napisać ze źródeł dyplomatycznych relacji jakiego, i bardzo genialnego nawet, sekretarza legacji? Oczywiście, że nie! Znaleziemy w nich pewne dowcipne anegdoty, skeptyczne aksjomata, delikatne sylwetki, trafne, o włos nie chybiające spostrzeżenia, któreby może właśnie dlatego najgłówniejszą rzecz chybiły. Ale żeby odetchnąć prawdziwym żarnem powietrzem owego czasu, a nie destylowaną perfumą tej starej zalotnicy, którą dyplomacją nazywamy, historyk uda się do pamfletów Desmoulina, do dziennika Loustalota, do marzeń klasycznych pani Roland, do społeczeńskiego układu Roussa, do Marseliez, do Karmanioli i t. d., słowem, do tych wszystkich zjawisk, w których bije prawdziwy puls owej epoki, do tych wszystkich ukrytych warsztatów, w których anioły i szatany kuli myśli wieku... Thucydides w historii wojny peloponezkiej nigdzie dyplomatycznych relacji nie przytacza; ale za to opisuje nam wiece i zgromadzenia Ateńczyków i Spartańczyków, przedstawia nam to życie genialno-próżniacze demokratycznych obywateli, tego żebraka greckiego, który i w łachmanach swoich umie się tak drapować, że zawsze będzie pięknym posągim, tego Periklesa, który, niby to popychany, sam popycha i jest ciągłym pretendentem przez ciągłe abdykacje... i dalibóg Thucydides jest większym historykiem od pana Alexis de St. Priest! Wolno i dostateczną dyplomatycznym cyrklem mierzyć intrygę upadku jezuitów, panią Pompadour i księcia Choiseul; ale ta miara nie wystarcza na tę tragiczną epokę rozbioru Polski i na kolosalne figury Puławskich, księdza Marka, Rejtana... Pan Alexis de St. Priest też tego, przyznać muszę, i nie robi, bo nigdzie nie wspomina o Puławskich, o ks. Marku i o Rejtanie. Ale jakaż to proszę będzie historia rozbioru Polski, w których nic niema o bohaterach Baru i o pośle nowogrodzkim? Nie będzież to *Iliada* bez Achillesa i Hektora?...

W takim stanie rzeczy nawet i dobra wiara nie ochroniłaby była pana de St. Priest od napisania fałszywego i nierzetelnego dzieła. Cóż dopiero, gdy nawet i tej dobrej wiary nie było i niema! Pan Alexis de St. Priest musiał »naturalnie« przyjść do tego rezultatu, że Polska z własnej winy upadła, że rozbiór jej był koniecznością historyczną a nie zbrodnią, i że (a o to dyplomacie najgłówniej chodzi) nic niesprawiedliwszego nad zarzuty, robione przez płytkich sentymentalistów ówczesnej dyplomacyi, która, mój Boże, była tak uczciwą, tak rozsądną i sumienną, w gruncie tylko prostem narzędziem »opatrzonej« woli. »Opatrzonym!...« tak i Voltaire nazwał wówczas podział Polski... P. Alexis de St. Priest nie zasłania się powagą Voltaira; ma on za sobą pamiętne słowa papieża: że to był czyn sprawiedliwy i chrześcijański!

Sumienna ta praca pana Alexis de St. Priest, nasamprzód ogłoszona w *Revue des deux mondes*, wyszła potem osobno, i jakby czarodziejską różdżką dotknięte, dwa wielkie dzienniki, organa naturalnie religii, familii i własności, uchwyciły się tego dzieła, i szeroko się nad niem rozwiodły. P. Cucheval-Clarigny w *Constitutionnel'u* i pan John Lemoinne w *Debatach* (ten sam, którego przeszłoroczne listy o Rzymie tak wielkie zrobiły wrażenie), obadwaj w tym samym dniu oświadczyli się z zapałem za p. Alexis de St. Priest... myślą się, za Moskwą, bo całej tej bajki nauka była, że porządek, który panuje w Warszawie, jest w »opatrzonej« porządku rzeczy. P. John Lemoinne szczególnie nie taił się z tem zdaniem, że pan Alexis de St. Priest dziełem swem większą jeszcze, niż p. Barbès 15-ym maja oddał Francyi przysługę, bo ją radykalnie od wszelkiej słabostki dla Polski wyleczył, i z pewną tygrysią rozkoszą powtórzył P. Lemoinne kilka razy jedyną może anegdotę, którą wie z historii polskiej, anegdotę o *finis Poloniae*.

P. Tytus Działyński, obywatel Wielkopolski, bawiący chwilowo w Paryżu, odpisał w *Debatach* na te nieliłociwe i nierozsądne frazesy pana Lemoinne. Zdaje mi się, że redaktor, mający jakiegokolwiek sumienie i poczucie swego powołania i obowiązku,

pozwoiliwszy na takie zabójcze dla całego narodu zdania, nie stawiałyby przeszkody nieszczęśliwym synom tej najnieszczęśliwszej ojczyzny w obronie jej tak narażonego honoru. Ale to były zbyt drobne względy dla tak wielkiego polityka, jakim ma szczęście być szanowny redaktor *Debatów*, pan Armand Bertin. *Salus publica* przedewszystkiem! P. Bertin poddał odpowiedź p. Działyńskiego ostrej cenzurze, i obciętej, pokaleczonej dopiero udzielił skromnego miejsca w swoim dzienniku. I w tym jednak uszkodzonym i nadwreżonym stanie odpowiedź p. Działyńskiego jest piękną, godną i silną. Dzięki mu szczerze niech będą za to wystąpienie i za ujmowanie się za honor naszej Ojczyzny! P. Działyński zadaje fałsz twierdzeniom p. Alexis de St. Priest; zaręcza, że nigdy Kościuszko owych banalnych słów nie powiedział i nigdy ich żaden prawy Polak nie powtórzył. Przyszłość okaże, mówi dalej p. Działyński, czy ci, którzy radzili Francji opuszczenie gnębionych narodowości, byli jej prawdziwymi przyjaciółmi, a teraz spojrzycie tylko na obecny Kongres warszawski, patrzcie, jak tam całą polityką Europy trząsa, i powiedzcie sobie, jakie to błogie dla was skutki z rozbioru Polski! Byłbym tu całą odpowiedź p. Działyńskiego zamieścił, bo tego we wszystkiem jest godną, ale myślę, że nim mój list dojdzie, szanowna redakcja *Gońca* już jej w swych kolumnach zasłużone dała miejsce.

P. Alexis de St. Priest, w krótkich słowach, gładkich i ostrych, jak nóż, odpisał na zarzuty p. Działyńskiego; przyznaje nam odwagę i bohaterskość, ale nie rozumie, jak można twierdzić, żeśmy nie z własnej, i z własnej tylko winy upadli. Na tem stanęła polemika. Ja tu tylko jeszcze objaśniającą zrobię uwagę, którą sobie na sam koniec zostawiłem. P. Alexis de St. Priest jest synem jenerała de St. Priest, byłego gubernatora moskiewskiego w Kijowie; <sup>1)</sup> sam p. Alexis jest pułkownikiem moskiewskim na odstawce i ma żonę Moskiewkę. Jest to więc pan

---

<sup>1)</sup> W Odessie.

Circour potrojony. Teraz wszystko się staje bardzo jasnym i bardzo »naturalnem«!!!

Dziwna, jak czasami najniedorzeczniejszy fałsz nietylko przybiera z czasem powagę prawdy, ale i staje się hasłem całego prawie świata. Są pewne anegdotyczne frazesy, które każdy wie na pamięć, które ci każdy, przy każdej okoliczności powtórzy, które są, jeśli tak się wyrazić godzi, pacierzem historycznym gminu, a w których mimo tego wszystkiego, ani słówka niema prawdy. Któż nie wie, któż tysiąc razy w życiu nie powtórzył mniemanych słów Cezara: »*Et tu Brute*«, mniemanego wykrzyknika Franciszka I.: »*tout est perdu fort l'honneur*«, Cambronna: »*La garde meurt et ne se rend pas*«, Mirabeau: »*La force des bajonettes seule peut chasser les représentants d'un peuple*« i t. d. i t. d... A jednak rzecz to dowiedziona, że te słowa, zdania, frazesy, nigdy nie były wyrzeczone, iż w pewnych razach nigdy nawet nimi być nie mogły!! Owego tak pięknego, tak prawdziwego zdania naszego Zygmunta: Pocóż tyle narodów zagarnąć, kiedy tak trudno je wszystkie uszczęśliwić?« tego zdania, co może się stać chlubnym napisem całej historii polskiej, a świętem przykazaniem dla całej przyszłości... tego nikt nie zna, nikt nie powtarza; a ileż za to razy odbiło się o nasze uszy, jako wielka i mądra prawda, to niby Kościuszkowe słowo: *finis Poloniae*, które tak było dalekiem od ust jak od serca, którego życiem i czynem nigdy nie uznał, którego się wprost wyparł. P. Leonard Chodźko posiada list własnoręczny Kościuszki do przyjaciela, w którym zaręcza, że owego słowa nigdy nie wyrzekł... Przed tem świadectwem zamilczeć by raz musiał rozsądek i sumienność ludzi. Ale cóż kiedy przywiedzie do milczenia ludzką głupotę i niesumienność?!

Wspomniałem mimochodem o panu Leonardzie Chodźce; niechaj mi wolno będzie choćby kilka słów tu powiedzieć o jego zbiorach, tak mało znanych w kraju. Pan L. Chodźko od dwudziestu pięciu lat zajmuje się zbieraniem wszystkich materyałów, dotyczących się dziejów polskich, poczynawszy od śmierci Sobieskiego. O bogactwie, porządku i staranności jego zbiorów tylko

ten sądzić właściwie może, kto je naocznie widział. Wszystkie wiadomości gazeciarskie, wszystkie publikacje krajowe i zagraniczne nas się tyjące, wszystkie relacje, depesze, korespondencye z polskimi sprawami jakiegokolwiek mające związki, są tu w nieprzerwanem następstwie, w największej pełni, w porządku chronologicznym i materyalnym, jakiego drugiego w innych rządowych nawet zbiorach niełatwo znaleźć. Pan Chodźko posiada rzadkie autografy, kopie wszystkich depesz i relacji, które są po archiwach francuskich, a szczególnie w archiwie ministerstwa spraw zewnętrznych się znajdują: wszystko z najskrupulatnijszem oznaczeniem daty i źródła; tajne korespondencye (np. Stanisława Augusta ze swoim sekretarzem i Ignacym Potockim), ulotne pisma, cyrkularze, wiersze i t. p. Słowem, że zbiór pana Chodźki jest nie tylko niezbędnym, ale i jedynym źródłem dla tego, co chce poznać nasze dzieje z wieku XVII, XVIII i XIX. Przytem i tę ważną ma zbiór pana Chodźki zaletę, której wielkość uznać łatwo, że nic w nim niema sztucznie i w celu pewnym urządzanego, że niema żadnej edycyi *castigatae et emendate ad usum Delphinorum*, że wszystko z najskrupulatnijszą sumiennością i dokładnością jest zachowane. A ile tam badacz napotkać może prawdziwych niespodzianek, o tem świadczy sławny memoriał z 1762 r. ks. Czartoryskich do cesarzowej Katarzyny, który pan Chodźko pierwszy odkrył w tutejszym archiwie spraw zewnętrznych i ogłosił w *Polsce malowniczej*, a który tak dziwne, rażące rzuca światło na ówczesne dzieje! I w wygotowanych przez pana Chodźkę dwóch dziełach: o księciu Józefie i Kościuszcze, spodziewać się i z pewnością rachować możemy na nadzwyczaj ważne i zupełnie nieznanne dokumenty. W końcu dodać muszę, że pan L. Chodźko z wielką uprzejmością każdemu pracującemu rodakowi pozwala użyć tych tak starannie i kosztownie nagromadzonych skarbów, i z najwyższemi zaletami bibliofilów, bibliomanów i zbieraczy, łączy w sobie niezwykłą u nich tolerancyę i usłużność.

Większa część nowego wychodźstwa, bawiącego w Paryżu, wydała oświadczenie, w którym pochwała postępowanie komi-

tetu i zupełnie się zgadza na postawiony warunek nieudzielania wsparcia tym, co się do amnestyi podadzą. Z komitetu wystąpiło trzech członków, których miejsce teraz zajęli: Bieliński, były poseł galicyjski i adjunkt generała ..., Gajewski Jan, uczeń szkoły centralnej, i Klaczko Julian <sup>1)</sup>.

8.

z. Paryż, 14 listopada. W ostatniej mojej korespondencji wspomniałem o liście Kościuszki, w którym wielki bohater wypiera się najuroczyściej przypisywanych mu słów: *Finis Poloniae*. Postaramy się tutaj o zamieszczenie tego ważnego dokumentu w *Debatach*, ale nim się to skuteczni, zdawało mi się stosownem zakomunikować go szanownej redakcyi *Gońca*. Bo przecież i u nas niejednen, słysząc ciągle o tej bajce, mógł w końcu uwierzyć w jej prawdę, choć nie w naukę, którą nieprzyjaciele nasi z tej bajki wyciągnąć chcieli. Zdaje mi się, że szanowni czytelnicy nie wezmą mi za złe, że miejsce, przeznaczone bieżącym wiadomościom, wypełnię na teraz odwieczną prawdą. »Stara to, ale dobra nowina«: uczciwość, serdeczność słów Kościuszki, ta dobra polskość mimo tej złej francuzczyzny, w której wyrażona, przynosi w tych czasach goryczy i zwątpienia słodką ulgę i miłą nadzieję:

List ten brzmi dosłownie następnie:

Paris, 20 Brumaire an XII.  
(12 Novembre 1803).

*Monsieur le Comte!*

*En vous remettant hier l'écrit relatif à l'affaire de M. Adam Poniński, sur sa conduite dans la campagne de 1794, il y a encore un autre fait qui se rattache à la malheureuse bataille de Maciejowice, et qu'il me tarde d'éclaircir.*

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski* Nr. 114, z d. 14 listopada 1850 r.

L'ignorance ou la mauvaise foi s'acharnent à faire mettre dans ma bouche le mot de **Finis Poloniae** que j'aurais prononcé dans cette fatale journée. D'abord, avant l'issue de la bataille, j'ai été presque mortellement blessé, et je n'ai recouvré les sens que deux jours après, et lorsque je me suis trouvé entre les mains de mes ennemis. Puis, si un pareil mot est inconséquent et criminel dans la bouche de tout Polonais, il le serait beaucoup plus dans la mienne.

La nation polonaise en m'appelant à défendre l'intégrité, l'indépendance, la dignité, la gloire et la liberté de la patrie, savait bien, que je n'étais pas le **dernier** Polonais, et qu'avec ma mort sur le champs de bataille ou autrement, la Pologne ne pouvait et ne devait pas **finir**. Tout ce que les Polonais ont fait depuis dans les glorieuses légions polonaises et tout ce qu'il feront encore dans l'avenir pour recouvrer leur patrie, prouve suffisamment, que si nous, soldats, dévoués de cette patrie, nous sommes mortels, la Pologne est immortelle, et il n'est permis à personne ni dire, ni répéter l'outrageante épithète de **Finis Poloniae**.

Que diraient les Français, si à la fatale bataille des Rossbach, en 1757, le maréchal Charles de Rohan, prince de Soubise s'écriait: **Finis Galliae**, ou si on lui faisait dire ces cruelles paroles dans ses biographies?

Je vous serais donc obligé de ne pas parler de ce *Finis Poloniae* dans la nouvelle édition de votre ouvrage, et j'espère que l'autorité de votre nom imposera à tous ceux qui, à l'avenir, voudraient répéter ces mots, et m'attribuer un blasphème contre lequel je proteste de toute mon âme.

C'est mon cousin et mon élève, le jeune George Zienowicz, qui aura l'honneur de vous remettre cette lettre; quoique son intention soit de se vouer à la carrière militaire, il sera néanmoins heureux de pouvoir mériter votre bienveillante protection, si jamais les circonstances le mettaient à même d'en profiter.

Veillez agréer, monsieur le comte, l'assurance de ma considération la plus distinguée.

**T. Kościuszko.**

Nie jestem romantykiem i przez antytezy i kontrasty działać bym nie chciał. Ale mimowoli wspomniawszy o dobrej polskości w złej francuzczyźnie, wpadłem na inny dokument, świadczący o złej polskości w dobrej francuzczyźnie. Jest to broszura jakiegoś p. Poraja Goczałkowskiego pod tytułem: *Harmonie des peuples*. Ten pan Poraj jest to coś nakształt hrabiego Wacława Jabłonowskiego, o którym już wspomniałem. Pan Poraj widzi zbawienie świata, cywilizacyi, religii, familii i własności tylko w powrocie Henryka V. do swego ukochanego Paryża; tylko »wnuk ś. Ludwika« (jak to się emfaticznie wyrażają; czemu nie lepiej i prościej: syn księżny Berry?) może być tym wielkim kapelmistrzem, w harmonii narodów przyszłości. Pan hrabia Poraj (bo prawie zapominałem dodać, że i to ma podobieństwo z p. Wacławem Jabłonowskim, iż jest hrabią) myśli, nawet jest przekonany, że gdy się Henrykowi zwróci jego nieprzedawnione prawa, to nie bez tego, żeby i nam naszych z czasem nie wrócono!!! Tak rezonuje p. Poraj, tak rezonują wszyscy nasi polscy legitymiści, których miałem nieszczęście poznać; tak pewno i ci, których mam honor nieznac. Co to za głupota, co to za świętokradztwo, co to za bluźnierstwo w tem zestawieniu praw naszych z temi domniemanemi prawami Henryka V.! Na nieszczęście nie mam żadnych bliższych szczegółów o tym panu Poraju Goczałkowskim, nie mogę nawet zaręczyć, czy taki mąż w istocie egzystuje, bo ja dotychczas jednego tylko Poraja z *Pana Tadeusza* znałem, i obym nigdy nie był innego poznać! Pisemko, o którym mowa i w którym tyle jest »harmonii«, ile w kociej muzyce studentów i fortszritsmenerów niemieckich, dotychczas tylko się święci w oknach sławnego pana Jeanne, tego wielkiego męża z *Passage Choiseul*, który, jak wiadomo, z konfesyi swojej jest papiernikiem, a z profesyi legitymistą. Przechodząc w tych dniach koło jego magazynu, stanąłem w tłumie, i przypatrywałem się różnym drukarskim, malarskim, snycerskim i muzycznym wyrobom, ozdabiającym okna tego sklepu, a głoszącym wszystkie zarówno chwałę tego, który na trzech stoi koronach (moskiewskiej, austryackiej i pruskiej), a sam bez korony (może i głowy),

a którego imię H. V... Obok mnie stało dwóch z tych nieporównanych płodów paryskiego bruku, które w obecnych demokratycznych czasach zdają się mieć przeznaczenie swym bystrym dowcipem bawić lud, jak w dawnych monarchicznych czasach nadworne błazny bawiły nim monarchów: słowem, stało dwóch gamenów. Jeden z nich z trudnością przesyłabizowawszy nazwisko Poré Joksalkofski »drôle de nom, ma foi, zawołał; mais c'est tout de même un nom polonais, hé!« »Oh qué non!« odrzekł mu drugi z tą determinacją i niezmięszaną wiarą w siebie, którą znowu tylko u Francuzów znaleźć można, »ce n'est pas du tout polonais, c'est *croate!*« Zasepiło się trochę na to szerokie sumienie słowiańskie... ale ściślejsze sumienie polskie nie mogło się wstrzymać od uśmiechu, w którym Lawater by nawet pewne złośliwe zadowolenie mógł znaleźć.

Wiadomości emigracyjne z innych stron świata nie są nieliczne, ni ważne. W Grecyi pewne nastąpiło przesilenie. Wiadomo już, jakie tam zabiegi robił ambasador moskiewski, by przebywających tam emigrantów zachęcić do podania o amnestyę. Kilku usłuchało jego rady i czekając na odpowiedź rządu moskiewskiego, żyło przez pewien czas na koszcie ambasady. Przyszła wreszcie oczekiwana odpowiedź, i z wyjątkiem dla dwóch, o d m o w n a. Intryga więc moskiewska zupełnie się udała: zachęciła, zmusiła nieszczęśliwych do czołgania się przed carem, który ich za to nogą w twarz uderzył!... Nauka okropna, która może się stać zbawienną, jeśli z niej skorzystamy. Tymczasem biedni owi, co z słabości charakteru dali się namówić do owego ostatecznego kroku, okropnie teraz za to pokutują; bo ani ambasador moskiewski, ani większa część współtułaczy ich uznać i z nimi się wdawać nie chce. Doniosłem już, że tułacze pozabawieni w Atenach zarobku z dróg żwirowych, rzucili się na różne sposoby, by na życie zapracować. I tak pułkownik Izensmidt utrzymuje szcwalnię, wielu ujeżdża konie i uczy jazdy. Milbitz, były komendant Rzymu z czasów rewolucyi, a później przez Mazziniego mianowany dowódcą legionu polskiego, objął zarząd administracyjny funduszów greckiej naszej emigracyi; wszyscy

bowiem do *wspólnej kasy* wnoszą swój zarobek i z tej sumy, przy wzglądzie na pomoc tym, co chwilowo zarobku nie mają, następuje *rozdział równy między wszystkich!!* Jedyny to może przykład *moralnego* komunizmu! Muszę też wspomnieć o pewnym akcie sprawiedliwości, którego się tam doczekało kilku tułaczów. Sześciu z nich wstąpiło było do wojska greckiego z angażowaniem na sześć lat służby. Ale już po czwartym miesiącu przysłano im dymisyę na energiczne przedstawienie ambasady moskiewskiej. Dymysonowani wytoczyli proces rządowi greckiemu za niedotrzymanie warunków i za straty. Proces ten się w tych czasach w ten sposób rozstrzygnął, że rząd skazany został na wypłacenie każdemu z wydalonych 600 drachmów.

Nowej emigracyi w Algierze jest około 150. Są to ci sami, którzy z rozkazu rządu austriackiego wywiezieni z Krakowa do Ameryki na morzu śródziemnym, z takim nieuszanowaniem dla władzy, jakby tu powiedział *Czas*, zmusili austriackiego kapitana okrętu do zwrócenia statku w port Tuloński, z którego ich potem z rozkazu francuskiego rządu wyprowadzono do Algieru. Część ich mieszka w Algierze, inna w Bonne. Pracują przy kolejach żwirowych, a czasem i miasta się na nich trochę składają. Nadeszło tu z ich strony pismo, wynurzające oburzenie na *Wychoźca*, którego im p. Milewski przysłał.

Tutaj w Paryżu obawiamy się straty, głównej podpory naszej biedy i naszego nieszczęścia. P. doktor Gałęzowski ma podobno zamiar powrócić do Meksyku, skąd go wypadki 1848 r. wyprowadziły. Rodak ten nasz, już zaszczytnie w swojej młodości na Litwie znany, walcząc długo z wielu trudnościami, znalazł wreszcie przystań w Meksyku, a tam sławę, nieograniczoną miłość i znaczny majątek, którego tutaj na nasze dobro używał. Większa część funduszów dla emigracyi nietylko na jego ręce, ale i z jego rąk spływała. Gałęzowski jest tem na emigracyi, czem w księstwie był nieboszczyk Marcinkowski. Opuszczającemu nas towarzyszyć będą żale i błogostawieństwo tych licznych rodaków, których darem, radą, słowem przez trzy lata niezmordowanie wspierał i pocieszał.

Książę Czartoryski mocno zachorował; ma się już jednak lepiej <sup>1)</sup>).

9.

x. Paryż, 18 listopada. Widoki wojenne w Niemczech zajęły naturalnie i umysły naszego wychodźstwa. Politykowaliśmy tu ciągle i długo, i jeszcze tylko piwa bawarskiego potrzeba było, a bylibyśmy się stali prawdziwymi niemieckimi burmistrzami, których już Mefistofeles tak dowcipnie przedrwiwał, że podagra swoją przeczuwają polityczne burze. *Alea jacta est*, wołał kaźden. Pokazało się w końcu, że kość tylko rzucona była dla psów dyplomatycznych, by ją obgryzały. Smacznego apetytu!

Z okoliczności tych wojennych aspektów odezwał się znowu p. Henryk Kamionka, o którym, jako o osobie zapewne mało lub wcale nieznaney, kilka słów jeszcze rzucić muszę. P. H. K. jest jakąś mistyczną figurą, która w wieczornym tutejszym dzienniku *l'Evenement* na naszą pokutę pokutuje. P. H. K. pisze do tego dziennika, skądinąd nam bardzo przychylnego (jest organem Wiktora Hugo), listy polskie (*Lettres polonaises*) z różnych stron świata, który »lotem błyskawicy« przejeżdża. Mieliśmy listy datowane z Krakowa, z Warszawy, ze Lwowa, z Hermanstadtu, z Jass i z innych miast tureckich, tylko nie z miasta Białłuki, chociaż wszystkie pisma wyraźny stempel tego czcigodnego nosiły grodu. Głos jakiś wewnętrzny (*daimonion*, powiedziałyby Sokrates) mnie szeptce, że p. H. K. całą tę podróż tylko koło swego stolika w Paryżu odbył; ale to są osobiste stosunki, w które mnie wglądać nie wolno. Co dziwniejsza, to, że p. H. K. jest skoligowanym i spokrewnionym z najwyższą naszą arystokracją, że ciągle nam prawi o swoim wuju księciu A., ciotce księżnie B., stryju hrabi C., (w ostatnim liście nawet zaręcza nam, że jest siostrzeńcem biskupa krakowskiego), a sam jest czerwonym jak burak lub jak rak upieczony, i o Galicyi np. pisał piórem zaostrzonym prawie nożem Szelów i Gontych. Otóż ten p. H. K.

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 119, str. 464—466.

pisze nam w ostatnim liście z Wrocławia, iż Polacy W. Ks. Poznańskiego wysłali adresa do króla pruskiego z dziękczynieniem za bronienie honoru narodowego (jakiego?) i z ofiarowaniem wszelkich usług!!! »Dobrześ ryknął lwie!« mówi Szekspir. Ja sobie ten ustęp cały tylko pozwoliłem <sup>1)</sup>, aby wygodzić na chwilę uśmiechem zmarszczone czoło czytelników i wynurzyć zarazem żal, że jedyny prawie dziennik nam szczerze sprzyjający na takiego właśnie natrafił korespondenta.

Ze sfer wyższej polityki, jak to mówią, to się nam tylko objawiło, że prezydent rzeczypospolitej w swoim ostatnim me-sażu pierwszy raz wspomniał o wychodźcach polskich obok węgierskich w kwestyi tureckiej. Dotychczas *pudoris causa* tylko o Madziarach internowanych urzędowo mówić śmiano. W gruncie rzecz to obojętna i może tylko *lapsus calami*. Co się zaś tyczy kwestyi internowania naszych ziomków w Turcyi, to ta bynajmniej jeszcze nie jest tak bliską rozwiązania, jak to różne dzienniki głosiły. Widziałem owszem w tych dniach list generała Wysockiego, w którym donosi, że jemu i jego kolegom urzędowo oświadczono, że jeszcze przez całą zimę będą przytrzymani w Azji.

Jednym z najgłówniejszych ognisk naukowego życia w emigracyi jest biblioteka polska, założona tu na *rue de Saussayes*, przez ks. Adama Czartoryskiego i ś. p. Niemcewicza. Instytucya ta posiada znaczny zbiór książek i rękopismów, tyczących się historii i literatury polskiej, i niedawno jeszcze zubożoną została darem ś. p. Wodzyńskiego, który jej testamentem wszystkie swoje zbiory Drezdeńskie przeznaczył. Na nieszczęście, fundusze, przeznaczone na utrzymanie tego zakładu są tak szczupłe, że nie tylko na zakupienie nowości nie wystarczają, ale nawet i na zrobienie dogodnem użycia tego, co już posiada, mimo wielkiej pieczołowitości szanownego bibliotekarza p. Sienkiewicza, i usłużności amanuensa p. Staniewicza, którym wszelka w tej mierze

---

<sup>1)</sup> Tu musi być w druku opuszczony jakiś wyraz, n. p. *przytoczyć*. Zamiast *cały* winno być chyba *mały*.

należy się sprawiedliwość. Ponieważ biblioteka ta oddawna już jako dowód wdzięczności naszej ofiarowana jest Francji, przeto ks. Czartoryski umyślił teraz wyrobić u rządu, aby ten zakład ogłosił publicznym i tym sposobem zaręczył i przyjął na siebie utrzymanie i dalsze prowadzenie jego. Rada stanu (Conseil d'Etat) ma teraz tę sprawę rozstrzygnąć. Członek tej rady, p. Horace Say, którego miałem sposobność widzieć tymi dniami, upewnił, że ją wszelkimi siłami popiera i że spodziewać się należy, że skutek będzie pożądanym. My tutaj możemy sobie tylko życzyć przeprowadzenia tej sprawy i dziękować księciu Czartoryskiemu za troskliwe się nią zajęcie; ale zarazem chcielibyśmy się i przypomnieć naszym pisarzom i nakładcom w kraju, szczególnie w Ks. Poznańskim i Galicyi, aby bibliotece naszej w Paryżu dostarczali nowości; będzie to grosz wdowi.

Stan księcia Czartoryskiego nie daje już żadnych powodów do obawy. *Goniec* nieraz wspomniął o pamiętnikach, nad którymi książę pracuje. O ile ja zasłyszałem, nie mają to być ściśle pamiętniki, ale biografia Niemcewicza, która zarazem ma objąć główne wypadki tak długiego i doświadczonego życia samego księcia. Wiadomo, że Niemcewicz był ścisłym przyjacielem księcia Adama i tu na emigracyi wydał poemat ostatniego, jeszcze w r. 1795 pisany, p. t.: *Bard Polski*. Książę chce znowu ze swojej strony wystawić literacki pomnik swemu przyjacielowi i pod jego firmą skromnie teraz ukryć swoje życie, jak ukrył był dawniej swój wiersz młodzieńczy i piękny.

Nadchodzi bliska rocznica 29 listopada. Oby dzień ten przeminął dla nas w świętości i godności, na jaką zasługuje, bez prowokacyi z jednej i manifestacyi z drugiej strony!... Ksiądz Terlecki zamierza dzień ten święty obchodzić w swojej kaplicy mszą i kazaniem.

P. Cieszkowski opuszcza nas jutro i wraca do Berlina, by zająć swe stanowisko na sejmie pruskim <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 123, z d. 24 listopada 1850 r.

10.

«. Paryż, 6 grudnia. Rocznicą 29 listopada odbyła się u nas w cichości i pokoju, a więcej na ten raz sobie życzyć nie mogliśmy. W kościele de l' Assomption nie było kazania, z powodu przeszłorocznego zgorszenia, »które przez *nierozmyślność niewielu* przyniosło zniewagę świątyni Pańskiej i zasmuciło wszystkich«, jak się zapraszający okólnik dość dwuznacznie wyraził. I bez kazania jednak nie zabrakło na wzniesieniu ducha i cichem zbudowaniu. Uroczystość śpiewów religijno-narodowych, płacz kobiet, tłumione łzy starych wojowników: wszystko to miało niewymowny urok tego chrześcijańskiego cierpienia, które inne narody przez sztukę tylko, a naród polski przez życie swoje wyobraża!... W kaplicy grecko-słowiańskiej ksiądz Terlecki miał mszę i kazanie. Wielu wychodźców, którzy w pamięć przeszłorocznego zajścia nie chcieli pójść do kościoła Assomption, a którym znowu z drugiej strony bytność w kaplicy grecko-słowiańskiej zdawała się manifestacją słowiańską, wiążącą w pewnej mierze narodowe sumienie, wolało zakupić mszę w kościele ś. Seweryna na ulicy ś. Jakóba, tam, gdzie jest kopia Matki Boskiej Częstochowskiej <sup>1)</sup>. Mieszkający na Batignollu znowu, w pobliżu będącym kościele obchodzili rocznicę. Jakkolwiek to rozstrzelanie na cztery miejsca, tam gdzie uczucie było *jedne*, nie wiele miało pocieszającego, pocieszała jednak ta myśl, że jeśli nie było jedności, to przynajmniej i nie było sporu.

W samą rocznicę, w dniu 29 listopada, stawał przed sąd wojenny rodak nasz, stary lekarz Brawacki, który szczególnie w niższych warstwach ludności paryskiej wielkiego doznaje szacunku. Oskarżony był o udział w strasznej pamięci wypadkach czerwcowych. Chory, zgrzybiały i paralityk, wniesiony był na krzesło pod eskortą, i temu stanowi pewno zawdzięcza stosunkową lekkość kary. Brawacki bronił się, że tylko z powołania

---

<sup>1)</sup> Ostrobramskiej, nie częstochowskiej.

lekarza brał udział, który się ograniczył do leczenia rannych. Skazany został na pięć lat więzienia. Nie wchodząc tutaj w żadne polityczne ocenienia wypadków nie nas się dotyczących, bolesną to wszakże tu dla każdego było myślą, że właśnie w rocznicę polskiej rewolucyi Polak we Francyi sądzony i skazany był za udział w rewolucyi francuskiej.

Nagłe załatwienie także kwestyi pruskiej przyczyniło się niemało do zrobienia smutnego dnia 29 listopada dla nas jeszcze smutniejszym. Bo mimo zaręczenia i przedstawień tych, co znają stosunki Niemiec, wychodźstwo nasze, a szczególnie starsze, wierzyło naturalnie stale w wojnę, a przeciwie jak w *Żeglarzu* Mickiewicza, grom, co u was tylko *błyskał*, u nas już *bił*. Teraz naturalnie i najzaciętsi Tomasz z biedy się nawrócili, a z całej tej logomachii austriacko-pruskiej skorzystaliśmy tylko to, żeśmy bliżej poznali dawnych naszych przyjaciół. Stanowisko nasze było bardzo jasne. Bezpośrednio ani Austrii ani Prusom przychylnymi być nie mieliśmy przyczyny; inaczej zaś się rzecz miała pośrednio. Z małą zmianą mieliśmy to samo hasło, co ów Rzymianin: *Inimica Austria, inimica Prussia, sed amica veritas*. Prawdą zaś było oczywistą, że w całej tej kwestyi nie tyle o Austryę i Prusy, jak o despotyzm i liberalizm chodziło, a pośrednio o Rosyę i Antirosyę, czyli Polskę. Prawdą było oczywistą, że w razie wojny, Prusy chcąc nie chcąc musiałyby się oprzeć na żywiołach liberalnych i ostatecznie wezwać w pomoc gnębione przez Austryę narody. Tę prawdę uznawali nawet nasi polscy konserwatyści, a im nawet bardziej, niż innym, uśmiechała się nadzieja wojny. Z tego więc stanowiska sądziliśmy debaty w komisjach zgromadzenia narodowego. Czterech było tam głównych mówców, którzy nas bliżej obchodzili i o których tu pobieżnie wspomnę: o pierwszym, o panu Odilon-Barrot najpobieżniej, bo biedny ten rewolucjonista *à la fourchette*, od czasu sławnego bankietu, na którym nie był, taką cierpi niestrawność zakazanego owocu wolności i tak się fatalnie zaksztusił od czasu, jak łyknął ministeryjalnego powietrza, że sumiennie nic mu za złe brać niepodobna. Drugi p. Gustave de Beaumont, sławny autor dzieła

o niewolnikach czarnych, ze stanowiska swego filantropicznego powinien był właściwie z innej gwizdać piszczałki. Ale my na nieszczęście nie *czarni*; jesteśmy tylko *biali* i *czerwoni* nawet jeszcze do tego: taką przynajmniej jest nasza chorągiew. Wrogi zaś nasze, jak to już Brodziński zauważył, mają w swych chorągwiach i »czarność«, sympatyę więc i antypatyę pana Beaumont dostatecznie usprawiedliwione. Najciekawszym dla nas był pan Montalambert: stał się też najciekawszym i dla wszystkich, bo kiedy inni jeszcze przez pewien wstyd całej swej myśli wypowiedzieć nie śmieli, p. Montalambert miał tę odwagę i jasno i bez ogródki oświadczył, że w razie ostatecznym jedyną tylko może być wojna z Austryą, »w której ludzie porządku przywykli widzieć obrońcę cywilizacji«. »Jaż się tutaj rozśmiałem, czy piekło?« zapytam się z Hamletem... Takie to teraz myśli o Austrii p. Montalambert, którego pamiętna mowa o rzezi galicyjskiej jeszcze mi dźwięczy w uszach? Ta samaż to ręka, która tłomaczyła *Księgi pielgrzymstwa* ściska teraz Breindla i Haynaua? Są rzeczy na świecie, powiem dalej z Hamletem, o których się nie śniło nie tylko filozofom, ale nawet najprostszym ludziom, mającym choć cień sumienia... a rzeczy to, dodam, podłe, arcy-podłe!!!

Jeden tylko się znalazł z konserwatystów w komisji, który ze zdrowym rozsądkiem i uczciwym sercem przemówił, który zrobił dystynkcję między cywilizacją a despotyzmem, między propagandą rewolucyjną a przewagą moskiewską w Europie, i który wprost dotknął tej Moskwy, która, jak ów człowiek w jasełkach, temi austriackimi i pruskimi lalkami kieruje. To zdanie wyrzekł konserwatysta, ale Polak zarazem: nasz rodak Wołowski, ze skutkiem, który pewno sam przewidział. Od pamiętnego 15 maja pierwszy to raz, że się p. Wołowski odezwał w sprawie nie ekonomicznej, a czysto politycznej. Wielu miało to mu za złe, że przez tak długi czas ukrył chorągiew polską pod sztandar ekonomicznego porządku. Kto znał trudne położenie kwestyi politycznej w obecnym stanie Francji i bardzo krępowane stanowisko p. Wołowskiego, z przekonaniem nierozwikłanie wplątanem w par-

tyę konserwatystów a sumieniem *centrifugalnem* polskim, ten inaczej sądził o tym mężu pełnym zasług i który prywatnie wiele dla rodaków robi dobrego, z częstem nawet narażeniem się na kolizye z policją i wyższemi władzami.

Dzienniki tutejsze nietylko sobie nie tały pośredniego związku kwestyi pruskiej z naszą, ale nawet więcej do niej przywiązywały wagi, niż się właściwie należało, a na przewidzianą burzę złatały się dwa znane już czytelnikom *Gońca* gazeciarskie ptaki: dudek i kruk. Nasamprzód o dudku: P. Henryk Kamionka rozpuścił swe pióra i pisał niestworzone rzeczy; w zapale nawet zapomniał, że my Polacy, a nie Niemcy. Jeden przykład wystarczy. P. H. K. zaręcza Francuzom, że »my« (*nous*) śpiewamy narodową »naszą« pieśń »Wallerallerah«. Od czasu, jak żyję, jeszcze takiej narodowej polskiej pieśni nie słyszałem! Zostawmy Niemcom co niemieckiego, a najmniej mamy przyczyny zazdrościć im ich patryotyzmu i patryotycznych pieśni.

Najbardziej niepokojony kwestyą pruską właśnie ze względu na Polskę był dziennik *Assemblée nationale*, organ ambasady moskiewskiej. Między innymi baśniami zaręczał on z pewnego źródła, że pewna ilustracja polska <sup>1)</sup> udała się z całym swym głównym sztabem do Berlina i że na tajnej naradzie ministrów pruskich w przytomności króla postanowiono landwerę polską zostawić w ks. Poznańskiem i pozwolić jej noszenia kolorów narodowych. W jakim celu ta wiadomość podana była, odgadnąć łatwo, i widać, że to był *mot d'ordre* ambasady tutejszej moskiewskiej, bo i p. hrabia Wacław Jabłonowski, który się stosunków swoich z legacją rosyjską bynajmniej nie zapiera, w podobnym duchu napisał list do tegoż dziennika pod dniem 3 grudnia, który głupotą i podłością przechodzi wszystkie znane mi dotąd objawy naszych apostołów <sup>2)</sup>. Człowiek ten, o którym zbyt wiele by było powiedzieć, że bez czoła, bo on widocznie i bez głowy, widzi już lecącą do Berlina emigracyę polską, »kruki czu-

---

<sup>1)</sup> T. z. część pewna *arystokracji* polskiej.

<sup>2)</sup> Chyba: *apostatów*?

jące zapach barykad«, liczy już talary, którymi sobie (ta emigracja) zapycha kieszenie, i przed tem »straszmem stadem wicherzycieli« przestrzega dobrze myślących. I niechaj nikt nie myśli, dodaje ten wyrodek, że tu tylko o polskich demokratkach mowa, bo całe polskie społeczeństwo jest »bez głowy u góry, bez nóg u spodu i zgangrenowane we środku« (*société décapitée, ingambe par en bas et gangrénée par le milieu*); czyż sam książę Czartoryski w r. 1848 nie jechał do Berlina? czyśmy nie widzieli, jak ten najprawdziwszy jeszcze naczelnik polskiej szlachty w r. 1846 wyparł się ludzi i zasad, którzy najwyższą dla rodziny jego tworzyli pozycję (tu daje się poznać stłumiony żal zbankrutowanego ongi redaktora *Trzeciego Maja*) i wchodził w układy z demagogiczną *bandą* krakowską? Mianowanie księcia Radziwiłła naczelnym wodzem wojsk pruskich jest rewolucyjnym wyzwaniem dla Polski (któżby się był tego domyślał?), a rząd pruski myśli zaawezwać do Szląska demagogicznych jenerałów Dembińskiego i Bema!!! P. Jabłonowski widzi w tem wszystkim grożące niebezpieczeństwo dla cywilizacji i dla *katolicyzmu*: dla *katolicyzmu*, powtarzam jeszcze raz, aby nie myślano, że to *lapsus calami* z mojej strony lub omyłka druku!!! W takim okropnym stanie, prowadzi dalej rzecz swoją ten *advocatus diaboli*, Francya powinna się starać, aby kwestya niemiecka jaknajprędzej załatwioną została, *mniej* przez *kogo* (»par n'importe quelle main«), a przedewszystkiem być surową, ostrą, bez litości, bez tych pochwał niezastużonych dla Polaków, »którzy wszystkiego teraz spodziewać się mogą od domu Romanowów« (*qui ont tout à attendre aujourd' hui de la race des Romanofs*).

Takie słowa wyszczekał p. Wacław Jabłonowski, a redaktor *Assemblée Nationale* upatrzył w nich wylew »szlachetnego serca«. *Ou la noblesse va-t-elle se nicher?!!* Oby p. Jabłonowski na tamtym świecie to tylko miał świadectwo moskiewskiego siepacza za sobą, gdy mu przyjdzie przed Bogiem odpowiadać za swe matkobójcze słowa! Oby ta Matka Najświętsza, która i matką jest Polski, na rany tylko wskazała, któremi Jej pierś skrwawił, gdy skazany wiecznym ogniom na pożarcie, łaski i modlitwy Jej

zawezwie ten nikczemnik, dla którego Dante, gdyby teraz powstał, noweby wymyślił koło w swem *Piekle!*!

Zresztą życzenia (nie zrobię mu tego honoru, bym powiedział: przedstawienia), p. Jabłonowskiego zaczynają się urzeczywistniać. Rząd francuski w ostatnich czasach zaostrzył swoją surowość przeciwko wychodźcom polskim. Bez żadnego pretekstu, bez podania najmniejszej przyczyny, wypędzono w tych czasach z Bordeaux i z Paryża wielu wychodźców, starych, od lat 20 osiadłych, ojców familii, z rozkazem opuszczenia Francji w przeciągu trzech dni. Brawo, brawissimo, panie Wacławie Jabłonowski!!!

Dobrowolnie opuściło Francję w tym tygodniu 30 emigrantów. Za staraniem p. Zamojskiego popłynęli do Ameryki.

P. Domejko, Litwin, a obecnie konsul fransuski w San Yago, o którym już wspominałem w przeszłych korespondencyach, nadesłał tu do druku na ręce znakomitego uczonego, pana Beaumont (który, jak wiadomo, dyrygował ułożeniem wielkiej geologicznej mapy Francji) dzieło swoje mineralogiczne w języku *hiszpańskim*. Po znanych już pracach p. Domejki można sobie wiele obiecywać.

W końcu dodam jeszcze słówko o liście Kościuszki, którym niedawno udzielił Szanownej Redakcyi *Gońca*. W pośpiechu i merkuryalnej niespokojności korespondenta zapomniałem powiedzieć, do kogo nasz wódz ten list wystosował. Przepraszając za to uchybienie, prostuję je teraz. List adresowany jest do hrabiego *Ségura* (l' ainé), mistrza ceremonii Napoleona i znanego autora licznych dzieł historycznych. List odnosi się do trzeciego wydania znanej historyi Fryderyka Wilhelma II, która w tem 3-ciem wydaniu wyszła p. t. *Décade historique*. W tem wydaniu jest też świadectwo Kościuszki, tyczące się Ponińskiego, o którym Kościuszko w komunikowanym przezemnie liście na samym wstępie wspomina <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 131, z d. 4 grudnia 1850.

11.

z. Paryż, 24 listopada. Z Londynu, oprócz balu polskiego, o którym *Goniec* już z inszych pewno gazet szczegółów udzielił<sup>1)</sup>, jeszcze jest do doniesienia o pewnej schyzmie, powstałej tam w łonie polskiej emigracji. Wiadomo, że w komitecie centralnym europejskiej demokracji, obok Mazziniego, Ledru-Rollina, Rugego i t. d. i Polska ma zastępcę w osobie Darasza. Przeciwno temu komitetowi podniosła się opozycja ze strony różnych wychodźców, różnych krajów. Świadomi stosunków widzą w tem machinacye Ludwika Blanca, któryby tak w dziedzinie piśmiennictwa jak i polityki chciał być głównym redaktorem i dyrektorem *Nowego Świata*. Dosyć, że pewna część emigracji europejskiej, bawiącej w Londynie, wystąpiła z protestacją przeciwko komitetowi centralnemu, a ponieważ co Francuz wymyśli to Polak kupi, więc mieliśmy przyjemność i podpisy polskie przywitać na tym manifestie, który zresztą nowo wychodzący tutaj dziennik *Vote Universel* (organ Ledru-Rollina) ostrej poddał krytyce. Głównymi agentami tego kroku emigracji polskiej w Londynie byli pp. Janowski i Szawaszkiwicz. Ostatni mieszkał długi czas we Francyi i wydał dziełko we francuzkim języku o historycznych stosunkach Francyi do Polski; dziełko nie bez pewnych zalet, chociaż bynajmniej nie tej wartości, jaką mu autor ze zwykłą słabością rodzicielską przypisywać raczy.

Wyszedł też w tych dniach z Londynu głos komitetu centralnego do Niemców, wzywający ich do obliczenia się wprzódty z monarchami, nim o ruchu narodowym pomyślą. W rozbiór tego »skutecznego rad sposobu« dla Niemców wdać się nie mam obowiązku, ani *Goniec* pewno prawa wobec terazniejszych stosunków prasy. Zdawałoby się mnie wszakże, iż takie postępowanie, jakiego doradza ów głos, byłoby dla Niemców początkiem

---

<sup>1)</sup> Nie natrafiliśmy dotychczas nigdzie na szczegóły o tym balu. *Przypisek Redakcyi.*

końca lub końcem początku, nie zaś brzemienym w przyszłość czynem. Ale jeszcze raz, nie mnie w to wchodzić; niechaj Niemców samych głowa o nich boli! Mnie to tylko obchodzi, że pan Darasz mógł podpisać okólnik, w którym Niemcom za jedyny grzech i za jedyną przyczynę ich upadku poczytana jest tolerancja dla królów, kiedy daleko większym ich grzechem i daleko głębszą przyczyną ich niezbyt godnego obecnego położenia, jest nietolerancja dla świętych praw narodowości i haniebne postępowanie względem Polski. Kwestya monarchów może być jeszcze tematem do dyskusyi, ale kwestya Polski i gnębionych przez Niemców narodowości żadnej nie podlega metodzie rozumowania i opiniowania, jest prawdą odwieczną dla sumienia każdego uczciwego człowieka, każdego przedewszystkiem Polaka; i mnie się zdaje, że pan Darasz jako Polak, ten ważny punkt przed wszelkimi innymi powinien był sobie zastrzedz.

Bardzobyśmy sobie życzyli, aby *Goniec* dokładnie nas oświecił i zbudował co do rzeczywistego stanu opinii w Niemczech; bo dzienniki tutejsze francuzkie przepełnione są potwornymi baśniami o zapale, który niby to teraz porwał szanownych Teutonów. Ja, który, jak mówi Wallenstein, znam moich Papenheimerów, ja z trudnością mogę uwierzyć w zaręczania tutejszych dzienników, jakoby wszystkie niemieckie szlafmyce się naraz najeżyły w straszne baszty i cały ich kraj od Niemna do Renu brzmiał odgłosem sławnej pieśni Arndta. Nasuwa mi się tu mimowoli uwaga o dziwnej różnicy zachodzącej między naszą, a narodową pieśnią niemiecką. Nasza pieśń zaczyna od tego tak pięknego, tak bohaterskiego twierdzenia: »Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!« Pieśń niemiecka zaczyna od pytania: »Jakaż jest Niemca ojczyzna?« pytanie fatalne, bo biada temu narodowi, który musi się jeszcze pytać, gdzie i jaka jego ojczyzna. Nasza pieśń postępuje dalej w ciągłych twierdzeniach pełnych wiary i zaufania w siebie, że odbierzemy, że przejdziem Wisłę, Wartę itd. Niemiecka postępuje w ciągłych przeczeniach, że tą ojczyzną nie jest Austria, nie Prusy, nie Bawarya... Nie jestże to charakterystycznym? Nie przebijaż w tem cały duch

sceptyczny i zaprzeczny Germanów? Nasza pieśń kończy obrazem już rzeczywistym, obrazem tak czysto sielskim i polskim, obrazem ojca mówiącego do Basi: »słuchaj jeno pono nasi!« Niemiecka na samym końcu zdobywa się na postulat dopiero: »Całe Niemcy mają tą ojczyznę być«... So *soll* es sein; so *soll* es sein!... Pium desiderium!! Nawet i nie pium...

Przepraszam za ten wyskok literacko-psychologiczny. Wracam znowu z pokorą do obowiązków korespondenta. Listy, któreśmy w tych dniach odebrali ze Wschodu, udzielają nam bliższych szczegółów o powstaniu w Alepe. Okoliczna to horda Beduinów napadła to miasto i zabijała mieszkających tam europejskich i azyatyckich chrześcian. Basza Alepu zawarował się z wojskiem i działami w zamku i z założonemi rękoma przypatrywał się okropnej rzezi. Skutki byłyby najstraszliwsze, gdyby się stary Bem nie był zerwał ze swego chorego łoża i zebrawszy kilku żołnierzy i ochotników nie zmusił strasznych napastników do ucieczki. Cały konsulat francuski już był w ręku Beduinów, z których go wydarł Bem. Tutejsze dzienniki o tem ocaleniu francuskich ziomków przez Polaka mądrze przemilczały. Bem odparwszy Beduinów wysłał spieszną depezę do Stambułu z prośbą o posiłki. Baszy Alepu zarzuca Bem w depezy podłość i tchórzostwo i przedstawia go jako kandydata na stryczek. Odpowiedzi ze Stambułu jeszcze nie wiemy.

P. John Lemoine napisał wczoraj drugi artykuł o dziele p. Alexis de St. Priest. Z listu Kościuszki i z innych od Polaków udzielonych mu uwag i dokumentów żadnego nie zrobił użytku. O! uczciwości!... <sup>1)</sup>

Korespondencya ta, jako wyraźnie godząc w pewne osobistości, wywołała kilka replik ze strony interesowanych. Pierwszy wystąpił niejaki Janusz Wojna, biorąc w obronę pokrzywdzonych jakoby Janowskiego i Sawaszkiewicza. List jego, datowany d. 30 listopada, wydrukowała redakcyja *Gońca* w N-rze 131, z d. 4 grudnia. Zdaniem owego

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski* Nr. 127, z d. 29 listopada, 1850 r.

Wojny, »paryski korespondent ma talent udawania starych rzeczy za nowe, a co gorsza, wystawiania ich w dziwnie nierzetelnem świetle«. »Wolno zaiste korespondentowi *Gońca* uznawać w osobie Wojciecha Darasa *zastępcę* czyli wyobraziciela Polski w tak zwanym Komitecie centralnym demokracji europejskiej; ale, spodziewam się, wolno także członkom towarzystwa demokratycznego polskiego, którzy nie dla czczej formy mienia się demokratami, odmiennego z nim być zdania, i zbyt długim milczeniem nie uswiecać wpośród siebie wdzierstwa. Jeżeli korespondent, nie znający widocznie stanu rzeczy w towarzystwie demokratycznym (dziś we Francyi, głównem swoim siedlisku, do milczenia przywiedzionem), przyznaje tę wolność jego członkom, jakimże prawem i jakimże sumieniem w kroku sekcji Londyn widzi machinację Ludwika Blanc, a w Janowskim (J. N.) i Sawaszkiewicza (L. L.) głównych jego agentów? Równem zaiste prawem i równie sumiennie mógłby ich nazwać agentami Mikołaja. Czemu nie?«

Ponieważ wojowniczość noszący już w swem nazwisku autor tej repliki odwołał się do bezstronności redaktorów *Gońca*, w imię której wzywał ich do ogłoszenia jego polemicznego wystąpienia, więc redakcyja, wydrukowawszy artykuł ten bez zmian, opatrzyła go tylko w zakończeniu następującą uwagą: »Bezstronność, do której szanowny reklamant się odwołuje, nakazała nam powyższy list jego w całości zamieścić, lubo list ten mniej potrzebnie, a zgryźliwie korespondenta naszego paryskiego dotyka, w którego charakterze i bezstronności najzupełniejsze pokładamy zaufanie. Pozostawiając naszemu korespondentowi paryskiemu odpowiedzenie w kilku słowach na list niniejszy, jeżeli uzna to za stosowne, nadmienić sobie tymczasem pozwalamy, że wyraz: *zastępca Polski*, który nam zdawał się brzmieć nieco ironicznie w piśmie naszego korespondenta, zrobił na szanownym reklamującym wrażenie poważnego zupełnie twierdzenia«.

W N-rze 140 *Gońca* znalazł się jeszcze jeden polemiczny elaborat w formie listu z Paryża, zbijający twierdzenia Klaczki w jego pomienionej korespondencji. Redakcyja wydrukowała go w imię bezstronności, ale poprzedziła go następującem od siebie zastrzeżeniem: »Lubo nam się widzi, że autor listu nie zrozumiał dobrze, o co chodziło naszemu korespondentowi, którego zdanie w zupełności podzielamy, dla tego, że zbliżka przypatrywaliśmy się, jak ludność niemiecka, a nietylko rządu, rozbrat uczyniła ze sprawiedliwością dla narodowości i narodów, i jak wszystkie piękne a filantropijne oświadczenia pierwszych koryfeów liberalizmu niemieckiego, były tylko dźwięcznymi słowami, pokrywającemi polityczne samolubstwo i zaborczą chciwość; pomimo to, powtarzamy, list ten w całości zamieszczamy, ponieważ szanowny piszący występuje w charakterze prostującego i jakoby osobiste zarzuty«.

Z listu tego, zbyt obszernego, wystarcza przytoczyć następujące charakterystyczne wyjątki:

»Okres (odezwy komitetu demokratycznego do Niemców), który wywołał powyższe uwagi szanownego korespondenta, tak brzmi dosłownie: «Zostaliście zwyciężeni, nie pojmując dostatecznie, że *sam tylko* upadek waszych licznych ciemniźcicieli mógł wam dać *jedność narodową*, że *sama tylko* jedna i niepodzielna demokracja mogła wam wrócić *wolność i niepodległość*, że naród niemiecki *nie może uzyskać istnienia z uszczerbkiem (aux dépens) innych narodów*, że nie może nim być prawomocnie urządzony bez przymierza z *innymi europejskimi ludami równie niepodległymi i wolnymi*«. W prostym zestawieniu przytoczonych dwóch ustępów, całe koszlawe rozumowanie korespondenta upada, a wymierzone przeciw panu Daraszowi monarchizmem zastrzone pociski łamią się o pierś jego własną. Nie w złej zapewne wierze korespondent odbiegł od jasnego brzmienia owego głosu, wydając pobieżnie swój sąd, ale raczej albo zapomniał go, albo nie rozumiał. »Wreszcie nie przyszło też korespondentowi na myśl, pisząc dekret potępienia p. Daraszowi, że ludzie różnych narodowości zasiadając w jeden komitet, dążąc do jakiegoś wspólnego celu, nie mogliby do współuczestnictwa przystąpić bez wzajemnego uznania swoich wymagań. Te dla Polaka, jeżeli nie jest p. Jabłonowskim, nie mogą być inne, jak Polska i jej narodowość. Inaczej korespondent nie mógł sądzić bez potępienia siebie samego. Kto przeto za głosem komitetu pójdzie, już tem samem poszanowanie narodowości, jako konieczność naturalną, przyjmuje. Dobrze, że korespondent nie chce się dla Niemców nabawić bólu głowy, chociaż to płonna obawa: wszak oni sami o tem pomyślą, co im dać może przyszłość w jedności i wolności Niemiec, a nim temat do dyskusji w kwestyi monarchów rozstrzygniętym będzie, powiadają przez organ liberalny *National Zeitung*: że bez Polski niema jedności i wolności Niemiec. Korespondent może temu nie wierzyć; ja wierzę, bo widzę taką konieczność«.

Zanim sam Klaczko zdążył odpowiedzieć na wszystkie poczynione mu zarzuty, otrzymała redakcja *Gońca* jeszcze dwa listy polemiczne, oba reagujące na wystąpienie p. Wojny: jeden z Paryża, podpisany przez S. J. Wojciechowskiego, drugi z Londynu, z podpisem Stanisława Worcella. Oba utyskiwały na Klaczkę, na jego ironiczny sposób pisania, na jego zbytnią pochopność do wydawania sądów o sprawach, których nie znał dostatecznie.

Po przeczytaniu tych wszystkich artykułów, Klaczko nie mógł nie odpowiedzieć. Jakoż nie pozostawił ich bez repliki, a uczynił to w swej najbliższej korespondencji.

Korespondencya ta, zamieszczona w N-rze 149 *Gońca polskiego* z dnia 25 grudnia, brzmiała, jak następuje:

12.

z. Paryż, 18 grudnia. Rocznica 29 listopada przez jeden tylko, o ile mi wiadomo, francuski dziennik została uczczoną. Redaktor naczelny marsylijskiego *Peuple*, p. Edouard Hervé, poświęcił naszej rewolucyi długi artykuł wstępny, w którym, mimo stronniczego stanowiska i mnie przynajmniej niezbyt pożądanego roztropienia naszej sprawy w idealnym błękanie uniwersalnej demokracji, niepodobna jednak nie uznać szczerych chęci i serdecznych słów. Pozwolę sobie z tego artykułu przytoczyć jeden mały ustęp, który tchnie, że tak rzekę, pewną polską wonią. Ustęp to, w którym p. Hervé sądzi o narodzie polskim, że swem idealnem życiem jeszcze kiedyś »przemieni sztukę i natchnie wieszczów dziełami nowemi, w harmonii z rozszerzeniem się naszych myśli«. »Ten naród oderwał nas od małostek osobistych i natchnął nas heroicznemi namiętnościami tych czasów, za któremi się ugania nasze religijne podziwienie wśród minionych wieków«. Może się mylę, ale ten ustęp ma pewien dźwięk Garczyńskiego, Mickiewicza i autora *Przedświtu*...

Pan Sainte-Beuve taki ustęp pewnoby nazwał *sentymentalizmem*, a wspominam tu o nim, aby dać przykład, jak pisarze »wielkiego stronnictwa porządku« na każde zawołanie i bez żadnego powołania starają się nam szkodzić. Pan Sainte Beuve, który tym samym cudem doszedł do reputacyi uniwersalnego krytyka, jakim pan Radowitz do reputacyi liberalnego ministra, wydał w tych dniach rozbiór dzieł Fryderyka II. pruskiego według nowego berlińskiego wydania. Na samym wstępie oświadcza pan Sainte-Beuve, iż na te dzieła tylko ze stanowiska literackiego zapatrywać się myśli; mimo to nie może się wstrzymać od zrobienia następującej, nie ściśle literackiej uwagi: »Oceniając Fryderyka, powiada on, zwykliśmy zarzucać mu udział w roz-

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 138. z d. 12 grudnia 1850 r.

biorze Polski. Nie chciałbym tu pobieżnie dotknąć tej drażliwej kwestyi (prawdziwie jezuicka prosopopeja...), ale to muszę powiedzieć, że czasby nam już wreszcie było porzucić ten mięki sentymentalizm i brać wypadki polityczne tak, jak były i być musiały«. Oburzenie więc na zbrodnię, na najpodlejszą zbrodnię, jaką kiedykolwiek dokonano na narodzie, za którą samej nawet Maryi Teresie ciężko było odpowiadać przed swem habsburskiem sumieniem, to oburzenie nazywa pan Saint-Beuve czystym sentymentalizmem!! Zdanie to bardzo charakterystyczne, a często teraz bywa powtarzane, tak przez pana Sainte-Beuve, jak i panów Alexis de St. Priest, John Lemoinne i t. p. Tylko obecne zakłócenie sumień we Francyi może nam wytlómaczyć to dziwne zamieszanie wszelkich moralnych pojęć dobrego i złego! Ci Francuzi, którzy się obawiają sentymentalizmu, wyglądają mi na tego biedaka, który skazany na śmierć i prowadzony do szubienicy odmówił ofiarowaną mu szklankę wina, dlatego, że słyszał, że wino z czasem może się stać szkodliwem zdrowiu. Ale tak musi być w obecnem położeniu Francyi. W czasach, w których brak sumienia uznany jest hasłem duszy, a Monk ideałem patrioty, w takich czasach wszelkie zdrowe, uczciwe uczucie będzie się zwać sentymentalizmem.

Tak pan Sainte Beuve rozumie sentymentalizm; nie wiele inaczej rozumie pan John Lemoinne religię. Od rewolucyi lutowej, a szczególnie od wyboru Bonapartego, religijność weszła w modę we Francyi. Jak my dawniej broń naszą, tak teraziejsi bankierzy francuscy swoje kufry ukryli przed ołtarzami i modlą się z zapałem w dziennikach. Jednym z głównych obrońców tego neokatolicyzmu jest pan John Lemoinne. Jako Donoso Cortes, ma on teraz dwie wielkie pasye: kościół i żandarmeryę. Nikt bardziej nie obstawa za uszanowaniem religii, nikt ostrzej i genialniej nie gromi Anglików za ich demonstracye przeciwko kardynałowi Wiseman i religii katolickiej. Przeciwko temu naturalnie bym nic nie miał i to już tylko z samego stanowiska moralnego; zupełnie się więc zgadzam z panem Lemoinne, że demonstracye angielskie są niegodne narodu dumnego ze swego

politycznego rozwoju i gwałcą najświętszą i najgłówniejszą wolność człowieka, wolność sumienia. Gdyby tylko z pod tej pobożnej włosiennicy nie wyglądał ogon Voltaira! W drugim bowiem artykule o znanem dziele pana de St. Priest, pan Lemoinne wspomina o konfederacji barskiej, o jej sławnej przysiędze i religijnej całej barwie. Dla człowieka mającego tylko czyste moralne uczucie, takie podniesienie sprawy narodowej do świętości moralnej, takie pojęcie ojczyzny w związku z tem, co jest najszlachetniejszego, najmniej egoistycznego, najmniej ziemskiego w człowieku, powinno by było mieć jakiś urok, stać się przedmiotem czci i wzniesienia ducha. Cóż dopiero dla człowieka religijnego, jakim się głosi pan Lemoinne, dla człowieka, co z takim zapałem wynosi duchowe, nadziemskie przymioty wiary; który z taką goryczą ubolewa nad brakiem takiego uczucia w obecnem społeczeństwie, który w sprawie rzymskiej szczególnie z taką uporczywością broni połączenia władzy duchowej i świeckiej?! Pan Lemoinne nie może też nie upatrzeć w konfederacji barskiej pewnej heroicznej i religijnej wielkości; ale, dodaje on, takie dziwne zjawisko religijnego patriotyzmu, któreby było pięknem i wzniosłem w wiekach średnich, w nowszych czasach oświaty i cywilizacji, »w wieku Voltaira« (mówi wyraźnie pan L.), było tylko anachronizmem i potępiało się samo przez się!!! Tak pan Lemoinne rozumie religię! Religia więc dla niego jest tylko krawiecką materyą, z której sobie do woli i potrzeby kraje płaszcz królewski dla Francyi, a całun grobowy dla Polski! O, pobożności dziennikarska! która nawet i tego nie widzi, że jeżeli połączenie religii z narodowością jest w istocie »anachronizmem«, to połączenie jej z kapitałem, ze spekulacją giełdową, i z tym tak mistycznym dogmatem 50/0, jest jeszcze czemś więcej, bo brudnem bluźnierstwem!!!

Doniosłem już o wzbogaceniu się naszej biblioteki darem ś. p. Wodzyńskiego. Najważniejszą częścią tego legatu jest bardzo kosztowny zbiór rycin, który pan Sienkiewicz uporządkował i w tym miesiącu zrobił przystępnym dla publiczności. Widziałem już tam wiele ślicznych rycin naszego sławnego rytonnika

z XVII. wieku, Falka: większa ich część *avant la lettre* i nieoszacowanej wartości. Jeśli mi zatrudnienia pozwolą, dam obszerniejszy pogląd na ryciny polskie znajdujące się w tym zbiorze.

Wczoraj pochowaliśmy tu generała Sznajdego. Śmierć jego była tak nagłą, a nawet pobyt jego w Paryżu tak mało wiadomy, że wielka część bawiących tu Polaków nie wiedziała o tym smutnym wypadku i nie oddała ostatniej posługi staremu żołnierzowi; a generał Mierosławski podobno piękną mową uczcił pamięć swego towarzysza broni i polityki.

Pan Konstanty Milewski, osławiony redaktor *Wychodźca*, opuścił świat, który się na jego wielkości tak mało poznał, i popłynął do Ameryki. *Sit ei nova terra levis!*

Przedostatnia moja korespondencya wywołała dwie repliki: z Paryża i z Poznania. Odpowiem na nie kolejno, a pierwszeństwo dam szanownemu memu przeciwnikowi z Paryża. W korespondencyi owej powiedziałem, że mnie dziwi, że p. Darasz podpisał okólnik, w którym powiadają Niemcom, że główną przyczyną ich upadku była tolerancya dla królów, kiedy mnie się zdaje i każdemu Polakowi zdawać się powinno, że daleko główniejszą przyczyną była nietolerancya dla Polski i haniebne postępowanie z nami. Na to mi odpowiada mój przeciwnik, że w manifeście jest mowa o tem, że Niemcy nie powstaną »z uszczerbkiem innych narodów«, i »bez przymierza z innymi europejskimi ludami równie niepodległymi i wolnymi«. I tym ogólnikiem chce mnie mój przeciwnik zaspokoić, i to mi ma wystarczyć, i to wystarcza polskiemu sumieniu mego interpelanta!!! Otóż jeszcze raz powtarzam moje dawne twierdzenia i oddaję je pod sąd tych wszystkich, w których kosmopolityzm demokratyczny nie zatarł zdrowego uczucia polskiego. Otóż powtarzam, że mnie taki ogólnik jest nieznośnym, że ja takiej Polski *intra parenthesis*, takiej Polski, której się nawet i nazwiska nie wymawia i której mi się każą domyślić z eufemizmem »ludów i narodów« nie rozumiem, że ja moją narodową chorągiew stawiam wysoko i śmiało i nie ukrywam, ani zniżam jej nawet i przed tą bajeczną chorągwią »nowego świata«, do którego mój prze-

ciwnik tak rażno i ochoczo się zabiera! Ja szanuję narodowość włoską, w pewnych granicach i węgierską, ale moją wyżej stawiam, niż wszystkie inne, bo ona ma zasługi starszeństwa, większego męczeństwa i świętszego powołania; zasługi, których może mój interpelant w demokratycznym swem i niwelującym przekonaniu nie uznaje, ale które uzna każdy, co nie jest Polakiem tylko dlatego, że jest demokratą. Manifest komitetu zawiera tyle niepotrzebnych a zbytecznych rzeczy (przecież tam mowa i o *bardiettach*, t. j. o rzeczy, o której wśród tysięcy Niemców ledwie jeden może wie, co ona znaczy), że rzecz tę najpotrzebniejszą, *wyraźną i dobitną* wzmiankę o Polsce, mógł bez szkody dla siebie, a z korzyścią dla podpisującego Polaka zawierać. Prawda, że ten komitet centralny nie o wszystkim ma czas pamiętać, i w ostatnim n. p. swoim *okólniku do wojsk świętego przymierza*, w którym radzi żołnierzom uciekać ze swoim ryszunkiem, zapomniał nawet tym biedakom powiedzieć, dokądże właściwie uciekać mają?!! Ja też tylko podobne zapomnienie wytknąłem u p. Darasza, a kiedy mi odpowiadają, że Polska już objęta w owym okólniku o ludach i narodach, to po drugi raz i po raz tysięczny zawołam, że to nie wystarcza! Srożyliśmy się tak długo i tak słusznie na tę zepsutą izbę Ludwika Filipa, która nie miała odwagi wymówić tego nazwiska Polski i w corocznych adresach do tronu miała paragraf eufemiczny o »nieszczęśliwej narodowości«. Czyż lepszy teraz eufemizm tego manifestu? Gdzie pod wyrazami »narody i ludy« ukryta jest Polska? Ja się na to zgodzić nie mogę, bo dla mnie Polska powinna być pierwszym wyraźnym artykułem wszelkiego traktatu, a nie zaś wstydliwym dodatkiem jakiegoś tajnego kodycyłu; dla mnie Polska jest *alfą i omegą*, a nie zaś jakimś *jota subscriptum*. Czy mnie rozumie już teraz mój szanowny interpelant? A jeśli jeszcze nie rozumie, to tem gorzej, i dali Bóg nie dla mnie.

To samo się ma i z ogólnem zapatrywaniem się mego przeciwnika na rzeczy niemieckie, które ja, pozwoili sobie powiedzieć, lepiej znam od niego, bom je nie z wysokości demokratycznego braterstwa widział, ale w rzeczywistości życia politycznego

i naukowego poznał. Ja wiem, co to są demokracje niemieckie; ja wiem, że pan Struve, ów demokratą par excellence Teutonów, gdy podniósł chorągiew rewolucyjną demokratyczną i socyjalną w r. 1848 i zwołał konwent Niemiec, do tego państwa niemieckiego zaliczył i księstwo Poznańskie; ja wiem, że n. p. *National Zeitung*, którą mój przeciwnik z takim widocznym zadowoleniem przytacza, w r. 1848, gdy nas ćwiertowano, mordowano, piętnowano, że ta sama, mówię, *National Zeitung* nie chciała wówczas przyjąć żadnego artykułu w naszej obronie! To wszystko wiem, i o tem wszystkim bym miał zapomnieć dlatego, że w strachu teraz przed Moskałem kilka słów tam bełkocą o Polsce? Tak naiwnym już być nie mogę; z tego rajku demokratycznego dawno wyszedłem, gdym skoszkował gorzki, oj, i bardzo gorzki owoc wiadomości niemieckiego złego i dobrego. Czyżbym przeto już miał powiedzieć, że nie powinniśmy w razie danym wspólnie działać z Niemcami i korzystać ze zdarzonych okoliczności? Odwołuję się tu do przeszłej mojej korespondencji, którą pisałem, nim szanowny mój przeciwnik mnie tak miłosiernie objaśnił raczył. I ja myślę, że się może zdarzy sposobność, w której staniemy obok Niemców, ale tylko obok, nie z nimi; współdziałając, ale nie mieszając się z nimi; w zdrowem i godnem stanowisku, ale nie w demokratycznych uściskach. Chłop jeden wielkopolski podczas pożaru Książa w r. 1848. powiedział te prawdziwie natchnione słowa: »*Nie Książ się to Pannie, to nasze braterstwo z Niemcami się pali!*« Tak myślał prawie chłop tylko polski bez inteligencji, a nie kosmopolityczny demokratą; ale ja sobie pozwolę być zdania tego prostaczka, i ja też powiem, że nasze braterstwo z Niemcami dawno już z Książem spłonęło, a teraz tylko mowa być może, nie o braterskim szale, lecz o zimnej, rozsądnej rachubie. Szanowny mój interpellant chciałby, abyśmy z Niemcami znowu odegrali komedię: *Embrassons nous, Folleville!* którą tu daje teatr Montansier; ale ja z galeryi Vaudevillu na dramat ludzkości poglądać nie zwykłem i jeśli bym już miał jakąś rolę obrać, to niezawodnie nie ową Follevilla; prędjiej ową Brutusa Szekspirowego, który łączy

się wprawdzie w potrzebie z Kassiuszem, ale z całą świadomością jego nikczemności. Przeciwnik mój, który pewno o tem nie wie, że na sławnym parlamencie frankfurckim sławny Jordan jeden nam tylko przyznał przymiot tancerzy, przeciwnik mój, mówię, chciałby zatańczyć z Niemcami jakąś szaloną, rewolucyjną karmaniołę; jabym się najwięcej z nimi do porządnego i poważnego kontredansa zniżył, w którym sobie pary czasami ręce podawają, ale wtedy tylko i tak długo tylko, jak tego *takt* polityczny wymaga. Najchętniej bym zaś z nimi potańczył poloneza Kościuszki... Czy mnie teraz rozumie już mój szanowny interpellant? A jeśli jeszcze nie rozumie, to tem gorzej, i dalaibóg nie dla mnie!

Szanowny mój przeciwnik paryski zarzuca mi poniżenie p. Darasza, do którego się tak mało poczuwam, jak do zbytniego wywyższenia <sup>1)</sup> tej osoby, o które mnie z drugiej strony obwinia p. Wojna, z całą srogością ukrytą w tem nazwisku... Panu Wojnie na fakt tylko odpowiem, który poruszył. Zaprzecza on, aby Polacy podpisani byli na manifeście przeciwko komitetowi centralnemu wspólnemu z Francuzami i t. d. Otóż to nietylko jest *prawdą* najprawdziwszą, jak się kaźden może przekonać z *Constitutionela, Debatów, République* i t. p., ale ja na drugim jeszcze manifeście antykomitetowym wydrukowanym w *Republique* z dnia 29 listopada »miałem przyjemność« wśród nazwisk francuskich, niemieckich, włoskich i węgierskich »przywitać« i trzech Polaków, którzy się tam z całą potrzebną i niepotrzebną frazeologią podpisali, jako: *Délégues de la commission en permanence de la section démo-*

---

<sup>1)</sup> Wywyższenie to zawdzięcza p. Darasz samemu tylko szanownemu zecerowi *Gońca*. Pisałem: »w komitecie europejskiej demokracji i polska (rozumie się demokracja) ma zastępcę w p. Darasz«. Zecer zamiast *polska* wydrukował *Polska* — et inde irae! Niepierwszą to mi psotę prawi szanowny zecer i korzystam tu z nadarzonej sposobności, by go uprosić o większą dla mnie troskliwość. Przecież już obecny tylko przypadek może go przekonać, że jak za czasów Ludwika XIV. źle postawione okno w Trianonie, tak i za naszych czasów źle stawiona litera w *Gońcu* może wywołać — *Wojnę!*

*cratique polonaise à Londres*, a jednym z tych trzech jest właśnie wzmiankowany przezemnie p. Sawaszkiewicz. Na tem ograniczę moją replikę, nie wchodząc w dalsze rezonujące ekspektoracye p. Wojny; bo ja, a ze mną pewno kaźden inny czytelnik *Gońca*, oprócz p. Wojny, mamy coś ważniejszego do roboty, jak to ważenie emigracyjnych pyłków na pajęczych szalach koteryi. P. Wojna rzucił mi wiersz: *Odi profanum vulgus*, którego stosowności nie rozumiem. Ale ja w takich razach dłużnikiem zostawać nie lubię. Ząb za ząb i wiersz za wiersz, a spodziewam się, że stosowniejszy:

Nec humana palam cognat exta nefarius!... <sup>1)</sup>

13.

z. Paryż. 9 stycznia. Z wczorajszym kurjerem z Carogrodu odebraliśmy bolesną wiadomość o śmierci generała Bema w Alepie. Okoliczności, które śmierci towarzyszyły jeszcze nam nieznanne. Oddawna już rozsiewane pogłoski o zamiarach moskiewskich względem Bema, spowodowały wielu do myślenia o otruciu; zimniej rzecz uważający widzą w tym zgonie wielkiego wojownika, naturalny skutek moralnych cierpień i fizycznego wycieńczenia, o którym już oddawna wiadano. Wielu także przypomina sobie, że Bem już w Węgrzech przepowiadał swoją śmierć w r. 1850. Pod pierwszym wrażeniem tej wiadomości niech nam wolno będzie zapomnieć na chwilę o nierozważnym kroku naszego rodaka, który popełnił, wstąpiwszy na ziemię turecką, i który może po części odkupił ostatnim żołnierskim czynem swego żołnierskiego życia; bronieniem chrześcian przeciwko napadowi Beduinów; niech nam wolno będzie pożegnać go westchnieniem i tą rozdzierającą myślą, że trzeci to generał naszych dzielnych zastępów z r. 1831, który w tym roku zakończył doświadczone życie na ziemi tułaczey! Tylu to naszych

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 149, z d. 25 grudnia 1850 r., str. 584—585.

ciągle ubywa, a ci, którzy ich zastąpić mają, jeszcze się nie objawili światu!...

Inną jeszcze, nie mniej bolesną wiadomość otrzymaliśmy ze wschodu. Michał Czajkowski przeszedł na wiarę muzułmańską. Znany ten powieściopisarz był, jak wiadomo, od kilku lat agentem ks. Czartoryskiego na wschodzie i okazał wielką zręczność i biegłość w poruczonej mu misyi. Na te zabiegi Moskwa, naturalnie niechętnem patrzyła okiem i oddawna się domagała od Porty jego wydalenia. Dotychczas zakrywała go ambasada francuska, przy której miał charakter pewien urzędowy, jako attaché! Ale ostatnie zbliżenie się Francji do Rosji pozbawiło go i tej podpory. Opuszczony od poselstwa Francuskiego, wobec nalegań Rosji i ulegania dywanu, Czajkowski w ostateczności chwycił się ostatecznego środka i przyjął turban turecki. Krok to, przeciw któremu nie dość energiczną tylko założyć protestacyą; pod każdym względem zasługuje on na potępienie. Dla starego żołnierza, jak Bema, jeszcze można było mieć pewne wyrozumienie, ale człowiek jak Czajkowski, który jeśli nie do celniejszych, to niezawodnie do najbardziej znanych narodowych pisarzy należy i który miał honor reprezentować politykę polską na wschodzie, taki człowiek ostrzejszemu podpada sądowi. Wiem, wiemy wszyscy, że Czajkowski nie z widoków osobistych, ale w chęci służenia narodowej sprawie i po długiej walce i w ostateczności do tego potwornego aktu przystąpił, ale tem większy na nas cięży obowiązek wypowiedzenia tego starego zdania, że cel ważny, a ukryty, nie odwszetcznia nagannej drogi, i że takie poświęcenie odwiecznej narodowej prawdy dla czasowych chociażby i najpatryotyczniejszych względów oburza sumienie narodowe i w końcu szkodzi najszlachetniejszemu dziełu. Do czegoż nas doprowadzi takie odbieganie od narodowego stanowiska? Do czegoż nas zapędzi to odszczepieństwo od zasad, zaszczyconych w Polsce mieczem Jagiełłów, Sobieskich, Twardowskich i Czarneckich? Jakiż byt gotują Polsce ci ludzie, którzy jej wszelką rację bytu odejmują? W cóż się obróci cała dawna chrześcijańska historia Polski, gdy sztandary niegdyś przez naszych przod-

ków na Turkach zdobyte spleciem i skręcim w turbany? Czyż Polska, czyż świat, czyż Bóg w tych Mustafach, Amuradach i t. d. zechce poznać wnuków wielkich turkogromców? Nie potrzebujemy już wprawdzie gromić Turków, bo już chrześcijaństwu nie zagrażają, bo nie noszą już śmierci drugim, ale sami dogorywają; lecz tem mniej wolno nam przejść do ich obozu, tem mniej wolno nam obrócić się do księżycy, dla tego, że ciężkie chmury zakrywają nam polskie słońce! Ja przynajmniej, nie mogę bez rumienienia się, wziąć teraz do ręki naszego Kochanowskiego lub Twardowskiego, naszego Długosza lub Bielskiego, gdy pomyślę, że Polacy jak Bem, jak Czajkowski zostali Bisurmanami! Ja przynajmniej z obojętnością czytałem potwarze p. Alexis de St. Priest na Polskę, ale kiedy natrafił na kartę, w której opowiadając sojusz naszych konfederatów barskich z Portą, podstępny Francuz woła: »Polska, ta tarcza chrześcijaństwa, ci konfederaci katolicy ze sztandarem Matki Boskiej w związku z niewiernym Turkiem... nie byłoż to samobójstwem?« O, czytając ten ustęp zdradzałem, ta jedna zatruta strzała trafiła... bo to było prawdą, choć przez niecne usta wypowiedzianą! Ale jakże daleko jeszcze od tego politycznego sojuszu z Turkami naszych konfederatów, do tych religijnych koncesyi, które robimy teraz Muzułmanom, zadawając fałsz naszej całej przeszłości, burząc mogiły naszych ojców, rozrzucając na cztery wiatry święte prochy Warny i Cecory! W kwestyi tak wielkiej i sumiennej wszystkie polityczne względy właściwie znikają, ale i tę politykę nawet, jeśli to ma być jaką, niech zrozumie kto chce, nie ja. Ja przynajmniej podzielam zupełnie zdanie, które *Goniec* niedawno szeroko wywiódł, że dotychczasowa nasza polityka na wschodzie jest bezskuteczną, a nawet i niebezpieczną. To galwanizowanie Turcyi nie zastąpi nigdy organicznego życia, które się w Słowiańszczyźnie budzi. Słowianie nigdy nie zechcą zrozumieć tego, że utrzymanie Turcyi jest w ich interesie. Zdrowy, polityką niezacmiony ich narodowy instynkt, wskazuje im Turków jako niewiernych i ciemnóżycieli, a tego instynktu nie zatrą ani żadne Reszydowe reformy, ani żadne cywilizacyjne hattiszeryfy. Nasza

polityka ze Słowianami tureckimi powinna być prosta i narodowa, a nie kręta i dyplomatyczna. Emancypujmy ich jako narodowe indywidualności, obudźmy w nich ducha chrześcijańskiego, przedstawiajmy im grożące niebezpieczeństwo ze strony moskiewskiego byzantynizmu i despotyzmu, ale nie wmawiajmy w nich, że lepsza niewola turecka, niż moskiewska, i że politycznie jest utrzymać państwo ottomańskie, wlewając w nie ducha chrześcijańskiej cywilizacji. Bo to jest nonsensem, bo to jest matactwem, którego tureccy Słowianie ze zdrowym swym rozsądkiem nigdy zrozumieć nie chcą i tylko tego przekonania nabiorą, że i my nie lepsi od Turków. Bodajbym był fałszywym prorokiem, ale ja przewiduję, że to sztuczne utrzymanie Turcyi taką samą będzie deceptcją dla Polski, jaką sztuczne utrzymanie Austrii w r. 1848, dla Czechów, mimo całej politycznej głębokości i zręcznego syllogizmu rachmistrzów. Nie chciałbym tu osobistości naruszyć i wręcz oświadczam, że wierzę w szlachetność zamiarów i zręczność środków ks. Adama Czartoryskiego, ale w skuteczność ich, w ich moralną prawdę wierzyć nie mogę. Książę Czartoryski w polityce tureckiej taką samą popełnia omyłkę, jaką dawniej popełnił w polityce alexandrowskiej. I wtenczas zamiary jego były szlachetne, środki bardzo zręczne, rachuba bardzo ścisła, ale do tej rachuby nie wciągnął najważniejszego czynnika, nie wciągnął sumienia narodowego, które instynktowo Moskwę odpychało, a jak przyszło wreszcie do zsumowania tych dyplomatycznych ułamków, nad których dodawaniem książę tyle lat życia styrał, tyle nocy nieprzespanych prześlęczał, pokazał się wielki deficyt, z którego się jeszcze wciąż częściowo wypłacamy, wypłacamy łzami i krwią! Zupełnie tak samo się ma teraz z polityką księcia na wschodzie. I tu nie bierze on w rachubę najważniejszego czynnika, chrześcijańskiego sumienia Słowian, i jeszcze raz powtarzam, bodajbym był fałszywym prorokiem, ale ta rachuba, nowy i większy jeszcze deficyt okaże!... Niech mnie Bóg broni od tego, abym ks. Czartoryskiego chciał zrobić odpowiedzialnym za odszczepieństwo Czajkowskiego; wiem przeciwnie, że cała jego polityka dąży do tego, według mnie niepodobnego

rezultatu, aby Portę pogodzić z chrześcijaństwem, i kwestye religijne usuwać z dywanu przed kwestyami politycznymi. Ale właśnie ten smutny przypadek z Czajkowskim powinien przekonać księcia, jak obosieczną jest broń dotąd używana, jaka fatalna leży konsekwencya w solidaryzowaniu naszych interesów z pozornym choćby tylko bytem Porty. Słowianie południowi już oddawna nas mają za Pół-Turków (te słowa słyszałem sam jeszcze w 1847 r. z ust bardzo szlachetnego i wykształconego Serba); cóż dopiero pomyślą o nas teraz, gdy w dotychczasowym wyobrazicielu naszej polityki na wschodzie, poznają całego Turka?!

Reszta wiadomości ze wschodu bardziej zaspakaja. Wielu z internowanych w Szumli popłynęło do Ameryki. Wszystkie listy chwają bardzo postępowanie pośła Stanów Zjednoczonych. Z prawdziwym braterskiem uczuciem, którego bym przez wzgląd na Rzeczpospolitą, co mnie otacza, prawie już nie śmiał nazwać republikańskiem, zajmuje się on losem naszego wychodźstwa i wspiera naszych rodaków radą i pieniędzmi. Tak kwestya internowanych krok naprzód zrobiła; mimo to zostajemy jeszcze w zupełnej nieświadomości co do przeznaczenia ważniejszych osób tureckiej emigracyi, jenerałów Dembińskiego, Wysockiego, Koszuta i t. d. Boleśnie dotknęły nas nieprzyjemności, oszczerstwa, nawet i haniebne napady, na które w ostatnich czasach wystawiony był Władysław Kościelski. Obywatelom Wielkopolski, którzy znają charakter Kościelskiego, nie potrzebują powiedzieć, jak bezzasadnymi są zarzuty i obelgi miotane na Polaka, który zawsze dawał dowody patryotyzmu, poświęcenia i bezinteresowności. Za trudy i mozoły, które Kościelski ponosi w Turcyi, na inszą zasłużył nagrodę ze strony młodych emigrantów. Na nieszczęście, ze wszystkich dawnych narodowych tradycyi jednąśmy tylko widać i najmniej piękną w nieskazitelności przechowali, kłótniwość i *liberum veto*. Młoda emigracya pod tym względem bardziej jeszcze grzeszy, niż stara. Ale to temat, który dłuższego żąda wywodu, odkładam go na przyszły raz.

Przy końcu roku odbyła się tu jak zazwyczaj Wenta (muszę już użyć tego cudzoziemskiego wyrazu, bo w polskim ję-

zyku nie znam na to słowa) na korzyść Polaków. Urządza ją jak wiadomo Towarzystwo dam polskich pod przewodnictwem księżnej Adamowej Czartoryskiej. Ostatnia wenta była bardzo okazałą. Przedażą wyrobów kierowały: księżna wirtembergska, księżna Adamowa i księżniczka Izabella Czartoryska, pani Faucher, pani Bahrmann, żona ambasadora szwajcarskiego, margrabine de Luzada i de Montebello, pani de Fleury, de Perneti i t. d. Asystowali im młodzi polscy panicze z emigracyi, z Galicyi i Wielkopolski. Wyroby nadesłane od Polek z Drezna bardzo drogo się sprzedały, i wogóle dochód był świetny w porównaniu do lat ostatnich: zysk czysty ma wynosić 15.000 franków. Wenta nawet miała i pewne polityczne znaczenie pod tym względem, że poseł turecki zakupił na niej osobiście wyrobów za ilość 1000 franków. Oddając wszelkie zasłużone pochwały i podziękowania szlachetnym domom za ich starania i z zupełnem uznaniem ich szlachetnych intencji, nie mogę się wstrzymać od zrobienia uwagi, że wszystko razem wzięte, wenta bolesne zrobiła wrażenie. Te eleganckie stroje, te balowe fraki i żółte rękawiczki, te powozy i cugowe konie dziwny kontrast stanowiły nie tylko z nędzą naszą, ale i z powszechną niechęcią, którą do nas wszystkie tutejsze wyższe warstwy czują, a do których kieszeni tę tak właśnie swoim wyelegantowaniem rażąca zrobiono odezwę. Nie tajemem było nikomu, że większa część kupujących Francuzów nie ze współczucia dla Polaków, ale ze światowych względów salonowych znajomości chodziła na wentę. Bolesnem było myśleć, że niejednen Francuz mniemał pokwitować się z Polską, z krwią, którą dla jego narodu przelała, z napisami polskimi, które się jeszcze święcą na *arc du triomphe de l'Etoile*; pokwitować mówię temi pięcią lub dziesięcią frankami, które złożył »*dans des mains gantées de charmantes dames!*« Była to żebranina: *tirée à quatre épingles!* Pani Lamothe, która się na tem znała, powiedziała: że są dwa sposoby żebrania, u drzwi kościelnych i w karetach. Nasza wenta była żebraniną w karetach!! Jeśli już nam koniecznie trzeba żebrać, wolałbym już żeby to było u drzwi kościelnych... Ale czyż w istocie koniecznie po-

trzeba?... Mnie się zdaje, że nie! Mnie się zdaje, że te szlachetne damy, gdyby użyły swoich wpływów, stosunków i znajomości, mogłyby wynaleźć dla naszych wychodźców pomieszczenia i zatrudnienia, któreby nam wszystkim wstydu, a pobierającym wsparcia, tego tak demoralizującego środka utrzymania się bez pracy oszczędziły. A że to, mimo obecnych tak nieprzyjaznych nam okoliczności nie byłoby niepodobnem, tego dowiódł właśnie w tym miesiącu jeden szlachetny mąż, którego, że wymienić mi nie wolno mocno żałuję, a który sam jeden wynalazł pomieszczenia i zatrudnienia, wprawdzie bardzo skromne, ale godziwe, godne i godność indywidualną podnoszące dla kilkudziesięciu młodych emigrantów.

To pomieszczenie wielkiej części młodej paryskiej emigracyi tem było większem dobrodziejstwem, że z końcem roku komitet nowej emigracyi złożył swój mandat, a na jego miejsce inny wybranym nie został. Pod każdym względem można sobie tylko tego wieszować. Położono tem tamę wszelkim kłótniom, sporom, osobistościom, intrygom i niecnym potwarzom.

W końcu muszę wspomnieć o smutnem zajściu w Hawrze. Rzecz się tu znowu toczy o wyjazd do Ameryki. *Goniec* jak widzę, jeszcze w tej kwestyi sobie zdania nie wyrobił. Dla tego, co nawet bliżej zna stosunki, także trudnem będzie przyjść w tej rzeczy do stałej opinii. Jeśli z jednej strony nietolerancya rządu francuskiego i niesłychana nędza przemawiają za Ameryką, to z drugiej strony, wiele innych względów mówi przeciwko temu. Trzeba wiedzieć, jak demoralizujące skutki wywiera wyrwanie z ojczyznej ziemi i z rodzinnych stosunków, jak często przez to regularny dotąd bieg życia zamienia się w bujanie po bezdrożach, po krętych nawet i błotnistych drogach, a wtenczas nie tak pochopnym się staje w naradzaniu do Ameryki, w której i słaby węzeł życia polskiego tułaczego się urywa, w której każden samemu sobie zostawiony, znajdzie może kawał ziemi, ale straci Polskę, i z emigranta, który bądź co bądź, ma zawsze pewien odrębny, kapłański charakter, stanie się prostym spekulantem z hasłem: *Monney is all!* Trzeba w końcu wiedzieć, że

w tem pochopnem wysyłaniu do Ameryki ukrywa się, jakem to już raz powiedział, chęć pozbycia się rewolucjonistów... a wtedy się może i do żalu jakieś gorsze uczucie przymieszają. Bądź co bądź, w końcu roku kilkudziesięciu młodych emigrantów miało popłynąć z Hawru do Ameryki, gdy nagle powstały nieukontentowania, skargi, że nie dotrzymano obietnicy; że nie dostarczono zaręczonych przez ks. Czartoryskiego, odzienia, obuwia; że okręt, na którym ich chcą wysłać tak uszkodzony, że żadnej gwarancji nie daje. Ile i czy wogóle w tych skargach prawdy było, powiedzieć nie umiem, bo relacye, naturalnie stosownie do stronictw stronnice. Co pewna i bardzo zajmująca, to, że agent księcia w Hawrze, gdy wielu wsiąść na okręt się wzdragało, zawezwał pomocy policyi i wojska. Powstał zgwień, krzyki o zdradę, a kilku poranionych osadzono w więzieniu. Drugi to już raz, jak zbyt usłużni pomocnicy księcia wzywają pomocy policyi i wojska przeciwko współrodakom i według wszelkiego prawdopodobieństwa z taką samą niezgrabnością jak to było już pierwszego razu. Jeśli jest jakie prawidło dla nas, to niezawodnie to: *Lavons notre linge en famille* <sup>1)</sup>.

13.

z. Paryż, 22 stycznia. *Quandoque dormitat Homerus*, powiadali Rzymianie; tembardziej wybaczyć trzeba, gdy korespondent sobie czasem zadrzymie, a mianowicie wybaczyć to trzeba korespondentowi w położeniu mojem. Postanowiwszy sobie o tem tylko donosić z Paryża i z reszty świata, co tylko wyłącznie jest polskiem lub jak najściślej ze sprawą polską ma związek, znajduję się nieraz w takiej penurii, jakiej wyobrazić sobie nawet nie jest w stanie kaźden inny śmiertelnik, co nie jak ja ten próżnością swoją właśnie tak ciężki dźwiga obowiązek korespondenta. W tym tak umyślnie ścieśnionym zakresie nigdy mi wpra-

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 11, z d. 14 stycznia 1851.

wdzie nie zabraknie materyałów, ale bardzo często materyi do pisania. Trudno być stenografem milczenia, a emigracya nasza na teraz zamilkła i prawie żadnego znaku narodowego życia nie daje. Dawniej może zbyt głośną była; dziś oniemiała, i zdaje się tylko ucha natężyć ciekawie, czy nie usłyszysz głosu z kraju... Jednym dawny, a drugim nowy sposób zachowania się emigracyi podobać się będzie; ja ani w tym ani w owym upodobania nie znajduję. Nie chciałbym, aby wychodźtwo przywłaszczało sobie losy narodu i narzucało mu z góry swoje wyobrażenia i osoby, ale nie chciałbym znowu, aby w luźnej pozostawało bezczynności i wyglądającym odrętwieniu. Między temi ostatecznościami byłby jeszcze środek prawdziwy, godziwy i patriotyczny, tj. gdyby emigracya zostawiła co krajowego krajowi, a wzięła się do tych robót, do których kraj przystąpić nie może, a które jej ułatwia pobyt za granicą wśród wolniejszych praw, rozleglejszych stosunków i tak licznych naukowych i moralnych zasobów. Na nieszczęście, jak w wielu innych rzeczach ludzkich, tak i w tej takie środkowe stanowisko jest trudnem do osiągnięcia, a jeszcze trudnijszem utrzymanie się na niem bez podejrzeń ze strony tych, co więcej w sobie mają gwałtowności lub mniej sumienia, a najmniej o niem zdaje się teraz myśleć emigracya nasza. Większa część wyniszczona nieszczęściem i biedą, uganianą się w potach i mozołach za tym tak gorzkim powszednim chlebem, ledwie chwilę znajduje czasu do pomyślenia o obowiązkach polskich, które ciężkiem, ale próżnem zbywa westchnieniem; a gdy się znajdą tacy, co nad wszystkie trudy przenoszą trud narodowy i względami codziennego życia nie dają się odwieść od pomyślenia nad wiekuistym życiem ojczystego ducha, to ci znowu występują z taką przesadą, z takim nieobliczaniem lub przerachowaniem sił swoich, z takim zarozumieniem o swoich prerogatywach, inicjatywach i intuicyach polskości, z takim pobłażającym sądzeniem o sobie, a bezwzględnem odsądzaniem innych, że zaiste nie wiem, co wtedy przynosić, czy lód obojętnych, czy ten żar rozgorączkowanych samosłańców, co ani ogrzewać, ani oświecać, ale tylko palić umieją.

Młoda emigracja pod tym względem bardziej jeszcze grzeszy od starszej. W nieprzyjaznych okolicznościach, które jej wyjściu z kraju towarzyszyły, w prześladowaniu, którego ze strony rządu bardziej niż dawna doznaje, widzi ona na nieszczęście pewne usprawiedliwienie dla swego trybu życia, który, (muszę to już raz szczerze i otwarcie wypowiedzieć z całym bólem i żalem, ale i z najenergiczniejszym zastrzeżeniem, że i pod tym względem mamy bardzo wiele nader szlachetnych wyjątków), który tylko nierozważnym, zgubnym i wszystkie święte prawa i obowiązki wychodźstwa przekraczającym nazwać umiem. I co najboleśniej, to, że nie ci, którzy w zupełnym ogołoceniu, w zupełnym braku wszelkich materyalnych środków utrzymania się, jeszczeby prędzej na pewną wyrozumiałość zasłużyć mogli, ten gorszący przykład dają; ci owszem wśród tych najcięższych okoliczności są po większej części wzorami dobrego prowadzenia się, niez mordowanej pracy i heroicznej prawie wytrwałości. Ale właśnie ci, co z tych lub innych powodów wolniejszymi są od tych trosk pośrednich i którymby stan materyalny ułatwiał te lub owe naukowe praktyczne zatrudnienie się, najmniej są dbali o obowiązki, które na nich charakter Polaków i wychodźców wkłada: ci najmniej o tem pamiętają, że w moralnym kodeksie człowieka i patryoty zmiana miejsca nic nie zmienia i że nie dosyć jest krzyknąć: »nie zginęła« i uciec do Paryża. Zobojętnienie, chociaż wierzę, że tylko chwilowe, dla narodowych prac i spraw, życie z dnia na dzień, bez myśli, bez celu, bez najmniejszego planu, zbywanie jednej chwili następną i tak bez końca, jest prawie filozofią życia u wielu z naszych młodych wychodźców. A gdy się znajdują tacy, którzy całą czczość i niedogodność tego doznają i wyższe i świętsze w sobie powołanie czują, to ci znowu w tem tak przesadzają, z taką pretensją występują i z taką nieomylnością wyrokuja, jakby na każdym ich włosku losy narodu wisały, a każde ich poruszenie jakimś czynem przyszłości być miało. Do jakiego stopnia dochodzi takie rozumienie i zarozumienie o sobie mieliśmy świeży dowód w litografowanym okólniku pewnego młodego wychodźca do braci

tułaczy. Chodzi tu o amnestję. Zdanie moje w tym względzie nieraz już miałem sposobność objawić i na domiar je jeszcze raz tutaj powtarzam, że amnestję uważam za akt rozpaczy i odszczepieństwa od świętej i drogiej wszystkim tradycji z chlubą i wiernie przechowanej przez lat dwadzieścia; że się piszę bezwarunkowo na wyrzeczone niedawno słowa przez naszego Bohdana Zaleskiego: »że nie my cara, ale car naszej amnestyi potrzebuje«. Uznaję nawet za konieczne, aby ogół emigracyi w publicznym akcie uroczyście w tej mierze swe zdanie objawił. W normalnym stanie sprawa by się dała prędko i skutecznie załatwić. Moznaby było zwołać braci tułactwa bawiących w Paryżu do walnego zgromadzenia, któreby zredagowany przez wybraną z pośród siebie komisję akt roztrząsało i zatwierdziło. Ale wobec terażniejszego prawa stowarzyszeń i jawnej niechęci rządu francuskiego, o takim normalnym i legalnym kroku ani myśleć. Zależy więc teraz wszystko od inicjatywy pojedynczego, któryby się podjął zredagowania takiego aktu w sposób prosty, uroczysty i przystępny dla każdego przekonania. Każden rozsądny mi przyzna, że ta inicjatywa powinna wyjść z łona starszej emigracyi, która większe już dowody poświęcenia i wytrwałości dała, i ze strony człowieka, któryby był znanym ogółowi przez swoją pozycję w świecie polityki i piśmiennictwa, ze strony np. Lelewela, Bohdana Zaleskiego, Goszczyńskiego itp. Bo niech się młoda emigracya nie łudzi! Nie wyobraża ona żadnej odrębnej, nowej myśli w tułactwie, nie ma żadnego prawa przodkowania w niczem, a mimo wszelkich demokratycznych dążności naszego wieku i czasu, zdrowe uczucie zawsze tym pierwszeństwo przyzna, co dali dowody większej pracy i wytrwalszych cierpień. Nie tak sądził szanowny kolega, o którym mowa. Na własną rękę zredagował akt swój i zredagował w sposób, na jaki żaden człowiek dbający o to, aby godziwa myśl w godziwej się objawiła formie, przystać nie może. Dotychczasby tylko autora aktu o zbytnią pochopność i zwykłe młodości zaufanie w sobie, obwinic było można. Ale co przekracza wszelkie granice pobłażania, to, iż szanowny autor oświadcza w litografowanym okół-

niku, że ten jego akt stanie się kamieniem probierczym, i że kto go nie podpisze, da tem samem świadectwo o swoim patryotycznym usposobieniu!! »Co tego to za wiele!« muszę już zwołać z panem Zrządą, i właśnie, że to za wiele, musiałem o tem tę przydługą może wzmiankę uczynić.

Nie chciałbym jednak, aby te wytknięte przezemnie wady rozciągano na ogół, albo tylko znaczną część naszego tułactwa. Nie brak u nas i na poświęceniu i pracy, mamy nawet pod jednym i drugim względem prawdziwie wielkie i szlachetne wzory. Miałem już nieraz sposobność wspomnieć o troskliwości i pieczołowitości wielu, szczególniejszych starszych emigrantów, którym Bóg dał środki i serce po temu, dla biednych i nieszczęśliwych braci. Najbardziej w tem celują rodacy lekarze; dwóch w Paryżu bawiących czytelnicy *Gońca* już z imienia znają; pozwolę sobie teraz wspomnieć o trzecim, który na prowincyi jest prawdziwą opatrnością dla współtułaczy. Mówię tu o doktorze Moraczyńskim w Viennie z nowej emigracyi. Przez krótki czas swego pobytu zyskał sobie tak przez swoją sztukę, jak i przez dobroczynne i ludzkie postępowanie, wielkie wzięcie wśród ludności francuskiej i zrobił sobie pozycję piękną i niezawisłą; ale co piękniejsza, to, że cały prawie swój zarobek poświęca na dobro emigrantów. W roku przeszłym szczególniejszym, kiedy ciągłe przechody odbywało tułactwo w różne strony świata, Moraczyński okazał niezmordowane zabiegi w chęci pomożenia mu. Dla przejeżdżających najął nawet umyślnie dom na noclegi, i wszyscy bez wyjątku, ci co do Węgier, do Włoch i Szwajcaryi szli lub stamtąd wracali, doznawali od niego wszelkiego rodzaju pomocy w radach, usługach, pożyczkach itp. Jeśli prawda, że jeden zły szkodzi wielu dobrym, to większa jeszcze prawda, że jeden taki dobry wynagradza i pociesza za wielu złych na tym świecie! Jeszcze jeden szczegół o dowodzie wiary i poświęcenia u nas. Stary emigrant, który po długiej i mozolnej pracy znalazł wreszcie godziwe i korzystne bardzo miejsce u jednego z najzacniejszych tutejszych *agents de change*, na odgłos wojny węgierskiej porzucił swe miejsce, żonę i dzieci, i pospieszył do legionów

naszych! Dzięki Bogu, że po niedawnym swoim powrocie do Paryża odzyskał opuszczone miejsce u pryncypała, który rozczulony (któżby się tego od ajenta giełdowego był spodziewał?) jego poświęceniem, ofiarował mu dawną pozycję pod korzystniejszymi jeszcze nawet warunkami.

Wielu mamy także pracujących i zaszczytnie odznaczających się w pracy. Uważałem to zawsze za obowiązek donosić o tem i zwrócić uwagę kraju na zasługi tem większe, że pod tak nieprzyjaznymi konstellacyami dokonane. Miło mi i teraz się z tego wywiązać. Mamy tu w naszym gronie pana Jastrzębskiego, który na kilka miesięcy przyjechał z Rzymu do Paryża, by ostatecznie z powtórным przesłaniem tutejszych rękopismowych zbiorów zakończyć swoją, wielką pracę. Stary ten emigrant skończywszy nauki w sławnej tutejszej *Ecole des chartes* i gruntownych nabywszy wiadomości w dyplomatyce i paleografii, przedsięwziął zwiedzić wszystkie francuskie, angielskie i włoskie archiwa dla wyśledzenia materyałów do historii słowiańskiej i polskiej. O sławnym *Texte du sacre* w Rheims, tak ciekawym dla literatury głągolickej, a który teraz Hanka w Pradze tak starannie wydał, pierwszy to Jastrzębski (w *Journal de l'instruction publique*) przed kilkoma laty dał szczegółową, gruntowną i wszystkie dawniejsze wątpliwości i matactwa obalającą wiadomość. Miał nawet sposobność zemścić się pod tym względem na Moskalu, na panu Strojewie, członku akademii archeologicznej w Petersburgu, który wysłany umyślnie kosztem rządu moskiewskiego do Rheims dla zbadania tego rękopismu, nie poznał się nieborak na głągolicie i oświadczył, że to albo gruziańskie, albo albańskie pismo, i dostał w nagrodę za to piękne odkrycie 2.000 rubli od cara!! Plon, który pan Jastrzębski ze swoich poszukiwań odniósł, jest nadzwyczaj bogaty. Szczęśliwem natchnieniem wiedziony udał się do Rzymu i pierwszy z Polaków uzyskał pozwolenie zwiedzenia archiwów watykańskich. Jakie tam skarby pan Jastrzębski dla historii polskiej odkrył, łatwo kaźden odgadnie, co tylko sobie pobieźnie pomyśli, że Polska przed XVI. wiekiem jedynym prawie tylko węzłem była z zachodem połączona, węzłem łacińskiego

kościół, i jedyne tylko relacje zewnętrzne tam miała z Rzymem. Pan Jastrzębski odkrył tam nieoszacowane materiały do historii kościoła naszego, do czasów Kazimierza Mnicha, Władysława Jagiełły i t. d. Ale nie na rękopismach tylko ograniczył nasz rodak swoje poszukiwania; w myśl ewangelicznego słowa: pukajcie, a będzie wam otworzono, zakładał do wszystkich stron i zakątków, i trafił mu w tym nawet często więcej się przysługiwał, niż systematyczne badania. Nieraz w ręku rzymskiego społeczeństwa znalazł szacowne, nieznanie zupełnie medale, które bito w Rzymie na cześć naszych zwycięstw nad Turkiem; na szyi biednej dziewczyny spostrzegł np. raz medal przedstawiający Chodkiewicza, ofiarującego papieżowi sztandar zdobyty pod Chocimem! Do najpiękniejszych rezultatów topograficznych poszukiwań pana Jastrzębskiego, policzyć trzeba odkrycie kościoła polskiego przez dawnych naszych królów polskich w Rzymie utrzymanego, a o którym później wszelka zaginęła tradycja, tudzież odkrycie grobu św. Cyryla, w odwiecznym mieście; a ostatni ten fakt nie tylko już wartość historycznej ma pamiątki, ale jest jeszcze do tego nowym i zwycięskim argumentem za prawowiernością rzymsko-katolicką tych pierwszych apostołów Słowiańszczyzny (św. Cyryla i Metodeusza), w których erudycja moskiewska bez sumienia, choć nie bez celu chce widzieć wysłanników greckiej schizmy. Po kościołach i bazylikach odwiecznego miasta wyszukał i przerysował nadto nasz rodak freski przedstawiające różne wypadki historii naszej, jak np. hołdowanie Kazimierza Mnicha papieżowi, życie św. Stanisława Kostki, św. Jacka, freski kreślone wielką ręką Giotto, Benozza Gozzoli i t. p. Wszystkie te dyplomata, rysunki i pamiątki, starannie zebrane i krytycznie roztrząsane, zamyśla pan Jastrzębski ogłosić w tym roku w Rzymie. Nie bez rozczulenia, nawet nie bez pewnej choć niewinnej zazdrości, można widzieć tego dzielnego badacza skromnie opowiadającego o swoich trudach i pracach i pokazującego rzadkim wybranym i powołanym ten grosz wdowi, który zebrał dla narodu, a który się dlań stanie prawdziwym i długo niewyczerpanym skarbem.

Na innym polu, na polu przemysłu spotykam także pracę jednego wychodźca, która jemu i nam chwałę przynosi. Stary emigrant, major Broński, który niedaleko Lyonu zarządza fabryką jedwabiu, widział wreszcie w tych dniach uwieńczone skutkiem dzieło powzięte mozolnie po długiej pracy i wielkiem doświadczeniu. Już na przeszłorocznej wystawie przemysłu w Paryżu zwrócił na się oczy publiczności i rządu francuskiego pomysłem naszego rodaka, za pomocą którego można otrzymać jedwab w czterykroć większej ilości, jak zwykle, i tak wyborny, jakiego dotąd we Francji otrzymać nie umiano. Minister handlu i rolnictwa wyznaczył z powodu tego specjalną komisję do rozpoznania wynalazku i traktowania z jego autorem. W tych dniach wreszcie stanął układ, na mocy którego rząd francuski nabył sekret majora Brońskiego; zastrzeżono także w układzie, że jedwabniki hodowane na nowo odkryty sposób zwać się będą »de la race Broński«. Naszemu rodakowi i samym sobie winszujemy tego powodzenia; zasługa jego wynalazku, na którą i dziennik *Siècle*, przedewszystkiem baczący na interesa przemysłu, wielki kładzie przycisk, musiała być wielką, kiedy zdołała przewyciężyć tak jawną i normalną teraz już niechęć urzędowej Francji do uznania zasług Polaków. Mieliśmy w tych czasach nowy i smutny dowód tego nieprzyjaznego usposobienia. Akademia tutejsza francuska, która co dopiero wybrała na członka pana Montalamberta dla zasług w literaturze więcej niż problematycznych, przystąpiła także w sekcji *des inscriptions* do wyboru honorowego członka na miejsce zmarłego naszego Lindego. Wiktor Hugo, chociaż nie należał do tej sekcji, starał się jednak wpłynąć na obiór nowego Polaka w miejscu zmarłego i wstawił się za Lelewelem. Potrafił też, jak to z bardzo pewnego mam źródła, jednego członka tej sekcji dla tak pod względem politycznym jak naukowym usprawiedliwionego zdania pozyskać, ale też tylko ten jeden członek był za Polakiem: akademia wołała na miejscu Lindego obrać niejakiemu Hudsona w Kalkucie!!

W środku tego miesiąca pokazał się pierwszy numer *Polskiego Demokraty*, wychodzącego teraz na nowo po długiej prze-

rwie w Brukseli. Zawiera on artykuł wstępny, o obecnym stanie sprawy demokratycznej, dosyć szumnym stylem napisany; dalej okólnik centralizacji z dnia 10 sierpnia 1850 roku, »o akcjach sprawy polskiej«, wypuszczonych w obieg na wzór akcji sprawy włoskiej Mazziniego, i nekrolog o jenerale Sznajdem z małym ustępem z mowy Mierosławskiego. Ponieważ artykuł wstępny oświadcza, że *Demokrata* »występuje po staremu«, nie miałbym właściwie potrzeby tu się więcej nad pismem rozwodzić, którego myśl, forma i sposób każdemu są znane. Ale jeden ustęp z okólnika centralizacji zdawał mi się objawiać trochę zmieniony kierunek, któremu tylko bez ogródki przyklaskiwać umiem i na którybym chciał zwrócić uwagę czytelników *Gońca*. Ustęp to, który oświadcza, że rozwikłaniem obecnego dylematu jest »dla ludów europejskich wyzwolenie polityczne i socyalne, a dla nas, Polaków: narodowość, ojczyzna, rzeczpospolita polska, demokratyczna, cała, niepodległa!« Słowa to piękne i prawdziwe i na taką Glimax każdy się pisze. Tak jest: dla innych ludów wyzwolenie polityczne i socyalne, dla nas Polaków przedewszystkiem narodowość nasza, którą wszelkimi siłami utrzymać i podźwignąć musimy, ojczyzna nasza z jej świętymi tradycjami i wielkimi pamiątkami, których gdy wiernymi będziemy stróżami, odzyskamy i rzeczpospolitą polską, wzniesiemy ją na podstawach ludowych i demokratycznych, ujrzymy ją całą i niepodległą! Że sprawa nasza ściśle ze sprawą wolności, postępu i demokracji jest połączoną, o tem już teraz wątpić nikomu nie wolno; to wszystko się już da *per contradictionem* dowieść; dowieść już z tego, że reakcja i monarchizm zawsze wrogami dla nas były i teraz solidarnie przeciwko nam się sprzysięgły. Tylko nie mieńmy sprawą wolności tego wszystkiego, co tylko jest sprawą egoizmu i brudnych instynktów; odróżniajmy od myśli szlachejnych i wielkich podłe ambicje niemieckich Polako-żerców, choćby się ci chwilowo i demokratami przezwąć mieli; wystrzegajmy się przedewszystkiem od eksperymentowania na naszym zboleć, rozdarciem i rozszarpanem ciele tych niewypробowanych teorii, które i tak silny, i tak zdrowy organizm jak Francji do tego stopnia

wycieńczyły i zbezwładniły. Dla wolności abstrakcyjnej nie poświęcamy realnej naszej; dla nowego świata nie zapomnijmy o dawnej Polsce; dla braterstwa ludów nie zaniechajmy Ligi polskiej; dla teorii socyalnych nie stańmy się nieukami w naszej historii, literaturze; dla wielkiego zmartwychwstania nie dobijajmy się do reszty... i powiedzmy to sobie raz na zawsze: dla innych ludów wyzwolenie polityczne i socyalne, a dla nas Polaków przede wszystkim narodowość, przede wszystkim ojczyzna, *et toutes leurs conséquences...* jak to mówią tutaj!!<sup>1)</sup>.

14.

z. Paryż, 27 stycznia. Z powodu nieodżałowanej śmierci generała Bema, były poseł węgierski, pan hrabia Władysław Teleki, wystosował i ogłosił dziś w dziennikach w imieniu emigracyi węgierskiej adres do Polaków, wynurzający wspólny z nami żal Węgrów. »Wspólna boleść narodów nie jestż najpewniejszą wróżbą ich wspólnego wyzwolenia?« woła pan Teleki w tym okólniku pełnym szlachetnych myśli i serdecznych słów i wzywa nas do uczczenia grobu naszego bohatera wspólnie z Węgrami przysięgą dla wolności i braterstwa ludów; a gdy się uisćim z tej przysięgi, najlepszy i jedyny to będzie godny pomnik dla zmarłego wodza. Kończy zaś pan Teleki temi słowy: »Uważamy to za obowiązek donieść wam, że nie mogąc w obecnych okolicznościach i w terażniejszym naszym położeniu, dać innego powodu naszej czci dla pamięci generała Bema, postanowiliśmy wspólnie i jednogłośnie przywdziać żałobę na znak głębokiego smutku, w który nas poniesiona pogrążyła strata«. Więc jeszcze jest pamięć dla Polaka? Więc jeszcze jest wdzięczność dla jego usług i zasług? Więc w tych zimnych czasach bezwstydneho samolubstwa pojawiają się jeszcze jednak żywe, szlachetne uczucia, jak te czyste lilie wyrastające z brudnych bagien?...

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 22, z 28 stycznia, 1851.

Zawiązało się tu u nas towarzystwo pożyczkowe dla emigracyi, którego skutki będą tak piękne, jak myśl, która to przedsięwzięcie natchnęła. Myśl tę powzięły dwie szlachetne Polki, od dawna odznaczające się czynnem i serdecznem krzątaniem się koło cierpiących i nieszczęśliwych emigrantów. Towarzystwo to pożycza każdemu potrzebującemu na narzędzia do pracy i do poczęcia pewnej roboty (za zaręczeniem znajomej osoby) na raz 50 do 100 fr., z których się tygodniowo po franku wypłaca. Jaki dobroczynny wpływ wywrze ta instytucya, ten tylko oceni, co zna dobrze położenie i całą biedę naszych emigrantów, których najszczerze chęci i najskuteczniejsze zabiegi nieraz się rozbijają o brak kilkudziesięciu franków, niezbędnych dla każdego, co albo na swoją rękę chce coś przedsięwziąć, albo u doświadczonego majstra znaleźć pomieszczenie. Dziwna, że taka nie tylko piękna, ale i praktyczna myśl założenia małego banku, wyszła od płci, której zazwyczaj samą tylko piękność przypisywać chcemy.

Zresztą na polu polityki nic nowego, oprócz, że dziennik *Siècle*, organ Cavaignaca, w ostatnich czasach mocno powstawał na postów wielkopolskich, że przez »narodowy egoizm« nie popierają opozycji pruskiej. Dziennik ten odbierał od swego współpracownika, pana Julien, bardzo ciekawe i znajomością rzeczy odznaczające się korespondencye z Berlina. Na nieszczęście, nie zrozumiał on naszego, tak anormalnego położenia na sejmie pruskim, i chociaż nieraz przychodziło mu powiedzieć prawdę o całej nieszczeroci, hipokryzy i reakcyjnych dążnościach obecnej opozycji pruskiej, wyrzucał nam jednak nasze bierne stanowisko w tej całej fałszywej grze, w której ani jednej niema kozery dla wolności i Polski. Jeden z rodaków wystosował w tej mierze list do redaktora *Siècle*, objaśniający cały nasz stosunek do Niemiec, do Prus i pruskiej opozycji i broniący postępowania naszych postów, tak pełnego oględności i godności. Ale śmierć nagła redaktora, pana Louis Peré (która jest prawdziwą stratą dla sprawy demokracji francuskiej), przeszkodziła natychmiastowemu wydrukowaniu tej reklamacyi, którą potem cofnął piszący, gdyż już było zbyt późno.

Reszta dzienników mało się zajmuje sprawami polskimi. Tylko *Débats* zamieściły w ostatnich czasach dwa artykuły o Polakach w Turcyi, z których pierwszy, noszący widoczne piętno Hotelu Lambert, opowiadał sturczenie Czajkowskiego i dosyć zgrabnie cień cały rzucił na dyplomację francuską, która naszego rodaka opuściła w potrzebie, a drugi, z łaskawością dla nas w *Débats* niezwykłą, chwalił bardzo zachowanie się polskich wychodźców na Wschodzie. Natomiast jest teraz Rosya częstym tematem rozbiorów w dziennikarstwie i piśmiennictwie paryskim. *Vote Universel* zamieszcza długi szereg artykułów pod tytułem: »Francya i Rosya, czyli bilans przyszłości«. Bilans ten kaźden łatwo obrachuje, co wie, że dziennik rzeczony zastępuje dawną *Reformę* i jest organem Ledru-Rollina. P. Pimodan, oficer francuski, który służył w wojsku austryackim, opisuje w *Revue des deux mondes* kampanię węgierską i swoją niewolę, ale nie wspomina ni jednym słówkiem o Polakach i Moskalach. Oddaje on pewną sprawiedliwość dobrym i szlachetnym stronom Węgrów, ale wogóle pisze z takim bałwochwalczym zapałem dla Austrii i z takim uwielbieniem dla cesarza, tego jedyne go cwancygera, który jeszcze jest w państwie austryackim (jak rozpaczliwa humorystyka wiedeńska nazwała dwudziestoletniego Franciszka Józefa), iż nikt mu kwalifikacyi na współpracownika *Czasu* zaprzeczyć sumiennie nie może. Jeśli p. Pimodan ustępuje starannie z drogi Moskalom, to znany znowu ze swej śmiałości generał Lamoricière wybiera się na nich z dziełem o stanie ich wojska, które, zaręcza, miał sposobność doskonale poznać podczas swego poselstwa w Warszawie i Petersburgu. Widać więc, że junacki generał nie tylko tam w karty grać, ale i drugim w karty zagładać umiał. Mogę z bardzo pewnego źródła zaręczyć, że p. Lamoricière w jednym z paryskich salonów zapytany o to dzieło, szeroko się rozwodził nad rezultatem swoich poszukiwań, który bynajmniej nie będzie pożądanym dla Mikołaja. Generał bowiem utrzymuje, że wojsko moskiewskie nie może w żaden sposób stawić czoła francuskiemu; że Rosya tylko przez zręczną swoją dyplomację tak cięży na sprawach europejskich, i że nic pra-

którcześniejszego zrobić nie można, jak raz zmusić Rosyę, aby zamiast dyplomatów wysłała w pole żołnierzy. W takim razie, utrzymuje francuski generał, Rosya się tylko na 200.000 ludzi zdobyćby mogła, po zniesieniu których dopieroby się o Moskwę oparła. Z tych też przyczyn Lamoricière ostro na owym wieczorze osądził krok Görgöja i kapitulacyę jego najnierozsądniejszym czynem nazwał. Tak Francuz, zasługujący pod tym względem na powagę, myśli o Rosyi i kampanii węgierskiej. Jakież inny natomiast obraz przedstawia nam Moskal, p. Tołstoj, w niedawno ogłoszonej broszurze p. t.: *Relation des opérations de l'armée russe en Hongrie*. Podług p. Tołstoja Rosya jest drugą Palestyną, opływającą jeśli nie w miód i mleko, to w siły niewyczerpane, w wojsko bez liku, w poświęcenie bez granic, w wiarę bez podobieństwa jakiegobądź zachwiania. P. Tołstoj jest jednym słowem zapalonym moskiewskim patryotą na komendę, który widzi w czystym duchu wielkość swego cara, wielkość jego wojska, wielkość ich przeznaczenia, a przedewszystkiem wielkość tej orderowej wstęgi, która autora broszurki czeka! Pocieszny bardzo był sposób, w jaki *Revue des deux mondes* uczyniła wzmiankę o tym carskim dytyrambie pana Tołstoja. *Revue des deux mondes*, jak *Debaty*, jak cała partya guizotowskich *ci devants*, którą te dwa pisma reprezentują, nie ma z natury żadnego nabożeństwa dla Moskwy, nawet nie jest bez pewnej obawy co do wzmagającej się potęgi cara. Ale w tej obawie postępuje ona sobie jak ten struś, co w strachu przed nadchodzącymi strzelcami zakopuje główkę w ziemię i czeka. *Revue des deux mondes*, by nie mieć strachu przed Moskalami, postanowiła sobie gwałtem ich nie widzieć i wyrobiła sobie, zupełnie w swym doktrynerskim i fikcyjno-konstytucyjnym duchu, w tej mierze pewną doktrynę i fikcyę, które na tem polegają, aby zwycięstwo nad Węgrami przypisać li tylko Austryakom. Austrya to wszystko sama zrobiła, sama zwyciężyła, sama zniszczyła demagogię węgierską, a Moskale właściwie niepotrzebnie tam byli, ot tak, dla dekoracyi, jako statyści, jako chór w tragedyi greckiej. Tak już szanowne pismo wyrokowało zaraz po poddaniu się Görgöja, i to

samo zdanie powtarza ono teraz naprzeciw panu Tołstojowi, kończy zaś swoje eksportacje następnym obłudnym frazesem: »Choć nie możemy podzielać zdania szanownego pisarza, nie podobna nam jednak wobec zwątpienia, niewiary, egoistycznego rozstrzelenia, które nas otaczają, nie uznać w narodzie pana Tołstoja tych pięknych przymiotów, godnych zazdrości, które jego pismo nam objawia, tego silnego zaufania, tej głębokiej wiary i tego szlachetnego uczucia solidarności«. Obłuda, nic tylko obłuda!! Jeśliby tym mężom stanu w istocie o te piękne przymioty chodziło, nie szukaliby ich w Rosyi, tylko trochę bliżej, w Polsce! U nas są te piękne przymioty, bez tych wielkich, brzydkich rysów, które szpecą Moskwę, a które nikomu nie tajne! U nas są wszystkie te żywotne siły, za którymi wzdycha konserwatywne pismo, bez tej brutalności moskiewskiej, która cywilizacji i wolności zagraża! U nas jest to zaufanie w sobie, ale bez tej pogardy i nienawiści dla reszty świata, którą tchnie car! U nas jest to uczucie solidarności, ale bez tej psiej podłości, co się korzy przed despotyzmem! U nas jest ta wiara, ale w swojej czystości, w swojej zgodzie z cywilizacją łańską, w swojej harmonii z przeszłością i przyszłością, dodatnią, a nie ujemną, silna, a nie barbarzyńska, budująca, a nie obalająca: jednym słowem, ta wiara bez cara!! Jeśli wam w istocie o prawdę chodzi, przyjmijcie ją nie z rąk silnego siepacza, ale z rąk silniejszego jego męczennika; jeśliście w istocie spragnieni, udajcież się do »życia prądu«, a nie do »życia trądu«, jak wielki nasz wieszcz powiedział; jeśli wam iskry z nieba potrzeba, nie kuźnia czarta wam jej da, da ją wam Prometeusz narodów, któregoście sami do skały przykuli i któremu wasze sępy wyjadają wnętrzości!!

Nie tylko w świecie piśmiennym, ale i w salonowym i artystycznym można teraz często o Moskali i Moskiewszczyznę natrać. Pani de Lieven, ta sławna Egerya, u której Numa Guizot czerpa swe wyroki, rozłożyła znowu swój obóz salonowy w Paryżu, i jest, jak zwykle, ogniskiem wszystkich ilustracji i intryg moskiewskich. Pani Matylda Demidowowa, siostra prezydenta, a w elizejsko-cesarskim stylu wprost *la princesse Ma-*

*thilde* nazywana, ma także swój petersburski salonik ze swymi »Kiryłami, Gawryliczami, Kozodusinami«. Wogóle ćma teraz Moskali się spuściła na Paryż i krząta się po wszystkich stronach.

W operze włoskiej przedstawił się publiczności paryzkiej znany petersburski śpiewak pan Iwanow. Ale mimo skłonności niepohamowanej dla Moskali i mimo przedstępnych roztrębywań i reklam o tym »słowiku północnym«, nie obudził najmniejszego dla siebie zapału i prawdziwe zrobił fiasco. Widać, że Francuzi nadmuzyczne, bankowe przenoszą nuty z Petersburga i nie bez racyi. Natomiast wielkiego tu doznaje powodzenia w Operze komicznej: *Dama Pikowa* Halewiego, osnuta na życiu moskiewskim. Sztuka ta nie obraża w niczem polskiego naszego uczucia, bo oddaje wiernie polerowane zepsucie naszych ciemięzców; a biegunami osi, około której się intryga obraca, są te same jak w prawdziwym wyższym życiu moskiewskim: kopalnie i ruleta, Połock i Karlsbad, poddaństwo i butwa. Treść do tej sztuki wzięł pan Scribe z powieści Puszkina, i tak mało idealizował, że wielu krytyków zdawając sprawę z tej opery przytoczyło mimowoli sławne słowa Napoleona: *Grattez le Russe, vous trouverez le Tatars!* Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, muszę tu jednak dodać, że jeśli pan Scribe nie idealizował Moskali, to nie w dobrych jego intencjach zasługi tu szukać, ale w jego naturze; pan Scribe i z *Maryą* Malczewskiego nie inaczejby sobie był postąpił, jak z *Damą Pikową* Puszkina.

W dziedzinie malarstwa Moskale nie występują produkcyjnie, ograniczając się tylko na protegowaniu znaczniejszych artystów z wspaniałością, która nie jest bez pewnego wyrachowania. I tak np. Książ Anatol Demidow (mąż księżny Matyldy) poruczył znakomitemu rysownikowi francuskiemu, panu Durand, zeszkicowanie wszystkich piękniejszych okolic Renu, a zbiór tych rysunków ma pan Demidow ogłosić i ofiarować prezydentowi Napoleonowi. Pan Yvon, jeden ze znakomitszych młodszych malarzy i wielki faworyt cara, dał na wystawę tegoroczną wielki obraz historyczny, zrobiony dla Mikołaja, obraz nie bez pewnych zalet, ale w którym energia przechodzi w dzi-

wacność. Przedstawia on zwycięstwo Moskali nad Mongołami pod Kulikowem w r. 1380. Ciekawy jest dopisek, który malarz dołączył w katalogu obrazów wystawy dla notatki objaśniającej tę bitwę. »Działo się to, mówi on, w tym samym roku, w którym na drugim krańcu Europy chrześcjanizm ostatecznie odniósł zwycięstwo nad mahometanizmem i wypędził Maurów z Hiszpanii«. Zadrżałem, gdym to przeczytał, bo o mało co nie zważyłem o chronologii, którą sobie różnymi sposobami, sposobem Strassa, Reventlova i Jaźwińskiego niegdyś byłem wbił w moją biedną głowę, a która mnie uczyła: że wypędzenie Maurów z Hiszpanii było w r. 1492, a bitwa pod Kulikowem w r. 1380, w którym to roku, nawet lat dziesiątku, nic w Hiszpanii ważnego z Maurami nie zaszło, tak, że ówczesny król Grenady, Abu-Hadžar-Mohamet, mógł się spokojnie oddać kulturze swego kraju. Kwesytę tę chronologiczną śmiałem oddać pod sąd akademii archeologicznej w Petersburgu, z zaręczeniem jednak, że chociaż chronologia tej historii nie jest nie dosyć jasną, to natomiast bardzo mi jest jasną jej filozofia. Pan Yvon w roku przyszłym gotów wystawić obraz bitwy nad Kałką z uwagą, że w tym samym roku Moskale obronili Wiedeń przed Turkiem!!

Polacy, nie protegujący i nie protegowani, dziś jak dawniej stawili swój roczny kontyngent do wystawy dzieł sztuki w Paryżu. Spostrzegam właśnie, że szanowny kolega Norwid mnie w tej mierze swoim feletonem wyprzedził; miło jednak będzie rodakom jeszcze drugi raz usłyszeć o naszych pracach tutaj, zwłaszcza, że niektóre słowa Norwida mogą dać miejsce do nieporozumień. Szanowny np. feletonista w trochę szrubowany sposób nazwał obraz panny Szymanowskiej »Matką Polką«, pod którą nazwą kaźden nie wtajemniczony mógłby upatrywać jakieś malarskie upostaczenie owej krwawo ironicznej pedagogiki, którą znany wiersz pod tym tytułem nam przekazał; gdy tymczasem obraz, o którym mowa, przedstawia po prostu panią Adamową Mickiewiczową z dwiema córkami, i żadnej innej pretensyi nie ma, jak tylko być portretem, portretem ożywionym wprawdzie pewnym wyrazem tej naiwnej smętności, tem tak szczytno-skro-

mnem piętnem bólu, które każda nasza niewiasta nosi na dumnym swem czole sieroty! Cokolwiek bądź, portret ten można śmiało zaliczyć do lepszych wystawy i po tej próbie wielce sobie z talentu naszej rodaczki rokować możemy. Panna Zofia Szymanowska, bawi dopiero od kilku miesięcy w Paryżu i poświęca się muzyce i malarstwu. Jak pani Mickiewiczowa, jest ona córką sławnej Maryi Szymanowskiej, której genialna gra na fortepianie zachwyciła starego Goethego w Karlsbadzie i natchnęła do pięknego wiersza (*an Marie Szymanowska*) i do piękniejszych jeszcze słów, które nam Eckermann w swoich Rozmowach z Goethem przechował. Dwa inne dzieła naszej młodej malarki zapowiedziane w katalogu, jeszcze nie wystawione, również jak Kwiatkowskiego *Ostatnie chwile Chopina*, które także tylko z katalogu dopiero znamy. S. Norblin, syn sławnego naszego malarza z czasów Stanisława Augusta, laureat 1-ej klasy, dał obraz św. Jana. Ty-siewicz tą razą nie próbował szczęścia; zrażony pewno niepowodzeniem ś-go Piotra na przeszłorocznej wystawie. J. P. Fałęckiego próżnośmy szukali w szeregu konkurujących rodaków. Natomiast dał pan Fajans z Warszawy rysunek dyktatora Chłopickiego, a 15-letni Stattler popiersie tego generała, o którym jako i uczczeniu jego przez dyrektora muzeów p. Niewerkerke, *Goniec* w swoim czasie już był doniósł. Pan Antoni Oleszczyński dał wybór swoich pięknych rytów do *Albumu Wileńskiego* pod tym trochę pretensyjnym tytułem: *Gravures d'apres les anciennes peintures des l'école du Nord*. Więcej niż to, razi, że pan Oleszczyński jedną swoją etiudę dedykował panu Utkin, dyrektorowi szkoły sztuk pięknych w Petersburgu!! Pan Oleszczyński zażądał i otrzymał amnestye: o to się z nim rozprawać nie będziemy; zostawiamy to jego sumieniu wychodźca. Ale tego publicznego afiszowania dedykacji dla Moskala, mógł pan Oleszczyński i sobie i nam zarówno oszczędzić. Skromny Lewicki nie dał swoich robót na wystawę, chociażby i jemu i jej honor przyniosły.

Ponieważ wspomniałem o Lewickim, pozwolę sobie kilka uwag do uwagi szanownego Norwida nad ilustracjami do Paska, zwłaszcza, że sam, jeśli się nie mylę, w jednej korespon-

dencyi oświadczyłem się przeciwko formatowi obranemu przez genialnego rytownika. Norwid przypomina, że dla niebowzięcia Tycyana Wenecyanie osobny, wielkości obrazu odpowiadający kościół wystawili. Prawda. Ale dla arabesków, choćby watykańskich Rafaela, tegoby nie zrobili! Jak w życiu, tak i w sztuce tylko stosownie do naszych wewnętrznych warunków, możemy stawiać zewnętrzne. Madonna Sykstyńska ma osobną ścianę; nie mają i nie powinni jej mieć Teniers lub Ostade. Ilustracya wszelka jest z natury swej podrzędna; zawiśła od tego, co ilustruje; nie żąda samoistnego znaczenia, łatwo poczętą musi być i łatwo pojętą; lekka w duchu, powinna nią być i w formie. Tego prawi-dła przestrzegali tak Guilio Romano jak Flaxmann, Chodowiecki jak Kaulbach, a Norwid to lepiej wie odemnie. Pasek chce być łatwo czytany i łatwo ilustrowany. Ilustracye Paska *grand in folio*, tak samo razić muszą, jakby raziły niezawodnie i same jego pamiętniki wydane *in folio*; i tu jak i tam, wrażenie by było w dysproporcji z zachodem. Ryciny Lewickiego tem bardziej pod tym względem grzeszą, że na jednej karcie zawierają kilka przedmiotów, tak, że nawet materyalnej potrzeby tego wielkiego formatu człowiek nie widzi, a przez tę mnogość wrażeń naraz i na jednej karcie, rozstrzela się myśl i nie może przyjść do pewnego skupienia, dla każdego dzieła sztuki niezbędnego. Mówię to wszystko ze wszelkim szacunkiem dla znakomitego talentu pana Lewickiego i kompetentnego sądu drogiego kolegi Norwida <sup>1)</sup>.

15.

z. Paryż, 27 lutego. W numerze 5 *Demokraty polskiego* prostuje p. Worcel, w imieniu i z polecenia centralizacyi omyłkę drukarską, która i mnie bliżej obchodzi. Czytelnicy *Gońca* przypomną sobie może, że w jednej z moich korespondencyi donio-

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 26, z d. 1 lutego, 1851 r.

słem o odezwie centralizacji zamieszczonej w 1-szym numerze *Demokraty*, w której się znajduje ustęp: »dla ludów europejskich wyzwolenie polityczne i społeczne, a dla nas, dla Polaków, narodowość, ojczyzna i t. d.«.

W prostocie ducha myślałem, że tu żadnej omyłki niema, że to bardzo jasne i prawdziwe wypowiedzenie naszych myśli i obowiązków, i z całej duszy się ucieszyłem. Radość przedwczesna! P. Worcel, aby nie myślano, »że Towarzystwu demokratycznemu idzie już tylko o narodowość, i przede wszystkim (więc nawet i nie przede wszystkim?!) o narodowość«, oświadcza, iż ustęp powyższy fałszywie był w *Demokracji* wydrukowanym, i że właściwe jego brzmienie jest: »dla ludów europejskich wyzwolenie polityczne i społeczne, a dla nas, dla Polaków, okrom tego, narodowość, ojczyzna, i t. d.« Tak poprawiwszy z polecenia centralizacji omyłkę, pozostałoby mi tylko dodać z Perrinem Moliera: *je vous demande pardon d'avoir eu une trop bonne opinion de vous*. Ale uważam za konieczne dodać jeszcze kilka wierszów, w których centralizacja objaśnia myśl swoją. »Odzyskanie (mówi dalej p. Worcel z polecenia i w imieniu centralizacji) przez Polskę niepodległości, jest wyzwoleniem politycznym; zniesienie czynszów, pańszczyzny, nadanie włościanom własności gruntowej i bezwarunkowe usamowolnienie pracy, jest wyzwoleniem socyjalnem«. Na tem bym mógł zakończyć, gdybym tylko wiedział, co właściwie centralizacja rozumie pod »usamowolnieniem pracy?« Że to ma być socyjalizm, rzecz jasna; ale mniej jasna, jakiegoż to rodzaju socyjalizm, przez jakieżto system nasza biedna Polska ma »usamowolnić pracę:« czy przez system pana Proudhona lub Blanca, Fouriera lub Cabeta?... Spodziewam się, że mi tego niedyskretnego pytania za złe nie wezmą. Mirabeau opowiada gdzieś o kurczętach zwołanych przez kucharza i pytanych przez niego, w jakim sosie życzą sobie być zjedzone: *mais nous ne voulons pas du tout être mangés*, odpowiedziały na to kurczęta... Ja tak bezwstydnym nie będę, nie powiem jak owe kurczęta, że wcale nie chcemy, aby nas zjedli... boby to *Demokrata* nazwał reakcją, arystokracją, monarchizmem. Zapy-

tam się tylko, w jakim to sosie mają nas zjeść, czy *à la sauce piquante Proudhon*, lub *à la sauce moutarde Blanc*, albo wreszcie *à la sauce poivrade Cabet*?...

Choć nie nad wulkanem (bo ten wulkan socjalizmu u nas »dymi tylko przez słowa«), tańczujemy tutaj z całą furią »Polkamazurki« (czy ta nowa forma kręcenia się znana już w Bazarze waszym?) i jak mówi Schakespeare »gładką posadzkę zwinną łechtamy podeszwą«. Doniosłem już w przeszłej korespondencji o balach w Hotelu Lambert, którym wtórują teraz inne wieczory mniej lub więcej tańczące, dawane przez czas karnawału po dostojniejszych domach polskich tutaj. Wieczory te mają i tę korzyść, że zbliżają rozstrzelonych po tem wielkiem mieście obywateli polskich i przyczyniają się do bliższych znajomości i stosunków. Ja, który chociaż demokratą, nie jestem nim jednak na wzór spartański, i który wręcz wyznaję, żebym nie przestawał na czarnym rosale, ani chciał, abyśmy się dla wolności i równości zanudzili, ja naturalnie nic nie mam przeciwko tym wieczorom, zwłaszcza, że panie nasze tak liczne dają dowody, że umieją łączyć zabawy z dobroczynnością i że rączki ich jeszcze zwinniejsze od nóżek. O tem już przekonać może wyszłe w tych dniach sprawozdanie banku polskiego dla emigracyi przez damy nasze założonego, a o którym już doniosłem. Według tego sprawozdania przychód banku (od 15 stycznia do 15 lutego) wynosił 2358 franków, z których pożyczono trzem osobom po 100 franków, 32 po 50 fr., 1 60 fr., 6 po 40 fr., 4 po 30, 5 po 25, a jednej 15 fr. Jeden paragraf sprawozdania brzmi: »Z prawdziwą pociechą bank zaświadcza o akuratności, z jaką szanowni rodacy wypłacają się«. Pozwalam sobie jeszcze raz zwrócić uwagę kraju na tę tak dobroczynną i piękną instytucję, zwłaszcza, że *Goniec* codziennie prawie zdaje sprawę z licznych składek w W. Księstwie na rzecz naszego biednego wychodźstwa.

Pochowaliśmy wczoraj panią Dobrską, która się nagle po długich cierpieniach moralnych i fizycznych rozstała z tym światem. Młoda ta Polka, ciężkie wytrzymała próby w ostatnimperyodzie swego tak krótkiego, a tak bolesnego życia, bo w 20-tym

zaledwie roku już zakończyła swoją, tak bolesną, pielgrzymkę ziemską. Córka to nieszczęście i bólu, córka naszego pułkownika Zaliwskiego, znanego ze swojej wyprawy i z długich męczarni więzienia austriackiego, którejsmy towarzyszyli wczoraj do miejsca ostatecznego spoczynku po tak smutnem, tak doświadczo-nem, a tak młodem jeszcze życiu! Boże, świeć nad jej duszą, a wy polskie niewiasty, westchnijcie nad grobem tej waszej siostry, której ostatni wzrok rzucony koło siebie widział tylko roz-pacz i — nędzę!

Zmiany zaszęle wczoraj w sferze dyplomacyi francuskiej i nas się pośrednio tyczą. Przeniesienie jenerała Aupick ze Stambułu do Londynu wpłynie także i na nasze stosunki na Wschodzie, i niestety, o ile wnosić można, nie zbyt korzystnie. Bo jen. Aupick, który od tak dawnego już czasu zasiadywał w Stambule, był w ścisłych stosunkach z ks. Czartoryskim, pułk. Zamojskim, Bystrznowskim i z Michałem Czajkowskim. Na ważnem stanowisku, które zajmował, miał on nieraz sposobność oddać nam za pośrednictwem wyż wymienionych osób, wiele wielkich, choć niegłównych usług. Do Michała Czajkowskiego, jeszcze w ostat-nich czasach napisał list z oświadczeniem, że zmiana wiary nie zmieni szacunku i przywiązania, które oddawna dla niego po-wziął; jemu też najbardziej jenerał Dembiński zawdzięcza szczę-śliwe zakończenie swego internowania. Łatwo więc sobie wysta-wić, jak bolesnem jest dla nas przeniesienie jen. Aupick do Lon-dynu, zwłaszcza, że jego zastępca, p. de la Valette, ma bardzo sprzyjać Moskwie i według wszelkiego podobieństwa w myśli elizejskiej osobistej polityki, która teraz się bardzo o przyjaźń Mikołaja stara, na Wschodzie działać będzie.

O wiele mniej, bo właściwie tylko z powodu nazwiska polskiego, obchodzi nas mianowanie pana Walewskiego amba-sadorem w Hiszpanii. Pan Walewski jest krewnym prezydenta rzpltej i oddawna już *lancé* jak to mówią w karyerze dyploma-tycznej. Misya poruczona mu teraz przez prezydenta należy do najdelikatniejszych. Ludwik Napoleon od pewnego czasu jest *à la recherche d'une position sociale*, czyli wyraźniej mówiąc,

szuka żony. Chodziła nawet pogłoska, że nawet o córce Mikołaja zamyślał, ale że się układy rozbiły o odrzucenie dotacji przez izbę, co niewyczerpanemu w kalamburach p. Dupin miało dać sposobność do powiedzenia: *ce n'est pas une dotation, c'est une dot, qu'on vient de rejeter*. Cokolwiek bądź, to zdaje się pewnym, że prezydent już zrezygnował co do córki carów i rzucił okiem na »zaśnieżną Pirenę«, mówiąc stylem Dmochowskiego. Na nieszczęście dwie aż kandydatki do ręki prezydenta w Hiszpanii. Jedna bez realów, ale realna infantka, siostra królowej Izabelli; a tę ofiaruje Narvaez. Królowa zaś Krystyna, nieprzyjaciółka teraz Narvaeza, swata prezydentowi inną ze swoich córek, którąby tylko przez grzeczność infantką nazwać można było; bo to właściwie córka z łoża lewego, panna Munoz. Lekkość pochodzenia chce Krystyna zrównoważyć jednym z tych ciężkich worów, które podczas swego panowania konserwatywnie, jeśli nie konstytucyjnie sobie zaskarbiła. Prezydent teraz jest jak Herkules na rozdrożu; wolałby, jak to zrobił Jakób, gdy błogosławił synów Józefa, albo jak to teraz jeszcze robią czasami przy fortepianie; wolałby mówić, krzyżować ręce i wziąć zarazem posąg z lewej i pannę z prawej ręki... Otóż tę tak delikatną misję poruczono panu Walewskiemu, i jeśli mu się uda, drugi to będzie Polak, co uprowadzi infantkę hiszpańską, tylko z większą jak pierwszy bezinteresownością, bo nie dla siebie.

Ponieważ już się zapuściłem w świat wyższej polityki, opowiem także anegdotę ciekawą z tego świata, za której autentyczność ręczę, ale której dla pewnych przyczyn nie wolno mi w całości opowiedzieć. Boerne mówi gdzieś, że domyślniki to karty wizytowe, które od siebie próżne myśli przesyłają czytelnikowi, nie chcąc mu osobiście wizyty oddać. Ja tylko mogę zaręczyć, że myśli moje nie z dumy, ale z prawdziwej niemożności oddania wizyty załączają tu swoje karty. Wracam do rzeczy. Nie wyrażę czytelnikom *Gońca* tej obrazy, abym się ich miał pytać, czy czytali romans: *Mathilde, mémoires d'une jeune femme*. Otóż, niechże sobie łaskawie wystawić raczą, że ten romans wyszedł teraz w nowem, zupełnie zmienionem wydaniu, że bohaterka nie

jest żoną Ulryka, ale jakiegoś bardzo bogatego kniazia północy, że jest córką Hieronima, który dawniej był królem (tam, gdzie niedawno jeszcze odbyła się sławna walka konstytucyjna), a teraz jest pierwszym z inwalidów; że bohaterka żyje w separacji z mężem i dostaje od niego na rozkaz największego kniazia bardzo znaczną roczną pensję; że bohaterka odmówiła swemu ojcu kilkudziesięciu tysięcy franków, które od niej chciał pożyczyć, a rozgniewany ojciec napisał do swego zięcia list z objawieniem pewnych peccadillek, wskutek czego książę odmówił swej żonie pensji rocznej, a żona wytoczyła z powodu tego skargę przed największym kniazem. Jeśli to sobie łaskawi czytelnicy *Gońca* wszystko raczą wystawić i przejrzeć przez zasłonę, którą według sił przeźroczystą zrobiłem, dowiedzą się wtenczas o awanturze, która jest teraz przedmiotem różnych dowcipnych i złośliwych uwag i niewyczerpanym tematem rozmowy świetnych salonów paryzkich.

Gdy już mowa o awanturach, wspomnę także o: *Aventures de la Baronne Beck*, które od tygodnia *Constitutionnel* ogłasza w swoim feletonie. Jest to opis przygód swoich podczas wojny węgierskiej, które baronowa Beck dosyć zabawnie kreśli, choć nie bez rażącej pretensyjności i zupełnie niekobiecego popisywania się swymi czynami. Opowiada ona różne koleje swojej emigracji bądź do Wiednia i Kromieryża, bądź do Galicyi, do której ją używali Kossuth, Goergey, i śp. Woroniecki. O Polakach do tychczas mało co wspomina, ale zawsze z wdzięcznością i miłością. Jeśliby coś nas bliżej obchodzącego w toku swego opowiadania zamieściła, nie omieszkał wóczas zwrócić na to uwagę czytelników *Gońca*. Dziennik legitymistyczny *Opinion publique*, organ hr. de St. Priest (byłego gubernatora Odessy i ojca znanego już nam p. Alexis de St. Priest), ogłasza teraz w swoim feletonie pracę dobrego naszego przyjaciela pana de Circourt. Jest to opis podróży do Petersburga, odbytej w roku 1837. Pan Circourt jest naturalnie wielkim wielbicielem Mikołaja, unosi się nad szczęściem, którego wszystkie ludy pod jego »łagodnem

berłem« doznają, i wciąż zaręczają, że jest chrześcianinem i katolikiem.

Wiadomości, któreśmy odebrali z Grecyi są bardzo smutne. Żadnemu z wychodźców pod żadnym pozorem paszportu wydać lub wizować nie chcą. Trzymają ich jak w kwarantannie, starają się ogołacać z wszystkich środków, przeszkadzać wszelkiemu zarobkowi, aby tylko zmusić do żądania amnestyi. Wskutek nalegania posła austriackiego i moskiewskiego, rząd grecki nakazał rozwiązanie komisji emigracyjnej, która pod naczelnictwem Milbitza zajmowała się losem biednych wychodźców, a o której już w swoim czasie doniosłem <sup>1)</sup>.

16.

«. Paryż, 10 czerwca. Po długiej przerwie, za którą szanowną redakcyę *Gońca* najusilniej przepraszam, wracam znowu do dawnego obowiązku korespondenta z ponowieniem dawnego zastrzeżenia, że tylko o sprawach i wypadkach wyłącznie Polski się tyczących donosić będę. Toteż niechaj i nadal będzie usprawiedliwieniem nie zbyt częstego wystąpienia; gdyż zaiste gdybym chciał i musiał w regularnych peryodycznych odstępach korespondować, nierazby mi wtenczas przyszło, według pruskiego przysłowia, meldować, że »nic nie ma do meldowania«.

I nateraz cały plon nowin z pola emigracyjnego, dwoma palcami dałby się objąć. Bo przecież do nowin nie mogą politycznych i polemicznych deklamacyi bruxelskiego *Demokraty Polskiego*, o których wprawdzie bardzo wygodnem by było długo się rozpisywać, choć nie bardzo godnem. Ależ to wszystko nie nowiny: te insynuacje, złośliwości, podejrzenia i potwarze są tak stare jak świat, który sobie *Demokrata Polski* oddawna *ad usum Delphini* Pszonki stworzył, i nad którym *ad maiorem gloriam* centralizacyi panuje. Korzystam nawet z tej spo-

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 52, z d. 4 marca, 1851.

sobności, aby raz na zawsze oświadczyć, że na obelgi i skrycie lub jawnie wymierzone pociski tego pisma na mnie lub na *Gońca*, nigdy odpowiadać nie będę. Dałem nieraz dowody, że polemiki nie unikam, zarzucano mi nawet, że jej zbyt skwapliwie szukam. Nie unikałem lub szukałem jej, wszędzie, gdzie była dobra wiara lub przynajmniej godziwy, przyzwoity sposób wyrażania się z drugiej strony; ale z *Demokratą*, który mnie na równi z pisarzami *Dziennika Warszawskiego* p. hrabiego Rzewuskiego stawia («Wär' die Geschichte nicht so verflucht gescheidt, man wäre versucht sie herrlich dumm zu nennen», powiedziałbym tu z Wallensteinem), z nim polemizować, byłoby tylko abdykacją wszelkiej osobistej godności. Błotem na błoto odrzucać ani chcę, ani mogę, bo ja jeszcze dbam o czystość rąk moich.

Przejdźmy lepiej do mniej hałaśliwych ale rzetelniejszych rzeczy i do ludzi, którzy w ścieśnionym obecnie zakresie działań, robią co mogą dla dobra ogółu. Przedewszystkiem wymienić tu muszę bank polskiej emigracji, o którego założeniu i prędkim wzroście w swoim czasie doniosłem. Z prawdziwą radością przychodzi mi i teraz donieść naszym rodakom, że ta dobroczynna, jak dobrze pomyślana instytucja coraz bardziej się wzmaga i coraz piękniejsze na przyszłość obiecuje owoce. Ma ona kapitału przeszło 14.000 fr.: suma na nasz obecny stan i towarzyszące mu okoliczności nie mała; a obrót tego kapitału, wpływ i wpływ, odbywają się z regularnością, sumiennością i wyrozumiałością, które jak najpochlebniejsze dają świadectwo tak o przeczności i pieczołowitości opiekunów, jak i o szlachetnym i mimo tylu ciężkich doświadczeń nie skażonem usposobieniu naszego wychodźstwa.

Niemniej pocieszającym jest krząkanie się Towarzystwa literackiego, którego odezwę *Goniec* już przed miesiącem wydrukował. Czy i o ile zamiary wyrzeczone tam przyjdą do skutku, powiedzieć jeszcze teraz trudno, gdyż wszystko zawisło od mniejszej lub większej liczby ofiar, które kraj będzie w stanie na to łożyć. W każdym razie poczęta robota ma już to w sobie dobrego, że wywołała pewien ruch w gronie naukowem i litera-

kiem wychodźstwa, że obudziła uspięne przez długi czas chęci i przedsięwzięcia, że stała się ogniskiem różnych zachodów i przyczyną zbliżenia się rozstrzelonych oddawna w przeciwne kierunki umysłów. Wielu dawnych członków Towarzystwa, którzy się byli oddalili przez brak wszelkiego zatrudnienia i myśli ku jednemu wspólnemu działaniu, znowu teraz wróciło i bardzo czynnie się ożywieniem koła zajmuje. Mickiewicz szczególnie, który od niedawnego czasu opuścił dawne swoje mieszkanie na przedmieściu Batignolles, tem prawdziwem Tusculum naszych mistyków i duchoborców, i osiadł w samym środku Paryża, w tem *quartier latin*, które w naszej nowożytniej Babeli reprezentuje naukę, sztukę, prawodawstwo, a dalej na prawo i starożytność: arystokrację; Mickiewicz, mówię, z właściwym sobie zapałem, uchwycił tę nową myśl rozleglejszego naukowego stowarzyszenia, i okazuje gotowość do wszelkich, choćby najuciążliwszych formalnych robót. Wielu też i nowych członków wstąpiło do Towarzystwa: między nimi i pan Leonard Chodźko. Spodziewać się także należy przystąpienia Bohdana Zaleskiego. Zaręczono mi także, że towarzystwo zamierza mianować honorowym swoim prezesem zasłużonego weterana nauk historycznych u nas, Joachima Lelewela. Myśl tę ze wszech miar pochwalić należy, nie tylko jako słuszny hołd oddany niezaprzeczonej zasłudze i systemu katońskiemu życiu, ale nadto prezesostwo Lelewela nadałoby całej instytucji prawdziwy naukowy charakter, którego by nie miała pod przewodnictwem innej znakomitej osobistości naszego wychodźstwa, wielkie wprawdzie, ale nie ściśle naukowe mającej znaczenie. Stary Lelewel spotkałby się tu na tułactwie w nowem, naukowem towarzystwie, z niejednym, któremu niegdyś w Wilnie w kole Filaretów, Filomatów i całego uniwersyteckiego życia, nauką, patryotyzmem i cnotą przewodniczył, i jak w tej pięknej legendzie średnich wieków, polegli rycerze jeszcze jako duchy w powietrzu dalej bój prowadzili, tak i tu, po długiej przerwie, zebrani w jeden szereg rodacy, prowadzić będą dalej ten bój duchowy, niegdyś pod tem samem przewodnictwem na ziemi polskiej rozpoczęty.

Tu w Paryżu rozstał się ze światem, po długich cierpieniach, ksiądz Jan Dąbrowski, kapelan wojsk polskich i świadek wielu wielkich czynów broni polskiej; umarł w szpitalu obłąkanych. Na żałobnym nabożeństwie, odbytem w kościele Notre Dame des Victoires przemówił w krótkich, ale poważnych i patryotycznych słowach ks. Wasilewski z nowej emigracji. Ustęp o Kordeckim i o bulli papieża Pawła IV. do Polaków, szczególnie zrobił wrażenie. Powiadają (bo tylko *relata refero*), że ksiądz Wasilewski w tej swojej mowie wystąpił ostro przeciw księżom Zmartwychwstańcom, zarzucając im pewną patryotyczną chłudość i zbytne oglądanie się za dominującymi teraz interesami. Arcybiskup paryski kazał sobie przetłómaczyć to kazanie i oświadczył swoje zadowolenie. Ks. Wasilewski ma otrzymać posadę duchowną w Paryżu.

W tutejszym fakultecie medycznym złożył w tych dniach egzamin doktorski p. Levitoux, brat Karola Levitoux, męczennika polskiego, który się spalił w cytadeli warszawskiej. P. Levitoux potrafił szacunek, który budziło już samo jego niezatarte w dziejach naszego męczeństwa nazwisko, utrzymać i podwyższyć przykładnem, honorowem i skromnem, mozolnej pracy poświęconem życiem, i niezawodnie nie przesadzę, gdy powiem, że całe nasze tułactwo serdecznie winszuje młodemu koledze tego pierwszego powodzenia i szczerze mu dalszych i większych na przyszłość życzy.

Piękna praca naszego Feliksa Wrotnowskiego doczekała się zaszczytnego uznania w *Revue des deux mondes*, która atlas p. Wrotnowskiego nazwała najdokładniejszą geograficzną pracą około stron północnych po karcie Szafarzyka. Muszę tu jeszcze raz ponowić uwagę, że bardzooby było do życzenia, aby obywatele w kraju starali się rozpowszechnić to dzieło i wynagradzając ziomkowi ukończoną pracę, ułatwili mu ukończenie wielu innych poczętych, a bardzo pożytecznych. P. Wrotnowski zamierza wydać nowy, umiejętny słownik polski, do którego już dużo zebrał materyałów.

Mimo zaprzeczenia kilkakrotnego w dziennikach polskich,

blizcy znajomi Mickiewicza nie przestawają w zapowiadaniu drugiej części *Tadeusza*. Spodziewać się także należy bliskiego wystąpienia naszego Bohdana Zaleskiego z dwoma nowymi dramataми historyczno-legendarnymi. Tymczasem w oczekiwaniu tych większych i godniejszych dzieł, musimy się kontentować małemi polityczno-mistycznymi publikacjami. I tak okazała się na horyzoncie wychodźstwa bezimienna mała broszurka, w kształcie listu starego emigranta do nowego, w której oprócz zwykłych wariacji nad modnym tematem o Słowiańszczyźnie i Napoleonie, co innego jak tylko dobre chęci, znaleźć trudno; nie obeszło się to wszakże bez obrotów i ewolucyi kolumn jasności i szarych duchów. Niemniej też i p. J. B. Ostrowski wystąpił z nowem ulotnem pisemkiem w języku francuskim, p. t. *La Russie*, którego bliższy rozbiór zostawiam sobie na przyszły raz. Czy do publikacyi Polaków mam policzyć i dzieło o instytucjach kredytu ziemskiego w Polsce, Prusach i Austrii, które p. Choiński na rozkaz tutejszego ministra rolnictwa ułożył. P. Choiński jest współpracownikiem sławnego *Constitutionnela*, który niezmordowany jest w ohydzeniu Polaków i z szatańską zgrabnością gromadzi i zmyśla fakta dla oczernienia nas przed światem. To wszystko nie zniechęca wprawdzie p. Choińskiego do dziennika Vérona, ale nasby w końcu do p. Choińskiego zniechęcić mogło. Godne to przytem uwagi, że Polacy to przedewszystkiem, którzy swemi pismami dali we Francyi popęd do pomyślenia o kredycie ziemskim w tym kraju i wciąż tę ekonomiczną propagandę prowadzą. Inicyatywę w tem wziął nasz Cieszkowski dziełem o kredycie, które jemu i nam tyle sławy za granicą zjednało. Dalej tę myśl prowadził Wołowski, niezmordowany, choć dotychczas niezbyt szczęśliwy adwokat kredytu ziemskiego w izbie prawodawczej. W końcu i p. Choiński (jeśli tego jeszcze *sub beneficio* inwentarza do Polaków zaliczym) przyczynia się do rozpowszechnienia przekonania o konieczności tej instytucyi. Gdybym chorował na Słowianomanię, jak wielu ż moich szanownych rodaków, widziałbym już w tem początek nowej gminno-władnej i rolniczej epoki, którą mamy inaugurować na

zachodzie. Ale ponieważ się wystrzegam uogólniania pojedynczych dorywczych faktów, i boję się wytykać opatrności drogi, któremi ma ludzkość nadal prowadzić, więc wołę nic nie spekulować, pomny szczególnie sławnych słów Mefistofelesa o zbytniem spekulowaniu. W poczet publikacji polskich zaliczę wreszcie biografię Bema, którą tu we francuskim języku wydał węgierski pułkownik Lajos.

Godzi się też przy tej sposobności wspomnieć o innej nowej publikacji, która chociaż nie polska, jednak Polskę obchodzić będzie. Mam tu na myśli *Legendy Demokracji* sławnego historyka Micheleta, których ogłoszenie w swoim feletonie zapowiedział na ten miesiąc dziennik Wiktora Hugo, *l'Evenement*. W tem nowem dziele zamierza Michelet opisać życia i działania wszystkich sławniejszych męczenników wolności różnych narodów, i wyraźnie przytem w programie oświadcza, że i polskich męczenników zamieści w tym epicznym cyklu demokratycznej *Iliady*. Myśl to nadzwyczaj piękna i szlachetna, i niezawodnie użyteczna. Zaprawdę, wielka jest potrzeba przypomnieć naszej apatycznej obecności, która tylko myśli o spokojności i o używaniu, która szydzi z wszelkich poświęceń i ze zmysłem Judasza za tyle i tyle srebrników gotowa sprzedać wszystkie wolności krwawo zdobyte i wszystkie wspomnienia krwawych ofiar, poległych na niegdyś świętym ołtarzu; zaprawdę wielka to potrzeba przypomnieć tych zapomnianych wielkich męczenników tej zapomnianej teraz, wielkiej myśli, i uchylić zasłony z tych ostrych stygmatyzowanych twarzy: ich widok może odstraszy od złego... I pewnej części nawet naszej polskiej młodzieży nie zaszkodzi przypomnieć owych Łukasińskich, Konarskich, Zawiszów, Trynkowskich, Lewitów, Sierocińskich, i tych wszystkich, których za Polskę ścigał świat, za Polskę męczył kat, którym pierś palił skwarny brzeg, lub krył oczy wygnań śnieg i więziła cytadela.

Myśl piękna i użyteczna, ale czy jej odpowie wykonanie? Michelet okazał wprawdzie wielki artystyczny talent w kreśleniu męczeństw; dość tu tylko przypomnieć ustęp o św. Tomaszu i o dziewicy orleańskiej w jego historii Francyi. Ale już tam ta

właśnie artystyczność, ta sztuka w miejscu natury, odjęta wiele uroku, uroku cichej wielkości i głębokiej prostoty kreślonym figurom. Od tego czasu umysł Micheleta coraz fatalniej zaczął ulegać temu sztucznemu, niespokojnemu, gorączkowemu kierunkowi; siła przeszła w gwałtowność, głębokość w mistycyzm, łagodne ciepło w żar dymiący, a odtąd zamiast poważnego rysunku Leonarda da Vinci, widzimy na jego historycznych obrazach silny wprawdzie, ale konwulsyjny rysunek Michała Anioła. Czy taki styl może odpowiadać takiemu zadaniu? A to zamięszanie różnych i odrębnych funkcji życia, to ciągłe przekraczanie różnych sfer ducha i kłócenie nieba z ziemią i naprzemian, które teraz tak cechuje Micheleta, jak wszystkich, a szczególnie polskich mistyków, nie odejmie historycznej sztuce Micheleta pierwszego warunku takiej sztuki, warunku rozgraniczenia, plastyki, jasności? Mnie już pod tym względem sam tytuł zapowiedzianego dzieła, tytuł legend, niepokoi. A bardziej jeszcze niepokojny właśnie o te polskie postacie, które Michelet z męczeńskich grobów wywołać zamyśla. Brak gruntownej znajomości naszych dziejów potrafi może Michelet zastąpić historyczną intuicją, w której celuje; zresztą spodziewać się należy, że przyjazna ręka Mickiewicza w tem mu dopomoże. Ale Michelet pała prawdziwie bezrozumną nienawiścią ku katolicyzmowi, uczynił wieczny rozbrat z chrześcijaństwem; a jeśli jakie, to niezawodnie nasze figury męczeńskie tylko na złotem tle religii rysować się dają. Ja się boję, żeby wywołane cienie naszych Trynkowskich i Sierocińskich nie odpowiedziały Francuzowi, jak odpowiedział niegdyś cień Samuela Saulowi: »Pocoś moją spokojność zakłócił?«

Ale spostrzegam się, że piszę recenzję przed dziełem, którego nie przeczytałem, (co się zresztą może niejednemu recenzentowi zdarzyło) i w miejscu do tego najmniej stosownem. Wracam więc do mego przedmiotu, do polityki.

Roszczenia rosyjskie do świętego grobu nie zrobiły tu żadnego wrażenia i nie oburzyły w niczem religijno-politycznych umysłów; chociaż tu się np. p. Montalembertowi nadarzyła pię-

kna sposobność wystąpienia w obronie świętej sprawy i usprawiedliwienia tytułu *fils des croisés*, który był sobie przed rokiem windykował. Ale p. Montalembert innym teraz i świeższym grobem zajęty, tym, który kopie dla konstytucyi i rzeczypospolitej francuskiej:

*But is this law?*

*Ay, marry is't; Crouner' Quest law*

jak powiada grabarz w *Hamlecie*. Dzienniki poświęcone obronie religii, rodziny i t. d., po większej części zupełnie to przemilczały, a jedyny dziennik, który z prawdziwym oburzeniem wystąpił przeciw domaganiom się Moskwy, był *Siècle*, organ Cavaignaca. Relikwia to, woła on, całego chrześcijaństwa, a jeśli chodzi o własność, tośmy jeszcze nie słyszeli o tem, aby greccy schizmatycy byli kiedyś zdobyli grób święty. *Siècle* był jeszcze silniejszy mógł znaleźć argument; mógłbył np. przytoczyć pewne ustępy z Alexiady, w której Anna Komnena, z całą, rzekłbym prawie moskiewską bezczelnością opowiada, jakie zapory, przeszkody i zasadzki stawiał jej szanowny ojciec, najjaśniejszy samodzierża wszech Greków, wojskom krzyżowym w Europie i w Azji, jak się umawiał na nich z poganami, jak go wreszcie książęta Bohemond i Raymond oskarżali głośno o zatrutowanie studni i podobne sztuczki à la Orłów. Prawda, że te przytoczenia nie wieleby pomogły, bo świat nie wiele teraz dba o historyczne dowodzenia i nabyte prawa; pod tym względem niema różnicy między Frankfurtem a Petersburgiem... Jakikolwiek będzie faktyczny rezultat tych roszczeń moskiewskich, rezultat moralny już osiągnięty i wielkiej wagi; bo Moskwa znowu miała sposobność wystąpienia w oczach południowych Słowian w zwodniczem świetle obrońcy chrześcijaństwa przeciw poganom, braci Słowian przeciw Turkom. Nasza polityka na Wschodzie jest całkiem inną; zaręczają mi nawet, że daleko piękniejsza i skuteczniejsza, bo jej dążnością jest mistyfikowanie Turków, Słowian, wreszcie i nas samych!!!

Ponieważ już się zapędziłem na Wschód, dodam jeszcze

kilka nowin z tamtej strony. O stanie emigracji w Turcyi *Goniec*, jak widzę, już i bezemnie dobrze zainformowany. Mógłbym tu tylko nadmienić, że wyż wspomniany dziennik *Siècle* ujął się w tych dniach za naszego generała Wysockiego i zapytał się: jakim prawem mogła francuska dyplomacya przystać na dalsze internowanie człowieka, do którego Austria żadnego nie mogła rościć prawa, bo przecież Wysocki nie ma tego szczęścia, co Kossuth, być poddanym Franciszka Józefa? *Siècle* uważa, że tylko demokratyczne opinie naszego generała wyjednały mu tę nieproszoną protekcję dyplomacyi, i pewno się w tem nie myli.

Wiadomości z Grecyi są niecoś pomyślniejsze. Szlachetny i prawie jedynie nam z Greków przychylny p. Negri, z wielkiem poświęceniem czasu i kapitałów stara się zatrudniać pewną liczbę naszych wychodźców pod dyrekcją pułkownika Milbitza zostającą. Rzadki to w tych czasach przykład bezinteresowności i go-dzien zapisania. Ci, którzy w Grecyi przyjęli amnestyę moskiewską, zaprowadzeni zostali do Odessy i tam podzieleni na dwie kategorye, zdrowych i chorych. Zdrowych przeznaczono do pułków kaukaskich i zaraz etapami do miejsca przeznaczenia odstawiono; chorych skazano na dwa lata do aresztanckich poprawczych rot. Oto amnestya cara!!! W końcu załączam zakomunikowaną mi łaskawie listę zmarłych w Grecyi polskich braci; może się przydać familiom. Umarli: kapitan Karol Lipski; podporucznik Bitkowski Paweł; Rykowski Wincenty; Świętosławski Władysław; Szczepowski Julian; Idzikowski Antoni i Bognajzer. † † † 1).

17.

z. Paryż, dnia 3 lipca. Szanowna redakcyja *Gońca* raczyła przenieść mnie gwałtownie z wyższych sfer polityki na bruk feletonu, nie uprzedziwszy mnie w niczem o tej translokacyi. Miałoż to być wywyższeniem? Miałoż być poniżeniem? Bo feleton

---

1) *Goniec polski* Nr. 136, z d. 15 czerwca, 1851 r.

jest zarówno rodzajem konsoli, a popularniej mówiąc serwantki, na której redakcja rozkłada wszystkie swoje kosztowniejsze sprzęty i bawidełka, jak i rodzajem kosza, w który się niedbale (nieprzymawiając tu w niczem szanownym moim kollaboratorom feletonowym) wrzuca wszystkie niepotrzebne papiery... Serwantka czy kosz, w każdym razie

*je n'ai mérité ni cet excés d'honneur,  
ni cette indignité;*

i muszę wyznać, że nigdy nie byłem miłośnikiem mieszkania *par terre*, gdzie się bardziej niż na wyższych piętrach jest wystawionym na ciekawość publiczną. Dodam nawet, że jeśli zaprzestanę na tej małej protestacyi i dalszej nie myślę robić opozycyi, to tylko dla tego, aby choć raz pokazać pisarzom *Czasu*, że i my, pisarze *Gońca*, umiemy się zastosować do dokonanych faktów, że i my jesteśmy w stanie uszanować władzę, skoro tylko ta władza jest polską. *Anch'io!*...

Nic ciekawszego nad taktykę tutejszych dzienników konserwatywnych. Sprawa nasza w ich oczach jest zazwyczaj *ingrata et execrata*; wzmianka o nas jest prawie dowodem złego wychowania; ale skoro możemy posłużyć za, choćby tylko i pozorny argument, dla sprawy ogólnej reakcyi, skoro się tylko możemy przydać na jaką experiencyą *in anima vili*, o! wtedy dziennikarze umiarkowanie uczciwi, przepraszam, chciałem powiedzieć umiarkowani i uczciwi, pozbywają się naraz wszelkiej wstydlivosti, wtedy się wspomni i o nas, i zakazane słowo: Polska, w końcu się wykrztusi. Zabawny tego przykład mieliśmy w tych dniach z okoliczności okólnika ministra Westphalen, zwołującego dawne stany pruskie. Prawowierne dzienniki, jak: *Constitutionnel*, *Assemblée Nationale* i *tutti quanti* ucieszyły się naturalnie temu zwrotowi do »dawnych dobrych tradycyi«. Ale żeby choć trochę przykryć rażący kontrarewolucyjny charakter tego nowego pruskiego wymysłu, wiecież, jakiego się argumentu te szanowne pisma chwyciły?... argumentu narodowości polskiej!!! *Risum tenentis!!!*... »Rozporządzenie to (donoszą te dzienniki cichutkim

głosem) wielką obudziło radość w W. Ks. Poznańskim: Polacy widzą w niem skuteczny środek obronienia swojej szlachejnej narodowości (*noble nationalité!*)...« Że to rozporządzenie właśnie co do nas jeszcze stokroć niesprawiedliwszy przybrało charakter biurokratycznej samowolności; że jeśli się wogóle z tego rozporządzenia cieszymy, to tylko jako z mniejszego złego; że jeśli sobie winszujemy, to chyba tylko tego, że z pod rynnny jednoty niemiecko-pruskiej schronimy się pod deszcz prowincjonalny... o tem wszystkim przemądre dzienniki przemądrze przemilczały. Cóż więc dziwnego, że liberalni Francuzi się dziwią naszej radości, że nie umieją sobie pogodzić naszego kontrarewolucyjnego ukontentowania z naszymi rewolucyjnymi aspiracyami? Nie dziwiłoby mnie to nawet, gdyby wielu z szanownych moich współtowarzyszów tułactwa, nieobeznanych z położeniem wyjątkowem W. Ks. Poznańskiego, upatrzyło w waszej radości zdradzenie sprawy demokratycznej... Trafiały się przecież podobne przypadki!

Ci z pośród nas, którzy obeznani są ze stosunkami Księstwa, ci nietylko że nie złorzeczą rozporządzeniu, ale nadto wyglądają chwili wykonania jego, jako chwili wielkiej próby dla tej części naszej ojczyzny, która pod rządem pruskim pozostaje. Mamy tu wszyscy nadzieję, że Wielkopolanie potrafią skorzystać z nadarzonej sposobności i wyciągnąć z niej wszystkie możebne następstwa. Gwałty i dowolności biurokracyi nie powinny być przepuszczone milczeniem, ale też z drugiej strony nie powinny odwrócić nas od tego archimedesowego punktu rodzimej, swojskiej parlamentarki, którego się owszem wszelkimi siłami uchwycić potrzeba. Na tej drodze możemy przynajmniej wiele z tego odzyskać, cośmy od roku 1848 stracili, i ta, choćby tylko pozorna, choćby tylko nominalna oddzielność od innych prowincyi państwa pruskiego, już wielkiej jest wartości. Na tej drodze można przystąpić do wielu małych, ale w skutkach swoich doniosłych ulepszeń, i wymóżyć na rządzie wiele z tych rzeczy, które na wielkim sejmie berlińskim zbywał już samą małą ich ważnością. Wszystko to wprawdzie nie jest ostatecznem słowem naszych zadań i obowiązków, i smutnemby bardzo było, gdybyśmy

się dali zupełnie ukołysać w ciasnej kolebce lilipuckiego sejmiku; ale nad jutrem nie zasypiać dnia dzisiejszego i nie tracąc nigdy z oczu gwiazdy przewodniej zbawienia, pilnować jednak i małego steru: to jest pierwszym prawidłem wszelkiego politycznego życia. Nadto, sejm W. Księstwa może posłużyć Wielkopolanom nietylko do domowych i prowincjonalnych spraw, ale także do objawienia przed całą liberalną Europą prawdziwej naszej wyższości moralnej i całej istotności naszego narodowego ducha. Nie podlega bowiem wątpliwości, że szlachta wszelkich innych prowincjonalnych sejmów w Prusiech odznaczy się serwilizmem i wielkiem reakcyjnym namaszczeniem. Otóż szlachta wielkopolska, jeśli się tylko skrzętnie weźmie do dzieła, (bo o jej dobrych chęciach nikt z nas nie wątpi), potrafi okazać, jaka przepaść ją dzieli nie tylko od pruskiej, ale od wszelkiej innej szlachty na świecie, jaka zachodzi różnica między poświęceniem a egoizmem; potrafi okazać, że jeśli wogóle sobie jakie prawo do przodkowania ludowi rości, to chyba tylko do przodkowania w boju i przewodniczenia w postępie!

Wróćmy do Francyi i do sposobu zapatrywania się tutaj-  
szych konserwatystów na naszą sprawę. Źle się wyrażam; bo właściwie jeden tu tylko znają sposób niezapatrywania się na nas wcale, kompletnego nas ignorowania. Raz po raz wprawdzie odzywają się dzienniki z jakimiś nowinami z Polski, z nowinami, których naiwność czasami dochodzi do głupoty; i tak np. czytaliśmy w ostatnich czasach wielką nowinę, że wyszedł ukaz zabraniający posiadania broni w kongresówce bez szczególnego pozwolenia rządu, jakgdyby kongresówka od 1831 r. nie była pod prawem doraźnem! I tak znowu donieśli w tych dniach, że rząd kazał zabrać wszystkim obywatelom Królestwa wszelkie srebra, nawet stołowe, i dać im w zamian za to assygnaty!... Ale żeby choć raz wejść w nasze położenie i zamiast takich bajek, dać rzetelny obraz naszego stanu, dokonanych na nas gwałtów, ucisków, prześladowań, o tem żaden z tutejszych publicystów ani pomyśli. Pod tym i pod każdym innym względem jest przeciwko nam prawdziwa konspiracya milczenia. Uczony p.

Blanqui np. pisze relacye o wystawie londyńskiej; nie może się wstrzymać od łez na widok płodów lombardzko-weneckich, nad którymi powiewa sztandar austriacki; ani zaś mu na myśl nie przyszło, że tuż obok wyroby polskie ukryte pod skrzydłami drapieżnego potworu moskiewskiego. Pan Thiers wraca z Londynu z wielkim szacunkiem dla przemysłowości Rosyi, której »na nieszczęście« wielką zapowiada przyszłość; że największa zaś część tego krajowego bogactwa, którem się Rosya w Londynie pyszni, przychodzi właśnie z nieszczęśliwych krajów naszych, z Królestwa, z Wołynia, Podola i t. d., że te skarby zgromadziły skute i skrwawione ręce polskie: o tem p. Thiers ani pomyślał. P. Guizot wydaje historję rządu parlamentarnego w Europie, śledzi jego początków w Anglii, we Francyi, we Włoszech, w Niemczech i Hiszpanii; a ani zdaje się wiedzieć o tem, że w Polsce było życie parlamentarne, które do najpiękniejszych dziejowych zjawisk należy, które wydało mężów: jak Zbigniewa Oleśnickiego i Grzegorza z Sanoka, Tarnowskiego i Kmitę, Zamojskiego i Skargę, Ignacego Potockiego i Rejtana, które w początkach swoich może wskazać na statut Wiślicki i unią litewską, a w końcu swoim na sejm czteroletni i sąd sejmowy... I o tem wszystkim taki uniwersalny historyk jak p. Guizot nie wie i to ma się nazywać badaniem ducha czasów!! Komuż to się nie przypomną słowa Fausta:

*Was ihr so den Geist der Zeiten nennt,  
Ist im Grunde nur der Herren eigener Geist!*

Aby być sprawiedliwym, muszę dodać, że nie wiele lepiej usposobieni są względem nas i republikanie, szczególnie republikanie od wczora, wielce szanownej koteryi *Nationala*. Dość tu tylko jeden ciekawy przykład przytoczyć. Wiadomo, że p. Emil de Girardin wśród wielu innych łamanych sztuczek, które przedstawia w swoim dzienniku, występuje od niedawnego czasu z zupełnie nową i niebyłą: z kandydaturą wyrobnika na przyszłego prezydenta rzeczypospolitej francuskiej. Przeciwno temu pomyślowi polemizuje p. Geuiller, adept *Nationala*, dosyć ostro i nie

bez pewnego talentu. Co zaś mnie tu w całej tej sprawie obchodzi, to, że p. Geuiller główne swoje argumentacje opiera na tem, że taki wyrobnik albo będzie zwolennikiem zasad komunistycznych i zechce całą Francję zamienić w Ikaryę, albo będzie fantastą i zechce wydać wojnę w celu oswobodzenia Polski! To zestawienie dwóch możebności, z których jednaby była szaloną zbrodnią, a druga w najgorszym razie tylko szaloną cnotą, przynosi wielki zaszczyt sercu p. Geuiller. Takie przedwczesne strachy o Lachy ze strony koteryi, która na tej swojej kwaśnej sympatyi dla sprawy naszej wzrosła jak na drożdżach i nie wiem już przez ile lat niez mordowanie trąbiła na wojnę o Polskę... to wszystko byłoby bardzo zabawnem, gdyby nie było tak podłem!

W ostatnim moim liście przyrzekłem zapoznać bliżej szanownych czytelników *Gońca* z treścią broszurki *la Russie*, bo ją tylko znałem z przelotnego przejrzenia. Dopiero później spostrzegłem się, że to piśmko zawiera tylko tłumaczenie ciekawego artykułu, który przed niedawnym czasem zamieścił *Przegląd Poznański* w odpowiedzi na sławną notę Tatyszczewa: pozostaje mi więc tylko przeprosić za niedokładne doniesienie, które zresztą pochodziło z tego, że tłumacz francuzki zaniedbał wspomnieć o prawdziwym oryginale i jego źródle. (Muszę też przy tej sposobności sprostować i inną niedokładność, która się wkraśliła do mojej korespondencyi. Pogłoska, jakoby arcybiskup paryski kazał był sobie przetłumaczyć kazanie ks. Wasilewskiego i objawić swoje zadowolenie, okazała się zupełnie bezzasadną). Natomiast pozwolę sobie przytoczyć mały ustęp z Lajosa biografii generała Bema, (o której już doniosłem), odnoszący się do apostazyi naszego wielkiego wojownika. Ustęp ten brzmi następnie: »Oficer pewien turecki, tajny agent, przyszedł do Bema w Widdynie, i radził mu w imieniu jednej wysoko postawionej osoby, przyjęc muzułmańską wiarę. Przedstawiano generałowi, że to jest jedyny sposób ujęcia niebezpieczeństwa. Na słowo to, niebezpieczeństwo, uśmiechnął się tylko generał, a na przedstawienia o świetnej przyszłości, którą może sobie zgotować, od-

powiedział z pogardą. W rozpaczę ze swego niepowodzenia wystąpił wreszcie Turek z oświadczeniem, że generał odmowną swoją odpowiedzią pozbawia rząd turecki wielkiego kłopotu, gdyż Muzułmanina nigdyby porta nie wydała i możeby się przeto naraziła na wojnę. »Wojna, odrzekł na to radośnie Bem, to co innego, jestem Muzułmaninem«. Oto jest ścisła prawda o czynie, który tak ostro i tak niesłusznie nieraz był sądzony. Tak cały ten przebieg opowiada p. Lajos, który pod tym względem zdaje się zasługiwać na wszelką wiarę. Całe to pisemko jest wcale dobrze ułożone, zawiera wcale dobry sąd o wojennej polityce Węgrów; razi tylko w tej broszurce bardzo dziwna na wstępie i bardziej jeszcze zbyteczna apoteoza Tayleranda! Wogóle panu Lajos zbyt wyraźnie z pod żołnierskiego pancerza wygląda teka dyplomatyczna.

Gdy już mowa o emigracyjnych publikacjach, wspomnę także o katechizmie ludu rosyjskiego, broszurce napisanej przez rosyjskiego wychodźca po rosyjsku i która według zaręczenia tutejszych dzienników w tysiącnych egzemplarzach obiega po Rosyi. *Univers* obszerne zamieścił wyjątki z tej broszurki, która w kształcie rozmowy Adepta z prześladowanym (*Adepte et persecuté*) w czterech rozdziałach o carze, szlachcie, o wojsku i rządzie narodowym, wyklada naukę demokratyczną *à l'usage du Tatare*, jakby tu powiedział Napoleon. Rezultat moralny tej broszurki jest: krzyk do broni!! Tak zaręczają dzienniki tutejsze konserwatywne, nie bez pobożnych westchnień, że może i Rosya wkrótce nie uniknie burzy, a robak rewolucyjny się lęgnie w bujnym kwiecie caryzmu.

Położenie nasze wobec rządu trochę się polepszyło. Aczkolwiek pozostajemy jeszcze pod ścisłym, nużącym i czasem nawet śmiesznym dozorem policji (i tak np. w aktach osobistych tutejszej prefektury zanotowany jest każdy emigrant, który, *horribile dictu!* przed dwoma laty prenumerował *Tribune des peuples!!!*), jednak wyznać trzeba, że od czasu wstąpienia pana Faucher do ministerstwa, obchodzenie się władz z nami daleko łagodniejszy przybrało charakter. Ustały na teraz gwałtowne wy-

pychania do Ameryki, a na prośby o wsparcie i żołąd, kładą już tylko przedwstępny warunek udania się na prowincję. Wyrozumiała część naszej emigracji oddaje pod tym względem słuszny hołd panu Faucher, na którego bardziej ludzkie dla nas usposobienie zapewne też wpływa i p. Wołowski <sup>1)</sup>.

18.

**Gibellini polscy.**

- »Nie znam dla was hańby słowa!
- »Nie, że język mój ubogi,
- »Lecz, że boską ludzka mowa!
- »Nadto piękna — czysta — święta,
- »Bo z anielskich krain wzięta —
- »By was nazwać po imieniu!«

... W te słowa, o wielki, nieznajomy wieszczu, w te palące słowa odezwałeś się przed sześcią laty do tych, co chcą pozbawić ludzkość serca; nie znajdziesz teraz podobnych wyrazów dla tych, co chcą Polskę pozbawić czci i godności?... Ty, którego imię nieznane jest cichą modlitwą narodu, a głośną chwałą wieku, ty, któryś jak Dant przez piekło przeszedł za życia, ale który nie jak Dant, ani jak pisarze *Czasu*, widzisz zbawienie świata w cesarzu wiedeńskim, nie rzucisz słowa przekleństwa na tych polskich Gibellinów, którzy z nadzieją i z radością wyglądają zejścia imperatora z Karpatów?... Ty, który ziarno siane w śmieci od wersalskich dzieci, rozwiałeś żarnem twego ducha tchnieniem, pozwoleń, aby to inne ziarno, które teraz sięją stare dzieci Krakowa i Lwowa, przyjęło się i zeszło na tej naszej świętej polskiej ziemi? Ty, któryś nam śpiewał dawidzki hymn miłości, żalu i dobrej woli, niewidzisz, iż teraz czas uderzyć w strunę drugą, czas zaśpiewać psalm sumienia, psalm godności narodowej?...

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 155, z d. 2 lipca 1851 r.

Gdziekolwiek jesteś, mistrzu słowa, powiedz, czyż nie przejęła twego serca jakaś bojaźń boża, gdyś ujrzał ten brud feletonowy krakowskiego pisma? Nie rozległóż się w twojej wielkiej duszy coś nakształt echa tego śmiechu szyderstwa, w który parsknął trup carycy, tego skrzypienia zrastających się jej z radości kości na widok takiej naszej hańby i sromoty? Powiedz, czyś się nie zląkł i nie struchlał, gdyś usłyszał te sprośne słowa, zalecające nam cieszyć się przybyciem wnuka Maryi Teresy, przywitać z radością sprawców rzezi galicyjskiej, zajaśnieć naszą hańbą, podskoczyć w naszych kajdanach?...

I do tej szalonej bakchanalii, do tej maskary wszeteczeństwa, do tego tańca śmierci jak to nazywano w wiekach średnich, używają pisarze polscy mieszkańców tego grodu, w którym złożone święte prochy naszych królów, w którym się wznoszą szczytne mogiły owego Kościuszki, który z wrogiem nie znał миру, i owej Wandy, która nurty Wisły przeniosła nad uściski austriackiego księcia! I wnukom to tego Sobieskiego, który za ocalenie Wiednia nie uzyskał ani jednego słowa uznania od Austryaka, wnukom to tego męża radzą śpiewać hymny dziękczynne temuż Austryakowi za czyny Kaunitza i Metternicha, Kriega i Stadion! I to piszą i to głoszą kilka mil tylko od tego Tarnowa, w którym popełnioną została największa rządowa zbrodnia tego wieku, kilka mil tylko od tej Byczyny, pod którą ongi Zamojski wziął w niewolę przodka Franciszka Józefa!

Och! to wszystko nie jest konwulsyjne, epileptyczne drganie nieprzytomnego umysłu, to jest życie, »życie zdrowe i organiczne!« To nie sen, ale jaw; to nie wybryk, ale system; to nie szaleństwo, ale metoda; to nie feleton, ale program! Za tym pisarzem stoi falanga, za tym dziennikiem stoi partya, a tę partyę stanowi część owej szlachty, bez której ludu nie ma!!

A ty milczysz, wieszczu wielki! Patrz, im pętają nie ciało tylko, ale już żrą ducha... a ty milczysz, nasz psalmisto! Patrz, to pióro polskie, to berło narodu i różga dla wrogów w twojej potężnej dłoni, stało się laską błazeńską i wachlarzem cesarskim w ręku niesumiennych belletrystów, a wkoło ciebie cisza

tylko? Patrz! oni szatę Polski, nieskalaną, przenajczystszą i świe-  
tlaną, ścielą pod krwi i błota pełne stopy ciemżycy, i z niebie-  
skiego tronu twojej świętej Matki robią podnózek dla syna Zofii,  
a ty w grzmiącym pienu im serc wszystkich nie rzucisz wszech-  
przekleństwa?...

Gibellini polscy! A wiecież, jaki los sobie i swemu naro-  
dowi zgotowali wasi poprzednicy, gibellini włoscy? Och! i oni,  
jak wy, mieli ojczyznę wielką, świetną i szlachetną, a potem roz-  
dartą, rozszarpaną i nieustannie zakłóconą; i oni, jak wy, przele-  
kli się tych wewnętrznych bólów i rozdwojeń; i oni, jak wy,  
zropaczyli o siłę, o samoistnej dzielności swego kraju, o podo-  
bieństwie wydzwignienia; i oni, jak wy, zadrżeli przed wewnętrzną  
anarchią, którą szerzyli biali i czarni narodowej partyi Gwelfów;  
i oni, jak wy, byli konserwatystami; i oni, jak wy, złorzeczyli  
wszelkim ruchom ludowym, wszelkim objawom demokracji w Lom-  
bardyi, czy w Niemczech, we Francyi, czy Szwajcaryi; i oni, jak  
wy, żądali przedewszystkiem silnego rządu, uszanowania dla wła-  
dzy, monarchii: »de monarchia« taki jest tytuł dzieła jednego  
z największych geniuszów chrześcijaństwa — Dantego; i oni, jak  
wy, rzucili się w objęcia cesarza wiedeńskiego, który miał ustalić  
ten rząd, tę władzę i monarchię... A wiecież w jaką przepaść  
nieszczęścia, niewoli i sromoty zepchnęli siebie i swoją ojczyznę?  
A wiecież, jaką krwią ich imię przesiąkło w grobach, jaką hańbą  
ono teraz okryte w dziejach, jakim przekleństwem w narodzie?  
Chcecież i wy podobnego i nieuchronnego doczekać się losu?  
Chcecież i wy z takim grzechów ogromem stanąć przed Bogiem,  
z takim znakiem odszczepieństwa pozostać w pamięci narodu?

O! nierównie surowszy niż o włoskich gibellinach wyda  
o was sąd jeszcze historia! Bo jaka też wielka między nimi,  
a wami, zachodzi różnica! Po tamtych krwi jama została, po  
was zostanie kałuża błota! Tamci byli olbrzymami w zbrodni,  
wyście tylko kałami! Tamci wdziewali pancerze, a wy mundury  
stanowe! Tamci szli za swoim cesarzem na pola Roncaglii, wy  
za waszym idziecie na reduty i bale! Tamci oddawali imperato-  
rowi klucze Mediolanu i Werony, Florencyi i Rzymu, wam im-

perator daje kluczyki kamerherów i kamerjunkturów! Tamci czołem Tytanów ścierali obłoki, wy nogą faunów łechtacie przedpokojowe posadzki! Tamtych to wszystko prawie usprawiedliwia, tłumaczy, co was potępia! Tamtych od ciemnicy dzieliły tylko Alpy, was od niego dzieli czerwone morze rzezi tarnowskiej! Tamci dla swego sojuszu mieli przynajmniej wielką, świetną tradycję Karola Wielkiego i cesarstwa rzymskiego, tradycję prawie całych wieków starożytnych i nowszych, pogaństwo i chrześcijaństwo; o jakąż wy tradycję zahaczycie waszą doktrynę? Chyba może o tę radę, którą jeszcze w XVI. w., jak opowiada Gratiani, dał waszym przodkom sam poseł rakuski, ów Rosenberg, abyście, pomnąc na wydartą waszym słowiańskim braciom wolność i narodowość, na wieki się wystrzegali rakuskiego jarzma? Tamci szukali pomocy tego, który nimi nie gardził, hołdowali temu, który się nimi szczycił. Ten zdobywca był zdobytym; ta *furia tedesca* szukała swojej aureoli w *virtus romana*; ten cesarz sam siebie nazywał barbarzyńcem, a Włochów największym w Chrześcijaństwie narodem; ci Hohensztaufy mówili po włosku, a wstydzili się prawie swego własnego języka; Fryderyk II. i Enzo szukali chluby w swoich włoskich rymach; dumni ze swojej siły, nie zaprzeczyli, zazdrościli owszem pokonanym ich sławy... Jakiegożeście się wy kiedykolwiek uznania doczekali od Habsburgów? Jakież kiedykolwiek cesarz przemówił waszym językiem? Kiedyż was inaczej jak barbarzyńcami nazywano? Czyż najniższy urzędnik względem was nie czuje się wyższym z niemieckiej łaski? Tamci nie ufali własnym siłom, samodzielnej żywotności swego narodu, ale oparli się przynajmniej o jeden z dwóch wielkich filarów średniowiecznego świata budowy: opuścili papieża, który trzymał z Gwelfami, ale połączyli się z cesarzem, którego władza w świecie materyalnym była wówczas prawie tak wielką, tak uznaną, tak uczczoną, jak papieża w świecie duchowym. Na czymże się wy opieracie? na tej słabej trzcinie habsburskiej, która już tylko igraszką w ręku Moskala; na tej Austrii, która zawsze tylko silną ze słabymi, a słabą ze silnymi, groźną z pokornymi, a pokorną z groźnymi być umiała!

Tamci, i to jedynem ich usprawiedliwieniem w oczach potomności, w poddaniu się obecnemu władcy, szukali, spodziewali się zespolenia, zjednoczenia rozdartej swej ojczyzny: Imperator wówczas znaczył jedność Włoch! Wy waszem poddaniem się tylko ten rozbiór ojczyzny utrwalacie, to rozdarcie narodu jeszcze powiększacie: Imperator teraz znaczy podział Polski! Taka to meta tej drogi, którą ślepi zaślepionych wodzicie, o polscy gibellini! Wy, co chcecie naród odrzeć z chwały, męczenników przemienić w pokojowców, wy, co szlachtę schłopić myślicie... Bo dotychczas chłop tylko galicyjski cesarskim się nazywa, wy chcecie, aby się taką nazwała i szlachta galicyjska, ta szlachta, która się niegdyś »równą cesarzowi« pisała, a którą historia wyższą cesarzów zapisała!

Nie! Nic, prócz środków, nie macie z dawnymi Gibelliniami wspólnego! wyżsi oni od was byli odwagą i dziełem, wyżsi pomysłem i wykonaniem, wyżsi pobudkami i celem! Bo tylko strach waszą pobudką, egoizm waszym celem! Strach przed rewolucją, bojaźń utraty dobrego bytu i marnych wygod życia, nienawiść dla wszystkich nowych myśli wieku, dla wszystkich wielkich zdobyczy ludzkości: oto, co wami powoduje; spokojne używanie choćby w hańbie i sromocie narodu, bezpieczne rozgoszczenie się na ziemi, choćby ta i lennictwem najezdców była, hałaśne brząkanie choćby tylko i łańcuchami, byle tylko złotemi: oto, czego wy pragniecie, czego wy z utęsknieniem wyglądacie...

Nie wszyscy! Na chwałę naszą nie wszyscy wśród was tak myślą! I jakżeby tak myśleć chcieli, tak myśleć mogli ci wśród was, a jest ich wielu, których rany jeszcze nie zagojone po wielkich walkach Grochowa i Ostrołęki, których ręce jeszcze noszą piętna dzwiganych kajdan, którym młodzieńczy włos osiwił w więzieniach Munkacza i Spielbergu, i którzy w danym razie, o żniw porze, pójdą naprzód w Imię Boże, i znowu dzielne, wierne, polskie wyteżą ramię?... Na chwałę naszą, na pociechę polskiego honoru, nie wszyscy wśród was wychodzą z tych pobudek i dążą do tego celu! Dobroduszni i łatwowierni, ciężko doświadczeni i ciężko zawiedzeni, dali sobie wmówić, że nie przed-

stawiają przyszłości, ale tylko ratują teraźniejszość; że się nie wiążą z wrogiem, ale się tylko nie targają w włożonej obroży, by bardziej nie dusiła; że to wszystko nie haniebna kapitulacya, ale tylko zawieszenie broni dla chwilowego wypoczynku... A jeżeli się kłania najeźdźcy, to tylko by lepiej jego achillesową piętę wypatrzeć... a jeśli się głaszcze drapieżcę, to tylko by go uśpić... a jeśli się kadzi ciemżycy, to tylko by go odurzyć... a jeśli się chwali wroga, to tylko by go oszukać...

Oszukać wroga!... Jestże to godnem, jestże to szlachetnem? Lew raniony i przekłuty, gdy sił ostatki straci, legnie cicho i ponuro, zatrzyma ryk w rozległej piersi i brwią szeroką żal oczu przytłumi... ale w lisa się taki lew nie przemieni!

Oszukać wroga!... Potrafiżto tylko ten naród szlachetny i dumny, który jaśnieje w dziejach szczerością i wspaniałomyślnością bez granic? który wszystko co zyskał, zyskał na drodze miłości lub jawnej rycerskiej, czystej w pobudkach i celach walce, a wszystko co stracił, stracił na krętych drogach traktatów, dyplomacyi i podstępstwa? który przez największych swoich wrogów niegdyś, przez Osmanów, był »gołę bim narodem« nazwany, a o którym już Kromer, gdy jego historię pisał, wyrzekł: »iż woli być oszukanym niż oszukać?«...

Oszukać wroga!... Potrafiżte to jakikolwiek naród na świecie!... Jeden to tylko naród potrafił, Moskal to potrafił z Mongołem! Tak, on to umiał pełzać przed Chanem, posyłać mu głowy najszlachetniejszych patryotów i uwijać się jak wąż, by potem ukąsić... Ale jestże w narodzie waszym ta mieszanina krwi normandzko-fińsko-tatarskiej, która jedynie takiej sztuki dokazać może? a wrogii wasze, jeśli nie ustępują w okrucieństwach Mongołom, mająż oni i tę barbarzyńską dobroduszość, tę wschodnią ograniczoność Mongołów, jedyne pole, na którym się taka sztuka udać mogła?...

Oszukać wroga!... Oszukać tego, co powstał, wzrósł i żyje z oszukaństwa, z obłudy i kłamu! który wydał Karola V i Filipa II, Kaunitza i Metternicha! który umiał ścisnąć Jagiełłę, gdy poduszczał Witolda, płakać przed Rohanem, gdy nasz podział

podpisywał! który chociażbyście jak wąż inne przybrali ciało, zawsze będzie podejrywał, że w waszej duszy wiele pozostało dawnego; wszak zostało i na wieki zostanie w nim!...

O wieszczu, wielki wieszczu! Czemuż nie powiesz tym ludziom zaślepionym, że ich doktryna iskrą z czarta kuźni i że Polskę w gorszą wpychają noc? Czemuż do nich nie zawołasz, że mongolskich natchnień szukają, z których się Moskwa-piekle raduje! Czemuż ich nie napomnisz do uszanowania świętych prochów ojców, do zachowania w czci nieskalanego dotąd imienia męczenników, i do tej cnoty, która najwyższym jest rozumem!

Spojrzyj na nasz stan obecny, o wielki wieszczu, patrz, jaki jad w nas sący niewola i zwątpienie!... My niegdyś wielcy, jakżeśmy zmaleli! My apostoły, jakież z nas apostaty! wrzekomo z nas duchy, a trupy w istocie! Spojrzyj na tych hrabiów lwowskich, którzy pindaryczne marzenia krakowskiego feljetonisty tak rączo i tak skoro urzeczywistniają! Tak łatwo mu przychodzi przeskoczyć przez trupy tarnowskie, które stopy tronu zalegają! W takiego bałwochwalcę się przemienił ten, co ludu jest kapłanem! Tak dalece Pankracego w egoizmie przeszedł ów hrabia, co swym mieczem ma przytrzymać runącą kopułę świętego krzyża!... Takie to zakończenie dają *Nieboskiej Komedyi!*...

O wieszczu, wielki wieszczu! Czas uderzyć w strunę drugą... Czas zaśpiewać psalm sumienia, psalm godności narodowej! <sup>1)</sup>...

Namiętny i niesprawiedliwy artykuł Klaczki nie mógł nie wywołać odpowiedzi ze strony napadniętych w tak gwałtowny sposób »Gibelinów« z krakowskiego *Czasu*. Jakoż ujął się za nimi niejaki H. W., a redakcja *Gońca polskiego* nadesłaną sobie przezeń apologię pokrzywdzonych wydrukowała w imię bezstronności i stosunków koleżeńskich z *Czasem* (z którego przedrukowywała wiele artykułów) bez żadnych zmian i skrótów. Artykuł ten H. W. zamieszczony w *Gońcu polskim*, w Nr. 182, z dnia 9 sierpnia, 1851 r. brzmiał, jak następuje:

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 170, z d. 25 lipca 1851 r.

Poznań, dnia 8 sierpnia. Bezstronność nakazuje nam umieścić przesłaną nam obronę tak nazwanych konserwatystów polskich i *Czasu*. Zastrzegamy sobie tylko kilka uwag w tym przedmiocie.

Szanowny Redaktorze! Słusznem jest, aby każdy oskarżony bronić się mógł, ale jeśli jest niewinnym, bronić się ma obowiązek. Gdy obrona samemu oskarżonemu staje się niepodobną, zdarza się, że przyjaciel, lubo nieproszony, z obawy wyroku zaocznego sprawę wyjaśnia.

Z okoliczności ogłoszenia listu z Paryża o polskich Gibellinach, spisałem uwag kilka, które rzucają niejakie światło na stan Galicyi i Krakowa i dadzą, zda mi się, jaśniejsze pojęcie o opiniach i dążnościach ludzi zasad zachowawczych i dziennika *Czasu*.

Ogłoszenie tego artykułu uważałbym za dowód bezstronności w sądzie o ziomkach i z tego jedynie tytułu mam nadzieję, że mu kolumny *Gońca* otworzysz.

List z Paryża »Gibellini Polscy« nie mało zapewne, tak dla świętości stylu, jak i dla szlachetnych uczuć, jakie go dyktowały, nie mało powtarzam zrobi wrażenia. Będzie on miał za sobą tych wszystkich gorąco czujących, którzy godność narodową cenić umieją, i dziś kiedy ludzkim okiem patrząc żadnego promyka nadziei nie widzą, zachowanie tej godności za pierwszy obowiązek narodowy uważają. Uczucie to szanuję, chcę atoli parę słów o opiniach tak nazwanych konserwatystów, o położeniu *Czasu* i o warunkach jego istnienia powiedzieć, które to położenie i warunki, czy z przekonania czy z uprzedzenia, żaden nieomal dziennik polski uznać nie chce, a jak dalece są trudne, zdaleka pojąć nie może. Dlaczego nie chwałę postępowania Krakowian, to jest tych, którzy się manifestują w słowach przez *Gońca* przytoczonych, a dlaczego usprawiedliwiam *Czas*, dwie na pozór sprzeczności, będę się starał wyjaśnić. A naprzód słowo o stanie i składzie społecznym Galicyi.

Urzednicy wszystko trzymają, wszystkim rządzą i wszystko robią; o wojsku nie mówię, bo jest środkiem wykonawczym.

Właściciele ziemi czyli szlachta, są to indywidualności w całym znaczeniu tego wyrazu, bez organizacyi, bez znaczenia, bez wpływu i bez przywódców; nie stanowiący nic osobnego i oddzielnego w narodzie, a jednak w skutku ustaw politycznych austriackich oddzieleni i wyosobnieni. Ci przestraszeni swoją słabością liczebną, zagrożeni upadkiem majątkowym, wystawieni pod wszelkimi względami na wielkie niebezpieczeństwa, nie mogąc się skupić, bo im brakło i człowieka, a co najważniejsza i środka, poszli każdy podług swoich instynktów: jedni zbyt na prawo, drudzy zbyt na lewo, jedni zupełnie *et quand même* do rządu, drudzy do rewolucyi; a że nie wiele w nich rozumu politycznego, nie zatrzymują się jedni i drudzy w umiarkowaniu, ale

dochodzą do ostatecznych kresów swoich dążności; jedni do płaszczenia się, drudzy do wyczekiwania jakichś zjawień nadzwyczajnych.

Chłopi, masa nieoświecona, zbałamuciona, dziś na pozór rządowa, podłechtana niegodziwymi środkami, krzycząca, że jest cesarska, a zachowująca nie w opiniach, (bo ich nie ma), ale w życiu i tradycji więcej narodowości polskiej, niż niejeden piszący patriota. Mimochodem mówiąc, zdaniem mojem wszystkie objawy barbarzyństwa, a zarazem tak nazwanej miłości dla rządu austriackiego chłopu galicyjskiego, mają dwie przyczyny: jeden obłąd i jedną cnotę; obłąd, ale którego nie on winnym, jest przekonanie, że rząd wszystko może, że od niego wszystko przyszło i wszystko przyjdzie; cnotę, którą jest uszanowanie i uległość dla władzy. Te dwie główne przyczyny sprowadziły stan chłopów w Galicyi, inne podrzędne grały także swoją rolę, ale bardziej jako objaw, niżeli jako przyczyna; bo nienawiść, chęć grabieży, okrucieństwo itd są namiętności, które we wszystkich, nawet najwięcej wykształconych społeczeństwach, w stanie ukrytym się znajdują, ale u których dzierżenie silne prawa wybuchom tych namiętności tamę kładzie, co, jak wiadomo, w Galicyi w r. 1846 ustało. Uszanowanie dla władzy nazwałem cnotą, i jestem tego silnego przekonania, że nie ma większego nieszczyścia dla społeczeństwa, jak tę cnotę w masach osłabiać. Ci, którzy o tem wątpią, niech przypuszczą na chwilę, że okoliczności postawiły ich u steru rządu w narodzie, gdzie uszanowanie dla władzy znikło; opłakaną iluzją by było pochlebiać sobie, że jedną władzę będzie szanować ten, którego uczono nieszanować żadnej; w takim narodzie ani organizacyi, ani przyszłości, tylko despotyzm i siła brutalna.

W Galicyi, gdzie jest rządzący urzędnik, zindywidualizowany szlachcic i masa nieoświecona — chłop, nie ma stanu ani organicznego, ani normalnego, ani mogącego mieć w jakiembądź przypuszczeniu zba-  
wiennych skutków.

Pogląd na ten stan rzeczy, przekonanie, że rozwiązanie kwestyi narodowej na innej drodze niż do dziś dnia szukane być musi, rozumowanie ścisłe, a zatem odrzucające możebność wszelkich przypadków szczęśliwych, dowodzące, że na przyszłość budować trzeba i że budować nie można, tylko na podstawie tego, co jest; doprowadziły wielu ludzi oświeconych i szlachetnych do tego twierdzenia, że nim o jakiejkolwiek przyszłości narodowej myśleć można, pierwaj się trzeba uporządkować; pierwaj trzeba przyjść do jakiejś organizacyi, a w następstwie tej do harmonii między żywiołami społeczeństwa, z tej harmonii pierwaj trzeba wyrobić jakieś siły narodowe, samorodne, na ziemi ze stosunków naturalnych wyrosłe. pierwaj trzeba przyjść do jakiejś całemu ruchowi towarzyskiemu. (Tak jest w rękopisie. Nie powiada on, do czego pierwaj przyjść trzeba). Że taka zgoda, że taka jedność, że taka

zbiorowa dążność, że takie porozumienie się, że nawet możebność do jakiegośkolwiek zbiorowego działania, nie mówię narodowego, ale towarzyskiego w Galicyi, nie egzystuje, wątpliwości nie podpada. Niema tam ani jednego stanowiska, ani jednego stosunku, ani jednego wpływu naturalnego, bądź z instytucyi, bądź z hierarchii, bądź z tradycyi wpływającego; są rozbite materyały jakiegoś gmachu starożytnego, jedne koło drugich, niejako siłą inercyi i ciężkości trzymane, ale nie tworzące z sobą ani całości, ani harmonii, ani jedności, a zatem nie mogące mieć ani siły spójności, ani siły oporu, a tem mniej siły działania.

Z tego przekonania powstała opinia polityczna tak nazwanych konserwatystów, którzy za współdziałaniem rządu chcieli kraj organizować i niejako naród jednolity stworzyć. Pewne oświadczenia liberalne rządu, zapewnienia, że nie odmówi krajowcom wpływu na rzecz publiczną, intencya organizowania gmin i cyrkułów, a więc zapewnienia przewagi elementów miejscowych, nareszcie wyrzeczenie uszanowania dla narodowości, to wszystko podniosło nadzieję i ugruntowało przekonanie, że za pomocą rządu i za przyczyną zdrowych zdolności krajowych, kraj dojdzie do stanu uporządkowanego, harmonijnego i hierarchicznego i że życie narodowe pod zastoną i za pomocą praw rozwijać się będzie tak pod względem moralnym, jak intelektualnym.

Takie przekonanie, jeżeli jest sumienne, z miłości kraju płynące, z żadnym osobistym widokiem nie powiązane, tylko ten potępić może, który zawsze nadzwyczajnych wypadków wyczekuje, rachuje na wojny, na rewolucye i obce pomoce, a dzięki takim nadziejom nic nie robi, nic robić nie może, a pracą na wielkie rozmiary na przyszłość, na kilka generacyi obrachowaną gardzi, bo nie jest dosyć wzniosły umysłem, ani dosyć szlachetny sercem, by pracować dla przyszłości, bo jego osobie nic stąd nie przyjdzie, a on dla siebie i na jutro chce pracować.

Powtarzam więc jeszcze: oto są pobudki, oto są zasady, oto są dążności partyi tak nazwanych konserwatystów, których organem jest *Czas*. W każdym stronnictwie, lubo to stronnictwem ledwo nazwać można, bo stronnictwo ma jakąś organizację i przywódców, w każdym stronnictwie, mówię, są ludzie ostateczności, biegnący za rącho, przesadzający cel, obok ludzi jasno widzących, spokojnych, umiarkowanych, i którzy nie odrzekając się zasad, opuszczą środki, jakich się chwycili, jeżeli podstawa, na której budować chcieli, pokaże się wątlą i fałszywą. Że tacy ludzie ostateczności wyradzają się wszędzie, to, sędzę, najchętniej przyznają uczciwie liberalni i patriotyczni obywatele Księstwa Poznańskiego. Otóż i w tym przypadku są ludzie, którzy doktrynę przyjąwszy tak ją tłómaczyli: nie macie nic do robienia, jako się rzucić bezwarunkowo w objęcia rządu; kto nas zastoni od chłopów? rząd; kto nas wy-

ratuje z toni? rząd; kto nam pomoże? cesarz; kto nam da spokój? cesarz; a więc trzeba pochlebiać, trzeba się płaszczyć, i to nie tylko przed panującym, ale przed jego zastępcą, ale przed wszystkim, co wyobraża władzę. Przez strach z jednej strony, a przez omylną nadzieję z drugiej, zapomnieli o godności narodowej, o godności obywatelskiej, i przenoszą korzyści osobiste nad obowiązki względem całego kraju; co więcej, ich rozumy tak są maluczkie i serca tak ciasne, że nawet takich obowiązków nie widzą, nie pojmują i w każdym kroku swoją tylko zgubę lub zbawienie na celu mają.

Są także ludzie, ale tym ograniczoność sensu politycznego zarzucać można, którzy myślą, że kiedy lica ich okraszone głupowatym uśmiechem cesarz obaczy, gdy pokornem czołem wybijają będą pokłony, a w mundury stanowe przebrani, przeobrażą się w reprezentantów kraju; wnet rząd, najściślejsze tradycje rządzenia mający, wnet rząd, mówię, i systemat zmieni i cesarz do serca przycisnie swe wierne poddane, da i spokój i kredyt i pieniędzy. Cóż o takich płaskich półgłówkach powiedzieć? nic, jeno, że w każdym społeczeństwie ludzkim są pewne ułomności, które się ciągle powtarzają.

Oto są ludzie ci i owi, którzy kompromitują całe uczciwe stronnictwo w Galicyi i w Krakowie, wobec rządu i wobec tych wszystkich, którzy tego odcienia widzieć nie mogą. Takich ludzi przed chłostą korespondenta z Paryża zasłaniać nie myślę. Ale żeby człowiek wyższy i mający właśnie dla swojej wyższości obowiązek sądzenia spokojnie, rozumnie i rozsądnie, rzucał klątwę na całe miasto, na cały kraj, za to, co kilka płaszcących się kreatur przemówi, a dziennik powtórzyć musi, eżeli żyć chce, to mi się zda sądem zbyt srogim. Tak samo rozumując, rządy potępiły Kraków roku 1846, gdy wmawiały przed Europą, że całe miasto zrobiło rewolucję, a nie liczyły, ile oburzenia sprawiały i ruch i zasady w tym czasie ogłaszane, ile żalu, ile też gorzkich wyciskało przekonanie, że piętno szaleństwa biedne miasto nosić będzie.

Pozostaje mi jeszcze parę słów powiedzieć o *Czasie*. Dziennik ten ostrą cenzurą ściśnięty, która mu nigdy objawienia całej jego myśli nie dozwala, a objawy sympatyj rządowych umieszczać nakazuje, party z drugiej strony wymaganiami ludzi utra-rządowych, o których się rzekło, zawdzięcza swoją egzystencję jedynie umiarkowaniu, oględności redakcyi i temu sumiennemu przekonaniu, że dla przykrości, których doznaje, że nawet dla podejrzenia, które na siebie ściąga, nie godzi mu się opuszczać dobrego i wiele większego, które tak licznymi sposobami sprowadza. Czyż za nic liczyć jego zasługi, jako to, że obudza interes do rzeczy publicznej, że zachęca wszystko dobre, co się w kraju pojawia, że zajmuje umysły rzeczami poważnemi, umysły próżniacze, których *Czas* jest jedyną książką; że się dzielnie przyczynia do oświaty

w Galicyi, do nadania jakiegoś życia umysłowego. Temu wszystkiemu tylko przeczyć może, kto nie zna Galicyi i stopnia wykształcenia, na jakim się znajduje tak zwana oświeceniśza klasa w tym kraju.

Powiedziałem, że *Czas* jest ostrą cenzurą ściśnięty, a wymaganiami party. Gdy polityczny artykuł pod cenzurę idzie, tak bywa obcięty, że zaledwie jest zrozumiały. Gdy jaka mowa lub manifestacya na cześć rządu jest redakcyi nadesłana, nieogłoszenie uchodzi za niechęć do rządu: są artykuły przez urzędowe osoby nadesłane, które umieścić trzeba, bo się wznieci podejrzenie, a tylko pociągnięcia pióra trzeba do zniesienia dziennika; nareszcie, a i to bywa, przynosi ktoś artykuł, nieodpowiadający dążności redakcyi; gdy się wzbrania ogłoszenia, oświadcza autor, że ten artykuł już zakomunikował wyższemu jakiemu urzędnikowi, który bardzo go chwalił, a więc ogłosić go trzeba, zastrzeżenia żadnego nie robiąc. Miecz Damoklesa wisi ciągle nad dziennikiem i za najlesze przekroczenie spaść może, a uczucie obowiązku żyć każe. Takie to są warunki, pod którymi *Czas* żyje. Uszanowania i szacunku, na jakie zasługuje praca twarda i często niewdzięczna i często zapoznana, a w imię dobra kraju i z uczucia obowiązku podjęta i prowadzona, nie powinny osłabić żadne liryczne i dytyrambiczne potępienia, jakkolwiek wzniosłe i piękne i szlachetne, kiedy nie rozróżniają winy od pozoru, konieczności od dobrej woli. I dlatego na wymowne słowa autora listu o gibellinach polskich, skromny głos podnoszę nie za tymi, którzy na potępienie zasłużyli, ale za tymi, którzy milczeć muszą; i dlatego wierzę, że wieszcz hymnów, zaklęcia nie usłucha, bo on gorącym swem sercem rozpozna winnych albo obłąkanych od niewinnych, bo on, który kocha, nie rzuci słów potępienia na cały starożytny gród za podłość kilku niezgrabnych dworaków.

H. W.

Dawszy się wypowiedzieć panu H. W., redakcyja *Gońca polskiego* zaraz w następnym numerze sama zabrała głos w tej kwestyi, występując w niełatwej roli możliwie obiektywnego i beznamiętnego superarbitra. Oto jej opinia:

Nieraz już objaśnialiśmy zasady, które służyły do obrony tak nazywanych konserwatystów galicyjskich i *Czasu*. Szczerze i otwarcie, wedle sumienia i przekonania naszego czynić to będziemy i nadal, o ile nam pozwoli wzgląd na przepisy prawa prasowego i karnego. Dziś tylko kilka słów w tej mierze.

Stronnictwa ściśle sformułowane, nieodzowne w państwie wolnem, w położeniu naszym rozerwanem, przy nader niskim stopniu wykształcenia politycznego, nie są niezbędną potrzebą; czasami nawet ściśniąją i tak już bardzo ciasne pole, na którym pod ustawami nam nie-

przyjaznemi w życiu publicznem obracać się nam wolno. Z natury jednakże ludzkiej, z dziejowego rozwoju społeczeństwa wynika konieczność różnicy zasad i zdań. Konieczność ta płynie z samego życia i ruchu towarzyskiego; dlatego i nam mimo rozerwania i niewoli poddać się jej trzeba. Ludzie utyskujący na ścieranie się zdań i zasad, w ograniczonej dobrodusznosci swej nie wiedzą o tem, że żądają dobrowolnej zagłady, niehybnej śmierci. Nie różnica i ścieranie się zasad i zdań przynoszą szkodę w trudnych usiłowaniach naszych, lecz sposób, w jaki się je objawia. Objawiajmy w dobrej wierze i sumiennie przekonanie nasze, a przy bezustannej i bacznej zawsze uwadze na cel ostateczny, do którego wszystkie usiłowania nasze zmierzają, unikając namiętnych względów na osobistości, znajdziemy w końcu godziwą drogę, po której złączonemi siłami dojść wreszcie musimy do celu. Prawda zawsze się znajdzie: potrzeba jej tylko szukać w poczciwości i dobrej wierze.

Bądźcież sobie więc i nazywajcie się konserwatystami, jeżeli wam się ta nazwa podoba, lecz bądźcie nimi w gołosłownem znaczeniu tego wyrazu, bądźcie konserwatystami polskimi. Dziś przedewszystkiem ograniczeni jesteśmy na zachowaniu nieskazitelnem jedyne go skarbu, który nam się jeszcze pozostał, na zachowaniu ostatniej już podstawy, na której spoczywa cała przyszłość nasza. Tym skarbem, tą zasadniczą podstawą istnienia naszego jest godność narodowa. Zachowujcie tę godność, czuwajcie nad czystością i nieskazitelnością jej; uszanujcie ducha i charakter narodowy przez szczere zamiłowanie rodzimego obyczaju i rodzimej myśli; zachowujcie pamięć samodzielnej przeszłości waszej, poczciwego imienia przodków waszych i nieugiętej ich duszy; jednym słowem, bądźcie zawsze i wszędzie Polakami, a naród błogostawić będzie konserwatystów polskich. Lecz bądźcie konsekwentnie konserwatystami i nie naśladowcie bez rozmysłu i rozwagi konserwatystów zagranicznych. Czyż uszanowanie dla władzy, jako władzy, które wszelkimi siłami w naród wpoić usiłujecie, miałoby być następstwem konserwatyizmu waszego? Czyż adoracja prawa faktycznie istniejącego, w którym się rozmiłowaliście; czyż żądza wasza organizowania kraju za współdziałaniem rządu zgadza się, nie mówim już z dążnością zachowawczą, lecz z prostym rozumem i z doświadczeniem, jakie wam się w ciągu niewoli naszej zbyt dotkliwie narzucało? Czyż zasada ta nie prowadzi do uszanowania brutalnego gwałtu, do uszanowania zbójcy przykładającego nóż do piersi bezbronnej? Zastanówcie się nad okropnością skutków dążności waszej i nie zadawajcie fałszu konserwatyzmowi waszemu.

Dawniej nieco wypowiedzieliśmy już obszerniej zdanie nasze o nierozumie i szkodliwości wypływającej z uszanowania władzy jako władzy. Dziś dodamy tylko, że rozdział, jaki obecnie istnieje pomiędzy

prawem faktycznym a sprawiedliwością, istnieć musi w przekonaniu narodu naszego. Dlatego nie zaszczepiać zgubnych adoracyi, lecz przeciwnie wyjaśniać i utrzymywać nam wypada w przekonaniu ludu przeciwieństwo zachodzące pomiędzy sprawiedliwością i prawem przypadkowym, narzuconem. Wymaga tego po nas uczucie moralności i myśl czysto zachowawcza. Chcieć zgubić w przekonaniu narodu sprzeczność tę, jest to zrzucać się uprawnień naszego, odrzucić nadzieję na przyszłość, wypierać się przeszłości, utracić wiarę w nieodzowne zwycięstwo sprawiedliwości i prawdy.

Powtarzamy, bądźcie konserwatystami w imię Boże, lecz bądźcie nimi konsekwentnie, bądźcie konserwatystami polskimi. Pod tym jednym warunkiem na jednej i tejże samej spotykamy się drodze.

Znamy dostatecznie trudne położenie dziennika, który się organem konserwatyzmu być mieni, znamy liczne trudności, z jakimi ma do walczenia *Czas krakowski*; lecz pamiętamy zarazem dobrze godło, które przyjął w pierwszych czasach istnienia swego, godło, któremu poczciwe polskie sumienie nic nie ma do zarzucenia; godło, mieszczące się w wyrazach: godność osobista, cnota i dobra sława. Dlatego też wymagamy po nim, ażeby nie zadawał fałszu samemu sobie. obrońca jego twierdzi, że czasami umieszczać musi to, co nie jest właściwem jego przekonaniem. Zła to obrona. Że przekonania swego jasno wypowiedzieć nie wolno w stanie uciemnienia, dostatecznie to i my wiemy z własnego doświadczenia. Lecz pytamy się, czy istnieje jakakolwiek władza na ziemi, lub jakakolwiek konieczność, zmuszająca do pokrywania płaszczem nikczemnej podłości, zapierającej się imienia i pochodzenia swego? Czy względne nawet rozszerzanie trucizny moralnej zgadza się z cnotą i dobrą sławą? Czyż może być jakakolwiek korzyść, dla którejby usprawiedliwiać nam wolno było poziome i niegodne objawy odstępców świętej i sprawiedliwej sprawy naszej? Jeżeli przekonania naszego objawić nam nie wolno, natenczas milczenie jedynym obowiązkiem naszym. Żadna władza, żadna konieczność, milczenia, tej ostatecznej protestacyi w niewoli, odjąć nam nie zdoła.

Utraciliśmy wszystko, co przemocą wydarte być może. Utraciliśmy wszystko, aż do poczciwego imienia. Wszystko napowrót zdobędziemy, jeżeli moralnej czystości i godności narodowej nie podamy sami w pogardę. Z moralnej śmierci nie masz zmartwychwstania. Póki nam więc jeszcze odzywać się wolno, wołamy i wołać nie przestaniemy z głębi naszej duszy: nie popełniajcie samobójstwa, zachowujcie godność w uciemnieniu, czuwajcie nad godnością narodu i ducha polskiego!!<sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 183, z 10 sierpnia, 1851.

19.

4. Paryż, 27 stycznia. Mimowolna przerwa, która nastąpiła w mojej korespondencji, zmusza mnie do udzielenia nasamprzód kilku nowin już trochę przestarzałych, ale których jednak w tej feletonowej kronice emigracyjnego naszego życia opuścić bym nie chciał.

Kilka tygodni temu zakończył żywot człowiek, który się sławnym słowem zapisał do niezatarcia w nowszych dziejach naszego narodu, w dziejach całego nawet XIX w. *L'ordre régné à Varsovie* zmarłego teraz marszałka Sebastyani będzie pamiętnem nie tylko dla nas, ale też — bo tak solidarnie teraz związane losy ludzkości — i dla wszystkich uciemiężonych narodów, dla wszystkich pokrzywdzonych w najświętszym prawie ojczystego bytu. Ciekawą do napisania i nauczającą do zgłębienia by była historia haseł, historia tych wyrazów, które zrazu nieznaczące i przypadkowe, stały się z czasem znaczącymi i fatalnymi, z początku dla chwili tylko obrachowane i prawie bezwiednie improwizowane służyły w końcu za epitom dla całego historycznego kierunku epoki, niestety! nieraz i za epitaforę, za napis grobowy, dla niejednej wielkiej myśli wieku, dla niejednego wielkiego narodu w chrześcijaństwie! W takiej to historii haseł słowo marszałka Sebastyani, znajdzie jeszcze kiedyś wyraźne, wielkie bodaj i pierwsze miejsce... Słowo »porządek« jest tak stare jak świat, bez którego nigdy nie istniał, bez którego istnieć by nie mógł; ale Sebastyani pierwszy nadał temu słowu to nowsze fatalne znaczenie, pierwszy użył go dla określenia i upiększenia tej zbrodni politycznej, uciemiężającej i podbijającej naród, upominający się o swe najświętsze prawa, o niepodległość swego bytu i imienia, pierwszy określił nim ten stan, który o dwa tysiące lat przed nim już rzymskim lakonizmem oznaczył rzymski wielki historyk: *ruinas faciunt, pacem appellant*. Gdy Sebastyani pierwszy raz owe słowo, w owym fatalnym wymówił znaczeniu, przed dwudziestu laty, echo mu głośnym odpowiedziało oburzeniem, izba francuska

zawrzała, dzienniki wołały o pomstę, liberaliści o zdradę... Dziś, gdy z okoliczności śmierci Sebastyaniego te same dzienniki wystąpiły z jego nekrologiem, gdy wyliczyły wszystkie ważniejsze wypadki jego życia, rekapitulowały jego wielkie i małe czyny, żaden, żaden z tych dzienników mu tego słowa nie wyrzucił, żaden mu go nie przypomniał... och, bo też jego słowo było proroczem, prawdziwiej niż owa kokarda, którą ofiarował Bailly Ludwikowi XVI., zrobiło ono *le tour du monde*, to słowo stało się ciałem! Porządek już nie tylko w Warszawie, panuje on teraz we Wiedniu i Peszcie, w Medyolanie i Neapolu, w Wenecyi i Zagrzebiu! W imieniu tego porządku Guizot i Montalembert, *Assemblée Nationale* i *Univers* bronią tych okropnych rządowych zbrodni, które niedawno Gładstone w całej obrzydłej nagości przedstawił dla tych ludzi, co jeszcze mają sumienie... w imieniu porządku tego nazywa *Univers* Ferdynanda II. *le meilleur des rois chrétiens!* Z jakąż radosną pogardą musiał marszałek spoglądać na tych ludzi, co teraz bałwochwalczo ubóstwiają to słowo, które dawniej w jego ustach im się zdawało bluźnierstwem; jakież to tryumf musiał być dla tego męża stanu! I mamże powiedzieć, jaki go jeszcze inny tryumf czekał, o którym pewno nie wiedział, o którym pewno nie pomyślał, którego by się spodziewać nigdy nie śmiał?... Otóż, w dzień jego śmierci, w ten sam dzień, w którym się zamkły powieki tego Korsykanina, czytano w *Gońcu* tę obronę polskich konserwatystów, która tylko jest rozprawieniem i usprawiedliwieniem owego słowa »porządku«, w znaczeniu Sebastyaniego. Mógłże marszałek kiedykolwiek marzyć o takim świetnym zadośćuczynieniu, o takim gorącym przyznaniu ze strony tych samych, których zapoznanie i pokrzywdzenie mu tak długo wyrzucano? Nie byłaż to najpiękniejsza, arcydzielna korsykańska vendetta dla tego człowieka, że własne usta ofiary powtarzały własne słowa potępienia, że Polacy, Polacy sami w rzezi galicyjskiej przyznali cnotę uszanowania porządku i władzy, i prawie całowali ten nóż, który ich zarzynał, dlatego, że na tym nożu była cyfra cesarska?!!

W takim stanie rzeczy, w takiej ogólnej winie, którą z nim

teraz dzielą nietylko jego współwinowajcy, ale i ci, którzy go za to niegdyś potępili, ale i ci nawet, którzy padli ofiarą jego zbrodniczego słowa... prawie bym chciał usprawiedliwić zmarłego, prawie bym chciał widzieć w nim bezwiedne, niewinne narzędzie ogólnego grzechu... Ale nie! Człowiek jest odpowiedzialnym na tym świecie, i nawet wtenczas nim być nie przestaje, gdy jego wina staje się winą całego świata! Bóg sprawiedliwy, w swoich wyrokach niezgłębiony, ależ nieraz poznany, Bóg już i w tem życiu srodze ukarał marszałka i pozbawił go tego szczęścia w domu, którego on innych pozbawił w ojczyźnie... Nie opowiem tu tego okropnego zdarzenia, które każdej pewno pamięci jest przytomnem, które wstrząsło całą moralną powagą wyższych warstw Francyi i krwawym swym blaskiem, jak błyskawica piorun, zapowiedziało upadek tej dynastyi, dla której Sebastyani poświęcił nawet i sumienie. Ale co wartem opowiadania, bo to mniej znanem, bo to godnem jest zapisania i może posłużyć dla psychologicznego wyjaśnienia człowieka i jego słowa, to ta ciasność duszy, ta lodowatość serca, z którą ten człowiek zniósł cios tak okropny: Sebastyani do końca życia mieszkał w tym swoim hotelu na *rue du Faubourg St. Honoré*, w którym jego nieszczęśliwa córka zginęła od sztyletu swego męża Praslina!... Drzwi tylko owej fatalnej komnaty, gdzie spełnioną została ta straszna zbrodnia, przybito i żaluzye tych grobowych okien spuszczone..., a zresztą panował »porządek« w tym złowrogim hotelu, w którym marszałek nic nie zmienił, do ostatniej chwili życia gościł i nawet dawał wieczory! Kilka miesięcy temu przechodząc koło tego hotelu, zajrzałem w głąb i widziałem śliczne niewinne dzieci, bawiące się tuż pod owemi zamkniętymi oknami owej sypialni... Były to dzieci pani Praslin!!! To stępienie wszelkiego uczucia delikatności w sercu ojca i dziadka nie objaśnia nam dostatecznie i czynów i słów męża stanu? Jakżeż miał uczuć upadek obcego narodu ten, który własnego upadku uczuć nie był w stanie, i jakżeż nie miał się cieszyć z porządku panującego w Warszawie, ten co tak prędko i obojętnie przywykł do porządku w *hôtel-Sebastyani*?...

O! Bóg wielki, Bóg, który nas nie opuszcza, chociaż siebie samych opuszczamy, Bóg swoim karzącym palcem naznaczył nawet i ten obchód grobowy owego człowieka, który na nasz grób rzucił słowo obrazy! Kilka dni temu pochowano z całą wojskową okazałością Francyi zwłoki marszałka w hotelu Inwalidów. Trumna wystawioną była przez jeden dzień w tem sklepieniu marszałków, ozdobionem wielkimi trofeami zwycięstwa, chorągwiami zdobytymi przez Francuzów na nieprzyjaciołach. Otóż przez jeden z tych przypadków, w których nieraz myśl Boża ukryta, sztandary te zapaliły się od jednej z pochodni oświecających katafalk i spłonęły wszystkie, jakby się wstydyły obwiewać skronie żołnierza, co nie uszanował tej Polski, której synowie byli niegdyś jego towarzyszami broni. Szkoda, którą przez ten dziwny i niebyły przypadek poniosła skarbnica trofeów francuskich, jest bardzo wielką, chociaż rząd starał się zatrzeć jak najprędzej jej ślady, a teraz znowu porządek panuje w hotelu Inwalidów, jak panował w hotelu Sebastyaniego, jak panuje w Warszawie...

W tym samym czasie, co Sebastyani, ale nie w hotelu, lecz w szpitalu, nie w stolicy świata, ale w jakimś zakątku Francyi, we Vierzon, w departamencie Cher, zakończył swoje, mniej świetne może, ale czystsze i cnotliwsze życie, stary wojak polski, któż wie, czy nie towarzysz broni marszałka? Pułkownik Józef Rusiecki urodził się w roku 1770 i już w r. 1787 był żołnierzem. W r. 1792 walczył pod Kościuszką w szeregach tych wielkich wojowników, co nie szanowali władzy austriacko-moskiewskiej, ale szanowali ojczyznę świętą i godność imienia polskiego. Po bitwie pod Maciejowicami schronił się do Francyi, wstąpił do tych legionów republikańskich, które dziś taką odrazą przejmują naszych ludzi porządku, walczył we Włoszech i wysłany potem pod dowództwem generała Rochambeau do Saint Domingo, był jednym z tych rzadkich, co uratowali życie z tej podłej zasadzki, którą na naszych zastawił rząd niewdzięczny. Z powrotem do Francyi otrzymał stopień porucznika w 2-jej dywizyi kirasyerów, którą dowodził generał d'Hautpoul (ojciec niedawnego

ministra) i który w objęciach naszego tego rodaka skonał w bitwie pod Eylau. Gdy po tej ciężkiej potrzebie reorganizowano tę dywizję bardzo przerzedzoną kulami nieprzyjaciół, oficer jeden ze świty Napoleona zrobił uwagę, wskazując na Rusieckiego, że niema wzrostu należnego dla kirasyera. Napoleon kazał naszemu wojakowi zsiąść z konia i zmierzywszy się z nim *dos á dos*, wykrzyknął: »mylisz się, waćpan; to nie karzeł... on tego samego wzrostu co ja«, (*Vous, vous trompez, monsieur, ce n'est pas un nain... il est de ma taille*) i zamianował go kapitanem w tym samym oddziale. Później, jako szef batalionu, odbył w roku 1812 kampanię moskiewską i niemiecką. W r. 1831 wreszcie dowodził 22-im pułkiem liniowym. Żył pocziwie i umarł w nędzy. Wielu z mieszkańców Wierzona, część gwardyi narodowej z dowódcą na czele, towarzyszyła zwłokom naszego wojaka, który w małym cmentarzu lichego miasteczka spokojniej spoczywać będzie, niż marszałek Sebastyani w hotelu Inwalidów... Pokój jego czystej, polskiej duszy!

Po smutku wesele, mówi przysłowie... więc i ja też powiem coś o weselu, które wkrótce nastąpi. Mój Boże! Jakżeż to niewdzięczną jest praca korespondenta! Ileż to razy wyciągam chciwe ręce za jakąś nowiną, a wiatr tylko uchwycę... a kiedy się wreszcie w istocie jakaś nowina nadarzy, gdy goniąc i błędząc, nieznużony goniec, wreszcie natrafię na jakąś porządną *trouvaille*, jak to tu nazywają w argocie dziennikarskim, któraby mi zaskarbiła łaski wszystkich chciwych nowości... o, wtedy stają znowu pewne względy na zawadzie, które każą wstrzymać się z ogłoszeniem i czekać z nowiną, póki nie będzie zapomnianą! Gdybym np. temu pół roku był oszajmił pięknym czytelniczkom *Gońca* (jakem to mógł), że książę Witold, pierworodny syn księcia Adama Czartoryskiego, oświadczył się pannie Grocholskiej, Wołyniance, jednej z najpiękniejszych gwiazd (gdybym się nie bał, powiedziałbym najpiękniejszej), które tej zimy jaśniały na tańczącym firmamencie polskiego towarzystwa w Paryżu... nieprawdaż, żebym z tą nowiną zrobił pewne furore? Jakżeżby to chciwe czytelniczki wydzierały sobie wówczas moją korespon-

dencyą, jakżeżby rąco błyszczącemi oczkami przebiegały te wiersze, któż wie nawet, czyby się nie znalazła i taka, coby anielskim półuśmiechem przesłała nieznanemu feletoniście podziękowanie za jego grzeczność i doręczność... ale jak mówi Hamlet w swoim sławnym monologu?

..... *the native hue of resolution*  
*Is sicklied o'er with the pale cast of thought...*

i właśnie to *thought*, ta refleksja, te skrupuły sumienia i delikatności kazały mi się wstrzymać z tą wiadomością, póki się nie stanie oficjalną. Dziś wprawdzie już po deklaracji, ale niestety i po nowinie, a szanowne Wielkopolanki mnie tylko wyśmiejają, że opowiadam im to, o czym już dawno i pewno daleko szczegółowiej odemnie wiedzą, o czym już w wizytach, przy pożegnaniu na wschodach (bo przy pożegnaniu na wschodach zaczyna się dopiero u naszej płci pięknej na dobre konwersacja), prowadziły już od niepamiętnych czasów »długie rozmowy między dwunastą a południem«, jak mówi Shakespeare, i o czym już nawetby zapomniały, gdyby o takich rzeczach zapomnieć można było... *Et nunc erudimini correspondentes...* i miejcież nadal skrupuły sumienia i delikatności! Ja już ich mieć nie myślę i wręcz opowiem świeży szczegół dotyczący się tej hymenowej sprawy. Szanowna matka tej panny, którą młody książę swem oświadczeniem zaszczycił, pisała do cesarza Mikołaja z prośbą i zapytaniem, czy pozwala na te śluby, i otrzymała w imieniu jego odpowiedź od Orłowa, że car nie mięsza się w sprawy córek swoich poddanych i że zatem pozwala na ślub panny Grocholskiej (i tu kładę moje: sic!) »s Witołdom Czartoryskim«... »s Witołdom Czartoryskim«!... Car potomka Giedyminów nie raczył uczcić nie tylko tytułem księcia, ale nawet i nie tytułem powszedniego pana lub powszedniejszego obywatela! O Demokratu brukselsko-polski, ty, który, skasowawszy książąt i panów, miałeś jednak jeszcze tyle niepotrzebnego arystokratycznego wstydu, żeś umyślił nagości naszych imion przykrywać obywatelem... patrz, jak daleko cię przeszedł car Mikołaj, który z tym demokraty-

cznym zmysłem dla prostej nagiej natury, tak gorąco zaleconym przez J. J. Rousseau i ten figowy liść obywatela z nas odziera! O Demokrato bruxelsko-polski, car mniej jeszcze ma »socyalnych przesądów« od ciebie...

*Pends toi, Scapin!*

Gdy już mowa o *Demokracie*, wspomnę też o fantastycznym opisie bitwy Miłosławskiej, który w trzech jego numerach zamieścił pan Mierosławski. Opis ten wymierzony jest przeciwko znanemu dziełku pana Moraczewskiego, dziełku: »w którym, mówi Mierosławski, jest prawda, jeno dużo gorsza od fałszu, bo nie cała«. W opisie p. Mierosławskiego jest także prawda, jeno dużo gorsza od tej, co niecała, bo więcej niż cała... Czytając te artykuły, ledwo oczom uwierzyć mogłem, takim tam zastał niespodzianki. Że Mierosławski ma niechęć do obywateli księstwa, że ją do nich mieć powinien, dlatego właśnie, że względem nich zawinił... tego się spodziewałem. Nie zdziwiło mnie też, że Mierosławski żartuje z »osiedlonych obywateli«, że Pleeszew ironicznie nazywa »Numancyą«, Kosińskiego »nerwowym« Brzeżańskiego »konserwatystą szwadronowym«, który miał ojcowską (sic!) pieczołowitość dla koni, Gorczyńskiego »kustoszem obozowym« itp. Ale czego się nie spodziewałem, to żeby Mierosławski bitwę Miłosławską wystawił, nie jako heroiczny i spontaniczny czyn biednego, bezbronnego ludu, zawiedzionego obietnicami rządu, a potem opuszczonego, otoczonego zewsząd wrogiem i szukającego w pewnej śmierci (która się dziwnym trafem przemieniła w zwycięstwo), środka ocalenia honoru i zemścić na tylu ofiar padłych niewinnie, ale jako prawdziwą bitwę, jako »odporno-zaczepną wojnę«, do której stosuje wszystkie reguły strategii i taktyki, które nawet w jednym miejscu z bitwą pod Hohenlinden porównywa!... Czego się nie spodziewałem, to, żeby Mierosławski (który w tym opisie mówi o sobie w trzeciej osobie, jak Cezar i Napoleon), chciał to nieobrachowane spotkanie, w którym jedynym dowódcą był zapał i uczucie honoru narodowego, przedstawić jako wynik swoich głębokich rozporządzeń, i prawił o wykombinowanym i stosownie do zmienionego stanu

znowu zmienionym planie!! Plan ten swój rzekomy nazywa pan Mierosławski »improvizacją«; jabym prędzej tak nazwał obecny jego opis tego planu!

Wiadomości, które odbieramy z emigracji w Anglii są bardzo smutne. Liczba wychodźców naszych świeżo z Węgier tam przybyłych powiększoną została dezserterami z załogi austriackiej w Hamburgu goszczącej. Wiadomo, że część tej załogi składają pułki galicyjskie, w których się znajduje i wielu wziętych w niewolę podczas kampanii węgierskiej. Ci ostatni skorzystali z bliskości morza, by z zupełnym wreszcie brakiem uszanowania dla władzy wyrwać się z niewoli austriackiej i uciec do Londynu. Wszyscy ci nowi wychodźcy pracują jak mogą po hutach, kuźniach i t. p. Pewna część zarabia na utrzymanie przez robienie pantofli! Za robotę od tuzina dostają 8 sous. Pewną inną częścią zajmuje się jakiś stolarz angielski, którego, że nam nazwiska nie udzielono, mocno żałuję, i który z bezprzykładnem teraz prawie poświęceniem sprzedał swój warsztat, by ulżyć nędzy naszych ziomków!

Wiadomości naukowe i literackie odkładam na przyszły raz, bo już zaczynam przekraczać granice korespondencji nassegnane <sup>1)</sup>).

20.

x. Paryż, 22 sierpnia. Wszelka poezya narodowa, skoro nią jest w istocie, wyrabia pewne wielkie typy kobiet, wyobrażające głównejsze odcienia płci pięknej tego narodu. Uwagę tę zrobił już Goethe. Poezya grecka ma swoją Penelopę, Antigonę i... Lysistratę; włoska swoją Beatrycę, Laurę i Fiamettę; francuska swoją Heloizę, Zemirę i Lizettę; niemiecka swoją Luizę, Małgorzatę i Dorotę i t. d. Nasza polska poezya wyrobiła trzy wielkie, prawdziwe i żywotne typy: Maryę, Zofię i Telimenę...

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 201, z d. 2 września 1851.

Marya jest to typ i ideał zarazem: niewiasta polska, jaką być powinna i jaką nieraz bywa. W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota, wzbija ona duchy wiary nad księgą żywota; całym blaskiem jej czoła jest uśmiech cierpliwości, i wzrok jej skromnie ku ziemi spuszczone; ale gdy go podniesie, może spojrzeć śmiało, ostro, jak sierota spojrzeć może! Pokorna, miłująca, szanuje ona powagę rodziców, nie odłącza ich woli od swojej, i cieszy się ich szczęściem, łągodzi ich smutek. Nie wychodząc nigdy z czystej sfery kobiecej, nie umie ona być amazonką z wypaloną piersią, ale umie ocenić święte obowiązki, które na nas wkłada ojczyzna, i mężowi przy rozstaniu może bez jutra, gdy go chorągwie ojczyste zawezwą do boju, każe być »odważnym, stałym, wytrwałym, dzielnym...« zastrzeże sobie tylko, aby był i »uważnym«. Dla tego męża cała jej miłość, i wszystkie jej chęci, by żyć dla niego i w nim, umierać przed nim, być jego chwil osłodą, czasem i ozdobą; czasem i ozdobą!... w tem jednym już słowie leży cała różnica naszej Maryi od wszystkich Lelii, Waleryi i innych bohaterek pani George Sand, które chcą, aby mąż lub kochanek był tylko księżycem (z rogami lub bez rogów), nigdy nie schodzącego słońca kobiety...

Marya to typ, ale i ideał zarazem, więc nie zbyt częsta. Częstszą daleko u nas jest owa Zosia, którą wielki wieszcz nam z tą misterną i niewinną sztuką skreślił, z jaką Dominichino umiał oddać swe dzieci-aniołki. Taką Zosię można u nas prawie w każdym szlacheckim domku napotkać, w każdym przynajmniej, który się nie zrujnował na guwernerach i guwernantkach francuskich. Jest to niewiasta cicha, wesoła, nawet prawdę powiedzieć trochę gapiowata, ale zawsze miła, miłutka i słusznie nazwana tym przymiotnikiem wdzięczna, który jest wyłączną własnością tak naszego języka, jak i naszych Zosi, który zarazem oznacza piękność twarzy i serca, który jest polskiem i że tak powiem, zeskromnionem, cichszem przetłómaczeniem tego misternego przymiotu, który Grek *kallokagatyą* nazywa. Żywa, żwawa i jak to mówią: Bogu duszę winna, prawdziwa wychowanica pani Jędykowiczowej, bawiąca się z dziećmi i pasąca gęsi, znisz-

czy ona illuzye hrabiego, gdy na jego deklaracją pełną concet-  
tów, wytrzeszczy swoje duże, szczere i zdziwione oko, ale po-  
zyska za to proste serce prostego Tadeusza, i będzie dobrą żoną,  
dobrą matką, dobrą Polką, i jeśli nie tak świętą i nadziejską  
jak Marya, to równie czystą i równie niewinną.

Trzecim typem nareszcie jest Telimena. Jestto kobieta już  
nie młoda, ale która umie przykrywać sztuką *de l'age irrepara-  
ble revers*. Wychowana za granicą, mówiąca i myśląca po fran-  
cusku, ma ona pewną odrazę do swego kraju i do jego prostac-  
zych zwyczajów; o ojczyźnie nigdy nie wspomni, ale biegle  
dysertuje o muzyce, malarstwie i t. p.; ma album w biurku,  
a wachlarzyk w rękę; była w wielkiej stolicy i ku niej tęskni  
z wieczora, z jutrznią tęskni i płacze. Myślą wciąż błądzi w świą-  
tyni dumania, w której jeśli nie zawsze, znajdzie owe fatalne  
mrówki, o których wiecie, zawsze jednak napotka rój wietrznych,  
płochych, skrzydlatych motylków. Gardząca istotami powszedniej  
natury, jest ona wyższa, dumna, świetna, lśniąca, przebóg i na-  
różowana!... Typ to wcale nie pocieszny, ale prawdziwy i rze-  
czywisty. Nie możemy mu być radzi, ale sarkać na los nie mamy  
za to przyczyny. Bo naród, który się szczyli Maryą i Zofią, ten  
może znosić i Telimenę. Przecież i nasz patryarcha Jakób w do-  
datku do Racheli musiał wziąć i Lię, o której oczach zamilczeć  
wołę, chociaż o nich nie dwuznacznie mówi Biblia w jednym  
miejscu.

Ale na co sarkać mamy niezaprzeczone prawo, co jest  
bolesnem i ubliżającym dla naszej narodowej dumy, i co, jak  
mówi Klaudyusz, miało być »krótkim sensem tej długiej mowy«,  
to, że podczas gdy Marya siedzi cicho pod swoją rodzinną lipą,  
przy boku ojca lub Wacława, podczas gdy Zosia najdalej robi  
wycieczkę do bliskiego powiatowego miasta, Telimena obiega  
ziemię całą i wszystkie jej stolice, od czasu nawet gdy »dryn-  
dulki«, o których mówi p. Podkomorzy, zastąpione zostały ko-  
lejami żelaznymi, prawie równocześnie się ukazuje na różnych  
punktach, czyli raczej salonach wielkiego świata, i ona, ona tylko  
sama w oczach cudzoziemców wyobraża Polkę, jest przykładem

nietylko *speciei* ale *generis* całej naszej płci pięknej, a szczególnie we Francji. We Francji długo znano Polkę w kształcie owej Lodoiski, która na brudnym bagnie osławionego romansu wyrosła cichą, smętną, białą lilią. Teraz naszą niewiastę już tylko znają jako mniej lub więcej młodą, mniej lub więcej różowaną, ale zawsze tę samą w gruncie Telimenę!... Chateaubriand w swoich pogrobowych pamiętnikach widzi w Polsce »une Eve innocente et tombée, ignorant tout, sachant tout, vierge et amante à la fois«. Liszt nazywa nasze Polki »divins chattes, généreuses et avars à la fois, démons et charmeresses«. Balzac wreszcie odzywa się do swej Ukrainki: »tu es Polonaise, c'est-à-dire, tu es ange par l'amour, démon par la fantaisie, enfant par la foi, vieillard par l'expérience, homme par le cerveau, femme par le coeur, géante par l'espérance, mère par la douleur!!!« To wszystko może być bardzo autytetycznym, może się nawet nie jednemu zdawać bardzo pięknem (mnie się to wydaje niedorzecznym i niemoralnym), ale to w żadnym razie nie jest obrazem polskiej niewiasty. Przeciwno temu protestuje prawda, protestuje sumienie, protestują nasze Marye i nasze Zosie!...

*Ukrainka* Balzaca, o której wspomniałem, była tematem wszystkich salonów i feletonów tego tygodnia w Paryżu i dlatego ja kilka słów jej poświęcić muszę... *Ukrainka* i Balzac? — przerwie mi tu niezawodnie faskawy czytelnik — jakież związki może zachodzić między córką naszych poetycznych stepów, a osławionym malarzem wszystkich brudów prozaicznego Paryża? Tak mnie się niezawodnie zapyta nasamprzód najfaskawszy czytelnik i pomyśli, że mu *prima aprilis* chcę spłatać nie w porę, bo któregoś tam września. Nic jednak szerszego i prawdziwszego, chociaż na pozór to tak dziwnem. Między mieszkanką pustej, smutnej, tęsknej, bujnej Ukrainy, a autorem tych brudnych, wszetecznych i bezbożnych romansów, jakim był Balzac, właściwie żadnego nie powinno być związku, i ludzie tych dwóch, tak różnych stref powinni być sobie obcy, jak obce są sobie te strefy...

... ale czasem miłość  
I ludzi zbliża: znałem ludzi dwoje...

W tej naszej Ukrainie, w której tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosa, tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy, co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy... mieszkła, jeszcze temu niedawno Polka, która pewno nigdy nie czytała *Maryi*, ale która za to połykała romanse Balzaca. Malczewski umarł nieznany, zapoznany, nie znalazłszy ani jednego uśmiechu miłości, przyjaźni na tym świecie... »Geniusz przemknął się jak cień« powiedział o nim Mochnacki. Ale Balzac utkwił w pamięci i w sercu naszej Polki, owładnął jej duszę, i to Balzac tylko autor, bo go tylko znała z jego romansów i dla nich go ubóstwiła i z głębi Ukrainy posyłała mu listy... jakie Heloiza posyłała Abelardowi. (tj. w poemacie Popego). Listy te oddychały palącą, gwałtowną miłością, były pełne owej »wiary dziecięcia i doświadczenia starca«, o którycheśmy już słyszeli. I to wszystko dla samych tylko dzieł, dla samych tylko romansów, dla tej może powieści *La jille aux yeux d'or*, którą obyście tylko znali z krzyku szlachetnego oburzenia, który wyrwała naszemu Grabowskiemu! I nie bez przyczyny wymieniłem tu autora *Literatury i Krytyki*, bo nasza Ukrainka była siostrą jego przyjaciela, była jednym słowem siostrą tego hrabiego Henryka Rzewuskiego, który tak gwałtownie powstaje na niemoralność naszego wieku, który taki wieczny rozbrat widzi między cywilizacją a religią, a który jednak nie musiał nic nagannego znaleźć w Balzacu, skoro go tutaj jako swego szwagra pospieszył przywitać!! Bo nasza Ukrainka z listów miłosnych zstąpiła do kontraktu małżeńskiego i stargawszy pęta opuściła Ukrainę i dała zakończyć Hymenowi dramat, tak dziwnie poczęty przez Amora. Ale Bóg nie pobłogosławił temu związkowi: Balzac kilka miesięcy po ślubie zakończył życie, a pani de Balzac została sama ze swoją rozpaczą i zwojem papierów po mężu.

W tych papierach — i tu się właśnie zaczyna moja, *chronique de la semaine*, jak to nazywają Francuzi — w tych papierach znalazła nasza Ukrainka, nieznane, niewydane jeszcze

dzieło swego męża. Dziełem tem jest komedia *Mercadet le faiseur*, w której Balzac z wielką sztuką, z większą jeszcze wiernością, z prawdziwym pędzlem Rembrandta skreślił typ tych giełdowców, którzy są tak gorliwymi obrońcami religii, rodziny i własności, tych łapigroszów, jak ich nazywał Rej, którzy się tak hałaśnie rozgościli na urzędowym świecie od wstąpienia na tron Ludwika Filipa, których Balzac znał z gruntu, bo z nimi obcował i spekulował nie lepszy w niczem od nich: *on n'est jamais trahi que par les siens!*... Pani de Balzac porwała tę drogą relikwię pozostałą po mężu, oblała ją łzami miłości, tuliła serdecznie do łona i — sprzedała dyrektorowi teatru Gymnaze...

Gdy wieść ta gruchnęła w Paryżu, wielkie nastąpiło przeżalenie w niezliczonych szeregach giełdowców. »Ils ne voulaient pas qu'on les joue«, jak powiedział Molière. Taki Robert Macaire redivivus był wcale nie miłym zjawiskiem dla tych, co się w nim poznać strach mieli. Sam pan Armand Bertin, wszechwładny mocarz *Debatów* i arcykapłan giełdy, miał wystąpić z piorunującym artykułem przeciwko przedstawieniu pośmiertnej komedyi. W tem właśnie, że to dzieło jest pośmiertnem, znaleziono zgubną acz nieuczciwą, bo nie w dobrej wierze podjętą broń. Jest to narażić ustaloną już i przypieczętowaną, bo grobem, sławę na możebną przegraną, po której wszelki odwet niepodobny, wołali płatni feletoniści. Niektórzy nawet zrobili nas, nas biednych Polaków, odpowiedzialnymi za ten ich — strach! Tylko cudzoziemka, pisali niektórzy, może tak lekceważyć sławę francuskiego pisarza; tylko »córka narodu, który tak dalekim jest od właściwych nam uczuć delikatności«, może się na taki krok odważyć!... My, my musieliśmy odpowiadać za panią de Balzac!...

*Quidquid delirant* Telimeny, *placetuntur* Polacy!... Ale Ukraina nie dała się zrazić temi krzykami; zaręczają nawet, że dokonała cudów zgrabności i wytrwałości, przewyciężyła wszystkie przeszkody, potrafiła złagodzić Lwa Faucher, i zmiękczyć kamienne serce nawet pana Bertin, którego nasz pan Tytus Działyński tak napróżno błagał o sprawiedliwość dla Polski. Jednem słowem: Mercadet ujrzał w tym tygodniu światło lamp, Paryż

ma zabawne widowisko na parę miesięcy, a pani de Balzac cieszy się chwałą swego męża i dochodem, który przynosi jej... komedya!

Nie tak szczęśliwym *in rebus scenicis* był pan Chrystyan Ostrowski. Ponieważ, ile pamiętam, pierwszy raz tego szanownego rodaka wspominam w mojej kronice, wypada mi go trochę bliżej zapoznać z szanowną publicznością. Pan Chrystyan Ostrowski, (którego trzeba odróżnić od pana J. B. Ostrowskiego), jest synem czcigodnej pamięci wojewody i sam ze wszech miar honorowym człowiekiem. Na nieszczęście ma on dwie wielkie słabości: polityczną i literacką. Pod względem politycznym choruje pan Chrystyan na oratorstwo i epistolografię. Daremne były moje tylekrotne pytania u szanownych współtułaczów, czy kto z nich słyszał co z mów p. Chrystyana Ostrowskiego? żaden z nich nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności takiego faktu; a jednak sam na własne oczy widziałem drukowaną broszurkę z tytułem: *Discours politiques de M. Christian Ostrowski!* Bardziej znane są nam listy tego szanownego rodaka, które przy każdej sposobności *brevi manu et proprio manu* w imieniu Polski publikuje. Pan Lamartine np. ma mowę, w której nas dotyka; wraz następnego dnia czytamy: »Reponse de M. Christien Ostrowski à m. de Lamartine«. Car wydaje proklamacyę dla wojska idącego na Węgry; trop za nią idzie: »Reponse de m. Christien Ostrowski au Czar de Russie«. Pan Teleki ogłasza odezwę do Polaków z powodu śmierci jenerała Bema; tuż i dzienniki przynoszą: »Reponse des Polonais aux Hongrois, par m. Chr. Ostrowski« i t. d.! Chęci tu jak najszczerze, ale sposób nie najszcześniejszy. Szanowny pan Ostrowski jest rodzajem *Dziadowego* Konrada: nazywa się milion, i za miliony peroruje i proklamuje! Drugą słabością naszego rodaka, jest wierszomania francuska. Wprawdzie rzecz to niewinna i wcale nie szkodliwa: a jednak zdawałoby mi się, że Polak na obcej ziemi coś lepszego ma do roboty jak rymotówstwo (że użyję wyrażenia Korcewskiego), w obcym języku, że zawsze lepiej swoim piórem ustroić białego orła, jak galskiego koguta, i że wozic francuskie trage-

dye do Paryża, jestto to samo, co wozic sowy do Aten i piasek do Brandenburgii. O ile wiem, dwóch jeszcze tylko rodaków w nowszych czasach popadło w ten grzech, czy w tę słabość, ale obaj prędko się upamiętali. Pan Przeździecki historycznymi narodowymi badaniami stara wynagrodzić sobie chwile stracone na tragedyi *Don Sébastian de Portugal*; a nasz Konstanty Gąszyński otrząsł się w swoich pogadankach z kilku sonecików francuskich, które miał na sumieniu. Jeden tylko pan Chrystyan Ostrowski wytrwał, z odwagą godniejszą lepszego przedmiotu. Z początku był tłumaczem i miał ten szlachetny, acz skutkiem nie uwieńczony cel zapoznania Francuzów z Mickiewiczem. Ale potem chciał ich też zapoznać z daleko mniej ciekawym poetą, z samym sobą, i stał się niewyczerpanym w płodach, w tragediach i dramatach, które tylko dowiodły, że nie trzeba być koniecznie geniuszem jak Malczewski, by się »jak cień przemykać«. Pan Chrystyan Ostrowski przedstawił w tych dniach komisji literackiej teatru francuskiego (*comité de lecture*) nowy swój płód dramatyczny p. t.: *Koniec snu* (la fin d'un rêve), który jednak równością głosów został odrzuconym: *sit ei levis* teka autorska! Niektóre tutejsze dzienniki doniosły o tym wypadku wprawdzie bez żalu, ale z zadziwieniem, że komisya nie miała więcej uwzględnienia dla... cudzoziemca! Nie wiem, czy szanowny nasz rodak będzie wdzięczny dziennikom za tę ich trochę dwuznaczną grzeczność, ale my jako rodacy, nie potrzebując być tak grzecznymi, szczerze życzyć możemy autorowi, aby ten jego dramat stał się dla niego prawdziwym końcem snu francuskiego rymotófstwa, i aby niezaprzczone swe zdolności zechciał skierować do czegoś pożyteczniejszego i narodowego.

Mój Boże! Tyle słów już napisałem, a tak mało rzeczy! Nie moja w tem wina; ta Telimena mi dużo miejsca zabrała! Do niej więc miejcie urazę, łaskawi czytelnicy, jeśli najważniejsze nowiny odkładam do przyszłej korespondencji <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski* Nr. 206 z 7 września 1851, str. 433.

21.

Do Teofila L...<sup>1)</sup>

x. Paryż, 6 września. Z daleka od Paryża zaleciał mnie jeden z twoich cudnych wierszów, drogi Teofilu!... Daruj, daruj, że go tu bez twego upoważnienia ogłoszę! Pozwól, aby ci, co jeszcze umieją cenić prawdziwą sztukę, czysty i prosty głos natury, których zmysły nie stępiły się jeszcze na szalonych, mistycznych, mesyanicznych i tytanicznych płodach naszej nowszej poezji, pozwól, aby ci z równą jak ja rozkoszą czytali ten twój wiersz:

DZIEWCZYNA.

Oj, wesołaż ja dziewczyna;  
Wszystko mnie się śmieje!  
Dla mnie srebrzy się dolina,  
Dla mnie wietrzyk wieje.  
Dla mnie świecą ranne zorze  
I wieczorne gwiazdki,  
Dla mnie dałeś wszystko, Boże!  
Na piosnki, powiastki!

Bo i któżby myślał w świecie,  
Przy tym niepokoju,  
O powoju co się plecie  
Po krzakach przy zdroju,  
I o lichej tej ptaszynie,  
Co w wieczornym chłodzie  
Śpiewa sobie na kalinie  
W matuli ogrodzie?...

Już ja o tem myśleć muszę,  
To mój kłopot cały:  
Żeby w letnią, skwarną suszę  
Kwiatki nie zwiędniały,  
Żeby chłopcy nie wybrali  
Małych ptaszek z gniazdka,  
Zdrój oczyszczam, żeby w fali  
Przejrzała się gwiazdka.

---

<sup>1)</sup> Lenartowicza.

Za to od lili, ruty,  
Kwiatki mam dla siebie,  
A ptaszek mnie uczy nuty  
Do pieśni o niebie.  
Od źródła mam orzeźwienie,  
Tę świeżość poranka,  
A z gwiazd lecą mi promienie  
Jakby srebrna tkanka.

I tak dobrze, tak mi lekko,  
U matki jedynej,  
Że i nie wiem, jak tam cieką  
Lata, dnie, godziny;  
Czasem tylko, gdy do chatki  
Zła wieść zakofacze,  
To na łonie miłej matki  
Żal nad ludźmi spłaczę.

Bo chociaż ja tak wesoła,  
Taka śmieszna, psotna,  
Lecz i najsmutniejsza z sioła,  
I często samotna.  
Lada co zasmuci,  
Czasem mała rzecz rozśmieszy,  
Mała rzecz zakłóci.

Teraz to mniej śpiewam sobie,  
Mniej skaczę jak dziecię:  
Od czasu jak brat mój w grobie,  
Smutno mi na świecie!

Oh! co to za wiersz, mój Teofilu! Jakaż to w nim prostota i jakaż wielkość, jakaż prawda i jakaż sztuka zarazem! To prawdziwy fenomen w czasach, które tylko wydają Promethidiony<sup>1)</sup>, Zwolony i inne androny! Muzyczność tu pieśni ludowej, ujęta plastyką Goethego, dźwięki tu Chopina, wcielone w słowa. Od czasów *Krosienki* naszego Bohdana nie było takiej pieśni!... Bo nieprawdaż, mój Teofilu, ta twoja dziewczyna, co jeszcze bawi u matuli i tylko myśli o kwiatkach, jest młodszą siostrą tej panny Bohdana, co mieszka u cici i już musi być ostrożną?... Pieśń ta tak skromna jak lilia, tak czysta, jak promień gwiazdeczki, tak

---

<sup>1)</sup> Dramat C. Norwida, p. t.: *Promethidion*.

świeża jak poranek, a tak smętna jak myśl o Polsce... Jak słońce w kryształach, tęczy się w niej radość; jak kropla rosy w kielichu róży, drży w niej smutek... Na brudnej ulicy Paryża, w mojej ciasnej izdebce, zaleciała mnie świeżą, rzeźką wonią naszych pól i lasów, i wśród turkotu i gwaru hałaśnej stolicy wionęła cichem, głębokim echem naszych gór i dolin.

Co to za cudna strofka, ta druga, którą tu jeszcze raz powtórzę; przecież ją tysiąc już razy powtarzałem sobie:

Bo i któżby myślał w świecie,  
Przy tym niepokoju,  
O powoju, co się plecie  
Po krzakach przy zdroju...  
I o lichej tej ptaszynie,  
Co w wieczornym chłodzie  
Śpiewa sobie na kalinie  
W matuli ogrodzie?

W tej poetycznej teleologii, rzewnej jak westchnienie siostry, figlarnej jak uśmiech Amorka, rzewnej i figlarnej zarazem jak łezka w dołku piękności, a przede wszystkim tak naiwnej jak oczko nowonarodzonego dziecięcia, ileż to dźwięku i wdzięku, ileż to światła i cienia, ileż religii i filozofii!... Bo nie jestże to myśl filozoficzna, że wszystko ma swoją przyczynę i swój cel na tym bożym świecie?... Bo nie jestże to religijna myśl, że Bóg ma w swojej pieczy każdą roślinę, i każde żyjątko, i powój i ptaszynę? I to wszystko wypowiedziałeś w ośmiu wierszach, lotnych, wiewnych, cichych!...

I jakaż to znowu cicha sztuka w niedokończeniu ostatniej strofy... Przerwałoż ją łkanie biednej dziewczyny za braciszkiem lub gruchnięcie ptaszyny? Uklękałaś tu i przeżegnała się, lub pobięgałaś za motylkiem?

Daruj, daruj Teofilu! Prawie już chciałem rozbierać twój wonny wierszyk strofkę po strofeczce... jak to głupie dziecko, aby się przekonać o piękności swojej róży, wydziera i ogląda listeczki po listeczku.

I takie to pieśni pełne klasycznej spokojności możesz nucić

»przy tym niepokoju!« I takie to czyste dźwięki wydobywasz z lutni wtenczas, gdy równnicy twoi z niej tylko dzikie tony rozpaczy i zwątpienia wydobywają i głoszą się męczennikami, by się w własnych oczach podwyższyć, i skrobią się na zdrowem ciele, by się poszczycić ranami!

A jednak, jeśli kto, to ty, mój Teofilu, miałbyś prawo sarkać na losy, wyzywać przeznaczenie i zagrzmieć przekleństwem! Bo jesteś tułaczem na własnej ziemi, bo nigdy nie wiesz zrana, gdzie wieczorem strudzoną głowę położysz, bo cię trawią te powszednie troski życia, które wycieńczają ciało i wypalają mózg, bo żyjesz wśród ludzi, którzy ciebie nie znają, wśród młodzieży, która nawet nie wie, że się tam koło niej tuła autor tych cudnych pieśni: *Jak to na Mazowszu, Dziewczyzna* i t. d.

Jakżeż się to czasy zmieniają! Gdybyś, mój Teofilu, temu lat 10 niespełna żył wśród nas, tam, na Litwie, w gronie tej młodzieży, którą los teraz w różne światła zagnał strony, jakżebyśmy cię tu kochali, mój drogi Teofilu, jakżebyśmy cię na rękę nosili, jakżebyśmy dumni byli z twej znajomości, jakżebyśmy się szczylicili twem posiadaniem... A teraz? Sam przecież kilka miesięcy temu widziałem, jakieś się jak cień przekradał w P..., jak mało kto o tem myślał, by cię swą znajomością zaszczycić, jak mało nawet było takich, co o tobie wiedzieli, słyszeli! O, bo teraz młodzież, dzięki Bogu, daleko rozsądniejsza! Ona już tak dojrzała, tak umiarkowana! Ona żałuje tych szaleńców, co siedzą w cytadeli, wie, że człowiek nie żyje poezią, myśli o dobrej partyi, szanuje władzę i gra w preferansa!

A ty jednak nie sarkasz na losy, nie wyzywasz przeznaczenia, nie grzmisz przekleństwem, i tylko śpiewasz cudne pieśni, śpiewasz sobie cicho, niewinnie, jak ta licha ptaszyna na kalinie...

Śpiewaj, śpiewaj, mój Teofilu! Bądź lepszym wieszczem od twoich słuchaczy i patrz w górę, ostro, śmiało... Bo mimo wszystkich nieszczęść i bólów, mimo nędzy i osamotnienia, możesz sobie dać to świadectwo, które rzadko kto sobie teraz dać jest w stanie: możesz sobie powiedzieć, żeś potrzebny. Tak, tyś potrzebny, mój Teofilu!... bo i któż, jeśli nie ty

... by myślał o świecie,  
Przy tym niepokoju,  
O powoju, co się plecie  
Po krzakach przy zdroju...  
I o lichej tej ptaszynie,  
Co w wieczornym chłodzie  
Śpiewa sobie na kalinie  
W matuli ogrodzie?...<sup>1)</sup>

22.

**Odpowiedź panu H. W.**

x. Paryż, 26 września. Trudno mi nie skorzystać z łaskawego pozwolenia redakcyi dorzucenia jeszcze słów kilku w mojej polemice z szanownym panem H. W. Trudno mi dobrowolnie zaprzestać w walce, w której, jak w owej homerowej walce Dyo-meda z Glaukiem, w zamian za moją stalową broń dostaję złotą... A jednak właściwy i główny punkt naszego sporu dotychczas ominąłem i nadal ominąć muszę. Punktem tym jest ta nowa i nie-była teoria o uszanowaniu dla władzy... obcej, najezdniczej, i z której wszystko inne wypływa. Wprawdzie walka przeciwko takiej teorii nie byłaby mi trudną; przeciwko niej za broń by mi służyła logika całego świata i sumienie całego mego narodu, a za świadków bym mógł wziąć tych wszystkich wielkich naszych mężów, którzy już dawniej i nieraz przeciwko obcej władzy walczyli: Kościuszkę i Kilińskiego, Niemcewicza i Czartoryskiego... Ale stosunki »wyższe« pod którymi pozostaje *Goniec*, każą mi o tej teorii zamilczeć, choć nie zapomnieć. Kilka słów więc tylko jeszcze o *Czasie*.

Co do tego pisma, to jeszcze raz oświadczam, że tylko z jego kierunkiem, z jego dążnością i celem mam do czynienia, a nie z ludźmi, którzy go redagują lub się nim opiekują, i o których wolę wierzyć, że wielu z nich przynajmniej działa w dobrej myśli i szczerych intencjach; przecież już św. Paweł to powiedział, że »i piekło jest wysłane dobrmi intencjami«. Kierunek

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 209, z dnia 12 września, 1851 r.

zaś tego pisma uważam za zgubny i potępienia godny. Szanowny pan H. W. także nie wszystko w *Czasie* chce usprawiedliwić, ale na obronę jego znowu znalazł argument, o którym znowu tylko powiedzieć mogę, że ci, którzy mu go podali, niesumienne nadużyli jego dobrej wiary. Szanowny p. H. W. na usprawiedliwienie redakcyi *Czasu* mówi, że ona nie odpowiada za feleton, który zupełnie jest od niej niezależnym. Otóż to jest czystem niepodobieństwem, mogę to szanownemu panu H. W. najsumiennie zaręczyć. Jestem wprawdzie młody... mój Boże, ja się tego wcale nie wstydzę, a gdybym chciał tu sobie przypomnieć pewne nasze nowsze pokolenie, możebym nawet miał przyczynę być dumnym z tego, że należą do tej młodzieży, która jeszcze umie być młodą... Jestem wprawdzie młody, ale stosunki dziennikarskie znam dokładnie, bo w nich niestety zużyłem kilka lat mego życia, i mogę z najzupełniejszą świadomością rzeczy szanownemu panu H. W. zaręczyć, że tego nigdy nie było i nie będzie, że to czystem niepodobieństwem, aby redakcyja główna nie miała i nie musiała wiedzieć o feletonie swego pisma i zań nie odpowiadała. A zresztą i to jest rzeczą tylko podrzędną w tej sprawie; bo nietylko sam feleton *Czasu* świeci nie raz narodowym cynizmem. Cóż np. szanowny pan H. W. myśli o wiedeńskich korespondencyach pana W... w *Czasie*?

Szanowny pan H. W. nie odpowiedział na najgłośniejsze moje i jak mi się zdaje kategoryczne pytanie: czemu takich haniebnych artykułów, jak *Czas*, nie mają ani *Kuryer Warszawski* ani *Gazeta*, tj. te pisma, które niezaprzeczenie pod najtrudniejszymi egzystują konstellacyami, a czemu takie tylko ma jeszcze dziennik hrabiego Rzewuskiego, znanego zdrajcy i apostaty? *Czas* tylko o pierwszej połowie łacińskiego wiersza: *Vera loqui timeo*, wiecznie pamięta, o drugiej zaś i najważniejszej połowie: *dedignor dicere falsa*, ciągle zapomina i zadaje ciągły i nieustanny fałsz naszym uczuciom, naszym myślom i naszemu sumieniu. Nie, niema łagodzących okoliczności dla podłości, a jeśli na jedyne swoje usprawiedliwienie *Czas* tylko znaleźć może owe słowa suplikanta Taylleranda: *il faut donc que ie vive!* to mnie

tylko pozostaje odpowiedzieć z tym samym Tayllerandem; *je n'en vois pas la nécessité!* Bo kilka egzemplarzy *Poselstwa Brodzińskiego* więcej nauczą Galicyi tego, co jej wiedzieć potrzeba, niż najgruntowniejsze polityczne rozprawy, okupione kosztem naszego dobrego imienia i naszej dobrej sławy.

Szanowny p. H. W. oświadcza w końcu, że ani na chwilę nie wątpi o wspólności naszych zasad (np. »demokratycznych« — pan H. W. pewno tylko z pośpiechu zapomniał o tym dosyć ważnym epitecie, o którym ja nie zapomniałem), jeśli się od r. 1849 nie zmieniłem. Na pociechę szanownego pana H. W. mogę mu najsumienniej zaręczyć, że się od tej epoki nie zmieniłem. Jak wtenczas, tak i dziś jestem zwolennikiem demokracji współubiegania się i poświęcania, a przeciwnikiem demokracji zazdrości i zawiści. Jak wtenczas, tak i dziś, chcę zachowania naszej godności i szczerzej, sumiennej, a narodowej pracy. Jak wtenczas, tak i dziś jestem przeciwko wszelkim niewczesnym politycznym wybuchom i niebezpiecznym socyalnym eksperymentom. Taki był nasz wspólny program w roku 1849; taki był program Ligi Polskiej i tej pięknej broszurki pana H. W., do której wciąż z upodobaniem powracam. Dopiero później i niedawno temu, zaczęto do tego uczciwego programu z pewnej strony dodawać pewne »zgubne innowacye« i zastraszające kodycyłki o współdziałaniu z ..., o uszanowaniu dla ... (stanowcze wyrazy musieliśmy wypuścić) i, *proh pudor, proh horror!* — o cnocie w rzezi galicyjskiej... kodycyłki i innowacye, które wywracają z gruntu cały dawny nasz kontrakt i których ani mogłem podejrzyc w r. 1849, bo ich nikt wtenczas nie ogłaszał, nikt o nich choćby najlżejszem słówkiem wspomnieć nie chciał, może też i nie śmiał! Świadczę się tu Bogiem i sumieniem mojem, a szanowny pan H. W. sam mi to pierwszy zaświadczy.

Szanowny pan H. W. widzi, że ja się nie zmieniłem od roku 1849, a jeśliby się znaleźli tacy, coby temu zaprzeczyli, to niechaj pan H. W. raczy pamiętać, że zawsze unoszonym prądem potoku się wydaje, iż nie oni od brzegów, ale brzegi od nich uciekają i że temsamem prawem optycznego złudzenia, ludzie,

którzy się falą *Czasu* dali porwać i zapędzić aż na *Cap de nulle espérance*, mogą myśleć, że nie oni mnie, ale ja ich odstąpiłem, ja, który siłą czy to mojej ciężkości, czy mojej stałości, pozostałem niewzruszony na dawnym naszym wspólnym stanowisku z r. 1849 <sup>1)</sup>.

*Korespondent paryski »Gońca«.*

23.

x. Paryż, dnia 11 września. Do rzędu nowszych publikacji nas obchodzących wypada przedewszystkiem zaliczyć wyszłą niedawno broszurkę francuską pana Iskander (pseudonim) p. t.: *Du développement des idées révolutionnaires en Russie*. (Paris, Franck. 1851). Autor tego pisemka znany już poniekąd czytelnikom *Gońca*; bo jego też pióra była i przeszłoroczna niemiecka broszurka: *Vom andern Ufer*, o której jeden z szanownych moich feletonowych kollaboratorów, zdał był w swoim czasie obszerną w tych kolumnach relację. P. Iskander, emigrant rosyjski, tak dobrze włada językiem francuskim, jak niemieckim: zjawisko nie rzadkie u Słowian, szczególnie u Moskali, z których każdy prawie jest takim *difue Kekrops*, jak mówili Grecy. Nowe to pisemko francuskie ma te same wady i te same zalety, co i dawniejsze niemieckie. Uderza w niem to samo niemiłe mieszanie ateizmu germańskiego i socjalizmu francuskiego, to szczepienie Proudhona na Feuerbachu, to rewolucyjne usposobienie serca i głowy: a ujmuje znowu ta sama rodzima barbarzyńskość, ta sama dzika ironia gnębionego słowiańskiego sumienia przeciwko rozwścieklonemu w teoryach i praktykach Zachodowi, ujmuje przedewszystkiem pewne głębokie uczucie moskiewskiego patriotyzmu: uczucie wprawdzie w dziwnym pozostające kontraście z afiszowanemi tuż obok wyobrażeniami ateistycznego i socjalnego kosmopolityzmu, a jednak mimo to, lub może właśnie dlatego, jak wszelka niekonsekwencja loiki, która jest konsekwencją

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 212, z d. 16 września 1850 r.

serca, napiętnowane cechą wielkiej szczerości i wymuszające pewne uważanie i poważanie nawet na polskim czytelniku, chociaż naturalnie nie bez pewnych zastrzeżeń, zawarunkowań i restrykcji.

Podobieństwo w myśli i formie tego nowego pisemka ze znanem już dawniejszem, jako też i względ, że szanowny relator o broszurce *Vom andern Ufer* zechce pewno sam zapoznać bliżej czytelników tego dziennika z pisemkiem *Du développement des idées révolutionnaires en Russie*, uwalniają mnie od trudnej trochę pracy głębszego rozbioru ostatniego. Zamierzam dotknąć tu tylko dwóch ważniejszych punktów, bliżej mnie dotyczących, bo wchodzących w zakres moich zatrudnień.

Pan Iskander stara się o to, co on rozwojem myśli rewolucyjnych w Rosyi nazywa, dokumentować także i rozwojem równoległym literatury rosyjskiej w nowszych czasach i daje nawet do zrozumienia, że w niej tylko jednej należy szukać objawu ducha słowiańskiego. Przeciwno takiemu orzeczeniu, i to nie tylko w takiej ogólności, ale nawet i w największym ściśnieniu do najskromniejszych rozmiarów, zaprotestuje każdy, co miał sposobność poznać literaturę moskiewską i słowiańską. Taki nawet zaprzeczy wszelkiej samoistnej, narodowej literatury u Moskali i to dowodami czerpanymi z samego pisemka pana Iskander. Bo pan Iskander ciągle utrzymuje (i słusznie), że narodowość rosyjska jest dotychczas jeszcze w stanie ukrytym (*dans un état latent*), niewyrażonym, nieobjawionym, i że to, co na powierzchni olbrzymiego państwa widzimy, są tylko szumowiny obcych, francuskich i niemieckich napływów... Możeż więc taka narodowość, która się jeszcze wcale nie poznała, nie poczuła, która dopiero jest w stanie embryonowym, możeż taka mieć prawdziwą, t. j. swojską, rzeczywistą literaturę? Oczywiście, że nie! I to jest taką prawdą, że to, co powszechnie literaturą rosyjską nazywają, jest tylko niezgrabnem szczepieniem Schillera na Byronie, Walter Scotta na Lamartinie i t. p., jest tylko łątaniną angielskich, francuskich i niemieckich rozbitków, zupełnie tak, jak nie jest i to urzędowe społeczeństwo rosyjskie, dla którego i w którym ta rzekoma literatura rzekomo kwitnie. Od Puszkina i włącznie nie

wydała ona ani jednego dzieła, któreby pod względem oryginalności i żywotności prawdziwej mogło wejść w porównanie z naszym *Tadeuszem* lub z naszą *Maryą*, z *Irydyonem* lub *Księgami Pielgrzymstwa*, z *Przenajświętszą Rodziną* lub z *Psalmem dobrej woli*.

Ktokolwiek zechce zgłębić ten ciekawy przedmiot, ten koniecznie przyjdzie do tego przekonania, że nietylko rosyjski, ale żaden naród słowiański, prócz polskiego, niema jeszcze literatury prawdziwej, tj. takiej, któraby była wyrazem myśli narodu, objawem jego ducha, odbiciem jego przemian historycznych. Taką literaturą jest tylko polska. Rzućmy tylko pobieżnym okiem na jej dzieje z ostatnich choćby tylko lat 30: ileż tu dzieł, ileż zjawisk, ileż pomników oryginalnych, żywotnych, ściśle zrosłych z wszystkimi politycznymi i moralnymi wypadkami narodu! Gdy po wielkim i krwawym dramacie napoleońskich wojen, w którym i my niepoślednią odgrywaliśmy rolę, naród nasz pod umiejętnym przewodnictwem Czackich, Lelewelów, Stasziców i Czartoryskich, zanurza się w swoim własnym łonie i wydobywa z niego pamiątki dawnej chwały i wielkości, natchnienie czerpane z najgłębszych warstw swego społeczeństwa, uszione tradycje uspionego ludu, równocześnie też i kongruentnie odpowiada temu kierunkowi historyczna, ludowa, na tradycjach wiejskich oparta poezja w *Wiesławie* Brodzińskiego, w *Maryi* Malczewskiego, w *Balladach* Mickiewicza. Potem wzmaga się życie wyższych szkół u nas; liceum krzemienieckie i uniwersytet wileński stają się ogniskami młodzieży, która, jak każda młodzież, a szczególnie uniwersytecka z lat 1815—1820, daje się shołdować jakiemuś niewypowiedzianemu pociągowi ku sentymentalności, miłości, naturze... i ta faza znowu odbija się zaraz w naszej poezji, w erotycznych pieśniach Adama, w *Rusalkach* Bohdana, w *Gustawie* i w cudnych krajobrazach, które sonetami krymskimi nazywamy.

Młodzież dalej dorasta, pod mistycznym wpływem Zana zaczyna się sposobić do życia obywatelskiego w Wilnie, na hasło Łukasińskiego zaczyna spiskować w Warszawie, i znowu stosownie

do tego nowego diapazonu nastraja i muza nasza swoją lutnię, śpiewa pieśni wojny, wolności i zemsty, rozlegają się ukraińskie śpiewy Zaleskiego. *Zamek Kaniowski* wystrzela swe baszty z poetycznej mgły kozaczyzny, *Oda do młodości* każe sięgać, gdzie wzrok nie sięga, łamać czego rozum nie łamie i nuty te wszystkie zlewają się w ten fałszywy, ale proroczy akord *Wallenroda!* Po tej dzikiej muzyce Kaniowa i Grochowa, Marienburga i Ostrołęki, gdy nad nami zawołano »biada!« jak nad głową Wallenroda, naród nasz znowu cofa się do swego łona i znajduje tam nową wielką świętą iskrę, iskrę wiary, religii... i nastaje ten tak psychologicznie jak historycznie konieczny kierunek religijnego rozpamiętywania. Jański na tułactwie, Trynkowski i inni w kraju rozpłomieniają tę świętą iskrę, i znów współcześnie nastaje u nas religijna szkoła wieszczów, »owa wieczera pańska polskich poetów«, jak ją ślicznie nazwał Słowacki; Mickiewicz wydaje *Księgi Pielgrzymstwa*, Brodziński swoje *Poselstwo*, Witwicki uderza o harfę Dawidów, a nad nimi wszystkimi unosi się najczystszym namaszczeniem wiary dawny piewca *Rusatek* i *Mazepy*, i staje się bez zaprzeczenia największym religijnym poetą naszego czasu, tak jedynym zjawiskiem poezji religijnej XIX wieku, jak jedynym był Lesueur w malarstwie religijnem XVIII wieku. W ślad za tem, i za pokojem i uciszeniem, które przynosi wiara, idzie i spokojniejsze, pogodniejsze, epiczniejsze zapatrywanie się na życie, na dzieje, na ludzi, na przyszłość, a w poezji powstaje ta prawdziwa epepea, która się pod skromną nazwą *Pana Tadeusza* ukrywa, a za nią następują *Pamiętki Soplicy*, *Witolorauada* i t. d.; i cały ten spokojny, epiczny, historyczny kierunek, wznosi w końcu gmach szczytny i przestronny dla Polski nie tylko, ale dla całej Słowiańszczyzny, w trzech pierwszych latach sławnego kursu w *Collège de France*. Ale niestety, niedługo się ostał naród w tej równowadze ducha, na drodze religijnego i historycznego pokoju i rozwoju, w tem umiarkowaniu chęci i sił, zamiarów i zasobów. Pod wpływem wielkich nieszczęść i większych złudzeń, wyrobił się w religii kierunek mistyczny, w polityce anarchiczny; tamten chciał dotrzeć nieba, a ten zaryć się i pod-

minować w najniższych pokładach ziemi, tamten chciał każdego człowieka zrobić Bogiem, a ten królem... I tym też tonom, acz fałszywym, acz niegodnym, umiała jednak odpowiedzieć poezya nasza, umiała nawet użyzyć im tej harmonii, której w sobie same nie miały, uchwycić i uwiecznić je w *Improwizacji Konrada*, w *Nieboskiej*, w *Królu Zamczyska*, i wydała wreszcie jednego poetę, który niejako objął formą i myślą cały zenit i nader tego tytanizującego w górę i w dół kierunku: Słowackiego! Następuje wreszcie wielkie przesilenie i mistycyzm pęka w bańkę Towiańszczyzny, anarchia wybucha w okropną lawę Tarnowa, a naród oświecony tą podwójną błyskawicą wstrzymuje się nad przepaścią, cofa się znowu w siebie i w swoim tak rozdartem, tak rozszarpanem łonie znajduje jeszcze skarb, który mu stanie za wszystkie wydarte bogactwa i który śmiało stawić może na wielką loteryę tajnej przyszłości, znajduje w sobie dobrą wolę! I znów poezya nasza tę myśl wciela w słowo, i przez usta dawnego wieszczka *Nieboskiej*, a charakterystycznego później przeciwnika Juliusza przemawia w ten szczytny *Psalm* dobrej woli, który może jest najczystszy dźwiękiem chrześcijańskiej lutni, a bez zaprzeczenia najwyższym hymnem polskiej duszy... Takie to koleje, takie przemiany, takie żywotne fazy, takie *corsi e ricorsi*, jak mówi Vico, przebyła nasza poezya w przeciągu lat tylko 30! takie dzieła wywołała z głębi wiecznego ducha narodu, i takie to *ritorni al segno*, ale zbogacone ciągle nowemi doświadczeniami, nowemi arcydziełami, w coraz bardziej rozszerzających się kołach odbyła kilkakrotnie w latach kilkudziesięciu!! Możeż coś podobnego wskazać jakakolwiek literatura słowiańska?

Nie! nie! Literatura rosyjska, niewolnicza i urzędowa, bez korzeni w narodzie i ze sztucznymi kwiatami u góry, nie może się zwać narodową, nie może być objawem jakiegobądź myśli i jakiegobądź ducha i mimo kilku beranżerowskich i byronowskich wierszów dwuznacznego liberalizmu, nie ma w sobie ani jednego promienia z nieba, ani jednej iskry wolności!!! Ducha i historję ma tylko polska poezya, bo tylko człowiek i to co jest ludzkim ma historję; nie ma jej małpa. A literatura rosyj-

ska dotychczas jest tylko małpiarstwem piśmiennictwa francuskiego, angielskiego lub niemieckiego!

Drugi ważniejszy punkt, którego dotknąć chciałem, jest zarzut robiony Polsce, jakoby od czasów Bolesława Chrobrego żadnych zasług nie położyła względem Słowiańszczyzny... Zarzut to bardzo teraz upowszechniony; powtórzył, lub podpisał go przynajmniej jeszcze niedawno sam p. Darasz w znanym okólniku Komitetu europejskiego do Polaków. Pan Darasz, jako centralny obywatel uniwersalnej demokracji, nie ma może obowiązku znać specjalną historię swego kraju; ale u pana Iskander, który wszędzie objawia pewną znajomość rzeczy słowiańskich, słuszenie dziwić może takie banalne wyrzeczenie. Jakto! Więcby Polska nic dla Słowiańszczyzny nie zrobiła od czasów Bolesława Chrobrego? A jakież pan Iskander znaczenie nadaje np. owej unii naszej z Litwą, owej unii, która połączyła z Polską nietylko Litwę, ale i Ruś całą, i tych Polanów kijowskich, o których wspólnem z nami pochodzeniu świadczy już Nestor stary? I cóż znaczyły te nasze ciągłe wojny z Mongołami, Tatarami i Osmanami? Miałyż one inny cel, jak zabezpieczenie chrześcijaństwa i Słowiańszczyzny od barbarzyństwa, jak zapewnienie im spokojnego, chrześcijańskiego i wolnego rozwoju? I w tej rycerskiej a fatalnej wyprawie, którą podjął nasz Warneńczyk, nie oświadczałże wyraźnie i nieraz, że jej celem jest wyswobodzenie »braci Słowian«, wolność tych Serbów i Bułgarów, którym posyłał te szczytne słowa braterskiej miłości, przechowane nam na wieczną naszą chwałę przez Długosza i Callimacha? Myżbyśmy nic nie zrobili dla Słowian, my, którzyśmy ich wiązali z sobą wszystkimi świętymi węzłami wolności, religii i oświaty, lub w ich obronie krew naszą przez cały wieków szereg wzdłuż Dunaju i Bałkanu przelewali?... Przymusu wprawdzie, podboju, grabieży, despotycznego ich zbitcia w jedno ciało, o! tegośmy w istocie nie znali, tych pięknych sztuk nie byliśmy magistrami i król nasz na ofiarowaną sobie koronę czeską i węgierską umiał odpowiedzieć: »Pocóż tyle narodów owładać, kiedy tak trudno i jeden uszczęśliwić?«... słowo wzniosłe i chrześcijańskie, które wartoby jeszcze kiedyś

przypomnieć niemieckim hegemonom, a które zawsze w pamięci mieć powinni Słowianie, gdy zechcą sądzić nas, nas, którzyśmy z nimi dzielili komunję krwi i miłości! Mybyśmy od Bolesława Chrobrego nie pamiętali o nich? Otóż niech p. Iskander weźmie w rękę pierwszego lepszego z naszych wielkich pisarzy XVI. wieku, a przekona się, jakie to słowiańskie serce biło w mężach, jak Rej, gdy w sławnym dystrychu naszemu Kochanowskiemu dank przed sobą dawał i pieśń też swą »Bogini Słowiańskiej oddawał«; jak nasz Jan, gdy dla najdroższej istoty, którą miał na świecie, gdy dla swej Urszuli szukał wyrazu pieśszcoty, nie znalazł innego jak: »Słoweńska«, i gdy wreszcie swoje »Omen« chciał wypowiedzieć, wyśpiewał z głębi duszy te śliczne strofy:

Gdzieś to piękne Boginie tak łaskawe były,  
Żebych ja, ile chęci, tyle miał i siły  
Służyć ojczyźnie miłej, a jej sprawom sławnym,  
Nie dopuszczał zamierzchnąć w ciemnym wieku dawnym.

Gdzie pójrzę, wszędzie widzę polskiej siły znaki:  
Tu do czarnego morza jeszcze świeże szlaki:  
Tu droga znakomita przez śnieżne Bałchany:  
Tu psie pola, a sam brzeg pruski zwojowany.

A ktoby oczy podał jeszcze w głębsze lata,  
Przodkom naszym wielka część hołdowała świata.  
Boć od zmarłego morza po brzeg Adryański  
Wszystko był opanował cny naród słowiański.

Prawda! Była epoka, w którejśmy zapomnieli o Słowianach, ale była to ta sama epoka, w którejśmy zapomnieli o samych sobie, wiek to XVII i XVIII! Ale gdyśmy się z tego letargu ocknęli, gdyśmy się przebudzili ze snu dwuwiekowego, naszym pierwszym słowem nie byłaż Słowiańszczyzna? Otóż niech p. Iskander tylko zajrzy w dzieła tego z naszych mężów, który pierwsze dał hasło naszego odrodzenia, w *Przestrogi dla Polski* Staszica, w jego *Żywoł Zamojskiego* i *Ród ludzki*, a szczególnie w tem ostatniem dziele, wprawdzie wcale niepoetycznem, bardzo nużącym, ale wielce ciekawem, znajdzie już całą nowszą teorię

o Słowiańszczyźnie, nawet w jej wyskokach i w przesadach, znajdzie tam całą myśl Ojciec-nasza! Od początku tego wieku wszystkie siły umysłowe Słowian skupiły i spromieniły się na polu historycznych badań. Otóż nie wiem, czy na tem polu znajdzie się choć jeden, któryby miłością dla tej sprawy, zapałem i poświęceniem, mógł się zrównać z naszym Chodakowskim, z tym wiecznym tułaczem Słowiańszczyzny; choć jeden, któryby mozolnością poszukiwań, sumiennością badań, genialnością pomysłów, mógł sprostać naszemu Surowieckiemu, na którego pracach Szafarzyk, jak to sam wreszcie przyznaje, mógł dopiero ugruntować swoje wielkie dzieło. A jednak wszystkie te wielkie prace Szafarzyków i Wuków, Chodakowskich i Surowieckich długo jeszczeby spoczywały martwe bez znaczenia i myśli; badania same, to mało; ogromby leżał, a bez czucia, trzeba jeszcze było iskry z nieba do rozkucia marzącego w śnie olbrzyma... I któż tę iskrę przyniósł, któż wlał w ten ogrom duszę i nadał tym trudom jedność, cel i kierunek, zbił elektrycznym promieniem te martwe żywioły w całość wielką i żywotną i dał wszystkim hasłom i słowo życia, któż, jeżeli nie nasz Mickiewicz w tych prelekcjach o Słowiańszczyźnie, które stały się sybillińską księgą wszystkich szlachetnych i czujących Słowian, księgą życia dla całego szczepu, *vade mecum* dla samego nawet pana Iskander? I Polska by nic nie zrobiła dla Słowiańszczyzny, ta Polska, która jeszcze w ostatniej śmiertelnej walce ze śmiertelnym wrogiem, umiała sobie jednak przypomnieć, że i w nim krew słowiańska, i umiała napisać na swojej chorągwi te słowa szczytne, których wtenczas niestety nie rozumiano, ale które kiedyś jeszcze zrozumiane i usłuchane będą, bo bez nich niema zbawienia dla wszystkich tych narodowości »w ukrytym stanie« (o których mówi pan Iskander), słowa: »za naszą i waszą wolność!!«

O, i gdyby Polska w istocie nic, nic zgoła nie zrobiła dla Słowiańszczyzny, jużby wiele, jużby prawie wszystko zrobiła samym swoim bytem i przykładem! Mój Boże, ja to rozumiem, ja to nawet tłómaczę, że Słowianie, gdy ich gnębi pięść germańska, wskazują na pięść moskiewską, jako pogródkę i zemstę...

Ale skoro chcę siłą ducha się zmierzyć z ciemiejącym Zachodem, jakież zasługi mogą oni wtenczas kłaść w swoją szalę, jeśli nie zasługi tego narodu, który wydał Kopernika i Kochanowskiego, Mickiewicza i autora *Irydyona*? A jeśli nie zechcą poszczycić się bratem, który się nigdy cudzą grabieżą nie skalał, który umiał być mężnym, a nie dzikim, wielkim acz wspaniałomyślnym, który jaśniał w dziejach cnotą i poświęceniem bez granic, czyjeż tu imię wymienią, jeśli nie to męczeńskie imię biednego Lacha? A jeśli w wielkim poczcie słowiańskich bohaterów zechcą wskazać na bohatera, który umiał być wielkim człowiekiem, który męstwo lwa w sobie łączył z prostotą gołębia, i który, jak to ślicznie w tych dniach właśnie wypowiedział genialny i wielkoduszny historyk francuski, był »ostatnim rycerzem i pierwszym obywatelem na Wschodzie«, na kogóż wtedy wskażą, jeśli nie na naszego Kościuszkę? <sup>1)</sup>...

Na tej korespondencji, wydrukowanej w N-rze 215 *Gońca polskiego*, urywają się *Listy z Paryża* Klaczki, a przynajmniej te, które pisywał oficjalnie, jako korespondent paryski, podpisujący się grecką literą  $\kappa$ . Ale czy na tej korespondencji kończy się wogóle współpracownictwo Klaczki w *Gońcu*? Zdaje się, że było przeciwnie, a do przypuszczenia tego upoważnia *Legenda o Kościuszcze* Micheleta, która wtedy zaczęła wychodzić w Paryżu, w dzienniku *Evénement*, a której polski przekład zaczął się drukować w feljetonie *Gońca*, w N-rze 234, ciągnąc się aż do N-ru 247. Otóż jest wielkie prawdopodobieństwo, że przekład ten, znakomity, niczem nie ustępujący oryginałowi, jest pióra Klaczki. Co za tem przemawia? Przedewszystkiem świetność przekładu, piękność stylu i języka. Nie jest to przekład zwykły, powszedni, ale znać, że go dokonało niepospolite pióro. Powtóre, gdy się zna kult Klaczki dla Kościuszki, któremu tak często dawał wyraz w swych korespondencyach do *Gońca*, łatwo się dochodzi do wniosku, że to on właśnie mógł *Gońcowi* zaproponować wydanie w feljetonie tej tak dla polskich czytelników zajmującej pracy wielkiego francuskiego dziejopisa, której przekładu mógł dokonać tylko z przyjemnością. Nie należy zapominać, że Klaczko był gorącym wielbicielem Micheleta, o którym w swych korespondencyach do *Gońca*, z d. 5 września 1850 r. i z dnia

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski*, Nr. 215, z d. 19 września, 1851 r.

10 czerwca 1851 r., rozpiisał się tak sympatycznie. Podkreślić należy, że w drugiej z tych korespondencji Klaczko rozpisuje się o *Legendzie Demokracji* Micheleta, (zapowiedzianej przez dziennik *l' Evénement*), której będąca tu w mowie *Legenda o Kościuszcze*, miała być jednym z głównych rozdziałów-rapsodów. Potrzebie, gdy się porówna styl i wyrażenia w korespondencyach paryskich Klaczki ze stylem i niektórymi wyrażeniami w tym przekładzie *Legendy o Kościuszcze*, to nabiera się przekonania, że tłumaczenia tego dokonało to samo pióro, które pisało tamte korespondencye. Wyrażenie np. dosyć wyszukane i niezwykłe, jak »przedsterna gwiazda«, napotykanne w korespondencyach paryskich Klaczki, znajduje się i w tym przekładzie. Po czwarte, Klaczko mieszkał w Paryżu, gdzie był »gazet pilnym czytelnikiem«. Ponieważ przekład *Legendy o Kościuszcze* ukazał się w polskim przekładzie zaraz po wyjściu w dzienniku *Evénement* (o którym Klaczko niejednokrotnie wspomina w swoich korespondencyach), więc znowu nasuwa się podejrzenie, iż nie kto inny, tylko Klaczko tłumaczył te feljetyony Micheleta. Do przypuszczenia tego upoważnia również fakt, że właśnie w tym czasie, gdy w *Gońcu* drukowała się w odcinku *Legenda o Kościuszcze*, Klaczko zamilkł zupełnie, jako jego paryski korespondent, co brakiem czasu, absorbowanego przekładaniem feljetonów z *Evénement*, nietrudno dałoby się wytłumaczyć.

Zresztą jestem przekonany najmocniej, że tłumaczem w tym razie był bezwarunkowo Klaczko.

Czyż nie przemawia za tem i samo zakończenie ostatniego *Listu z Paryża*, wyraźnie wskazujące na pomienioną pracę Micheleta o Kościuszcze, której druk »w tych dniach« — a więc w początkach września — rozpoczął dziennik Wiktora Hugo?

W każdym razie, niezależnie od tego, czy przekład *Legendy o Kościuszcze* dokonany jest przez Klaczkę, czy nie, ponieważ jest doskonały, a sama rzecz bardzo dla nas interesująca, warto by ją wydać w osobnej książce, na co, jako praca znakomitego pisarza francuskiego o polskim bohaterze i patryocie, ze wszech miar zasługuje.

---





II

WIESSZCZE I WIESSZCZBY

(1820)

W N-rze 108 *Gońca polskiego*, z d. 7 listopada, 1850 r. znalazła się — poczerpnięta z dodatku do *Czasu* — następująca wiadomość z życia Polaków na emigracji w Paryżu: »Klaczko ma w rękopisie *Dzieje piśmiennictwa polskiego*. Tom I. ma wyjść wkrótce; dwa następne później«. Ile w tej informacji, niewątpliwie podanej przez Eustachego Januskiewicza, było prawdy, trudno osądzić. Co pewna, że wspomniane *Dzieje piśmiennictwa polskiego* nigdy nie wyszły. Natomiast wyszła przedmowa do nich, wydrukowana w skróceniu w odcinku *Gońca polskiego*, w numerach 118, 119, 120 i 121, pomiędzy d. 19 a 22 listopada 1850 r.

Ogłoszono ją w sposób następujący:

## Wieszcz i wieszczby.

Rys dziejów nowszej poezji polskiej <sup>1)</sup>.

### WSTĘP.

Zamierzam szczupłym zasobem mych zdolności i wiadomości skreślić obraz nowej naszej, odrodzonej poezji i wskazać jej związek duchowy z nowem naszym, odradzającym się życiem, które tem właśnie, że *pogrobowe*, świadczy o sobie, że *nieśmiertelne*. Zamierzam w przeświadczeniu dobrych chęci, acz wątplych sił, w nieświadomości nawet słowa zaklęcia, wywołać tę epokę, która prawie jeszcze jest terażniejszością, a prawie już przeszłością, i tych ludzi, którzy prawie jeszcze są naszymi braćmi, co z nami gorzki chleb niedoli, a słodki nadziei dzielą, a prawie

---

<sup>1)</sup> Z niewydanego dzieła większego rozmiaru podajemy tą razą główne części wstępu. (*Przyp. Red.*).

już ojcami, co może w naszej barbarzyńskiej mowie głosu wnuków swoich nie uznają. Zamiar to, którego trudności sobie nie taję, dla którego zwodnych i niebezpiecznych stron nie jestem ślepy, i od którego bym był daleki, gdyby nie obecne okoliczności. W spokojnym czasie Polski zwyciężkiej byłbym czekał na zdolniejszych i poważniejszych, na ludzi silniejszego głosu i rozgłosu, pewniejszego umienia i sumienia. Ale w obecnym wojennym czasie Polski walczącej, wszelkie takie względy skromności byłyby tylko oględnościami bojaźni, wszelkie poważanie dla osób lekceważeniem rzeczy, a sąd sumienny chyba mnie o urojenia, lecz nie o uroszczenia obwinić może. Żołnierz, który w bitwie, nie oglądając się na tych, co przed nim i nad nim, spieszy zając zagrożone stanowisko, taki żołnierz się nie *narzuca*: on się tylko *naraża*.

Zagrażającą zaś u nas jest owa popularność ducha, która świat obowiązków i czynów rozkłada, zagrażającą jest przewaga myśli nad uczuciem, przewaga refleksyi nad instynktem. Opinia nasza publiczna, gdy prawie jednogłośnie autora *Nieboskiej Komedyi* wyżej postawiła nad Mickiewicza, stanęła na tej niebezpiecznej wysokości, na jakiej się znalazła Grecya, gdy Pythia Eurypidesa mędrszym od Sofoklesa ogłosiła. Czas inaczej osądził co do Grecyi, i pewno inaczej osądzi co do nas; oby tylko bez tej srogiej dla nas, jak dla Grecyi nauki: nauki upadku i bez powstania. Czas nasz obecny w odmiennych tylko rysach przedstawia smutną, chorowitą i wyschłą postać wieku XVIII. W wieku owym mieliśmy *zwątpienie i dowcip*; teraz mamy *mistycyzm i fantazyę*: jedne, jak drugie, te same, choć przeciwnie bieżące bieguny, te same, choć odwrotne zwrotniki, równoległe od równika wiary i *uczucia*. Podobni do tych, co wyglądali Zbawiciela, gdy już od wieków był przybył, silimy się nad wynalezieniem teoryi, gdy nauka już tak dawną i tylko o jej pełnienie chodzi. I jakżeby się zdziwił nasz czcigodny Karnkowski, gdyby teraz powstał i poczuł, jak znacząco przy każdej okoliczności szafujemy tym tytułem *Messyasza*, który on może pierwszy u nas w XVI wieku w prostocie swego ducha, prostemu zbiorowi swoich kazań

nadał! I jakżeby się zdziwili ci wszyscy, dla których Polska była zawsze dogmatem dla poświęceń, gdyby powstał i ujrzał, jak dla nas jest już prawie tylko tematem dla dyskusji! Z zupełnem zapomnieniem przeszłości, z zupełnem zubożeniem dla terażniejszości, uganiamy się tylko za jakąś fatą morgana przyszłości, i mamy politykę przyszłości, filozofię przyszłości, nawet poezję przyszłości!! Jakżeśmy już dalecy od tego zdrowego uczucia, które wielkiego naszego wieszczą pędziło na czele wiekopomnego dzieła kłaść owe tak prawdziwe zdanie Schillera, że co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości. W obecnem naszym tak spaczonym widzeniu zdawałoby się, że to tylko może żyć w pieśni, co jeszcze wcale nie istniało w rzeczywistości! Wtenczas, gdy wszędzie i zawsze sztuka unikała niepewnej, chwiejącej się obecności, i jak snycerz dla swego dłuta szuka twardego marmuru, szukała minionych wypadków, by ze stwardniałego, ostatego już materiału swe dzieła wyciosać; my z mrocznych cieniów, z przewidzianego dopiero świata, chcemy zlepić utwory, i z nieuchwytnych promieni jakiegoś słońca, *które jeszcze nie weszło*, utkać przędzę *myśli!* Wtenczas gdy Grek obecne swoje wojny z Persami tylko w kształcie przeszłych wojen z Troją czuł się zdolnym upostacić, a Rafaël dla uwiecznienia współczesnych zwycięstw Juliusza i Leona wywołał minione wieki Grzegorza i malował sale Heliodora, Konstantego i Pożaru; my nawet i twarze ostre, malowane naszej przeszłości, oblekamy mgłą tych czasów, »co to jeszcze będą«. Wtenczas gdy Michał Anioł przynajmniej wprzód genezę odmalował, nim o ostatecznym sądzie pomyślał; u nas nikt prawie o genezie naszej nie pomyśli, a ileż za to porywów do sądów ostatecznych! Tylko na tej naszej biednej ziemi stać i ostać się nie możemy. Ale jakże śmiało za to myślą w niebo kusim; ale jakżeż łatwy nam za to zstęp do piekieł: *facilis ascensus Averno*, jak sztydził Wirgili! Wtenczas gdy Platon myśli nasze nazwał przypomnieniem świata, któryśmy przeżyli; my je nazywamy przedpomnieniem świata, w którym dopiero żyć mamy, i marzymy o pieśni, o której i Bóg nie śni, a o której nam najmniej śniący się godziło. Przewrotne Pygma-

liony, tchnieniem naszym nie ożywiamy posągów; wycieńczamy tylko siebie samych. Nie mamy jeszcze ani jednej porządnej historii, a ileż za to porządných historyozofii; nie zbudowaliśmy jeszcze ani jednej dobrej chałupy, a wystawiliśmy już *trzy piętra ludzkości*; nie nauczyliśmy się jeszcze katechizmu, a mamy już zapowiedzianą *Bożycę* w niewiem ilu tomach! Wielka tradycja naszych Staszyców, Czackich, Zanów i Lelewelów już zupełnie przerwana; przyczepiliśmy się za to do rydwanu spekulacji niemieckiej, który nas wlecze za sobą w zwyciężkim pochodzie. W jakiejż poniewierce u nas historia, filologia, sztuka, te jedyne duchowe zajęcia, które są w stanie skupić, pojednać i połączyć, które koniecznie żądając współpracy i spółdziału, opierając się na przeszłych i współczesnych, są z natury swej tradycyjne, wiążące, społeczne. W jakim natomiast nierozważnem poważaniu owa wieża Babel filozoficzna, która nam tylko języki zamięsza i sumienia zakłóca, która koniecznie na sobie oparta, wszystko ze siebie wysnuwająca i sobie tylko świadcząca, jest z natury swej burzącą, rozkładającą, niespołeczną. Bo niechże mi pokażą, proszę, w naszej uniwersyteckiej młodzieży, zapalającej się na zimno nad licznymi systematami swojskiej i obcej spekulacji, a gardzącej suchą, jak mniema, nauką: ową braterską zgodę, ową szczerą miłość, ów zapał do dobrego i gotowość do poświęceń, które cechowały niegdyś młodzież wileńskiego uniwersytetu, tych Zanów, Czeczotów, Kułakowskich, Kowalewskich, Wiernikowskich, Jeżowskich i t. d., tych maluczkich w duchu i słowach, a wielkich sercem, co to skromnie przeglądali stare zabytki naszej historii, pisali poemata o *zgonie tabakierzy*, i tłumaczyli Homera, Herodota i Pindara! Bo niechże mi pokażą, proszę, w tych filozofach, wytykających drogę samemu Bogu, w tych wielkich myślicielach, co to sto gwiazd zgasić, a drugie sto wzniecić się czują zdolni, ową skorość do uznania, ową przychylność dla wschodzących talentów, z jaką nasz stary, zasłużony Rej nieznanemu jeszcze śpiewakowi z Czarnolesia *dank składał*, lub ową szczytną pokorę, z jaką nieśmiertelny Brodziński prosił naszych młodych romantyków o przebaczenie, że w nich był zwątpił na

chwile! My teraz mniemamy się wyższymi, gdy gardzim prawdziwą życiodajną nauką, którą tem zbywamy, że z martwych ksiązek i szpargałów czerpana, a natomiast kusimy się o jakąś nadludzką wiedzę, którą niby to z głębi samoistnego ducha dobywać mamy, i jak w owej bajce, zarzucamy skrzętnym pszczołom, że swój miód z kwiatów wyssały, zarzucamy my, pająki, co to z samych siebie, samoistnie, oryginalnie snujemy — pajęczyne! I w jakież przeraźliwe nieraz popadamy z sobą sprzeczności; jakże często z nadmiaru rozumowania tracimy wszelki zdrowy rozum, i mówiąc językiem naszego starego Marchołta, strzelając często w gęsty las, nie znajdujemy strzały w czas! Między płaskością a przesadą nie znamy środka. Krzycząc do chrypki *czynu*, i czynu słowiańskiego, zaniechamy pierwszych, pilnych i nieodzownych robót polskich; przyczepiając się (i niestety! w przenośni tylko) do krzyża, tylko się na nim wykrzywiamy; a kłócąc się nad zakonem zmartwychwstałych lub nowonarodzonych, upuszczamy z rąk zakon żyjący. I małoż wreszcie u nas takich, co odwykły chodźć, a nie umiejąc latać, kończą tem, że się czołgają? co niedoczekawszy się wielkiego czynu słowiańskiego, przyjmują mały czyn moskiewski? co zaczepiwszy siebie za krzyż bezskutecznie, zaczepiają potem skutecznie krzyż na siebie, ten krzyż, o którym pieśń filaretów mówi, że się go Belzebub nie lęka, krzyż 3, 2 i 1 klasy?; co po błędnej wędrówce rycerzy »najnowsze« zakonu, odpoczywają skutecznie kawalerami orderów?...

Wobec takiego rozdwojenia i rozpadu treści i formy, wobec tego powszechnego rozdźwięku i ogólnego braku miary i umiarkowania, nie zbyt cennym może będzie przypomnieć sobie to nasze duchowe zatrudnienie, które z natury swej właśnie, póki się nie wynaturzyło, było ścisłym formy i treści połączeniem, które z istoty swej było harmonią i warunek bytu tylko w mierze miało i umiarkowaniu: jednym słowem, nie zbyt cennym może będzie kosmopolitycznej filozofii i samolubnemu materyalizmowi *narodową* przeciwstawić *poezję*. Może się wtenczas okazać, że ten świat idealny więcej miał w sobie rzeczywistości, niż

obecny nasz świat rzeczywisty, i że pieśń była większym czynem, niż wszystkie teraz nad nim spekulowania. Może się okaże, że suche badania Lelewela o epoce piastowskiej i skromne rozprawy Brodzińskiego o tańcach i pieśniach narodowych, więcej w sobie miały życia i głębokości, niż wszystkie nasze modne hallucynacje o misyach narodów; że *Wallenrod* doskonalej przeczuł naszą przyszłość, a *Dziady* i *Tadeusz* w większej pełni objęły myśl narodową, niż wszystkie nasze mesyaniczne spekulacje i filozoficzne formuły, że *Przedświt* więcej nasz oświecił, niż *Przedburze*, że wiersz do *Matki Polki* był lepszą pedagogiką od *Chowanny*, a *Poselstwo z ziemi ucisku* więcej nam dało prawd żywotnych, niż wszystkie *Objawienia objawień*. Może się wreszcie okaże, czy lepiej nam, zawierając się prądowi i rozhukanej wiedzy, zagubić się i zatracić w morzu słowiańskim, lub, idąc za przykładem Wacława, oprzeć się na ludzkie naszym, i w jego zabawach, zwyczajach, tradycjach, pieśniach i tańcach, »w polonezie Kościuszki«, jak właśnie ów Wacław szukać owego słowa, »co w dobrej ludzioro powiezione chwilo, jak trąba archanioła stworzy ich, czem byli«. I niechaj nikt w tem ironii nie upatrzy, co tylko bolesną i z boleścią wypowiedzianą jest prawdą! I niechaj mi nikt zbytniego zaufania w sobie nie zarzuci, kiedy jedyną odwagę nie w sobie, ale w nieśmiertelnych świadectwach czerпам, które za mną przemawiają i przez które przemawiam! I niechaj mnie nikt tem zrazić nie myśli, że pismu memu zbyt wielki i odległy cel założyłem, kiedy jedynym jego celem jest tylko, być drogoskazem!

Niechaj wreszcie mnie nikt przedwcześnie o jednostronność nie obwini, kiedy właśnie unikanie jej *zawsząd*, wyłącznym mojem było zadaniem. Cały ciąg tego dzieła okaże, że koła naszego świata zmrużonem nie zakreśliłem okiem, a pilnując przede wszystkim steru, i gwiazd się czasem radzić nie zapomniałem. Jeśli do dzieł sztuki miarę przykładałem sztuki, poznawałem uznawałem jednak, że one się ani tą, ani narodową nawet miarą całkiem wymierzyć nie dają, że pozostają zawsze  *pewne reszty nieskończoności*, jakiejby *zmysł* grecki niezawodnie zaprze-

czył, ale jakiej *umysł* chrześcijański i polski zaprzeczyć niezawodnie nie może. Przeczyłem tylko temu, aby sztuka wogóle się mogła wyłamać z pod wszelkiej miary i granicy, aby poeci mieli prawo, jak to teraz wielu czyni w miejscu harmonijnych zgłosek podać jakieś dziwaczne hieroglify, i z poezyi, tej tęczy przymierza między niebem a ziemią, zrobić jakąś łunę żarzącą, co mózg wypala, a serce spopiela. Jeśli w kilku dziełach wielkich naszych wieszczów, musiałem upatrzeć niebezpieczne przeciąganie sfer sztuki i życia, i to przesilenie ducha, które, jak wszystko, co nie dalszem kształceniem i uszlachetnieniem jest natury, ale tylko jej przełamaniem, więcej nas przeraża, niż zachwyca; umiałem jednak przyklaskiwać i tej śmiałości, i w tem, co było nieludzkim, uznać to, co było heroicznego. Nie uznałem tylko tego, aby ten fałszywy w sobie akord, który mistrzowska ręka z czarodziejskiej wydobyła lutni i wnet w pełny, harmonijny rozwiązać umiała, miał się stać tematem dla waryacyi, mniemałem tylko, że po *Przedświcie* naśladować *Nieboską Komedję* gorszem jeszcze jest od pisania *Iliady* po Homerze. Jeśli wystąpiłem przeciwko luźnemu zamiłowaniu w abstrakcyjnych próżniach i w bańkach, które suchotnicze tchnienie systematyków wydyma, nie mogłem uznać gwiazd przewodnych, umiałem jednak uczyć tego z naszych myślicieli, którego wprowadzie też i jedynym naszym myślicielem nazwać umiem. Drzę tylko, kiedy nierozważne Faetony tem słońcem kierować się kuszą, niespokojnym o tych uczniów, co ducha mistrza tylko zawezwać, a nie o władnąć są w stanie; a prawo wyprzedzenia swego czasu i antycypowania przyszłości tylko tym rzadkim wybranym przyznają, którzy obowiązków teraźniejszości święcie dopełnili. Przedewszystkiem zaś nie podzielałam tego fałszywego, a zbyt rozpowszechnionego u nas strachu przed zaskorupieniem się i usychaniem w martwej, jak to mówią, nauce. Nie pierwszy to bowiem raz u nas, że się lękamy wybijania tego, co się jeszcze i nie wykłuło, i któż wie, czy przyszłość z takim samem zadziwieniem nie będzie spoglądać na obecne nasze narzekania na pedantyzm i suchą erudycję, z jakim my teraz spoglądamy na naszych pisarzy z XVII. wieku,

którzy w każdym dziele, w każdej przedmowie i w każdej dydakcyi wypowiadali wojnę Zoilusowi »z lisim łbem, psim pyskiem, czarnym zębem i ostrymi kłami«, i lżyli tę biedną krytykę, której ani cień nawet wówczas nie istniał.

Że ten mój sposób pojmowania i przedstawienia rzeczy nie wielu mi pozyska zwolenników, nie wielu i powolnych może słuchaczy, wiem, niestety. W pewnych czasach, (i czemużbym nie miał wprost powiedzieć, że właśnie w naszych i u nas) daleko łatwiej przepowiadać, niż opowiadać; daleko wygodniej ogłaszać pytyjskie wyrocznie, niż choćby najsumienniejsze wyroki. Tamtych nikt nie sprawdza i do odpowiedzialności nie pociąga; zmylone następstwami, giną w zapomnieniu; usprawiedliwione trafem, wieczne zyskują laury, i mają podwójną korzyść *cichej* przegranej i *głośnego* tryumfu. Jakżeż inaczej z rzeczywistości zdaniem o danej rzeczywistości! Żądając sprawdzenia, obudzają chęć omylenia ich; pod jasne słońce się stawiając, i cień swój widniejszym czynią; śmiało wyzywając sądu, zachęcają do potępienia. Tamte łechcą ducha drugich, jeśli go nie zaspakajają; niezrozumiałe, każdego je chce rozumieć; ciemne, każdego się kusi je znaleźć jasnymi; łatwo poczęte, są i bez trudu pojęte lub przynajmniej przyjęte, i jedną sobie z góry dwie najsilniejsze słabości człowieka: próżność i próżniactwo. Te natomiast rażą zazwyczaj swą niepozornością, nie zadawalniają swą całością, zniechęcają swoją dobrą wolą, a większa część tych, co by się na sąd nie łatwo zdobyli, skoro się zdobędzie na przesądzenie. Ale ja nad łączność pracy, przenoszę jej zacność, i niż jej wygodność, wolę jej godność. Ludzie, którzy u nas, żal się Boże, nawet i Wrońskiego rozumieją, którzy w ciągłych żyją abstrakcyach i szukają czego na podłonecznym nie bywało świecie, tacy ludzie mnie właśnie zrozumieć nie zechcą, tacy mnie abstrakcyjność zarzucą i usiłowanie moje niepraktycznym nazwą. Bo i to jest niepoślednią cechą spaczonego u nas kierunku, że im skromniejsze nasze siły, tem dumniejsze stawiamy żądania; im mniej mamy poznania, tem mniej i uznania, i im bardziej czyn w słowie trwonimy, tem bardziej po słowie wymagamy czynu. Rewo-

lucyjni z potrzeby w naszym życiu politycznym, pozbawieni wszelkiego wolnego rozwoju i nieuznający czasu między zasiewem i plonem, przynosimy bez potrzeby to nasze rewolucyjne usposobienie i w tę dziedzinę, która najmniej pod owe wyjątkowe prawo poddać się może. Bo jeśli gdzie, to w literaturze twórczość jest powolną i pośrednią; jeśli gdzie, to tutaj myśl długą przebiega elipsę, nim się w czyn wciela; jeśli gdzie, to tutaj, niezmierną czasem przestrzeń między przyczyną a skutkiem. Świat ducha jak tam gocki, z drobnych, byle trwałych cegiełek się buduje: w oka mgnieniu gmach pyszny wystawić mógł tylko Mefistofeles, a żądać tego tylko żartowniś Twardowski. Są jednak u nas tacy, co tego nie żartem żądają; którzy razem z błyskiem nietylko grom usłyszeć, ale i rodzajny jego wpływ na cichy zasiew by widzieć chcieli; dla których wszelka skromna praca jest trwonieniem ducha, a każda książka zbójceją, skoro się ewangelią nie głosi. Dla takich ludzi pisać, nie powiem, że nie chciałem, ale zrozpaczyłem: dla takich jeden tylko mam wiersz Homera:

Nie prorok ja, nie znane mi znaki przyszłości.

Lecz i tych, którzy fantastycznym łokciem nieskończoności robót ludzkich mierzyć nie myślą, którzy oddają literaturze, co literackiego, a co ewangelicznego zostawiają ewangelii, i nic wreszcie oryginalnego lub mesyanicznego w tem nie widzą, gdy kto serca na prawym, zamiast na lewym swym szuka boku, i tych także muszę prosić o pewne pobłażanie, i tych przestrzedz, że się nie wszystkim ich, acz słusznym i naturalnym wymaganiom stanie zadosyć; a jeśli większa część tej winy niezawodnie spada na niedostateczność sił moich, niemała też, i oby to zawsze miano na uwadze! cięży i na samym przedmiocie, naturze mego zadania.

Bo nie łatwym zaiste jest wszelkie takie zadanie, trudnym już sam przez się opis jakiejbądź literatury. Oprócz dokładnej jej znajomości, oprócz wielkiego trudu w śledzeniu szczegółów na pozór najdrobniejszych, trzeba jeszcze do tego czujnego zmysłu dla nieuchwytnych nieraz odcieni piękna, trzeba jasnego po-

głędu, któryby się masą poszukiwań nie dał zabłąkać i nad masą szczegółów mógł się wznieść do ogólniejszego stanowiska. Przedewszystkiem zaś trzeba dla poznania literatury narodu zgłębić jego historię, odkryć nieraz tajne nici z sobą je wiążące, i kwiat sztuki musisz z całym głębooko i daleko rozgałęzionym uszczknąć korzeniem, jeśli ci nie ma zwiędnąć w rękę. Słowo Werulamskiego Bacona, że historia bez literatury jednookim tylko Polyfema posągiem, jest prawdą i na odwrót: bez historii narodu i literatura jego i sztuka jest księgą z siedmią pieczęciami. Całe tylko hieroglifowe, kamienne dzieje Egiptu są kluczem do tego wielkiego, kamiennego hieroglifu, które obeliskiem i piramidą nazywamy. Cały moralny, religijny i polityczny żywot Hellenów krystalizuje się w dziełach ich sztuki. Bez niego zabłądzisz w ich architektonicznych porządkach i nieme dla ciebie będą wymowne ich rzeźby. Jedynym prawdziwym komentarzem *Iliady i Odyssei* jest tylko ziemia Ionu: jej rzeźbność, jej wolność, jej duchowość naprzeciwko symboliczności, niewoli i materyalizmu azjatyckich państw Pryama Krezusa i Kserksesa. Wielki cię tylko wiek Milcyadesa i Periklesa wtajemniczy w wielkość tragików greckich, i tylko przez ateńską Agorę i szkołę sofistów dostąpisz sceny Aristofanesa. Cała myśl chrześcijaństwa buduje się w tych gockich tumach z niebowstępnymi łukami, skamieniałemi westchnieniami i trzęsącym się sklepieniem; zawiłe tylko wędrówki germańskiego szczepu są wiernymi przewodnikami po ciemnym labiryncie Nibelungów; a *Boska-Komedya* Dantego jest tylko przygrywką całego średniowiecznego dramatu, finalnym akordem olbrzymiej symfonii Kościoła i państwa, klasztorów i zamków, teologii i scholastyki, którego znowu wesołem i pustem echem jest złota ironia Ariosta i brylantowa humorystyka Cervantesa. Z każdego prawie fresku Rafaela w Watykanie przemawia wielka dialektyka XVI. wieku: *Atylla* i *Heliodor*, *Bitwa Konstantego* i *Pożar Grodu*, *Msza Bolżeńska* i *Święta Dysputa*, głoszą zarówno tryumf władzy duchowej nad świecką, wyższość wiary nad powątpiewaniem, zwycięstwo Leona nad Lutrem, Trydentu nad Augsburgiem; jak znowu naprzeciw tej megalografii katolicyzmu,

w protestanckich Dürerów, Rembrandtów i Teniersów obrazach uśmiecha się ta spokojność kominka, ta świeża gospodarność, to »ciche i dobre życie«, jak to sami Niemcy trafnie i skromnie nazwali, to mierne szczęście i ta szczęśliwa mierność, najpiękniejsza i jedynie może piękna strona protestantyzmu. Na klasycznej tylko ziemi Gotów i Maurów, Inkwizycji i Koranu, mogły powstać te aż do dzikości piękne, aż do świętokradztwa pobożne utwory Lopeza i Calderona, których *autos sacramentales* ponurym blaskiem autodafów zdają się być oświecone, a w wieku tylko Elżbiety, w politycznym rozwoju ówczesnej Brytanii i olbrzymich jej przedsięwzięciach na lądzie i morzu, leży tajemnica tej głębokiej znajomości ludzi i świata, którą w dziełach wielkiego Williama zawsze podziwiać będziemy. Wiek to Batorego, który w *Odprawie posłów* naszego Kochanowskiego przybrał klasyczną maskę greckiej Melpomeny; a szlachtę tę naszą huczną i burzliwą z czasów Zygmunta III, tę szlachtę rokoszową i kokoszową, poznasz w łacińskich *Tytanach* Klonowicza. Nieraz w najwolniejszych i najdowolniejszych twórcach wyobraźni ukrywa się myśl wieku, i duch czasu panuje tam, gdzie na pierwszy rzut oka sama tylko fantazyja mistrza władać się zdaje. W fantastycznym dramacie *Burzy* Shakespeare, jak sam Ariel, niby tylko igra z Calibanem i dla niewinnej zabawki zwodzi, wyśmiewa i prześladuje ten dziwny twór dziwnej wyobraźni; gdy się przypatrzysz, poznasz, że wieszcz tu stawia i rozstrzyga w duchu swego czasu wielkie tego czasu zadanie, i w owładnięciu elementarnego Calibana przez umnego i umiejętnego Prospera głośi i usprawiedliwia podbicie dzikiej Ameryki przez ucywilizowaną Europę. *Simfonia eroica* Beethovena nie tylko swym przydomkiem przypomina wielkiego bohatera naszego wieku; każdy dźwięk tego rwącego potoku tonów jest echem heroiczych czynów nowego Cezara; tak mistrz swe dzieło pojął i tak je pojętem być żądał. Na obrazie rozbicia okrętu Meduzy genialnego Gericaulta, widzisz murzyna, który wśród powszechnej rozpaczony konających i omdlałych zawiesza się na najwyższym maszcie, i żaglem przywiewa do widnego zaledwie w dali statku, by spieszyl z ratunkiem; nie opadł

jeszcze całkiem więzy wskazują, że był nieszczęśliwym niewolnikiem, może właśnie przez tych, co teraz w takim odrętwieniu rozpaczy pogrążeni, na sprzedaż prowadzonym; z pod ciemnego pokładu, w którym jęczał może przed chwilą, wyszedł na światło słoneczne; godzina śmierci dla innych, jest dla niego godziną życia; z najniższego, został najwyższym... i może swoją odwagą i przytomnością uratuje tych, którzy jego tylko ztratę mieli na celu... Nie odgadujeszże w tym drobnym rysie wielkiej filantropicznej myśli naszego wieku? Ten murzyn z wysokości swego masztu nie wołał głosem Gregoirów i Wilberforców o emancypację czarnych!... I czemże jest wogóle cała nasza romantyczność, jeśli nie praworodnem, acz rozpuszczonem dzieckiem tej epoki, którąśmy dopiero przeżyli, lub w której jeszcze żyjemy?...

Jeśli odszukanie tego tajnego związku sztuki z życiem utrudza niezaprzeczenie, choć i wynagradza też w dwójnasób pracę historyka, jakżeż trudniejszym ono jeszcze się staje dla tego, co chce pojąć i objąć istotne dzieje nowoczesnej *polskiej* literatury. Bo tu, bo u nas, literatura nie tylko z życiem naszym jest ściśle powiązana, ale i w gordyjski z niem węzeł splecioną; bo u nas poezya nie jest tylko, jak u innych narodów, akompaniamentem politycznego i moralnego bytu, ale nieraz jego tematem prawie; wiąże się z nim nieodłącznie, zlewa się w tę zawiłą a poważną fugę, w której, jak w fugach Sebastiana Bacha, tak niepodobna czasem główną gammę od towarzyszących jej odróżnić. Historia nie jest u nas miarą poezyi, częściej owszem przeciwnie; najczęściej zaś jedna drugą nawzajem mierzy. Za czasów naszej chwały, za Piastów i Jagiełłów, przed czynami milczały u nas pieśni; nieustający baldachim, zrobiony z orłów i chorągwi naszych, zakrywał nam niebo Olimpu, a huczny szum skrzydeł husarzy naszych zagłuszał cichy szmer lekkich piór naszej muzy. Od czasów naszego męczeństwa, przeciwnie, pieśń zabiera głos pierwszy, a czyny zdają się jej tylko gdzieniegdzie przywtarzać, w odległych spadkach swym akordem dopełniać i chórem ludów jej zwrotkom przygrzmiewać. Rzadko kiedy u innych narodów mistrze słowa brali udział bezpośredni w życiu politycznem, rzadko

nawet i u Greków, którzy najmniej sztukę od życia oddzielali. W biesiadach i wiecach Achejczyków, które nam Homer tak pięknie i szeroko opisuje, uderza milczące zachowanie się wieszczów; tak złotousty Femiusz, jak i ów Demodokus, »któremu muza wzrok odjęła, a słodkiego użyczyła śpiewu«, stoją zawsze na ustroniu, zdala od gwaru bohaterów: tylko w pieśniach dają się słyszeć, bo tylko w pieśniach żyją. U nas inaczej! U nas wieszczce mięszają się do zgiełku, żyją wespół z nami, wszędzie głos zabierają. »Muza może nieraz towarzyszyć życiu, nigdy nie może mu przewodniczyć«, powiedział Goethe, słusznie czy niesłusznie; to pewna, że muza u nas życiu przewodniczyła nieraz, towarzyszyła zaś zawsze. Największy z naszych estetyków, Mochnacki, był zarazem i największym z naszych publicystów, i ten sam, co klasyków wypłoszył z Parnasu, wystraszył i Konstantego z Belwederu. Prawie wszyscy nasi wieszczki byli żołnierzami; prawie każdy z nich, gładząc swe rymy, zaostrzał swą szablę, i jak niejedna Madonna Fiesolego i Rafaela służyła za chorągiew w procesyi, tak i niejedna pieśń naszych mistrzów służyła za sztandar w wojnie. Są u nas czyny polityczne, że nasze spiskowe przytoczę dzieje, które prawie tylko ze stanowiska sztuki, są dzieła sztuki, jak *Wallenrod*, które prawie tylko ze stanowiska polityki sądzone być mogą i muszą, jeśli się niesprawiedliwości popełnić nie chce; ale w jednym jak i drugim razie sprawiedliwość jest nader trudną. Jeśli to prawdą następnie, że historyk nie powinien się ograniczyć do poznania dzieł sztuki tylko w samych sobie, w ich znaczeniu skończonym i objętem, w ich mniejszem lub większem przybliżeniu do ideału, ale, że jego obowiązkiem nadto, śledzić wpływ tych dzieł na obecność i przyszłość, poznać magnetyzm, że tak rzeknę, ich ducha, i wskazać elektryczną kolumnę, przez którą sięgają i uderzają w serce narodu, jakżeż to trudnem jest znowu właśnie z poezją naszą! Któż jest w stanie napisać, lub nawet wiedzieć całe dzieje jednej tylko *Ody do młodości*, jednej tylko *Improwizacji* Konrada? Któżby sobie zaufał, punkt ich wyjścia odkryć i siłę ich sięgności zmierzyć? Takiby chyba musiał zstąpić w cichą izdebkę naszych

szkolnych chłopaków, i opisać, jak ci dziwni katechumeni męczeńskiego zakonu, przysposabiając się za młodu do cierpień cytadeli i mężnie antycypując swoją męską przyszłość, wymyślają dla siebie dobrowolne męczarnie i wśród tej dobrowolnej katuszy odśpiewują ponurym, ale silnym i niezachwianym głosem, jak silną i niezachwianą jest ich wiara: »Pieśń ma była już w grobie, już chłodna!« <sup>1)</sup>). Takiby musiał dojrziałemu ich wiekowi towarzyszyć w podziemnych lochach więzień, i widzieć, jak na scenie bez światła i widzów i z poetyczną wiernością, dla której niestety ciche są tylko oklaski narodu, a głośne szyderstwa katów, odgrywają pamiętną scenę z *Dziadów!* Takiby wreszcie musiał pójść za nimi w ów Sybir straszny, w ów kraj obiecany, za czerwonym morzem krwi leżący, i jak owa Peri wschodu uchwycić ich jęk ostatni, i ująć ich łzę ostatnią... och! bo w tym jęku znajdzie niezawodnie jakąś nutę z *Psalmu dobrej woli*; w tej łzie odkryje jakiś promień z *Przedświtu!*... I tu dotknąłem tej *patologicznej* strony naszej poezyi, którejbyś napróżno szukał w greckiej, która wyłącznym tylko udziałem chrześcijańskiego i polskiego usposobienia. U Greków sztuka, cała i harmonijna, harmonijnie się też na *całe* rozlewała serce człowieka, nigdy wyłącznie jednego jego organu, jednego uczucia nie wyprężała, wszystkich się zarówno dotykała lekko, i cel swój uważała za chybiony, gdy tylko bezwiednie jeden klawisz ducha silniej niż inne uderzyła. Jakżeż to znaczący, jakżeż to czysto grecki n. p. ów wstęp *Odysei*, w którym Alcinous przerywa śpiew wieszczka, skoro spostrzeżga, że smutnemi acz nieznanemi mu przypomnieniami zasępia czoło Ulisesa, skoro widzi, że zamiast chmury rozpraszać, tylko je zgromadza... Ale jakżeż to wszystko inaczej znowu u nas! U nas sztuka zdaje się umyślnie naciągać bezustannie jedną, drżącą, *krwawą* strunę serca i wytężać ją aż do pęknięcia; nasza poezya z wiedzą, jak ów Halban Konradowi, przywodzi nieustannie ponure i tragiczne przeszłości wspomnienia, umyślnie wlewa w duszę najsrozsze trucizny, krew ciągle

---

<sup>1)</sup> Historyczne.

mięsza w puhary wesela; wróży nieszczęścia, opiewa męczarnie, a gdy przerwie, to tylko trzykrotnem *biada!* I my też inaczej, jak Ulises, słuchamy tych pieśni. Nie jak on sobie twarz zakrywamy, nie jak on pożeramy w cichości smutek i lżej oddychamy, gdy ostatni dźwięk wydały struny... My, jak Konrad, z dziką rozkoszą obłąkany wzrok utapiamy w naszych wieszczów, z głośnem biciem pękającego serca liczymy spadki ich rymów, a gdy koniec już pieśni, jeszcze końca wołamy i na straszną *powieść Wajdeloty*, straszniejszą jeszcze odpowiadamy *Alpuharą!*... To wszystko mieć na uwadze musi ten, co obraz naszej poezyi skreślić zamierza; wszystkie te cierpienia musi on przecierpieć, wszystkie te bóle przeboleć. Ileż to razy mu się zdarzy, w najśodszych melodyach usłyszeć jęki konających, ileż to razy, na tej dolinie Tempy trącić kości męczenników i zmówić pacierz umarłych! W wiekach średnich była u nas piękna legenda o ziemi sandomirskiej, że z każdej jej stopy krew męczeńską wycisnąć można. W nowszych naszych czasach cała nasza niwa poetyczna jest taką ziemią sandomirską... Z suchych drewn szubienicy buduje się nasz Panteon, i słodkim dźwiękom lutni wtórzy ostry brzęk kajdan!

. . . . .

Najmłodsza z cór Boga śpiewów, przeżyła nowsza poezya nasza swe siostrzyce, i na świecie niemasz jej równej teraz. Goethe już tylko jako pomnik piramidowy istniał: wielki i świetny, ale *grób* tylko króla; Byron konające już westchnienia mięszał do dzikiej muzyki dział Missolunghi, gdy *ona* pierwsze swe dźwięki w świat rozesłała, a odtąd sama, bez zaprzeczenia, dzierży potężne berło w krainie marzeń. Wiencem i czołem przenosi społeczne muzy, a sercem przewyższa wszystkie, które kiedykolwiek były. Mniej świetna i głębsza od niemieckiej, mniej silna i ognista od angielskiej, jest ona więcej od nich szczerą i więcej świętą; ma mniej załot, ale i więcej zalet, i jak owe Madonny staroflorenckiej szkoły, jest czysta zawsze myślą, jeśli nie czysta zawsze rysunkiem. Z tego samego pochodzenia, co jej wielkie rówiennice, ma ona jednak sobie właściwe tylko piętno,

które ją od reszty odróżnia, osobne wielkie rysy, które ją cechują i które na samym wstępie poznać nam trzeba.

Znamionuje ją przedewszystkiem owa *prawda życia*, która czynu od słowa nie rozdziela i szczerością zgonu w potrzebie świadczy szczerości bytu. Nowsza nasza poezya nigdy z pogodnego Olympu nie poglądała na ludzi: dzieliła z nimi wespół troski na padole płaczu: wniebowzięta, była też i ukrzyżowaną, a z laurem i ciernie musiała sobie wkładać na skronie. Jeśli ofiary i poświęcenia śpiewać lubiła, nie śpiewała ich tylko, innym zostawiając chwałę i zgryzoty; jeśli jak upiór krwi żądała, jak upiór też i krew swoją wylała; jeśli się milionem nazwała, za milion też kochała, cierpiała, i jak matka, czuła w swem łonie bóle swego płodu; jeśli orfeuszowym dźwiękiem poruszała skały, i rąk swych do ich dźwignania nie odmówiła; jeśli śpiewem Tyrteusza zagrzewała do boju, i pierś swoją w szeregach nastawiła; z archanielskimi skrzydłami i głosem dźwżyła czasem i miecz archanioła. Prawie wszyscy nasi wieszczowie byli żołnierzami, prawie wszyscy są tułaczami; żaden z nich życiem nie skłamał słowu. Nie mają oni klasycznej spokojności Goethego, ale też jak Goethe w tył ręce zakładać nie mieli zwyczaju; nie znają nawet i owej cichej pogodności Kochanowskiego, ale też żaden z nich, jak Kochanowski, nie przyjął urzędu Wojskiego, by się od pospolitego ruszenia usunąć. Nowsza muza nie jest tak gładką jak marmur, ale i nie tak zimną. Czasem nieład widzisz w jej postawie, a w fałdach jej szaty poznajesz brak stylu; ale w jakimże też i zgiełku była broni, w jakim wirze zdarzeń!

Lecz i w tym zgiełku i wirze nigdy nie spowszedniała, i w ziemskiej wędrówce niebiańską swą zachowała czystość. Szaleństwem wypadków nieraz porwana, ciężkimi próby nieraz dotknięta, odpychała jednak zawsze od siebie szaleństwo francuskiej i wątpienie germańskiej swej rówiennicy; krwią męczeńską rozpad kraju, a świętą wiarą rozpad serca sklejała, i gdy jej najdroższe wydarto nadzieje, na własnej piersi skrwawiła pięścic: przeciwko niebu ich nie wzniosła. Z taką sztuką wcielania, nigdy jednak ciała nie hołdowała, z takim zmysłem piękna nigdy jednak

w zmysłowość nie popadała, i bez obrazu, jak już nasz Jan z Czarnolesia, mogła przebierać anakreontyki i hymny Dawidowe. I nie jest to może bez znaczenia, że pierwszy wieszcz tej szkoły ukraińskiej, która najwięcej jeszcze ma w sobie ognia ziemskiego, najwięcej jeszcze zmysłowo czuje i pieszczącą wonią zmysłowego wschodu oddycha, któraby wolała »w proch miałki się rozsy-  
pywać, niżli kochać pół-kochaniem i zwać miłość przywiąza-  
niem«, że mówię pierwszy wieszcz właśnie, tej właśnie szkoły, jest zarazem i pierwszym naszym religijnym poetą; że ten sam Bohdan »tak kochał i tak wierzył«, że ten sam duszą, sercem Ukrainiec, co tak żywo, tak plastycznie tworzył tych Kozaków hożych, chyżych, w których krew nie woda, i te Zoryny wietrzne, płoche, których pełne zakłęk usta, że ten sam znowu głębo-  
kością Rafaela, naiwnością Francii, potulnością Fiesolego skreślił tę nadludzką, przeźroczystą, powietrzną *Przenajświętszą Rodzinę!*... Różne i liczne dźwięki płyną z naszej narodowej lutni, ale wszystkie srebrne i czyste; tak czyste, że ta lutnia zda się ludzką jeszcze nie tkniętą ręką; sam duch zda się tylko Polski, nieska-  
lany, świetlany, po niej przygrywał...

I w rzeczy samej Polska sama jest tą eolską harfą; części Polski jej strunami. Każda nasza prowincja ma swoją osobną nutę, na której swoją i swojską nuci melodyę. Jak w życiu politycznym, tak i w życiu śpiewaków nie znamy tej despotycznej centralizacyi, która jednowładnie i jednodźwięcznie, monarchicznie i monotennie, z różnicami życia żywą jego grę zaciera: i na Parnasie naszym, jak i na naszym sejmie, każda prowincja ma swój głos oddzielny. Gdy w poezyi innych narodów ledwie że główne świata strony rozróżnisz i północ od południa, zachód od wschodu oddzielisz, u nas każda strona ma swoją strunę, każda ziemia swe niebo. Gdy Byron był tylko ciągłym rozdźwiękiem różnorodnych tonów, gdy Goethe i Schiller tylko dwie złamane połowice jednego stanowili świata, każdego z naszych wielkich wieszczów jest wszechzgodnym z sobą akordem i stanowi świat w sobie cały i organiczny. Gdy na różnice poetów każdego innego narodu wpływały tylko ich indywidualne

usposobienia i osobiste charaktery, na różnice naszych składały się zbiorowo: charakter otaczającej ich natury i usposobienie żyjącego z nimi ludu; tamtych indywidualne, tych zbiorowe odróżniają cechy. I tak w poezji polskiej zdaje się odzywać na nowo harmonijna rozłożystość architektury greckiej, i jak w owym porządku doryjskim, jońskim i korynckim, tak i w naszym porządku litewskim, ukraińskim, wołyńskim, widzisz różne i organiczne ducha budowy: tu surową energię, tam wdzięczną giętkość, a tam znowu wschodnią już prawie podziwiasz bujność i obfitość.

Ale te różne kolumn porządki jedną dźwigają świątynię, te plastyczne słupy zestrzeliwają się w gockie sklepienia wszechchrześcijaństwa; liczne nasze swojskie melodye w jedną się zlewają powszechną harmonię, i w bezmiar sfer naciągnięte są tęczowe struny polskiej pieśni. Prawie jak greckie, kształtne i rzeźbne są dzieła naszej sztuki, ale nie jak greckie są w sobie zamknięte; dla całej ludzkości owszem stoją otworem. Miejscowe, prowincjonalne są nasze dźwięki, ale cały świat jest ich diapazonem. I ta uniwersalność poezji naszej nie jest ową uniwersalnością zobojętnienia muzy Goethowej, która chińskiej słuchała Kliony, gdy nad Renem sprawa wolnych ludów się rozstrzygała; ani ową uniwersalnością zwątpienia muzy Byronowej, która na świat cały kielich swej wylewała goryczy; poezję naszą cechuje uniwersalność miłości i wiary. Każdą ona boleść by swoją podziela, każdy jęk, by najodleglejszy, pełne i dźwięczne w niej znajduje echo, i najwyższa z naszych ód narodowych, która już w kolebce obwiewa skronie dziecka i nie śpiewana, milcząca, drga w każdym z serc naszych, ta oda każe młodości okiem słońca ludzkości całe ogromy przenikać, w szczęściu spólnem wszystkich widzieć cele, i całą bryłę świata w nowę pchnąć tory!

Przez tę też tylko prawdę życia i czystość duchową, przez tę indywidualną melodyjność i uniwersalną harmonijność, poezya u nas mogła dostąpić tej wielkiej godności, którą tylko jeszcze u Greków niegdyś piastowała. I u nas, jak dawniej u Greków, poezya jest główną i jedyną prawie piastunką narodu. Czem

*Iliada* i *Odyseja* według świadectwa Platona były u Hellenów, tem *Marya*, *Konrad*, *Rodzina*, *Przedświt*, są dla Polaków: skarbnicą wiedzy, arką przymierza, jedynym prawie środkiem jedynie estetycznego prawie wychowania. U innych narodów poezya jest tylko wybujałym kwiatem: u nas konarnym pnem życia, na którym się wspinają i wieszają nasze uczucia, myśli i czyny. Z rąk matki poezya nas przyjmuje; opowiada nam dzieje naszych ojców, pieje nam pieśni naszej wielkości, rozgrzewa nas ogniem wiary, i jak ów Halban młodym naszym Alfom na dworze Winrychów łyzy ociera, a zemstę podnieca. Płomień mógł rozgryść malowane nasze dzieje, skarby mieczowi mogli spustoszyć złodzieje, pieśń uszła cało! Tłum ludzi obiega i karmi ich żalem i poi nadzieją. Być może, nie przeczę, że takie uczuciowe tylko wychowanie ma szkodliwe swe strony: że ogrzewając nam serca, często nam i głowę rozpala, i idealnie nas kształcąc, nieraz do realności życia nie przysposabia. Ale od kału, który nas otacza, i którym nas wrogi umyślnie otaczają, tylko ta eteryczność mogła nas uchronić; przed realnością zepsucia, którą nas zewsząd kuszą, jedyna tylko w tej idealności ucieczka; i przed tym tylko żarnym ogniem mogły prysnąć lody Sybiru i pękać więzy Munkaczu! I cóż, że poezya nasza z naszych wnętrzości żyje i nasze serca gryzie? Póki ona żyje, nie zginiem; póki ona gryść będzie, czuć będziemy...

Wielką już i świetną odbyła ona drogę, większą jeszcze i świetniejszą ma przed sobą. Dziwna, iż w swym rozwoju na tym samym stanęła punkcie, na jakim i myśmy stanęli w naszym życiu narodowym. Jak my, tak i poezya nasza nie wyszła jeszcze z poza sfery eposu i liryki, jak my, tak i ona jeszcze nie stworzyła dramatu, i jak w naszym politycznym działaniu więcej widać indywidualnych czynów, niż dzieł zbiorowych, tak i w naszych próbach scenicznych więcej lirycznych napotkasz ustępów, niż dramatycznej całości. Dziwniejsza jeszcze, że jak my przed bezpośrednią akcją życia uciekamy się w dal przyszłości, tak i poezya nasza wolała realny dramat przeskoczyć i sięgać w fantastyczny, a scenę z ziemi odrazu przenieść do nieba. Dziwna,

że pierwszy z naszych wieszczów, który wszystkie uderzył struny po kolei, jednej tylko dramatycznej nie naruszył i zaraz w przedmowie do swych poezyi wprost wypowiedział, że jeszcze nie przyszedł czas na historyczny dramat! Dziwniejsza jeszcze, że wieszcz ten, właśnie gdy dramat historyczny niewczesnym ogłosił, już był napisał fantastyczne sceny *Dziadów!* Słaba to strona naszej poezyi, jak i słabą stroną naszego życia... ale o jednej jak o drugiej nam rozpaczać nie wolno; bo jak życiu naszemu, tak i poezyi naszej jeszcze tak daleko do kresu! Za dramatycznym postępem naszego życia przyjdzie dramatyczny postęp naszej poezyi, i jak z pasyi Chrystusa powstał dramat chrześcijański, tak i z pasyi Polski powstanie dramat polski...

Świętej tej pasyi bądźmy tylko godnymi świadkami. U stóp naszej Golgoty czekajmy w cierpieniach i cierpliwie dnia trzeciego. Módlmy się słowem i czynem, módlmy się i tem westchnieniem, »o którym Bóg wie dobrze, że dziś naszej Ojczyzny imieniem«. Szyderstwa siepaczy niechaj nas nie straszą, drżenia ziemi niechaj naszej wiary nie wzruszą. Bo i cóż, że się dzielą szatą Ukrzyżowanego?... Patrzcie! Jego nad ich głową przecież już widne *przemienienie!*

Artykuł ten o *Wieszczach i wieszczbach*, tak niepospolity pod każdym względem, bardzo się podobał Zygmuntowi Krasieńskiemu. Oto, co w tej kwestyi pisał do Augusta Cieszkowskiego, w liście z Heidelbergu, d. 2 grudnia 1850 roku, Konstanty Gaszyński (w zastępstwie chorego autora *Iridiona*): »Zygmuntowi bardzo podobały się feuilletony z *Gońca* cztery, zawierające wstęp czy ustęp z wstępu dzieła Kłaczki. Istotnie, że to znakomicie pisane. Styl żyjący i ruchawy, i znać pod kwiatami naukę, która nie pokazuje pedanckiego ucha. Istotnie nie spodziewałem się, aby taki młody człowiek tak wytrawnie i takim wyrobionym stylem pisał«.

---

III.

# AUTOBIOGRAFIA STASZICA

(1850)

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować historię polską, która do czasu powstania 1831 roku była przedstawiana jako historia narodu niegodnego, który nie potrafił się bronić przed wrogami. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować historię polską, która do czasu powstania 1831 roku była przedstawiana jako historia narodu niegodnego, który nie potrafił się bronić przed wrogami.

III

# AUTOBIOGRAFIA STASZICA

Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione. (1881)

Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione. W tym wydaniu wprowadzono zmiany, które miały na celu bardziej precyzyjne przedstawienie faktów historycznych. W tym wydaniu wprowadzono zmiany, które miały na celu bardziej precyzyjne przedstawienie faktów historycznych.

### Autobiografia Staszica <sup>1)</sup>.

*Staszic!*... jedno z wielkich, nieśmiertelnych imion, które świecą na tej niewidzialnej bramie zwycięskiej odradzającego się narodu! jedno z tych imion, które są wieczną głośną chwałą, ale i wiecznym milczącym zarzutem dla potomności, która ich godnie nie uczciła! Któż u nas pomyślał o napisaniu życia tego wielkiego męża? Któż uznał potrzebę wzniesienia mogiły świętej pamięci ojcu Hrubieszowa? Doświadczynski dziwił się, że w Wiedniu nie widział pomnika Sobieskiego... jakżeby się dziwił dopiero, gdyby przejeżdżając teraz swoją starszylachecką bryczką wzdłuż ulic wielkopolskiej Piły, nie znalazł tam ani jednego prostego napisu, któryby przypomniiał, że w tem miejscu urodził się Staszic! Wieluż zresztą Wielkopolan to wie, że się mogą szczyścić spółziemstwem tego męża?...

Przeczul może Staszic to niewdzięczne zapomnienie i może w tej myśli zostawił małą ćwiartkę, na której główne wypadki swego życia spisał?... Nie wiem, ale czytając te drogie wiersze, ręką niegdyś pełną darów dla narodu i ludzkości kreślone, podziwiając tę biblijną, że tak powiem prostotę, z jaką wielki patriota *pobudki* tylko swego działania nam opisuje, tak dziwnie różną od tej wzdętej pychy, z jaką się nam przez cały ciąg XVIII. i XIX. wieku, od Roussa aż do Lamartina, niezmierne w tomach *Wyznania* miernego w treści życia naprzykrzają, mimowoli w tym właśnie braku wszelkiej pretensyi widziałem wiel-

---

<sup>1)</sup> *Goniec polski* Nr. 130 i 131, z d. 3 i 4 grudnia, 1850 r.

kie i słuszne wyrzuty dla nas... Właśnie ta *lapidarność* stylu ciężła mi kamieniem na polskim sumieniu; ta krótkość notatki zdawała się mówić: »i to już dla was niewdzięcznych za wiele!...«

Staszic należy do tej nowej generacji naszego narodu, która w epoce Kościuszki bierze swój początek, która następuje po *czysto szlacheckiej i rycerskiej* generacji, chlubnie zakończonej rycerską konfederacją Baru, która jest *obywatelską i ludową*, z miłością wprowadzie, z szacunkiem dla swojej świetnej poprzedniczki, ale i z tem przeświadczeniem, że świat w nowe teraz pchnięty tory, że w miejscu rycerstwa i ludu są lub być powinni tylko Polacy, obywatele, i że patriotyzm i poświęcenie nie są już przywilejem, ale powszechnem prawem.

Ta myśl była przedsterną gwiazdą Staszycy. Z pochodzenia mieszczańskiego, spotkawszy na wstępie swego życia »nieprze-  
stępne, jak sam mówi, zapory« w ówczesnym składzie polskiego społeczeństwa, uczuł to boleśnie, ale bez gniewu, bez żądy zemsty; nad tą »niesprawiedliwością« tylko »myślał«, ale na nią nie wyrzekał; »dziwiła« go tylko, ale nie burzyła. Zamiast się mścić, poświęcał się, i tem poświęceniem doszedł najwyższych w kraju dostojeństw, najwyższej w narodzie chwały, i mógł przy schyłku swego życia te słowa napisać: »Jakżeż to wielki krok zrobiło społeczeństwo ludzkie od tego czasu, jak myśli moje rozpocząłem, do momentu, w którym je w skutku dopełniam!«  
Od tego roku 1785, w którym wydał bezimiennie *Życie Jana Zamoyckiego* i zwrócił na siebie uwagę rodaków, szukających właśnie wówczas siły i ducha w pamięci swych wielkich przodków, aby się ich godnymi okazać potomkami, aż do swojej śmierci, Staszic tylko dobro narodu, tylko chwałę jego miał na celu, i jeden tylko znał sposób odwetowania złego, wyrządzonego sobie za młodu przez społeczeństwo: sposób kształcenia *lepszego* społeczeństwa i ciągłego się dlań poświęcania. W drugim swoim dziele, cztery lata później pisanem (*Przestrogi dla Polski*), które większe jeszcze od pierwszego zrobiło wrażenie, Staszic już objawia dwie główne potrzeby narodu, potrzeby reformy politycznej i naukowej, których zaspokojeniu odtąd po-

święcił całą pracę swoją i cały swój zapracowany majątek. Zasługi jego pod względem wychowania, rozszerzenia nauk i podniesienia przemysłu i handlu, są znane. Jego kosztem wystawiony jest pałac Towarzystwa przyjaciół nauk, którego był założycielem i prezesem; jemu Warszawa zawdzięcza pomnik Kopernika i on to Lublinowi przeznaczył kolumnę, świadczącą o najpiękniejszym i najświetniejszym czynie Polski: Unii litewskiej. Jest to zawsze dziwnym darem wielkich mężów, że stawiając pomniki przeszłości, stawiają je razem i sobie.

W literaturze niemniej Staszic jest synem nowej generacji, przedstawicielem nowego naszego piśmiennictwa. To zdanie, niezwykłe, przyznać muszę, może mi się da w innym miejscu obszerniej wyłożyć i udowodnić<sup>1)</sup>. Tutaj niech mi wolno będzie tyle tylko powiedzieć, że w głównych pracach Staszica, spostrzegamy dwa główne, polarne kierunki, na których zjednoczeniu oparta jest cała nasza nowsza literatura i sztuka Europy. Wszelka epoka, w której się sztuka odrodziła i na nowo zakwitła, zawsze z dwóch zarazem źródeł czerpała: z natury, z rodzimości swojej, i z ideału klasycznego. W tem połączeniu natury, rodzimości i formy antyki leży wielkość wszystkiego, co prawdziwie odżyło. To cechuje epokę Dantego i Rafaela, Goethego i Schillera, to także cechuje epokę odrodzonej naszej literatury. Znamionuje się z jednej strony zwrot do natury, do rodzimości ludowej, do podań gminnych, co się w pracach naszych historycznych, w pierwszych twórcach romantyków dobitnie wyraża; a z drugiej strony przejście się czystsze, serdeczniejsze i głębsze prawdziwemi arcydziełami klasycznej starożytności, co się znowu w usiłowaniach Dmochowskich, Przybylskich, Grodków, Jeżowskich i t. p. wyraźnie i niewyraźnie, z wiedzą i bezwiednie poznać daje. Staszic, tłumaczeniem swem *Iliady* i dziełem swem o ziemiordztwie Karpatów, staje właśnie jako instynktowy przedstawiciel nowej *rodzimej i klasycznej* odradzającej się epoki. Homer, od tak da-

---

<sup>1)</sup> Ma tu Klaczko na myśli niewątpliwie swoje *Dzieje piśmiennictwa polskiego*, nad którymi właśnie w tych czasach pracował.

wna u nas zaniedbany, czyli raczej zupełnie u nas nieznan, bo oprócz jednego ustępu z *Iliady*, przez Jana Kochanowskiego tłumaczonego, nie mamy żadnego tłumaczenia, co więcej żadnego nawet wydania tego ojca poezji, aż pod koniec XVIII. wieku; Homer właśnie pod koniec owego wieku znajduje trzech tłumaczy, a jednym z tych trzech, jednym z tych, co pośredniczą między nami a prawdziwą klasycznością, którąśmy dotychczas w błądych tylko Delillowych i Laharpowych znali odbłaskach, jest Staszic! Również z drugiej strony i ziemia nasza polska, dotąd tak zaniedbana i zapomniana, jak natura, tradycja i rodzimność naszego ludu przed romantykami, znajduje pierwszy raz w Staszicu swego badacza i obudza u nas to zamiłowanie do natury, które jest cechą główną nowszej europejskiej i naszej literatury, od Roussa i Bernardina de St. Pierre, aż do Goethego i Byrona, aż do *Wiesława*, *Pana Tadeusza* i *Pieśni o ziemi naszej*. Ziemorodztwo Staszica jest tem w dziedzinie nauki u nas, czem w dziedzinie sztuki są przytoczone dopiero narodowe poematy. Już w r. 1807 (*Gazeta Warszawska* 28 kwietnia), następne Szaniawski wydał zdanie o *Ziemorodztwie*: »Od tylu wieków stały na siedzibie naszej rozległe i najeżone Karpatów pasma bez żadnego dla myśli znaczenia. Za naszych dopiero czasów zwiędził one Staszic z genialnym zmysłem, zrozumiał nieme dla innych świadectwo; i odtąd mogą już Polacy śledzić łatwiej naukodajnego ducha w tych martwych opokach, zgadywać niektóre skazówki przedhistorycznego czasu«. Słowa te, jeśli tylko na miejscu Karpatów położym podania ludowe, a na miejscu Staszica romantyków naszych, czyż wówczas te słowa nie dadzą się zupełnie zastosować do nowszej literatury naszej?

Ale największem dziełem Staszica był *Hrubieszów*. Czy w tem dziele Staszic okazał się synem nowej generacji i nowej epoki?... Niech na to pytanie każdy sobie sam odpowie! Któż wie nawet, czy pewni ograniczeni ludzie naszego czasu, czytając zdanie nieśmiertelnego męża, że cywilizacja powinna dojść do tego stopnia, aby każdy człowiek mógł być właścicielem... nie

upatrzą w tem okropnego socjalizmu i Staszica nie nazwą — Czerwonym?!

Tyle na teraz o politycznym, literackim i socyalnem znaczeniu Staszica. Ustępujemy mu głosu, silniejszego od naszego, chociaż już pogrobowy. Notatkę tę autobiograficzną zawdzięczam uprzejmości p. Leonarda Chodźki, który mi ją ze swego, tak bogatego i nieoszacowanego zbioru udzielić raczył. Towarzyszy jej druga p. t.: *Skąd powstał mój majątek*. Napisał ją Staszic z powodu gorszącego procesu, który mu ordynatowa Zamoyska wytoczyć chciała, a potem za naradą dobrze myślących cofnęła. Pierwszy to może rachunek pieniężny, w którym nic innego niema prócz moralności, i stanowiłby może nauczający dodatek do rozprawy, którą obecnie p. Montalivet o liście cywilnej Ludwika Filipa ogłasza. Notatka ta jest samą statystyką dobrych uczynków i wielkich cnót, której sumę stanowi to, co sumę całego życia stanowiło Staszica: poświęcenie bez granic.

Notatka autobiograficzna brzmi:

#### KRÓTKI RYS ŻYCIA MEGO.

W roku 1775, w miesiącu listopadzie, urodziłem się w mieście Piła, z rodziców powszechnie szacowanych. Dziad mój był przez lat 50, zgodnymi głosu gminy miasta tego, wybierany na burmistrza. Wycierpiał wiele prześladowań od starosty Cińskiego. Ten naruszył prawa miasta, odebrał mu własność propinacyi, wielką część miejskich gruntów, leżących obok jego; za to narzucił piaski i wydmy. 20 lat miasto wiodło z tym możnowładczą proces. Dziad mój, jako pierwszy zastępca miasta, był wystawiony na wszystkie groźby i złości przemożnego. Wytrwał przy swojego urzędu obowiązkach i przy bronieniu dobrej sprawy, doprowadził ją do szczęśliwego końca, i odzyskał dekretem wydartą miastu własność.

Ojciec mój był następnie wybierany na burmistrza tegoż miasta przez lat 10, aż do nieszczęśliwego upadku ojczyzny, w którym, przy pierwszym zaborze, miasto to wpadło pod rząd

pruski. *Item* przez czas urzędowania swego był ciągle wystawiany na prześladowania i srogości napadników naszego kraju, obsta-  
jąc przy ochronie miasta. Okrutny Drewicz uwięził go i męczył  
kilka miesięcy, aby przymusił miasto dla okupu jego do złożenia  
nadmierzającej kontrybucyi.

Ojciec mój był człowiek wiele posiadający nauki, osobli-  
wie w prawach rzymskich i biegły w klasycznych rzymskich  
autorach. Matka była pełna ludzkości, nadzwyczajnie do swoich  
dzieci przywiązana, mająca wiele religii, ale z nią i przesady.  
Tej miłości, jako najmłodszemu z dzieci, i tych religijnych uprze-  
dzeń stało się skutkiem, od dzieciństwa przeznaczenie mnie do  
stanu duchownego. W dzieciństwie zdrowie moje było słabe.  
Miłość ku mnie matki i przesąd, skłoniły ją, że uczyniła ślub  
Bogu, iż od dzieciństwa w poświęconej mu sukience księskiej  
wychowany będę.

Dopełniła swe śluby; w księskiej odzieży od dzieciństwa  
byłem wychowany, a przez wzajemną miłość ku tej najlepszej  
z matek, rosnąc, wchodziłem w jej czucia. Wszystkie nieustannie  
ukazywane mi życzenia były, bym zachował stan duchowny,  
w którym mię Bogu poświęciła. Dla jej się przypodobania,  
w 15 roku wytlómaczyłem o religii poema Racina. Ojciec mój,  
ulegając w tem słabości matki, nie zdradzał mię widocznie z za-  
mierzonego przezemnie stanu, ale kierował wychowaniem i za-  
chęcał do nauk. W tym celu radził mi, bym po skończonej kra-  
jowej edukacyi wyjechał za granicę, do uniwersytetów niemie-  
ckich, a bardziej jeszcze zachwalał akademie francuskie.

Jakoż tym końcem oddał mi wcześniej część majątku na  
mnie przypadającą, abym starał się kończyć nauki w zagrani-  
cznym uniwersytecie. Zwiedziwszy uniwersytety w Lipsku i Ge-  
tyndze, zatrzymałem się lat dwa w Paryżu, przy kolegium fran-  
cuskiem. Szczególnie oddałem się naukom fizyki i historii na-  
turalnej. Pierwszej służyłem pod Brittonem, drugiej pod sła-  
wnym d'Aubanten. Przez tegoż zabrałem znajomość z nieśmier-  
telnej pamięci Buffonem. Wydał on był wtenczas świeżo *Epoki*

*natury*. Przy częstej z nim o tem dziele rozmowie, powziąłem myśl wytlomaczenia *Epok natury* na język ojczysty.

Następnie zwiedzanie gór Alp i Apenin, gdym powracał do kraju, przekonywało mię, iż ta teoria epok jest dowcipna, ale z naturą niezgodna. To postrzeżenie zwracało coraz więcej uwagę moją na rozpoznanie ziemorodztwa Karpatów. Zacząłem w tym zamiarze zbierać wszystkie uwagi geologiczne, tak we własnym kraju, jakoteż przy powtórnem zwiedzaniu Włoch, Alp, Apenin, Wezuwiuszu i Etny. Nakoniec przez kilka lat zwiedzanie naszych ojczystych Karpatów, przyprowadziło mnie do wydania dzieła: *O Ziemorodztwie Karpatów i ziemi dawnej Sarmacyi*.

Przy wstępie moim na świat uderzyło mię to nadzwyczajnie, że znalazłem w owe czasy przed sobą zapory nieprzestępne w każdym stanie, w duchownym, wojskowym i cywilnym; że zrodzony z tak zacnych i tak cnotliwych rodziców, z ojca, tak się w ostatnich czasach poświęcającego za swoją ojczyznę, przecież wszędzie wstydzić się musiałem mego urodzenia, wszędzie je znalazłem okryte wzgardą, odrzucone od czci, od urzędów i od ziemi. niesprawiedliwość ta, im więcej myśleć zacząłem, tem więcej mnie dziwiła.

To stało się powodem, że zacząłem zastanawiać się i szukać przyczyny źródłowej tego pokrzywdzenia i zboczenia towarzysztw ludzkich z drogi ich ogólnego szczęścia. Przy tych uwagach, gdy trafiłem na czas nieszczęść, gwałtów, rozbioru ojczyzny mojej, dla której, chociaż dla ludzi mego urodzenia była niewdzięczną, przecież wysłałem z rodziców moich najżywszą miłość, a z tą równie mocne uczucie krzywdy i gwałtu wykonanych na Polsce; te dwie niesprawiedliwości uczyniły tak wielkie na mnie wrażenie, że przedsięwziąłem życie od ludzi odosobnione, unikając obcowania; a coraz bardziej zagłębiając się nad źródłem tych niesprawiedliwości, wypływających z tych zasad społeczeństw ludzkich, poświęciłem czas na rozpoznanie gruntowne tych wad szkodliwych ogólnej ludzkiej rodziny, zbierałem uwagi nad głównemi epokami zmiany, powstania i upadania cywilizacji narodów. Rezultatem tych prac moich ciągle przez

lat 40 jest napisane dzieło w sposobie poematu dydaktycznego: *Ród ludzki*.

W tych uwagach często trafiałem na pytanie: jaki zamiar Stwórcy w człowieku na tym świecie? co najpewniej gruntuje szczęście stałe człowieka? Przekonałem się, że tylko miłość bliźnich ziszczana przez dobre czyny jest szczęściem dla ludzi. Z nimi bowiem ma człowiek najmilsze związki przez wrodzoną mu ludzkość. Najprzyjemniejsze uczucia znajdują się w dobroczynności dla ludzi. Przeto tylko postępuje najlepiej do celu swojego Stwórcy, kto przez ciąg swojego życia poprawi los, powiększy szczęśliwość drugich ludzi. Ten zaś, kto przez swoje życie poprawi i udoskonali los współczesnych lub całych plemion następnych, ten dopełnia całkowicie swojego tu istnienia przeznaczenie, czyli te zamiary, jakie najwyższe jestestwo w jego stworzeniu złożyło.

W takim przekonaniu przedsięwziąłem całe moje życie na to poświęcić, abym mógł kilku lub kilkudziesiąt familii los polepszyć i swobodniejszym uczynić ich życie. W tej chęci wczesnie i stale, na całe życie ograniczyłem wszystkie moje potrzeby, abym z ich oszczędności mógł dla drugich, odemnie potrzebniejszych, zrobić ofiarę. Szczupły majątek, jaki wziętem, i to, co przez całe życie zebrać mogłem, z największą starannością ku temu, raz powziętemu celowi obracałem nieprzerwanie. Byłem stały w przedsięwzięciu, raz obranego sposobu życia nie zmieniłem nigdy aż do śmierci.

Z takich przez 50 lat z oszczędności zbieranych funduszków kupiłem włość Hrubieszowską i urządziłem ją dla pięciu kilkuset familii, nadawszy im grunta z prawem dziedzictwa. Dziękuję Opatrzności, że już za życia mojego towarzystwo ludzkie doprowadziło do tego postępu i cywilizacji stopnia, iż każdy człowiek już może zostać właścicielem ziemi. Jakiż to wielki krok zrobiło społeczeństwo ludzkie od tego czasu, jak myśli moje rozpocząłem, do momentu, w którym je w skutku dopełniam!

Powróciwszy z uniwersytetów niemieckich i z Francji do kraju, byłem wezwany przez szanownej pamięci Andrzeja Za-

moyskiego do zarządzenia edukacją synów jego. W częstych rozmowach z tym najcnotliwszym obywatelem, nieskończenie do swej ojczyzny przywiązany, a przez długie doświadczenie i przez wielką biegłość w prawach, znającym wszystkie wady towarzyskiej zasady kraju naszego, częstemi z nim rozmowami skłoniony zostałem, aby je wystawić narodowi, stojącemu nad przepaścią, i wskazać ostatni moment do ratunku i pomocy.

W takim zamiarze wydanem przezemnie zostało w roku przed walnym sejmem konstytucyjnym dzieło: *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*; a podczas sejmiku napisałem: *Przestrogi dla Polski*.

Taki jest rzetelny rys mojego życia i pobudki moich główniejszych pism i czynów.

*Stanisław Staszic.*

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w przeszłości byli przedstawiani jako niezdolni do samostanowienia i potrzebujący pomocy z zewnątrz. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w przeszłości byli przedstawiani jako niezdolni do samostanowienia i potrzebujący pomocy z zewnątrz.

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w przeszłości byli przedstawiani jako niezdolni do samostanowienia i potrzebujący pomocy z zewnątrz. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w przeszłości byli przedstawiani jako niezdolni do samostanowienia i potrzebujący pomocy z zewnątrz.

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w przeszłości byli przedstawiani jako niezdolni do samostanowienia i potrzebujący pomocy z zewnątrz. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w przeszłości byli przedstawiani jako niezdolni do samostanowienia i potrzebujący pomocy z zewnątrz.

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w przeszłości byli przedstawiani jako niezdolni do samostanowienia i potrzebujący pomocy z zewnątrz. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w przeszłości byli przedstawiani jako niezdolni do samostanowienia i potrzebujący pomocy z zewnątrz.

IV.

KONTUSZOWE POGADANKI  
I OBRAZKI Z SZLACHECKIEGO ŻYCIA  
K. GASZYŃSKIEGO

(1851)

IV.

KONTUZOWE POGADANKI  
I OBRAZKI Z SZLACHECKIEGO ŻYCIA  
K. GĄSZYŃSKIEGO

(1851)

W r. 1851 wyszły w Paryżu *Kontuszowe pogadanki i obrazki z szlacheckiego życia* Konstantego Gaszyńskiego. W *Czasie* napisał o nich dwa feljetony Lucyan Siemieński, w *Gońcu polskim* poświęcił im obszerny artykuł na dwa odcinki Julian Klaczko. Artykuł ten bardzo się podobał przede wszystkim samemu Konstantemu Gaszyńskiemu, na co wymowny dowód znajduje się w liście tegoż, pisanym z Heidelberga dnia 24 marca 1851 r., do Lucyana Siemieńskiego. Oto odnośny ustęp z tego listu: »Bardzo wdzięczny Ci jestem i pospieszam z podziękowaniem za artykuł twój o *Pogadankach*. Jest tu, w Heidelbergu, Zygmunt Krasiński, abonowany na *Czas* i na *Gońca*, mam więc sposobność czytywać twój dziennik i parę dni temu znalazłem tam z radością dowód twojej dobrej pamięci i życzliwości dla mnie. Bardzom rad z Twoego artykułu, gdyż jest prawdziwym *compte rendu* i doskonale streszcza treść dzieła; ja tak właśnie pojmuję tego rodzaju artykuły... Twoje sprawozdanie odczytawszy, czytelnik będzie miał kompletne wyobrażenie o tej książce, do której ja *au bout du compte* nie przywiązuję wielkiej wartości artystycznej. *Goniec* umieścił także w dwóch numerach sprawozdanie z *Pogadank* bardzo pochlebne, z talentem napisane przez Juliana Klaczko, młodego literata wielkiej nadziei. Jest to 20-letni człowiek, ale ma przed sobą piękną przyszłość i niezawodnie wyjdzie na znakomitego autora«<sup>1)</sup>.

Sprawozdanie to brzmiało, jak następuje:

### **Kontuszowe pogadanki i obrazki z szlacheckiego życia**

przez Konstantego Gaszyńskiego. (Paryż, 1851).

W czasach obecnych, gdy literatura nasza, a szczególnie emigracyjna, same tylko potworne wydaje dzieła, gdy młodzi

---

<sup>1)</sup> Dr. Stanisław Kossowski, *Przyczynki i materiały do dziejów literatury polskiej*, str. 17—18. Lwów, 1911.

nasi pisarze dźwigają Ossę na Pelion, by dostąpić nieba, a o ziemi, o biednej naszej polskiej ziemi zupełnie zapominają, gdy muza nasza gardzi plastycznymi kształtami, które tak misternie wyrobiła wielka nasza przeszłość, i woli się uganiać za cieniami światów niestworzonych i nie do stworzenia, gdy »rymarze« nasi, jak ich już nazwał Wit Korczewski, na paluszkach niedołęstwa wspinają się bogami, Bogu nie na chwałę, a ludziom nie na pożytek, gdy jednym słowem zamiast rytmicznych ruchów Gracyi, widzimy tylko łamane sztuki słowa i serca i w rozległym kościele piękna tylko *sursum capita!* zamiast *sursum corda!* słyszemy, prawdziwie pocieszającym jest uczuciem, znaleźć dziełko bez pretensyi i mesyanizmu, bez niebotycznych zachciewań i suchotnicznych aspiracyi, napotkać pisarza, który bez niechęci dla przyszłości miłuje drogą przeszłość, nieprzesądając o niczem, nieodsądza wszystkiego, który nie wierzy w »ducha, wiecznego rewolucyonistę«, ani też myśli, że tylko »z krwi i z błota stary świat«, który zamiast chmurnych prorocत्व, daje *Kontuszowe pogadanki*, i zamiast szalonych apokaliptycznych szkiców przyszłego bożestanu, wystawia skończone obrazki z dawnego szlacheckiego życia.

Konstanty Gaszyński należy do tych naszych skromnych poetów, którzy jak ci skromni przyjaciele, często napotykanii w życiu społecznym, nie robią przedwstępnych obietnic, nie szczycą się z poświęcenia, które kiedyś okażą, nie żądają z góry procentów za kapitał, który jeszcze kiedyś w nich świat odkryje, ale którzy za to w danym razie, gdy się tego okaże potrzeba, spieszą w pomoc nieszczędząc siebie, i tem większe oddają posługi, im skromniejszy sposób, w jaki je oddają. W roku 1831, gdy przed potężnym hukiem dział Woli, Grochowa i Ostrołęki umilkli byli prawie wszyscy nasi wielcy mistrze słowa, pieśni Gaszyńskiego rozlegały się po obozach i domkach szlacheckich, zagrzewały ducha wojowników, poruszały serca naszych niewiast. *Czarna sukienka* Gaszyńskiego jest do dziś dnia jeszcze, na Litwie przynajmniej, jedną z najulubieńszych piosenek, które śpiewa w szarych godzinach jesiennego wieczoru, ta skromna nasza

dziewica z nad brzegów Wili i Wilejki, której serce nie zakłócone jeszcze kwestyami socjalizmu i emancypacji kobiet, dwa tylko zna czyste uczucia: uczucie Boga i Polski. I teraz, jak w r. 1831, głucho milczenie panuje u nas w krainie ducha; wielcy nasi wieszcz, tak Mickiewicz, jak Zaleski, tak Goszczyński, jak autor *Przedświtu*, zawiesili swe złotostrunne lutnie, a chrypliwie (niby to melodyjne) tony, które przerywają tę ciężką ciszę, ledwie, że nie przypominają owego »Brekekekeks koaks koaks« żabiego chóru Aristofanesa... I teraz też występuje nasz Gaszyński znowu ze swoim cichym, skromnym darem i oddaje swe pogadanki tej publiczności, która jeszcze umie czytać bez pretensyi to, co bez pretensyi było pisanem, i nie uzbraja się w teleskop, gdy jej korną ofiarują niezabudkę. Gaszyński ani myśli stworzyć nowej epoki, ani marzy o tem, by miał dać nowe jakieś objawienie; jestem jednak przekonany, że gdyby przykład jego zachęcił kilku jeszcze równych mu, lub wyższych talentem, powstałby u nas rodzaj literatury tak piękny, jak użyteczny, który, wydobywając z naszej tak świetnej i zapyłonej tylko przeszłości zapomniane wielkie i drobne czyny i sceny, obrazy i obrazki, obudziłby dla nich i dla przeszłości naszej pamięć i to, co z pamięcią w każdym dobrem, a więc przedewszystkiem polskiem sercu idzie w parze, miłość, i większyby szkole i domowi, uczącej się młodzieży i marzącej niewieście przyniósł pożytek, niż wszystkie nasze obecne Jordany, tytaniczne szkice, społeczne poemata, jawy, pisane nie na jawie, i objawienia, zaciemniające tylko dawne, stare prawdy. Bo charakterystyczną cechą tych pogadanek Gaszyńskiego, jak i wszystkich jego utworów, jest przedewszystkiem serdeczność, szczerą polskość, uczciwa pogodność i prawdziwie miłe przywiązanie do przeszłości, do jej wielkich czynów i małych drobnostek. Tylko głowa, tylko rozum może zerwać z tem, co było, zapomnieć o tem, co istniało, wzgardzić tem, co poprzedziło; serce chce pamiętać i kochać, potrzebuje wspomnień i tradycyi. W tym pięknym organizmie człowieka, serce jest materyalnie i moralnie tem pośredniem naczyniem, które obejmuje przeszłość i przyszłość, krew zbiegłą i nabiegającą.

»Jestże dziś, pyta się nasz autor w przedmowie, na całej szerokiej ziemi cy naszej, choć aby jeden z konfederatów barskich? A starcy, którzy zasiadali na ławach czteroletniego sejmu, lub walczyli pod Kościuszką, jakże zaczynają być rzadcy! Lat jeszcze kilkanaście, a już żadnego żyjącego pomnika tej epoki nie będzie! Polska kontuszowa zasuwa się w przeszłość; owa serdeczna fantazyja szlachecka, o której Pasek tak często wspomina, zmienia się na jakąś etykietalną grzeczność salonową; wiadomości czerpane z gazet zastępują wśród przyjacielskich pohulanek dawne dykteryjki wojenne, sejmikowe i trybunalskie; a czytanie romansów zabiło owe niewyczerpane, a wesołe gawędy, skracające długie wieczory zimowe pośród rodzinnego koła. Póki więc czas jeszcze, obowiązkiem jest naszym, jak kto może, ocalać od zapomnienia to wszystko, co stanowiło typ pokolenia, którego jeszcze ostatnie szczątki przesunęły się nam przed okiem«.

Tak więc jak mógł, (a Gaszyński może opowiadać anegdoty życia w tym łatwym i przeźroczystym stylu, z tem niewymuszeniem i humorystyczną dobroduszością, które są niezbędnymi atrybucjami tego rodzaju utworów), odrysował kilka znanych mu niegdyś postaci z epoki Stanisławowskiej i spisał tułające się po pamięci opowiadania, słyszane w młodości od tych, którzy już wówczas nazywali sami siebie ludźmi dawnej daty. Nie wzgardził nawet zdarzeniami, słyszanymi już i známymi; i tak np. zabawna anegdota o kalendarzu pijarskim (str. 19—20) znajduje się już, jeśli się nie mylę, w pamiętnikach Kitowicza; ale wszystkie te znane i nieznanne rysy zebrał w pewną całość Teniersowego obrazku, pociesznej miniaturki, która ci się uśmiecha i której się uśmiechem odpłacasz. Co w moich oczach podwyższa wartość tych obrazków, i na cobym chciał zwrócić uwagę czytelników, to, że mimo widocznego zamiłowania do przeszłości, które nam autor objawia, nigdzie jednak nie znajduję niechęci dla naszej terażniejszości. Jasne, niezamglone oko zatopione w dawne czasy, nie patrzy zyzem na obecność; jest równa wyrozumiałość dla tych równych połowic naszego bytu.

Zasługa tem większa, że przywiązanie do przeszłości wyradza nieraz pewną niechęć dla następnych pokoleń, jak i przeciwnie, i że łatwo jest na czele pamiętników przeszłości kłaść fałszywe i grzeszne nawet godło: *Et dulce moriens meminiscitur Argos*, jak to uczynił inny genialny, ale niesumienny pisarz, który z taką wielką, lecz fatalną sztuką umie wywołać dawne postacie. Gąszyński nie wie, czy terazniejszą dążność zespolenia i starcia wszystkich narodów w jedną bratnią społeczność europejską ma nazwać »zgubną lub providencyonalną?« czyli raczej wie, że ona w pewnej mierze może być tak opatrzna jak i zgubna, i że obowiązkiem naszym jest, nieopierając się koniecznemu w duchu czasu otarciui ostrych kątów narodowych indywidualności, starać się zarazem i tem usilniej o zachowanie ich istotnego bytu i jestestwa. Im rozleglejszem się staje nieskończone tło uniwersalnego ducha ludzkiego, tem troskliwiej przestrzegać musimy plastycznego rysunku narodowych kształtów. To połączenie i zachowanie tła i kształtów zarazem, jest wielkiem i nieodzownem zadaniem tak sztuki jak i życia.

Ta bezstronność w osądzeniu dawnych i dzisiejszych czasów, już da się poznać, gdy porównamy pierwszą pogadankę p. t.: *Memorabilia szkolne* z powiastką, która się znajduje na końcu tego małego zbioru (Dezydery Boczek), a którą, chociaż ogłoszoną już w r. 1846, autor nie bez myśli, i może nawet w tej właśnie myśli zestawienia kontuszowego i frakowego, szlachecko-republikańskiego i emigracyjno-kosmopolitycznego życia, dołączył do *Pogadanek*. Pierwsza daje nam poznać embrio, że tak rzekę, dawnego szlachcica, pokazuje nam go *ab ovo*, od początków prywatnego wychowania w szkole u OO. Jezuitów. Wszystkie zabawne i śmieszne strony tego wychowania są tu ostro wyjaśnione. Równość szlachecka, która w szkołach OO. Jezuitów »egzystowała... przed batogiem«, wszystkie dziwne formy kary, poczynwszy od *scamnum asinorum*, aż do kary raczka, przechodząc przez placentę, którą się dostawało po palcach (a czasami i gdzieindziej różgą) i wskutek których nasz poczciwy memorabilista raz »przez tydzień cały nie mógł usiąść na prost,

jeno bokiem;« niezbyt moralna instytucja *Censoris secreti*, nie bardzo Basedowska *nota linque* i dobre ćwiczenia w palcatach, nie tak szczęśliwe w *Gradus ad Parnassum*, skutkiem czego »*felicissime inspiratus comparavi* dom nasz do Olimpu, pana ojca do Jowisza, a panią matkę do Junony;« zagwoźdżający Alvar i usypiająca Rhetorica i t. d., i t. d.: wszystkie te rysy jezuickiego wychowania są tu starannie zebrane, dobitnie nakreślone i tworzą zabawną, i że tak powiem diafragmiczną harmonię. Ale niemniej wydatne są i odwrotne strony tej monety, i patrząc na to zdrowe i czerstwe uczucie naszego memorabilisty, na jego uszanowanie przed rodzicami i pokornością dla Boga, na tę chociaż ograniczoną kompletność jego ducha i tak różną »szlachecką fantazyę«, o której wspomniał Pasek, a nie przepomniał Gaszyński w kreśleniu tego charakteru, prawie mielibyśmy ochotę dziękować, albo przynajmniej pobłażać OO. Jezuitom i za Alvara jak i za Rhetorykę, za karę Raczka jak i za *Gradus ad Parnassum*. Muszę tu jeszcze dodać, że wśród tych humorystycznych, grubych, i że tak powiem, drzeworytowych rysów, znajdzie czytelnik tu i ówdzie bardzo piękne i delikatne; do tych policzę np. że kiedy memorabilista miał pierwszy raz wystąpić na scenę szkoły jezuickiej »posłano po krawca żyda do miasteczka, który mi *citissime* ze starego ojcowskiego kontusza zrobił nowy«, gdy się zaś później był dostał do Rhetoryki i zaczął *cognoscere quae bona et utilia*, ojciec mu podczas wakacyów kazał zrobić kontusz z nowego sukna i żupan z pięknego paliowego atłasu; przedewszystkiem zaś policzę ten ustęp, w którym opowiada p. Antoni, jak jego małego i krępego »stawiał ojciec na stołku przed sobą i po godzinie, albo więcej, musiałem się składać na prawo i na lewo palcatem. Jednak bojąc się uderzyć p. ojca, zasłaniałem się jeno od razów; co on zmiarkowawszy wołał: »Nie folguj Antosiu! bo na tem fundament, żeby bić adversarza«. Przecież mimo consilium nie odważyłem się na podobną *licentiam*, i nigdy ręka moja nie popełniła grzechu dotknięcia się rodzicielskiego ciała«. Jakżeż tu ładnie i zręcznie w kilku słowach oddana ta wielka cnota starszlachecka szanowania pana

ojca! Bardzo trafnie też autor uczuł potrzebę nadania temu szkicowi bardziej znaczącego i głębszego tła, które szczęśliwie uchwycił w ważnym i jeszcze nie zupełnie ocenionym u nas sporze Pijarów z Jezuitami. Muszę jednak powiedzieć, że tego tła autor wcale nie wykończył, chociaż to mógł zrobić, nie wychodząc w niczem z ramek obrazu; trzeba tylko było do tego użyć trochę szerszego pędzla i głębszych w pewnych miejscach tonów. Jestto nawet ogólną wadą tych szkiców Gaszyńskiego, że takich głębszych tonów nie mają, że się, że tak powiem, siluetowo trzymają na powierzchni. I tak kreśląc ten obraz jezuickiego wychowania, zebrał wprawdzie autor starannie wszystkie celujące by i najdrobniejsze rysy, ale zarazem i zapomniał o najgłębszym i najważniejszym, zapomniał o kosmopolityzmie Jezuitów.

Ze wszystkich zarzutów, które nienawiść i słuszny żal robiły temu zakonowi, które się stały przysłownymi i które eksploatowała w ostatnich czasach niezbyt sumienna literatura romansowa, ze wszystkich tych, mówię zarzutów, które sumienna historia oczyszcza, rozbiera, w wielkiej części odrzuca, w wielkiej części przynajmniej w wątpliwość podaje, jeden pozostanie niewzruszonym: zarzut kosmopolityzmu. Kosmopolityzm ten leżał wprawdzie w myśli wiary, której zakon bronił, w samych też jego zasadach, w poświęceniu, którego szczególnie rzadkie i szczerne dał dowody w Ameryce, w Afryce i Azyi, a o których lekkoomyślnie zapomnieć się nie godzi. Gdyby też ten kosmopolityzm u Jezuitów, był tylko pozostał idealną nauką, bodźcem do poświęceń, wyższem napomnieniem, i oni i świat by się z tego tylko szczyć mogli. Ale na nieszczęście na tem się nie ograniczyli Jezuitci; weszli oni z temi zasadami i z całą ich nieubłaganą surowością w szranki praktycznego życia, mięszali się do polityki i przywłaszczyli sobie wychowanie narodowe: w polityce zaś i w wychowaniu kosmopolityzm jest niebezpiecznym nieraz i zgubnym, i to jest największą winą tego zakonu. Nie tak to pewna, żeby mu do dopięcia celu wszystkie środki były równe, ale to pewna, że mu do tego wszystkie były równe narodowości, i tem sobie i narodom nieskończenie wiele zaszkodziło.

dził. Tego właśnie najważniejszego rysu nie uchwycił Gaszyński; nawet w jednym miejscu przeciwko jego naturze zgrzeszył. Mam tu na myśli ów ustęp, w którym memorabilista opowiada, że w szkole jezuickiej nie tylko wertował *Gradus ad Parnasum*, ale i czytał Kochanowskiego, Grochowskiego, Twardowskiego. Jestto historyczny i estetyczny zarazem anachronizm. Kochanowski, właśnie dla swojej, tak ostro narysowanej narodowości, nie szczycił się sympatją pokoleń, wychowanych na Alvarze. Jest to tak prawdziwym, że przez cały ten wielki peryod, w którym Jezuici u nas dzierżyli w swoim ręku wychowanie narodowe, od r. 1639 do 1768, żadne się u nas nie pojawiło wydanie Kochanowskiego, i że ten, co go w ów rok po raz pierwszy wydał, był właśnie ów Bohomolec, który zrzuciwszy sukienkę jezuicką, oddał się wyłącznie narodowym pracom i w swoich Komedjach na theatrum j. k. mości widoczną stawiał opozycję scenicznym dyalogom Jezuitów. Prawdziwa zaś restauracja naszego wieszca z Czarnolesia, uczczenia też jego najważniejszej narodowej strony, nastąpiła daleko później jeszcze, i przez tego męża, który sam w naszej literaturze rozpoczyna wielką epokę narodowości, piśmiennictwa rodzimego, poezji ludowej, przez Kazimierza Brodzińskiego; on to pierwszy w przedmowie do swego tłumaczenia *Elegii* Kochanowskiego i w wielu innych miejscach ocenił godnie wysokie znaczenie tego poety, na którym się ani jezuickie ani pijarskie nawet pokolenia prawdziwie poznać nie mogły. To wszystko nie dowodzi wprawdzie, aby i w owych czasach nie mogli byli się znaleźć ludzie, którzy miłowali i pojmowali Kochanowskiego, ale to były w każdym razie tylko akcydensa, czyste przypadkowości, które nie powinny wchodzić w obraz, który zamierza przedstawić typ jezuickiego wychowania. Bo sztuka akcydensa i przypadkowości odrzuca; daje ona, i w tem właśnie jej zasługa, konieczność myśli i formy w jej niczem, żadną przypadkowością niezmięszanej czystości.

Pozwolę sobie przeskoczyć resztę pogadanek i obrazków tego zbioru, w którym czytelnik znajdzie, jak i w tym, dopiero co rozbieieranym, wiele trafnych przypowieści, anegdotek, spostrze-

żeń, natrąci na znane, i nieraz szczęśliwie naszkicowane figury z konfederacji barskiej, z czasów kościuszkowych itd., a przystępuję do obrazku emigracyjnego, kończącego ten zbiór i o którym już wspomniałem, że jest niejako przeciwstawieniem memorabiliów. W istocie każdy łatwo spostrzeżę kontrast mimowolny między tym panem Antonim, wychowawcą jezuickiego, a pp. Boczką i Pafnucym, wychowawcami emigracyjnego kosmopolityzmu. Każdy też spostrzeże i uzna bezstronność autora, którą już wyjaśniłem przy memorabiliach, a którą tutaj objawia nie tylko bezparcyalne i równe skreślenie dwóch różnych wyobrazicieli, dwóch różnych myśli (arystokracji i demokracji), ale nadto i sama forma obrona przez autora. Forma ta romansu tak zwanego *del gusto picaresco* z nadzwyczajnym szczęściem uchwyconą została przez Gaszyńskiego. Powstała ona w tym XVII w., w którym, jak mówi Szekspir »chłop następował na pięty szlachcica« i rozwinęła się przedewszystkiem w Hiszpanii, gdzie od dawien dawna, aż do dziś dnia, stosunek sługi do pana jest bardziej komitywny niż kontraktowy, bardziej poufały niż służbisty, a czego w potocznej pamięci są żywymi dowodami Sancha Pança i Leporello w stosunku do Don Quixota i Don Juana. Ten przykład zestawienia pana i sługi i zaintrygowania jednego przez drugiego dał już Szekspir w tych nieśmiertelnych figurach Henryka i Falstaffa, ale większego jeszcze rozmiaru nabrała ta forma w Hiszpanii w sławnych romansach *del gusto picaresco* Mendoza, Queveda i Alemana. Duszą i myślą tych romansów jest humorystyczne wywyższenie i poniżenie stanów: toczanna (pan) zostaje lazarellą (szubrawcem) i naprzemian; »próżność się święci, a świętość próżnuje, jak mówi Ojciec nasz: familiant zostaje włóczęgą, a włóczęga familiantem. Tę formę, która w Gil Blas'ie przeszła do Francuzów, a w Simplicissimus'ie do Niemców, uchwycił nader szczęśliwym instynktem Gaszyński dla przedstawienia walki dwóch głównych i sprzecznych opinii wychodźstwa naszego, arystokracji i demokracji, w komicznych figurach p. Dezyderyego Boczki i sługi jego Pafnuckiego.

Pan Dezydery Boczko nie wyszedł sroce z pod ogona, był

na Litwie posesyonatem i familiantem, nawet i sędzią powiatowym; o wielkich wypadkach naszej rewolucyi może śmiało powiedzieć: *quorum magna pars fui*, bo był naczelnikiem jednego z licznych powstań litewskich. Wyemigrował nie jako lichy pacholek, ale własną kałamaszką przyjechał do Paryża, z tłómkami, z pościelą, ze srebrną miednicą, kobiercem i ze służką Pafnucym. Jako familiant i posesyonat nie umie po francusku i klnie na Francuzów, że go nie rozumieją, gdy nawet w głupich Niemczech oberżysta odrazu go zrozumiał, gdy go nazwał szelmą; a w teatrze nie jest on bardzo miłym towarzyszem, gdyż się co chwila pyta: »a co on mówi? a z czego się to śmieją?« Jako naczelnik nie może naturalnie pozostać obcym polityce i uczęszcza na *rue Taranne, 12*, gdzie się na początku emigracyi schadzała honoratka nasza. Z początku podobało mu się niezmiernie towarzystwo za to, iż się wszyscy obywatelami zwali; ale gdy obywatel Krępowiecki zaczął deklamować cieniutkim głosem w imieniu dwudziestu milionów kmiotków, a jednooki Gurowski przed swoim wyjazdem do Petersburga, wystąpił z dowodami, iż, aby rewolucya nasza się udała, trzeba było wybrukować czaszkami szlachty polskiej ulice Warszawy, p. Boczek się przestraszył: wspomniawszy na swój klejnot szlachecki, porzucił zgromadzenie Taranne. Bo też p. Boczek był z natury swojej przeciwnikiem wszelkich takich zgubnych innowacyi, a gdy Pafnucy, korzystając z tych samych nauk ulicy Taranne, uważa, że ponieważ wszyscy ludzie są równi i obywatele, nie godzi mu się więcej być służką, naczelnik tylko przez wzgląd, że tego hultaja cała skóra na grzbiecie tyle nie warta, ile jego piękny bursztyn, który kupił w Rydze za dziesięć rubli, ten tylko wzgląd, mówię, czyli raczej mówi naczelnik, wstrzymuje go od sprawienia partaczowi suchej łaźni i wysmagania go porządnie cybuchem. P. Boczek tak mało się nawet przejął zasadami demokratycznymi, że gdy go wreszcie odbiega służący, on sobie po prostu myśli go reklamować u trybunału, boć to przecie jego poddańczyk! Przy tak konserwatywnych zasadach nie dziw, że p. Boczek wierzy, że tylko sejm może zbawić ojczyznę, zwłaszcza

cza, że sam w r. 1831 o włos co nie został deputatem: ażeby ją tymczasowo, nim się sejm zbierze, zbawić, zapisuje się do nowo założonego Towarzystwa Litewskiego i Ziem ruskich. Ale zwołanie sejmu nie przychodzi do skutku, a przez jakieś zajście i Towarzystwo Litewskie i Ziem ruskich traci swój urok. Naczelnik szuka nowego bożyszczka, użycza ucha zgubnym innowacyom, zaczyna nazywać arystokratami tych wszystkich, co mu się nie kłaniali, dowodzi, że szlachta zgubiła Polskę, że szlachta zepsuta i nic już z niej nie będzie, że teraz lud jest wszystkim i że każdego Polaka powinno być dewizą (już wtenczas p. Boczek umiał niezłe po francusku): *Tout pour le peuple et par le peuple!!!* Jednak pan naczelnik nie jednym skokiem dostąpił tej ostateczności: przechodzi on powoli całą gamę chrypliwych tonów emigracyi, przez konfederacyę do zjednoczenia, przez zjednoczenie do Towarzystwa demokratycznego; robi pewne stacye, dla którychby chciał pogodzić nawet okrzykanego w szopie króla *de facto* z demokracją *de jure*; przynajmniej co do siebie, godzi to w ten sposób, że nosi w kieszeni podwójne wizytowe bilety: na jednych poprostu Boczek, a na drugich de Boczek z herbem. Ale w końcu pchany wielkim prawem ciężkości ciała, a lekkości myśli, wpada w centralizacyę *à plat ventre*, i teraz pieni się z wściekłości na samo wspomnienie szlachcica, uczy się na pamięć *Prawd żywotnych* i *Katechizmu demokratycznego*, rozprawia o równości i wszechwładztwie ludu, a o gilotynie gada, jako niegdyś o sejmie, to jest, jako o jedynym środku zbawienia ojczyzny!

Przejdźmy teraz do Pafnucego, którego autor nie tak jak ja (zmuszony do tego formą rozbioru), odłączył od p. Boczki, ale którego fata jeszczeby mógł być ściślej spleść i związać z fatami naczelnika, aniżeli to uczynił, i co jest, (że nawiasem wspomnę), jednym z wielkich niedostatków tej pociesznej powieści. Pafnucy, poznawszy prawa człowieka i obywatela, porzucił, jak już wiemy, swego pana. Obywatele koledzy wyrobili mu pensyą u komitetu, jako cywilnemu Polakowi; z Pafnucego stał się Pafnuckim, przywdział frak czarny kosztem komitetu i nie opusz-

czał ani jednego posiedzenia przy ulicy Taranne, wotując gorliwie odezwy do Węgrów, Żydów, Włochów, Moskali i t. d., z głębokim przekonaniem, że tym sposobem zbawia ojczyznę! Gdy komitet wypróżnił swe fundusze, Pafnucki po chwilowej rozpaczycy zrzuciwszy pychę i obywatelstwo z serca, wszedł do fabryki zapalek chemicznych. Odtąd się zaczął szereg zmian z p. Pafnuckim, których tu wyliczyć nie mogę, i które zbyt też ryczałtowo wyliczył autor. Dość, że Pafnucki przeszedłszy koleje roznosiela aktów i listów (*saute ruisseau* jak to Paryżanie nazywają), komiwojażera czyli komika w emigracyjnym języku, handlarza win, zbieracza podpisów na Polskę malowniczą i t. d., zostaje w końcu panem de Pafnuckim, byłym oficerem, potomkiem wielkiej rodziny, któremu car skonfiskował milionowy majątek i który teraz dla zarobku zmuszony jest robić portrety daguerotypem. P. Pafnucki wreszcie w jednym z ostatnich numerów *Trzeciego Maja* donosi światu i emigracyi, wszem wobec i każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć należy, iż żałuje mocno tego, iż kiedyś podpisywał manifest przeciw księciu Czartoryskiemu; że wówczas był oszukany i wyciągnięty podstępem, a teraz, gdy mu się otworzyły oczy, poddaje się bezwarunkowo pod władzę księcia i przysięga mu wierność i posłuszeństwo!

Czytelnik pozna całą zdrową humorystkę i szczęśliwe uchwycenie typu w pięknej powiastce, już z tych kilku rysów, które dałem. Wiele innych, nie mniej trafnych, opuściłem, jak np. ten, że Towiańszczyzna nęciła pana Boczkę z początku, bo prorok, jak on niegdyś, przyjechał z Litwy kałamaszką, z tłómkami i pościelą, a na konferencji w Nanterre zapewniał go, że ma wielkiego ducha szarego w swoim małym ciele. Nie zahaczył się jednak p. Boczek o Towiańszczyznę, bo mu się nie podobał ceremoniał przyjęcia, gdy mu kazano, jemu, naczelnikowi i sędziemu, padać do nóg i całować buty rejenta. Musiałbym całą powieść wypisać, gdybym chciał wszystkie humorystyczne rysy, dowcipne spostrzeżenia i dobroduszne przycinki przytoczyć. Mimo to z żalem mi wyznac przychodzi, że Gaszyński nie dość starannie obrobił ten tak wdzięczny przedmiot, że nie starał się

skorzystać z nieprzebranych prawdziwie pomników humorystyki i charakterystyki, które z tego źródła tryskają, i że z niedbałością, prawdziwie nie do pobłażania (niech mi autor łaskawie ostrość słów, przez wzgląd na to, co i w nich pochlebnego, wybaczyć raczy), upuścił myśl, którą z takim szczęśliwym instynktem był uchwycił. Oprócz wytkniętych już w ciągu samego opowiadania niedostatków, szkic ten emigracyjny cierpi przede wszystkim na tem, że pozostał szkicem, że autor puścił w świat samym tylko węglem narysowane kontury, kiedy przedmiot najbardziej wykończonej roboty w nieskończonych modulacjach rysunku, tonów lokalnych i reflektowych i tęczyowych kolorów wymagał. Tonów tych i kolorytu zupełnie brak w tym, tak szczęśliwie narysowanym obrazie. Dziełko zdaje się być tylko szematem, peryody tylko napisami do rozdziałów, których nie ma, rozwój jest często faktyczny, nie psychologiczny. Jakieżby bogactwo charakterystyki był mógł bez pretensyi rozwinąć autor, gdyby chciał psychologiczne dać powody tych dziwnych *peripetii* Boczki i Pafnuckiego; jakież to pyszne były ramy dla obrazu, w którychby nietylko życie emigracyjne, ale nawet francuskie, w jego różnych warstwach mógł objąć. Jakżeż to łatwo było wyrobieniem komicznych typów życia obecnego wynagrodzić nam te komiczne maski Abbertusa, organisty, studenta i t. d., które nasza scena w XVI w. miała i tylko zaniedbała, jak to teraz zaniedbał Gaszyński. Przez tę niedbałość naszą w XVI w. straciliśmy komedię narodową, któraby się mogła była równać arlekinom, scapinom, kapitanom, spawentym sceny włoskiej; przez niedbałość Gaszyńskiego straciliśmy komiczną epopeę (bo jej nie mamy, choć mamy *Monachomachię* i *Beniowskiego*), któraby w naszej literaturze mogła godnie stanąć obok *Don Quixota* hiszpańskiej, *Gil Blas*a francuskiej i *Simplicissima* niemieckiej!

Ależ, zapyta się może niejeden, czyż to warto posiadać, czyż to się godzi pisać taką epopeę *del gusto picaresco* o tej naszej emigracyi, która tyle cierpiała, tak wielkie położyła ofiary, tak nieraz i chlubnie się zastrzyżyła ojczyźnie?... I czemuż nie, odpowiem, kiedy tak wyszydzenie śmiesznych stron życia emi-

gracyjnego, tak mało może ubliżyć jego dobrym, pięknym i szlachetnym, jak mało humorystyka Cervantesa, godząca w fałszywe rycerstwo, uwłacza prawdziwemu, walka z wiatrakami walce o grób święty? I czemuż nie, kiedy polityka moralna tak dobrze może zyskać na kreśleniu nagich charakterów, jak zyskała na tem sztuka, gdy się przestano wahać w przedstawieniu nagich figur? I czemuż nie, gdy to wszystko się kreśli z bezstronnością, z równem uczuciem dla każdej strony fałszywej monety luźnej doktryneryi, gdy się to robi w myśli uczciwej, zdrowej i patriotycznej, i gdy się kończy słowami, któremi i ja niniejsze sprawozdanie sobie pozwolę zakończyć:

»Cierpim wszyscy za Polskę. Myślim wszyscy wiecznie o Polsce. Gotowi jesteśmy wszyscy poświęcić się za Polskę! A więc mamy wspólny sztandar, około którego z braterską miłością kupić się należy, a nie radzić pokątnie i zawistnie patrzeć jedni na drugich. Demokrata ośmnastego czy dziewiętnastego wieku, zjednoczony czy zcentralizowany, dynastyk czy katolik, towiańczyk, wojskowy, cywilny, Litwin czy Mazur, czyż nie mamy jednej wspólnej i szczytnej myśli, która nas łączy: widzieć Polskę naszą wolną i szczęśliwą?«

K-o.

V.

DANTE ALIGHIERI

(1852)

Faint, illegible text at the top of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

Faint, illegible text in the middle section of the page.

# DANTE ALIGHIERI

Faint, illegible text at the bottom of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

W jednym z listów do Jana Koźmiana, pisanym w samym końcu r. 1852, lub w samym początku 1853, zapytuje go Klaczko: »Czytałeś w *Bibliotece Warszawskiej* mój artykuł o Dantem?«<sup>1)</sup> Artykuł ten, p. t.:

### Dante Alighieri

wyszedł w *Bibliotece Warszawskiej*, w zeszycie z grudnia 1852 r., na str. 385—421, a choć był tylko początkiem, dwoma pierwszymi rozdziałami obszerniejszego studium, to jednak nie miał dalszego ciągu, którego pozwalał się spodziewać w następnych zeszytach. Prawdopodobnie ten dalszy ciąg nie był nigdy napisany, bo w przeciwnym razie, zważywszy świetny początek, z pewnością spotkałby się z aplauzem komitetu redakcyjnego *Biblioteki*.

Początek ten, niepospolity pod każdym względem, był następujący:

#### I.

### Epoka Dantego.

Rok 1300 był rokiem odpustnym dla całego chrześcijaństwa. Papież Bonifacy VIII ogłosił wówczas pierwszy wielki jubileusz w Rzymie, i całe chrześcijaństwo usłuchało wezwania. Zupełne odpuszczenie grzechów zapowiedziane było każdemu pobożnemu pielgrzymowi, który po spowiedzi i ze szczerą skruchą zwiedzać będzie przez dni trzydzieści kościoły św. Piotra i św. Pawła. W przeciągu całego roku był nieustanny ze wszystkich krańców ziemi przypływ i odpływ pobożnych pielgrzymów w stolicy apostolskiej, a liczba ich wynosiła do 200,000. Ani

---

<sup>1)</sup> St. Tarnowski, *Julian Klaczko*, T. I., str. 80.

domy, ani kościoły nie wystarczały dla schronienia przybyszów; wielka ich część zaległa ulice i publiczne place, i szukała mieszkania pod namiotami świeżo i naprędce rozłożonymi, lub pod tym namiotem, który Bóg od wieków nad ludźmi roztoczył: pod niebem, pięknem niebem rzymskim. Uroczystość i wspaniałość tego święta, według świadectwa naocznego widza, była nad wszelkie opisy. W tym zgiełku tylu narodów (*turba gentium*), tylu języków, w tej stolicy tak przepełnionej ludnością, że nieraz żywności zabrakło i głód w groźnej stawał postaci, nie było sporu, nie słyszano o żadnej kłótni: pokój boży rozlany był na wszystkich. Wszystkie świątynie Pańskie były pełne śpiewów i kadzideł. A najwyższy wieszcz chrześcijaństwa, gdy wybiegłszy myślą za świata krawędzie, stanął w duchu przed Matki Boskiej obliczem, porównywał swoje uczucie nadludzkiego podziwu i nadziemskiego uwielbienia w owej chwili, z uczuciem, które w pielgrzymie z dalekich stron przybyłym » w przychodniu może z Kroacyi« obudzała twarz Chrystusa Pana na chustce świętej Weroniki, którą właśnie przez ciąg jubileuszu w Rzymie pokazywano pobożnym! <sup>1)</sup>

W tłumie tych pielgrzymów było dwóch ludzi, którzy mieli uświetnić wspólną swą ojczyznę, Florencję, najwyższą chwałą poezyi i historyi: Dante Alighieri i Giovanni Villani. Przyczyny, przemawiające za pobytem wieszca *Boskiej Komedyi* podczas jubileuszu w Rzymie, poznamy później; Villani świadczy to sam o sobie, i jego właśnie słowa służyły tu w części do opisu

---

<sup>1)</sup> Quale é colui, che forse di Croazia  
Vene a veder la Veronica nostra,  
Che per l'antica fama non si sazia,  
Ma dice nel pensier, fin che si mostra,  
Signor mio Giesu Christo Dio verace,  
Or fu si fatta la sembianza vostra?  
Tale era io...

Paradiso. XXXI. 103.

cf. Villani Stor. Florenz. apud Muratori ad ann. 1300. Biblioth. Max. Patrum XXV, 936: De Jubilaeo. Raynald. Ann. Eccles. s. a.

owego roku. Później też poznamy, jaki zaród w wielkim jubileuszu leżał dla *Boskiej Komedyi*; poznamy, że owa wspaniała uroczystość całego chrześcijaństwa objawiła florenckiemu wieszczowi prawdziwą formę do nieśmiertelnego jego dzieła. O bezpośrednim zaś wpływie jubileuszu na powstanie sławnej historii florenckiej świadczy znowu sam Villani:

»Znajdując się, powiada on <sup>1)</sup>, podczas tej błogiej pielgrzymki w świętej stolicy; widząc wielkie i starożytne pamiątki, które w sobie zamyka, i czytając wielkich jej dziejopisarzów... pożyczyłem od nich formy i stylu, aczkolwiek niegodny ich uczeń. Widząc wszakże, że Florencya, ojczyzna moja i córka Rzymu, jest w ciągłym wzroście, gdy tymczasem *Rzym ma się ku upadkowi*, umyśliłem zebrać wszystko to, co się tyczy dziejów i początków mego miasta, i, o ile będzie w moich siłach, dać obraz przeszłych, obecnych i przyszłych wypadków«.

Jedno słowo uderza i zadziwia w tym ustępie Villaniego, tak pełnym prostoty i trzeźwości, słowo: *upadek Rzymu*. Zdawałoby się, że jeśli kiedy, to wtenczas ten krzyk złowieszczy nie powinien się być wyrwać z ludzkiej piersi; że najmniej w owej chwili, gdy stolica chrześcijaństwa tak wielkim i niebyłym otoczyła się blaskiem, nie powinna była powstać myśl o jej upadku.

Gdy po długiem tułactwie arka przymierza znalazła wreszcie stałe schronienie i godne siebie miejsce spoczynku; gdy ów król mędrzec skończył budowę tego świetnego gmachu, który miał być podziwem dla całego świata, a świątynią dla jedynego Boga: w jakież on słowa uświęcił swoje dzieło, o jakież dlań łaski błagał Najwyższego, jakizto sobie ideał marzył w duchu dla Pańskiego przybytku?...

»Gdyby też, błagał Salomon <sup>2)</sup>, zgrzeszyli przeciwko Tobie, bo nie ma człowieka, któryby nie zgrzeszył, a upamiętaliby się w sercu swoim, a przepraszaliby Cię, mówiąc: zgrzeszyliśmy i zleśmy uczynili, nie pobieżniemy się sprawowali; a tak na-

1) Villani, ubi supra.

2) Regum III, Cap. 8, r. 41—43, 46—49.

wróciliby się do Ciebie z całego serca swego, i z całej duszy swej, a modlili by się obróciwszy się ku miastu, któreś obrał, i ku domowi, którym zbudował imieniowi Twemu... Wysłuchajże tedy z nieba, z miejsca mieszkania Twego, modlitwę ich i prośbę ich, a wykonaj sąd ich. Nadto i cudzoziemiec, który nie jest z ludu Twego izraelskiego, przyjdzie i z ziemi dalekiej dla imienia Twego, a będzie się modlił w tym domu... Ty wysłuchaj z Nieba, z miejsca mieszkania Twego, a uczyni wszystko, o co zawoła do Ciebie on cudzoziemiec«...

Nie w starym zakonie, ale w nowym, nie w Izraelu, ale w chrześcijaństwie, nie w Jerozolimie, ale w Rzymie, nie w 1004 przed Chrystusem, ale w 1300 roku po narodzeniu Zbawiciela miały się ziścić prorocze błagania owego izraelskiego króla. Bo kogóż, co przytoczone słowa Salomona porówna z opisem pierwszego chrześcijańskiego jubileuszu, nie uderzy ta myśl, że owe słowo stało się teraz ciałem, owa prośba teraz spełnieniem; że się teraz powtórzyła, ale w daleko szerszym kole, w nieskończonym kole całego chrześcijaństwa, ta wielka uroczystość, do której syn Dawidów wezwał cały lud Izraela, w myśli, w duchu i w hymnie, w tej mądrości, jak mówi Dante <sup>1)</sup>, »w której tyle widzieć nie było danem drugiemu« wszystkie światy ludy? I w onejto właśnie chwili, gdy Rzym stał się prawdziwym i widomym miastem chrześcijaństwa, gdy codzień do 200,000 ludzi z różnych stron przybywało świata, by tu szukać najwyższego szczęścia, co nas czeka na ziemi, a już nadziemskiego szczęścia jest przecuciem; by tu szukać oczyszczenia serca i ducha: i w onejto chwili mógł ktoś wróżyć, mógł pomyśleć o tego Rzymu upadku! I przy tejto Wieczery Pańskiej wszystkich wiernych mogła tajemnicza ręka historyka napisać straszne: *Mene tekel!*...

Za starożytnych jak za średniowiecznych czasów, za pogaństwa jak za chrześcijaństwa, za Scypiona jak za Wirgilego, za Karola Wielkiego jak i za Dantego, tajemnicza Roma miała dwa

---

<sup>1)</sup> A veder tanto non surse'l secondo.

Parad, X, 114.

znaczenia: znaczyła miasto i świat, *urbs* i *orbis*. Bo w wiekach średnich nietylko papież był rzymski, rzymskim był i cesarz; rzymskiem było nietylko chrześcijaństwo, rzymskiem było i imperyum. Rzymem był cały czas, i upadek to i koniec średniowiecznego czasu rozumiał Villani pod upadkiem Rzymu.

Rok 1300 jest ostatnim rokiem prawdziwych średnich wieków. W tem XIII stuleciu skończoną została ta wielka gocka budowa, a odtąd następuje epoka jej rozkładu i rozpadu. Odtąd wszystko się przekształca i przetwarza: nowe prace, nowe myśli i nowe cele powstają dla ludzkości; nowe formy objawiają się w dziedzinie polityki, społeczeństwa, wiedzy i sztuki, aż nareszcie w XVI wieku wszystko się stanie... nie we wszystkim lepszym, ale we wszystkim innym.

Na samym końcu XIII i na samym początku XIV wieku okazują się główniejsze objawy tego wielkiego przesilenia, i każdy ważniejszy wypadek zdaje się być ostatniem wydzwięczeniem jednej po drugiej myśli, które konającą teraz epokę niegdyś ożywiały. Budowa napozór stoi jeszcze cało i sztucznie się utrzyma przez dwa wieki; ale prąd nowych czasów już teraz zaczyna nurtować jej podstawy, i jeden jej węgielny kamień po drugim wrywa.

Była sprawa, była *potrzeba*, jak pięknie się wyrażali niegdyś nasi przodkowie, która wyobrażała najwyższe zadanie, najświetniejsze dzieło wieków średnich: — wojny krzyżowe. Dotąd jeszcze czas ów i czyn ów mają w naszej pamięci to samo znaczenie, są ściśle z sobą złączone w naszej wyobraźni. I nie inaczej je uważał poetyczny duch dawnych pokoleń. Około wojen krzyżowych skupiała fantazyja ludowa wszystkie wielkie dzieła i wszystkie wielkie figury minionych czasów; i krzyżowcami w poezyi średniowiecznej byli nietylko Godfryd i Tankred, ale Karol Wielki i Roland, Alexander i rycerze Arthusa. Walka o grób święty była *Iliadą* chrześcijaństwa, a pielgrzymka do Jerozolimy »królewską drogą« żywota. Lecz jakaż różnica już była między pierwszą wojną a drugą; jak różni już byli ci, których ś. Bernard sztucznie elektryzował, od tych prostaczków w duchu, którzy

idąc za biednym Piotrem przy każdym zamku i przy każdej miejscinie pytali dobrodusznie: czy to Jeruzalem? I jaki też inny skutek był tej wyprawy od tamtej! Odtąd ruch ten cały coraz bardziej tracił na zapale, natchnieniu i powadze: polityka książąt zastąpiła czysty popęd ludów, awanturniczość błędnych rycerzy cudotworną prostotę męczenników. Nie o groby, lecz o państwo już chodziło; nie korony niebieskiej, ale ziemskiej szukano, i Wschód brał górę nad Zachodem, krzyż ustępował przed znakiem księżyca. Roku wreszcie 1291, dziewięć lat przed owym jubileuszem, zdobycie Akry położyło koniec panowaniu chrześcian w ziemi świętej. Próżne były wołania papieżów, nadaremne obietnice królów: »nikt nie poszedł odzyskać Akry«, »nikt się nie uniósł myślą do Nazaretu, gdzie niegdyś archanioł swe skrzydła roztoczył«, powiada z goryczą Dante <sup>1)</sup>, a wzięcie drugiej stolicy wielkiego państwa rzymskiego przez barbarzyńskie hordy miało zakończyć wieki średnie, jak wzięcie pierwszej je zaczęło.

Był zakon, który w sobie łączył dwie naczelne myśli owej epoki: myśl wiary i męztwa — zakon Templaryuszów. Cnoty tu chrześcijańskie wiązały się z dzielnością dawnych bohaterów; dwa najwyższe poświęcenia: duchowe i cielesne, zakonnika i rycerza, spotkały się tu w jednej osobie; dwa najwyższe wyrazy chrześcijaństwa i rycerstwa w jednym się tu ślubiły dźwięku. Broń i modlitwę, pochodnię wiary i miecz zwycięzcy w jednej tu dzierżono dłoni: ta sama ręka walczyła i chrzciała, dobywała szabli i liczyła różaniec. Lecz już w XIII wieku zakon ten był podkopany: potęga i bogactwo, przepych i okazałość były jego wewnątrz wrogami. Dziwne, straszne o nim chodziły wieści. Powiadano, że na tajnych schadzkach rycerze jego nieludz-

---

1) E nessuno era stato a vincere Acri.

Inferno. XXVII. 89.

Non vanno i lor pensieri a Nazzarette,

La dove Gabbriello aperve l'ali.

Parad. IX. 137.

kim, krwawym się oddawali lubieżnościom; że tam plwali i deptali krzyż, który ich był godłem, i czcili jakiś potworny, ze Wschodu przyniesiony posąg Bafumeta... Któż, co zna całą podstępność, z jaką proces Templaryuszów był prowadzony, całą podłość ich sędziów, całą okrutność środków przeciwko nim i na nich dla wymęczenia zeznań użytych, któż wówczas będzie śmiał zatwierdzić prawdę owych zarzutów i podpisać wydany na nich wyrok? Lecz któż i temu zaprzeczyć zechce, że ten bogato uposażony, i po większej części z niezonatych członków najświetniejszych rodzin złożony związek rycerski, który swoje główne siedlisko miał w tych krajach południowej Francji, co wykwinnością i rozwiążnością oddawna słynęły, nie mógł choć w części upaść i uleść temu zepsuciu, które zawsze wyradza przepych i próżniactwo? To pewna, że zakon ten dla historyka zawsze tem pozostanie, czem go sam papież ogłosił w swojej bulli: zostanie *ordo valde suspectus*. To pewna, że nie sami zawzięci i interesowani nieprzyjaciele zakonu te skargi nań podnosili, i że dawno, przed gromem królewskim, który w niego uderzył, zbierały się nad jego głową chmury ludowych podejrzewań. To pewna, i na co nie wiem czy dotąd należną zwrócono uwagę, że Dante, który tak surowo sądzi Filipa Pięknego, i z taką ostrością wszystkie jego kreśli zbrodnie, żadnego pryncypu na prześladowanie Templaryuszów nie kładzie, i w jedynem miejscu, w którym o tem wspomina, w tak krótkich i allegorycznych się wyraża słowach, jak gdyby unikał zgłębnienia sprawy, na której dnie może leżało pewne wytłumaczenie dla nienawistnego monarchy <sup>1)</sup>. Przeciwko temu zakonowi powstał wreszcie wróg zewnętrzny, tajemniczy, którego narzędziem tylko był ów *nowy*

<sup>1)</sup> Veggio'l nuovo Pilato si crudele  
Che ciò uol sazia, ma senza decreto  
Porta nel tempio le cupide vele.

Purg. XX, 91.

Godnem zastanowienia jest też wyrażenie »ma senza decreto«. Dante zdaje się tem nietyłe prześladowanie Templaryuszów wogóle potępiać, ile ich złupienie bez upoważniającego papieżkiego dekretu.

*Pisat*, przeklęty przez Dantego. Wrogiem tym była instytucja nowych czasów, która pierwszy raz wówczas, acz w przypadkowej objawiła się formie: instytucja ekonomii państwa, nieznaną wiekom średnim, a wypływająca z ustalającego się teraz monarchicznego porządku i politycznej centralizacji, i która pod różnymi następnie nazwami, fisku, podatku, budżetu, miała się stać główną sprężyną rządowej machiny w następnych czasach. Ekonomia państwa zabiła w XIV wieku duchowne rycerstwo, jak później miała zabić i świeckie. Dnia jednego wyszedł cichy, tajemniczy rozkaz, który wtrącił do więzień wszystkich braci zakonu i zabrał wszystkie ich dobra. Rozpoczęło się śledztwo, sławne w dziejach z podłości i okrucieństwa sędziów, z nieubłaganności łupieżcy, z bezsilnych protestacji i smutnej wreszcie kapitulacji zwierzchnika kościoła. Dnia 13 marca roku 1314 używał lud paryżki tak częstego mu widoku upadku wielkich: wielki mistrz Templaryuszów, Jakób de Molay, umierał na stosie, wyzywając króla i papieża przed sąd Boży.

Dwie były naczelne moralne potęgi, które świat średniowieczny dźwigały, »dwa słońca«, jak mówi Dante, które ludzkości przyświecały: — cesarz i papież. Walka tych dwóch potęg napełnia wprawdzie cały wiek XI, XII i XIII; szala się wciąż to z tej, to z tamtej przeważała strony; upokorzenia raz kościoła, a drugi raz państwa nawzajem po sobie następowały; ale ta walka była znakiem życia, ten spór był wyrazem siły, i w tym wzajemnem zaprzeczaniu się leżało jednak wzajemne uznawanie siebie: i tam i tu była ta sama dążność do uniwersalności. Na końcu dopiero XIII w. ta walka ustaje, ale tylko z wycieńczenia, z niemocy, z obopólnej rezygnacji. Bo jakżeż się i porysowały te dwa filary, na których gmach chrześcijański spoczywał! Fryderyk II był ostatnim z prawdziwych cesarzów rzymskich *ultima possanza*, jak powiada wieszcz *Boskiej Komedyi*<sup>1)</sup>; a i ten *rymskim* tylko był z imienia: wyznawcami koranu się otaczał, nie taił się ze swą dla chrześcijaństwa niechęcią, uchodził za pisarza

<sup>1)</sup> Paradiso III, 120.

oślawionego dzieła: *De tribus Impostoribus*; i sam Dante, mimo uwielbienia, które jako Ghibellin miał dla niego, mimo tego znaczącego świadectwa, które w usta prześladowanego przezeń *Pier delle Vigne* o nim kładzie, że był godnym cześci<sup>1)</sup>, w piekielnym go jednak kole kacerzy zamieścił. Po świetnym domu Hohenstaufów nastąpił dom Habsburgów, który się już w XIII w. zrzekł wszelkich uniwersalnych zamysłów rzymsko-niemieckich cesarzów, jak później w XIX, miał się zrzec i ich tytułu, i horyzont chrześcijaństwa dawnych imperatorów ścieśnił do granic rakuzkich posiadłości<sup>2)</sup>. Na początku wreszcie XIV w., roku 1307 dała ojczyzna Tella pierwszy przykład oderwania się od wielkiego uniwersalnego państwa, i objawiła światu słabość tych cesarzów, którym się niegdyś nikt oprzeć nie mógł, nikt oprzeć nie śmiał, nikt — oprócz papieża. I ten papież, jakżeż był inszym teraz, jakżeż odmiennym od owego Grzegorza, u stóp którego klęczał niegdyś w pokutnej koszuli najwyższy władca ziemi, i który, acz prześladowany, wygnany, mógł i miał prawo wyrzec konając te słowa: *Dilexi iustitiam et odivi iniquitatem; propterea maior in exilio!* Roku 1300, w czasie jubileuszu, przed chrześcijaństwem zgromadzonem w odwiecznym mieście, występował jeszcze Bonifacy VIII w *insigniach cesarskich*; przed nim noszono miecz i berło na kuli świata, a herold wołał: »dwa tu są miecze; Piotrze, widzisz twego następcę; Chrystusie, patrz na Twego Na-

1) Che fu d'onor si degno.

Inf. XIII, 75.

2) O pierwszym Habsburgu powiada Dante:

Colui, che più sied' alto, e fa sembianti

*D' aver negletto cio, che far dovea...*

Ridolfo Imperador fu...

Purg. VII, 91.

Podobnie się wyraża o następcy Rudolfa:

O Alberto Tedesco, *ch'abbandoni*

Costei, ch'é fatta indomita e selvaggia...

Purg. XVI, 97.

miestnika!« Trzy lata później widział lud miasteczka Anagni starca więzionego przez siepaczy, znieważonego świętokradzką ręką słuźalca Nogareta, pożeranego rozpaczą i szaleństwem... Ten starzec, ten »Job«, jak sam siebie nazywał, było Bonifacy VIII! »I widziałem, powiada Dante <sup>1)</sup>, Chrystusa znieważonego w swoim Namiestniku; i widziałem, jak Mu odnowili żółć i ocet, i jak go zabili łotry co żyją!«

Było miasto, któremu już pogański wieszcz niegdyś wołał: *Tu regere imperio populos memento*, i które w chrześcijaństwie stolicą było świata, i które niegdyś było celem zwyciężkich marzeń synów Gallii i Germanii, jak teraz, w roku 1300, pokutnych wytęskiwań jubileuszowych pielgrzymów. To miasto chowało prochy pierwszych chrześcijańskich męczenników i było skałą, na której Zbawiciel oparł swój kościół. Od pierwszego apostoła panowali tu Namiestnicy Chrystusa w nieprzerwanym szeregu i wydawali z Watykanu ludom wyroki, królom rozkazy. Wśród wszystkich burz wieków średnich tron papieżów dotąd wytrwał w Rzymie; napady barbarzyńców, jak wojska cesarzów niemieckich, zastały dotąd zawsze Ojca niewzruszonego na chrześcijańskim krześle kurulskim. Epoka, o której mówimy, i tą niewstrząśniętą skałą wstrząsnąć miała. W rok po śmierci Bonifacego VIII, 1308, przeniósł Klemens V apostolską stolicę do Avignonu i zaczęło się *babilońskie wygnanie* papieżów. »I siedziało samotne miasto tak ludne, i stało się jako wdowa«; a gdy po 70 latach powitało znowu w swych murach Namiestników Chrystusa, nie poznało już dawnych władców ziemi i potężnych sędziów świata w tych pasterzach, co zrzekłszy się państwa, już

---

<sup>1)</sup> Veggio in Alagna entrar lo fiordaliso,  
E nel vicario suo Christo esser catto.

Veggiolo un' altra volta esser deriso:  
Veggio rinnovellar l' aceto e'l fele,  
E tra' vivi ladroni essere anciso.

Inf. XX, 86.

tylko kościoła bronili, i wrócili do Rzymu z królestwem, które nie jest z tej ziemi...

I kogóż teraz jeszcze dziwić będą słowa Villaniego o upadku Rzymu, o końcu świata średniowiecznego?...

Dwa następne wieki, które jeszcze do tej epoki zaliczamy, XIV i XV, były już tylko przejściem do nowych czasów, były mostem rzuconym przez Opatrzność nad przepaścią, co dwa odrębne światy przedzielała. Pod zewnętrznymi dawnymi kształtami wszystko w tych dwóch stuleciach przybiera treść nową, i odnawia się postać rzeczy, chociaż jeszcze pod starą powłoką się ukrywa. I te dwa wieki mają swoją wielką epopeję w wojnach Francji i Anglii, jak ją poprzednie miały w wojnach krzyżowych. Ktoby tylko z powierzchni chciał sądzić, myślałby, że w dawnych jeszcze żyje czasach, że się oprócz miejsca nic nie zmieniło. I jakaż to w rzeczy samej olbrzymia walka, jakież tytaniczne wyężenia, jakież tragiczne wypadki! Ci rycerze, co się przed bitwą wiążą, by placu boju nie opuścić; ten ślepy król czeski, co na czele swego rycerstwa walczy i ginie; ten czarny książę, którego wielki cień okrywa zarówno Wschód i Zachód, Palestynę i Akwitanią...; a wreszcie owa natchniona pasterka, która na głos Boga opuszcza swe owieczki, by na czele wielkiego stanąć ludu, która wstrzymuje niewieścią ręką kraj lecący w przepaść i w wielkim tumie kładzie koronę na głowę króla: nie zdajeż się ona jeszcze być srebrną wizją z pierwszych wieków chrześcijaństwa, mistyczną lilią ożywioną z katakumb?... Ale gdy głębiej wejrzymy, gdy usuwając te świetne zasłony, poznamy prawdziwą istotę rzeczy; jakżeż odmienne się nam tu pokażą czasy, myśli i cele! Jakżeż się zdziwimy, gdy znajdziemy, że główną sprężyną tych Epigonowych bojów była wełna angielska i wino francuzkie, że główną ich bronią były zakazy wprowadzenia lub wywożenia towarów, i że główny węzeł sprawy leżał w kantorach flamandzkich fabrykantów! A ta wieszczka i bohaterka jest już tak dziwnem, tak obcem i niezrozumianem zjawiskiem w tych czasach, że się znajdzie sąd duchowny, który ją potępi; że się znajdują księża i teologowie, którzy ją czarownicą

ogłoszą; że się znajdzie władza, która ją odda płomieniom, jak o wiek przedtem oddała wielkiego mistrza Templaryuszów. Rycerz i niewiasta, te dwie najpoetyczniejsze postacie średniowiecznej wiary, spłonęły w osobie Jakóba de Molay i Joanny d'Arc na stosie ofiarnym: i spełniły się czasy, i nowy porządek rzeczy nastał. I te dwa wieki cechuje, jak poprzednie, ta sama dążność w dal, ten sam pociąg do odległych krain i nieznanych światów, ta żądza objęcia całych ludzkości obszarów, ten popęd w nieskończoność przestrzeni i czasów, który zaszczepiły wojny krzyżowe, którego nie znały czasy starożytne, i który tak wyłącznym i tak znamienitym zdaje się być przedmiotem chrześcijańskiej myśli i chrześcijańskiego ducha. Marco Polo i Henryk portugalski, Vasco i Krzysztof Kolumb zdają się dalej prowadzić dzieło Godfryda i Tankreda; jak tamci Wschód muzułmański, tak ci Wschód mongolski, i dawno nieziedzane kraje i zapomniane ludy i niewiadome świata części odkrywają zdumionemu chrześcijaństwu. Ale jakąż znowu różnica w zamiarach, środkach i celach! Tamci chrczili, ci opisywali; tamci pragnęli zbawienia dla innych, ci wiadomości, bogactwa i panowania dla siebie; tamci dróg niebieskich, ci szukali dróg handlowych; i Europa zdobędzie Amerykę za przewodem tych wędrowców, a straci święty grób tamtych. W lat dwadzieścia po wielkim jubileuszu, trzydzieści po zdobyciu Akry, r. 1321, pisze Wenecyanin Marino Sanuto dziełko, które samo przez się już jest erą, i w skromnej swej treści zapowiedzią nowej epoki. Tytuł tego dziełka: *Secreta fidelium Crucis* zdaje się je jeszcze do dawnych odnosić czasów, a Bongars w swoim zbiorze dziejopisarzów krzyżowych: *Gesta Dei per Francos* zamieścił je. Myliłby się jednak ten, coby w tem pisemku boskich czynów szukał; a jeśli tu znajdzie tajemnice, nie będą to tajemnice krzyża, ale handlu. Pierwsze to dzieło ekonomii politycznej i handlowej w Europie, pierwszy początek tej nieznaney średnim wiekom nauki, którą w naszych czasach Smith i Say do godności ziemskiego zakonu podnieśli. W tem niezmiernie ciekawem dziele rozbiera Sanuto źródła bogactwa Wschodu i wskazuje kauały, któremi je na Zachód sprowadzićby się dało;

wylicza z wielką znajomością rzeczy wszystkie potrzebne Europie płody Azji i Egiptu; daje ciekawą ich statystykę, katalog szczegółowy wszystkich produktów Ziemi świętej z oznaczeniem wartości każdego, kosztów transportu; i dowiódłszy w końcu, że droga przez Egipt jest lepszą i wygodniejszą niż przez Syryą, zaleca *handlowe blokowanie* Egiptu, obiecując z tego ruinę sułtana i całego mahometańskiego świata... Krucyata zamieniona w handlową blokadę! — to jedno już wypowiada i streszcza całą różnicę minionych i następujących czasów.

Czasy to nastają rozkładu i rozdziału; synteza dawnego życia ustępuje przed jego analizą w nauce, sztuce, w polityce i religii. Czasy to odkryć i wynalazków, handlu i przemysłu, monarchii i mieszczaństwa, centralizacji i fisku, historyografii i prawnictwa. Bądźmy wszakże sprawiedliwi, i nie unośmy się stronniczym zamiłowaniem. Obudzona w naszym stuleciu przez ruch religijny i romantyczny sympatya dla średnich wieków, dla krucyat i dla gotyku, zrobiła nas zbyt pobłażliwymi i dla ciemnych stron owej epoki, a przedewszystkiem bardzo niesprawiedliwymi dla czasów następnych. Czasy te mimo obrazu rozprzężenia, który przedstawiają, mimo swego chłodu i swojej prozy, nietylko były konieczne w rozwoju historycznym, ale mają i swoje wielkie zasługi względem ludzkości, swoje wielkie dzieła w dziedzinie ducha. Jeśli z jednej strony wstrząsnęły wiarą wiekami ustaloną, jeśli ośmieliły zmysł powątpiewania, i namnożyły odszczepieństwa i apostazy; obudziły one z drugiej strony i w samym kościele tak długą uległością uspioną czujność, ożywiły w nim ducha trudów i poświęceń, i wywołały wielkie zakony, które prostotę, surowość i czynność dawnego chrześcijańskiego życia odnowiły, i świetne sobory, które kościelną dyscyplinę zaostrzyły, prawdziwe i zbawienne, wspaniałej tradycji przeszłości nieburzące reformy zaprowadziły i ustaleniem dogmatów zatrwożone uspokoiły sumienia wiernych. W życiu politycznym nadały one w silnej władzy centralnej niższym i upośledzonym klasom, tak długo feodalnymi tyraniami ciemiężonym, troskliwą opiekę, surową stróżyczkę praw i ich wykonania, skuteczną obronę prze-

ciw gwałtom i nadużyciom miejscowych potęg, i utorowały drogę do cywilnej wolności, do równości w obliczu prawa i do tych wszystkich wielkich zdobyczy nowszego postępu, któremi się wiek nasz szczyci. W sferze nauki i wiedzy zaprowadziły ścisłość badań i jasność poglądu, systematyczność wykładu i podział pracy, i tę przedewszystkiem metodę konstrukcyjną, co na gruntownem i wszechstronnem opierając się doświadczeniu, ze szczegółowej analizy do powszechnej postępuje syntezy; metodę, o której nawet pojęcia nie miały całe wieki średnie, a bez której jednak wszelka prawdziwa umiejętność jest czystem niepodobieństwem, »snem na jawie«, jak to trafnie nazwał nasz Grzegorz z Sanoka. Czasy te nietylko świat nowy, Amerykę odkryły, ale i świat dawny, świat starożytny, od którego poznania zaczyna się u nas wielka *epoka odrodzenia*, którego dzieła stały się dla nas wzorami wszelkiej prawdziwej nauki i sztuki, którego piękność i harmonijność tak zbawiennie wpłynęły na ukształtowanie, urzębienie i wcielenie tych wszystkich myśli i uczuć, zamiarów i zasobów, które wieki średnie w olbrzymich wprowadzie, ale nieskończonych i niespojonych zostawiły rozłamach. I możnaż wreszcie brak wiary i uczucia, chłód i prozę, owym czasom zarzucić, które przygotowały lub wydały największe dzieła sztuki i najwyższych mistrzów malarstwa i poezyi; które mogą wskazać na imiona jak: da Vinci i Rafael, Michał Anioł i Tizian, Ariosto i Shakespeare? I te czasy mają swoje wielkie i świetne strony, swoje piękne przymioty i wiekopomne zasługi. Bądźmy dla nich sprawiedliwi i nie unośmy się stronniczą miłością dla gotyku. Nie znieważajmy ich, oznaczajmy tylko ich prawdziwy charakter; nie odrzucajmy ich, oddzielajmy je tylko starannie od czasów poprzednich, od wielkiej średniowiecznej epoki.

Epokę tę wiele przygotowało wieków, jak wiele innych później pracowało nad jej rozkładem. Początki jej sięgają czasów od ustalenia się narodów barbarzyńskich po wielkiej wędrówce, a wiek cesarza Karola już ukrywa w swem tajemniczem łonie wszystkie zarody przyszłych świetnych jej płodów. Ale prawdziwem swem życiem i całą swoją siłą napełniła ona tylko

trzy wieki: XI, XII i XIII. Trzy te stulecia stanowią jedno wielkie i zupełne koło, które obiegł twórczy duch wieków średnich: one poczynają i kończą prawdziwy czas uniwersalnego cesarstwa i uniwersalnego kościoła, czas Grzegorza VII i Innocentego III, Henryka IV i Filipa Augusta, Hohenstaufów i Ludwika św., czas wojen krzyżowych Gotfryda i Ryszarda, pustelnika Piotra i św. Bernarda, czas scholastyki, św. Anzelma i Abelarda, św. Tomasza i św. Bonawentury. Rok 1000 tę epokę otwiera, a rok 1300 ją zamyka. Na samym jej początku, 1001, wydaje papież pierwszą odezwę do chrześcijaństwa w sprawie świętego grobu <sup>1)</sup>; na samym jej końcu, 1291, ze zdobyciem Akry wydzwiewcza się potężny głos krucyat, który trzy stulecia zapełniał. Dziwna, że te dwa graniczne lata tej wielkiej epoki, rok 1000 i 1300, cechuje ten sam wielki moralny i psychologiczny fenomen! Powszechna była wiara w X. wieku w koniec świata z r. 1300; kroniki współczesne ciekawe nam przechowały świadectwa o ogólnem usposobieniu chrześcian w owym roku: odbywano pielgrzymki, spowiadano się uroczyście w świątyniach, przepraszano za urazy, naprawiano bezprawia w oczekiwaniu sądu ostatecznego, i kościół ogłasza wówczas pierwszą *treuga Dei*, jak 300 lat później miał ogłosić pierwszy jubileusz <sup>2)</sup>. To samo usposobienie, to samo oczekiwanie napełnia chrześcijaństwo i w roku 1300; te same powtarzają się pielgrzymki i odpusty, i to samo przeczucie zdaje się dyktować Villanemu owe bolesne słowo: *o upadku Rzymu*.

Villani słusznie przeczuł: pierwszy chrześcijański jubileusz, którego był świadkiem, był ogólną spowiedzią, ostatnim rachunkiem sumienia schodzącego do grobu świata; rok 1300 zakończył uroczyście prawdziwe średnie wieki, a na grobie tej wielkiej epoki powstały trzy wielkie pomniki, trzy nieśmiertelne dzieła: *Tum koloński*, *Summa św. Tomasza* i *Boska Komedya* Dantego.

---

<sup>1)</sup> Cf. ciekawy list papieża Sylwestra II: »Ea quae est Hierosolymis, universali Ecclesiae sceptris regnorum imperanti etc.« Geberti Epist, 107, Apud Scr. rer. franc. X, 426.

<sup>2)</sup> Cf. szczególniej Radulphus Glaber s. a.

## II.

### Znaczenie Boskiej Komedyi.

Nic fałszywszego, nad owe, acz bardzo upowszechnione zdanie, że tylko epoki w całej pełni życia kwitnące i w samej apogii swej świetności są w stanie wydać epopeę. Epopea prawdziwa nie na początku, ani w środku, ale na samym właśnie końcu jakiegoś wielkiego historycznego zwrotu powstaje. Pojedyncze fragmenta, świetne rapsody kształcą się i rozwijają przez ciąg całego peryodu; ale w pełny i wielki akord epopei łączą się one i zamykają dopiero, gdy cała epoka jest spełnioną; gdy o tyle się jeszcze nie usunęła, że świeże zostawia wrażenie w umyśle narodu i w duchu poety, i odblaskiem swych gasnących promieni może ozłocić unoszące się za nią lekkie mgły wyobraźni, ale o tyle już zapadła, że wszechstronny na siebie pogląd i na zupełne objęcie dozwala. Tu, jak we wszystkich dziełach sztuki, według głębokich słów wieszczca, co ma ożyć w pieśni, powinno zagać w rzeczywistości.

Epopea jest *zidealizowanym* życiem jakiegoś wielkiego czasu odłamu, w całej jego pełni i szerokości. *Idealem* zaś tylko to być może dla człowieka, co jeszcze nie jest lub co już było. Homer, czy jakbądź się ten nazywał, co melodyjne dźwięki dawnych rapsodów w te dwa pełne, harmonijne akordy *Iliady* i *Odyssei* związał, na początku czasów Heraklidowych, jak to niezbitnie dowiódł Ulrici, uświęcił pieśnią minioną epokę trojańską, i z obywatelskiego i demokratycznego już świata Dorów rzucał tęsknym wzrokiem za zagasłym heroicznym i monarchicznym światem Achajów: chwając minione wieki i sławiąc dawnych ludzi. Na końcu dopiero wielkiej epoki republikańskiego Rzymu wyśpiewał Mantyańczyk swoją *Eneidę* w tym tłumionym żalu po zapadłej świetności, co tak dziwny urok na jego poemat jeszcze dziś rozłącza, i w tem tajemniczem przecuciu nowo wschodzącej ery i nowego rzeczy porządku (*novus rerum ordo*), które proroczym wiekom średnim zdawało się być natchnieniem.

Śpiew Rolanda, w najczystszej i najdawniejszej formie, w jakiej go nam tekst Bodlejański przechował, datuje z wieku XI, z wieku, w którym ostatnie ślady Karlowińskiej epoki się zacierały, i nowy odmienny świat stanął na zrębie. Po ostatecznem dopiero zwyciężtwie chrześcijaństwa nad skandynawskiem pogaństwem, które się przed niem aż na odludną wyspę Islandyi schroniło było, zbiegły się ponure pieśni Voluspy i Hava-mala, Volsungów i Sigurda, w mglisty śpiew Eddy Saemundar; jak przeciwnie, po pokonaniu znaku krzyża na polach Kossowa i po upadku wolnych Serbów, powstała cudowna epopea Łaza i Marka, Milana i Jugowiczów. Na samym schyłku potęgi germańskich ludów, za Hohenstaufów, skryształizowała się epopea germańska w olbrzymie kształty Nibelungów i Gudrun; na samym schyłku religijnego i mistycznego ducha średniowiecznej rycerskości, na którego upadek tak głośno narzekał, uchwycił go i uwiecznił Wolfram vom Eschenbach w mistycznym poemacie Parcevala; a w XVI wieku, gdy i świeckie i światowe, błędne i awanturnicze życie tego rycerstwa u ostatecznego stanęło kresu, znalazło i ono swoje przepyszne mauzoleum w brytantowym śpiewie Aryosta. Cudowny to wymiar opatrnej Sprawiedliwości, że gdy jakąś epokę przed swój sąd powoła, wielkiemu geniuszowi stawienie jej pomnika porucza i uwiecznia w pamięci, co w czasie zatracca, i śmierć w rzeczywistości wynagradza nieśmiertelnością w pieśni!

I takie jest znaczenie pomnika, który nad samym grobem średniowiecznej epoki wzniosła Opatrzność rękoma Dantego. *Boska Komedya* jest prawdziwą epopeą średniowiecznego chrześcijaństwa.

Jest w Watykanie sala zwana *Stanza della segnatura*, która jest skarbnicą najwyższej chrześcijańskiej sztuki, i w której zachwycone oko widza może śledzić boski geniusz Rafaela w całej pełni jego rozwoju, począwszy od mistycznej fazy perugińskiej tradycyi w *Dyspucie*, aż do plastycznego wydoskonalenia pod wpływem florenckich mistrzów i wzorów antyki w *Szkole Ateńskiej*. Na czterech ścianach tej sali wywołał Urbinata cztery

figury, cztery wielkie symbole ludzkiego ducha: Teologię, Filozofię, Prawo i Sztukę; i pod każdą z tych czterech figur roztoczył wspaniałą, historyczno-symboliczny obraz, który dziejowy rozwój każdej tej potęgi ducha przedstawia, i w jedno grono łączy najświetniejszych jej wyobrazicieli na ziemi. Z tych ścian i z tych fresków dwa razy się wychyla twarz Dantego w znanych wszystkim ostrych rysach, wielkim, cichym, dumnym nacechowanych smutkiem. Na *Parnasie* witamy go w otoczeniu wielkich mistrzów starożytności i wieków średnich, w czarownym kole Boga śpiewów i cudownych muz Hellady. A gdy oko spocznione od tego obrazu odwróci się i na drugim zawisnie fresku, na tej wspaniałej *Dyspucie*, w której Rafael mistyczność i wielkość wiary natchnionym skreślił pędzlem, i między rozwartem niebem, gdzie w tęczowym kole tajemniczą Trójkę otaczają wszyscy aniołowie i wszyscy święci, a ziemią głoszącą chwałę Pana, w tłumnym orszaku największych papieży i doktorów kościoła, zawiesił promieniejący złotem kielich ofiary i śnieżnego gołąbka, świętego Ducha — i tu znowu, w gronie świętnych wiary wyznawców, widzimy nieśmiertelnego wieszczą *Boskiej Komedyi*. I zamieszczenie tej figury w *tym* obrazie i pod *tym* znakiem nie nazwie tylko czystym przypadkiem, trafowym rzutem artystycznej swywoli ten, który wie, że Dante całą teologię i scholastykę średnich wieków objął i ukształcił w swoim dziele, i wielkiego autora *Sumy* tak poufale »dobrym braciszkiem Tomaszem«<sup>1)</sup> nazywał; który zna ów wiersz: *Theologus Dantes, millius dogmatis expers*, od którego się zaczynał epitaf przeznaczony grobowi wieszca w Rawennie przez Guidona da Polento<sup>2)</sup>; i który wreszcie, spojrzawszy w górę owego fresku na tronującą nad nim figurę Teologii, pozna, że Rafael jej tego symbolicznego użyczył

<sup>1)</sup> Il buon fra Tommaso.

<sup>2)</sup> Epitaf ten napisany był przez Giovanniego da Virgilio. Ten sam wiersz położony jest pod znanym obrazem Dantego, który dla franciszkańskiego kościoła w Monte-Falco zrobił roku 1450 Benozzo Gozzoli, uczeń Fiesolego i jeden z wielkich mistrzów Campo Santo. Dante na tym obrazie jest w towarzystwie Giotta i Petrarki.

stroju, tej płomienistej sukni i zielonego płaszcza i białej zasłony z oliwnym wieńcem, którego Alighieri użyczył mistycznej swej oblubienicy, Beatrycy<sup>1)</sup>. Ten, co wie i co pojął całą uniwersalność ducha Dantego i jego dzieła, ten się może będzie oglądał za jego postacią i w dwóch następnych freskach; temu ona może zabraknie w tych obrazach, które Rafael pod godłem filozofii i prawa rozwinął. Bo zaprawdę, nie byłże godnym stanąć pod kolumnadą *Ateńskiej Szkoły* ów wieszcz-filozof, co w takiej pełni ujął wiedzę dawnych i swoich czasów, i nieśmiertelne jej nadał kształty sztuki; co tak kornym był uczniem owego Arystotela, a tak gorącym zwolennikiem owego Platona<sup>2)</sup>, którzy na tym obrazie górują i wszystkim wielkim przewodniczą myślicielom? I nie byłże także godnym i olbrzymim wyobrazicielem prawa, prawdziwym *Grande Judico* ów poeta, co z mocy swego geniuszu i swego charakteru zasiadł na roki nad całym światem obecnym i przeszłym, umarłym i żyjącym nieśmiertelne wyznaczał kary i nieśmiertelne nagrody, i któż wie, ile to wieków przed *boskim*, swój sąd wykonał ostateczny?

Lecz co tu przedewszystkiem godne jest zauważania, to owo znaczące stanowisko, które Dantemu w *Dyspucie* nadał wielki mistrz urbiński. W tem wspomniałem kole świadków wiary i doktorów kościoła, co swym blaskiem całe napełnili średnie wieki, stoi wieszcz *Boskiej Komedyi* na samym jego końcu prawie, trochę w dal zasunięty i jak gdyby bolesnym wzrokiem wodził za odchodzącym orszakem. W tej malowniczej epopei wiary okazuje się Dante, jak jego własna epopea w średniowiecznej epoce, na samym prawie krańcu obrazu: jako *Deus Terminus* wielkiego dziejowego okresu, wielkiej *dysputy* nieba i ziemi, kościoła i państwa.

---

1) Sovra candido vel, cinta d' oliva,  
Donna m'apparve, sotto verde manto,  
Vestita di color di fiamma viva.

Purg. XXX. 31.

O symbolicznem znaczeniu tego stroju następnie.

2) O tem niżej: § Wiedza i Symbol.

Świat średniowieczny żadnej niwy z niezmierzonej dziedziny sztuki nie zostawił odłogiem i w każdej złożył wielkie zarody bujnej przyszłości. Śpiew Gregorykański już ukrywał w swoim łonie ten tajemniczy przestwór tonów, nad którym się później twórczem słowem unosiły geniusze Palestry. Paesiella i innych. W rzeźbach katakumb z pierwszych czasów chrześcijaństwa śledzi oko znawcy inkunabułów owej sztuki, którymi mistrzowskie dłuta Ghibertych i Della Robiów, Buonarottych i Cellinich uświetnić miały. Miniatury rękopismowe, mozaiki i szklane malowidła zamykają już w sobie te idealne myśli i nadziemskie uczucia, które później pędzel Rafaela w skończone ujął kształty. Pieśni trubadurów wyrobiły tę subtelną dyalektykę uczuć i form, której Petrarca następnie tylko pieczęć doskonałości nadał. W tych niezliczonych *Maeren aventures* i *chansons de geste* z dawnego cyklu Karola i Arthusa, znalazł Aryosto już wszystkie tęczowe farby, soczyste kolory i lśniące arabeski, którymi wymalował romantyczny swój poemat. A w mysteryach, passjach i burleskach grywanych po kościołach i rynkach, leżały początki wielkich dramatów Shakespeara, Lopego i Calderona. Lecz wszystkie te żywioły w chaotycznym i nieukształconym jeszcze przez cały ciąg średnich wieków spoczywały stanie; wszystkie te wielkie zarody w słabe tylko i nietrwałe wykwiwały liście, i czekały dojrzewającego słońca Odrodzenia, aby pełne i świetne wydać owoce. Świat średniowieczny wszystko przygotował, ale niczego nie wykończył i nie ukształcił; wszystko zostawił czasom późniejszym. Dwa jedyne tylko wydał dzieła organiczne i zupełne, które całą jego istotność w sobie zamknęły, i gdy go przeżyły, po nim się już dalej nie kształciły; do których czasy późniejsze nic nie miały do dodania, bo je zastały uosobnionemi, i żadnemu dalszemu nieulegające rozwojowi: — epopę Dantego i gocką świątynię; i oba te utwory właśnie na samym końcu tej epoki, którą organicznie sformułować miały, ścięły się w swoje olbrzymie i wieczne kształty. Architekturę gocką wiele wprawdzie przygotowywało wieków (jak wiele ich też przygotowywało i epopę Dantego, o czym się zaraz przekonamy), ale pełnia jej rozwoju

i ostateczne pokonanie dawnego romańskiego stylu leży w epoce Alighierego, między XIII a XIV stuleciem. Rok po śmierci wieszczą *Boskiej Komedyi*, 1322, poświęconem zostało najwyższe typowe dzieło gockiej budowy: wielki tum koloński.

Bo też ściśle i znaczący jest związek między epopeą a architekturą; i ta ostatnia to samo zajmuje miejsce w sztuce przestrzennej, jakie pierwsza w poezyi. Obu kolebką jest Wschód; obu równoległy jest rozwój w świecie klasycznym, jak później w chrześcijańskim. Obie nie dają plastycznych kształtów w ścisłym znaczeniu; nie mają tej dośrodkowej konieczności, tego jednolitego celu i indywidualnego wykończenia, które są tak niezbędnymi warunkami rzeźby i malarstwa w sztuce przestrzennej, a dramatu w poezyi. Obie więcej myśl oznaczają, niż ją w jej kształty wcielają; dają bardziej typy niż indywidualności; wyobrażają bardziej ogólną epokę, niż szczególne jej charaktery; przedstawiają raczej stan jak czyny, naturę jak kulturę, organizm życia jak jego analitykę i dyalektykę. Obie symbolizują ducha całej epoki; obie mają ten sam charakter uniwersalności i encyklopedyczności, i to samo główne przeznaczenie przechowania myśli twórczej minionych czasów dla następnych pokoleń. Jedna jak druga jest cichem i przeciągłym dziełem wieków; tworzy się bardziej anorganicznie i naturalnie przez agregację i krystalizację, niż wolno i duchowo przez aktualną wolę i myśl indywidualnego ducha. Jedna jak druga niezliczone przechodzi przetworzenia, nim do ostatecznych dostąpi kształtów; obie są tak zupełnie *zbiorowemi* wyrobami epoki i narodu, że najczęściej w sobie i indywidualność twórcy, aż do jego imienia i czasu zacierają. Architektura jest epopeą w innym tylko materiale; i ona dawne opowiada czasy, i zatracone dzieje, i zaginione plemiona, i żywo acz kamiennymi zgłoskami do oczu duszy przemawia. *Magistri de divis lapidibus* nazywały wieki średnie swoich wielkich budowniczych.

Między dziełem Dantego a gocką świątynią zachodzi szczególniej pokrewność i rodzinność, którą łatwo uczuje każdy, acz nie każdy łatwo ją sobie wytłumaczyć, a nigdy prawie ściśle

określić nie potrafi: bo wspólność tu nie cielesna, ale duchowa, nie zewnętrznych kształtów, ale wewnętrznej myśli. Wspólny im obu jest przedewszystkiem ten charakter spirytualny i spiralny, który tak znacząco je odrębnia od podobnych dzieł świata klasycznego, i w których właśnie obopólnem zestawieniu i porównaniu można najlepiej poznać nie tylko różnicę obu, ale i każdego z osobna właściwość. Stosunek Parthenonu do tumu kolońskiego, i *Iliady* do *Boskiej Komedy*, daje nam prawdziwą, prawiebym powiedział matematyczną proporcję: i ten sam charakter odróżnia epopeę Homera od epopei Dantego, co świątynię grecką od chrześcijańskiej. Jedne są tak zewnętrzne, jak drugie wewnętrzne; jedne tak przedewszystkiem mistrzowskimi dziełami zmysłu, jak drugie myśli. U tamtych oko spoczywa na powierzchni kształtów i na nich zaspokojone przestaje: nie zaglądając do głębi, gdzieby nic nieznaczącą tylko znalazło celę i ciasne niebo, cieszy się tu samymi formami; u tych przeciwnie wzrok wcale się prawie na powierzchni nie zatrzymuje, i nigdy samą formą nie zadowolony ucieka do wnętrza, i szuka tam nieskończonej myśli i niezmiernego ducha. Tamte wygodnie i pogodnie na ziemi się poziomo rozlegają; te się ascetycznie od ziemi odrywają, i spiralnymi liniami i spirytualnymi myślami unoszą do nieba. Tamte ludzkie dają stosunki i naturalne wyobrażają potęgi; te w nadludzkie dążą sfery i nadnaturalne objawiają wysiłki. Tamtych wrażenie przedewszystkiem plastyczne, tych przedewszystkiem muzykalne; tamte ducha lekko kołyszą, te go w niezmierny rzucają przestwór, gdzie wieczne i coraz szersze toczy koła.

Lecz nie tylko we wspólnej tej różnicy od architektury i epopei klasycznej, która w gruncie jest zasadniczą różnicą wszelkiej sztuki chrześcijańskiej od starożytnej, leży to pokrewieństwo *Boskiej Komedy* i gockiej świątyni; ale w organizmie, w estetycznej fizyognomice, w całej ich formacyi ta sama twórcza działa siła. W obu tych utworach rysy wspólnego pochodzenia, tej samej ducha emanacyi uderzają wszędzie. W obu panuje ta głęboka symbolika liczb, która się w dziewięciu sferach Dantego, w ich

zestawieniu z siedmią sferami wiedzy (*trivium* i *quadrivium*) i z dwiema filozofii i moralności, w mistycznym znaczeniu, które matematycznym nadaje pierwiastkom i t. p., tak uniwersalnie objawia, jak w znanych matematycznych rozmiarach, w typowych liczbach, w ścisłych wielokątnych podziałach i rozkrzewach, i w całej owej rytmiczności »boskiej geometrii« gockiej architektury: fenomen dziwny i obecnym naszym pojęciom zupełnie obcy, ale, jak później poznamy, charakterystyczny i immanentny płód średniowiecznego ducha, szukającego właśnie w *liczbach* tajemnej syntezy *piękna* i *prawdy*, znaczącej formy, któraby mistyczną dowolność i scholastyczną surowość jego cywilizacji zarówno objąć mogła. Innym, niemniej ważnym i z tego samego pochodzącym źródła objawem jest ów ciekawy symbolizm farb, owe tajemnicze znaczenie przywiązane do tak nazwanej »perspektywy«, czyli optyki, w której wieki średnie mniemały znaleźć pewne *organon* wiedzy, w której współczesny Dantemu wielki Roger Baco widział ogólny obraz boskiej czynności; i ta też myśl znowu panuje w dwóch wielkich dziełach średniowiecznej sztuki, które tu zestawiamy. Wiadomo, jakie wielkie ma znaczenie w architekturze gockiej gra farb i światła: ożywia ona nie tylko malowidła okien i filarów, ale całe tu zestawienie architektonicznych części spoczywa na ciągłej alternacji i modulacji światła i cienia; i konstytucyjnym prawem całego gockiego porządku jest perspektywa. W poemacie zaś Dantego *Raj* stanowi czystą skalę farb w muzyce sfer; siła światła oznacza siłę błogości; według prawideł jakiejś niebieskiej optyki wymierzają się boskie nagrody, i trwanie promienia oznacza stopień zbawienia w światłej hierarchii dusz.

Jeśli oprócz tego symbolizmu liczb i farb, nad którym się jeszcze później obszerniej rozwodzić myślimy, zechcemy szukać dalszych i charakterystycznych podobieństw między naszą chrześcijańską epopoją a gocką świątynią, uderzy nas przedewszystkiem to wspólne im obu zestawienie świata spirytualnego obok realnego, najduchowniejszych pojęć obok historycznych, najostrzejszemi konturami życia uwydatniających się postaci; a gdy w *Bos-*

*kiej Komedyi* wśród alegorycznych figur i w najłżejszą tkankę kształtów oblekanych abstrakcyj stają postacie historyczne i realne, w pełnej plastyce jestestwa, żywe i *żyjące*: jakżeżto często zarówno i w gockich świątyniach z tłumu alegorycznych posągów i personifikacyj wiary i zakonu, świata i stworzenia, cnót i grzechów, wyglądają znowu figury realnem oddychające życiem, »twarze ostre, malowane« pobożnych fundatorów, żyjących donatorów i t. p. A co dla nas najważniejsza, to, że i w tym rysie, jak w dotkniętej wyżej symbolice liczb i farb, wybita jest jedna z najgłówniejszych cech średniowiecznego ducha: bo to ciągle i ostre obokstawienie najgrubszej realistyki z najsubtelniejszym spirytualizmem, bez harmonijnego i idealnego ich zlewania i stopienia, jest może najcharakterystyczniejszą właściwością całej owej epoki; i wystarczy tu tylko sobie przypomnieć główny i tak stanowczy rozdział całej wiedzy średnich wieków na *Realizm* i *Nominalizm*, aby się tak o prawdziwości tego zdania wogóle, jak o duchowem pokrewieństwie tych dwóch sztuki utworów przekonać, które ową cechą najwyraźniej i najkonsekwentniej na sobie odbiły. Tak w *Boskiej Komedyi* jak w gockiej świątyni uderzy nas następnie ta ciekawa ornamentyka ze świata zwierzęcego i roślinnego, ta, prawiebym rzekł panteistyczna encyklopedyczność, która całą naturę zagarnia i wszystkie jej płody, jakby do nowej arki Noego dla ocalenia ich przed wzbierającym czasu potopem, gromadzi; i to nietylko w samym celu urozmaicenia i upiększenia, lub utworzenia sobie tła dalszego, jak w greckich Metopach czasem lub w Homerze, ale w jakimś alegorycznym i tajemniczym często powiązaniu natury i człowieka, Stwórcy i stworzenia, świata niewidomego z widomym. A i ten rys znowu nie jest tylko przypadkowym i tym dwom utworom wyłącznie właściwym, ale charakterystyczną cechą średniowiecznej epoki, która nawet osobną, jak wiadomo, przedtem i potem bezprzykładną epopeę ze świata zwierzęcego w Isengrimie i Reinhardzie wykształciła. Ileżto razy na ścianach, filarach i portykach gockiego tumu napotykały takie lwy, pantery i wilczyce, takie naturalne i potworne, prawdziwe i bajeczne zwierzęta, jakie Dante w swojej

zaziemskiej spotykał wędrowce; a jeśli nawet usuniemy z uwagi wątpliwe domysły uczonych o kształceniu się gockiego stylu według praw roślinnej formacji<sup>1)</sup>, ileż za to w nim pojedynczych kształtów ze świata krzewów przypomina podobne w poemacie Dantego, w tych porównaniach wziętych z roślinnej natury, w tych różnobarwnych allegoryach róż, lilij i kwiatów, a przedewszystkiem w owym przepysznym ustępie o lesie krzaków, dusze samobójców w sobie zamykającym, który tak często bywa przytaczanym, który tylokrotnie był naśladowanym przez późniejszych poetów i przez wielkich, dosłownie prawie przez Aryosta<sup>2)</sup>. Wspólną dalej jest obu tym dziełom średniowiecznej sztuki ta prawie wyuzdana wyobraźnia w tworzeniu najfantastyczniejszych figur, w zlewaniu najróżnorodniejszych i najdziwniejszych kształtów, w nadnaturalnem i nienaturalnem stopieniu wszelkich form kreacji, które natura tak starannie rozgraniczyła, w tem, jednym słowem, zmieszaniu wszelkich prawideł ziemskiego świata dla oddania nadziemskiego. Komuż, co na portalach i rzeźbach gockich świętyń widział te figury dyabłów i grzeszników w fantastycznych i potwornych postawach, te dziwaczne a straszne zarazem grupy z nawpół ludzkich, nawpół zwierzęcych logoryfów i arabesków, te bezwładne i bezkształtne rzuty rozognionej wyobraźni — komuż się wtenczas nie przypomniały podobne personifikacje dyabłów i grzeszników w *Boskiej Komedyi*; któż w nich nie odkrył nieraz tych samych prawie nieforemnych form, a prawie zawsze tych samych prawideł formacji, nawet aż do tego *naiwnego cynizmu*, z którym gocki mistrz, zarówno jak Dante, najluźniejsze oddawali sytuacje, w najgrubszych, niczego nieoszczędzających rysach?<sup>3)</sup> Niebrak też w naszej epopei na szczegółach, jakby

---

1) *Metzger*: Gesetze der Pflanzen und Mineralienbildung, angewendet auf den altdeutschen Baustyl. 1835.

2) *Inferno* XIII, 40. Ariosto: Orlando VI, stanz. 32.

3) Porównaj między innymi wiersze jak:

Ed egli avea dei cul fatto trombetta.

*Infern.* XXI, 139.

żywcem z gockiej przeniesionych architektury, a przedewszystkiem uderza ten kształt wielkiej promieniejącej *Róży* z przezroczystymi liśćmi, w którym się naszemu wieszczowi na najwyższym szczeblu Raju okazuje cała »święta milicya, którą Chrystus krwią sobie poślubił«<sup>1)</sup>, i który tak wyraźnie przypomina podobną figurę gockiej budowy pod temże nazwiskiem *Róży* znaną, co tak znaczące i symboliczne zajmuje miejsce w promieniejącem kole i z przezroczystymi z szyb liśćmi na wspaniałych fa-cyatach chrześcijańskich świątyń; jak znowu przeciwnie na tympanach ich portyków znajdujemy obraz tego *Sądu ostatecznego*, który zasadniczą jest myślą, formą i treścią, prawdziwą duszą wielkiego poematu Dantego. I czemże jest w gruncie i w najwyższem swoim znaczeniu świątynia chrześcijańska, jeśli nie nadziemskim już światem, w który wstępuje grzesznik, co jak Dante »z prostej zszedł drogi« (*la dritta, via eru smaritta*), i gdzie, jak Dante, pod litościwą opieką »wielkiej w niebiesiech Pani« (*Donna gentil nel ciel*) przechodzi, jak on, myślą ludzkie grzechy i występki, jak on się w skrusze i pokorze przed »bożą mądrością« (Beatrice) spowiada, jak on wreszcie do najświętszego miejsca przed boski obraz dochodzi, i jak on tu słyszy o swem oczyszczeniu i przyjmuje »ten chleb anielski, co wiecznie żywi, a nigdy nie nasycy?«<sup>2)</sup> I w takimto znaczeniu nie będzież tum gocki kamienną tylko *transkrypcją* wielkiej epopei chrześcijańskiej?

Gocko-architektoniczny ten charakter *Boskiej Komedyi* prze-bija się aż w najzewnątrzniejszej jej formie, aż w owych *terze rime*, które sobie Dante wynalazł dla swojej chrześcijańskiej epopei. Nie tu miejsce obszerniej się rozwodzić nad pytaniem o znaczeniu i historycznem kształceniu się *rymu*, które tyle już zajmo-

---

Rotto dal mento insin dove si trulla.

Infern. XXVIII, 24.

i wiele podobnych.

<sup>1)</sup> Parad. XXX i XXXI.

<sup>2)</sup> ... pan degli Angeli, del quale

Vivesi qui, ma non sen' vien satollo.

Parad. II, 11.

wało umysłów. Wystarczy tu tylko w krótkości oznaczyć, że *rym* jest tak czystą i konieczną formą chrześcijańskiej poezji, jak *rytm* klasycznej; i że te dwie zasadniczo od siebie różne formy wierszowania w tym samym do siebie znajdują się stosunku, w jakim architektoniczne formy chrześcijańskie dla klasycznych. Wiersz klasyczny zasadza się na regularnie przeprowadzonej odmianie długich i krótkich sylab; i na tej samej prawie regularnej odmianie spoczywa klasyczny porządek słupów. Słup każdy w architekturze greckiej jest równy drugiemu jak jedna stopa miarowego wiersza drugiej, ma równą zawsze wartość co drugi, ma swoje jednostajne znaczenie i jest regularnym i skończonym w sobie członkiem z całego rzędu równych mu i w regularnych odstępach postawionych jednostek. Insze tymczasem prawo kieruje gockim porządkiem, jako też i rymowym wierszem. W architekturze chrześcijańskiej słup traci to swoje indywidualne i w sobie skończone znaczenie; nie ma on równej wartości co drugi; nie odmienia się on regularnie i w regularnych odstępach; formy i przedziały filarów, różnie się w gockim rzędzie zmieniają i dopiero przez *muzykalny*, że tak powiem zwrot tych samych form i odstępów, po chwilowem przerwaniu i krzyżowaniu, przywraca się architektoniczny porządek. I taka sama jest zasada rymowego wiersza, w którym podobnie nie każda już stopa ma swoje indywidualne znaczenie, i wartość już nie na regularnej odmianie krótkich i długich sylab polega; wszystko to w tym wierszu się usuwa przed muzykalnym zwrotem pewnych form po chwilowem przerwaniu i krzyżowaniu. W porządku i rytmie greckim słowa i słupy *plastycznie się szykują*; w porządku i rymie gockim natomiast *malowniczo się grupują*. *Rząd* też i *grupa*, to najcharakterystyczniejsze zasady, odróżniające porządek i rytm grecki od porządku i rymu chrześcijańskiego: a jeślibyśmy to głębiej wziąć chcieli, cały świat starożytny od świata nowszego. I w tem znaczeniu *terze rime* Dantego są najdokładniejszym w poezji odbiciem najdoskonalszej formy gockiego porządku w architekturze. Te wiersze, które w ciągłe i przerwane rymy się wiążą, które się nieustannie krzyżują i łączą, które się w potrójną spóldźwię-

czność splatają i rozplatają, i tak wyraźne, już dla samego oka, tworzą grupy: przedstawiają ten sam obraz splątanej rozłożystości, pozornej zawłości przy ścisłym wewnętrznym porządku, odśrodkowej dowolności przy najsurowszej dośrodkowej konieczności, co te lekkie filary chrześcijańskich świątyń. Tak w jednych jak i w drugich ta sama panuje *perspektywna*, eurytmiczność.

W takimto ścisłym związku stoją te dwa najwyższe i najuniwersalniejsze utwory średniowiecznej sztuki: według takich to samych praw formacji powstały gocka świątynia i *Komedia* Dantego. Jedna jak druga objęła w całej pełni twórczą myśl wielkiej epoki; jedna jak druga jest najzupełniejszym i najwymowniejszym pomnikiem jej ducha; jedna jak druga jest prawdziwą epopeą średniowiecznego chrześcijaństwa.

A jednak nazwa ta epopei niezupełnie jeszcze określa poetyczne i historyczne znaczenie *Boskiej Komedyi*; definicya ta bynajmniej jeszcze nie wystarcza dla oznaczenia stanowiska i zakresu tego wielkiego poematu; a jeśli doń jedyną, prawdziwą i *czystą* miarę przyłożym, miarę greckiej epopei, pozostaną nam reszty, które osobną znowu i wielką całość stanowią i osobnej znowu wielkiej klasyfikacji koniecznie żądać będą. Jestto właśnie charakterem nieskończoności chrześcijańskiego ducha i jego prawdziwie wielkich objawów w twórczej wyobraźni, że się te pod jedną formę sztuki wyłącznie podciągać nie dają, że się z plastycznych, acz tak koniecznych rozgatunkowań ciągle wyrывают, i w inne postronne i przestronne wybiegają dziedziny. Tak i dzieło Dantego obok epicznego, do innego jeszcze wielkiego rodzaju poezji należy, i w tym równie wielkie i znaczące zajmuje stanowisko, tak pod względem wewnętrznej poetycznej wartości, jako też i zewnętrznego historycznego rozwoju.

Dwie są właściwie tylko główne *czyste* i *odrębne* formy poezji: epopea i dramat, i one też tylko uznał Arystoteles w swojej i dotąd jeszcze prawodawczej *Poetyce* godnemi prawdziwego zastanowienia i rozbioru. One jedne dają czyny i charaktery, tworzą pełne objawy i prawdziwe kształty, i mają istotną plastykę życia i sztuki. Liryka, którą jako trzecią formę obok tych dwóch

głównych stawiać zwykliśmy, nie odpowiada tym warunkom i w gruncie też jest tak mało samodzielna, że wiecznie oscyluje między epepą i dydakcją, że w *Epinikiach* Pindara, tak się o historię, jak w *Odach* Horacego o refleksję opiera, i że nawet obcą zupełnie sztukę, muzykę, w pomoc przyzywa, wiążąc się z nią z utratą własnej samodzielnej wartości w śpiewie, lub wcielając ją w siebie przez naśladowanie jej ducha muzykalną swoją dźwięcznością w sonecie, dumce i t. p. Wszystkie zaś inne podrzędne gatunki poezji: elegia, idylla, satyra, bajka, dydakcja, opisowość i t. d., bardziej jeszcze niż liryka na refleksji i subiektywnem uczuciu oparte, mniej jeszcze od niej mają prawdziwej samoistności i siły plastycznego kształtowania. I dlatego też wszystkie te gatunki, efemerycznej i trochę pasożytnej natury, są ze wszech czasów i miejsc, i właściwego i absolutnego historycznego rozwoju, właściwej sobie pory i temperatury nie mają; gdy tymczasem epepa jak dramat są przeciągłymi i mozolnymi wyrobami wieków i narodów, mają swoje epoki i klimaty, wyłączone i wielkie historyczne warunki swego kształcenia się i rozkwitu, i nigdy wspólnie obok siebie nie powstają, ale w rozległych odstępach nawzajem się zmieniają. Każda z tych wielkich form tak wyłącznie zwykła posiadać i absorbować twórczość epoki, że nie tylko drugiej obok siebie powstawać i rozszerzać się nie pozwala, ale nawet na długi czas po sobie wszystkie żywotne soki wysysa, i dopiero po dość znacznym przedziale zasilony odpoczynkiem geniusz narodu może przystąpić do nowych poetycznych kreacji w odmiennej formie.

W tymto właśnie czasie przejścia z epoki epicznej do dramatycznej i naprzemian, w tym okresie przygotowania i przetworzenia, wykształcać się zwykła trzecia wielka forma poezji, forma, która dla mieszanej swej i połowicznej natury wprawdzie tej estetycznej wartości czystego dzieła sztuki co epepa i dramat nie ma, ale dla znaczącego miejsca, które w rozwoju poetycznej twórczości zajmuje, dla organicznej regularności swego powstania i *psychologicznej konieczności* swego objawu, to samo *historyczne* przynajmniej ma uprawnienie. Mało ten dotąd po-

znany i umiejętnie określony rodzaj poezji, jak to trafnie powiedział genialny badacz, co pierwszy uwagę zwrócił na jego historyczne znaczenie, łatwiej się daje scharakteryzować, niż nazwać: nie mamy powszechniejszej i właściwszej dlań nazwy, jak *allegoryi*. To, co powszechnie pod allegoryą rozumiemy, obrazowanie intelektualnych i moralnych abstrakcyj, stanowi tylko jeden żywioł tej wielkiej kategorii, której charakterystyczną właściwie cechą jest, że *wszystkie* poetyczne gatunki obejmuje: alegorya w ściślejszym znaczeniu jak lirykę, elegię jak satyrę, dydakse jak opisowość, epopeę jak dramat, i wszystkim tym z mniejszem lub większem wykończeniem narysowanym i zamieszanym formom daje zazwyczaj lekkie ramy bądź samotnej przechadzki: bądź podsłuchanej rozmowy, bądź wreszcie snu lub *wizyi*: to jest tego poetycznego zmyślenia, w które i Dante oprawił *Boską Komedję*. Liryczny w oddaniu subiektywnego uczucia i usposobienia duszy; elegiczny i idylliczny w przedstawieniu spokojnych sytuacji i nieplastycznego życia; opisowy w skłonności do ciągłego obrazowania, i allegoryczny w zamiłowaniu w abstrakcyach i personifikacjach; dydaktyczny i satyryczny w mniej lub więcej wyraźnej chęci nauczania i poprawienia: rodzaj ten poezji styka się zarówno z epopeą i dramatem, od których, jeśli sobie nie przywłaszcza tego, co właściwą ich duszę stanowi: czynu i akcyi, użycza jednak tego, co ich zewnętrznem jest ciałem: opowiadania i dialogu. Pandemonium wszystkich poetycznych form, alegorya, nietylę jako czysty utwór sztuki, ile jako historyczny fenomen ma swoje przeważne w rozwoju twórczej wyobraźni znaczenie; jest ogólną formą, z której się rozchodzą i wykształcają wszystkie plastycznie rozgraniczone gatunki poezji, i do której znowu po pewnym okresie, po obieżeniu koła, które im wewnętrzna, jak to nazywa Arystoteles *energia* zakreśliła, wracają, aby z odświeżoną siłą z jej łona napowrót się wynurzać. Fenomen to, powtarzamy, niezmiernej wagi: odśłania on nam, że to samo prawo rządzi tym napozór tak fikcyjnym i dowolnym światem wyobraźni, co i rzeczywistym; ten peryodyczny zwrot poetycznych form do jednego punktu wyjścia objawia

nam ten sam zakon w dziejach poezyi, co w dziejach narodów Macchiavelli *ritorno al segno*, a Vico w dziejach całego moralnego świata *corsi e ricorsi* nazwał. Alegorya jest tym, jeśli chcemy, chaotycznym stanem twórczej wyobraźni, w którym wszystkie żywioły poezyi nierozłącznie drzemią, nim się rozdziela i rozgranicza, i do którego później, po wypełnieniu swego uroczego posłannictwa wracają, aby się przemienić i w odnowione kształty wyodrębnić.

W tem znaczeniu, któreśmy alegoryi nadali, Wschód będzie naturalną jej kolebką: bo w ogólnym rozwoju ludzkości, świat wschodni przedstawia właśnie ten stan chaotyczny ducha, w którym żadne funkcje społeczne i moralne jeszcze się nie wyszczególniły, i wszystko w panteistycznej niejako zanurzone jest uniwersalności. Bóg, człowiek i natura są tu w tem samem niezindywidualizowanym i nierozgraniczonym powiązaniu, w jakim się znajduje cała sfera materialnego i moralnego życia, i wszystkie wyższe objawy ludzkiego ducha w wierze, w wiedzy i w sztuce. I dlatego też, nietylko tu spotykamy tę wielką i uniwersalną formę allegoryi, ale, rzec nawet można, że cała poezya wschodnia w tej formie uwięzła i nigdy za nią samodzielnie nie wyszła. Epopea jak dramat, *Mahabarata* jak *Sakuntala*, nie mają tu rozgraniczonych plastycznych kształtów, jak podobne im dzieła poezyi greckiej: pełne one jeszcze są lirycznych, dydaktycznych, opisowych żywiołów i tej zawiłej encyklopedyczności poetycznych gatunków, która dla poezyi wschodniej jest tak charakterystyczną, jak zawiła encyklopedyczność całego życia dla całego Wschodu wogóle. Świat natomiast klasyczny, który tak osiro we wszystkim przeciwstawiony Wschodowi, którego nietylko sztuki, ale życia całego zasadą jest czystość kształtów, rozgraniczenie wszelkich potęg moralnych i materialnych, najwyрębniejsza plastyka myśli i uczuć, czynów i dzieł; świat ten musiał koniecznie zaniechać tej poetycznej formy, która tak obcą była jego duchowi; i tu jednak Hesiod tak regularnie stoi w pośrodku między Homerem a Eschylem, między epopeją a dramatem, jak romans grecki na samym schyłku i upadku helleńskiej cywilizacji. Insze

znowu i większe są losy alegoryi w świecie chrześcijańskim. W świecie tym, który tak plastyczne rozgraniczenia hellenizmu, jak uniwersalną dążność Wschodu zarówno objął i *uduchowił* je, w nim znowu i z większym znaczeniem jak u Greków występuje rodzaj allegoryi: ale już nie w tym charakterze jedynej prawie i dominującej formy, który miał na Wschodzie, ale tylko, jakżeśmy to już powiedzieli, w kształcie peryodycznie wracającego gatunku, reasumującego niejako *wschodnią* uniwersalnością wszystkie w duchu *greckiego* rozgraniczenia wykształcone lub nadal kształcić się mające czyste poetyczne gatunki. Ze względu na samą poetyczną tylko stronę i jej wpływ, można powiedzieć, że *Biblia* stoi jako najpełniejsza allegorya u samego początku całej chrześcijańskiej poezyi. Cudowna ta księga, jak życiu wszystkie moralne i religijne prawdy, tak twórczej wyobraźni wszystkie przyszłe objawiła formy: lirykę i alegoryczność, dydakę i opisowość, epikę i dramatykę: cały dramat chrześcijański powstał z biblijnej myśli pasyi. Później każdy naród chrześcijański wykształciwszy jedną lub drugą formę wracał znowu w peryodycznej rytmiczności do tego wielkiego rodzaju allegoryi, jako do punktu odpocznienia i dalszego zarazem rozwoju. Gdy średniowieczna liryka Prowensalów znalazła swój ostateczny wyraz i najwyższe wydoskonalenie w rymach Petrarki, dał Petrarka sam hasło zwrotu do alegorycznego rodzaju w swoich *Trionfi*, i za nim poszedł Boccaccio nietylko w *Trionfi*, w *Ninfale Fiesolano*, nietylko w *Fiamecie* i *Tezeidzie*, ale nawet i w *Decamerone*: bo cała nowelistyka daje się słusznie policzyć do tej wielkiej pośredniej formy poezyi, której i romans nawet nowoczesny jest prozaiczną i pragmatyczną tylko stroną; a gdy dwa wieki później epika włoska najwyższego szczytu swego możebnego rozwoju dostąpiła w dziełach Aryosta i Tassa, naznaczył znowu sam Tasso to historyczne znowu zejście do alegoryi, tak przez nieszczęśliwą wprawdzie, ale pod tym względem niezmiernie charakterystyczną próbę przelania *Jerozolimy* w allegoryę, jak przez ten poemat o stworzeniu, *Le sette giornate*, który natchnął Milтона. Alegoryczny *Raj* Milтона stoi w dziejach poezyi angielskiej tak histo-

rycznie w pośrodku między wielką dramatyką Shakespeara, a późniejszą epiką Scotta i Byrona, jak przedtem między Shakespearrem a dawną epiką angielską, z której nam drobne ale znaczące w Beowulfie i Travellerssong przechowały się ułamki, stały alegoryczno-idyliczne twory Louglanda, Gowera Chaucera, Sidneya i t. d. Wymienieni tu na ostatku angielscy pisarze kształcili się prawie wszyscy na owym oślawionym *Roman de la Rose*, który znowu w poezyi francuzkiej to samo historyczno-pośredniczące stanowisko alegoryi między dawną francuzką epiką, a późniejszym teatrem Corneilla i Racina zajmuje, jakie w hiszpańskiej zajęli Hita, de Mena, Santillana i inni między epicznym cyklem Cyda, a wielką dramatyczną epoką Lopego i Calderona. Tak następnie w poezyi niemieckiej między wielką epoką Nibelungów, Gudrun Wolframa von Eschenbach, Gottfryda von Strasburg, a dramatyką Hans Sachsa i liryką z epoki reformacyi, rozlegają się szerokie alegoryczne utwory XIV i XV wieku, a Reinhard szczególnie tak zarówno za czystą epopeę, jak za czystą alegoryę uchodzić może; po wydzwięczeniu się zaś dramatycznej i lirycznej poezyi z czasów reformacyi wraca znowu przeważnie rodzaj alegoryczny, który się ostatecznie reasumuje w sławnej *Mesyadzie* Klopstocka, i po którym znowu w orszaku wszystkich wielkich niemieckich dramatyków z przeszłego wieku następuje ów Lessing, co tak charakterystycznie przy najściślejszem rozgraniczeniu poetycznych gatunków obstawał, i tak konsekwentnie przeciw bronionej przez Winckelmannna allegoryi się oświadczył. I według tych samych praw formacyi rozwijała się wreszcie nawet i nasza polska poezya, acz tyle przeszkód w swoim normalnem wykształceniu doznawała. I u nas także między dawnemi epicznymi rapsodami, których słabe się tylko echa w naszych historycznych przechowały jeszcze podaniach, i chrześcijańską hymnologią, która od św. Wojciecha aż do Andrzeja ze Słupia poetyczną naszą twórczość w średnich wiekach absorbowwała; a tą liryką z drugiej strony, która w epoce Kochanowskiego tak bujnie rozkwitła, i dramatyką, której pierwsze wówczas zjawiły się próby w *Józefie*, w *Odprawie posłów* i t. d.: znaczniejsze utwory

Reja stoją jako historyczno-pośredniczące *alegorye*, i pod tym właśnie względem, o ile się nam zdaje dotąd mało zauważanym, mają swoje główne i ciekawe znaczenie. Szczególniej godnym tu, choćby i krótkiego tylko zastanowienia, jest Reja *Wizerunek żywota*. Poeta prowadzi młodzieńca do różnych filozofów pogańskich, od Zoroastra do Hippokrata, Dyogena, Epikura, Sokrata i Arystotela, którzy mu wszyscy systema swej etyki wykładają; potem przechodzi z nim do potępionych w piekle, do tych »co sobie zjezonej nie zagłaskali czupryny«, i między którymi widzi wielu panów i księży; w raju nakoniec »Heliasz« objawia nieśmiertelne chrześcijańskie prawdy »o dusznej radości« i naucza, jak się staje »w ogrodzie u Pana«. Pełno w tem dziele mytologii i teologii, astronomii i filozofii, najrozleglejszej jednym słowem dydakty; pełno tu idyllicznej opisowości: każdy niemal rozdział zaczyna się od poetycznego opisanie natury w różnych dniach porach; satyra wreszcie, jak we wszystkich dziełach Reja, tak i tu w całej swojej szorstkości i jadowitości rozkosznie się rozpociera. Czytelnik widzi wszystkie tu zebrane żywioły, które według danej definicyi poemat alegoryczny składają; jak w *Boskiej Komedyi* »tekst się tu rozciąga od ziemi do nieba«, według tych własnych słów Reja, które tylko w większej suchości wypowiadają myśl tak szczytnie w sławnym wierszu Dantego oddaną <sup>1)</sup>); a kiedy współczesny biograf Mikołaja, Trzycieski, tego naszego poetę z Dantem porównał: więcej w tem zdaniu leżało prawdy, niżeli może myślał sam Trzycieski. Rozumie się: pod względem tylko wspólnego im obu poetycznego rodzaju; pod względem bowiem poetycznej wartości, alegorya Reja tak mało lub jeszcze mniej jak wszelka inna może iść w porównanie z nieśmiertelnem dziełem florenckiego wieszca.

Wielki utwór Dantego obejmuje w całej pełni wszystkie poetyczne gatunki i objawia we wszystkich głębość uczucia,

---

<sup>1)</sup>

... poema sacro,

Al qual ha posto mano e cielo e terra.

Parad. XXV, 1.

prawdę natchnienia, siłę wyobraźni i potęgę twórczości w rozległości i mistrzowskiej dzielności, w jakiej żaden inny poemat alegoryczny nietylko z nim mierzonym, ale nawet zestawionym być nie może. Liryka nie jest tutaj chwilowym i przechodnim ustępem, refleksem osobistego uczucia i subiektywnego zwrotu; przenika ona wskrós swoimi wyostrozonym akcentem całe dzieło, które, jak z jednej strony jest epopeją ludzkości, całego średnio-wiecznego świata, tak z drugiej jest najsubiektywniejszym poematem duszy, jednym szczytnym hymnem jednej wielkiej indywidualności. Opisowy i elegijny element objawia się tu w tak ciągłych i wielkich obrazach i dźwiękach, w takiej malowniczości i muzyczności poetycznego uczucia, z tak niewyczerpanym nigdy darem przyjmowania i oddawania najstraszniejszych i najmiłszych, najgroźniejszych i najśodszych wrażeń, jakichby się podobnych przykładów razem tylko z całej poezji całej ludzkości, od wybujałych płodów gorącego Wschodu aż do powiewnych i powietrznych bladej Północy, może zebrać dało. Alegoryczność nie jest tu tylko igraszką rozumu i bawidełkiem dowcipu, ale najsilniejszą dźwignią twórczej wyobraźni; i oddaje całą świetną symbolikę chrześcijańskiego ducha i chrześcijańskiej sztuki w wielkości i uniwersalności, w systemie i konsekwencji, w jakich to tylko gocka jeszcze architektura była w stanie przeprowadzić. Satyra następnie, ale nie ta, o której rzymski ów poeta powiedział, że jej niepisać tak trudno; ale ta trudna i szlachetna, która powstaje na zepsucie nie w chęci wyszydzenia, ale poprawienia, która ze skrwawionem sercem robi wyrzuty w czystej myśli, i drżącą ze współczucia, acz silną przekonaniem ręką trzyma przed obecnością zwierciadło Meduzy; ta satyra i w tem najwyższym i najpiękniejszym znaczeniu, stanowi jeden z głównych żywiołów *Boskiej Komedyi*: gromi potęgą Tytana i jęczy żalem pokutnika, wyzywa niebiosą o pomstę, a piekło o litość, i karci kochanych i kocha karconych, z ironią tak pełną miłości, i z szyderstwem tak pełnem wzniosłości, o jakich tylko wyobrażenie dać może zlany razem geniusz Juwenala i Jezejasza, najostrzejszego satyryka Rzymian i najszczytniejszego cenzora

Izraela. Dydaksa w tem dziele nie ogranicza się na pewnej drobnej tylko nauce, na jakiejś urwanej części ludzkich badań; obejmuje ona całą wiedzę epoki, odtwarza całą chrześcijańską scholastykę w wielkich kształtach sztuki, i daje *poetyczną* sumę średniowiecznej mądrości, jak święty Tomasz dał jej filozoficzną. Przedewszystkiem zaś ważny jest stosunek tego poematu do dwóch najgłówniejszych i najczystszych form poezyi. Znaczenie epicznego żywiołu w *Boskiej Komedyi* już nam wiadome: widzieliśmy, jak prawdziwie epicznie utwór Dantego obejmuje i zamyka jedną z największych epok ludzkości, i jak znakomitym i uniwersalnym jest wyrazem średniowiecznego ducha. Ale i dramatyczny element przeważne w nim zajmuje miejsce i uzupełnia tę całość poetycznych gatunków, którą najwyższa ta alegorya nam przedstawia. Sama zewnętrzna forma dyalogu, która się tu nam ciągle objawia w rozmowach Dantego z Wirgilim, z Beatricą i z potępionemi lub zbawionemi mieszkańcami zaświata, nie wyczerpa jeszcze bynajmniej tego dramatycznego charakteru *Boskiej Komedyi*, równie jak epicznego jej charakteru nie wyczerpa sama zewnętrzna tylko forma opowiadania. Cały bowiem wewnętrzny układ tego poematu, cała jego fizyognomika i patologia, cały rozwój, i jeśli tak rzec można, sceniczne urządzenie noszą cechę prawdziwej dramatyczności. Figury i sytuacje nie rozwijają się tu w tej spokojnej rozwlekłości i powtarzającej się rytmiczności epopei; ale przemijają krótko i pospiesznie w tej skąpej charakterystyce i ciasnym obwodzie, w tem streszczeniu głównych tylko rysów, w tej aktualności i momentalności, które są tak wydatnymi przymiotami dramatu. Dante nie jest tylko opowiadaczem, ale zarazem widzem i współdziałającym: i »czas mu ściśle wymierzony« <sup>1)</sup>, jak każdemu widzowi i aktorowi scenicznego dzieła. Jeśli to prawda następnie, że podstawą epopei jest przeszłość, dramatu zaś terażniejszość; to i pod tym względem dzieło Dantego do tej drugiej poetycznej formy zbliżonem bę-

---

<sup>1)</sup> Lo tempo é poco omai, che n'è concesso,  
E alto é da veder. Inf. XXIX, 11.

dzie: wszystko się w niem bowiem odbywa nietylko *formalnie* w czasie, ale i *realnie* w charakterze terażniejszości, i wszystko zamiast w perspektywnej dali podania, w bezpośredniej tu leży akcji. A gdy do głębszych jeszcze psychologicznych cech sięgniemy, łatwo się przekonamy, że w całym tym poemacie panuje patetyczność i perypetalność, dyalektyka uczuć i analityka wrażeń, gwałtowna i skokowa klimaks scen i objawów, które wszystkie bardziej tragiczne niż epiczne jemu nadają atrybucy. I jakież wreszcie poetyczne dzieło wypełnia wierniej te dwa wielkie warunki obudzenia zgrozy i litości, które Arystoteles wszelkiej prawdziwej przepisał tragice, jak ta *Boska Komedya*, co »wieczne cierpienie i pierwszą miłość«<sup>1)</sup> zarówno objęła, i z tą samą siłą nieskończone katusze piekła, jak wieczne uciechy rajy skreśliła?

Jeśli tak pod względem wewnętrznej swej poetycznej wartości dzieło Dantego przewyższa wszystkie tego rodzaju alegoryczne poemata, niemniej góruje ono nad niemi pod względem zewnętrznego historycznego stanowiska; a gdy sobie przypomnimy, że cała ta wogóle poetyczna forma nierównie większe jako historyczny fenomen, niż jako czyste dzieło sztuki ma znaczenie, lepiej jeszcze zmierzmy całą ważność *tego* właśnie przymiotu *Boskiej Komedyi*. Poezya chrześcijańska w całym swoim ogólnym wziętu rozwoju, rozpada się na dwa wielkie, ściśle od siebie rozgraniczone okresy: epiki i dramatyki; i każdy z tych okresów charakterystycznie koresponduje z równoległymi dwoma dziejowemi zwrotami chrześcijańskiego świata. Uniwersalne i we wszystkich życia objawach *katolickie* wieki średnie były tak naturalną i historyczną dziedziną epiki, jak analityczne i dyalektyczne nowsze czasy dramatyki; do tamtych też należą wyłącznie wszystkie wielkie cykle Karola i Arthusa, Sygryda i Dytrycha, Alexandra, Cyda i Łaza; jak do tych znowu wyłącznie należy scena Shakespeara, Lopego i Calderona, Corneilla, Racina i Mo-

---

<sup>1)</sup> »eterno dolore... e'l primo amore«  
ze znanego napisu piekła. Inf. III, 2—6.

liera, Lessinga, Schillera i Goethego i t. d. Można powiedzieć, że jak wieki średnie nie wydały jeszcze prawdziwego dramatu, tak wieki nowsze żadnej już prawdziwej nie wydały epopei. Czasem przesilenia tych dwóch najwyższych poetycznych form jest wiek XIV i XV: ten historyczny okres, któryśmy już pod tyłą innemi względami jako epokę przekształcenia i przetworzenia poznali. Jak z jednej strony zagłusza się coraz bardziej w tym okresie dawna średniowieczna epika, tak z drugiej w dramatycznych misteryach, pasjach i alegoryach pokazują się w nim coraz poważniej początki przyszłej nowoczesnej sceny: i nic charakterystyczniejszego pod tym względem nad tę nazwę i formę *alegoryi*, którą tak wydzwiczająca się teraz epika, jako powstająca dramatyka w tym czasie przybiera. I w tymto właśnie okresie, w tej chwili przesilenia się całej chrześcijańskiej poezyi, gdy z jednej głównej formy w drugą się przelewa, powstaje *Boska Komedia* Dantego, zamykając jedno wielkie koło średniowiecznej epiki i roztwierając zarazem drugie większe jeszcze koło nowoczesnej dramatyki, dając zarazem epiczną *wizję* uniwersalnego świata i dramatyczną *pasję* indywidualnej duszy. To przeważne miejsce, które każda alegorya w szczególnych dziejach szczególnej poezyi każdego narodu zajmuje, to miejsce zajmuje alegorya Dantego w ogólnych dziejach ogólnej poezyi całego chrześcijaństwa. *Boska Komedia* jest uniwersalną i absolutną alegoryą w uniwersalnym i absolutnym rozwoju twórczej wyobraźni chrześcijańskiego świata.

I tu się nam może wyłumaczy także ten tajemniczy i zagadkowy tytuł *Boskiej Komedyi*, którego objaśnienia najmniej w Dantem samym i w znanym ustępie z jego listu do Cane Grande della Scala szukać wypada. *Boskiem* wprawdzie nie wieszcz sam, ale późniejsza dopiero uwielbiająca potomność nazwała to dzieło: mimo swego wielkiego gieniuszu i zupełnej o nim świadomości, lub może właśnie dlatego, był Dante dalekim od tej gorszącej manii naszych nowoczesnych poetów, wspinających się każdej chwili Bogami na paluszkach wzdętej pychy. Ale nazwy *Komedyi* udzielił już sam wieszcz nieśmiertelnemu swemu

dziełu<sup>1)</sup>. Gdybyśmy na objaśnieniu poprzestać musieli, które sam Dante podaje, małoby nam zaiste na tem zależało. Trzy są, według niego, główne formy poezyi; tragedia, satyra i komedia, z których pierwszą cechuje szczęśliwe wyjście a nieszczęśliwy koniec; ostatnią zaś przeciwnie nieszczęśliwe wyjście a szczęśliwy koniec: komedią więc nazwał swój poemat, bo ze smutków piekła prowadzi do błogości raju... Ale cały ten dziwny wywód, który jeszcze w XV wieku wiernie powtórzył Santillana w swojej *Comedieta de Ponza*<sup>2)</sup>, jest jedynie nam ważnym pod względem świadectwa, jakie daje o zupełnie mylnych i scholastycznych wyobrażeniach, które tak Dante jak i wiek jego miał o gatunkach poezyi; nie usprawiedliwia on w niczem dziwnego, a jednak tak znaczącego tytułu. Usprawiedliwienie to dopiero dać nam jest w stanie pogląd na cały rozwój chrześcijańskiej poezyi i na historyczne stanowisko, jakie w niem zajmuje *Boska Komedia*. Tu dopiero poznajemy, że poemat ten, jak epiczną swoją formą zamyka epikę średnich wieków; tak dramatycznym swym tytułem zapowiada dramatykę nowszych czasów; i że nazwa komedyi, jaką tu alegorya przybrała, jest tak charakterystyczną i historyczną, jak nazwa znowu alegoryi, którą naprzemian i w tym samym własnym czasie przybierała powstająca komedia.

Epopeą więc i alegoryą jest wielki śpiew Dantego. Obejmuje on całość poetycznej myśli średniowiecznego chrześcijań-

---

<sup>1)</sup> W samym poemacie. Inf. XVI, 128 i XXI. 2.

<sup>2)</sup> Yo comenzé una obra à la quai Elame Comedieta de Ponza, e fituléla deste nombre, por quanto los poetas fallaron tres mancras de nombres à aquellas cosas de que fablaron, es a saber: tragedia, sàtira, comedia. Tragedia es aquella que contiene en si caydas de grandes Reys o Principes... cuyos nascimientos e vidas alegremente se comenzaron, e gran tiempo se continuaron, e despues tristemente cayeron... Comedia es dicha a quella cujus comienzos son trabajosos, e despues el medio e fin de sus dias alegre, gozoso e bien aventurado: e deste uso Terencio Peno, e Dante en el su libro, donde primero dize aver visto los dolores e penas Infernales, e despues el Purgatorio, e alegre e bleu aventuradamente despues el Parajso. Santillana, *Comedieta de Ponza* (ed. Ochoa) p. 2.

stwa i całość jego poetycznych form; jest ostatecznym słowem schodzącego świata i pierwszą zapowiedzią nowo powstającego; przeszłość i przyszłość, tamta w swych owocach, ta w swych zarodkach, zarówno w nim złożone. Poemat to najuniwersalniejszy twórczego ducha ludzkości; poemat, jak sam wieszcz raz w uczuciu swej wielkości powiada, »święty, do którego przyłożyły ręce niebo i ziemia«: niebo i ziemia całego chrześcijańskiego świata.

\* \* \*

Na dzieło tak rozległe jak świat, stanowiska zapatrywania się tak są liczne i różnorodne, jak na świat samy. Od pojawienia się też tego wielkiego poematu aż do najnowszych czasów nie brakło mu na mozolnych badaczach i świetnych umysłach, z których każdy z różnego i odmiennego punktu szukał pojęcia i objęcia tego najwyższego utworu średniowiecznej poezji. Kilkadziesiąt już lat po śmierci florenckiego wieszca, wzniesiono w różnych miastach włoskich publiczne katedry dla wyjaśnienia i wykładania *Boskiej Komedyi*. Florencyja, ojczyzna tego wielkiego męża i ta, co za życia na sromotne go wskazała tułactwo, pierwsza po jego zgonie dała przykład takiego wielkiego uczczenia; i pierwszym, co tę godność tłumacza *Boskiej Komedyi* w tem mieście piastował, był ów Boccaccio, co własnem już światłem tak wspaniale na gwiazdzistym niebie włoskiej poezji jaśnieje, i którego niedokończony niestety komentarz jest jednym z najbogatszych źródeł dla obszernych studyów nad naszym poematem. Jeśli to w większej części prawda, co powiedział niemiecki filozof, że wielki geniusz skazuje małe umysły na wyjaśnienie siebie: Dante i pod tym względem od reszty się geniuszów odznacza, że zaszczytny trud eksplikowania jego wzięły na siebie wielkie umysły i wielkie nawet geniusze: objaśniali go Boccaccio i Filippo Villani, Benvenuto da Smola i Mario Filelfo, Giovanni de Serravalle i Schelling; objaśniał go i ten pod tyłą względami podobny mu wielki Michał Anioł, chociaż to w odmienny od innych, sobie właściwy i twórczy sposób uczynił:

wykonywając do *Boskiej Komedyi* ilustracye, których zatraty każdy miłośnik sztuki i wielbiciel tych dwóch geniuszów wiecznie żałować będzie. Indywidualne i zbiorowe prace nagromadziły się wiekami koło tego wielkiego pomnika wielkiej epoki. Roku 1350 wyznaczył arcybiskup medyolański Giovanni Visconti »dwóch teologów, dwóch filozofów i dwóch mieszkańców Florencyi« do wspólnego opracowania *Boskiej Komedyi*; a na soborze Konstantyńskim, na początku XV stulecia zajmowali się wielcy ustawodawcy kościoła w wolnych godzinach studjami nad Dantem. Odtąd nie ustawały umysły w rozbiorach i badaniach, i wieki pracowały nad poznaniem poematu, na którego utworzenie wieki się przedtem składały: sama bibliografia o Dantem, samo wyliczenie tytułów dzieł o nim traktujących, dały jeszcze w najnowszych czasach powód do osobnego, objętością swoją prawdziwie przerażającego dzieła. I do jakichże drobnych poszukiwań i mikroskopicznych badań zesłała ta chęć poznania florenckiego wieszca! O samych zewnętrznych faktach jego życia spisał Pelli cztery pełne najgruntowniejszej pracy tomy; o samej jego miłości, prócz tylu innych, traktuje Arrivabene w osobnem piśmie; nawet o tym raz jedyny w *Boskiej Komedyi* wzmiankowanym *psie alegorycznym* (veltro allegorico) znalazł Carlo Troja sposób napisania mozolnego i szacownego dzieła! Bo i czegoż nie dokáže miłość — nawet miłość uczonego, dla wielkiego przedmiotu! *Boska Komedya*, powiedział trafnie jeden z jej badaczy, podobną jest do wielkiej spuścizny, którą słabe i zubożałe potomstwo, któremu się dostała w udziale, musi rozdrabniać, by ją uprawić. Lecz i ci nawet, co nad masę szczegółów się wzniesli do ogólnego poglądu i *całość* tego wielkiego utworu objąć się starali, z ilużto i oni znowu różnych stanowisk na dzieło Dantego się zapatrywali; ileżto i oni osobnych do tego poematu podawali kluczy! I że tylko o nowoczesnych i celniejszych wspomnę badaczach, wystarczy już powiedzieć: że Rosetti i Ugo Foscolo szukali w *Boskiej Komedyi* polityczno-religijnej alegoryi; że Schlosser do niej czystą miarę historyi przykładał; że Ozanam przedewszystkiem na zawartą w niej scholastyczną filozofię zwrócił

uwagę, a Schelling etyczno-estetyczne jej stanowisko starał się oznaczyć; że Kopisch w niej głównie mistyczną i symboliczną stronę wyjawiał, a Labitte ją na legendowe pierwiastki chrześcijaństwa rozłożył<sup>1)</sup>.

Ta *ubiquitas*, jakby tu powiedział scholastyczny Dante, w wybieraniu sobie stanowiska, z którego się na dzieło jego zapatrywamy, znajduje niezawodnie swoje wytłumaczenie w uniwersalnym znaczeniu samego dzieła, w jego nieskończonym widnokregu, w niezmierzonej encyklopedyczności uczuć i myśli, faktów i kształtów, dogmatów i teoremów, które w sobie objęło. A jednak łatwo to każdy uczuje i uzna: dzieło, które z natury swojej właśnie tak niepodobnym jest do objęcia ze wszystkich punktów naraz, powinno zarazem i z natury swej właśnie mieć jedno główne *punctum saliens*. Ten utwór, który *dozwala*, by go z różnych stron oglądano, musi jednak *żądać*, aby to przede wszystkim z jednej strony głównie czyniono. Obok tej *dowolności* poglądu, która wypływa z jego rozległego obwodu, musi znowu wypływać z jego dośrodkowego znaczenia pewna *konieczność* poglądu, konieczność, którą ma w sobie każde dzieło twórczej wyobraźni. Jednym słowem: *Boska Komedya* nie jestże przede wszystkim dziełem sztuki? a jako takie, nie wymagaż ona, aby do niej przede wszystkim też i miarę przykładano sztuki?... Że ta miara jej jeszcze *całkiem* nie wymierzy, że zostawi wielkie reszty tej nieskończoności, którą wszelkie dzieło chrześcijańskiego ducha, a tem bardziej takie w sobie zamyka... któżby o tem śmiał powątpiewać! Ale wystarczaż wszelka inna miara pod tym względem: i czyż historyczne, filozoficzne, mistyczne i t. p. zapatrywanie się nie zostawia wiele jeszcze, a może najwięcej do życzenia? A w takim razie miara sztuki nie będzież dla dzieła sztuki najwłaściwszą, najstosowniejszą, *najwięcej wymierzającą*?

---

<sup>1)</sup> Nie odwołujemy się szczegółowo do tych i wielu innych prac, którym tyle zawdzięczamy; bo nie chcemy bez prawdziwej potrzeby obciążać pracy czytelnikom. Wytłumaczy nas zresztą i wyłączny sposób naszego zapatrywania się.

Poemat Dantego, powiedział jeden z jego głębokich znawców, jest jak ta bazylika rzymska, na której zewnętrznem i wewnętrznem zwiedzaniu nie przestawamy, ale której nadto i podziemne pokłady poznać chcemy: przy blasku pochodni zstępujemy w jej świętą kryptę, która nas w coraz głębszą, rozgałęzioną i zawiłą katakumbę prowadzi; a gdy bez cofania lub zagubienia się stąpamy do końca, wychodzimy... w pole dalekie, daleko od miejsca wejścia — i bazylikę nawet z oczu tracimy. Porównanie trafne: ale nauka, którą *my* sobie stąd wyciągnąć pozwolimy, będzie ta: że, aby siebie i czytelników w takie pole nie wyprowadzić, najlepszem jest zawsze patrzeć na bazylikę rzymską jako na dzieło architektury, a na *Boską Komedję* jako na dzieło poezyi, bo jako takie przedewszystkiem swoje wielkie i  *pewne* mają znaczenie.

Ze stanowiska więc przedewszystkiem sztuki i poezyi, jakieśmy się dotąd starali zrozumieć znaczenie poematu Dantego, jako epopei i allegoryi, tak w dalszym ciągu będziemy usiłowali poznać jego składowe żywioły i wewnętrzny organizm.

---

...

...

VI.

LENORA I UCIECZKA

(1853)

VI

LENORA I UCIECZKA

(1853)

### Lenora i Ucieczka <sup>1)</sup>.

»Wszyscy jeszcze przedemną na drżące padniecie kolana i mnie Dżingis-Chanem, t. j. najwyższym Chanem, w balladzie ogłosicie; a ja na znak mej wyższości położę nogę na wasze karki. Gdyż wszyscy, co po mnie ballady robić będą, staną się mymi nieodzownymi wasalami, lennikami mojego tonu«. W te wpół żartobliwe i wpół szczere słowa pisał Bürger do Bojogo i do reszty towarzyszków »Göttingskiego związku« w roku 1773, gdy nad swoją *Lenorą* pracował, a co się rzadko zdarza, obecnosc i potomnosc zatwierdziły przyklaskaniem to zarozumiale zdanie poety o swoim dziele. Przy okazaniu się *Lenory*, powiada A. W. Szlegel, rozległ się po całych Niemczech, i słusznie, okrzyk radości, jak gdyby naraz spadła zasłona z nieznanego jeszcze cudownego świata. *Lenora* zostanie zawsze, prowadzi dalej rzecz Schlegel, klejnotem Bürgera, kosztownym pierścieniem, którym on sobie ludową poezję, jak Doża Wenecyi morze, na wieki zaślubił: ona jedna jużby była w stanie poecie, nawet gdyby nic innego nie był stworzył, zapewnić nieśmiertelnosc. Tak się wyraża jeden z najświetniejszych umysłów nowszej krytyki; i zapal ten do pięknego utworu dzielily z Niemcami wszystkie prawie cywilizowane narody: z zachwyceniem przywitala go i w licznych przekładach przyswoila go sobie nawet obojętna na obce

---

<sup>1)</sup> *Pokłosie*. Zbieranka literacka na korzyść sierót. Rok drugi, 1853. Leszno. W komisie u Ernesta Günthera, str. 142—175.

płody Anglia, ta klasyczna ziemia ballad, na której wzorach, na której zbiorze Percego kształcił się sam Bürger; *Lenora* jest jednym z tych rzadkich dzieł, które są chwałą swego narodu, a zarazem własnością całego świata.

Z dwóch względów zarówno znaczącym było zjawisko tej ballady: ze względu tak wewnętrznej swojej poetycznej wartości jak i zewnętrznego historycznego rozwoju całego tego poetycznego gatunku. Ostatniego punktu nie dotknął Schlegel: zbyt może sam zrósł z całą ówczesną epoką przesilenia i zbyt czynny w niej brał udział, by ogólnym mógł objąć poglądem wszystkie jej historyczne następstwa. My, którzy teraz w pewnej odległości się zapatrywamy i z góry wszystkie zjawiska rewolucyjnego okresu poezji pod koniec XVIII wieku obejmujemy, my łatwo widzieć możemy całą doniosłość tego małego, a tak ważnego utworu i wskazać prawdziwe jego epokowe znaczenie. Rozdział w poetycznym (a może i politycznym) życiu między wiarą, pojęciami i twórczym zmysłem ludu, a wykształceniem, przekształceniem, potrzebami i uroszczeniami wyższych warstw społecznych, dla których poeci jedynie tworzyli i tworzyć godnym uznawali, rozdział, którego dawniej szczęśliwa Grecya nie знаła, a który od XVII szczególnie stulecia stał się pierworodnym grzechem całej nowożytnej literatury, wpłynął też był szkodliwie i na kształcenie ballady, tego wielce ciekawego poetycznego gatunku, który formą stoi tak w pośrodku między epopką a dramatem, jak sztuką między naturą a kulturą, między ludowym instynktem a artystyczną świadomością, i od którego też charakterystycznie poczynąła w nowszych czasach wszelka ludowo odradzająca się poezya każdego narodu, także i naszego, i za przewodem właśnie wieszczka, którego tu jeden drobny ale prześliczny utwór tego rodzaju rozbierać myślimy. Przed tem odrodzeniem i począwszy już od XVII wieku, pisarze ballad gdy brali motywy i przedmioty z naiwnej ludowej fikcyi, nie przystępowali do niej w prostocie, i że tak powiemy, w równowadze ducha poety z duchem ludu, ale w uczuciu wyższości poety nad gminnym zabobonem. Ze stanowiska tylko czystej refleksyi zapatrywali się oni na lud

i na poetyczne temata, które im naiwna jego twórczość podawała: uczuciem i wyobraźnią, temi dwiema daleko żywotniejszemi silniami wszelkiej prawdziwej sztuki, z nim się nie dzielili; i to doprowadziło do tego, do czego zawsze i wszędzie sama refleksya w poezyi prowadzić musi; do opisowości, do alegoryi i didaksty, do tego, co jest malowaniem, symbolizowaniem i nauce, i co wszystko prawdziwą istotność sztuki, życie, czyn i plastykę rozsadza i zaciera. Kierunek ten czysto refleksyjny prowadził dalej do ciekawszego jeszcze acz niemniej koniecznego rezultatu, który się zawsze tam objawi, gdzie między zadaniem a wykonaniem nie będzie spójni wspólnego uczucia i wspólnej wyobraźni, ale wywyższającej się i z góry spoglądającej rozumowej czynności; pisarze ballad ironicznie i humorystycznie obrabiali temata ludowej baśni. Ironia nie jest wprawdzie obcą i samym poetycznym tworom gminu, wystarczy tu tylko przypomnieć naszego Twardowskiego; cała wogóle ludowa fantastyka przybiera prawie zawsze i chętnie lekką ironiczną powłokę; ale ta ironia jest zawsze nietylko w harmonii z tematem, w najzupełniejszej z nim zgodzie, lecz jest nawet jego koniecznym wpływem, nie zaciera wrażenia, ale je tylko uwydatnia i łagodzi; nie narusza konturów, tylko dodaje lżejszego powietrza i zmiennego światło-cienia. I Homer, jeśli się bliżej przypatrzymy tym fantastycznym ustępom o Kirce, o Syrenach i o Polyfemie, które tak widocznie na tle ludowej fikcyi są usnute, nie jest wolnym od pewnego humorystycznego dźwięku; ale ta humorystyka jest właśnie niewinną, naiwną i mimowolną, jeśli tak rzecz można, wierzącą a nie sceptyczną, cukrowym uśmiechem dziecięcia, a nie szyderczym niedowiarka, jest jedną z cech tej eterycznej pogodności, która wszystkie dzieła helleńskiej obwiewa sztuki, tym ambrozyjnym uśmiechem, z którym spoglądają bogowie z Olympu, i z którym na uściech bohaterowie rzeźb egińskich nawet umierają. Poeci tymczasem, o których mowa, z zupełną świadomością swojej ironii i z prawdziwą jej wystawnością obrabiali balladę: z wyraźnym celem uchylecia od siebie najlżejszego pozoru, jakoby wspólną mieć mogli wiarę, wspólną myśl i wspólne

uczucie z tym ludem, którego fikcyje pełne szczerości poezyi, stały się tylko bawidełkami ich dowcipu. Humorystyka służyła im za broń, którą jak Eneasze w piekle, odpędzali od siebie te ludowe cienie i duchy, które sami wywoływali; broń obosieczna! bo jeśli z jednej strony odganiała wiarę gminnego zabobonu, z drugiej przesywała wskrós całą plastyczność i realność fikcyi i szyderczą tylko zostawiała nicość. W lekkim traktowaniu poważnego tematu i na przemian w poważnym lekkiego, w nadaniu wesołej formy ponurej treści lub znowu przeciwnie, w wzniosłym i pretensyjnym wyrażeniu naiwnej i prostej myśli, lub w naiwnem i do miękkości spieszczonem wzniosłej i silnej, w rozśmieszaniu strachami, a straszaniu śmiesznościami, jednym słowem: w ciągłej i świadomej sobie ironicznej i humorystycznej dysharmonii między zadaniem a wykonaniem, między przedmiotem a jego objawem, której i my słaby mamy przykład w *Strachach* Odyńca, widzieli oni istotę tak ballady jak i tak zwanej komicznej epopei, która w owym okresie tak pasożytnie się rozkrzewiła; i nic charakterystyczniejszego dla rozdziału i rozpadu między poetycznym sumieniem ludu a owych poetów, jak właśnie ten rozpad i rozdział między ludową fikcją a artystycznym jej obrobieniem, na który się ci ostatni świadomie silili. Już na początku XVII wieku i w dwóch ojczyznych krajach romanicy i ballady, w Hiszpanii i Anglii, spostrzegamy ten przewrotny kierunek w pojmowaniu i traktowaniu tego poetycznego gatunku; w Hiszpanii zgubny był szczególnie przykład znanego Gongory: wynaturzenie i *estilo scuito* tego potężnego, ale spaczzonego umysłu brano za naturę i styl (w klasycznym tego wyrazu znaczeniu) tego rodzaju poezyi; na znikczemieniu zaś ballady angielskiej narzeka już Shakespeare, który sam tyle z niej korzystał i w wielkich swoich dramatach tak często balladowy ton naśladował. W jednym szczególnie miejscu swojej *Zimowej Baśni* daje on ironiczną definicyę ballady w zepsutym smaku swego czasu i streszcza w krótkich ostrych słowach to wszystko, cośmy tu trochę obszerniej rozprowadzić musieli. *Balladę*, powiada tu Clown, a osoba ta u Shakespeara tak zarówno bywa

wyobrazicielem zepsutego smaku, jak zdrowego rozsądku ludu, »balladę lubię ja, a nawet za bardzo: gdy żałośnie materya wesoła opisana, lub gdy nader zabawna rzecz, a płacziwie opisana« <sup>1)</sup>). Tę smutną poetykę Clowna podzielali wszyscy późniejsi pisarze, a romanca i trawestyta stały się zupełnymi synonimami. Sławny i poważany w swoim czasie krytyk Weisse określił balladę jako »dziwaczną cudowność, krotocwilnym opowiedzianą smutkiem« (ein abenteuerliches Wunderbare, mit possirlicher Traurigkeit erzählt); i w tym duchu i w tej manierze Gongory układali w Niemczech przed zjawieniem się *Lenory* wszyscy poeci swoje ballady, nietylko Gleim n. p., ale sam nawet i Bürger. Sposób ten pojmowania był tak powszechny i tak głęboko zakorzeniony, że się znaleźli i tacy, co na *Lenorę* nawet samą z tego się jeszcze stanowiska zapatrywali i w niej nowe tylko zatwierdzenie tej dotychczasowej teorii widzieli, której właśnie zwycięzko zaprzeczyc wielkiem jej było zadaniem. »Co za sztuka w traktowaniu takiego właśnie przedmiotu! Ciągłe mieszanie komiczności i zgrozy, i bez obrażenia naszego uczucia!« Temi dziwnymi słowy przywitał jeszcze J. G. Jacobi *Lenorę* Bürgera; tak mało przeczuł jej historyczną doniosłość, tak mało nawet poznał jej istotny charakter! Bo w tem przecież leżała cała nowość i zasługa Bürgera, że oświecony nagle trafnymi pomysłami Herdera o poezji gminnej i zbiorem dawnych ballad angielskich przez Percego, który mu wpadł w ręce i z którego właśnie wziętą osnowę do swojej *Lenory*, zerwał w tym utworze na zawsze z fałszywym dotychczasowym kierunkiem »mieszania komiczności i zgrozy« i ironicznego i refleksyjnego traktowania ludowej fikcyi, któremu przedtem sam był hołdował! *Lenora* była pierwszą balladą, w której, że do użytego już wrócim wyrażenia, duch poety się utrzymał w równowadze z duchem ludu, w której

---

<sup>1)</sup> I love a ballad but even too well; if it be doleful matter, merrily set down, or a very pleasant thing indeed, and sung lamentably. — Winter's Tale IV. 3.

z góry spoglądająca refleksya nie rozpruwała nożem ironii złotej przedzy gminnego uczucia i gminnej wyobraźni, w której szczerzy i harmonijny zachodził stosunek między tematem, a jego obrobieniem. Bürger pierwszy znowu wrócił na tor prawdziwy i tak długo zaniedbany, z prostotą i naiwnością przystąpił do prostej i naiwnej baśni, a przykład, który dał, i oklask, który znalazł, wpłynęły stanowczo i trwale na losy tego pięknego poetycznego gatunku i w tem rozumieniu można mu przyznać, że wszyscy późniejsi pisarze ballad, Göthe i Schiller, Scott i Mickiewicz, są »lennikami jego tonu«, czyli raczej tego tonu ludowego, który on pierwszy znowu podsłuchał i do którego wszyscy inni za nim balladową nastroili strunę. To stanowi historyczne, epokowe znaczenie *Lenory*.

Dla samej siebie wzięta i ze względu tylko na wewnętrzną poetyczną wartość, ballada Bürgera niemniej wysokie zajmuje stanowisko. Pozwolim tu sobie znowu przytoczyć w całej swej obszerności zdanie Schlegla w tej mierze, i nietylko dla tego, żebyśmy z trudnością je lepiej lub również dobrze wypowiedzieć potrafili, ale i przedewszystkiem dla tego, żebyśmy chcieli niemieckiemu utworowi zostawić umyślnie cały urok gorących pochwał niemieckiego krytyka. Zdarzenie, powiada więc Schlegel, które omylone nadzieje i próżne wzburzenie się ludzkiego serca, a potem wszystkie zgrozy rozpaczliwej śmierci w niewielu, ale wydatnych rysach i żywo przelatujących rozłącza obrazach, oddane tu jest bez sztucznych dodatków i odprowadzających od celu upiększeń w bezpośredniej akcji i prawie całkiem w dialogu, podczas którego widzimy czyny i ruchy figur bez pomocy wszelkich opisywań, któreby tylko pochodowi przeszkadzały. W całym tym utworze panuje układ prosty i wielki; oprócz krótkiego wstępu i lekkich przejść rozpada się on na trzy główne części, z których pierwsza pogodny obraz powracającego wojska przedstawia, i z dwiema drugimi z dziką namiętnością *Lenory* i jej uprowadzeniem w krainę cieniów, najżywszy tworzy kontrast. Te dwie ostatnie części znowu między sobą są so-

bie również przeciwstawione: czem tam napomnienia matki, tem są tu męczarnie Lenory, i z tem samem stopniowaniem, które się tam w bluźnierczych wybuchach jej objawia boleści, porywa ją tu coraz gwałtowniej i spieszniej niebios kara, i nareszcie wśród prawdziwego nawału zgrozy wtrąca ją w przepaść. I w tej ostatniej też części, pełnej strachu i przerażenia, wszystko poeta uważnie i umiejętnie rozłożył i oszczędził, nie wszystko on naraz i na pierwszy rzut wydał, ale zawsze coś dla dalszego ciągu i końca zatrzymał, rzecz niezmiernej wagi przy takich właśnie wrażeń traktowaniu. W *Lenorze* nic nie ma zbyt czystego; wprowadzone widma są lekkie i powiewne, i nigdy nie popadają w odrazę lub cielesną namacalność. Przyczem i począwszy od »kruczych włosów« dziewczyny<sup>1)</sup>, każdy i najdrobniejszy rys ma swoje znaczenie; piękna lekkomyślność, z którą idzie za swym kochankiem, spieszność nocnego rycerza, dziki wesoły ton w mowach jeźdźca, wszystko to z całą świeżością zdrowego życia wpada w mgły świata cieniów, którego ostateczne zwycięstwo tem silniej porusza i przeraża.

O więcej niż pół wieku po ukazaniu się *Lenory*, którą i nam już Odyniec w dosyć zresztą przechwalonem był przyswoił tłumaczeniu, pierwszy mistrz naszej poezyi i autor tylu innych cudownych ballad, natchnął się tym samym, co dawniej Bürger, przedmiotem, i w nowej, odmiennej go oddał formie, niemieckiej *Lenorze* polską przeciwstawiając *Ucieczkę*. Kwestya oryginalności, w powszedniem rozumieniu tego słowa, nie powinna nas ani chwili zatrzymywać. Bürger tak dobrze (i Niemcy już to teraz przyznawają), wziął pierwotną myśl do *Lenory* ze

---

<sup>1)</sup> »Zerraupte sie ihr Rabenhaar«. W tłumaczeniu Odyńca położone tu: »Ona tłukąc piersi białe«. Bürger dalej mówi: »Und warf sich hin zur Erde mit wüthender Geberde«; Odyniec tłumaczy: »Z żalu na ziemię padła«. O tem, żeby się »łzami zalała i zbladła«, nie ma nic w Bürgerze — i słusznie. Czytelnik, coby chciał bliżej wglądać w przedmiot, który traktujemy, musi się udać do oryginału Bürgera; przekład Odyńca wszystkie niemal ważniejsze rysy zaciera.

zbioru Percego, jak nasz Mickiewicz z zasłyszanej gdzieś ludowej polskiej pieśni, z której, szkoda, że jedną tylko zwrotkę zapamiętał i udzielił<sup>1)</sup>); a w balladzie, której konstytucyjnym właśnie prawem i poetyczną racją bytu jest uchwycenie i oddanie myśli lub nuty ludowej w oczyszczonych kształtach wyższej sztuki, tak nazwana oryginalność tematu wszelkie traci znaczenie. Miłośnik piękna się tylko pytać będzie, w jakim z tych dwóch dzieł ta myśl ludowa w najwłaściwszej sobie oddana formie? któreż więcej przemawia do uczucia i wyobraźni? któreż wierniej wypełnia warunki prawdziwej sztuki, więcej objawia poetycznej siły twórczości? i w jakim oba do siebie zostają stosunku? Pytanie wcale nie tak błahe, gdy chodzi o przedmiot sam przez się tak piękny i interesujący; gdy się następnie porównywa największe i europejską sławą słynące dzieło jednego z celniejszych poetów niemieckiego narodu, z jednym z najdrobniejszych dzieł największego wieszczka z słowiańskiego szczepu; i gdy to porównanie nadto, jak się może wnet okaże, w dwóch małych balladach potrąca o jedną z najżywotniejszych kwestyi sztuki, i daleko głębiej sięga, niżby się to na pozór i na pierwszy rzut oka zdawać mogło.

Drobna ale czysta kropla rosy odbije nieskończone słońce, i te dwa drobne ale czyste poetyczne utwory odbijają cały charakter katolicyzmu i protestantyzmu w ich stosunku do sztuki. Bürger jest protestantem i z protestanckiego stanowiska swego ludu swój temat traktuje; rzecz to podrzędna, czy sobie akcyę *Lenory* wystawiał w katolickim lub protestanckim kraju, chociaż za tem ostatniem i jak już sam zauważał Schlegel<sup>2)</sup>, zdaje się

---

1) Miesiąc świeci,  
Martwiec leci,  
Sukienczka szach, szach,  
Panienczko, czy nie strach?

2) Schlegel przytem robi trafną uwagę, (choć jej nie rozprowadza i sam może z niej sobie właściwej nie zdał sprawy), że scena katolicka dla tej akcyi byłaby nierównie stosowniejszą.

i to przemawiać, że w niemieckiej balladzie kochanek Lenory jest pruskim wojownikiem z czasów Fryderyka II, i że matka w jednym miejscu robi przypuszczenie, że w (katolickich) Węgrzech może zmienić wiarę: to pewna, i zaraz się jeszcze jaśniej wykaże, że całe pojmowanie i ukształcenie tej ludowej fikcji u Bürgera jest protestanckie. Nasz Mickiewicz w katolickim sumieniu naszego ludu czerpa swoje natchnienie i z niezwykłą a znaczącą wystawnością gromadzi w tej balladzie wszystkie żywioły katolickiego ceremoniału. Z całą należną nieśmiałością i ze wszelkimi zastrzeżeniami własnej niepewności pozwolim sobie jednak i ten tu jeszcze zrobić domysł, że ballada, o której mowa, jest może pierwszym bezwiednym symptomem głębszego, religijnego kierunku w psychologicznym i poetycznym rozwoju naszego wielkiego wieszczu. *Ucieczka* zdaje się być jednym z ostatnich utworów Mickiewicza w kraju <sup>1)</sup> i w chronologicznym porządku bezpośrednio poprzedzać te jego pierwsze emigracyjne (*Księgi Pielgrzymstwa, Arcymistrz, Rozum i Wiara, Mędrcy, Rozmowa Wieczorna*), których głęboki religijny charakter zna każdy, a do których może ta nasza ballada pierwszą, bezwiedną i tajemniczą stanowi przedgawkę; w żadnym przynajmniej ze swoich poprzednich dzieł nie położył Mickiewicz tak silnego akcentu na religijną i katolicką właśnie stronę narodowej i ludowej twórczości. Cokolwiek bądź, główna i zasadnicza różnica w tak odmiennem pojęciu i ukształceniu tej samej poetycznej myśli przez dwóch poetów, o których mowa, leży w protestantyzmie jednego, a katolicyzmie drugiego; różnica ludowości i twórczej siły, w drugim tu dopiero staje rzędzie. Katolicyzm obejmuje całość i zupełność ludzkiego ducha, działa na wszystkie jego objawy, wszystkie jego funkcje w swój rozległy wciąga zakres i jest zarówno nauką dla rozumu, natchnieniem dla uczucia, a kształtem dla wy-

---

<sup>1)</sup> O ile sprawdzić mogliśmy, ogłoszoną została *Ucieczka* po raz pierwszy jako dodatek do I. tomu *Parnasu Polskiego*, w Poznaniu 1832. W tym samym roku wyszły w Paryżu *Księgi Pielgrzymstwa*.

obraźni, dla wszystkich razem jedną uniwersalną aspiracją. Protestantyzm wprost przeciwnie w ścieśnieniu religijnego zakresu, w oddzielności objawów ducha i w ścisłym rozgraniczeniu między tem, co boskiem a ludzkim, widzi swoje zadanie; wiara tu ni psychicznego, ni estetycznego, tylko czysto etyczne ma znaczenie; jest wyższą moralną policyą, jest tylko nauką i działa wyłącznie na umysł; uczuciu prawie nic nie daje, a wyobraźni wszelkich praw zaprzecza. Stosunek sztuki do tych dwóch religii jest jasny i wszędzie też uderzy; sztuka katolicka więcej na uczucie i wyobraźnię działać będzie, protestancka bardziej na myśl; tamta będzie bardziej plastyczną, ta bardziej refleksyjną; tamta wyda Rafaela, Mozarta i Calderona, ta Dürera, Haendla i Shakespeara. Dość tylko spojrzeć na kult katolicki i protestancki, by z całego tego stosunku łatwo sobie zdać sprawę; katolicki nie zaprzestaje na samej tylko nauce i zadowoleniu rozumu, ale i malarstwo i muzykę i procesy i całą bogatą wystawność swych obrządków w pomoc przyzywa, wszystko, co uczucie podnieść i obudzić, a wyobraźnię zająć i zaspokoić może; protestancki to wszystko, i nie bez pewnej konsekwencji i harmonii ze swoją zasadą, odrzuca i to sobie tylko zostawia, co wyłącznym rozumem i refleksyją jest udziałem, co z myśli pochodzi i do myśli przemawia: naukę, kazanie. I ta ostatnia uwaga wprowadzi nas znowu wprost do naszych dwóch ballad, których różnica właśnie bezpośrednio w różnicy bardziej tych dwóch kultów, niż tych dwóch wier leży.

Dziewczyna, która wśród powracającego »z brzękiem, dźwiękiem« z długiej wyprawy wojska, szuka napróżno swego ulubieńca, i dzikimi słowami rozpaczy, w których Boga nielitościwym, modlitwę niepotrzebną, a ś. Sakrament bezskutecznym nazywa, ściąga na siebie straszną niebios karę; taki jest punkt wyjścia w balladzie Bürgera. Zupełnie on odmienny w *Ucieczce* Mickiewicza. Skutkiemże to katolickiej myśli, oględniejszej nierównie w sądzeniu tajnych bożych wyroków, lub też naszego ludowego usposobienia, daleko mniej pochopnego do wywyższe-

nia się i zaprzeczenia jak germański, albo też wreszcie głębszej może znajomości prostego serca niewiasty wogóle, rzadko kiedy się tak unoszącego, by aż bożego zaprzeczyć miłosierdzia; dość, że dziewczyna w naszej balladzie nigdzie tak wyraźnie i w takich wyrazach, tak świadomie i tak zapamiętała, choć w wybuchu rozpacz, przeciwko Bogu nie grzeszy, i że żadne jej słowo nie nosi takiego piętna bluźnierstwa. Tam, gdzie Lenora modlitwę niepotrzebną, a ś. Sakrament bezskutecznym mianuje, nasza panna, nawet i w pospiesznej ucieczce, której żadne zastanowienie nie poprzedza, bierze z sobą ołtarzyk złoty, i szkaplerz i koronki, i krzyżyk, co matka dała; a gdzie tamta przekłętwa ma na usciech, ona umie tylko powiedzieć, że »umrze, gdy on nie żyje«; to jest jej najsilniejsze wyrażenie. A jednak i ona grzeszy i grzeszyć musi, na tem polega cała peripetya ludowej fikcy; tylko, że grzech ten się nie objawi u niej w bluźnierczych i zapamiętałych słowach, jak u Lenory, ale w jednym i, prawiebym rzekł, niewinnym, przynajmniej nie z całą świadomością o jego ważności podjętym niekościelnym akcie, a i ten krok, jakżeż on jeszcze do tego starannie umotywowanym, jakżeż psychologicznie wytłómaczonym! Kontrastu pogodnego obrazu wracającego z wyprawy wojska z namiętnością osieroconego kochającego serca i straszną sceną nocnych cieniów, kontrastu przez Schlegla, jakżeśmy widzieli, tak zachwalonego, rzekł się nasz poeta, i ledwo, że nieznacznie tylko ucztowanie księcia we dworze i szumny i tłumny zjazd swadźby przeciwstawił cichej rozpacz płaczącej w komorze panny, a jeśli ścisłą sobie zechcemy zdać sprawę, przekonamy się może, że zatrzymanie owego rysu przez Bürgera było niemal tak koniecznym, jak jego opuszczenie przez Mickiewicza: gwałtowne słowo rozpacz może tylko wyrwać nagła wieść nieszczęścia, nagle omylona nadzieja i wielki kontrast własnej boleści z weselem innych; zezwolenie i przystąpienie do jakiegoś stanowczego aktu natomiast bywa zazwyczaj skutkiem długich cierpień, dawno tulonego żalu i nadarżającej się okoliczności, która ostatecznie popycha. To wszystko w kilku tylko

krótkich, ale wymownych rysach mistrzowską nakreślił ręką nasz poeta. On od roku już wojuje, nie wraca, może i zginął; a jej źrenice jak dwie mętne krynice, i lica nikną jak księżyc w nowiu. Do tych jej cierpień przychodzi jeszcze natrętność innego zalotnika, a tym zalotnikiem jest książę: jedna z tych wyższych, za zwykły i poziomy zakres wychodzących figur, które lud tak często wprowadza do swoich naiwnych fikcyi, a która zarazem tutaj służy do oddania jednym rysem całego ogromu nieszczęścia biednej dziewczyny, zmuszonej walczyć przeciwko przemożnemu wpływowi pana, któremu się oprzeć tak trudno, któremu matka się też i nie opiera. Książę już dał na zapowiedzi, ksiądz już czeka w konfesyonale, a stroskana i zbiedzona matka usilnie nalega: tak wszystko oddawna i powoli, a potem naraz i nawałem się zbiega i popycha pannę do czynu rozpaczy. Jeszcze i teraz jednak nie w niej samej taka myśl powstaje; ona, sama sobie zostawiona, tylko śmierci pragnąc, tylko bierne życzenie objawić umie. Do jakiegoś czynnego kroku, do doprowadzenia jej do prawdziwego występku musi jeszcze przyjąć nowy motyw, w ludowej i religijnej psychologii głęboko uzasadniony i tu prześlicznie ukształcony: kusiciel przyjsć musi, a tym kusicielem jest kuma, widma stara. I tu jeszcze umiejętnie cieniowanie sytuacji nie ustaje. »Bóg i wiara, sen i mara!« — te słowa tylko kuma powiada, ona ich za nią nie powtarza; ona wszystko to, ale też tylko to robi, co kochanka przyprowadzić może; i to wszystko znowu jest przecież tak naturalnem, tak mimowolnem, ma prawie wszystkie pozory dozwolonej rzeczy! Bo i cóż w tem na pozór tak złego, że mając włosy kochanka, dwie z nich zrobi obrączki i krwi z lewej ręki usączy i na węża kłąć będzie? a jeżeli jest coś złego, prawiebyśmy powiedzieli natenczas, że to w czynie, nie w myśli; bo myśl znowu przecież tak naturalną, tak łatwą do przebaczenia, myśl, że »musi przyjsć i ciebie wziąć!« Porównajmy jeszcze raz, i w tej ważnej chwili grzechu, dziewczynę naszej i niemieckiej ballady; jakaż uderzająca różnica! Lenora grzeszy słowami, których znaczenie jest jasne i bezbożne;

nasza dziewczyna grzeszy czynem, z którego sobie żadnej wcale nie zdaje sprawy; tamtej grzech jest bez celu, jest bluźnierczym acz bolesnym wykrzykiem zranionego, lecz namiętnego serca; tej występki ma cel, cel sprowadzenia i widzenia kochanka; jedynie w tym celu czyn cały jest podjęty, a cel ten znowu jest tak rzewny, tak naturalny, tak czystym niewieścim uczuciem czystego niewieściego serca, że prawie zakrywa źródło złego, z którego wypłynął. Wprawdzie myśl zasadnicza jest w gruncie ta sama w naszej i w niemieckiej balladzie, i nią być musi: myśl, że człowiek powinien z pokorą tajne Opatrzności zrządzenia, że powinien cierpieć »choć z żalu serce pęka i się nie spierać z Bogiem w niebiesiech«; a w tem znaczeniu występki naszej dziewczyny jest może jeszcze większym i donioślejszym od występku Lenory; bo oprócz milczącego zarzutu przeciw rozporządzeniom Opatrzności, jest on zarazem grzesznym usiłowaniem do zmienienia onych i do przewyciężenia najwyższej woli zapomocą nieludzkich i niebożnych środków. Ale to, co w niemieckiej balladzie jest świadomem bluźnierstwem rozjątrzonej duszy, jest w polskiej bezwiedną słabością znękanego i kochającego serca; co tam wściekłym wykrzykiem rozpaczy bez celu, tu odważnym czynem miłości w celu tak tkliwym jak czystym; co tam zdaje się już prawie wychodzić za zakres niewieścigo usposobienia i serca, tu w niem dopiero właśnie znajduje swoje uzasadnienie, a prawie i konieczność; a co wreszcie ze stanowiska sztuki najważniejsza: co tam jest tylko czystą refleksją, tu jest czystą plastyką; czynem, co tam tylko słowem. U Bürgera Lenora złorzeczy Bogu; matka ją napomina do umiarkowania i do skruchy; córka na to ciągle większemi bluźnierstwami odpowiada, a matka znowu daje przestrogi — i tak wzdłuż siedmiu długich strof ciągnie się rozmowa, która prawie przybiera charakter religijnej dyskusji teologicznej i teleologicznej dysputy. W naszej balladzie w miejscu tej dyskusji jest akt, w miejscu tej dysputy jest czyn, w miejscu tej dydaktycznej refleksji jest poetyczna plastyka, i jaka plastyka! jak czysto w ludowym duchu pojęta! jak misternie w tych ciągłych jednozglłoskowych i je-

dnodźwicznych rymach oddana, które samą swą zewnętrzną już formą zdają się być jakimś czarodziejskim zaklęciem! Cały ten ważny moment grzechu jest tam prawie kazaniem, tylko, że w dyalogu; tu prawie obrzędkiem, tylko, że nie prawowiernym.

Przez ten odmienny punkt wyjścia, przez to pojęcie i ujęcie zasadniczej myśli w duchu katolickiej wiary i katolickiej plastyki, przez to jej umiejętne psychologiczne umotywowanie i jej wreszcie ukształcenie w najżywszych i najwierniejszych formach ludowej wyobraźni, podniósł nasz wieszcz nietylko sam tak ważny moment peripetyi, ale dla całego dalszego pochodzenia, dla całej akcji i w jej najdrobniejszych rozczłonach pozyskał jedną główną, uniwersalną i poetyczną sprężynę, którejbyśmy w niemieckiej balladzie napróżno szukali. A nasamprzód u Bürgera między rodzajem grzechu a rodzajem kary niema żadnego koniecznego związku; bluźnierstwo Lenory tak dobrze w ten jak w kaźden inny sposób mogłoby być ukaranem, i dopiero refleksya znowu nasza musi ten właśnie związek i tę przyczynność dodać, których w samym przedmiocie, branym dla siebie i na iwnie, niema. W *Ucieczce* natomiast związek ten jest naturalny, w samem założeniu dany, konieczny i nieodzowny. Rodzaj tu kary nie zdaje się, jak w niemieckiej balladzie, być własnowolnym i niejako artystycznym tylko wymysłem Opatrzności, ale jest koniecznem następstwem samego grzechu, i dziewczyna sama, według tej poetycznej sprawiedliwości, którą już zalecał Arystoteles, kuje na siebie broń, co ją przebije; tę broń, a nie inną. Nie dlatego, że bluźniła, przychodzi do niej martwiec, ale dlatego, że go sama wywołała, że go sama wyzwala: »musi przyjść i ciebie wziąć«. — To leży w poetycznej logice tego zaklęcia: »Panna grzeszy — jeździec śpieszy; klęto ducha — klątwy słuca«; te wiersze następują tuż po strofie o możnych czarach, i są jakby głosem ludowej wiary w tej mierze, jakby klasycznym chórem tej małej tragedyi. To przybycie jeźdźca jest od razu spodziewanem i przez dziewczynę przedewszystkiem; gdy usnął dwór zamkowy — »Panna czuwa«, i gdy bije północ —

»Panna słyży«. I tu odśłania się nam znowu jedna genialna sprężyna w twórczości naszego wieszczu. Wprowadzając cudowność, poeta zawsze dobrze zrobi, gdy ją realnie umotywuje i psychologicznie uprawdopodobni. Tak czynili Homer i Shakespeare, najwyższy mistrz w epepei i najwyższy w dramacie. Hamlet widzi duchy »przed oczyma duszy swojej«, nawet nim mu się jeszcze cień ojca objawia; cały jego elegijny, sentymentalny i artystyczny charakter jest już tak ułożony, że i on i my w jego widzenia łatwo uwierzyć możemy; a Athene, jak wiadomo, przystępuje zawsze wtedy do Odyssa, gdy ten już w swoim duchu wszystko rozważył, i uświęca tylko swoim przyzwoleniem to, co tamten własnym umysłem zawyrokował; i tu i tam cudowność jest tylko plastycznym symbolem wewnętrznego stanu duszy, nie samą tylko zewnętrzną, niezgrabną machiną. I ten też najwyższej i najmistrzowszej sztuce podchwycony rys znajdujemy także w tym prześlicznym utworze naszego wieszczu. Dziewczyna, która mężne robiła czary, która tajemnicze uczyniła zaklęcia i która potem, gdy wszyscy śpią, czuwa, i gdy północ bije, nastawia ucha, ta gotowa widzieć ducha, nawet gdyby go nie było, i wierzyć w jego rzeczywistość, choćby tylko we śnie. I czyż nie możemy w istocie brać wszystko za straszne snu widzenie? całą tę nadzwyczajność za zwyczajny skutek marzenia dziewiczego umysłu, owładniętego żywym wspomnieniem po świeżo popełnionym czarowym akcie? Czyż na tem coś ucierpi poetyczne wrażenie lub psychologiczna prawda? Tak tu, jak w Homerze i Shakespeare'ze możemy więc do woli odjąć całe rusztowanie cudowności; same ludzkie i psychologiczne motywy już wystarczą do udźwignienia całego tak pięknego i sztucznego sklepienia wyobraźni. Utworowi Bürgera wszelka próba tego rodzaju odjęłaby od razu całą jego podstawę.

Ta jedna wielka i symboliczna przyczyna, którą nasz wieszcz wprowadzeniem aktu zaklęcia nadał całej pięknej fikcyi, uwalnia go od wyłuszczenia wszystkich innych mniejszych i zwyczajnych; ta wyższa poetyczna pragmatyka, którą pozyskał dla akcyi, każe mu opuścić wszystkie inne drobniejsze i prozaiczne, nad których

mikroskopicznym wymalowaniem tak starannie pracuje Bürger. I tak n. p. u Bürgera przybywający martwiec prosi Lenorę, by mu drzwi otworzyła, przez które nasamprzód z nią rozmawia; przyczem i onomatopoiczny opis dzwonka, za który pociągnął, nie zanedbany; pragmatyka drobnostkowa i dziecinna: bo ten, co grób swój mógł odwalić, temu klamka zaporą być nie powinna — i też zupełnie przeciwnie pojął i wystawił to nasz poeta: przed jego jeźdzcem drzwi się same otwierają: »drzwi troje, troje drzwi jedne po drugich« dodaje on tu nie bez przyczyny, wzmacniając tem ślicznem powtórzeniem cały straszny efekt rozsuwających się przed martwcem wszelkich zapór. W naszej balladzie widać wszędzie wyższy tajemniczy i nieprzeparty wpływ, wpływ czarów, który wszystko porywa i magiczną pociąga siłą; zwykły tryb i tor zjawisk życia jest tu, że tak powiemy, skrócony; po przyczynie następuje wraz skutek, po fenomenie wraz wrażenie, jak grom po błysku; wszystko się odbywa w nagłych, doraźnych i skokowych rzutach, z pominięciem wszelkiej drobnej pragmatyczności, jakby we śnie, jakby w widzeniu, w których przecież także wszystko się zwykło dziać prędko, urwanie, w skąpych rysach i bez wszelkiego rozprowadzenia; i ta właśnie ani na chwilę się nie zdradzająca konsekwencya, z jaką poeta całą akcyę w charakterze prawdziwej fantasmagoryi i halucynacyi utrzymać potrafił, jest może najwyższą sztuką w tym utworze. U Bürgera rycerz nasamprzód przededrzwi rozmawia z Lenorą; potem, wpuszczony do izby, namawia ją do ucieczki; kochanka wspomina o zimnym wietrze, co świszczy na dworze; nie wierzy, aby w jednej nocy sto mil ubiedz mogli; pyta się o jego mieszkanie — i po długiej rozmowie, która przez pięć strof się ciągnie, nareszcie się ubiera i wskakuje na koń. Mickiewicz całej tej sytuacji jedną tylko poświęcił zwrotkę; ale jakżeż dobitnie ją oddał! jakież bogactwo w tych skąpych rysach! ileżto treści w tych krótkich słowach! Jeździec wchodzi i usiada na pościeli, rozmowy nie słyszemy; któż wie, czy nawet i miała miejsce? — »słodko, prędko czas ucieka«, ten jeden wiersz powiada wszystko; rżenie konia, jęk sowy, bicie zegara, dają taje-

mnicze hasło ucieczki; i tu jeździec nie namawia, nie zaklina, nie opisuje; on tylko wypowiada te krótkie, treściwe i magiczne słowa: »bywaj zdrowa — lub na wieki moją bądź!« — nie wiemy, czy się dziewczyna ubrała, czy wskoczyła na koń, czy to robiła chcąca lub niechcąca; następujący zaraz wiersz tylko dodaje: »miesiąc świeci — jeździec leci«; wszystko się odbyło w magicznej niemości, w zmorowej fascynacji i to jakby magnetyczne posłuszeństwo naszej panny jest jeszcze nierównie piękniejszym od owej »pięknej lekkomyślności«, którą tu Schlegel tak zachwala w *Lenorze*, a cały ten straszny ustęp kończą te same smutne słowa jakiegoś niewidzialnego, ludowego chóru: »Panno, panno, czy nie strach?« — które już wprzód zakończyły ustęp o zaklęciu; wiążąc przeto tym rytmicznym zwrotem, prawiebyśmy rzekli namacalnie, przyczynę ze skutkiem, grzech czarów z karą porwania.

Opis nocnej fantastycznej ucieczki, który teraz następuje, jest kulminacyjnym punktem tak *Lenory* jak i *Ucieczki*, i polski zarówno jak niemiecki poeta skupili na tem miejscu całą twórczą siłę wyobraźni i sztuki; tylko, że każdy z nich inną sobie w tej mierze obrał drogę; i tu znowu, jak wszędzie, różnica w pojmowaniu i wykonaniu jest nadzwyczaj ciekawą. Dla zapełnienia tej podróży pełnej twogi, dla roztoczenia obrazów i stopniowania wrażeń, umyślił Bürger otoczyć pogoń obcemi, coraz inszem i dzikszemi zjawiskami i mnożeniem coraz nowszych i straszniejszych szczegółów powiększyć ogólną i ostateczną sumę poetycznej zgrozy. Nasamprzód przesuwają się nocny żałobny orszak z trumną i całunami, którego rycerz z dziką ironią na swoje gody zaprasza i pieśń weselną mu nucić każe; potem »wietrzna hałastra« płąsa przy blasku księżyca około szubienicy i przez jeźdźca przywołana, bieży za nim z szumem wiatru przez liście suche; w końcu rumak zamienia się w kościotrupa, rycerz znika, w powietrzu jęki, a płacz z głębi ziemi, i duchy tańcząc wkoło *Lenory* śpiewają pieśń ponurą, »ciała się pozbyłaś, duszę w pieczy niech ma Bóg!« Takie są środki działania Bürgera, i w rzeczy samej trudnoby było nie przyznać, że w nich wielka siła

i poetyczne ukształcenie. Zobaczymy zaraz jak zupełnie innemi i odmiennemi są one u Mickiewicza; tu tylko chcielibyśmy przede wszystkim na to zwrócić uwagę, że nasz poeta wszelkich podobnych się rzekł sprężyn, że żadnych innych nowych zjawisk nie wywołał, żadnemi nowemi cieżnami i duchami swego jeźdźca nie otoczył, i przez cały ciąg fantastycznej podróży dziewczynę w jedynem towarzystwie kochanka zostawił. Może się mylimy; ale nam by się zdawało, że ta skąpość obrazu w polskiej balladzie więcej działa, jak owe bogactwo w niemieckiej, i że tu oszczędność fantazyi prawdziwiej i skuteczniejszej swój cel osiąga, niż tam jej wielka rozrzutność. Co jest najstraszniejszego w zjawisku ducha, to jego samotność; to powiedział już Boerne, jeszcze może prawdziwiej jak dowcipnie; wszelkie tu towarzystwo, i choćby nawet towarzystwo samych duchów, jest już ulżeniem, jest już rozdzieleniem i osłabieniem jednego wytężonego uczucia, i nic też w istocie straszniejszego nad tę właśnie samotność naszej dziewczyny z kochankiem przez cały ciąg podróży, z kochankiem, którego pośpiech tak dziki, milczenie tak złowieszcze, a słowa tak niezwykle, tak dwuznaczne i przerażające. Bo te właśnie pytania o drogę, o jej cel i o dom kochanka, które w poemacie Bürgera dziewczyna już wnet za przybyciem robi jeźdźca, i dwuznaczne odpowiedzi, które na nie odbiera, to wszystko przeniósł Mickiewicz, zamieścił i rozłożył w ciągu podróży dopiero samej; i ta jedna tylko rozmowa służy mu za dźwignię tych wzruszeń i zgroz, które Bürger piętrzeniem strasznych zjawisk stara się wywołać; ale też wcale inaczej i głębiej umotywowował i ułożył nasz poeta tę rozmowę, i daleko umiejętniej przede wszystkim cieniował główną tu figurę martwca! Zachowanie się tego nocnego jeźdźca względem swej lubej jest zupełnie odmiennie pojętem i oddanem w polskiej jak niemieckiej balladzie. Wojownik Bürgera straszy ciągle Lenorę, drażni ją i z niej się urąga: »Ha! strasznoź!« — woła on raz po raz do niej — »umarli prędko jadą!«; a ona, przerażona, truchlejąca, go wciąż prosi: »dajże umarłym pokój!« — Straszne to jest niezawodnie; tylko może jeszcze i czemś innem, i zgroza tu już

może dotyka granic tej odrazy, której unikanie właśnie tak zalecał i zachwalał Schlegel. Jest to może coś odrażającego, moralne nasze uczucie drażniącego w tem umyślnem drażnieniu kochanki i jej wyszydzeniu przez cienia tego, dla którego tyle, wszystko, aż do swego poświęciła zbawienia. Cokolwiekbądź: w balladzie naszej stosunek jest inny. Tu jeździec nigdzie dziewczyny sam nie straszy, nigdzie o umarłych nie wspomina; poznana już przez nas zasadnicza myśl jakiejś tajemnicznej, czarowej siły i woli, której martwiec tylko fatalnem jest narzędziem, dozwala naszemu poecie, nie odejmując nic jeźdźcowi z jego straszego posłannictwa, zostawić mu jednak pewne rysy ludzkiego, litościwego, prawiebyśmy powiedzieli, tkliwego uczucia, i ten właśnie misternie utworzony kontrast w fantastycznej figurze kochanka i kata zarazem podnosi jeszcze niewymownie całą tragiczność sytuacji. Nasamprzód i to już na uwagę zasługuje, że gdy w niemieckiej balladzie rycerz zawsze rozmowę, czyli właściwiej urągania, zaczyna, a Lenora go o »pokój« prosi; w naszej przeciwnie i charakterystycznie: on nigdy z własnego nie przemawia natchnienia, widocznie jakby unikał rozmowy; on tylko na pytania dziewczyny odpowiada, krótko ucinając; zdawałoby się, że go każde słowo kosztuje, żeby je i sobie i jej chciał oszczędzić; a nawet to, co w jego ustach okrutną brzmi ironią, zdaje się znowu być zarazem konwulsyjnym śmiechem głębokiej boleści; w każdym razie nie jest to ów »dziki wesoły ton« kochanka Lenory, ale ponura humorystyka wielkiej i magiczną jakąś siłą do milczenia i udawania zmuszonej rozpacz: »głowa moja ogniem pała i kamienie ogrzać może!« — woła on znacząco w jednym miejscu... Przez cały ciąg podróży jest on pełen względów dla swej »lubej«: gdy jej trudno dosiedzieć na łąku, radzi jej się imać siodła; a gdy drży z zimna, chce gorącą swą głowę na jej piersiach złożyć; a z tem wszystkim stoją znowu w przerażającym i prześlicznym kontraście straszne słowa, które mu się wyrywają i straszniejsze jeszcze rozkazy, które daje »lubej«, by precz odrzuciła wszystkie święte znaki.

I tu wreszcie przystępujemy do tej jedynej, z katolickiego znowu kultu branej artystycznej sprężyny, którą nasz poeta zastąpił najzupełniej całą ową machinacją zgrozy, duchów i cieniów i strasznych zjawisk u Bürgera — i bez porównania większe nią osiągnął wrażenie. Dziewczyna wzięła z sobą ołtarzyk złoty, paciorki, szkaplerz i koronki i krzyżyk, co matka dała; te świadectwa wiary oburzają i bolą wysłannika piekła, a panna na jego gniewny rozkaz upuszcza je jedno po drugim; oto są główne tak proste, a zarazem tak znaczące wypadki fantastycznej podróży. Jakażto głęboka myśl w tej sytuacji, w której dziewczyna za swoje uwierzenie przedtem w fałszywe i czarodziejskie znaki: »w kwiat, paproć i car ziele«, musi się teraz rozstawać ze znakami prawej i świętej wiary! — jakież tu to znowu poetyczne powiązanie grzechu i kary, którego najlżejszej nawet próby nie znajdujemy w balladzie niemieckiej! Do jak silnych że to wzruszeń użył nasz wieszcz tej na pozór tak drobnej artystycznej dźwigni, i do jak umiejętnego ich zarazem stopniowania! Za każdym upuszczeniem jednego ze świętych znaków, koń jak gdyby się zbywa ciężaru, który znowu całym swym ogromem spada na wyobraźnię czytelnika; za każdym się wrażenie powiększa, wzruszenie pomnaża, i z tem samem stopniowaniem wzmaga się coraz bardziej gwałtowność czynów i słów. Gdy jeździec ołtarzyk złoty spostrzeża, każe tylko rzucić »tę książkę«; paciorki i szkaplerze już nazywa »przeklętym sznurem« i »cackami«; na samo zaś przecucie najświętszego znaku Pańskiej Męki koń drży i staje; »mnie i ciebie boli krzyż«, powiada jeździec do rumaka w straszonym swoją dwuznacznością sarkazmie: ten znak, ostry jak strzała, twarz mu rani, skronie pali... i »precz mi, wreszcie woła, z tym ćwiekiem ze stali!« Jakażto wspaniała klimaks! i jakżeż mało z nią może iść w porównanie owe mnożenie strasznych zjawisk u Bürgera! A gdy jeszcze sobie przywodzimy te wszystkie tak porywające i przerażające, a zarazem tak proste, tak bez żadnego sztucznego natężenia oddane drobniejsze szczegóły i wypadki fantastycznej podróży, które trzem owym główniejszym

i stanowczym z książką, z paciorkami i z krzyżem, towarzyszą; gdy przywzodzim ten dziki krajobraz z wilczemi źrenicami po łożach, z wystraszonemi w suchych jodłach wronami i z błędnym ognikiem przez grobowce przelatującym i którego błękitnym śladem leci jeździec; tę piekielną pogoń przez dziesięć skał, dziesięć rzek i dziewięć gór i nad przepaściami; ten zimny dreszcz dziewczyny, nierozumiejącej, biednej! ni drogi, ni jazdy, ni ruchów, ni czynów, ni słów, ni rozkazów swego kochanka; te rytmiczne napędzania konia w stałych, jednostajnych słowach jakiejś czarowej formuły i w tych jednozgodzkowych i jednozdźwięcznych rymach, których tajemniczy i magiczny charakter już się nam przy zakłęciu objawił; te wreszcie krwawe żarty martwca o swoim domu na górze Mendoga, do którego się w nocy jedzie, o swoim zamku »zamczystym, choć bez klamek«, o swojej włości, do których pieszych gości nie wpuszcza, o tym murze, co jego zamków strzeże, a który jest cmętąrzem, i o tych wieżach, które są krzyżami... jakież wszechwładne i niewyczerpane nas wówczas opanuje przerażenie, jakież zarazem podziwienie dla mistrza, co tak małymi środkami taki wielki umiał osiągnąć skutek! Dodajmy jeszcze i to, że wszystkie te trzy straszne momenta ze świętymi znakami, są przytem jednak jak najrealniej umotywowane; jeździec zrazu zdaje się tylko ogólne i niejasne mieć poczucie jakichsiś wyższych przeszkód swej podróży; na ich prawdziwej istocie poznaje się dopiero stopniowo, i za każdym razem jest podana realna do tego przyczyna: dopiero gdy dziewczynie siodła prawą każe imać ręką, widzi w tem ręku ołtarzyk złoty; paciorki potem i szkaplerze spostrzega, gdy poruszone skokami rozjuszzonego rumaka zaczynają mu migać w oczy; a gdy wreszcie rozognioną kładzie głowę na piersiach swej lubej, pali mu twarz ów ćwiek ze stali. Dodajmy jeszcze i to, że stopniowanie zgrozy u Bürgera jest więcej kwantytatywnem niż kwalitatywnem; do tych strasznych scen, które wystawił, można sobie przynajmniej pomyśleć i w myśli dodać wiele innych; w *Ucieczce* to stopniowanie dochodzi do apogii, poza którą nic już nietylko straszniejszego, ale nic nawet innego zajść nie jest

w stanie; wszystko jest wyczerpanem, i gdy krzyż rzucony, już tylko rozwiązanie nastąpić może i musi.

Rozwiązanie to jest znowu tak skąpem, krótkiem i skokowym w Mickiewiczu, jak bogatem, rozprawdzonem i potoczysem u Bürgera. W balladzie niemieckiej wojownik szpicrutem roztrzaska żelazne kraty cmętarza; koń się zamienia w kościotrupa z klepsydrą i sierpem; Lenora jest zawieszona między życiem a śmiercią, a płaszące wkoło cienie nucą pieśń, która całą moralną naukę straszego wypowiada zdarzenia. W balladzie naszej, w miejscu tych czterech długich opisujących strof, są cztery krótkie plastyczne wiersze: gdy krzyż na ziemię padł i zniknął, »jeździec pannę w poły ścisnął, z oczu i ust ogniem błysnął«, a rumak, co »ludzkim śmiechem ryknął«, więcej tu przeraża, jak gdy tam zwolna przechodzi w kształt szkieletu. Koń zniknął z jeźdźcem i panną, a »na cmętarzu cisza była«, dodaje tu jeszcze wieszcz nasz; w prostych i naturalnych słowach oznaczając ten żywy kontrast, który nas i w powszednim też życiu tak często i tak boleśnie uderza, gdy po jakimś wielkiem nieszczęściu, po strasznej katastrofie, widzimy z zadziwieniem naturę niezmienną i świat odwieczne swe i jednostajne toczący koło... Ksiądz wreszcie, co nad grobem ze świeżo ruszoną ziemią i bez krzyża, długo stał i mszę za dwie dusze miał, nadaje całemu utworowi to estetyczne i religijne uspokojenie, które tak zarówno niezbędnem jest dla wszelkich dzieł sztuki jak życia, i zamyka pełną zgromy powieść potępienia, pocieszającą nadzieją zbawienia i łaski.

Z takimto arcydzielnym mistrzostwem uchwycił wieszcz nasz i ukształcił i w jedną harmonijną złąć całość poetyczne żywioły katolickiego kultu, ludowego ducha i wyższej czystej sztuki. Kilka jeszcze słów dorzucim o znaczeniu tych dwóch ostatnich żywiołów w dwóch utworach, które tu porównujemy. Dziwna, w tej balladzie Bürgera, tak chwalonej ze swego gminnego charakteru, prócz tematu, pewnego, naiwnego, choć nie zawsze prostego tonu i pewnych jeszcze rubasznych wyrażań, któreby Schlegel prędzej »demagogicznymi« niż ludowymi był nazwał, nic wła-

ściwie zresztą nie ma ludowego: ni w lokalnym kolorycie, ni w sposobie kształcenia i obrazowania, ni w układzie i rytmie. Jakżeż inaczej w *Ucieczce!* W jakiejże to pełni i z jakim wy-czerpaniem tu objęte wszystkie i choćby najdrobniejsze objawy ludowego życia! Jakiżto całkowity, a jednak w przelocie zrobiony przegląd wszystkich typowych figur z życia i baśni gminu: ten książę i ta śwadźba, ten ksiądz w konfesjonale i ten ksiądz nad grobem, ten klecha i ta kuma, nawet o tym psie, o tym wier-nym stróżu domu, co na widok nocnego gościa »jakby głosu nie miał, z cicha zawył i oniemiał«, nie zapomniał poeta w tej swojej małej *Odysei*, jak o nim też w swojej wielkiej nie za-pomniał i Homer. Jakżeż starannie zebrane wszystkie świadectwa i znaki ludowej wiary, zarówno i ludowego zabobonu; tu msza, zapowiedź, spowiedź, kościelne dzwony, ołtarzyk złoty, paciorki, szkaplerze i koronki i krzyżyk, co matka dała; a tam góra Men-doga, kwiat, paproć i car ziele, czarowe obrączki i zaklęcie węża. Jakieżto ludowe powiązanie życia ludzkiego z życiem natury, zjawiska ducha z pianiem kurów, krakaniem wron, miganiem wilczych źrenic i skakaniem błędnych ogników; jakiż tu wogóle umiejętnie dla fantastycznej akcji dobrany fantastyczny pejzaż, o którym Bürger ani pomyślał! Jakież tu nareszcie czysto ludowe wyrażenia, porównania i obrazy, począwszy od tych źrenic »jak dwie mętne krynice« i tego lica »jak pełnia księżyca«, aż do tych uświęconych tajemniczych liczb: dziesięć skał, dziesięć rzek i dziewięć gór, które tak często napotykałyśmy w naszych ludowych pieśniach. Każdy wiersz, każde niemal słowo nosi na sobie nie do zatarcia piętno ludowego pochodzenia. I tu się jeszcze na-suwa uwaga, która może nie jest tak drobnostkową, jakby się na pierwsze tylko wejrzenie wydawało. Bürger nietylko imionami oznaczył figury i scenę swej akcji (Lenora, Wilhelm, Fryderyk II, Marya Teresa — Czechy, Węgry i t. p.), ale tę ostatnią w naj-bliższe posunął jeszcze czasy, pod koniec siedmioletniej wojny. Schlegel chciałby to w ten sposób usprawiedliwić, że główną myślą tego utworu jest stawienie odstrasającego przykładu: »a je-żli bajeczne zdarzenie dobrze jest do najodleglejszych odnieść

czasów i miejsc, odstraszący przykład najlepiej się bierze z blizkiego otoczenia», wywód dziwaczny! bo stawianie odstraszących przykładów nie jest zadaniem poezji; poezja stawia czyny i charaktery; nauka i przestroga już same przez się z tych czynów i charakterów wypływają — i Schlegel to sam nieraz nauczał. Jeśli takim w istocie był powód Bürgera, dowodziłoby to tylko na nowo przewagi w nim refleksji nad prawdziwym artystycznym zmysłem; a w każdym razie dowodzi ta onomastyka zupełnego rozminięcia się poety z jedną z najistotniejszych cech ludowej twórczości. Bo lud instynktowo i konsekwentnie unika w swych poetycznych kreacjach wszelkiego akcentowania miejsca i czasu, i prawdziwe nawet, historyczne zdarzenia w swych pieśniach zamięszai zacierają — i to też doskonale pojął nasz wieszcz w *Ucieczce*, w której figurom i scenie tę prawdziwie ludową zostawił bezmiejscowość, i bardzo charakterystycznie nadto balladę od tych głuchych słów: »on wojuje — on nie wraca« zaczął, od tego nieokreślającego zaimka, który tak często też i w tym właśnie charakterze w pieśniach naszego się daje słyszeć ludu <sup>1)</sup>. Cały wreszcie układ, cały pochód i rytm *Ucieczki* jest utrzymany w tym plastycznym, urwanym, skokowym, prawdziwie ludowym, a prze-

---

<sup>1)</sup> Porównaj np. tę naszą znaną ludową pieśń:

Ona idzie do kościoła  
Między pannami,  
Jako słońce najśliczniejsze  
Między gwiazdami.  
Ona wyszła z kościółeczka  
Drobno stąpając;  
Onemu się serce kraje,  
Na nią patrząc.  
Ona idzie do taneczka  
Jako róży kwiat;  
A on stoi za drzwiami;  
Nie żądzien mu świat.

dewszystkiem balladowym tonie, który w *Lenorze* się roztopił w opisowy gładki i potoczny.

Jestto właśnie główna różnica artystycznej zdolności Mickiewicza i Bürgera w tych dwóch balladach, że tamten wszędzie plastyczny i malowniczy, gdzie ten opisowy i refleksyjny. W *Ucieczce* ani śladu nie masz tej dziecinnej onomatopoli, na którą Bürger tyle mozolnych łożył starań, a w której tylko dzieci upodobanie znaleźć mogą; ani śladu tych wykrzykników i wyzywań, które niemiecki wieszcz nietylko uwadze czytelnika, ale i własnym poetycznym siłom zdaje się dodawać ostrogi<sup>1)</sup>, ale zato jest rytm i rym, który się wciąż do każdej sytuacji i do najdrobniejszych jej odcieni najharmonijniej nagina; są kształty i czyny, które nas w nieprzerwanym utrzymują napięciu, bez wszelkich wykrzykowych podżegań ze strony poety, który się najzupełniej usuwa. Ani śladu wreszcie w naszej balladzie tej rozwlekłości, którą Bürger już w *Lenorze* grzeszy, a którą później w następujących swoich twórcach tyle pięknych ludowych miał zacierać motywów, tyle prześlicznych ballad, jak n. p. *Child of Elle* Percego, prawdziwie rozplaszczyć; ani śladu owej »gadatliwości miłości«, którą Schlegel już jego *Blaudynie* zarzucił i również dobrze też *Lenorze* i Wilhelmowi wytknąć miał prawo; Mickiewicz ani jednego zbytecznego nie użył słowa, i w żadnej sytuacji się patologicznie, jak Bürger, nie rozmiłował i rozpieścił. Mickiewicz wszędzie kreśli śmiałymi wielkimi rysami; Bürger wszystko wykończy drobnym włoskowym pędzlem; ten robi wrażenie zbogaconego ucziwca, szczęśliwie obliczającego swój mały skarb niespodziany; tamten przywodzi na pamięć tę wschodnią Peri, która niedbale myślała rzucić kwiatek, a upuściła gwiazdę.

---

1) Porównaj np. wiersze, jak:

Und aussen, horch! ging's trap, trap, trap...  
Und horch! und horch! der Pfortenring...  
Sieh da! sieh da! am Hochgericht...  
Ha sieh! ha sieh! im Augenblick,  
Huhu! ein grässliches Wunder — i t. p.

Bo też Bürger nie zszedł z tego niderlandzkiego stanowiska, w którym tak jednostronnie upatrywał całą istotność ludowej poezji, i co mu Schiller tak sprawiedliwie i ostro wyrzucał; i w *Lenorze* też i nawet tam, gdzie na pierwszy rzut oka grube pociągnął rysy natury i prawdy, przy bliższem wpatrywaniu się, jak prawie we wszystkich niderlandzkich obrazach, widzimy najstarsze, najwypracowańsze liniowanie. Bo też trzeba wiedzieć, że Bürger, gdy swoim przyjaciółom czytał *Lenorę*, przyszedłszy do miejsca, w którym Wilhelm kraty cmętarza roztrzaska, uderzał nagle sam w drzwi naprzeciwko sobie szpicrutem, do tej chwili starannie ukrywanym: do takich drobnych i dziecinnych środków uciekał się poeta w chęci sprawienia silniejszego wrażenia! Trzeba wiedzieć, jak długo Bürger pracował nad tą *Lenorą*; jak długo listował z Bojem o tej balladzie, którą częściowo zwrotkę po zwrotce udzielał przyjaciółom; jak go *Götz* Göthego wśród tej przeciągłej roboty naraz zaskoczył, porwał, zachwycił i natchnął (sam to pisze), do trzech nowych strof!!!... Ileż chwil pracy, czyli raczej improwizacji mogła zająć *Ucieczka* Mickiewicza? Ileż znów może miesięcy, lat może, leżała ta ballada w zapomnieniu i któż wie, czy nie trafił ją tylko sam wydobył na jaw? Cóż znaczy ten mały kwiatek w poetycznym wieńcu wieszczka *Grażyny* i *Wallenroda*, *Dziadów* i *Tadeusza*?... Lecz tu czas wstrzymać pióro w mimowolnym biegu; bo już nie *Lenorę* z *Ucieczką* porównujemy, ale przebaczcie mi Muzy, prawie Bürgera z Mickiewiczem!

---

Czytelnik, jeśli raczył nam towarzyszyć do końca naszej krytycznej wędrówki i jeśliby jeszcze chciał sobie nowem przedkiem odczytaniem odświeżyć w pamięci te dwie małe ballady niemieckiego i polskiego poety, może nam wybaczy, żeśmy trochę przydługo zajęli jego uwagę tak drobnym przedmiotem. Zresztą, nie same tylko zamiłowanie dla sztuki powodowało nami. Bo czemużbyśmy się do tego przyznać nie mieli, że

w skromnej paraleli, którąśmy sobie pociągnąć pozwolili, ukontentowaniu naszemu estetycznemu wyrównywało patryotyczne? Patryotyzm jest jednym z tych wdzięcznych tematów, który tak dobrze może mieć swoją wartość w wielkim historycznym fresku, ak w małej miniaturce: choćby i na pierścieniu, jest przynajmniej miłym upominkiem.

---

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w oczach Niemców byli przedstawicielami barbarzyństwa i wrogiem kultury niemieckiej. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w oczach Niemców byli przedstawicielami barbarzyństwa i wrogiem kultury niemieckiej. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w oczach Niemców byli przedstawicielami barbarzyństwa i wrogiem kultury niemieckiej.

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w oczach Niemców byli przedstawicielami barbarzyństwa i wrogiem kultury niemieckiej. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, którzy w oczach Niemców byli przedstawicielami barbarzyństwa i wrogiem kultury niemieckiej.

VII.

O SZKOLE NARODOWEJ POLSKIEJ  
NA BATIGNOLLES POD PARYŻEM

(1854)

VII.

O SZKOLE NARODOWEJ POLSKIEJ  
NA BATAIGNOLLES POD PARYŻEM

(1854)

W papierach po Klaczcze znalazł się następujący list pani Zamoy-skiej, wdowy po Władysławie Zamoyskim, pisany wkrótce po śmierci Jenerała, pod wrażeniem przemówienia o nim Klaczki na dorocznym posiedzeniu Towarzystwa Historyczno-literackiego w Paryżu:

»Bóg zapłać za radość, jaką mi Pan sprawił, radość, jakiej nie sądziłam, abym kiedykolwiek już doznać mogła. Jeżeli miło jest patrzeć na obraz oddający rysy osoby kochanej, stokroć milej słyszeć słowa, które duszę i myśli jej oddają. Pewną byłam, iż Pan nie możesz powiedzieć jak tylko doskonale, to jest doskonale dla tych, co mniej znali, mniej kochali. Ale żeby było doskonale *dla mnie*, tego nie mogłam się spodziewać. To też sprawiłeś mi Pan radość bardzo istotną, bardzo wielką<sup>1)</sup>.

Kiedy się zna życie Klaczki, kiedy się wie, jakim wpływom ulegał na emigracji, kiedy się zna okoliczności, wśród których zaczęła się jego przyjaźń z Kalinką, kiedy się posiada dokładne wiadomości, w jakich warunkach Klaczeko z Kalinką redagowali przez cztery lata *Wiadomości polskie*, (o czym wszystkim monografia Tarnowskiego o *Księdzu Waleryanie Kalince* informuje najdokładniej), i kiedy się wie, jaką rolę w życiu tych dwóch Dioskurów naszej politycznej publicystyki grał Władysław Zamoyski, wtedy powyższy list wdowy po nim, nacechowany taką wdzięcznością dla Klaczki, wydaje się pięknym ostatnim akordem, kończącym kult genialnego Telemaka dla swego dostojnego Mentora. Wiadomo bowiem, ile autor *Studyów dyplomatycznych* nabył wiadomości z zakresu polityki i dyplomacji w szkole i pod osobistym kierunkiem Jenerała, ile mu, jako pisarz polityczny, miał do zawdzięczenia. Wiadomo też, jaką przyjaźnią Władysław Zamoyski zaszczycał zna-

---

<sup>1)</sup> St. Tarnowski, *Julian Klaczeko*, T. I., str. 84.

cznie młodszego od siebie Klaczkę, nie mówiąc już o całej różnicy pochodzenia, i jak wielkiem było uwielbienie Klaczki dla tego niepospolitego męża, w którym nie on jeden widział żałobne widmo Polski męczeńskiej.

Okazuje się jednak, że Klaczko niezawsze był przejęty takim kultem dla jenerała Zamoyskiego, jak w latach późniejszych. Przedtem, w początkach swej paryskiej epoki, gdy się obracał w kołach, niechętnie usposobionych dla polityki Pułkownika, gdy przestawał najwięcej z ludźmi, grupującymi się koło dra Gałęzowskiego, o Władysławie Zamoyskim nie był najpochlebniejszego zdania, przynajmniej w pewnych razach.

Wynika to, wcale niedwuznacznie, niestety, z broszury Klaczki, wydanej w r. 1854, a zatytułowanej: *O Szkole narodowej polskiej na Batignolles pod Paryżem. Odpowiedź panu Juliuszowi Jedlińskiemu. Paryż, w drukarni L. Martinet przy ulicy Mignon, 2. 1854.* Pod tytułem figurowało motto z Hamleta: *Be thou as chasete as ice, as pure as snow. Thou shalt not escape calumny.* Broszura ta, będąca ni mniej ni więcej, tylko pamfletem na Wład. Zamoyskiego, a w późniejszych latach, jak głosi tradycja, skwapliwie wykupywana i niszczonea przez samego Klaczkę, dziś jest wielką rzadkością bibliograficzną, białym krukiem, jednym z najbielszych.

Oto jej tekst dosłowny, przedrukowany *in extenso*:

Bogu tylko jednemu przystało, po skończonym trudzie, cieszyć się ze swego dzieła i wyrzec, że dobre. Nie tak się ma z człowiekiem. On nigdy w trudzie nie ustaje; każde dzieło urzeczywistnione objawia mu tylko nowy rozpad z ideałem, który nosił w duszy, a wszelki pozorny koniec pracy przekonywa go tylko o jej niewykończeniu i nieskończoności. A jeśliby chciał chwilę o tem zapomnieć, na chwilę się w słodkim marzeniu zadowolenienia ukołysać, wnet się znajdują miłosierni i dobroduszni, co go ze snu urocze go zbudzą, robaki w kielichu róży i plamy na słońcu mu odkryją, i — szczęśliwi, pyszni — na dźbło w jego oku wskażą.

Bo tak biedną jest ta nasza ludzka natura, że po szczęściu, którego doznaje z przeświadczenia o własnej doskonałości, nie zna wyższego nad to, które jej udziela myśl o niedostateczności drugich; bo z rozczulającym pobbłażaniem dla siebie samej, obok

katońskiej surowości dla innych, nazywa swoją zawiść życzeniem dobrego, a niewdzięczność być mniema niezawisłością serca i wieczny Ateńczyk, wskazuje Arystyda na wygnanie, by nie być nudzonym jego cnotą! Póki żyjesz płazem w skorupie, i gonisz za żywiołkami drobniejszego gadu, jesteś sobie sam sterem, żeglarzem, okrętem, nie Ignie do ciebie fala opinii i nie mijają cię gromy krytyki. Ale wyjdź tylko ze swego samolubnego zamknięcia, chciej tylko żywot swój dzielić z innymi, nieść drugim pomoc i ulgę, pociechę i nadzieję, a wnet cię obskoczy rój ptaków piskliwych: czarne kruki nocy i dudki w cudze strojne pióra. Bo zły ten, co niema nieprzyjaciół: mówi wschodnie przysłowie; a miarą zasługi było prawie zawsze prześladowanie, którego doznało.

Cóż dopiero, gdy oprócz tej ogólnej słabości wielkiego ogółu zdraśniesz jeszcze pojedyncze słabostki tej lub owej osobistości? Gdy nie zaspokoisz chciwości jednego, próżności drugiego? Gdy literackiemu korsarzowi nie dasz okupu, a pretendentowi do władzy odmówisz haraczu? O! wtedy, Wschód się i Zachód, Północ i Południe zarówno oburzą! Wtedy tamten czarnym wyziewem swej pontyńskiej zionie duszy, a ten mową truć z cicha, pismem szcuć z ukrycia będzie. I najświętsze wyrazy posłużą za hasło do boju. I Religię, Narodowość, jak dziki pióro do swej strzały, przyczepią do swych grotów, by pocisk lotniejszym uczynić!... I będziesz czystym jak lód, białym jak śnieg, a nie ujdiesz potwarzy.

Gdy też ta Rada Szkoły Polskiej, na którą teraz z tak różnych kątów i kryjówek uderzają, by miała choć trochę znajomości tych naszych stron słabych i drażliwych, choć trochę przezorności! Czemuż nie było rzucić jakiej tłustej kości niebezpiecznemu Cerberowi Emigracyi? Gryzłby spokojnie, a zgłodniałych zębów nie wyszczerzał! Czemuż nie było wezwać do swego grona młodego księcia z historycznym imieniem? Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należał! Któż wie, czyby Rada tem nie była zakłęta całej burzy pamfletów? Któż wie, czyby tem nie była uspiła nadętych krytycznym wiatrem Boreaszów?...

Durum! sed levius fit patientia  
Quidquid corrigere est nefas...

Bądźmy wszakże sprawiedliwi i odróżnijmy starannie broszurkę pana Jedlińskiego o *Szkole*, od tych, co ją w tym przedmiocie ostatnimi czasy wyprzedziły i tak smutnego nabrały rozgłosu! Nowe to pisemko odróżnia się od poprzedzających zaszczytnie tak treścią jak formą: formą szczególnie. Widać tu od razu dobroczynny wpływ salonowej protekcji i snąć, że ocieranie się o wielkiego Pana, o Hrabiego i Jaśnie Wielmożnego, nadaje zawsze pewnej ogłady i tego tonu, który w wyższym towarzystwie choć nieraz bywa fałszywy, nigdy jednak nie przestaje być *dobrym*. I treść też pisemka objawia wszędzie miłość dla Polski i gorącą życzliwość dla *Szkoły*. Zacnym tym uczuciom autora winną oddajemy sprawiedliwość; a miłoby nam było wierzyć, że te same tylko czyste pobudki spowodowały i JWielmożnego Dobroczyńcę<sup>1)</sup> do udzielenia pracy pana Jedlińskiego swojej wysokiej opieki. Tylko, czy droga, którą sobie szanowny autor obrał, była właściwą; czy domysły jego o objętości Rady dla rzeczy religijnych i narodowych są uzasadnione; czy zarzuty robione Prospektowi *Szkoły* są słuszne i sprawiedliwe?... Na te tylko pytania w krótkości odpowiedzieć myślemy, przepraszając pana Jedlińskiego z góry, jeślibyśmy, dotykając niektórych punktów, mieli się stać trochę dotkliwymi, i niezawsze potrafili się ustrzedz od pewnej żwawości, której *mens junior* i *militans* tak trudno się pozbywa. Pisemka polemiczne zresztą, jak owe dzieci-aniołki w *Dziadach* naszego Mickiewicza, muszą

---

<sup>1)</sup> J. W. P. Hrabia Zamojski wziął *pół-akcyi* na rzecz domu, który nabył P. Gałęzowski i na użytek Szkoły Batiniolskiej przeznaczył. P. Zamojski przyczynił się więc w *pięćdziesiątej części* (akcyj było dwadzieścia i pięć) do uwolnienia Szkoły od uciążliwego opłacania swego lokalu. Wszystkie akcje są zahypotekowane na domu i w razie jego sprzedania, p. Zamojski, jak każdy inny akcyonaryusz, odbierze wyłożoną sumę. O żadnym innym dobrodziejstwie pana Zamojskiego dla Szkoły nie słyszeliśmy.

koniecznie trochę zażyć pieprzu, jeśli »zbytkiem słodczy nie chcą być nieszczęśliwemi...« Przecież i sam poważny i poważany pan Jedliński swoją broszurkę w niektórych miejscach takim zaprawił pieprzem, nawet i solą, chociaż nie wiem czy attycką.

Pan Jedliński oświadcza na samym wstępie, że kilka już z myśli, które w swem piśmie rozwija, miał przyjemność zakomunikować ustnie jednemu z członków Rady Szkoły Batiniolskiej: »temu właśnie, któremu też Szkoła tyle ma do zawdzięczenia z ostatnich czasów«. »Ziomek ten, niezmordowany w swoich zabiegach o Szkołę (prowadzi dalej rzecz szanowny autor), gdy mu niektóre uwagi o niej czyniłem, potwierdził je; prosił mnie o zebranie ich i przedstawienie na piśmie; podziękował nawet już naprzód za pomoc moralną, którąbym tym sposobem przyniósł Szkole. On więc dał początek tej pracy«.

Jeśli taki był początek w istocie, to ubolewać tylko przychodzi, że koniec bynajmniej nie odpowiedział początkowi. Jeśli prawda, że panem Jedlińskim sama i najszczerza tylko życzliwość dla Szkoły powodowała, to nie można tego dość odżałować, że do okazania jej i do dopięcia swoich szlachetnych celów najniewłaściwszą, najnieszczęśliwszą obrał drogę. Pan Jedliński udzielił swoich uwag o Szkole jednemu z członków Rady i znalazł, jak to sam uroczyście przyznaje, najżyczliwsze usposobienie do wysłuchania onych. Proszono go o zebranie ich i przedstawienie na piśmie; podziękowano mu nawet z góry za pomoc moralną, którą tym sposobem przyniósł. Dotąd z jednej jak z drugiej strony była najszczerza, najpiękniejsza wzajemność. Czemuż pan Jedliński dalej tą prostą, szczerą i przyjacielską drogą nie poszedł? Czemuż swoich uwag nie zebrał i na piśmie ich owemu członkowi Rady nie przedstawił? Gdyby pan Jedliński był poszedł za tym pierwszym serca popędem, o którym już dyplomaci mu mogli powiedzieć, że bywa zawsze najlepszym, i którego może też dyplomaci tylko się wystrzegać mu radzili, gdyby swe życzenia i widzenia był poufnie przedstawił Radzie Szkoły; gdyby następnie i po pewnym czasie przeciągu

(bo przecież zmiany i poprawy, których sobie życzył pan Jedliński, nie dają się w wielkim zakładzie, naukowym szczególnie, od dziś na jutro zaprowadzić), gdyby się był przekonał, że z jego uwag nie korzystano, że jego rad nieusłuchano, wtedy niezawodnieby miał prawo wystąpić ze swymi pomysłami przed publicznością i wytoczyć proces zarządowi Szkoły wobec opinii powszechnej. Ale niewywiązawszy się z zadania, nieprzedstawivszy nic na piśmie, niepostarawszy się o nic na drodze pokoju, wytoczyć sprawę publicznie, ciche życzenia zamienić w głośne narzekania, zarzuty i jeszcze coś gorszego!... I mógłże pan Jedliński tak łatwo uwierzyć, że to był sposób lepszy, że tem prędzej trafi do celu, skuteczniej dojdzie kresu, skorsze sobie wyjedna usłuchanie, silniej przemówi do przekonania zarządu Szkoły? Tak małoby miał pan Jedliński doświadczenia, tak mało znajomości serca ludzkiego! Tak zupełnie raczej przez wzgląd na wysokie życzenie wysokiej osoby mógł opuścić z oczu tę wielką naukę, którą sobie z długiego życia niezawodnie musiał wyciągnąć, bo ją przecież każdy inny z daleko krótszego skoro uzyskał, naukę: że jeśli rada cicha często bywa natrętną, głośna nią jest prawie zawsze! Nie przeczuwał że, iż same już ogłoszenie jego uwag powodzenie ich wątpliwem robiło, cóż dopiero zaprawianie onych żartami, przycinkami i dobrodusznemi złośliwościami?... Zaprawdę, większą jeszcze niż chęć przysłużenia się Szkole, musiała w panu Jedlińskim być chęć, oglądania się autorem!

Gdyby szanowny autor nie tylko nad dobrem Szkoły (o czym nie wątpimy), ale i nad najlepszymi środkami do urzeczywistnienia tego dobrego był rozważnie pomyślał, nie radząc się przytem ni własnych, ni obcych przedewszystkiem, przeciwko jednej osobie niechęci, inną byłby sobie niezawodnie obrał drogę. Byłby swoje uwagi na piśmie przedstawił Radzie, jak przyrzekł i jak go o to uprzejmie proszono, i na tej cichej sławie na teraz zaprzestał. Zamiast ukuć nowe pisemko przeciwko narodowemu zakładowi, byłby się starał, rzuciwszy zasłonę pobbżazania na jego niedoskonałości, tylko jego dobre strony i zasługi wykazać i obudzić dlań w sercach zamożnych rodaków, to *niczem niez mieszane*

współczucie, którego tak wielce potrzebuje. Zamiast pozyskać przeciwko Szkole w sobie samym nowego, acz pełnego dobrych chęci polemistę, byłby się starał pozyskać dla niej w innym nowego może dobroczyńcę i to nie już *półakcyjnego*... ale jeśli można, dobroczyńcę *całego*, z całą akcją, a co więcej, z całym sercem i całą duszą.... Byłby, dodamy w końcu, koszta łożone na druk dość sporej broszury lepiej przeznaczył biednej i bardzo potrzebującej Szkole: za to by się nowa polska sierota, a ich tak wiele! dała wychować w narodowym zakładzie. Nie wiem, czyby to było tylko filantropiczmem czy też już religijnem; ale w każdym razie by było lepszem od tego, co zrobił teraz pan Jedliński.

Filantropia i Religia!... Na to wyższe stanowisko dwóch pryncypiów wzniosł pan Jedliński, nowy Buchman, swą dyskusję o Szkole i z wyżyn tych dwóch kategorii, jak niegdyś dawni Lewici z dwóch gór Hebal i Garyzym, rzuca naprzemian tamtym przekleństwa, a tym błogosławieństwa! — W bardziej lirycznym niż umiejętnym wywodzie usiłuje szanowny autor wykazać nasamprzód, czem jest Religia i jakie jej działanie na człowieka w ogólności i na wychowanie młodzieży w szczególności. Następnie wykłada znowu, czem jest Filantropia i dowodzi jej niedostateczności dla człowieka w ogólności, a w szczególności dla Polaka i dla wychowania młodzieży. I tak przebiegłszy lekkim, acz nie zawsze pewnym <sup>1)</sup> krokiem przez tę wspaniałą sięń religijno-moralnej kontrowersyi, prowadzi nas w końcu, *per augusta ad augustias et argutias*, do naszej małej Szkółki na Bati-

---

<sup>1)</sup> Pamięć szczególniej p. Jedlińskiego niezawsze jest pewną. I tak n. p. przytacza szanowny autor, (str. 13), słowa słyszane od jednego filantropa, jakoby »wiara niczem innem nie była jak tylko wekslem, który się daje biedakom na nieznanego bankiera, aby się uwolnić od wspierania ich w tem życiu«. Ów filantrop tylko powiedział, że u pewnych ludzi wiara może być takim wekslem, a przy tem zdaniu obstaje rzeczony filantrop, i dodaje nadto, że u pewnych ludzi wiara może być nie tylko wekslem ale i bronią nieszczerą.

gnolles pod Paryżem, w której zarządzie i trybie wietrzy rozdrażnionym węchem więcej filantropii niż religijności. Możnaż powiedzieć, pyta się pan Jedliński, że religia jest sprężyną, która w życie i ruch Szkółkę wprowadza? Możnaż powiedzieć, że religia jest tym duchem, który się nad nią unosi? Możnaż powiedzieć, że wpływ, który w Szkole jest przeważnym, jest wpływem religijnym?... Szanowny autor tego powiedzieć nie może. Szanowny autor widzi przeciwnie, że na czele Szkoły jest Rada, i że w niej »zamożność środków materyalnych, absolutne usposobienie temperamentu, a nawet *brak wychowania*« (podkreślam te nieobyczajne wyrazy, za przykładem tego, którego tu słowa cytuję) nadają wpływ przeważny człowiekowi, którego pan Jedliński mocno o to podejrzywa, że jest... filantropem!... Hannibal więc nietylko *ante portas*, ale w samym środku załogi... A za drzwiami natomiast, przed zamkniętymi drzwiami szkolnej Rady, stoi *ultima spes fidelium!*... Więc *caveant consules!* woła przerażony pan Jedliński; *caveat* szczególniej półakcyjny dobroczyńca!...

Ależ w zarządzie i Radzie Szkoły zasiadają właśnie ludzie, którzy z pobożności i gorliwości chrześcijańskiej są znani, którzy zawsze kornymi sługami i wymownymi rzecznikami byli wiary, którzy pismem, czynem, życiem całym dali dowody, że Bóg ich gwiazdą, a Kościół ich opoką! Ależ dyrektorem Szkoły i tym właśnie, którego bezpośredni i nieustający, bo cogodzinny i cochwilowy wpływ na cały pochód nauk i na prowadzenie uczniów największe i najżywotniejsze ma znaczenie, jest człowiek nietylko z poświęcenia i miłości, ale przede wszystkim z najgorętszej i najczystszej znany wiary, z największej gorliwości o jej krzewienie i szerzenie! Ależ jednym z członków szkolnej Rady i jednym z najczynniejszych, jest ten, co już przed laty tak głośne i wymowne oddał świadectwo religijnej prawdzie i od niej nietylko najdroższe swe polityczne przekonania, ale coś droższego nad to wszystko, całą przeszłość swej Ojczyzny, całą jej terażniejszość i całą nadzieję jej przyszłości zawisłemi robił! Ależ członkiem także Rady Szkolnej i tym, któremu same imię i znaczenie, jakie ma w Narodzie, dostateczny już wpływ na kierunek i dążność

całego zakładu zapewniają, jest autor *Przenajświętszej Rodziny*, wieszcz, którego lutnia wiecznie słowem Bożem się promieniła, w którego złotej mowie zawsze Boży Duch wiekował, w którym wszystko do Boga prowadzi i który wszystko od Boga wyprowadza: »zboże i bohaterów, bogatych i ubogich« i to drogicę Polsce imię jej Bohdana! Ależ przypuszczenie, żeby *tacy* ludzie dla jakichkolwiekbądź względów mogli brać udział w dziele nie-religijnem lub tylko Religii niechętnem, mogli na chwilę odstąpić od swoich najświętszych przekonań, na chwilę o tem zapomnieć, że Religia jest sprężyną, która wszystko w życie i ruch wprowadza, jest duchem, który się nad wszystkim unosi; żeby *tacy* ludzie zamożności środków materyalnych, absolutnemu usposobieniu temperamentu, albo nawet *brakowi wychowania* jakiegokolwiek i choćby najmniejsze mogli robić ustąpienia ze swoich religijnych zasad i sumiennych obowiązków, przypuszczenie podobne jest czemś tak ubliżającym dla prawości ich charakteru, dla zacności ich usposobień, dla szczerości ich przekonań, że na nie się nikt, nikt z uczciwych nie odważy i sam pan Jedliński mniej niezawodnie, niż ktokolwiek inny! Ależ ów wpływ filantropiczny, który naszego szanownego autora tak przestrasza, nie musi więc być ni tak przeważnym, ni tak przedewszystkiem niebezpiecznym i zastraszającym, skoro *tacy* religijni i sumienni ludzie nietylko z nim przestawać, ale w najpełniejszej i najharmonijniejszej z nim być mogą zgodzie, z największem dlań być uznaniem i uczczeniem, z najszczerzą i najgorętszą dlań pomocą! Ależ, jednym słowem, sama już obecność trzech wymienionych mężów w zarządzie i Radzie Szkoły powinna być dla sumień religijnych i tylko o Religię, a nie o inne jakieś polityczne i stronnice widoki, dbałych, dostateczną rękojmą religijnego właśnie kierunku i ducha zakładu: taką przynajmniej rękojmą, jakąby była sama obecność jednego z członków książęcej rodziny!... Lub miałżeby pan Jedliński *religijną* gorliwość pomięszać z pewną *polityczną* gorliwością... z mniejszem lub większem poddaniem się pewnemu kierunkowi, pewnym zabiegom i pewnym roszczeniom?... Nie dziwiłoby to nas wielce. JW. Dobroczyńca przynajmniej, pod

którego opiekę i »tarczę« szanowny autor się udał, to wyraźnie czyni <sup>1)</sup>...

Ależ i sam JW. Dobroczyńca przyznał biednej Szkole tyle dobrego pod tym właśnie względem, dał jej mimowolnie tak zadowolniające świadectwo, że już na niem mógł pan Jedliński bezpiecznie polegać, że już w niem mógł czerpać nadzieję i osłodę dla swej stroskanej duszy! »Poraz pierwszy, pisze ów dostojny mąż, zwiedzałem Szkołę Batiniolską. Oprócz oznak zewnętrznych nabożeństwa w kaplicy, w postawionym w niej konfesyonale, w salach sypialnych, w modlitwie przy jedzeniu; widziałem na tablicy godzin lekcye katechizmu w każdej klasie dawanego. Widziałem w klasie przeznaczonej do pierwszej komunii ilość godzin katechizmu znacznie większą i w następnych klasach *le catéchisme de persévérance*. Ksiądz Blondeau, dziś nauczyciel Religii w Szkole, używa reputacyi człowieka świętego i zdolnego. Więcej widzieć nie mogłem, ale to są początki dobre« <sup>2)</sup>... Ale tyle przynajmniej widział JW. Dobroczyńca swoim zaprawdę niezbyt życzliwem okiem, tyle widział już za jednorazową wizytą! A gdyby ów szanowny mąż nie był na tej jednej wizycie zaprzestał, byłby może widział dalszy i nieustający ciąg owych »dobrych począt-

---

<sup>1)</sup> »Szkoła ta, pisze p. Zamojski w liście półjawnym do Dobroczyńców Batiniolskiego Zakładu... powinna się stać prawdziwie polską, to jest prawdziwie katolicką i niedemokratyczną«. Niedemokratyczną!... więc może arystokratyczną?... ani jedną ani drugą naturalnie: tylko polską i narodową; i tak też zarząd tej Szkoły zadanie pojmuje. Tylko, że Członkowie tego zarządu nie należeli nigdy do pewnej koteryi i opinii, które w oczach J. W. Hrabiego jedynie są prawowierne; tylko, że niektórzy z tych Członków nawet, *horresco referrens*, mają demokratyczne przekonania... I stąd te łyzy — i łyzy krokodyle!

<sup>2)</sup> List półjawny Pana Zamojskiego do Dobroczyńców Szkoły Batiniolskiej. Pan Zamojski dodaje: »Resztę dokonać może czujność Dobroczyńców«. Reszty skuteczniej od rozproszonych na wszystkich krańcach ziemi Dobroczyńców, dokona czujność zarządu Szkoły, czujność jej Dyrektora, jej Księdza i Nauczyciela Religii, wreszcie czujność wyższego duchownego nadzoru, któremu Szkoła Batiniolska, jak wszystkie inne naukowe zakłady Francyi, podlega.

ków!« A to, co widział i przyznał, jest w każdym razie pewną i niemylną rękojmnią, że Szkoła ateuszów i farmazonów wychowywać nie myśli, i że Religia w niej jest dosyć uczczoną, a Filantropia dosyć nieszkodliwą, by przychylnie sobie przyznanie wymusić nawet na dyplomatycznych ustach Katona wiary i stróża Syonu!

I wie-że pan Jedliński właściwie, co to jest wyłączność, lub tylko przewaga Filantropii w wychowaniu? Jest to pedagogiczny system Basedowa, Campego, Roussa! Otóż, niechże szanowny autor wykaże jakiegokolwiek zastosowanie tych systemów, jakiebądź do nich nachylenie się w zarządzie i trybie Batiniolskiej Szkoły! Że to nie jest, że to nawet mimo jej najlepszych, czyli raczej najgorszych chęci by być nie mogło, już poprostu z tego wypływa, że Szkoła nietylko jak wszystkie naukowe zakłady francuzkie podlega czujnemu nadzorowi duchownej władzy, ale, że nawet osobnego systemu wychowania nie ma i mieć nie może, bo we wszystkim jest i być musi zastosowaną do trybu rządzącego ogólnie wszystkimi naukowymi zakładami Francyi; a że w tych ostatnie edukacyjne prawo wielką i zasłużoną przewagę żywiołowi właśnie religijnemu nadało, to wiedzą wszyscy, to przyznali wszyscy, a przedewszystkiem wysocy dostojnicy Kościoła, którzy w utworzeniu tego prawa czynny brali udział. A jeśli Szkoła Batiniolska coś ze swego dodaje, to niezawodnie nie po stronie niereligijności. Szkoła ta ma osobną kaplicę wewnątrz swoich zabudowań, ma osobnego i stałego kapelana. Szkoła ta ma nauczyciela Religii, który z gorliwości, z nauki, z daru wykładania i przyciągania do siebie uczniów zaszczytnie jest znany. A w wyborze tych dwóch duchownych przewodników młodzieży nie dała się Rada Szkolna powodować ni własnym sądem, ni jakiembądź osobistem zamiłowaniem; zrzekła się owszem z góry wszelkiego zdania w tej mierze i zostawiła wybór jedynej powadze, która w takich rzeczach stanowczo sądzić może, odwołała się do najwyższej i jedynie uprawnionej instancji Paryzkiego Arcybiskupa i z Jego to ręki otrzymała Szkoła Polska swego kapelana i swego nauczyciela Religii. Tak mało

groźną, tak przeciwnie uważną na wszystkie względy duchownej hierarchii; tak mało własnowolną, tak owszem podległą wyższej kościelnej władzy okazała się owa Filantropia, przed której materialną zamożnością, absolutnym temperamentem i *brakiem wychowania* pan Jedliński, pedagogiczna Kassandra, przestrzega wszystkich ojców i wszystkie matki i przeciwko której wzywa — βολήν ἀγαθὸς Μενέλαιος — wszystkich Jaśnie, a nawet niejaśnie Wielmożnych!

Ale czemuż, pyta się szanowny autor, nauka Religii jest wykładaną w języku francuzkim? Czemuż Słowo Boże dla polskich dzieci nie jest zarazem słowem polskim? Czyż Rada Szkolna tego nie wie, że dla Polaków Bóg to Bóg, a nie *Dieu*? Czyż Rada nie wie, jaki ścisły jest związek między Religią a Narodowością?... Mój Boże! Nieszczęśliwa Rada to wszystko jak najdoskonalej wie; a ludzie jak Mickiewicz i Zaleski lepiej to jeszcze może wiedzą od samego pana Jedlińskiego! Ale cóż, kiedy owe dzieci polskie wstępując do szkoły nie umieją ani słowa po polsku? Cóż, kiedy one dopiero po długich latach zaczynają rozumieć ojczystą mowę? Cóż, kiedy dopiero w późnym wieku, bo w siedmnastym np. roku życia, są w stanie słuchać wykładu polskiego i w tym języku odpowiadać? Chciałżeby szanowny autor, aby do tego późnego czasu odkładano naukę Religii? Chciałżeby, aby ludzie dopiero w siedmnastym roku życia zasłyszeli o Bogu?... Rousseau tego żąda w swoim *Emilu*!... Prze-bóg! Byłżeby z pana Jedlińskiego bezwiedny Jan-Jakóbin?...

Cokolwiekbądź, to pewna, że pan Jedliński jest dobrym Polakiem i gorącym rzecznikiem sprawy narodowej przed — zarządem Szkoły. Nie bez rozczulenia przebiegliśmy te ustępy jego broszurki, w których mówi o obowiązku przechowania w tułaczkiej diatwie uczuć szacunku i miłości dla wszystkiego co polskie; nie bez serdecznego uznania czytaliśmy te zdrowe i szlachetne zdania, które w tej mierze objawia i te szczytne słowa naszych wielkich mężów, które na ich poparcie przytacza... Bądźmy wszakże ostrożni i nie folgujemy zbyt pośpiesznie niedo-

myślności naszego serca! Liryzm pana Jedlińskiego nie wyklucza rachuby; dytyramb jego jest tylko przygrywką do krytyki, a jas-trząb, gdy lot swój podnosi, to nie dlatego, by się kąpać chciał w lazurach i dla skrzydeł swoich od słonecznego brać poźłotę blasku: łup tylko sobie wygodny upatrzeć i z góry nań uderzyć on zamyśla... Z wysokości sprawy narodowej, jak z wysokości religii, szanowny nasz autor tylko strząży na nieszczęśliwy zarząd ciska Szkoły; jak przedtem na jego obojętność dla rzeczy religijnych, tak teraz znowu na jego obojętność dla rzeczy narodowych narzeka; i tu jak tam widzi tylko przyczyny do obawy, do powątpiewań i skrupułów.

Słów tylko kilka na odparcie tego drugiego zarzutu.

Zupełnie biednym dzieciom polskich tułaczy, sierotom szczególnie pozbawionym wszelkiej rodzinnej pieczy i wszelkich środków kształcenia się *bezpłatnie*; mniej zaś opuszczonym i mniej biednym *za stosunkowo małą płacę* zapewnić przytułek, utrzymanie i godziwe wychowanie; jedne zaś, jak drugie, oswoić z językiem polskim, z ojczystymi dziejami i narodowymi tradycjami: te są trzy główne i trudne zadania, które sobie postawiła Szkoła Batiniolska, a najtrudniejsze z nich jest właśnie ostatnie. Bo wszystkie te prawie dzieci pochodzą z matek Francuzek, były od kolebki w otoczeniu francuzkiem i do języka francuzkiego, jako do ojczystego przywykły. Winą po większej części smutnego naszego położenia śród obcego narodu i w obcym społeczeństwie, a w pewnej mierze winą także niedbałości rodziców samych, dzieci tułacze wstępując do Szkoły nie tylko nie myślą po polsku, nie mówią tym językiem, ale nawet, niestety, własnego swego polskiego nazwiska nie są w stanie dobrze wymówić. Przychodzi jeszcze do tego i to, że Szkoła przedmioty klasycznej instrukcyi — z powodów, których tu wyliczać nie chcę, ale które są nieprzeparte i których moc uznaje i sam pan Jedliński — koniecznie w języku francuzkim wykładać, a wyższe swoje klasy do rządowych francuzkich Liceów posyłać musi. Z takimi więc trudnościami i z takimi to zapaśnikami ma do walczenia język polski w Szkole Batiniolskiej: z przeszkodami, które mu stawiają

przywyknienia dzieci, grzeszna niedbałość rodziców i nieodzowne wymagania francuzkiej licealnej instrukcyi! Kto to wszystko rozważy, a kto przytem zechce mieć ciągle w pamięci (czego nasz szanowny autor nie zawsze ma), że Szkoła nie jest pensyonatem dla trzech czy pięciu wychowalców, ale zakładem dla blisko 300 uczniów różnego wieku, różnych zdolności i różnego przygotowania, ten nietylko skromniejsze od pana Jedlińskiego w tej mierze będzie miał żądania, ale więcej też od niego uznania dla tego, co się mimo tylu tak wielkich przeszkód i tak niekorzystnych warunków pod tym właśnie względem robi. Bo, mimo wszystkich argumentacyi i wymysłów pana Jedlińskiego, największym i najwyraźniejszym dowodem ważności, przywiązanej do jakiegoś naukowego przedmiotu w jakim bądź zakładzie, jako też najlepszą rękomią przyszłych w nim postępów, jest i będzie zawsze ilość godzin mu poświęconych; a tu sam szanowny autor przyznaje, że ilość godzin przeznaczonych do nauki polskiego języka w Szkole Batiniolskiej jest znaczną, a ja dodam znaczniejszą niż ta, którą jakibądź zakład wyznacza dla jakiegobądź przedmiotu: a w pierwszych nadto klasach, gdzie przedmiot polski 24 do 28 godzin na tydzień zabiera, prawie już z ujmą dla wielu innych dość ważnych przedmiotów. Co się tylko bez uszczerbku, a czasem nawet i z uszczerbkiem, dla nieodzownej klasycznej instrukcyi uzyskać daje na czasie, to się wszystko poświęca polskim przedmiotom; a w zachęcaniu i przymuszaniu działwy do rozmawiania w języku polskim robią nauczyciele co mogą i co w zakładzie 300 blisko uczniów liczącym wogóle się tylko robić daje. Napominania dzieci do szacunku i miłości dla rzeczy ojczystych są tak częste jak wielostronne; przypomnienia im praw polskich i polskich obowiązków są nieustanne; znaki polskie, wspomnienia polskie, orły polskie, nawet obrazy wielkich mężów polskich, otaczają je wszędzie, i cokolwiek bądź mówi pan Jedliński, postępy i odznaczenia się w ojczystej mowie i w polskich przedmiotach są tak przez nauczycieli jak przez uczniów najwyżej cenione i najwięcej uczzone.

Pan Jedliński też w gruncie tak mało jest w stanie znaleźć

jakieby dowody dla swoich obaw, powątpiewań i szkrupułów, że gdy do bliższego przystępuje rozbiór, nie stara się on wcale wykazać, jakoby to, co jest w Szkole, było złem: ogranicza się tylko na dowodzeniu tego, że wiele w niej by mogło być jeszcze lepszem. Na to zgoda! i jak najzupełniejsza! Ale żądanie lepszego nie uprawnia jeszcze do podejrzewania dobrego, pobożne życzenia nie powinny przybierać formy niesprawiedliwego sarkazmu, a przedewszystkiem nie powinno się żądać tego, co już oddawna jest, albo tego, co wcale być nie może! Otóż szanowny nasz autor właśnie żąda albo rzeczy już dawno urzeczywistnionych i tym sposobem tylko nawróconych nawraca, albo znowu stawia żądania i roszczenia, którym dogodzić nie masz możliwości. P. Jedliński prawi długo i szeroko o konieczności zachęcenia rodziców do uczenia swoich dzieci po polsku i jako najlepszy sposób otrzymania od tych rodziców tego, aby już sami nad dziećmi pod tym właśnie względem pracowali, uważa on konkurs, to jest pierwszeństwo dane w przyjęciu do Szkoły Batiniolskiej kandydatom bieglejším w ojczystej mowie. Otóż, z programu tejże Szkoły wyczytuje i przytacza sam szanowny autor następujący paragraf:

»Warunkiem przyjęcia do Szkoły jest: aby uczeń umiał czytać po polsku. Kandydaci bieglejsi w języku polskim otrzymują pierwszeństwo przed innymi«.

»Jestże to wejście na drogę zachęceń do mowy polskiej, którą żądam od Szkoły?« — pyta się tu samego siebie pan Jedliński... I tu, gdzie kaźden inny śmiertelnik by się nie wahał z odpowiedzią, nasz szanowny autor się waha, ma powątpiewania i szkrupuły i decyduje wkońcu, że wyż wspomniany paragraf »za żadne zachęcenie uważanym być nie może, owszem, utrudza nawet przystęp do Szkoły«. »Jakoż (prowadzi dalej rzecz nasz pisarz) warunek ten nie ściąga się zapewne (zapewne??!) do tych, którzy korzystają ze wsparcia rządowego, a zatem dotyczyć się może tylko tych, co płacą. Stąd wypada, że ojciec, który nawet chce płacić, a którego syn nie umie czytać po polsku, nie będzie go mógł w Szkole umieścić«... Tak dowodzi pan Jedliński

i kończy wreszcie tą głęboką sentencją, która zdaje się prawie żywcem być wziętą z ust sławnego giermka z La Manchy, że »niedość jest chcieć zachęcać, ale trzeba zachęcać skutecznie«... Co za sofistyka! Co za logomachia! I skądże nasz szanowny autor z taką pewnością wie, że ów warunek nie ściąga się do tych, którzy korzystają ze wsparcia rządowego? Sto jest miejsc rządowych, to jest bezpłatnych, w Szkole dla najbiedniejszych dzieci; a ponieważ tych jest, niestety, najwięcej, ponieważ dla tych stu miejsc jest więcej niż 200 lub 300 kandydatów: więc tu przecież bardzo dobrze ów warunek konkursu może być zastosowanym, to jest, że biedny kandydat biegleszy w języku ojczystym otrzyma pierwszeństwo przed innym, równie biednym, ale mniej biegłym w polskiej mowie! I dlaczegożby znowu i względem płacących ten warunek miał być nieskutecznym? Każden ojciec i gdyby nawet całkowitą pensją Szkole Batiniolskiej za swego syna płacił, płaciłby dopiero (jak w dalszym ciągu szczegółowiej wykażę) połowę lub nawet trzecią tylko część tego, coby za tę samą naukę i za to same utrzymanie musiał dać szkole francuzkiej: nie jestże już to samo bodźcem dla rodziców, aby się o umieszczenie swoich dzieci w Szkole Batiniolskiej starali, i nie jestże to więc zarazem wielkiem zachęceniem do mowy polskiej, kiedy biegłość w niej właśnie za warunek tego przyjęcia jest ogłoszoną? Cóż dopiero, kiedy, jak znowu zaraz bliżej wykażę, większa część rodziców nawet owej, w stosunku do opłat we francuzkich szkołach tak skromnej pensyi całkowicie nie płaci, gdy Rada Szkolna przestaje na  $\frac{2}{3}$  nawet  $\frac{1}{3}$  owej pensyi i przytem właśnie, oprócz położenia rodziców samych, większą lub mniejszą biegłość kandydatów w języku polskim uwzględnia! Nie maż więc Szkoła tym sposobem tych stypendyów i półstypendyów, nad których brakiem tak narzeka pan Jedliński? Nie robiż Rada Szkolna pod tym właśnie względem wszystko co może? — A jeśli nasz szanowny autor jeszcze nadto żąda, aby ta nieszczęśliwa Rada, która już nie wie, skąd wydestać fundusze i środki na utrzymanie swoich 300 uczniów, jeszcze się zajęła polkiem wychowaniem wszystkich emigracyj-

nych dzieci poza szkołą będących i po całej Francji rozproszonych, aby im przysłała tablice symbolizowania i książki do czytania, a rodzicom ich instrukcje, jak swe dzieci uczyć mają... A jeśli pan Jedliński jeszcze żąda od tej Rady, nad którą ciągle damoklesowy miecz corocznego kilkudziesięcioletniego wisi deficytu, aby się zajęła wydawnictwem książek pedagogicznych, a jeśli dobrze rozumiałem, konkursu nawet na układanie dzieł dla emigracyjnej młodzieży ogłasza... to na to wszystko odpowiem tylko zapytaniem: czemuż pan Jedliński już nie żąda, aby Rada utrzymywała swoim kosztem domowych polskich nauczycieli w każdej tułaczkiej rodzinie: byłby to niezawodnie doskonały środek krzewienia polskiego języka w dorastającym emigracyjnym pokoleniu! Czemuż wogóle nie żąda, aby Rada Szkolna przyjęła na siebie prace Komisji Edukacyjnej i doprowadziła do skutku, czego tamta niewykonała! Boć kiedy żądać, to już grubo; a kiedy nie steru naszej biednej łódki pilnować, ale po gwiazdy sięgać mamy, to już przynajmniej po Wielkiego Niedźwiedzia!... *Let method be in the madness*, jak mówi stary Poloniusz!... »Żądania moje, powiada pan Jedliński, są pośrednim hołdem oddanym Rządcom Szkoły«. Na Boga! Trochę mniej grzeczności, a trochę więcej sprawiedliwości; trochę mniej wymagań, a trochę więcej datków: mniej hołdu, a więcej *zołdu*, szanowny autorze!... *On ne demande qu'aux riches*, dodaje figlarnie szanowny pan Jedliński... Ale francuzki koncept, to nie polski fundusz, mój szanowny panie Jedliński!

Że pokonanie języka obcego, ale do którego dziecko od kolebki przywykło, i zastąpienie go polskim, że nadto połączenie wymagań klasycznej francuzkiej instrukcji z wymaganiami narodowego polskiego wychowania jest jednym z najtrudniejszych wogóle pedagogicznych zadań; że szczęśliwe rozwiązanie tych trudności żąda wielkiej pracy, ciągłego namysłu i nieustannej czujności i że Szkoła Batiniolska pod tym względem dużo ważnych jeszcze reform ma do zaprowadzenia, dużo wogóle do robienia, dużo nawet do experimentowania... temu bynajmniej przeczyć nie myślę. Ale żeby zarząd tej Szkoły nie miał poczucia

tego wielkiego zadania, żeby to nie było myślą, która jego robotom i planom wiecznie przewodniczy, żeby do tego przeważnego celu wszelkimi siłami nie dążył, ku niemu wszystkich swoich usiłowań nie skierował, żeby był, jednym słowem, obojętnym dla wszystkiego tego, co uczucia narodowe w tułaczej działawie obudzić, utrzymać i utwalić jest w stanie... temu przeczę uroczyście na mocy znajomości rzeczy, na mocy wreszcie samej już tylko znajomości osób, które na czele tej Szkoły stoją! Ludzi, jak Biernackiego, Godebskiego, Gałęzowskiego, Hłuśnicwicza, Ordęgę, takich ludzi posądzać o obojętność dla rzeczy narodowych! Mickiewicza i Zaleskiego posądzać o obojętność dla mowy ojczystej, dla tej mowy, której chwałą są oni, których chwałą jest ona! Mickiewicz, co na stepach Akermanu ucha natężał ciekawie, by usłyszeć głos z kraju, tenby nie chciał słyszeć takiego głosu z ust naszych biednych dzieci! Zaleski, co i w niebie chce widzieć swoją Ukrainę, tenby nie chciał widzieć Polski w dorastającym tułaczem pokoleniu!... Nie! By takie oskarżenia sformułować, trzeba chyba mieć silną wiarę w ogólną ludzi ślepotę: tę wiarę, która nietylko góry przenosi, ale i historią znosi i wszelką pamięć maże i wszelkie upamiętanie! By zaś takie oskarżenia w jakibądź sposób uzasadnić; trzeba chyba chcieć słonia prowadzić przez uszko od igły, na pajęczych szalach sofistyki ważyć pyłki niechęci, albo wreszcie uczepić się o coś takiego, jak opuszczenie wyrazu »Narodowa« z tytułu Szkoły Polskiej na ostatnim jej Prospekcie! <sup>1)</sup>...

---

<sup>1)</sup> »Chociaż ostatni druk (pisze p. Jedliński) odrzucił tytuł *Szkoły Narodowej*, a wystąpił przed publicznością tylko pod nazwą *Szkoły Polkiej*, szczęściem jednak i t. d.« — Prospekt, o którym mowa, datowany z kwietnia 1853 r., to jest z czasu, w którym za zmianą formy rządu we Francji i na rozkaz wyższej władzy, miał być z napisów i tytułów wszystkich gmachów publicznych i zakładów opuszczony epitet *National* dawną formę rządu przypominający. Chociaż ten sam epitet w tytule Batiniolskiej Szkoły zupełnie inne ma znaczenie i zupełnie inne przypomina cele i życzenia, wszakże, dla uniknięcia wszelkich nieporozumień ze strony władzy (zwłaszcza, że w prospekcie wierne francu-

Prospekt rzeczony stanowi trzeci główny punkt w akcie oskarżenia, który nasz autor wystosował przeciwko zarządowi Batiniolskiej Szkoły. »Druk ten«, według pana Jedlińskiego, »objawia zgubne dążności«, dążenie przedewszystkiem »do zamienienia zakładu dobroczynnego w instytut przemysłowy«... Więc nawet o *dobroczynnych* celach Szkolnej Rady powątpiewa w końcu szanowny autor! Więc zdarłszy z niej przedtem wszystkie świętne szaty Religii i Narodowości, obnaża ją teraz z ostatniego nawet figowego liścia Filantropii!! I proszę uważać! Pan Jedliński zaręcza, iż owego prospektu »nie traktuje jeszcze z *całą surowością na jakąby zasługiwał*«, nie traktuje dlatego, iż go uważa za odwołany!! Cóż dopiero, gdyby był wiedział, co mu z najpewniejszego zaręczyć mogę źródła, że Rada bynajmniej owego prospektu nie odwołała i bynajmniej go odwołać nawet nie myśli?!<sup>1)</sup> Jakaż to straszna musi być surowość i *cała surowość* naszego autora, skoro już jego wspaniałomyślność jest tak mało miłosierną!

W nieszczęśliwym owym prospekcie wszystko razi pana Jedlińskiego: wszystko go w nim oburza i to, co w nim jest, i to, czego w nim nie ma. Druk ten przedewszystkiem nie ma tytułu, a nasz autor, który na tytuły bardzo uważa i z wielką skrupulatnością każdego stosownie do rodu i urzędu Jaśnie Wiel-

---

zkie tłumaczenie musiało być położone obok polskiego tekstu), postanowiła Rada opuścić na ten raz owe słowo. Kto tylko zna stosunki i położenie rzeczy, ten się tego łatwo domyślił, a w każdym razie jest to więcej niż śmiesznem podejrywać ludzi jak Biernackiego, Mickiewicza, Gałęzowskiego i t. d., o jakiś ukryty zamach na Narodowość naszą... jak to robili ludzie, których nawet wymienić tu się nie godzi, ale którym pan Jedliński mógł i powinien był zostawić podobne insynuacje.

<sup>1)</sup> Nie wiem, skąd pan Jedliński wziął tę wiadomość, jakoby Rada Szkolna zakazała rozdawać prospekt. Wiadomość to zupełnie mylna; a prospekt otrzyma każdy, który się w tej mierze tylko zgłosi do szkoły.

możnym lub tylko Wielmożnym celebrycie, nasz autor nie wie, jak sobie poradzić z taką rzeczą bez tytułu, z takim *Didier de rien...* »Jakżeż nazwać, pyta się, ową odezwę czy wiadomość, słowem, ów druk noszący napis *Szkoła Polska?*« — Gdyby pan Jedliński był choć trochę znał tryb szkół tutejszych i naturę ich publikacji, byłby wiedział, że taki druk się nazywa *Prospektem* i że każda szkoła francuzka taki druk, i zazwyczaj bez tytułu, wydaje. Gdyby dalej był choć trochę znał formę i naturę podobnych publikacji, nie byłby żądał od owego druku, aby mu wskazał »środki obrane do dopięcia celu, godziny wyznaczone do nauk i t. d.« byliby bowiem wiedział, że taki prospekt tylko główny cel zakładu, warunki przyjęcia i tym podobne rzeczy »sucho i lakonicznie« ogłasza, wyliczenie zaś środków do dopięcia celu, godzin wyznaczonych do nauk i t. p., do zupełnie innego należy rodzaju szkolnych publikacji: do peryodycznych sprawozdań, do ogłoszeń o konkursach i t. d. Szkoda, że tego wszystkiego nie wiedział nasz szanowny autor! I jak to zazwyczaj bywa, kiedy już raz do pewnej rzeczy nieprzepatą mamy idiosynkrazję, pan Jedliński, który dopiero co się żalił na zbytnią lakoniczność prospektu, żali się znowu po chwili na zbytnią jego wymowność. Prospekt mu za wiele mówi o wstępnej wyprawie (*trousseau*), którą każdy uczeń powinien wnieść do Szkoły. Pocóż mówić o »grzebieniach«, pocóż o »szkarpetkach?...« Szkarpetki?! *Shocking! Shocking!* Tak wykwinnym to robi człowieka świeży pobyt w salonach!... Ale te biedne matki, które w salonach zazwyczaj nie bywają i które ze wszystkich stron Francji swoje dzieci wysyłają do Batiniolskiego zakładu, te jednak chcą i mają prawo wiedzieć, jaką wyprawę mają dać synkowi do tej Szkoły! Taki szczegółowy wykaz wyprawy znajdzie szanowny autor w każdym prospekcie każdej szkoły francuzkiej: tam znajdzie i owe fatalne szkarpetki i inne fatalniejsze jeszcze *Inexpressibles!* A całego narodu francuzkiego przecież nie zechce pan Jedliński posądzać o nieznamość dobrego tonu, lub o *brak wychowania!* Przecież na wzorach i manierach tego narodu kształcą się nawet sami nasi Jaśnie Wielmożni! Przecież

z dawnej Gallów nazwy pochodzi nawet i sam wyraz *galanteryi!*...

Przejdźmy teraz do »zgubnych dążności«, które pan Jedliński upatruje w prospekcie Szkoły, a przytoczmy tu nasamprzód w całości słowa naszego autora: »Szkoła, powiada on, pozbawia się właśnie dzieci z warstw średnich Emigracyi... z warstw najszacowniejszych, bo pracą się zalecających, chociaż praca ta, często mozolna, nie zawsze daje rodzicom możliwość robienia wielkich nakładów na edukację swych dzieci; a bierze je z warstw: 1) najniższych, 2) najzamożniejszych. Jakoż podług ostatniego urządzenia, drukiem *Szkoła Polska* (t. j. Prospektem) ogłoszonego, są w Szkole Batiniolskiej dwie tylko kategorie uczniów: Nic nie płacący i wszystko płacący. Ale cóż zrobią ci, którzy wszystkiego nie są w stanie opłacać? Co ich zachęci do polskiego wychowania swych dzieci? Czyżby już synowie ich na zawsze od Polski odepchnięci byli? Za jakie przewinienie? Za to, że nie mają dość pieniędzy!... Byłoby to moralnie? Cóż się stało z § 6 pierwszego programu Szkoły Narodowej wychodźców, który mówi o  $\frac{2}{3}$  częściach bursy, o półbursie i o  $\frac{1}{4}$  części? Jakto? więc teraz właśnie kiedy Szkoła jest bogatszą materialnie(???), pokazywałaby się mniej hojną, mniej wspaniałą, niżeli wtenczas, kiedy zaledwie wiedziała, czy żyć mogła? Jakto? więc dążeniem jej terażniejszym byłoby: z zakładu dobroczynnego chcieć zostać Instytutem *przemysłowym*? Więcby tylko sam Rząd francuzki okazywał współczucie dla dzieci naszych, gdyż uczniowie nie opłacani przez rodziców, byłiby w szkole tylko ci, za którychby Rząd płacił? Jeżeli wszyscy inni mają płacić, więc składki na Szkołę Batiniolską już niepotrzebne! Więc należałoby myśleć o innej Szkole, któraby przysłała w pomoc wszystkim, co nie są w stanie płacić całego utrzymania! Więc *przyzwoitość* nakazywałaby to publiczności polskiej otwarcie oznajmić!...«

Na te niestychane oskarżenia odpowiemy cyframi.

Cztery są główne kategorie uczniów w Szkole Batiniolskiej, jak wogóle we wszystkich szkołach francuzkich:

1. *Interni rządowi*, to jest uczniowie bezpłatnie, bo kosztem rządu utrzymywani, mający w Szkole oprócz nauki, mieszkanie, żywność i opatrzenie. Takich rządowych internów jest stu w zakładzie polskim, a do tych (z jednym tylko ciekawym wyjątkiem, o którym zaraz usłyszymy), należą same tylko zupełnie opuszczone sieroty lub dzieci, których rodzice są w zupełnej niemożności płacenia. Utrzymanie każdego takiego interna kosztuje Szkołę naszą 500 fr. rocznie (oprócz wyprawy, opłaty Liceum, kosztów repetycyi i t. d.); od Rządu zaś za każdego tylko dostaje 450 fr.

2. *Externi*, pobierający tylko naukę w Szkole. Za takich w szkołach francuzkich <sup>1)</sup> opłata wynosi 200 do 400 fr. rocznie; w Szkole zaś polskiej za nich się *nic nie płaci*.

3. *Półinterni* (demi-pensionnaires) pobierający w Szkole naukę i żywność, ale mieszkający i opatrzeni w prywatnych domach. Za takich w szkołach francuzkich się płaci 500 do 800 fr. rocznie; w Szkole zaś polskiej 150 fr.

4. *Interni prywatni*, nie na koszcie rządowym będący. Za takich w szkołach francuzkich płaci się rocznie 1000 do 1500 fr.; w Szkole zaś polskiej... Ale o tem zaraz i obszerniej.

Nie zapominajmy także, że wszyscy uczniowie jakiejbądź kategorii, oprócz tych samych nauk, co w szkołach francuzkich, pobierają jeszcze nadto w batiniolskim zakładzie naukę języka polskiego, historii polskiej i wszystkich wogóle polskich przedmiotów.

A teraz rachujmy.

Same już utrzymanie rządowych internów przyprawia Szkołę o roczny deficyt 5000, a z kosztami Liceum 6 do 7000 fr.: deficyt, który, jak wszystkie następne deficyty, tylko może być pokryty przez ofiary dobroczyńców i za który, jak za wszystkie inne, odpowiada zarząd zakładu. Już tem jednym, o ile ja sła-

---

<sup>1)</sup> O wszystkim, co się w tym wywodzie o opłatach w szkołach francuzkich i ich porównania z opłatami w Szkole polskiej mówi: obacz następujący przypisek.

bym mym rozumem sądzić mogę, daje szkoła dowód wielkiej nieprzemysłowości... Dalej udziela ona instrukcyi externom zupełnie bezpłatnie; instrukcyja ta kosztuje ją 100 fr. rocznie na osobę, a za tę instrukcyę w szkołach francuskich płaci się 200 do 400 fr. I tu znowu nie mogę dojrzeć żadnego śladu przemysłowości: widzę owszem tylko nowy deficyt i nowe dobrodziejstwo. Następnie żąda zakład batiniolski od półinternów 150 fr. rocznie; szkoły francuzkie żądają 500 do 800 fr. Ciągła więc nieprzemysłowość i tylko ciągłe dobrodziejstwa, a do tego wszystkiego i dla wszystkich kategorii uczniów najwyższe jeszcze dobrodziejstwo narodowego wychowania, nauki języka polskiego, historii polskiej i wszystkich ojczystych przedmiotów! Przystąpmy wreszcie teraz do czwartej kategorii, do internów prywatnych i płacących. Gdyby Szkoła batiniolska od tych całkowitej nawet opłaty 500 fr. żądała, to by i w takim razie ofiary jeszcze sobie tylko nakładała: ofiary zapłacenia kosztów Liceum; to by i w takim razie następnie wielkie tylko rodzicom wyświadczyła dobrodziejstwo. Bo pan Jedliński chyba tylko żartuje, kiedy gdzieś powiada, że rodzice w takim razie by woleli oddać swoich synów do szkół francuzkich: przecież kaźden to wie, że za internat w tych szkołach nie 500, ale 1000 do 1500 fr. płaci się rocznie! Ale cóż dopiero, kiedy Szkoła polska tych 500 fr. wcale jako nieodzowny warunek przyjęcia prywatnego interna nie stawia! Kiedy w prospekcie swoim tylko ten goły fakt wypowiada: że oprócz wyprawy i opłat Liceum »najściślej sze obrachowanie okazało, iż utrzymanie kaźdego interna kosztuje *Szkołę* rocznie 500 fr., kaźdego półinterna 250 fr., a kaźdego externa 100 fr.«, stawiając tem tak mało pensyą 500 fr. za nieodzowny warunek dla przyjęcia interna, jak pensyą 250 fr. dla przyjęcia półinterna, za kaźdego przecież tylko 150 bierze, jak pensyą 100 fr. dla externa, za kaźdego przecież nic nie bierze: tem wyłuszczeniem swoich kosztów i deficytów robiąc tylko odezwę do dobroczynności możliwych rodaków, by ją ciągłymi ofiarami zasilali, odezwę do sumienia rodziców samych oddających swe dzieci do zakładu, aby ile możliwości płacili! Cóż, kiedy Rada szkolna uwzględnia-

jąc właśnie stan każdego z tych rodziców i możliwość płacenia, wchodząc szczegółowo w szczegółowe położenie każdej tułacznej rodziny (co, że nawiasem wspomnę, nie jest jedną z najmilszych atrybucji tej Rady) przestaje na  $\frac{2}{3}$ ,  $\frac{1}{3}$  nawet  $\frac{1}{4}$  owej pensji! Kiedy na imię dobroczyńców, co akcją na kupno domu dla Szkoły wzięli, utrzymuje oprócz stu rządowych jeszcze jedenastu prywatnych internów, a kilkudziesięciu półinternów zupełnie bezpłatnie! Kiedy w całej Szkole dwóch tylko, *dwóch* powtarzam tylko wogóle uczniów w ubiegłym było roku, co ową całkowitą pensją zapłaciło! <sup>1)</sup>...

I cóż teraz powiedzieć o insynuacjach pana Jedlińskiego, jakoby w Szkole dwie tylko kategorie były uczniów: nic nie

<sup>1)</sup> Wszystkie tu podane szczegóły czerpam z urzędowego Wykazu uczniów Batiniolskich z dopiero co ubiegłego roku, to jest z roku, z którego datuje i broszurka pana Jedlińskiego. Wykaz ten zamieszczam tu w całości; wyświeca on wiele szczegółów, o których w tekście mówić nie mogłem:

»Szkoła Narodowa Polska, w r. 1853, liczyła uczniów:

*Internów* 100 na bursie rządowej.

11	na	koszcie	Szkoły,	bezpłatnie.
3	za	roczną	opłatą	franków 150
19	«	«	«	« 200
1	«	«	«	« 240
21	«	«	«	« 250
9	«	«	«	« 300
1	«	«	«	« 350
4	«	«	«	« 400
2	«	«	«	« 500

*Externów* 63 pobierających naukę bezpłatnie.

Z tych 24 było karmionych w Szkole bezpłatnie.

3 « « « za roczną opłatą 150 fr.

15 miało zupeł bezpłatnie.

21 pobierało tylko naukę bezpłatnie«.

Dla porównania załączam wykaz opłat w szkołach paryzkich (francuzkich) tak jak je dekret Cesarski, z dnia 16 kwietnia 1853 r., ustanowił, a *Monitor* ogłosił:

płacących i *wszystko* płacących? Cóż powiedzieć o jego wezwaniu do *przyswoitości*? Jakąż nazwę znaleźć dla jego zarzutu *przemysłowości*?... O i tu czuję, żebym się mógł stać gorzkim: jak mówi Karlos do Pozy!... Bo jeśli kto, to pan Jedliński nie miał prawa takich właśnie formułować zarzutów! Ani w dawnym, ani w obecnym swoim stosunku do Szkoły nie powinien był znaleźć do tego ani zachęty, ani wreszcie odwagi! Bo nasz szanowny autor miał i ma dotąd sam syna interna w tej Szkole; a chociaż pan Jedliński należy, dzięki Bogu, do tych rzadkich naszych wygnańców, co mają godziwe utrzymanie, co sobie własną pracą na honorowy i dostatni sposób życia zarabiają, chociaż ma urząd i stosunki i chociaż wreszcie do najwyższej płacących Szkole rodziców jeszcze w przeszłym roku należał... nie płacił jednak sam pan Jedliński ani w przeszłym nawet roku (w ten czas właśnie, gdy swoje pisemko układał i drukował), owej *całkowitej* pensji 500 fr., którą jako nieodzowny i »drakański« warunek przyjęcia uczniów w batiniolskim zakładzie przedstawia! Jakąż, pytam się więc jeszcze raz, nazwę znaleźć dla jego zarzutu?... A jeśli w tym roku zmienił się pod tym względem stosunek pana Jedlińskiego do Szkoły, to przecież zaprawdę nie ze szkodą, przynajmniej nie z *materyalną* szkodą, pana Jedlińskiego; to przecież zaprawdę nie w sposób... aby pan Jedliński miał prawo do robienia zarzutów!... Bo pan Jedliński, który tak pięknie umie prawić o poświęceniu, o obowiązkach i ofiarach; który tak gorąco i wymownie wzywa do datków na rzecz Szkoły; który tak patetycznie woła: »Czyż to nie ta sama krew płynie w żyłach tych dzieci, którą ich ojcowie rozlali na

	Internat.	Demipensionat.	Externat.
Division élémentaire	950 fr.	500 fr.	180 fr.
Division de grammaire	1050 «	550 «	225 «
Division supérieure	1150 »	600 «	300 «
Classe de mathématiques	1500 «	800 «	375 «

Trzeba też uważać, że Szkoła Polska nie podwyższa opłat w wyższych klasach, jak to robią szkoły francuzkie i jak to względem niej samej czyni i Liceum, do którego uczniów wyższych swych klas posyła.

polach Grochowa i Ostrołęki!«... Który dalej powiada: »Oh! przebóg! każde jednak z tych dziątek woła: Ty, matko ojca mojego, jestem twoim wnukiem! Ty, siostró jego, albo bracie, jesteś ciotką, wujem moim! Ty, obrońco Ojczyzny, może ojciec albo stryj mój życie na polu bitwy ci ocalił! Z tobą może dzielił się żołnierskim sucharem! Z tobą na jednej ławie siedział w szkole!...« i t. d.; pan Jedliński wreszcie, który sobie na honorowy i dostatni sposób do życia zarabia, który ma urząd i stosunki; ten sam pan Jedliński użył właśnie tego swego urzędu i tych swoich stosunków do zniewolenia Rady, aby jego syna odtąd na liście bezpłatnych, rządowych internów Szkoły zamieściła!!! Syn pana Jedlińskiego jest jednym i jedynym uczniem, mającym w batińskim zakładzie naukę, żywność, mieszkanie i opatrzenie zupełnie bezpłatnie, a który jednak nie jest, ani opuszczoną sierotą, ani dzieckiem rodziców będących dowodnie w niemożności płacenia: który się owszem szczyli ojcem, co dowodnie płacić może i jeszcze niedawno płacił!!! I wie-że łaskawy czytelnik, co to właściwie znaczy?... Znaczy to poprostu, że pan Jedliński odebrał miejsce przytułku, schronienia i wykształcenia jednej z biednych i opuszczonych polskich sierót, których tak wiele od lat tak wielu puka u wrót Szkoły i żąda wpuszczenia! Znaczy to poprostu, że pan Jedliński jak najniezasłużeniej wkroczył w najświętsze prawa niejednego polskiego tułacza, liczną obarczonego rodziną i w najostateczniejszej pogrążonego nędzy, a który od dawna już rachował na wakujący rządowy internat w Szkole dla jednego ze swoich nieszczęśliwych dziątek!!!

Jestże to religijnem, szanowny autorze?... Jestże to nawet tylko filantropicznem?...

I pan Jedliński jeszcze Radzie szkolnej, pan Jedliński Gałęzowskiemu zarzuca — *przemysłowość!*...

Biedna Ofelio! Twe pamiętne słowa <sup>1)</sup> nie są może zupeł-

---

<sup>1)</sup> ... good my brother,

Do not, as some ungracious pastors do,  
Show me the steep and thorny way to heaven;

nie właściwe w twych tak niewinnych, tak niewieścich uściech... Ależ ileż za to w tych słowach odwiecznej prawdy, ileż strasznej znajomości tego, co chyba tylko przez eufemizm ludzkim sercem nazywamy!...

Przejdźmy do rzeczy mniej smutnych, a czasem nawet wielce pociesznych: do owych reform i nowych urządzeń, którymi pan Jedliński chce obdarzyć Szkołę i które niejako kapitełę tworzą jego autorskiego monumentu, kapitełę więcej niż koryncą: pełną zrygawków, dziwacznych form i niezbyt prostych linii. Te pedagogiczne pomysły naszego pisarza, których naturę zresztą jużśmy trochę mimochodem poznali, mógłbym właściwie pominąć milczeniem. Bo gdy tylko przeszłości naszej Szkoły z dwóch jej lat ostatnich bronić postanowiłem, gdy tylko zamiary i dążności obecnej jej Rady jako dobre i uczciwe wystawić było w mojem założeniu: nie miałbym w gruncie potrzeby rozbierać możebne odmiany i urządzenia na przyszłość. Gdy Szkoła nadto wcale nie myśli, aby już wszystkiego dokonała, gdy przeciwnie wciąż nad polepszeniami pracuje i żadnej reformy z góry nie odrzuca: mógłbym pana Jedlińskiego pożegnać z życzeniem, aby jego pomysły i plany najprędzej znalazły spełnienie. Ale nie! Wolę być szczerym i otwartym i szczerze też wyznać, że, o ile własnemu przynajmniej mogę zawierzać sądowi, nie widzę dla ich urzeczywistnienia żadnej nadziei i żadnego sposobu. Bo prawie wszystkie, takie niestety pedagogiczne zdradzają niedoświadczenie, taką już wreszcie nieznajomość istotnego położenia samego batiniolskiego zakładu! Ze wszystkich reform i innowacyi, które pan Jedliński proponuje, jedna tylko przemówiła do mego serca i przekonania, jedna właściwie tylko mi się wydaje dobrą i skuteczną, powiem nawet więcej, tak pożądaną jak łątwą do zaprowadzenia. Jest nią... *gra w piłkę*, którą szanowny autor tak

---

Whilst,  
Himself the primrose part of dalliance treads,  
And recks not his own read...

gorąco zaleca i z prawdziwym nawet talentem opisuje. Na tę ważną reformę, której potrzeba tak gwałtownie się czuć daje, ośmielam się i ja zwrócić całą wysoką uwagę szanownych członków Rady... A w nakłonieniu ich serca ku temu bądź mi i ty z pomocą, świetny igrzysk bożku, kędziorny Apollinie! I ty też szepnij słówko za nami, wielka piłki mistrzyni, lilioramienna Nauzykao!...

Jednym z najgłówniejszych pomysłów pana Jedlińskiego i na który sam największy kładzie przycisk, jest ten, co się tyczy religijnego elementarza. Zamiast uczyć dzieci po polsku »na jakichci powiastkach o *Koniku*, o *Kotku filusiu*, albo o *Pannie Kocosznickiej*«, wolałby nasz szanowny autor, aby lepiej do tego użyto rzeczy »zostawiających ślad na duszy«, jak pacierza, modlitw, żywotów ŚŚ. i t. p.; i w tym celu wkłada na zarząd szkolny obowiązek ułożenia książki elementarnej z tego stanowiska. Pan Jedliński tylko o tem zapomniał, że głównem zadaniem elementarza powinno być prędkie nauczanie czytania z największą o ile można zabawą dla dziecka i że kiedy do znalezienia upodobania w powiastce o *Koniku*, o *Kotku filusiu* lub o *Pannie Kocosznickiej* wystarcza tylko być właśnie dzieckiem: do budowania się tymczasem modlitwą i Świętych żywotami potrzeba bardzo już rozwiniętego umysłu, albo przynajmniej bardzo rozwiniętego już serca. Przedewszystkiem zaś zapomniał pan Jedliński, że taka ważna edukacyjna reforma nie może wyjść z inicjatywy szkolnego zarządu lub jakiejbądź świeckiej zwierzchności; że tu inicjatywa należy do samej tylko zwierzchności duchownej: do niej więc powinien się nasz autor udać ze swoim projektem. Czy tam znajdzie usłuchanie? Nie nam naturalnie w tej sprawie przesądzać. Wszakżeż, zdawałoby się mnie, iż wysoka duchowna władza dobrze jeszcze rozważy nim zezwoli, aby modlitwy i święte rzeczy były użyte do nauki syllabizowania i znalazły zamieszczenie w książce, która się najbardziej tarza i sponiewiera, do której dziecko z odrazą przystępuje i którą jak najspieszej odrzuca. I nie mniej wielki szkrupuł obudza inny projekt pana Jedlińskiego, do którego także wiele zdaje się przywiązywać

wagi. Uczniowie zakładu batiniolskiego tworzą sobie sami nieraz kółka, których członkowie się obowiązują podczas rekreacji i zabaw polskiej tylko używać mowy; wchodzący do takiego grona płaci wstępnego kilka groszy, a za każde użycie francuzkiego frazesu pewną pieniężną karę; zebrane tym sposobem pieniądze służą do nastęczenia sobie przyjemności, w której całe grono ma udział. Wymysł to prawdziwie piękny i rozczulający i słusznie go też pochwała pan Jedliński. Ale jeśli szanowny autor dalej żąda, aby zarząd szkolny sam takie kółka tworzył, takie ogólne bractwo języka polskiego i w celu ułatwiania biednym uczniom przystępu i udziału w takich gronach, sam na to wyznaczał fundusze, którymi by przecież sam znowu rozrządzać musiał: to nie zdaje się spostrzegać, że tym sposobem by się tylko zatarł cały piękny charakter tych stowarzyszeń, których największy wdzięk i najskuteczniejszą stronę ta właśnie spontaniczność uczniów samych stanowi. Wmieszanie się szkolnego zarządu zamieniłoby dobrowolne usiłowania uczniów i właśnie tą swoją dobrowolnością tak interesujące i obiecujące, na zwykłe tylko zachęcenia i wynagrodzenia. Prawda, że te nagrody byłyby w formie pieniężnej, i tego też właśnie zdaje się żądać nasz szanowny autor. Ale czyż się tylko dobrze zastanowił nad *moralnymi* skutkami takiego właśnie *pieniężnego* bodźca? Póki to dzieci same między sobą robią, nic złego; ale żeby im sam zarząd szkolny jako cel do ubiegania się wskazał pieniądze?!... Nie! I poraz tyśiączny: nie!... Na Boga! gdy świat nasz obecny już tak grubo, niestety, zmateryalizowany; gdy żądza i chuć zysku tak już jest powszechną; gdy Mamon tak wszechwładny, a giełda tak potężną, nie obudzajmy przynajmniej w dzieciach przed czasem tego instynktu, który się w nich i bez tej pieczy, niestety, w swoim czasie rozwinie! Mówmy uczniom o Wierze, o Cnocie i Poświęceniu, na Boga, nie mówmy im o pieniądzach i przewodnikiem biednej polskiej trzody nie róbmy złotego Cielca!...

Jak pan Jedliński z jednej strony chce z naszych uczniów robić przedwczesnych (według wyrażenia Warszewickiego) »łapi-groszów«, tak z drugiej chce z nich utworzyć przedwczesnych

żołnierzy. Znajomość wojskowych obrotów: »formowanie frontu, obrotów w prawo i w lewo, łamania się na sekcye i plutony i tworzenia kwadratów« uważa on za bardzo potrzebną dla uczniów batiniolskiego zakładu. Przytłumię w sobie niejednego pedagogicznego szkrupuła, którybym mógł mieć przeciwko takiemu kształceniu dziesięcioletnich *capitani spaventi*: poproszę tylko pana Jedlińskiego, aby wprzód wystarczył się dla Szkoły o plac, na którymby się 300 uczniów wygodnie musztrować mogło. Szanowny autor, który już tak narzeka na ciasność miejsca przeznaczonego w Szkole do zabaw i rekreacji i który tym, co przebudowaniem domu kierowali, nie dobre rozpatrzenie się w miejscowości zarzuca<sup>1)</sup>, szanowny autor pewno się sam w miejscowości dobrze rozpatrzył i pewno dostrzegł ten plac obszerny, który się styka z zabudowaniami szkolnymi i teraz właśnie za 30 do 40,000 franków jest do nabycia... *Un bon mouvement*, panie Jedliński!... Szkoła taki dar z wdzięcznością przyjmie, a szanowny autor wówczas uzyska więcej powietrza i przestrzeni dla zabaw naszych dzieci, wówczas znajdzie też może i pole dla swoich wojskowych obrotów.

I mazurki też i polonezy chciałyby nasz pisarz widzieć w naszej Szkole! Pan Jedliński jest człowiekiem nie tylko do różańca i szturchańca, ale i do tańca! Tańców mają się w Szkole uczyć te biedne dziatki, te opuszczone sieroty... którym na przyszłość taką ciernistą, niestety, przeznaczoną jest przebież drogę, które tak mało pewno w życiu znajdą sposobności »łechtania gładkiej posadzki zwinną podeszwą« i które, jeśli kiedyś pójdą w tany, to chyba tylko z wrogami! I gdzież w Szkole taka sala, w którejby 300 par wesoło pisać mogło? Skąd wziąć muzykę

---

1) Przebudowaniom przewodniczył mąż niezawodnie kompetentny, architekt miasta Paryża, pan Girard. Zaczyna ten przyjaciel Polaków, bez żadnego wynagrodzenia i z czystego tylko przywiązania do polskiej sprawy podjął się tej pracy i z bezprzykładną gorliwością kierował wszystkimi robotami. Miło mi tu publiczny i zasłużony hołd oddać tak zacnemu postępowaniu szlacheckiego cudzoziemca...

i kapelę? Skąd przedewszystkiem wziąć tę płeć piękną, bez której przecież taniec, taniec polski szczególnie, wszelki urok traci i wdzięk wszelki? Któż tu tej drugiej i piękniejszej połowy naszego rodzaju dostarczać się podejmuje?... Póki tego wszystkiego nie obmyśli pan Jedliński, będzie musiała Szkoła zaprzestać na gimnastycznych skokach; a dla okazania uczniom narodowego charakteru naszych tańców, wystarczy im w wyższych klasach przeczytać śliczną rozprawę, którą temu przedmiotowi poświęcił nasz Brodziński.

Czemuż, pyta się dalej szanowny autor, nie zaprowadzić domowych łązienek w Szkole? Czemuż nie uczyć dzieci pływać? Czemu ich nie uczyć kościelnych kompozycyj naszego Gomułki z XVI wieku? Czemuż im nie zapewnić pewnych nagród pieniężnych? Czemuż ich czasem nie prowadzić na sztuki »konne i fizyczne?« Czemuż im czasem podczas przechadzki nie najmować »koni lub osiołków?« Czemuż?... Czemuż?...

Ale skąd czas na to, skąd na to pieniądze, mój szanowny panie Jedliński!!!

Czas i pieniądze, *times and money*, te dwie tylko drobne rzeczy (oprócz wielu innych) wypuścił nasz autor ze swojej nieskończonej, reformatorskiej i innowatorskiej rachuby... a terazże z nim ładu szukaj! Pan Jedliński zdaje się wcale nie mieć o tem wyobrażenia, jak wielce w edukacyjnym właśnie zakładzie czas oszczędzać należy; pan Jedliński ani tego podejrzywa, że gdyby dziatki Szkoły w istocie to wszystko robiły, co on im zaleca, to, nie powiem żeby się nie bawiły... i owszem! grałyby w piłkę i obracały się wojskowo, tańczyłyby i śpiewały, kąpałyby się i pływały, jeździłyby na koniach i hasały na osiołkach, chodziłyby na cyrk Frankoniego i podziwiałały »fizyczne« sztuki Houdina, dekorowałyby się i wybierały wiarusów i mistrzów bractwa, będę sprawiedliwym: dodam jeszcze, żeby się też i modliły... ale czyby się uczyły?... Nie! Do nauki by im, jak bohaterom Byrona do pokuty, zabrakło czasu! I jakichby to znowu kosztów i wydatków wymagały wszystkie te, mniej lub więcej zabawne

innowacye pana Jedlińskiego! Szanowny autor zdaje się ani o tem pomyślał, że gdyby zarząd szkolny chciał urzeczywistnić wszystkie pomysły, które mu ofiaruje, i wywiązać się ze wszystkich obowiązków, które nań wkłada: gdyby chciał obszerny plac dla zabaw i musztr urządzać i tańce zaprowadzić, w pieniądzach wynagradzać i osiołki najmować, do teatrów posyłać i łaźienki budować, książki dla emigracyjnej młodzieży drukować i konkursu ogłaszać... to by wprzód musiał przynajmniej odkryć miny, których pan Jedliński mu jeszcze nie wskazał! Pan Jedliński wprawdzie pod tym względem ma dziwne złudzenia: pan Jedliński w całej prostocie duszy i w całej nieświadomości rzeczy myśli i zaręcza, że »Szkoła jest teraz nierównie bogatszą«, że »stan jej materyalny zadowolniający«... Pan Jedliński więc chyba nie wie, o czem pisząc o Szkole wiedzieć przedewszystkiem miał obowiązek, że ta Szkoła ma roczny deficyt 30 do 40,000 fr. i że ten deficyt, równie jak półmilionowy blisko dług za dom i przebudowania ciąży na odpowiedzialności Rady, a ściślej mówiąc jednego z członków tej Rady, i tego właśnie, przeciwko któremu całe swoje piśmko głównie wymierzył! I pan Jedliński nazywa zadowolniającym stan materyalny zakładu, którego budżetu część trzecia, jeśli nie połowa, jedynie jest zawisłą od problematycznej dobroczynności prywatnych! I zamiast być wdzięcznym za to wszystko, co się mimo tego tak rozpaczliwego stanu zrobiło i ciągle robi, żąda pan Jedliński rzeczy niestworzonych i nie do stworzenia! I zamiast do ofiar na rzecz tego zakładu z całych sił zachęcać i wszystkie serca ku niemu zniewalać, robi pan Jedliński tylko to, co wszystkie serca od niego odwrócić, wszystkie kieszenie przed nim zamknąć jest w stanie! Bo nie ludźmy się! Na zakład naukowy i polski, którego bytu połowa od dobroczynności Rodaków zależy, na taki zakład rzucić podejrzenie niereligijności lub tylko religijnej obojętności, jest to zniechęcić mimowoli wszystkie szlachetne umysły dla jego wzrostu i rozwoju, jest to ludzi szczerych i sumiennych zachwiać w dobroczynnych natchnieniach, a nieszczerym i niesumiennym dać pożądaną sposobność do wymówienia się od ofiar i do ubar-

wienia piękną nazwą ohydneho tylko egoizmu! Zaklęcia, których szanowny autor mimo tych swoich podejrzowań nie szczędzi, w celu obudzenia dla Szkoły współczucia; wymowne nawet i prawdziwie rozczulające słowa, któremi do dusz litościwych i dobroczynnych przemawia za sprawą tego zakładu, nie zatrą, lękam się, pierwszego niekorzystnego wrażenia, które daje o jego kierunku i dążności. Pióro pana Jedlińskiego nie jest lancą Achillea: ranić tylko umie, ran goić nie potrafi; a uczucia obowiązku, litości, patriotyzmu, które wzywa i w imieniu których tak gorąco o wsparcie i zasiłki dla batiniolskiej szkoły woła, tak mało, bojąc się, odprowadzą wielu od raz powziętej i przez szanownego autora samego podanej złej o niej opinii, jak mało były w stanie odprowadzić samego pana Jedlińskiego od zamieszczenia własnego swego dziecka na liście bezpłatnych wychowawców tejże Szkoły... Tyle to szkód może mimowoli zrobić, tak zgubny wpływ może bezwiednie wyrzucić najprawszy i najzacniejszy nawet umysł, skoro go tylko owładnie Belzebub nowożytnych czasów, *frapping spirit* naszego wieku: straszny duch autorstwa!...

I duch jeszcze straszniejszy; duch partyi i koteryi. Bo nazwijmyż wreszcie rzeczy i ludzi po imieniu i powiedzmyż otwarcie to, co kaźden z czytelników już niezawodnie poznał, a kaźden ze świadomych sprawy bez wątpienia uznał: pan Jedliński tylko gra na strunie, którą oddawna już ukręcił i nastroił pan Zamojski, i z dwóch tych zacnych mężów niekoniecznie ten ostatni jest właściwie ową zakrywającą »tarczą«. Nie chciałbym tu ubliżyć szanownemu pułkownikowi; bo jakkolwiek mało mam sympatyi dla jego politycznych opinii, a jeszcze mniej dla jego dyplomatycznych zabiegów, umiem jednak uchylić kornie czoła przed jego zasługami, umiem nawet podziwiać jego wytrwałość i niezmordowaność... Ale ignorować to wszystko, co się poza obrębem własnych widoków i robót dzieje; gdy się to ignorować nie daje, starać się je owładnąć i zagarnąć; a gdy się owładnąć nie daje, starać się je podkopać i niweczyć: taka była odwieczna taktyka i praktyka wszystkich partyj na świecie; a kto

zna pana Zamojskiego, ten wie, i nawet mu nie ubliży, gdy powie, że jest on człowiekiem partyi *par excellence* i w tych sztukach właśnie partyi mistrzem niezrównanym. Dowody tego mistrzostwa widzimy, że tylko o mniejszych i świeżych wspomnę rzeczach, w jego postępowaniu tak względem Szkoły Batiniolskiej, jak względem Biblioteki Polskiej. Póki Biblioteka słabym tylko była zawiązkiem, póki była niepokazną i niepozorną i uwagę tylko kilku szczerych pracowników na polu historycznym zwracała, nie wiele się nią zajmował pan Zamojski, nie wiele o niej myślał i nie zbyt rączy był dla niej z pomocą. Ale skoro tylko, dzięki wytrwałości, troskliwości i miłości, niezmordowanym zabiegom i nieustannym pukaniom i szukaniom jednego z najzacniejszych i najuczeńszych naszych mężów, i jedynego prawdziwie twórcy tego zbioru, wzrosła w siły i zamożność i stanęła pięknym pomnikiem emigracyjnej pracy i gorliwości: i skoro tylko pan Zamojski poczuł, że ten pomnik by mógł posłużyć... jeśli nie na słup i na filar, to przynajmniej na filarek, na karyatydkę i choćby tylko na stafażę tej anglogotyckiej budowy, o której przez swoich dla Polski i przez Polskę dla swoich wiecznie marzy szanowny pułkownik, wówczas i on pośpieszył dla niej z ofiarami, zaczął zbierać, dał ze swego... i zażądał w końcu jej zagarnięcia i owładnienia. A gdy się tym zdobywczym zamiarom oparł ów mąż zasłużony, którego prawie dziełem i tworem był zbiór cały: podkopał go pan Zamojski powoli w jego wpływie i stosunkach, podkopał go nawet w przywiązaniu sędziwego przyjaciela i wiekowego prawie towarzysza życia, i wydarł wreszcie twórcy jego utwór, zasłudze najpiękniejszy jej pomnik, dwudziestoletniej pracy najdroższy jej owoc, starcowi na schyłku wieku najpiękniejszą i najczystsza pociechę, najmilsze i najszlachetniejsze zatrudnienie dni ostatnich, i z rzeczy ogólnej, publicznej i obywatelskiej, do której wszyscy należeli i wszyscy należeć chcieli, zrobił rzecz prywatną i osobistą, rzecz partyi i koteryi *ad asum...* nie wiem już którego z Delfinów! — I nie insze było postępowanie szanownego pułkownika ze Szkołą Batiniolską: chociaż nie tym samym dotąd uwieńczone zostało skutkiem, i da Bóg

nie zostanie! Przez lat dziesięć pędziła Szkoła żywot skromny, może więcej niż skromny: i przez tych lat dziesięć nie zwróciła ona na siebie ani razu uwagi pana Zamojskiego, nie doznała z jego strony najmniejszego dowodu hojności, najlżejszej oznaki jakiegobądź tylko uwzględnienia. Ale gdy się wreszcie znalazł mąż pełen energii i poświęcenia, który chwiejący się ten zakład podźwignął, urządził, powiększył i ulepszył, i w krótkim czasie do prawdziwie świetnego doprowadził stanu, wówczas i pan Zamojski poczuł naraz w swych wnętrzościach życzliwe drgnięcie dla przedtem tak zaniedbanej Szkoły, wówczas i on przystąpił do niej z małym darem, ale razem z tym darem (poniekąd jako warunek nawet jego!) chciał jej narzucić za Mentora jednego ze swoich Telemachów, młodzieńca może pełnego nadziei i zdolności, ale który do objawienia tych i urzeczywistnienia tamtych nie miał jeszcze dotąd ni dość pola ani dosyć czasu. A gdy Szkoła uchyliła od siebie ten w podwójnem rozumieniu niezasłużony zaszczyt, została naraz przedmiotem troskiwych żalów, pobożnych życzeń i pobożniejszych westchnień jeszcze. Wówczas to pierwszy raz zasłyszeliśmy o pewnych obawach i szkrupułach; i wówczas to też padło po raz pierwszy owe gromem broszury ciężarne słowo Filantropii, które pan Jedliński tak zwinnie miał potem podchwycić i tak w nieskończoność rozprowadzić! P. Zamojski, który na tyle belek Montparnassu <sup>1)</sup> poglądał przez szpary, zaczął wypatrywać i wyszukiwać wszystkie źdźbła Batiniolów. On, który dla swoich widoków i robót tak rzadko w ludziach zwykł przebierać, wystąpił jako surowy inkwizytor tudzi najzacniejszych i najszlachetniejszych. On, który się tak wciąż użala, że jego pracom i usiłowaniom przeszkadzają, stawiał jak mógł przeszkody robocie najuczciwszej i najbezinteresowniejszej. On, który dobrze wiedział, że zbieraniem składek na Szkołę zajmował się mąż nieposzlakowanej prawości i co na własną wzięt

---

<sup>1)</sup> Szkoła tak zwana *Przygotowawcza* na Montparnas, w Paryżu, licząca niespełna dwudziestu uczniów, zostaje pod zarządem J. W. hrabiego Zamojskiego.

odpowiedzialność dług półmilionowy zaciągnięty przez Szkołę, on rozpisał list półjawnny do dobroczyńców tego zakładu z wezwaniem, aby swe ofiary na jego (pana Zamojskiego) ręce przesyłali i tem mu skuteczny a zbawienny wpływ na — zwichnięte — kierownictwo instytutu zapewнили<sup>1)</sup>. Tak w całym planie i we wszystkich jego punktach odpowiada kampania szanownego pułkownika przeciwko Szkole tej, którą równocześnie prowadził przeciwko Bibliotece! A co podobieństwo uzupełnia, to, że na jednej jak na drugiej wyprawie wiernie mu towarzyszył i z całym sił dopomagał ten sam pan Jedliński!... A przecież, jeszcze niezbyt dawno temu, szczycił się pan Jedliński z niezawisłości zdań i przekonań, z wolności od wszelkiej koteryi, nawet z pewnej godności, którą umiał zachować w stosunkach z wyższym światem! Ale wpływ tego świata jest, acz powolny, jednak tak nieprzeparty! Życzliwy uśmiech wielkiego pana jest tak przyciągającym! Zażyłość z dostojnymi osobami jest tak podchlebnią! Woń salonów tak odurzającą!... W takim odurzeniu i pan Jedliński wreszcie stracił równowagę. W sówiem gnieździe, Rej to już nasz powiedział, sowieje i orzeł.

I przeciwko komu to wymierzone te pociski i wystosowane te insynuacje; przeciwko komu to wyostrzone te strzały i na-

---

<sup>1)</sup> Peryfrazą, w którą to żądanie obwinęte, jest charakterystyczną. »Pozwalam sobie przypomnieć, pisze pan Zamojski, jaką to wagę w Izbie Parów dawało księciu Wellingtonowi przynoszenie do każdej rozprawy i do każdego wotowania 60 do 70 głosów przez *proxy*. Nie mamy niestety, ani Izby takiej, ani takiego faworyta wielkiego narodu. Ale też tu o mniejszą rzecz idzie. Łatwo każdego *rozmyślnie* składkę dający na Szkołę, mógłby pomyśleć o tem, aby przy ofierze jego doszedł i zbawienny wpływ moralny, jaki wyrzecz pragnie. Ale pamiętać o tem trzeba: co zbiorowa i stateczna czujność dokazać może, tego żaden wpływ pojedyczny sprawić nie potrafi«. — Wellington, Pary, *proxy*: i znowu żale na brak Parów i faworytów narodu: takie to wywołane wspomnienia i poruszone struny... i to wszystko, dla osiągnięcia tego wielkiego celu: aby kilka franków nie na ręce Gałęzowskiego, ale na ręce p. Zamojskiego przychodziło do Szkoły!!! Nie jestże to szukać koniecznie lawy Wezuwiusza do ugotowania sobie jajka?...

pięte te łuki?... Przeciwno mężowi, który nigdy panu Zamoj-skiemu sporem nie stanął, który mu w żadnych jego robotach nigdy nie przeszkodził, który wogóle od wszelkich sporów naszego tułaczego życia jest wolny, bo cały czas tego tułactwa zdała od nas na drugiej świata półkuli przepędził? Przeciwno człowiekowi, który nigdy groźnym czarnym punktem nie był na politycznym horyzoncie szanownego pułkownika; który do żadnej władzy i do żadnego wpływu politycznego nie miał i nie ma roszczenia; który cokolwiekby uczyni, zawsze tylko tym samym prywatnym zostanie... filantropem; który dobre dla samego tylko robi dobrego, nie rachując nic na znaczenie, ni na kierownictwo w sprawach narodu, nie rachując, niestety, nawet na prostą wdzięczność ludzi!... — A ponieważ jużem sobie tyle pozwolił, niechże mnie też w końcu wolnem jeszcze będzie i tu człowieka nazwać po imieniu, i w krótkich słowach wyliczyć zasługi, o których i samemu panu Jedlińskiemu się zdaje, że nie są dosyć znane, a o których mnie się znowu zdaje, że ich przedewszystkiem dosyć nie zna sam pan Jedliński... Godniej tych ulotnych kartek zakończyć bym nie potrafił, ani też może lepiej usprawiedliwić pewnej goryczy w mej mowie, którą mi tylko zapoznanie właśnie takich cnót i takich zasług wycisnąć mogło!

Wychowaniec naszego Wileńskiego Uniwersytetu z jego najświetniejszej epoki, towarzysz i równieśnik naszych Zanów i Mickiewiczów, był Seweryn Gałęzowski jedną z najpiękniejszych jego ozdób jako uczeń, jedną z największych jego chwał jako nauczyciel. Spółzawodnik Śniadeckich, Grodków i Lelewelów, trzymał on wysoko pochodnię oświaty w naszym kraju i był z zapałem słuchanym mistrzem jednej z najpożyteczniejszych i najdobroczynniejszych dla ludzkości nauk. Ten, któremu pan Jedliński tak lekkomyślnie *brak wychowania* zarzuca, jest nie tylko wychowawcem najświetniejszego polskiego zakładu z jego najświetniejszej epoki, ale wychował sam całą generację ludzi zasłużonych i poświęcających się, którzy go jeszcze dotąd, zbliska i zdaleka, uwielbieniem i czcią otaczają. Z tą nauką łączył Ga-

łęzowski w sobie największą biegłość w jej zastosowaniu i najczynniejsze współczucie dla wszystkich biednych i chorych; najzawołany może lekarz swego czasu w naszym kraju, był on zarazem jednym z najdobroczynniejszych ludzi, a imię jego, jak sam z lat dzieciennych pamiętam, jest jeszcze dotąd na Litwie modlitwą wszystkich tych co cierpieli, westchnieniem wszystkich tych co cierpią!... I mamże tu jeszcze dodać, że ten dobry profesor był zarazem i dobrym Polakiem, że ten towarzysz Zana był prawym synem Ojczyzny? Gdy powstanie z 1830 roku go zaskoczyło na wielkiej naukowej podróży i na jednej z południowych kończyn Europy, nie wahał się ani chwili, porzucił wszystko i przez obce wojska i liczne niebezpieczeństwa przedarł się tam, gdzie go wołał obowiązek. Na polach naszych bitew, pod murami jak w murach Warszawy, wśród świstu kul i docierającego zewsząd wroga, niósł pomoc i ratunek walczącej naszej wierze, walczył sam ze śmiercią o każdą z ofiar, które jej moskiewskie naznaczyły kule, i po dwudziestu latach mógł jeszcze tu, we Francyi, spotkać się z niejednym, co z wdzięcznością i rozczuleniem mu pokazywał rany, które on wyleczył; blizny, które on wygoił; ramię, które on dla polskiego jeszcze ocalił oręża. Po upadku naszych narodowych usiłowań, udał się Gałęzowski na tułactwo, i aż na drugą sferę świata półkulę zapędziły go los i własna, niespożyta w nim chęć działania. Nauka jego, sztuka, której był mistrzem, szlachetność i poświęcenie przede wszystkim, które całe jego cechują życie, wyrobiły mu w krótkim czasie i w nieznanym kraju jedną z najświetniejszych pozycji; i przez lat piętnaście żył Gałęzowski w Meksyku otoczony czcią i miłością, wszystkimi oznakami sławy i dostatków. A jednak, trzeba tylko było najłżejszego promyka nadziei dla Polski, trzeba tylko było tej myśli, że Ojczyzna swych synów znowu potrzebować może, by znowu wyrwać tego męża ze środka najpiękniejszego i najszcześniejszego życia, by go wywołać z otoczenia, które się nim szczyliło, ze świata, który do niego, do którego on już tak był przywykł. Tak czujnym i uważnym na najłżejsze echo tłumionego głosu Ojczyzny okazał się ten, o któ-

rym pan Jedliński tak dowcipnie daje poznać, że tylko głosu medycyny usłuchać jest w stanie!... Nie nadzieję, niestety, tylko jej rozbicie i rozbitki zastał Gałęzowski za swoim powrotem do Europy, do Francji; zastał nędzę bez granic i dawne cierpienia tułactwa pomnożone nowemi. Ilużby to na miejscu i w położeniu tego męża tylko litościwie ramionami ruszyło i razem z westchnieniem wyrzuciło z piersi wszelką dalszą troskę! Któż nawet ze szlachetniejszych by tu nie myślał, że już wszystko zrobił, jeśli tylko jednorazową lub peryodyczną sobie nazaczył ofiarę? Ale nietylko swoim się dzielił Gałęzowski, lecz w potrzebę każdego wchodził cierpienia, każdej nędzy i każdego niedostatku; usiłował wyszukać dla pracy zawodu, dla sił zatrudnienia, dla niemocy przytułku: i w tym celu przez dwa lata ciągle zbierał i rozdawał. Zbierać i rozdawać! Zbierać u możnych, podróżujących i bawiących się; rozdawać między biednych, między tułaczów, między ludzi tak rzadko zadowolnionych i do zadowolnienia!... Co to znaczy, ten tylko pozna i oceni, co takiej pracy zbliśka i długo się przypatrywał! Jest to być niemiłym gościem wszędzie, cieniem Banka dla każdej uczyty, *memento* cierpień dla każdej uciechy. Jest to z drugiej strony być wiecznie otwartem okiem dla wszystkich smutnych i bolesnych stron życia, wiecznie otwartem uchem dla wszystkich skarg, żalów, a dodajmy na zawstyżenie ludzkiej natury, dla wielu też niezastużonych wyrzutów i zelżywych słów nawet! Tego wszystkiego doświadczył Gałęzowski; i chociaż w inny, ale nie mniej twardy, sposób doznał jak ów wielki wygnaniec florencki:

com'è duro calle

Lo scendere, é l salir per l'altrui scale...

I tej całej krwawej i niewdzięcznej pracy podjął się mąż ten szlachetny bez żadnej myśli, bez żadnej nawet możebnej nadziei jakiegoś stanowiska, jakiegoś znaczenia, jakiegobądź wpływu i jakiejbądź dostojności! Każda uczciwa robota, każde szlachetne usiłowanie, Bank Emigracyjny, czy Towarzystwo Dam, Dom

Ochrony, czy Zakon Polskich Sióstr, znalazły w nim gorliwego poplecznika lub hojnego dobroczyńcę. Tak w ciernistym biegu swych dobrodziejstw natrafił przed dwoma laty na Szkołę Batińską, na ten biedny zakład, którego ważności wykazywać tu nie myślę, bo ją doskonale wykazał sam pan Jedliński, ale o którym zapomniał tylko powiedzieć, w jakim chwiejącym się stanie, w jakim upadku i w jakich już nieledwie ruderach go zastał Gałęzowski... Dla udźwignienia tego Instytutu, dla jego restaurowania, powiększenia i podniesienia, czegoż nie zrobił, czegoż nie poświęcił, czegoż nie dokonał! Nie mówię tu o materyalnych ofiarach, chociażbym zaprawdę o nich mówić i nawet szeroko się rozpisywać miał prawo, gdybym tylko sobie pomyślał, że rzadko kiedy jaki nawet magnat polski, filantrop czy religiant, tyle poświęcił, ile w przeciagu tylko dwóch lat na jedną Szkołę Batińską wydał i wyłożył ten prosty doktor, i gdybym sobie wreszcie chciał przypomnieć, jaki to piedestał i jakie to roszczenie sobie pewni ludzie tworzą z jednej tylko i dobrze zresztą zahypotekowanej półakcy... Mówię tu tylko o ofiarach w czasie, w zdrowiu, w ciągłej i nieustającej pracy. Mąż, co bezpiecznie i bez sumienia wyrzutów mógł już być o *otium cum dignitate* pomyśleć, podjął się na schyłku życia trudu, któremu też tylko młodzieńcza i pełna zapału jego dusza wydołać była w stanie. We wszystkie i najnudniejsze wchodził szczegóły. Najdrobniejszymi jak największymi się naraz zajął rzeczami; wszystkie książki bakałareatu i szkół programy, jak wszystkie próbki sukna, płótna, guzików i t. d., leżały razem na jego stole, zajmowały razem jego umysł. Od dwóch lat ten dobrowolny męczennik tylko myśli i marzy o Szkole; razem ze świtem do niej pospiesza, w późnej nocy ją opuszcza. Ileż to razy przestraszał swoich przyjaciół, swoich znajomych, widocznymi oznakami choroby i cierpienia, które na jego twarzy wyciskały te lub owe niepowodzenia dzieła, te lub owe przeszkody, te lub owe omyłone lub zawieszoną nadzieje! Ileż to znowu razy ich cieszył i uszczęśliwiał, gdy uradowany, uszczęśliwiony opowiadał o postępach swej roboty: że

tam uczniowie odnieśli palmę w konkursie<sup>1)</sup>, że tu dziecko polskiem doń przemówiło słowy! Ileż to wreszcie razy, bo czemużbym i tego nie miał szczerze powiedzieć? — ich *niecierpliwił* tą swoją Szkołą, która się stała niemylnym i nieustannym przedmiotem tak jego rozmów jak jego myśli; do której otwarcie czy ukradkiem wiecznie dążył i kierował; do której, jak ksiądz Robak do swej tabakiery, wciąż zbierał rozpryskane pogadanki i rozstrzelone umysły! Ale też tylko taka wola i taka energia, takie poświęcenie i taka wytrwałość były w stanie tę biedną Szkołę w tak krótkim czasie wydzwignąć i podnieść, i postawić ją na stopie, na której mimo wszystkich broszur i pamfletów, śmiało się może równać z lepszymi zakładami Francyi, i wbrew wszystkim nowomodnym inkwizytorom zwycięzko może powtarzać swoje *E pur se muove!*

Takim czystym i szlachetnym usiłowaniam Bóg swojej łaski odmówić nie zechce; takiemu pięknemu dziełu nie da się rozbić ni o zawiedzioną chciwość ni o obrażoną próżność ludzi! Przeciwno takiemu mężowi ten by chyba tylko wystąpić miał prawo, co więcej lub przynajmniej tyle co on zdołał i wykonał, i rzuciwszy okiem na swe ubiegłe lata, jak on by mógł wskazać na życie tak pełne zasługi i poświęceń, tak próżne zmyły i skazy. W obronie zaś takiego człowieka każdy przeciwnie stanąć ma prawo, co choć trochę tylko wdzięczności dla dobrego, choć

---

<sup>1)</sup> O rezultacie konkursu z dopiero co ubiegłego szkolnego roku, wyraża się sam pan Jedliński (str. 141) w następujący sposób: »Już pismo to do druku posłanem było, kiedy odbyły się publiczne rozdania nagród młodzieży szkolnej w Paryżu. Instytut batiniolski posyła uczniów klas wyższych do Liceum Bonaparte... i tu... Szkoła otrzymała znakomity i uderzający tryumf w wykładzie szczegółowym nauk matematycznych i języków żyjących. Wszystkich uczniów stanowiących oddział tych nauk w Liceum było 106; w tej liczbie Polaków (Batiniolskiego zakładu) 28, a zatem prawie tylko część czwarta. Jednakże więcej niż połowa wszystkich nagród i pochwał im, to jest Polakom przysądzoną była. Na 29 albowiem nagród, dostało się naszym 16, a na 122 pochwał (accessites) nasi otrzymali ich 66«.

trochę tylko sprawiedliwości dla najczystszej sprawy chowa w swem sercu!... I co do siebie, szczerze wyznaję, że w czasach jak dzisiejszych, w których, gdy słowo się stało tak bezczelnem, a pióro tak przedajnem, tak rzadko komu uczciwemu przychodzi sobie wieszować, że umie władać jednym lub drugim, prawdziwie błogosławię swemu pióru, aczkolwiek nieudolnemu, gdy niem mogę choć słabo uszanować taką właśnie zasługę, i choć nie dołężnie bronić takiego właśnie człowieka!

Paryż, 15 lutego 1854.

*K-o.*

VIII.

REKOPISY PO MICKIEWICZU

I NIEDRUKOWANE USTĘPY Z »PANA TADEUSZA«

(1856)

W tym celu należy przede wszystkim [...]  
[...] w tym celu należy przede wszystkim [...]  
[...] w tym celu należy przede wszystkim [...]  
[...] w tym celu należy przede wszystkim [...]  
[...] w tym celu należy przede wszystkim [...]  
[...] w tym celu należy przede wszystkim [...]

W tym celu należy przede wszystkim [...]

VIII

REKOPISY PO MICKIEWICZU  
I NIEDRUKOWANE USTĘPY Z PANA TADEUSZA

(1886)

Niezwłocznie po śmierci Mickiewicza zabrał się Klaczko, wraz z Karolem Sienkiewiczem i Eustachym Januskiewiczem, do przejrzania papierów i rękopisów poety, z myślą o zbiorowym wydaniu wszystkich dzieł wieszca, które to wydanie, uskutecznione w latach 1860—1861, aż po dziś dzień ma największą wartość ze wszystkich. Owocem tego zajęcia się duchową spuścizną po twórcy *Dziadów*, był ogłoszony bezimiennie w r. 1856 w dodatku miesięcznym do krakowskiego *Czasu* <sup>1)</sup> artykuł p. t.:

### Rękopisy po Adamie Mickiewiczu i niedrukowane ustępy z »Pana Tadeusza«.

Artystyczny sposób, w jaki Klaczko te niedrukowane ustępy z mickiewiczowskiej epopei powiązał organicznie za pomocą krótkich streszczeń całych pieśni poematu, zarówno jak i cały szereg wyrażań specjalnie właściwych Klaczce, nie mówiąc już o jego lekceważącym uprzedzeniu do Stefana Witwickiego, o pełnej uznania sympatii dla Feliksa Wrotnowskiego, nietrudno pozwalają się domyślać autora tego niepodpisanego artykułu. A zresztą nie potrzeba się domyślać tego, o czym zachowała się tradycja.

Artykuł ten, będący rodzajem *pendant* do *Korespondencji Mickiewicza* Klaczki, brzmi w całej osnowie, jak następuje:

#### I.

Przyjaciele zmarłego ś. p. Adama Mickiewicza wezwani przez Opiekę nieletnich jego dzieci, do spisania inwentarza papierów po nim pozostałych, dokonali już poruczoną sobie pracę.

---

<sup>1)</sup> Tom II, str. 409 do 434.

Inwentarz ułożony przez Karola z Kalinówki, zajmuje przeszło 80 stronic, in 4-to, w porządku następującym: a) Pisma urzędowe i potoczne, rodzinne, pamiątki. b) Poezya. c) Pisma prozą. d) Archiwum L. p. <sup>1)</sup> 1848. e) Korespondencja. f) Rozmaitości.

W pierwszym oddziale znajdujemy: 1. Extrakt metryki Ad. M. z ksiąg kościoła Nowogrodzkiego. Ochrzczył go Ks. Kanonik Antoni Postlett, 12 lutego, 1799. Rodzicami chrzestnymi byli: Bernard Obuchowicz, Sędzia Nowogrodzki, i Podkomorzyna Aniela Usłowska. 2. Patent szkolny z klasy szóstej szkół Nowogrodzkich, wydany 10 czerwca, 1815. 3. Nominacja jego przez Radę Stanu kantonu Waldeńskiego, dnia 11 marca, 1840, na profesora zwyczajnego Literatury łacińskiej w Akademii Lozańskiej. 4. List Min. Ośw. fran., P. Cousin, 10 sierpnia, 1840, donoszący Mickiewiczowi, iż nominacja jego na profesora Literatury słowiańskiej w Kolegium Francuzkiem przedstawiona królowi do zatwierdzenia. 5. Postanowienie Min. Ośw. 8 września, 1840, który porucza Mick. spisanie manuskryptów, znajdujących się w bibliotece królewskiej. 6. Dyplom na członka Tow. Etnologicznego Paryskiego, 11 list., 1841. 7. 1852 Nominacja Mic. na Bibliotekarza przy Bibliotece Arsenau. Oddział drugi i trzeci, jako najwięcej interesujące miłośników Literatury ojczystej, wypisuję prawie dosłownie:

**Poezya:** *Dziady*. »Widowisko, cz. I. dotąd niewydana«. Rękopis własnoręczny in 4-to, stron zapisanych 22, zaczyna się od wiersza:

Świeco nie dobra! właśnie pora była zgasnąć  
I nie mogłem doczytać...

a kończy się:

Przebóg, co to ma znaczyć?... Nie zbliżaj się do mnie!

*Dziadów* cz. III, w 3 aktach. Autograf in 4-to. Dedykacja, przemowa, urywki; stronic zapisanych 10.

---

<sup>1)</sup> Legionu polskiego we Włoszech.

*Dziadów* cz. III, autograf w książce, in 8-vo, str. 42, na początku wiersz: *Reduta Ordone*.

*Giaur* w książeczce i 8-vo. Autograf, po *Reducie Ordone*, w 3 połowie następuje tłumaczenie *Giaura* od:

Najczulsze serce kiedy zakochane. (Str. 6).

i z drugiego końca książki na odwrót, od wiersza:

Krwią swą najlepszą, najmilszą ociekły. (Str. 5).

Sekstern in 4-to. Autograf, stronic 20, poczyna się od wiersza:

Jak się ten zowie kalajor ponury?

i kończy:

Spotkawszy widmo brzydsze od upiorów.

*Pan Tadeusz* książka in 4-to. Autograf od początku powieści, w. 62, aż do wiersza:

Lub cicha radość była gazetą ziemianów.

w luźnych ćwiartkach 79 kart zapisanych. Autograf.

### **Poezye ulotne w autografach, na świstkach.**

Pieśni: *Pieśń pielgrzyma*:

Te rozkwitłe świeżo drzewa  
Upajają słodką wonią. (8 strof).

*Pieśń żołnierza*:

Ja w tej izbie spać nie mogę,  
Chcę u ciebie spać sąsiedzie. (6 strof).

i urywek 6 wierszy:

Usnęli w pijaństwie &

Słowiczku mój... do B. Z. (drukowany).

*Dumania w Lozannie*:

1. Nad wodą wielką i czystą  
Stały rzędami opoki. (6 strof).
2. Polały się łzy me czyste, rześiste,  
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie. (5 wierszy).
3. Ach, już i w rodzicielskim domu  
Byłem złe dziecię... (8 wierszy).
4. Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,  
W oczy zagłada wam i głośno gada.  
Dusza wtenczas daleka — ach daleka  
Błąka się i narzeka — ach narzeka! (14 wierszy).

*Do samotności 1830.*

Samotności, do ciebie biegnę jak do wody  
Z codziennych życia upałów... (14 wierszy).

*Widzenie:*

Dźwięk mię uderzył. Nagle moje ciało  
Jak ów kwiat polny otoczony puchem  
Pryśło zerwane anioła podmuchem  
I ziarno duszy nagie pozostało. (80 wierszy).

*Wiersz natchniony wizytą P. Fr. Grz.:*

Świeci się pomnik mój nad szklanny Puław dach.  
Przetrwa Kościuszki grób i Paców w Wilnie gmach... (12 w.)

*Tłómaczenie z Niemieckiego, drukowane:*

Znaszli ten kraj, gdzie bluszcz pagórki stroi,  
Majowy gaj...

*Urywek:*

Bóg miłosierny wejrzał w końcu na rodzeństwo,  
Na którym takie było niebłogostawieństwo. (15 wierszy).

**Bajki i powieści.**

Bajki w autografach:

*Trójka:*

Z naszych poetów Litwy jeden brat Antoni (Górecki)  
Miał trójkę koni &

*Lis i kozioł* (dwa egzemplarze odmienne od siebie).

Już był w ogródku, już spotkał się z gąską,  
Gdy robiąc skok wpadł w studnie...

*Żona uparta:*

Teraz tyle samobójstw, że czyhają straże  
Nad rzeką...

Bajki przepisane ręką Al. Ch.

*Koza, kózka i wilk*, z Lafontena 1830:

Sąsiadka koza, ta, co to rozwódka  
Z rodu Ostrorożanka...

*Zajac i żaba*, z Lafontena, 1829.

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach  
Nie tracąc serca póki czuł się rączy...

*Przyjaciele*, 1829:

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie  
Ostatni znam jej przykład w Oszymańskim powiecie.

*Trójka koni*, 1832.

*Żaby i ich króle:*

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem  
Szerzyła się od wieku... a stała nierządem.

*Król chory i lisy*, 1831.

Na ukaz jego lisiej mości  
Dany do nas z Jaskiniowska  
Zbójskiego...

*Tchórz na wyborach*, 1832.

Po owej porażce zwierząt  
Wszczął się w ich armii nierząd.

Zwołana wojenna rada  
Z rady zwada;  
Každy każdemu się żali  
I każdy winę na każdego wali...

*Osieł i pies:*

»Jeśli chcesz, ośle, by pies kochał ciebie,  
Kochajże ty psa«. Słowa są Lokmana.

*Lis i Kozieł, 1851.*

**Powieści w autografach:**

*Samolub, 6 kart in 8-vo.*

Gdzie dobrze, tam ojczyzna. A gdzież kiedy było  
Komu lepiej, gdzie kiedy komu się przyśniło  
To wszystko, w co pan Baron na jawie opływa...

*Żona uparta, 3 kart in 8-vo.*

U nas kto jest niby chory  
Zwołuje zaraz doktory,  
Lecz czując się bardzo słaby  
Prosi chłopca albo baby...

*Król Bobo i Królowna Lala, 2 karty in 4-to.*

Za czarnem i sinem morzem był kraj zbyt cudny  
Obfity w mąki i łąki, rybny i ludny...

Książka oprawna in 8-vo z klamrą, w niej 11 kart zapisanych wierszami własną ręką Mickiewicza, w różnych kierunkach: »Miałem sen w Dreźnie, 23 marca, 1832, który ciemny i dla mnie niezrozumiały, wstawszy, zapisałem go wierszem. Teraz 1840, przepisuję dla pamiątki:

Śniła się zima: ja biegłem w szeregu  
Za processyą, pod niebem, po śniegu.  
Nie wiem, skąd wiemy, że na brzeg Jordanu  
Idziem — i w górze odgłos: chwała Panu. (88 wiersz).

*Przypowieści, jest ich 121, drukowane.*

*Urywek*: Lozanna, 1839.

Snuć miłość jak jedwabnik nić wnętrzem swem snuje,  
Lać ją z serca, jak źródło... (10 wierszy).

*Exegi monumentum*, wiersz jak wyżej, nieco odmienny:

Świetniejszy pomnik mój, niż szklany Puław dach...

Dalej sześć wierszy tłumaczonych na łaciński język z *Zofiówki* Trembeckiego i *Oda do Napoleona III*, osobno drukowana, a umieszczona w dzienniku *Constitutionnel*, (1856).

*Ode in Bomarsundum captum*:

Qualis fugacem quum Amphitryonis...

*Les Confédérés de Bar*, drame en 5 actes (proza), są tylko dwa pierwsze akty ręką ś. p. Bogdana Jańskiego spisane, 46.

*Jacques Jasiński ou les deux Polognes*, tragedie en 5 actes (proza). Jest tylko scena 1 i 2 Aktu, I-go autografu.

Ostatnie pisma własnoręczne, przywiezione z Konstantynopola przez Henryka S.

Akt IV. Scena I. Urywek Dramatu prozą: zapewne *Jasiński*, który był zaczęty po francuzku, str. 5, in 8-vo.

»W czasie kiedy pierwszy raz zaczęłam myśleć o sobie...»

*Urywek wyznania czy dziennika Polki*, str. 8, in 8-vo.

*Conversations des Malades*, str. 6, in 8-vo, jest to rozmowa cholerycznych.

W oddziale **Historji** znajdują się:

*Pierwiastki Słowiańszczyzny*. Pismo obcej ręki, dwie odmienne redakcy, pierwsza ma arkuszy 14<sup>1/2</sup>, druga 16<sup>1/2</sup> in folio.

*Historja Polska*, kopia ręką Feliksa Wr., zgodna z autografem znajdującym się w zbiorze ś. p. Adolfa Cichockiego, str. 115, in 4-to.

X. I. *Słowiańszczyzna*, od wyjścia jej z Azyi do czasów

Lecha, Czecha i Rusa czyli Ruryka. Dzieje mytyczne Słowian pod Lechami.

X. II. *Polska w rodzinie Piasta aż do podziału Państwa*. Epoka odpowiadająca dziejom Lechii do Popiela. Bolesław W., Mieczysław II., Bolesław Śmiały, Władysław Herman, Bolesław Krzywousty.

*Polska w podziałach*. Rząd Panów, Mieczysław Stary, (historia kończy się na śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, 1194).

*Rozmaitości historyczne*. Elekcyja Nerwy Cesarza (ręką M. Ch.), data 2 czerwca, 1853, 5 półark. in folio.

*Des Peuples de l'Italie avant la fondation de Rome*, ręką obcą. 4 półark. in folio.

Wypisy mityczne z Herodota, Justyna, Prokopa i t. d., ręką Mickiewicza, 12 ćwiartek.

**Polityka:** Missya polityczna, autograf, str. 4, in 4-to.

Widzenia polityczne, r. 1831, autograf, str. 16, in 4-to.

*Odpowiedź* Mickiewicza na pytania J. Z. co w obecnym stanie (1832) poczynać można, czego unikać, autograf kart 3 in 4-to.

*Myśl Towiańszczyzny*, po francusku, ręką Al. Ch. 4 stron, in folio.

*Lettre aux tit. Michelet et Quinet*, datée de Rome le 2 Mars. 1848, (kopia).

*Memorandum dla Napoleona III*, 1855, str. 14, in 4-to. Niewiadomo czy było podane.

*Fragmenta* Kursu Literatury łacińskiej w Lozannie, Literatury słowiańskiej w kollegium francuzkiem, notatki filologiczne, (Pierwiastki wyrazów, etymologia wyrazów polskich, kart 10, ręką Mic. Wyrazy polskie w dawnych pomnikach języków, kart 24, po większej części ręką obcą, Macieja St., spisane).

**Pisma mistyczne:** *Jacob Böhme*, wykład jego dociekań w 4 oddziałach, str. 21, przepisane ręką P. Levi, z dopiskami Mickiewicza.

*Le Livre des Concordances*, rękopis własnoręczny Mickiewicza, rzecz nieskończona, str. 10, in 8-vo.

*Widzenie mystyczne*, autograf, 1 stronica, rzecz niecała. »Pamięć ludu mego obcisnęła serce moje dwunastu taśmami płomienistemi i czułam zawsze tkwiące w sercu dwanaście węzłów zawiązanych na pamiątkę ludu mego«...

W zbiorze listów są listy: Dawida rzeźbiarza, Lafayette, Micheleta, Montalemberta, G. Sand, Sainte Beuve, Sismondego, Ed. Quinet, Alf. de Vigny, Kollara, Kopitara, Żukowskiego i wielu innych Słowian. Najliczniejszy zbiór listów polskich, a między tymi najwięcej: Domejki Ign. z Chili, Garczyńskiego Stefana, Niemcewicza J. U., Witwickiego Stefana, Bohdana Zaleskiego i t. p.

## II.

Jeden z bardzo utalentowanych pisarzy<sup>1)</sup>, który od niejako czasu z wielką szkodą dla naszej literatury skazał siebie na naganne milczenie, tak się niegdyś wyraził, oceniając *Pana Tadeusza* w artykule bezimiennym, ogłoszonym jeszcze w r. 1840 (*Wspomnienie o piśmiennictwie Polskiem*).

»Pan Tadeusz jest to pierwszy romans prawdziwie polski i pierwszy dobry romans w naszym piśmiennictwie. Uroszczenia jego są bardzo ograniczone. Choć często poetyckie barwy przybiera i wierszowaniem strojny, przecież nie chce uchodzić za poemat; nie staje nawet w godności wysokiego romansu, jak *Ryszard w Palestynie*, *Iwanhoe*, *Purytanie*, epepeje, które największy twórca z nowoczesnych pisarzy zakreslił od ręki, wśród zatrudnień około roli i budowli. *Pan Tadeusz* jest romansem obyczajowym i jeszcze nie bardzo wglądającym w duszę człowieka, ale zatrzymującym się chętnie na powierzchni tej różnobarwnej, dziwacznej społeczności szlacheckiej; coś nakształt *Pana Czerwonki*, tylko posunione do majestatu Ksiąg dwunastu i opatrzone rymem, wyborną zbroją przeciwko razem czasu. Skromne to założenie poeta wypełnił z rozrzutnością talentu. Czując, że

---

<sup>1)</sup> Feliks Wrotnowski.

jest przy schyłku towarzystwa, które maluje, nie zaniedbał żadnego szczegółu, naznaczył najlżejsze odmiany, wszystkie jego ruchy uchwycił, i w tak dokładnie urobiony manekin tchnął życie dawne. Nie można mu też brać za złe drobiazgowości w opisach, nie był tu do niej skłoniony powszechną dziś chorobą poezyj, ale samą naturą rzeczy. W sztuce, mowność idzie w odwrotnym stosunku wagi przedmiotu: wielkie charaktery wyraża się kilkoma zarysami; ale mienione draperye całej społeczności, potrzebują szczegółowej, pracowitej roboty. Kiedyś wyobraźnia potomków naszych odbudowywać będzie z *Panem Tadeuszem* domową i szarą stronę historii naszej; jaskrawo błysnie przed ich oczyma, jak szlachta piła, jak się pieniła, jak broniła, która już nie błyskała u granic kraju, umiała dochodzić krzywd osobistych, a potem odrysują się na tle przeszłości, obce już im postacie ekonomów, kluczników, wojskich, wreszcie sędziów i podkomorznych, nie w powadze urzędu, ale w niedbałym stroju, w codziennej zwyczajności zachowanych. Zaścianki zahuczą próżniackim i hałaśnym rojem, zabrzęczą szablami. Jeśliby nielitościwa cywilizacja wygnała od nas wschodnią architekturę i wschodnie stroje, mistrzowski porównawczy opis karczmy i figury żydowskiej przechowa ich pamięć potomności. Jeżeli wreszcie, jak mniemam, późne wnuki pomimo czaru oddali, nie będą bardzo smakowały w tak wydanych pradziadach, to przecież dojrzą z rozczuleniem, że nawet wśród pieniactwa, hulanki i bezładu, przechowała się tam świętość rodziny i pobożna cześć poświęcenia.

»Słyszeliśmy, jak nieraz powstawano, że Mickiewicz mając przed sobą przedmiotowość polską dziewięciu wieków historycznych, kopalnie bogate tyłoma sprzecznościami źle spojonych narodowości, dziwnym życiem polskiego społeczeństwa, pełne jeszcze azjatyckich miazmów żydostwa, Ormian, Tatarów, a prawie nietknięte od artysty, bo jeden dopiero Malczewski wydobył zeń Miecznika, on, Mickiewicz, górnych natchnień poeta, zwiędzając to Herkulanum, nie ukochał tam żadnej posągowej postaci, ani przywódców Rzeczypospolitej, jak Sobieski, Zamojski, ani buntowników, jak Zborowscy, Nałęczce; ani zdrajców, jak

Gliński; nie rozmiłował się w żadnym z dramatów wojenno-politycznych, odgrywanych to na szwedzkiej lub tureckiej granicy, to sejmowych lub elekcyjnych; ale się zapatrzył z rozkoszą w szary koniec naszych pokutnych dziejów, i wyniósł na jaśnię i starannie odnowił obraz szlachty wylęgłej pod czasy ostatniego z Augustów, kiedy krew przestała już obiegać żyły Rzeczypospolitej. Wyboru poety nie chcemy usprawiedliwiać, ale staniemy w obronie jego prawa. Użył wolności swojej według upodobania, a kaprysowi swojemu dogodził w sposób przynoszący zaszczyt piśmiennictwu».

Te uwagi krytyka bezimiennego, mało może publiczności polskiej znanego, mogą posłużyć przy okoliczności ogłoszenia nieznanych dotąd ustępów z powieści *Pan Tadeusz*, które opuszczone zostały w druku w obydwu jej wydaniach, a pominięte albo dlatego, że je autor innymi zastąpił, albo, że rad był z niektórych zrobić całopalną ofiarę dla swoich przyjaciół, a zwłaszcza ś. p. Stef. Witwickiego, nieubłaganego purysty. Rękopis *Tadeusza*, dziś podobno znajdujący się w zbiorze zmarłego także Adolfa Cichowskiego, posłużył do dopełnienia opuszczeń. Na egzemplarzu zaś *P. Tadeusza*, wydanym w r. 1844, sam nieśmiertelny nasz poeta własnoręcznie poczynił inne jeszcze zmiany i poprawił błędy druku. Nim więc wyjdzie nowe, zupełne wydanie jego *Poezycji*, nie będzie obojętną rzeczą znaleźć w niniejszym artykule wszystkie poprawki zamieszczone, które każdy posiadający edycję z r. 1844 może sobie wpisać, aby się ucieszył tekstem poprawnym.

Przystąpmyż zatem do główniejszych, dłuższych ustępów, jakie po raz pierwszy mamy przyjemność ogłosić w piśmie naszym:

*Księga I. Gospodarstwo.* Tadeusz, skończywszy nauki, wraca do rodzinnego domu, do Soplicowa, gdzie właśnie odbywały się pod tę chwilę sądy graniczne. Nie zastał ani stryja, ani gości, bo całe towarzystwo było na przechadzce, ale dostrzegł w ogródku młodą dziewczynę, która wnet z przed oczu jego znikła. Wojski powitał Tadeusza, opowiedział mu, co się dzieje

w Sopicowie; tymczasem wszyscy wrócili z lasu i poszli na wieczerzę, nakrytą w ruinach zamku Horeszków. Przy stole jedno miejsce nie zajęte, snąc czeka na przybycie... ale czyje? Tadeusz gubi się w domysłach (str. 13, po wierszu Lilia jezior...)

Tadeusz przypominał: jak wszedł do komnaty,  
Pustej jak to siedzenie, i patrzył przez kwiaty  
Jak przez głowy sąsiadek; patrzył w okna sadu,  
Jak teraz we drzwi sieni. Szukał znowu śladu  
Pamiętki zostawionej po prześlicznej nóżce,  
Co głębiej w myśli tkwiła, niż w piasku na (d)różce, (tak)  
I nie śmiał oczu podnieść do góry; był pewny,  
Że ujrzy na filarze jej ubiór powiewny,  
Włos pokręcony w białe obwinięty strączki  
I na piersiach odkrytych skrzyżowane rączki.

W czasie wieczerzy pan Sędzia rozprawia o dawnych obyczajach, o grzeczności młodzieży, nareszcie przychodzi do powieści o Wojewodzicu (str. 17, w. 12).

»Pamiętacie waćpaństwo, jak tu z zagranicy  
Przyleciał Wojewodziec: w naszej okolicy  
Pan najpierwszy, po ojcu senatora dziecie,  
Przystojny, pełen nauk, bywalec na świecie.  
Wszyscy za nim latali jakby za rarogiem;  
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem  
Wojewodzica koczyk stanął z koni dwójką,  
Ekonom ojca jego nieboszczyk pan Łojko  
Wstydziłby się zajeżdżać dryndulką tak małą,  
Lecz Wojewodziec nazwał swój kocz damą białą.  
Z tyłu zamiast lokaja wziął kusego pieska,  
A na kozłach był Niemiec wychudły jak deska:  
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,  
W pończochach, ze srebrnymi sprzączkami trzewiki,  
I peruka z ogonem uwiązany w miechu.  
My starsi patrząc na to parskali ze śmiechu,  
A chłopci żegnali się mówiąc: że w powiecie  
Jeździ wenecki dyabeł w zamorskiej karecie.  
Wszakże młodzieży przypadł ten djabeł do smaku,  
Brali sobie do sukien kroje z jego fraku,

A damy uczyły się grymasów, ukłonów,  
Konceptów przywiezionych z paryzkich salonów.  
Ja zaś mówiłem: że to człowiek niedorzeczny,  
Źle skończy, a wnosiłem stąd, że był niegrzeczny.  
Ciągłe tęsknił w ojczyźnie, znaleźć nie mógł ludzi,  
Nie miał(s) s(z) kim żyć, powtarzał, że się na śmierć nudzi.  
Przedrwiwał najzacniejsze kobiety w powiecie,  
Bo prostytutki, na wielkim niebywałe świecie;  
Trudno z niemi rozmawiać, niepodobna bawić,  
Nie umiały go dosyć ocenić i sławić.  
A wiecież, jak on skończył? Poznał się z otyłym  
Żydem jakimś bankierem z Królewca przybyłym.  
Siostra szachraja, dziewczka długa i dzióbata,  
Nie piękna i nie młoda, nawet nie bogata;  
Lecz ćwik baba; umiała przynęcać młodzików,  
Plotąc jak opętana dziesięciu języków.  
Wojewodzie przysięgał, że czystym mówiła  
Akcentem, jak gdyby się na bruku rodziła  
Paryskim. Owoż teraz popadł babie w szpony,  
I jest już w pół zrujnowan i w pół ożeniony,  
I oczu teraz nie śmie pokazać przed światem.  
Odetchnął Sędzia, potem rzekł kończąc: »a zatem«.  
(Co był znak, że przychodzi już do wniosków mowy),  
Razem na Tadeusza rzucił wzrok surowy.  
Zląkł bardzo synowica. W tem z potrawą czwartą  
Podszedł lokaj i z trzaskiem boczne drzwi otwarto.

Następnie wszczyna się między Rejentem i Asesorem spór  
o charty (str. 28, w. 9).

Potrzeba także wiedzieć: że on Telimienie  
Nadskakiwał i niby kochał się szalenie.  
Żałował więc, że dał się ułowić tak prędko:  
Widać, że już na inną rybkę dybie z wędką,  
Więc zbliżył się, i z wolna gładząc faworyty,  
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:  
»Sławną Akademią macie państwo w Wilnie,  
Lecz z katedry o chartach nauczono mylnie;  
Inaczej sądzą o nich w Warszawie, w Krakowie,  
I u nas na wsi. U nas jest stare przysłowie:  
»Chart bez ogona...

Księga I. kończy się przyjazdem Bernardyna (str. 36, w. 28).

Teraz, gdy wszyscy spali, w Sędziego komorze  
Gadał długo; wychodząc, ostrzegł, że nie może  
Być na mszy obławniczej, bo jutro w niedzielę  
Musí w parafialnym nauczać kościele.  
Potem będzie powrotu strzelców w karczmie czekał,  
Lub gdy prędko nie wróca, szukać ich przyrzekał.

*Księga II. Zamek.* Spór myśliwych nie został rozstrzygnięty w polu, gdzie charty Rejenta i Asessora uganiały się za zajacem; za powrotem do domu kłótnia podniosła się żwawsza i już przychodziło do pięści, kiedy z drugiego pokoju porwali się wszyscy, aby zwaśnionych rozbroić, i unieśli z sobą stojących na progu Telimenę i Tadeusza, młodą parę (str. 65).

Podobną Janusowi, dwólicemu bogu,  
Który gdy wyroczeni skrzyplnie zawiasami,  
Krzyczą dzieci i matki zlewają się łzami.

X. Robak ucisza gromadę, a Wojski jakby przebudzony (str. 66).

Z głębokości dumania, w środku się postawił,  
Wąsy siwe pokręcił, kapoty poprawił;  
Iskrzyły mu się oczy (zawsze postrzegano  
Ten blask niezwykły, kiedy o łowach gadano).  
Obiegał zgromadzenie...

Żeby położyć koniec swarom, p. Sędzia powołuje wszystkich do lasu na rydze (str. 68, w. ostatni).

Dalej na rydze! waszeć, mości Rotmistrzysko,  
Kaź wnieść stół obiadowy, tylko nie w zamczysko.

*Ks. III. Umizgi.* Podczas obiadu gajowy donosi, że niedźwiedź ukazał się w ostępie. Obmyślono obławę na jutro i całe towarzystwo idzie spać wcześniej, żeby przebudzić się z rana (str. 99).

Tadeuszowi dano dziś izbę w budynku.  
Wszedłszy, drzwi zamknął, świecę postawił w kominku,  
Udając, że już zasnął; lecz oczu nie zmrużył,  
Czekał on widać nocy, a czas mu się dłużył.  
Stał przy oknie i patrzył wyrzniętym otworem,  
Co robi stróż chodzący ciągle pode dworem.  
Gdy go ujrzał daleko: nogami równemi  
Wyskoczył, okno zamknął; tuląc się do ziemi,  
Jako wyżeł skradał się: dalsze jego kroki  
Jesienna noc gęstemi osłoniła mroki.

*Ks. IV. Dyplomatyka i Łowy.* Tadeusz zaspał. Przebudzony co żywo ubiera się, dopada konia i pędzi ku karczmom, kędy obławnicy zebrać się mieli. Następuje opis karczmy Jankiela (str. 107, po w. 14).

Karczma z dwóch ciał jest zrosła, jak sporysz orzecha,  
Różnych od siebie, choć je kryje jedna strzecha.

Nareszcie myśliwi dochodzą do puszczy (str. 118, w. 22).

... Lecz tajne mu ich wewnętrzne serca tajemnice:  
Bo dalej, niżli bory i podszyte knieje,  
Są miejsca: bajka tylko wie, co się w nich dzieje;  
Miejsca nigdy człowieka niezgwałcone krokiem,  
Jak zakłete, okryte tumanów obłokiem,  
Które wiecznie z trzęskiego dmą oparzeliska,  
Poplątane zielsk sieci, źmii legowiska.  
Tu i owdzie jeziora, jako wilcze doły,  
Zdradnie ukryte, zieleń zarosłe na poły, (w. 119).  
A głębokie tak, że ich dna nikt niedośledzi.  
W tych to jeziorach mówią wszyscy, że bies siedzi.  
Woda ich brzydka, lśkni się jak skorupą rdzawą,  
I ciągle nakształt dymu zionie woń plugawą,  
Od której drzewa w koło tracą liść i korę:  
Złysiałe, karłowate, robaczkliwe, chore,  
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,  
I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,  
Siedzą około wody jak czarownice kupa  
Koło czarnego kotła, w którym warzą trupa.

Dalej zaś niedostępne, niezbadane okiem,  
Leżą jary nakryte tumanów obłokiem,  
Który wiecznie ze trzęskich oparzelisk bucha.  
Za tymi tumanami, jak wieść niesie głucha,  
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica  
I tam jest zwierzęcego królestwa stolica.  
Tam są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,  
Z których się rozrastają na świat ich plemiona.  
Tam, jak w Arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu,  
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.  
Te pary królujące i patryarchalne,  
W jądrze puszczy ukryte, ludziom (światu) niewidzialne,  
Rodzą się, umierają, bezpieczne siedliskiem: (str. 120)  
Żaden z nich nigdy ludzkim nie zginął pociskiem.  
W samym środku, jak słyhać, mają swoje dwory  
Żubr ogromny i niedźwiedź, puszczy imperatory;  
Około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry  
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministery;  
Dalej zaś, jak podwładne potężne wasale,  
Mieszkają dziki, wilki, i łosie rogale.  
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,  
Żyjący z łaski państwa dworscy zauszniczy.  
Wszystkie zaś tam zwierzęta żyją w dawnej zgodzie (str. 121)  
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie:  
Tylko zwierz, który z gniazda na świat się zacieka,  
Uczy się obyczajów wojny od człowieka.  
W tejsze stolicy słyhać, że lasów mocarze  
Mają swe niezbadane od ludzi smętarze;  
Bo wiadomo, że w miejscach, kędy człowiek gości,  
Nigdy niezaleziono zmarłych zwierząt kości,  
Gdyż każdy zwierz raniony lub w ciężkiej chorobie  
Na smętarz bieży spocząć w przodków swoich grobie<sup>1)</sup>.  
Głupi niedźwiedziu...

---

<sup>1)</sup> Inna wersja opisu była następująca:

Któż zbadał puszczy litewskich szerokie krainy, (str. 118)  
I cienie nieprzejrzane, ich wnętrza głębiny!  
Gdzie z borów bory, z gęstych gęste ciągną knieje:  
Strach tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje,

Kto zabił niedźwiedzia, kto pierwszy z oszczepem gotów był się nań rzucić, pytania nierozjaśnione dały powód wracającym z obławy do nowych sporów; więc Wojski, żeby do zgody dowieść, kończył im o Dowejce i Domejce powieść (str. 132).

»A co się onych tycze, Dowejka z Domejką  
Mieli dwory w sąsiedztwie nad rzeką Wilejką.  
Bywali u mnie często, chociaż ja daleko  
Od nich miałem folwark mój nad Uszą rzeką...

*Ks. V. Kłótnia. Ks. VI. Zaścianek. Ks. VII. Rada.*

Więść o zbliżaniu się Francuzów rozbiegła się po zaściankach. Szlachta gromadzi się, radzi. Bartek, prusakiem zwany, chciałby zaciągnąć zdania Ojca Bernardyna, na co oburzył się Maciej Kropiciel (str. 203, w. 5).

---

Nie lęka się rybaków dno przepastne morza  
I myśliwiec nie zgwałci puszczy litewskich łoża,  
Zna je tylko po wierzchu, ich postać, ich lice,  
Lecz obce mu ich serca, życia tajemnice.  
Są tam jakby za światem w ukryciu głębokiem  
Miejsca, nigdy człowieka niezbadane okiem.  
Tam od wieków panują puszczy imperatory  
Żubr pyszny, niedźwiedź groźny ze swojemi dwory.  
Syn panuje po ojcu: bezpieczni siedliskiem,  
Żaden z ich przodków ludzkim niezginął pociskiem.  
Blisko nich też żyjący nie tak okazale  
Wilcy ich ministrowie, dziki ich wassale,  
A nad nimi latają, niby zauszniczy,  
Sępy i orły, gromów i burz posłannicy (str. 121).  
Człowieka tam nieznają. Onby mógł niezbrojny,  
Wśród tych zwierząt strasznych przechadzać spokojny;  
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,  
Jakim w owym ostatnim dniu dzieła stworzenia  
Ojce ich pierwsze, co ich rody zaczynały,  
Patrzyły na Adama, nim się z nim poznały.  
Nikogo nie zawiodły w głębie tych przepaści,  
Ni ciekawość nauki, ni łowów napaści,  
Czasem tylko...

Co! zawoła, czekać, zwlekać, a potem uciekać:  
Ot plan pruski! — pocichu sza, sza, sza uzbrajać  
Czy my... mamy jako baby bajać?

Tymczasem, kiedy się gotują do powstania, hrabia podnieca szlachtę do zajazdu, zdobywa Soplicowo.

*Ks. VIII.* Przychodzi do bitwy z jegrami. *Ks. IX.* Narady z kapitanem Rykowem nad zabezpieczeniem losu zwycięzców. Obawy Rykowa, aby komendant Płut niezdradził tajemnicy. Klucznik (str. 290, w. 19), daje do zrozumienia, że Płut już nie żyje:

Potem dłonie powoli podniósł i otworzył,  
Skrzywił się, kiwnął głową i znowu powtórzył:  
Płut już nie będzie gadać; potrzeba tak było  
Koniecznie: co zrobiło, to się już zrobiło.

Po załatwieniu na prędcie tej ważnej sprawy, pan Sędzia, Klucznik i ks. Robak zamykają się w izbie. Mnich czuje, że mu kilka chwil zostaje do życia, więc wobec Sędziego, brata swego, wyznaje przed Klucznikiem, że jest Jackiem Soplicą, ojcem Tadeusza. Na te słowa Klucznik (str. 301. w. 24).

Jak ryś nim z drzewa spadnie myśliwcowi w oczy  
Sierść nadyma, wąs wznosi i ogonem toczy...

Ale Jacek zdołał go uspokoić i czyni spowiedź z całego swego życia (str. 305), opowiada miłość, jaką miał dla Ewy, córki stolnika Horeszki, którego zabił. Ile razy miał wyznać przed nim swe uczucia, zaraz starzec wrzucał jakieś obojętne słowo, albo...

O mych dawnych miłostkach, bo prawda, niestety,  
Że już bałamucilem i dawniej kobiety,  
Zwyczajnie młody głupiec; on gadając o tem  
Przy swojej córce, serce me przesywał grotom.  
I po takich wspomnieniach w rozpacz i gniewie  
Czułem, że już nie mogłem mówić mu o Ewie.

Ach, gdyby on przyzwolił, byłbym się poprawił,  
Ustatkował i z żoną wiek szczęśliwy strawił.  
A wszakże wielka moja wina! Panie Boże,  
Otóż pycha! stało się, odstać się nie może!  
Panie, świeć jego duszy!

Nieraz przychodziło mu na myśl gwałtem porwać Ewę,  
ale (str. 308).

Wiosenna gaśienica! z rodzinnego drzewa  
Zerwać ją, byłoby ją zabić; czułem, Ewa  
Nieprzeżyłaby nigdy mojego zwycięstwa,  
Nieprzeżyłaby nigdy rodziców przeklęstwa...

A potem powiedzianoby jeszcze (str. 309).

Soplica mścił się, że mu odmówiono dziewczkę:  
Jacek Soplica mścił się za czarną polewkę.

Po dopełnionem zabójstwie, ożenił się: żona mu zmarła,  
zostawiwszy Tadeusza, a wtenczas on poszedł w obce kraje,  
zawsze mając w sercu i pamięci obecną postać Ewy (str. 310,  
wiersz 9).

Jeszcze nie skończył: prawda, że pierwszy raz w życiu  
I ostatni wyjawiam, co było w ukryciu  
Na dnie sumienia. Niech mi to Pan Bóg wybaczy.

Szukał zemsty przed tem, nim kraj opuścił. W chwili, kiedy  
Targowiczanie z Moskwą oblegają zamek Stolnika, nadarzyła się  
do niej pora; ale Jacek Soplica nie zdradzał, choć wiedział, że  
gmin szczęśliwym przebacza.

Po wielu latach cierpień, skruszony wchodzi między mni-  
chy. O swych poświęceniach dla kraju zamilcza (str. 317).

nie dla chwały  
Ziemskiej, biegłem tylekroć na miecze, na strzały.  
Przybrawszy obce imię, któżby się chciał wstawić,  
Gdy sławy krewnym, dzieciom, nie może zostawić!

Tyle mi wolno wyznać, żem żył dla ojczyzny,  
Żem najmilej te spełniał rozkazy starszyzny,  
Gdzie wiele niebezpieczeństw, mało było sławy...  
Przemilczę różne moje za krajem wyprawy...

*Ks. XI. Rok 1812. Ks. XII. Kochajmy się.* Wkroczenie wojsk. Uczta staropolska dla generała Dąbrowskiego i Kniaziewiczza w Soplicowie. Podczas uczty wszyscy podziwiają arcy serwis (str. 351, wiersz 2).

Zważcie, iż w każdej kupce, stoi wyższy człowiek  
Widać: z tych ust otwartych, z podniesionych powiek,  
Rąk zadartych, odgadniesz mowcę, co tłumaczy;  
Uważajcie, jak palcem na dłoni coś znaczy.  
Z tych mowców i z tych kupek wprawne oko zgada,  
Że to przedsejmikowa domowa narada.  
Ci mowcy, kandydata są to przyjaciele;  
Zamawiają dlań kreski; lecz ja powiem śmieie,  
Że się wybór nieuda; widać z min słuchaczy,  
Że niechętni i kilku mowców jest w rozpaczy.  
Wprawdzie, w tej kupce szlachta przyłożyła ucha:  
Ten ręce za pas włożył, schylił się i słuca,  
Rękę przy uchu trzyma, a wąs coraz kręci,  
Rozważa słowa mowcy i składa w pamięci.  
Cieszy się mowca, widzi, że są nawróceni,  
Maca kieszeń, że kreski ich ma już w kieszeni.  
Lecz...

Goście uczują, spełniają kielichy (str. 355, w. 4).

Tymczasem serwis dalej zmieniał pory roku.  
Powierzchnia jego oschła z konfitur potoku,  
Zieloną, różnobarwną zabłysnęła wiosną;  
Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosna,  
Pszenica z cukru, żółtym malowna szafranem,  
Na kłosach przysypana liściem połączanem;  
Groch z świętojańskim strąkiem, z masła owies bładny  
I gryka wyrobiona sztucznie z czokolady.  
Z drzew powoli białawe otopniało kwiecie,  
Wydając na jaw owoc dojrzały jak w lecie.  
Sapieżanki i dule i jabłka i bery  
Zielone, malinami skrapiane szpalery.

Ledwie!... (jak w druku).

Bo serwis, jako świat nasz, koniecznym obrotem  
Zmienia kształt; już owoce malowane złotem,  
Nabrawszy ciepła w izbie, powoli topnieją,  
Upadają z gałązek, liście czerwienieją.

Goście poczęli zrywać gałązki, pnie i korzenie (str. 356).

Lecz na końcu serwisu, stał porcelanowy  
Dom, jakoby dwór pański prześlicznej budowy,  
Gustem włoskim podobny do onych pałaców,  
Które w Litwie stawiła familia Paców.  
W tym domu otwarły się na sprężynach bramy  
I wyjeżdżają tłumnie panowie i damy  
Na koniach piernikowych, a wiodą na smyczy  
Charty s(z) ciasta; za niemi orszak obławniczy  
Z flintami, z oszczepami, prowadzący sfory  
I ogarów, dalej sieci ciągną się tabory.

Jenerał Dąbrowski rad wiedzieć, kto jest tym kunsztmistrzem, co takie dziwa przedstawił, zagaduje Wojskiego, a ten objaśnia, że się tego wszystkiego nauczył z książki, która takim trafem wpadła w jego ręce: (str. 357).

Tę książkę, jak mówił mnie Bartosz Dobrzyński,  
Posiadał w Wielkopolsce naprzód Pan Poniński.  
Nie ów Poniński Łodzian, człowiek z brzydką sławą,  
Co skrewiwszy, umarł u żyda pod ławą;  
Lecz Poniński Starosta. Ten, żyjąc wspaniale,  
Podług tej książki dawał obiady i bale.  
Przed śmiercią zapisał ją sąsiadowi swemu,  
Co mieszkał w Kopaszowie, Panu Skórzewskiemu.  
Wreszcie książkę od Pana Skórzewskiego żony  
Dostał Bartek Dobrzyński, Prusakiem rzezonny,  
Gdy gościł w Wielkopolsce. Jak zabytek drogi  
Prawych zwyczajów, przywiózł ją w ojczyste progi:  
Lecz małą mając kuchnię, człek miernego stanu  
Oddał ją mnie... Niechaj służy Wielmożnemu Panu.

W końcu uczył Dąbrowski wnosi toast Cesarza Napoleona; Maciej jakoś nieradnie kielich wychyla: nie wiele dobrego wróży z przyjscia Francuzów (str. 363, w. 19).

Tu widzę inni ludzie, niż byli w mych latach:  
Kędy posłuchasz, wszędzie mowa o harmatach,  
Manewrach. Noszą tylko lance, karabiny:  
Nawet i szlachta, nawet wielkich panów syny.  
Widziałem dwóch Potockich, i któż to uwierzy,  
Szwędających się konno, samych jak żołnierzy;  
A to byli synowie Potockiego Jana,  
Wprawdzie trochę dziwaka, lecz wielkiego pana.

.....  
.....  
Kto to wszystko zrozumie! to grenadjery,  
To znowu fizyliery, to znów wołyżery.  
Więcej tu Knechtów, niżeli Polaków,  
Ni usarzy nie widać, ni pancernych znaków!  
A szable, a mój Boże! wszak to kara nieba:  
Temi szablami u nas nie ukroisz chleba.  
A muszą też być z Knechty, Turki czy Tatarzy.

Dalej powstaje na rabunki świątyni:

Na Litwina uderzył Cesarz jak na wroga:  
Idzie mówią do Moskwy — daleka to droga.  
Pono cesarz Jegomość

Przychodzi w końcu do rozwiązywania miłosnego dramatu. Telimena prawie zaręczona Rejentowi, żąda od Hrabiego, aby jej wyraźnie powiedział, czy ją kocha. Na to otrzymuje odpowiedź; (str. 366, w. 24).

Widzę, rzecz Hrabia, żeś w nim zakochana;  
Dowodzi tego nagła charakteru zmiana.  
I czegoż to nie mogą miłości płomienie:  
W hydrę najłagodniejsze przerobią stworzenie.  
Przebaczam ci... Bym szczęścia twojego nie kłócił..  
To wyrzekłszy, ze wzgardą od niej się odwrócił,  
I ażeby niewiernej zapomnieć kochanki,  
Obrócił serce swoje do Podkomorzanki.

Nawzajem Zosia zaprzysięga miłość Tadeuszowi i zapewnia go (str. 369).

Obaczysz Tadeuszu, nim kilka lat minie,  
Będziesz miał z twojej Zosi sławną gospodynię.

### III.

Kiedy czytelnik te nowe, a nieznane dotychczas sobie rymy zmarłego już wieszca, zechce porównać z całością *Powieści*, niechże sobie zada jeszcze jedną pracę i poprawi w swoim egzemplarzu *Pana Tadeusza* liczne błędy drukarskie, których wydawcy dopuścili się pod okiem i nadzorem samegoż autora.

Str. 23, po w. 13 opuszczono:

Ale myśl nadobną odgadywać zwykła;

Str. 39, po w. 4 opuszczono:

Już wróble, skacząc, świerkać zaczęły pod strzechą.

Str. 66, po w. 2. Wiersz opuszczony i w pierwszym wydaniu; niedopisany na drugim wydaniu przez samego Mickiewicza.

Str. 125, w. 6, niewstrzymanym, popr. własn. A. M. wiorowatym.

Str. 128, w. 3, po wyrazie: prawdziwa, dodaj: to.

Str. 142, w. 9, trzpiotostwo, poprawił, gderanie.

Str. 155, w. 7, wiersz opuszczony i w pierwszym wydaniu.

Str. 172, w. 2, wpadła, czytaj: padła.

Str. 172, po w. 23 opuszczony:

I wyspi się, bo jutro będzie wielka praca.

Str. 176, w. 1, wstąpić, cz. sstąpić.

Str. 186, w. 23, kręci, cz. krąży.

Str. 189, w. 13, od, cz. do.

Str. 200, w. 2. zamiast:

Mógł więc nie mało światła udzielić obradom

A. M. poprawił:

W niebytności Maćka zwykle przewodził obradom

Str. 203, w. 9, czy ma żaki, zamiast, czy my żaki.

Str. 209, po w. 22. Opuszczone w obu wydaniach, a dodane własnoręcznie:

Była wieść, że od przodka Dobrzyfiskich ta klinga  
Wydarta pod Grunwaldem z rąk Mistrza Junginga

Str. 211, po w. 18 opuszczony:

I jeszcze chce ostatki wydrzeć z rąk dziedzica.

Str. 214, w. 13. Precz żydzie, cz. Precz ztąd żydzie.

Str. 217, w. 11, między wyrazami: plusk plusk *i* opuszczone.

Str. 225, w. 2, wzywał, cz. wyzywał.

Str. 227, w. 10, Sapieżyna poprawił A. M. Puzynina (bo istotnie ona to łożyła koszt na obserwatorium Astronomiczne w Wilnie).

Str. 228, w. 5. Bo cz. Co.

Str. 241, w. 22, przycisnąwszy cz. przyciąwszy.

Str. 242, w. 16, miał cz. ma.

Str. 249, w. 12, w pierś cz. w piersi.

Str. 251, po w. 12 opuszczone:

I z długiego biczyska porobiwszy petle  
Drzemiące ptaństwo śledzi przy latarki świetle.

Str. 255, w. 5, gwałtu zdrada, cz. zdrada! gwałtu! zdrada!

Str. 270, w. 15, i pieścił, cz. i spieścił.

Str. 274, w. 21. Sak broniąc dworu, dodaj: stanął.

Str. 297, w. 23. Rzekł — na Telimeneń, cz. Rzekł i na Telimeneń.

Str. 306, w. 5. Spieszylem się, cz.: Spieszylem.

Str. 319, w. 3. I krew, cz.: I miecz.

Str. 323, w. 8, żelazne, cz.: żelazem.

Str. 325, w. 2, pod Słonim, cz.: po Słonim.

Str. 331, w. 3, po wyrazie: o grzechach, dodaj: jego.

Str. 349, w. 23, po wyrazie: kazał ten sprzęt, dodaj: na urząd.

Str. 352, w. 19, po wyrazie: Łatwo zgadnąć, dodaj: że.

Trzy tuziny błędów w samym *Tadeuszu* dostrzeżonych przez samego autora, który wielkim był poetą, ale zbyt lichym korektorem. Pewnie drugie tyle mniej ważnych jeszczeby się znalazło, a ile w owych czterech tomikach! Ten stan opłakany (bo w błędach) wyzywa potrzebę rychłej naprawy: błędy zasiane każą nietylko język, ale przeistaczają myśli pisarza, który dziś za krzywdę sobie wyrządzoną ująć się nie może. Zapewne poprawna edycja zaradziłaby złemu, co nim nastąpi, niniejszy artykuł, niech choć w części wywiąże się z obowiązku szanowania nieśmiertelnego słowa naszego wieszca.

---

Str. 319, w. 3. I. mian. —  
 Str. 320, w. 8. —  
 Str. 321, w. 2. —  
 Str. 322, w. 2. —  
 Str. 323, w. 2. —  
 Str. 324, w. 2. —

Str. 325, w. 19. —  
 Str. 326, w. 19. —  
 Str. 327, w. 19. —  
 Str. 328, w. 19. —  
 Str. 329, w. 19. —  
 Str. 330, w. 19. —  
 Str. 331, w. 19. —  
 Str. 332, w. 19. —  
 Str. 333, w. 19. —  
 Str. 334, w. 19. —  
 Str. 335, w. 19. —  
 Str. 336, w. 19. —  
 Str. 337, w. 19. —  
 Str. 338, w. 19. —  
 Str. 339, w. 19. —  
 Str. 340, w. 19. —  
 Str. 341, w. 19. —  
 Str. 342, w. 19. —  
 Str. 343, w. 19. —  
 Str. 344, w. 19. —  
 Str. 345, w. 19. —  
 Str. 346, w. 19. —  
 Str. 347, w. 19. —  
 Str. 348, w. 19. —  
 Str. 349, w. 19. —  
 Str. 350, w. 19. —  
 Str. 351, w. 19. —  
 Str. 352, w. 19. —  
 Str. 353, w. 19. —  
 Str. 354, w. 19. —  
 Str. 355, w. 19. —  
 Str. 356, w. 19. —  
 Str. 357, w. 19. —  
 Str. 358, w. 19. —  
 Str. 359, w. 19. —  
 Str. 360, w. 19. —

Str. 361, w. 19. —  
 Str. 362, w. 19. —  
 Str. 363, w. 19. —  
 Str. 364, w. 19. —  
 Str. 365, w. 19. —  
 Str. 366, w. 19. —  
 Str. 367, w. 19. —  
 Str. 368, w. 19. —  
 Str. 369, w. 19. —  
 Str. 370, w. 19. —  
 Str. 371, w. 19. —  
 Str. 372, w. 19. —  
 Str. 373, w. 19. —  
 Str. 374, w. 19. —  
 Str. 375, w. 19. —  
 Str. 376, w. 19. —  
 Str. 377, w. 19. —  
 Str. 378, w. 19. —  
 Str. 379, w. 19. —  
 Str. 380, w. 19. —  
 Str. 381, w. 19. —  
 Str. 382, w. 19. —  
 Str. 383, w. 19. —  
 Str. 384, w. 19. —  
 Str. 385, w. 19. —  
 Str. 386, w. 19. —  
 Str. 387, w. 19. —  
 Str. 388, w. 19. —  
 Str. 389, w. 19. —  
 Str. 390, w. 19. —

Str. 391, w. 19. —  
 Str. 392, w. 19. —  
 Str. 393, w. 19. —  
 Str. 394, w. 19. —  
 Str. 395, w. 19. —  
 Str. 396, w. 19. —  
 Str. 397, w. 19. —  
 Str. 398, w. 19. —  
 Str. 399, w. 19. —  
 Str. 400, w. 19. —  
 Str. 401, w. 19. —  
 Str. 402, w. 19. —  
 Str. 403, w. 19. —  
 Str. 404, w. 19. —  
 Str. 405, w. 19. —  
 Str. 406, w. 19. —  
 Str. 407, w. 19. —  
 Str. 408, w. 19. —  
 Str. 409, w. 19. —  
 Str. 410, w. 19. —  
 Str. 411, w. 19. —  
 Str. 412, w. 19. —  
 Str. 413, w. 19. —  
 Str. 414, w. 19. —  
 Str. 415, w. 19. —  
 Str. 416, w. 19. —  
 Str. 417, w. 19. —  
 Str. 418, w. 19. —  
 Str. 419, w. 19. —  
 Str. 420, w. 19. —

IX.

# ARTYKUŁY POLITYCZNE

W »DZIENNIKU POZNAŃSKIM«

(1866)

IX

ARTYKUŁY POLITYCZNE

W DZIENNIKU POZNAŃSKIM

(1866)

W jednym ze swych listów do ks. Jana Koźmiana pisał raz Klaczko z Paryża w pierwszej połowie r. 1866, co następuje: »Zauważyłeś może, żem próbował pisać do *Dziennika poznańskiego*. Próba się nie udała; znajdowali, żem paradoksalny, że obrażam wszystkie uczucia i instynkta narodowe, więc zerwałem. Nie żałuję tego, bo coraz bardziej się przekonuję o potrzebie jasnych pozycji i wyraźnych programów, i że nic zgubniejszego nad to zacieranie wszelkich zasad pod złudną nazwą braterskiej zgody. Ofiarą takich kompromisów jest zawsze stronnictwo umiarkowane i kraj. Nie czas jeszcze widać na słowo prawdy, więc lepiej milczeć, niż wchodzić w zgubne komplandy«<sup>1)</sup>.

## 1.

Co pewna, że redakcja *Dziennika poznańskiego* z radością powitała współpracownictwo Klaczki, czemu dała wyraz, poprzedzając jego pierwszy nadesłany artykuł następującem obwieszczeniem: »Od jednego z współpracowników naszych w Paryżu otrzymujemy nader ciekawy i pełen głębokich uwag pogląd na *sprawę meksykańską*, któren ze względu tak na stanowisko zajmowane przez autora w uczonych kołach paryskich, jako też na rzecz samą, na tem naczelnem pisma naszego miejscu zamieszczamy, zapowiadając zarazem czytelnikom, iż od-tąd co dwa tygodnie podawać będziemy przegląd ważniejszych kwestyi polityki zagranicznej, z tego samego znakomitego pióra płynący.

Artykuł Klaczki, oznaczony literami *J. Kl.*, a zamieszczony w Nr. 44, z dnia 24 lutego 1866 r. brzmiał, jak następuje:

*Sortez du Mexique, restez à Rome, n'entrez pas en Belgique...*  
Temi słowy pożegnał przed kilku tygodniami, po długiej roz-

---

<sup>1)</sup> St. Tarnowski, *Julian Klaczko*, t. II, str. 48.

mowie p. Guizot jednego z ministrów Napoleona III, który rad, w ważnych okolicznościach, zasięga zdania wysłużonego męża stanu. Wielkiej treściwości tego programu zaprzeczyć niepodobna; ale nie wszystkie jego punkta równie łatwe są do wykonania. Nic łatwiejszego wprowadzić, jak nie wchodzić do Belgii: ale jakżeż pozostać w Rzymie bez naruszenia wyraźnej konwencji z 15 września? A przedewszystkiem, jakżeż opuścić Meksyk, bez narażenia, nie tylko honoru Francji, ale najważniejszych interesów Europy, jej przyszłości i cywilizacji?..

Ostatnie te słowa nie jednego zapewne zdziwią czytelnika. Wyprawa meksykańska jest powszechnie i namiętnie potępianą przez liberalne dziennikarstwo, i trzeba pewnej odwagi, by odezwać się w jej obronie, by chcieć łączyć najwyższe interesa Europy ze sprawą, w której prasa opozycyjna całego niemal świata od lat tylu same tylko upatruje niskie interesa nieczystych akcyonaryuszów osławionej wierzytelności Jekerowej. A wszakże, nie trudno by było własnymi słowami pana Guizot, niegdyś ministra, najzupełniej usprawiedliwić politykę napoleońską w Meksyku, w świetnej jego mowie z roku 1846, znaleźć zwycięskich bez liku argumentów dla myśli wielkiej, a tak spotwarzanej, która sztandar Francji zaprowadziła w dawną dziedzinę Montezumy.

Dziwnie, iż w przeciągu tyloletnich już rozpraw, toczonych z powodu Meksyku, w łonie senatu i ciała prawodawczego, nikt dotąd nie przypomniał owej dyskusji izb francuzkich z roku 1846 w sprawie teksańskiej! Dyskusya ta niemałego by użyczyć mogła światła obecnemu sporowi, i niejednej bronii dostarczyć szanownemu panu Rouher, o którym głosi teraz wieść, zapewne tylko złośliwa, że wielkich doznaje trudności w wynajdywaniu nowych a silnych argumentów dla przyszłej swej mowy za Meksykiem. W roku owym 1846 opozycya zarzucała panu Guizot, naówczas ministrowi, zachody przez niego czynione dla uratowania niepodległości państwa teksańskiego, dla zapobieżenia aneksji tego kraju do wielkiej Rzeczypospolitej *Yanków*. Pocóż, wołała opozycya, a na jej czele pan Thiers, pocóż chcieć to utrzymać, co o własnych siłach stać nie może? Poco szukać za dalekim Ocea-

nem przewagi lub wpływu? Poco przedewszystkiem narazić sobie Stany Zjednoczone, ojczyznę Washingtona i Franklina?... Te i tym podobne pociski odparł pan Guizot mową pełną wysokich poglądów i której odczytanie zaleciłibyśmy wszystkim, co nie z samych deklamacyi powszedniego dziennikarstwa chcą w sobie wyrobić sąd o wielkich sprawach świata. »Interesem to najwyższej wagi, rzekł między innymi pan Guizot, aby się utrzymało w niepodległości państwo, co Stany Zjednoczone oddziela od Meksyku. Dwie rasy, anglosaksońska i hiszpańska, zalegają Nowy Świat; a koniecznem to zadaniem polityki, aby jedna z tych ras nie była pochłonięta przez drugą, aby rasa południowa, katolicka, zachowała na tamtej półkuli pewien stopień wpływu, akcyi i ludności. Wszelkie państwa uniwersalne słusznie niepokoiły zawsze ludzkość, i ile razy symptomy takiej dążności objawiły się w Europie, czy imię jej było Karola V, Ludwika XIV lub Napoleona I, drżeli wszyscy przyjaciele wolności i cywilizacyi. Otóż co zawsze było groźnem w Europie, nie przestaje niem być i w Ameryce: forma monarchiczna lub republikańska nie stanowi tu różnicy, a utrzymanie równowagi państw i ich niepodległości jest tak niezbędną potrzebą na tamtej, jak i na tej półkuli świata; jest, powtarzam, potrzebą i ochroną cywilizacyi i wolności. Nic zgubniejszego, interesa Europy bardziej obrażającego, jak doktryna Monröe, głoszona przez gabinet washingtonski. Stany Zjednoczone nie same jedne są w Ameryce, w Ameryce nawet północnej; są tam i inne narody niepodległe, które mają równe prawo do życia, do rozwoju, do zawierania sojuszków z Europą i tworzenia politycznych kombinacyi. Za absorbcją teksańskiego kraju pójdzie absorbcya Meksyku, upadek rasy łaćńskiej, katolickiej, na całej hemisferze. Możeż tego sobie Francya życzyć, lub na to tylko zezwolić?«

Tak w roku 1846 przemawiał p. Guizot; a godne uwagi, że sam nawet p. Thiers nie śmiał wówczas przeczyć prawdziwości tego wysokiego poglądu i nie szydził, jak teraz, z »polityki ras«; utrzymywał tylko, że rasa hiszpańska nie jest jeszcze zagrożoną w Ameryce: *nous n'en sommes pas encore là!* Nie

podlega wszakże wątpliwości, że po aneksyi teksańskiego kraju Stany Zjednoczone spiesznymi krokami zdążyły do absorbcyi Meksyku, jak również wątpliwości nie podlega, że ta sama polityczna przezorność, która niegdyś kierowała panem Guizot w sprawie teksańskiej, natchnęła i tę tak teraz okrzyczaną wyprawę do Vera-Cruz. Napoleon III nie szukał w Meksyku ni zdobyczy dla Francyi, ni tronu dla jednego ze swych krewnych; zamierzył bezinteresownie, szlachetnie, ustanowić w tym kraju rząd liberalny, konstytucyjny, ale dający jakieś rękojmie stałości i mogący w danym razie stawić opór naciskowi Yanków. »Zależy nam bardzo, pisał cesarz Francuzów do generała Forey, w sławnym liście z 3 lipca 1862 r., aby rzeczpospolita Stanów Zjednoczonych była potężną i kwitnącą; ale nie jest to wcale w naszym interesie, aby owładnęła całą zatokę meksykańską, stamtąd opanowała Antyle i Amerykę południową, i w wyłącznem miała posiadaniu wszystkie produkta Nowego Świata. Jeśli zdołamy, dzięki nowej a stałej formie rządu w Meksyku, zapewnić całość i niepodległość tego państwa, przywrócim tem samym siłę i urok całej rasy łańińskiej za Oceanem, zabezpieczym kolonie nasze i hiszpańskie w Antylach i utwalim wpływ Europy w Ameryce środkowej«... Polityce Napoleona III co do Ameryki wolno może zarzucić brak konsekwencyi, wolno żałować, że rząd francuski ze stosownej, a prawdziwie opatrzonej nie korzystał chwili, że nie dopomógł czynnie skonfederowanym w Richmond i skuteczniej tem jeszcze nie położył tamy zaborczemu geniuszowi Yanków; ale usiłowania jego w Meksyku potępić są w stanie stronnicze tylko namiętności lub ci ludzie krótkowidzący (*des hommes à courte vue*), o których nie bez goryczy wspominał cesarz w mowie tronowej z przeszłego roku...

I w rzeczy samej, ktokolwiek trochę dalej i z pewnej wysokości patrzy na znaczące świata objawy, ten nie może nie być uderzonym fatalnością wieku, która coraz bardziej się uwydatnia, a na którą również już przed dwudziestu laty zwrócił uwagę pan Guizot w owej właśnie mowie z r. 1846. »Pamiętajmy, rzekł on, że dwa są w tym wieku narody dążące do uniwersal-

nego państwa: Rosya i Stany Zjednoczone!...« Dwa te narody zaborcze, realistyczne, brutalne, bez przeszłości, bez tradycji, bez ideału, silne, tylko w siłę wierzące, i coraz większe obszary zalegające globu, coraz bardziej też opasują starą Europę i zagrażają wszystkiemu, co w tej Europie zowie się sztuką, nauką, pięknnością, świętością; wołają na nią: »precz z marzeniami!« z temi marzeniami, z którymi i dla których żyć jedynie warto! Dwa te narody też lgną do siebie sympatycznie; forma, tam republikańska, a tu samodzierna, nie stanowi przedziału; admirałowie jednej i drugiej marynarki piją zdrowie »młodych ludów«; ojczyzna Washingtona w roku 1863 i 1864 odstawiła rządowi carskiemu Polaków zbiegłych z wojska moskiewskiego, a p. Katkow widzi i sławi codzien w państwie Yanków najszczęśliwszego sprzymierzeńca świętej Rosyi. I czyż tak trudno dla polityki Stanów Zjednoczonych względem Meksyku znaleźć przykład w historii Moskwicina? Nic bardziej charakterystycznego nad sposób, w jaki politycy washingtonscy od lat pięćdziesięciu wyrażają się o rządach republikańskich Meksyku. Od Webstera, aż do Sewarda wszyscy mówią o nich z nieukrytą pogardą, wszyscy wywodzą nieustanne żale nad odwieczną i nieuleczalną anarchią w tem ościennem, »sąsiedniem i przyjaznem« państwie; wszyscy jednak równie niezmiennie protestują, ilekroć mowa o zaprowadzeniu w tem sąsiedniem a przyjaznem państwie formy rządu umiarkowanego, władzy trochę stalszej i silniejszej, tronu dziedzicznego i konstytucyi racjonalnej. Nie sama tylko Katarzyna umiała osławić przed światem bezrząd panujący w Polsce, a jednak bronić w tym kraju *liberum veto* i protestować przeciwko zamierzonemu tam *despotyzmowi* konstytucyjnej monarchii: i Meksyk ma teraz swego *Błogosławionego* (*Benito Juarez*), jak miała niegdyś Polska swego *Szczęsnego!*... A nie brak też teraz i w Europie na encyklopedystach i na encyklopedycznych i liberalnych pisarzach, co nie mają dosyć słów gniewu i potępienia dla wyprawy Meksykańskiej. Przecież Voltaire i Diderot również szyderstwem okładali księcia Choiseul, że usiłował przeszkodzić upadkowi Polski

i sprzeciwiał się wielkim liberalnym zamiarom wielkiej wolnościowej Katarzyny...

Zostawiamy do następnego przeglądu bliższy rozbiór drugiego punktu treściwego programu pana Guizota: Kwestyę Rzymu <sup>1)</sup>. O trzecim, o Belgii, zamilczymy, bo ucichły oddawna obawy, które zrazu wywołała śmierć króla Leopolda, poprzedzona wkrótce przedtem wycieczką do Paryża jednego z »genialnych« a przedsiębiorczych ministrów północy. Są jednak ludzie przęsądni, którzy złą w tem dla młodego monarchy belgijskiego widzą wróżbę, że Królowa Wiktorya przesłała mu przed kilkoma dniami, z niezwykłą uroczyością, cenny order podwiązki. Ludzie ci wskazują, że z równym darem pospieszył był rząd angielski w przeszłym roku do Kopenhagi, po ostatecznej utracie księstw nadelbiańskich. Zauważono nawet wówczas w Kopenhadze, że to już po raz wtóry spotyka w tym wieku dynastę zaszczyt podobny. Duńczycy sobie przypomnieli, że na początku tego stulecia byli również przedmiotem takiej ze strony Anglii dystynkcyi, że to nastąpiło zaraz po utracie Norwegii, i zadrżeli na myśl trzeciej z kolei podwiązki... W rzeczy samej podwiązka Wielkiej Brytanii coraz bardziej zaczyna przybierać symboliczne znaczenie jedwabnego sznurka wielkich Padyszachów.

W parę dni po ukazaniu się tego artykułu Klaczki otrzymała redakcja *Dziennika poznańskiego*, od niejakiego p. W. K. obszerny artykuł nadesłany, nacechowany dużą wytrawnością sądu. Artykuł ten, wydrukowany w dwóch dodatkach do *Dziennika poznańskiego*, w N-rze 48 i 49, z dnia 1 i 2 marca 1866 r.. opatrzyła redakcja następującym od siebie przypiskiem:

Otwierając kolumny naszego pisma obu przeciwnym zdaniom w kwestyi meksykańskiej, ze względu, że tak jedno, jak drugie, pochodzi ze strony osób kompetentnych, a znanych w publicystyce naszej i że podobne ścieranie się sprzecznych poglądów może tylko w pożądanym sposobie posłużyć do wyjaśnienia *prawdy*, zastrzegamy sobie niemniej

---

<sup>1)</sup> Artykułu tego Klaczko, zdaje się, nie napisał, albo też może go redakcja *Dziennika poznańskiego*, z powodu drażliwości kwestyi nie wydrukowała...

dlatego nasze zdanie *własne*, odmienne zarówno od zdania pana J. Kl., jak pana W. K. Jakiegokolwiek powody mogły popchnąć Francję do Meksyku w celu, a to w najkorzystniejszym razie, spełnienia zadania, na które siły jej *nie* wystarczają, pamiętamy tylko ze stanowiska *naszego*, że sprawa meksykańska zabiła w stanowczej chwili sprawę polską, i że zwracając Francję ku niewykonalnym mrzonkom, odwróciła ją od tego, co spełnić przy dobrej woli nie było niepodobieństwem. Stąd nasz wstręt do całej wyprawy i sprawy meksykańskiej. Natomiast nie godzimy się również na entuzjazm pana W. K. dla Ameryki Północnej. Pomijając wszystkie jej ujemne strony; pomijając mianowicie wynaleziony istnie przez nią i dla niej najniebezpieczniejszy despotyzm, jaki egzystuje, despotyzm ochłokratycznej opinii, o którym ciekawe rzeczy naopowiadał pan Tocqueville w dziele swoim o *Demokracji Amerykańskiej*, przypominamy owe fakta braterstwa między Młodą Rzeczpospolitą a starym despotyzmem, owe zamiany grzeczności między flotą moskiewską i amerykańską, grzeczności przypiętowane przez żalowanego tyle prezydenta Lincolna, wydawaniem zbiegów polskich Moskalom, z pogwałceniem prawa ludzkości i opieki nad cudzoziemcami, którego Stany Zjednoczone dotąd zbrodniarzom nawet nie odmawiały.

Artykuł p. W. K. brzmiął in extenso, jak następuje.

Szanowny Redaktorze! Winszuję pismu waszemu, żeście pozyskali nowego korespondenta w Paryżu, którego pierwszy artykuł w Nr. 44, z dnia 24 lutego czytaliśmy, korespondenta dobrze nam z *Wiadomości polskich* znanego, które on głównie przez kilka lat znakomitem piórem zasilał. Mimo przecież uznanej powagi tego pierwszorzędnego publicysty, nie tylko polskiego, ale europejskiego — bo wiadomo, że równie biegle kilku językami włada i niemniej zaszczytnie w zagranicznych przeglądach występował, na zapatrywanie się jego na sprawę meksykańską pod żadnym warunkiem przystać nie mogę, i sądzę, że przeważna większość czytelników się nie zgodzi. Wyznać muszę, że w pierwszej chwili po odczytaniu artykułu nie mogłem się wstrzymać od pomyślenia, że ta obrona wyprawy Meksykańskiej chyba w tym celu podjętą, aby wypróbować dojrzałość opinii publicznej w Polsce, i na ten wypadek umyśliłem odpowiedzieć protestem. Atoli na samem zaprotowaniu nie koniec, bo krzyknąć *nie pozwalam* to nie dowód na zabicie twierdzeń, wypadałoby więc oczywiście sięgnąć po argumenta i poważnie rozbierając zdanie po zdaniu autora, wykrywać, w czem, zdaniem naszym, się myli. Lekkie zbycie już dla samej powagi autora byłoby nie właściwem, tembardziej, gdy przypuścić musimy, że autor w dobrej wierze i z przekonania, nabytego w imperyalistycznych kołach, pogląd

ów na sprawę Meksykańską nam wyłożył. Z tem wszystkiem tak gruntowna odpowiedź wzmogła by się na obszerną broszurę, do której znakomitszych zasobów wiedzy i talentu potrzeba, jakimi ja rozporządzam, to też celem moim być tylko może, przestrzedz niejako czytelników, by na *verba magistri* nie od razu przystali, ale też pod rozwagę wzięli zarzuty i twierdzenia, które w krótkości podać zamierzam.

Nie sądzę, aby to zarozumiałością było z mej strony, że śmiałem przeciw uznanej powadze wystąpić, albowiem są inne powagi i większe jeszcze, po stronie mojego zapatrywania się. Sam autor artykułu kładzie w usta Guizota: *Sortez du Mexique* — a mimo największego poważania dla rozumu politycznego pana J. Kl., sądzę, iż mu nie ubliżam, wyznając, iż w razie wątpliwym i w braku własnego przekonania, wolałbym iść za zdaniem tak doświadczonego męża stanu, jak najgenialniejszego teoretyka. Wprawdzie pan J. Kl. zbija Guizota Guizotem, cytując, jak świetnie w roku 1846 bronił podobnej polityki interwencyjnej w Texas, jaką jest terazniejsza względem Meksyku. Cóż jednak za wniosek wyciągnąć wypada ze zmiany zdania pana Guizota? Jużcić nie można przypuścić, aby mąż tak uczony, biegły historyk i polityk, cofnął się dziś w swoim rozumie, ale owszem przyjęć wypada, iż dalsze studia i doświadczenia udoskonalily jego pogląd, że zatem późniejsze zdanie jest dojrzałszem i prawdziwszem.

Całe dziennikarstwo liberalne wreszcie, które potępia wyprawę meksykańską, niemniej jest powagą, bo nikt nie zaprzeczy, iż w obozie liberalnym w całej Europie zasób inteligencji jest wogóle większym, jak w przeciwnym obozie, i że indywiduala, które są głównemi reprezentantami opinii liberalnych do największych znakomości należą.

Za sobą ma pan J. Kl. jedynie Napoleona i rząd jego, atoli ich sąd jest parcyalny i mimo wymowy pana Rouher lub artykułów wszystkich Koryfeuszów imperyalizmu, ani Francya, ani Europa wogóle się przekonać nie dadzą, iż cesarz wyprawę tę zamierzył *bezinteresownie, szlachetnie, jedynie w celu ustanowienia rządu liberalnego, konstytucyjnego*, (którego u siebie nie zaprowadza) i t. d. Zanadto jest rzeczą wiadomą, iż cesarz do wyprawy tej wciągnięty został przez sieć intryg, któremi umiano dobrą wiarę jego podchwycić, przez wystawienie przedsięwzięcia jako bardzo łatwego i t. p. Jeżeli kto, to najniezawodniej władzca Francyi najdoskonalej dziś rozumie, że zrobił krok fałszywy, ale raz w sprawę wciągnięty, dla honoru trwać w błędnym kierunku musiał i wynalazł dla ośłonięcia błędu swego pozory, odział wyprawę szumnym programem, jakoby przedsięwziętą w interesie cywilizacyi, w celu położenia tamy anglosaskiej rasie, a podniesienia romańskiej, dla ustalenia wpływu Francyi w Ameryce i t. p. Nie przeczę, iż wiele też prawdy w tem leży, co za rzekomy cel wyprawy użyto, nie prze-

czę, iż w interesie Francyi być może, aby Meksyk stał się silnem, uporzędkowanym państwem i przedmurzem przeciw Unii amerykańskiej, atoli państwo potężne, jak Francya, na żadnym punkcie globu obojętnem nie jest, wszędzie ma swe interesa, któreby popierać i przeprowadzać chciało; wszystkiego przecież naraz czynić nie można. I Cochinchina jest ważną, i Rzym jest ważnym, ale mogą jeszcze być ważniejsze interesa. Czy Meksyk był ową najważniejszą sprawą Francyi, dla której popierania Francya w polityce europejskiej tak słabo występować musiała? Nim się interes jaki i to zbrojną ręką popiera, nietylko ocenić wypada, czyli ten interes jest chwilowo ze wszystkich najważniejszym, ale też ścisły obrachunek sił, jakich wymaga, poprzedzać wykonywanie musi; trzeba ocenić, czy wysilenie na ten cel obrócone wyłaci się, czy zysk możliwy w tej jednej sprawie, nie przyniesie na innych punktach uszczerbków przewyższających tamte korzyści. Otóż sprawa meksykańska, podkładając jej te rozległe zamiary, przechodziła, jak się dziś okazuje, nawet *możliwość* Francyi i dlatego trudno nie uznać, że wyprawa meksykańska jest błędem politycznym, za jaki też oprócz pana J. Kl. najznakomitsi publicyści ją uważają. Pan J. Kl. zaś ma tylko jedno polityce cesarskiej do zarzucenia, to jest, że niedosyć konsekwentnie przeprowadzoną została, bo wypadało, zdaniem jego, uchwycić chwilę słabości Unii amerykańskiej i zbrojnie popierać secesjonistów Richmondu. Ani słowa, zarzut niekonsekwencji jest słuszny, ale cóż opinia publiczna, którą i Napoleon zbyt rozdrażniać nie lubi, bo wie, jaką jest potęgą, cóż opinia publiczna na to by powiedziała, żeby Francya w obronie junkrów Ameryki i niewoli negrów była stanęła?!

Porównanie Stanów Zjednoczonych z Rosyą jest *do pewnego stopnia* prawdziwe, lecz autor na jeden wzgląd nie uważa, który ogromną różnicę między niemi stanowi. Ameryka dąży do uniwersalnego państwa siłą inteligencji i pracy, Rosya zaś czysto siłą brutalną, fizyczną; Amerykanin podbija ziemię, naturę, ale nie ludzi; prawda, że kto w drogę mu wejdzie, kto konkurencji nie wytrzyma z nim, ten cofnąć się lub zginąć musi, aleć duch moskiewski jeszcze zupełnie inaczej się objawia. Rozbójniczy instynkt Mongołów przeszedł na spadkobierców ich potęgi, a po części i krwi, dlatego też Moskal nie marzy o innej sławie, jak podbijać narody i asymilować je sobie gwałtem, a najwyższe szczęście znajduje w żywieniu się pasożytnie sokami obcymi bez własnej pracy. Amerykanin jest obywatelem państwa przez dobrowolny *Contract social* powstałego, i dlatego ani o narodowość, ani o religię nikogo się nie pyta, i cóż więc by było za nieszczęście, gdyby Meksyk się do Unii kiedyś przyłączył? Alboż to Amerykanie wynaradawiać będą Meksykanów, jak Moskale Polaków, alboż ich katolicyzm naruszają? Uniwersalne państwa są nieszczęściem, powiada autor, i któż tego nie wie

z historii; aleć co innego jest rzeczpospolita skonfederowana, a co innego, śmiem przeciw autorowi twierdzić, państwo jakiego Ludwika XIV, Piotra W. i t. p. Alboż to w ideałach naszych młodzieńczych nie promienił się obraz całej ludzkości niby w jedno państwo skonfederowanej? Dążenie ku temu ostatecznemu ludzkości przeznaczeniu zgodne jest z wiarą chrześcijańską, a czyż Ameryka, choć jeszcze niesłychanie odległa od ideału tego, nie jest przynajmniej pierwszą próbą zrealizowania tej myśli?! Jedność moskiewska, to śmierć i zagłada, ale jedność amerykańska, która uwzględnia wszystkie różnice, która życie autonomiczne aż do pojedynczej gminy dozwala, która indywidualność ludzką podnosi, gdy tymczasem moskiewski duch ją zaciera, ta jedność niezawodnie na drodze, po której ludzkość kroczy ku przyszłości. Zdaje się, że sama opatrność postawiła obok strupieszającej, starej Europy ten nowy świat, jako przytułek (asylum) dla wszystkich prześladowanych i warsztat, w którym plemiona zgrzybiałe i niedołożne Europy pracy się uczyć i do wolności przysposobić mają; z Ameryki to pewnie kiedyś zasięgać będzie trzeba po nowe soki do odrodzenia Europy, jeśli to możebnem.

Przez chwilową przyjaźń między Ameryką a Rosyą zanadto, zdaniem mojem, szanowny autor uprzedzony przeciwko pierwszej i najniesłuszniejszej przypuszcza, że *sympatycznie* te dwa narody lgną do siebie. Dojrzałe narody wogóle sympatjami w polityce się nie rządzą (polityka sympatyi chyba u Słowian i Turków jeszcze jest w modzie) i Ameryka też bynajmniej nie sympatują, lecz bardzo dobrze zrozumianym interesem do przymierza z Rosyą jest spowodowaną. Mimo sprzecznych zasad politycznych, ezują te dwa olbrzymy, że chwilowo są sobie wzajem potrzebne. Rosya potrzebuje przeciwko Anglii i całej Europie przymierza Ameryki, pani tyłu wybrzeży i stąd potęgi moskiej pierwszego rzędu, bo Rosya żywi plany zaborcze i ideałem jej polityki jest opanowanie, zdławienie Europy. Również Ameryka przeciwko Europie sprzymierzeńca silnego potrzebuje, lecz nie na to, by Europę zawojować, ale by się przeciwko niej zabezpieczyć, aby niepodległość swoją, sztandar wolności i republiki przeciw monarchizmowi Europejskiemu utrzymać. Otóż to więc jest przymierze, nie na wspólnych zasadach oparte, ale na przemijającej potrzebie, więc bez konsekwencyi na wewnątrz, tak, jak w izbach deputowanych najprzeciwiejsze partye, koalicje chwilowe przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi zawierają, a po osiągnięciu celu rozłączają się i najzaciętszy spór o zasady między sobą prowadzą. I między Rosyą a Ameryką, przewidzieć to można, przyjdzie kiedyś do takiej walki, która może będzie ostatecznie rozstrzygać, czy wolność czy niewola w świecie ludzkim zapanuje. Z tego to względu wzrost Ameryki nie powinien nas zatrwącać, ale pocieszać, bo z nią

pole wolności się rozszerza i siły do walki przeciwko despotyzmowi się wzmagają.

Że pan J. Kl. punkta porównania między Rosją a Ameryką dowcipnie zestawił i upozorował, nie można zaprzeczyć; lecz te podobieństwa leżące na wierzchu i dlatego wrażliwy, poetyczny umysł uderzające, przestaną zupełnie być podobieństwami, gdy się z zimnym rozumem w głąb rzeczy zapięczę. I tak powiada autor: »Nie sama tylko Katarzyna umiała osławić przed światem bezład panujący w Polsce, a jednak bronić w tym kraju *liberum veto* i protestować przeciwko zamierzonemu tam despotyzmowi konstytucyjnej monarchii; i Meksyk ma teraz swego Błogosławionego (Benito Juarez), jak miała niegdyś Polska swego Szczęsnego«. Naprzód obrazy, analogie, porównania, nic w historii i polityce nie dowodzą, a przynajmniej całkowitej prawdy nigdy nie dają, lecz jedynie jedną jej stronę odkrywają, dlatego też użycie tej figury, w poezji bardzo właściwe, bardzo mało przydatnem jest w naukowych, ścisłych badaniach.

Gorzej jeszcze, gdy porównania te, jak w obecnym przypadku, zupełnie są powierzchowne, dowolne, w części na grze słów nawet tylko opierane (n. p. Szczęsny i Benito). Rozbierzemy tylko owe niby podobieństwa, a okaże się rzecz zupełnie odwrotna. I tak: Katarzyna chciała utrzymać anarchię, *liberum veto*, w Polsce, to uznana prawda, ale czy prawda, czy jest jaki fakt stwierdzający, że Ameryka również chce utrzymać anarchię w Meksyku? Nigdyśmy dotąd o tem nie słyszeli, chyba, że pan J. Kl. rząd republikański identyfikuje z anarchią, a jedynie monarchiczny rząd za prawowity i porządnny uważa: zdanie, któreby dopiero dowieść potrzeba.

Dalej wiadomo, że Katarzyna u siebie rządziła despotycznie i ani myślała w Rosji rządu anarchicznego, *liberum veto* i t. p. zaprowadzać, rada więc, którą Polsce dawała, była oczywiście podstępem, perfidyą. Tymczasem odwrotnie w Ameryce się dzieje: Ameryka jest republiką i życzy, aby ten sam rząd, o którego dobroci u siebie się przekonała, w sąsiednim też państwie *pozostał*; tu więc nie macie perfidy, ale owszem, byłby podstęp i podobieństwo z Katarzyny postępowaniem, gdyby Ameryka Meksykanom *monarchiczny rząd gwałtem narzucała*, rząd, z którym dla przeciwnej zasady prędzej lub później w konflikt by wejść mogła i stąd mieć pretekst do zawojowania kraju. Dalej Juarez ma być Szczęsnym! A czemu byłby Almonte? Może Kościuszką Meksykańskim?... Wszakże Juarez co do zasady jest niezaprzeczenie prawowitym rządcą, *légitime*, wobec inwazyi obcej: a jeżeli kto ze Szczęsnym porównany być może, to nie kto inny, jak właśnie Almonte, który cudzoziemców sprowadził przeciwko swej ojczyźnie i obcemu księciu służy, który w oczach legitymizmu Meksykańskiego jest uzurpatorem.

Nareszcie Voltaire i Diderot powołani w pomoc do uzasadnienia rzekomego podobieństwa stosunków i czasów, niczego też nie dowodzą, służą tylko do dalszego przekonania nas, że utłdne podobieństwa nie są jeszcze prawdą i rzeczywistością, i że fantazyja zwodniczym jest przewodnikiem w dziedzinie historii i polityki. Pan J. Kl., który nie tylko jest politykiem, ale przeważnie belletrystą, poetą, pisarzem pełnym fantazyji, i ma zgoła naturę artysty, nie dziw, że się uprzedził przeciwko Ameryce, temu mrowisku ludzi, gdzie nie masz jeszcze ideału, gdzie nic prócz pracy i pieniędzy na wzgląd nie zasługuje. Ale, że dziś tak jest w młodej Ameryce, to nie dowód, że zawsze tak będzie. W społeczeństwie, które nie jest właściwym narodem, jak my to w Europie po staremu rozumiemy, ale dobrowolnem skojarzeniem się, zlewkiem indywidualów z całego świata, nie może być w początkach innego interesu, jak urządzenie materialnej podstawy bytu. Tam gdzie olbrzymia natura jest do zwalczania, gdzie ludność niesłychanie szczupła na niezmiernych obszarach, jakżeby tam odrazu sztuki piękne, poezya mogły zakwitnąć, potrzebujące swobody i oderwania od zabiegów materialnych. Wszak i roślina każda korzenie wprzód w głąb zapuszcza i usadowi się, potem dopiero podnosi się ku niebu i kwiat wydaje. Ameryka jest właśnie w tem stadyum zakorzeniania się; nie wymagajmyż kwiatów już od niej.

Nie godzi się też utrzymywać, że Ameryka, jak Rosya, zagraża wszystkiemu, co w Europie zowie się sztuką, nauką, pięknnością, świętością, bo to z rzeczywistością się nie zgadza, bo jeśli tendencya Ameryki jest obecnie przeważnie realistyczną, to położenie zmusza ją do tego, ale ona manifestacyi przeciwko wyższej cywilizacyi nigdy nie wydała. I owszem, skonstatujmy, że chociaż pora zakwitania, jakieśmy to powiedzieli, nie nadeszła jeszcze dla Ameryki, to przecież piękne, pojedyncze pierwioski już i na tej niwie się rozwinęły; nie potrzebują, jak zacytował poetę Longfellow. Co zaś do nauk, wspomnę tylko Carega, którego głęboko pomyślany system gospodarstwa społecznego, obalając wszystkie poprzednie systemy, nową drogę tej nauce wytknął. Najmniej przecież usprawiedliwiony zarzut, że Ameryka zagraża wszystkiemu, co świętością się zowie! Już Tocqueville wychwalał Amerykanów, że pierwszym przedsięwzięciem każdej tworzącej się komuny u nich jest wystawienie szkoły i kościoła, to też religijność narodu jest wogóle wielka, chociaż się nieraz w dziwacznych i zabobonnych objawia formach, co z czasem przy wyższej oświacie zmienić się musi.

W. K.

Bezstronność nakazuje wyznać, że Klaczko tym artykułem był pobity na głowę, że wszystkie jego wywody zostały obrócone w ni-

wecz, że artykuł jego, bardzo świetny i dowcipny jako literatura, okazał się, jako pogląd polityczny, więcej niż... paradoksalnym. Musiał to uznać sam Klaczko, bo na artykuł K. W. nie znalazł słowa odpowiedzi, co się równało przyznaniu racji oponentowi. Jakoż trudno mu było nie przyznać słuszności pod każdym względem, we wszystkich punktach, nawet tam, gdzie twierdził, że Klaczko, choć zajmuje się polityką, o której pisze tak świetnie, a zwłaszcza błyskotliwie, co nie znaczy jeszcze, by pisał prawdziwie, jest »przeważnie belletrystą, poetą, pisarzem pełnym fantazyi, i ma zgoła naturę artysty«... Nigdy trafniej nie określono Klaczki, nawet jako pisarza politycznego, w którym zawsze brał górę literat, który nieraz sprawy polityczne sądził z punktu widzenia literackiego efektu...

## 2.

Takim np. *par excellence* literackim artykułem, w którym literatura całkiem spacyzła pogląd polityczny, był następny artykuł Klaczki, wydrukowany w N-rze 53 *Dziennika poznańskiego*, z d. 7 marca 1866 r. artykuł świetny pod względem literackim, ale całkiem fałszywy w założeniu, a najbardziej niefortunny jako przepowiednia.

Artykuł ten poprzedziła redakcja *Dziennika poznańskiego* następującymi paroma wierszami wstępu, którym jednak zdawała się nie brać odpowiedzialności za trafność wyrażonych w nim zapatrywań: »Współpracownik nasz *paryski*, którego poglądy na ważniejsze sprawy polityki zagranicznej zapowiedzieliśmy czytelnikom, takie przesyła nam uwagi o *kwestyi księstw naddunajskich*«.

Artykuł, oznaczony kryptonimem (*K-o*) na samym wstępie, brzmiał jak następuje:

Wypadki zaszły w księstwach naddunajskich głównie i powszechnie zajmują umysły, zalegają na teraz pierwszy plan sceny politycznej; od nich więc zacząć, i na nich zapewne zakończyć będą musiał obecny nasz przegląd, odkładając do chwili późniejszej inne kwestye bieżące. Nie łatwo wszakże jest teraz o tych wypadkach wydać sąd jakkolwiek stanowczy: brak nam do tego jeszcze wszelkich danych. W chwili i w miejscu, w których piszemy, nie masz jeszcze szczegółowej relacji o katastrofie księcia Kuzy, ani nawet o faktach, które ją poprzedziły. Wszystko się

dotąd ogranicza na kilku elektrycznych depeszach z Bukaresztu i kilku lakonicznych doniesieniach z Wiednia. Telegraf bukareszteński zaręcza, że Rumuni są w zachwyceniu, a przedewszystkiem kładzie na to przycisk, że »dzieło oswobodzenia« dokonaniem zostało bez najmniejszego krwi przelewu: »bez krwi!« woła on wciąż i z upodobaniem, jak Harpagon Moliera swoje pyszne *Sans dot!*... Mamyż powiedzieć? Ta tak sławiona *anemia* nie jest właśnie w naszych oczach wielką rękojmnią dla żywotności nowego płodu woli ludowej nad Dunajem. Nie dlatego, broń Boże, abyśmy byli osobliwymi miłośnikami pożogi i posoki, i z dawnym poetą wielkopolskim wierzyli, że ziemia obiecana »za czerwonym leży morzem«... Wiemy ze strasznego, a zupełnie jeszcze świeżego doświadczenia, ile to złego w powołaniu nieprzygotowanego ludu do broni, ile to bezdennej zguby (*bottomles perdition*, jak mówi Milton) w owym mefistofelicznym tak ulubionym słowie, że »krew jest arcszczególnym sokiem«... Niemniej jednak przenosimy krwawą walkę uliczną nad rewolucyę pałacową, i wątpliwą nam się wydaje przyszłość takiego narodu, jak rumuński, który niepodległości dostąpił, nie przeszedłszy przez chrzest ogniowy, a do wolności zdążył za pomocą nocnego spisku kilku pretoryanów.

Już to wogóle, wspomnimy nawiasem, wojny domowe nie mają wcale przed sądem historyi tego piętna sromoty, jakie mu nadawać zwykła teraz sceptyczna sentymentalność naszego wieku; nierównie sromotniejszym dla narodów jest to trzęsawisko zasad, dążności i stronnictw, które tak pożądaniem jest dla apatycznych i zniewieściałych pokoleń, ale w którym zaprzepaścić się musi ostatecznie społeczeństwo, co zamiłowanie do *wygody* mieni być miłością *zgody*. Historia naucza, że wojny domowe nieraz odradzały społeczeństwo; że Anglia wyszła z walki dwóch róż i z wstrząśnienia independentów nierównie potężniejszą materialnie, a moralnie zdrowszą, niż była przedtem: że Francya po Lidzie widziała czasy Henryka IV i kardynała Richelieu, po Frondzie czasy Ludwika XIV, po Wandei i terroryzmie nieporównaną epokę Napoleona. Wielkie, prawdziwe wojny domowe hartują

naród, gruntują i wzmacniają przekonania, wyrabiają historyczne stronnictwa, kształcą charaktery: gdy tymczasem na bagnach politycznego życia rodzą się same tylko płazy lub błędne ogniki.

Jednym to może z nieszczęść było Polski, że nie znała nigdy prawdziwych wojen domowych; że znała tylko same wojny kokosze i rokosze; jednym to z nieszczęść naszych, żeśmy wielki spór dziejowy kończyli polubownie, nawet zdradą kraju; że senat się rozpłakał na widok uścisków Lubomirskiego z królem, że Radziejowski mógł wrócić do kraju i urzędów, żeśmy jednym słowem wszystkie ognie gasili we łzach rozczulenia lub w biesiadnym kielichu! Usposobienie to przeżyło sam byt nasz, jako państwo: trwa ono jeszcze u nas dotąd i objawia się w tym naiwnym naszym wstręcie do wszystkiego, co jest określoną zasadą i wyrobionem stronnictwem, w tem naszym niewyleczonem zamiłowaniu do tego moralnego *vacuum*, co pod nazwą braterskiej zgody zaciera wszelkie przekonania, żywiąc i pielęgnując wszelkie prywaty!

A jeśli to prawda, że sam książę Kuza, jak wieść przynajmniej głosi gazeciarska, dał piśmienne swoje *placet* rewolucyi, która go obaliła, to nie wiemy, co o tem pomyśli historia, ale dank mu niezawodnie złoży nasz uczony p. Koronowicz, autor *Słowa dziejów Polski*, on, który biednego Batorego bez ogródki napiętnował imieniem *Tyrana*, i tę jedną mu tylko łagodzącą zostawił okoliczność, że umarł w sam czas, gdy przebrała się miara jego absolutyzmu!...

Byłżeż książę Kuza w istocie tym *tyranem*, jakim go od pewnego czasu, a szczególnie od czasu jego upadku, mieni pewna część dziennikarstwa Zachodu? Nie śmielibyśmy w tej mierze z całą wyrokować pewnością. Miare Anglii, Francyi, Niemiec i Włoch przykładać do księstw naddunajskich byłoby to samo, co z prawodawstwem Likurga przystąpić do *Lisistraty* Arystofanesa, a kto zna bliżej socyalny i moralny stan Rumunii, ten zrozumie, dlaczego tę właśnie wymieniamy komedję ateńskiego poety... To wszakże zdaje się być pewnem, że książę Kuza słuchał raczej natchnień z Paryża, niż z Petersburga, że nie był wygodnym

dla Rosyi i »zamachem« zasłużył na niełaskę cara. Sprawa mianowicie klasztorów, która jeden z głównych stanowi punktów w akcie oskarżenia, jaki mu wytoczyli bojarowie, była wymierzona przeciwko religijnej propagandzie Moskali na Wschodzie i nie bez wielkiego zadowolenia widzianą przez gabinet tuiłeryjski. Zwalenie księcia Aleksandra Jana nie kosztowało ani jednej kropli krwi, woła z tryumfem telegram rządu tymczasowego; czy też nie kosztowało ani jednego rubla?...

Nie sądzimy wszakże, aby Rosya chciała już teraz wszystkie wyciągnąć następstwa z »dzieła oswobodzenia«, do którego czynną niezawodnie i ojcowską przykładała rękę. Przejrzana i cierpliwa, *patiens quia aeterna*, zaprzestanie na odniesionej korzyści i bez wstrętu, ale też i bez illuzyi, przystąpi do nowych konferencyi nad tą kwestyą. Konferencye były zawsze wdzięcznym dla księcia Gorczakowa polem; na nich siał raz po raz przyszłości siew: tę uwagę już robią teraz w niejednym kole politycznym. Nie masz obawy, aby przyszła konferencya wybrała dla Rumunii księcia z jednej z panujących rodzin europejskich: sprzeciwia się temu wyraźnie traktat paryski, a zresztą profesya panującego, wogóle niezbyt ponętna w czasach, w których żyjemy, najmniej nią jest w księstwach naddunajskich. Miejsce Kuzy zajmie prawdopodobnie jakiś Bibesco, czy Galesco lub Gonesco, i wszystko wróci do dawnego, tylko przez Rosyę trochę lepiej *ubitego toru* <sup>1)</sup>...

Bezpośredni zaś zysk z dzieła oswobodzenia w Bukareszcie odniesie najprawdopodobniej szczęśliwy hrabia Bismarck. Genialny minister nie omieszka zapewne skorzystać z europejskiego tego zawikłania, z drażliwego położenia, w jakim ono stawi Austryę, by krok stanowczy zrobić w kwestyi nadelbiańskiej. Tak więc

---

<sup>1)</sup> Przepowiednia ta Klaczki nie sprawdziła się, albowiem wbrew traktatowi paryskiemu i skrytym życzeniom Rosyi, już d. 20 kwietnia, 1866 r. został na księcia Rumunii wybrany przez plebiscyt powszechny właśnie »książę z jednej z panujących rodzin europejskich«, książę Karol Hohenzollern, co jako pomyślny wynik *pour le roi de Prusse* niezawodnie było dziełem nie Gorczakowa, ale Bismarcka...

w naszym przewróconym i przewrotnym świecie wezbrane fale Dunaju znajdują ujście w Eidorze i staną się wodą na młyn pruski! Że w takich konstellacjach puszczone nagła pogłoska o upadku hrabiego Bismarcka żadnej w kołach politycznych nie znajduje wiary, jest rzeczą naturalną. Trudno w istocie przypuścić, aby pan Bismarck ustąpił właśnie w chwili, co tak wdzięczne otwiera perspektywy, aby skrzętną swą łódkę kierowawszy długo przeciwko wiatru i zapomocą samych tylko wiosół, naraz ją porzucił, gdy wszystkie napowrót rozpiąć może żagle:

*So nah am Hafen sollt' er scheitern!...*

I niechajże kto teraz przeczy świętemu dogmatowi solidarności ludów! Powstanie ludu rumuńskiego pociągnie za sobą prawdopodobnie ostateczne oswobodzenie ludu szlezwicko-holsztyńskiego i jego wcielenie do wolnej monarchii pruskiej! Niezbadane są »drogi ducha« i niezgłębione nurty Dunaju...

### 3.

W N-rze 71, *Dziennika poznańskiego*, z d. 28 marca 1866, czytamy na str. 2, co następuje:

Spór pomiędzy Austryą a Prusami w sprawie księstw nadelbiańskich nasuwa współpracownikowi naszemu w Paryżu następujące uwagi:

(K-o) W jednej z nieoszacowanych relacji ambasadorów weneckich, których skrzętne użycie tyle panu Ranke przyniosło chwały, a nauce historycznej pożytku, czytać można o papieżu Leonie X, że chce być »panem i mistrzem gry świata« *il dominus et maestro del jocho del mundo*. Z większem może jeszcze prawem dałoby się to wyrażenie, za dni naszych, zastósować do szczęśliwego ministra w Berlinie, który wyłącznie zdaje się od lat kilku posiadał wszystkie trójzęby Neptuna, wszystkie bukłaki

i łagwie Eola, i z olimpijską pogodą, a ambrozyjnym uśmiechem raz po raz, od roku 1863, gromadzi i rozprasza chmury, sojusze splata i rozplata, »niby wianek, niby palców igraszka«. Hrabia Bismarck jest w istocie panem a mistrzem *del jocho del mundo*, i jemu też świat zawdzięcza obecne zrazu lekkie wstrząśnienie, *excitement*, jak się wyrażają Anglicy, ale które coraz większych zaczyna nabierać rozmiarów. Świat ten jeszcze niedawno swobodnych używał czasów i nawet katastrofa księcia Kuzy nie zdołała go wystraszyć z miękiego łoża kwiatyzmu. Dwie nadomiar dyplomatyczne konferencye w dwóch wielkich stolicach, w Stambule i w Paryżu, czuwały nad jego bezpieczeństwem: jedna miała go uchować od powietrza, druga od wojny; a zaś od ognia, od ognia mianowicie świętego, strzegła się już dostatecznie Europa sama. Gdy w tem pan Bismarck jedno zrobił pościąganie na swej szachownicy i wszystkie się naraz zatrwożyły żywioły: dyplomacya podskoczyła, renta opadła i nad całą ludzkością teraz zawieszony miecz jenerała Hake...

Jakkolwiek osobiście nie możemy w żaden sposób podzielać wznieconych naraz obaw, jakkolwiek przekonani jesteśmy, że wszystko się załatwi jeszcze na drodze, jeżeli nie miłości, to przynajmniej pokoju, wyznać jednak musimy, że inaczej zupełnie na stan rzeczy zapatrują się tutaj w pewnych sferach politycznych. W sferach tych coraz bardziej utrwała się opinia o podobieństwie krwawego starcia między Austryą a Prusami. Jeśli się przedstawia, że podobne dzisiejszemu naprężeniu stosunków już miało przecież miejsce w lecie roku zeszłego, że i wtenczas mówiono o wojnie i gotowano się do boju, a jednak wszystko się zakończyło ugodą gasteinską, to na to wręcz odpowiadają, że okoliczności, jakie towarzyszyły tej ugodzie lub wkrótce po niej nastąpiły, przeszkodzą właśnie powtórzeniu takiego kroku ze strony Austryi. Cesarz Franciszek Józef, twierdzą, ma wprawdzie osobistą do króla Wilhelma I. skłonność i nie jest nieczułym na argumentację, którą szczególnie jenerał Manteuffel z wielkiem umiał wówczas roztoczyć powodzeniem, argumentację o potrzebie zachowania jedności i zgody między dwoma monarchami

niemieckimi naprzeciw Francji i Rosji. Ale pamiętać zawsze o tem należy, dodaje, że Austria jest przede wszystkim państwem militarnem, że honor i usposobienie wojska ostatecznie przeważać muszą wszystkie inne względy w oczach cesarza, a nie tajem jest nikomu uczucie, z jakim to wojsko, a mianowicie wyższa jego hierarchia, przyjęły ugodę gasteińską. Hrabia Mensdorff, który nietylko jest dyplomata, ale i generałem, nie mógł zwyciężyć w sobie wstrętu do podpisania konwencji Salzburskiej i wolał ten trud złożyć na giętkie barki panu Bloome; generał zaś Benedek stanowczo zażądał wówczas dymisyi, tak, że musiano go ułagodzić tytułem feldzeugmeistra i uroczystą obietnicą ostrzejszego na przyszłość wystąpienia w razie odnowionego o księstwa sporu. Wojsko austryackie, które nie przeboleło klęsk Magenty i Solferyna, pragnie odwetu i radeby na piaskach Brandenburskiej szukało tych laurów, których nie znalazło pod włoskiem niebem. Nie brak zresztą, dodają, i na innych powodach, które gabinet wiedeński zniewolić muszą do zbrojnej akcji: dalsze ustąpienie w kwestyi nadelbiańskiej pozbawiłoby Habsburgów wszelkiej powagi i wszelkiego wpływu w Niemczech, wyzułoby ich ostatecznie z tej Germanii, której losom przewodniczyć mają sobie za wiekowe i opatrne zadanie, i zostawiłoby wolne pole hegemonii pruskiej, dziełu aneksyi i zjednoczenia, które nierównie straszniejszem się okaże nad Menem, niż nad Padem. Mężowie stanu wiedeńscy zbyt są czujni i bystrzy, aby nie wiedzieć, że trzy propagandy fatalne i nawalne coraz bardziej opasują starożytną monarchię Habsburgów i ostateczną jej grożą zagładą: propaganda pangermańska Prus, państwoiańska Moskwy, kosmopolityczna i rewolucyjna Włoch. Jedyne ratunek tylko w wojnie, póki jeszcze jest możebną, a możebną ją czynią obecne konstellacye Europy...

Takie czasem w sferach poważnych dają się teraz słyszeć głosy, a jeśli powolnem z naszego kronikarskiego obowiązku jesteśmy tu ich echem, zastrzedz wszakże powtórnie musimy, że głos wewnętrzny na nas woła, aby podobnym nie ulegać widzeniom. Mamy jakieś niezłomne przekonanie, że burza same

tylko wywoła błyski, ale nie sprowadzi gromu, że i tym razem, wezbrana na horyzoncie poczdamskim chmura opadnie w końcu złotym deszczem na danajskie łono Austrii.

Temu »niezłomnemu przekonaniu« Klaczki rzeczywistość miała zadać kłam: z wezbranej na horyzoncie poczdamskim burzliwej chmury, polał się na Austryę nie złoty, ale stalowy deszcz pruskich iglicówek, aż w końcu uderzył straszny grom pod Sadową!

Wobec tej strasznej »zmiany w scenach swojego widzenia«, zniechęcony Klaczko zaniechał dalszego nadsyłania do *Dziennika poznańskiego* swych polskich artykułów w kwestyach polityki zagranicznej, a zabrał się do pisania po francusku swoich *Préliminaires de Sadowa*.

## TREŚĆ:

	Strona
Juliana Klaczki zapomniane pisma polskie . . . . .	I
Od wydawcy . . . . .	III
I. Listy z Paryża (1850—1851) . . . . .	1
II. Wieszczce i wieszczby (1850) . . . . .	155
III. Autobiografia Staszica (1850) . . . . .	177
IV. Kontuszowe pogadanki i obrazki z szlacheckiego życia K. Gąszyńskiego (1851) . . . . .	189
V. Dante Alighieri (1852) . . . . .	205
VI. Lenora i Ucieczka (1853) . . . . .	251
VII. O szkole narodowej polskiej na Batignolles pod Paryżem (1854) . . . . .	281
VIII. Rękopisy po Adamie Mickiewiczu i niedrukowane ustępy z »Pana Tadeusza« (1856) . . . . .	325
IX. Artykuły polityczne w »Dzienniku poznańskim« (1866) . . .	353





49426/1  
R

